

**WILBUR SMITH**

# **Odgłos Gromu**

**Tom II Sagi rodu Courteneyów**

**(Przełożył Artur Leszczewski)**

*Tę książkę dedykuję moim dzieciom -  
SHAUNOWI i LAWRENCE  
oraz CHRISTIAN LAURIE*

1. Po czterech latach włóczęgi przez dzikie bezdroża wozy ledwie trzymały się kupy. Prawie wszystkie osie kół i drewniane piasty zastąpiono prymitywnymi częściami z miedzi; spod łąt na płachtach pokrywających wozy wyglądały zaledwie resztki oryginalnego płótna; w zaprzęgach złożonych z osiemnastu wołów, przetrzebionych napadami drapieżników i plagami chorób, zostało jedynie po dziesięć zwierząt. Ale ta dobiegająca kresu sił karawana wiozła kły pięciuset słoni - plon strzelby Seana Courteneya - skarb, który będzie mógł zamienić na prawie piętnaście tysięcy złotych suwerenów, gdy tylko dotrze do Pretorii.

Po raz kolejny dane było Seanowi zostać bogatym człowiekiem. Jego ubranie, powyciągane i całe w plamach, nosiło ślady licznych choć nieudolnych napraw; to, co miał na nogach, z trudem można by nazwać wysokimi butami, mimo że podzielowano je nowymi podeszwami z twardej, bawolej skóry. Długa, zmierzwiona broda przykrywała do połowy jego pierś, a gęste, czarne włosy wiły się w nieładzie na karku, gdzie zostały przycięte tępymi nożycami, równo z kołnierzem płaszcza. Chociaż wygląd wcale na to nie wskazywał, był naprawdę bogaty: w kość słoniową i w złoto zdeponowane w podziemiach Volkskaas Bank w Pretorii.

Sean osadził konia na małym wzniesieniu wyrastającym przy drodze i przyglądał się z leniwą przyjemnością nadciągającym wozom. Czas na własną farmę i żonę, pomyślał nie bez satysfakcji. Miał już trzydzieści siedem lat i dawno przestał być młodzieńcem. Najwyższy czas kupić farmę. Wiedział, o jaką mu chodzi, i dokładnie już zaplanował, w którym miejscu postawi dom i zagrody - umieści je na brzegu skarpy, żeby wieczorami mógł usiąść na szerokim ganku i spoglądać ponad równiną na rzekę Tugelę lśniącą w oddali.

- Jutro rano dotrzemy do Pretorii. - Głos za nim przerwał jego marzenia i Sean obrócił się w siodle, żeby spojrzeć na Zulusa przykucniętego koło konia.

- Mbejane, to było dobre polowanie.

- Nkosi, zabiliśmy wiele słoni. - Mbejane pokiwał głową i Sean po raz pierwszy zauważył kilka siwych pasm w gęstych, kręconych włosach Murzyna. Mbejane także nie był już młodzieniaszkiem.

- I zrobiliśmy kawał drogi - ciągnął dalej Sean, a Mbejane ponownie kiwnął głową, potwierdzając z namaszczeniem jego słowa.

- Mężczyznę nuży długi szlak - mówił w zamyśleniu Sean. - Nadchodzi czas, że chce spędzić dwie noce w tym samym miejscu.

- I usłyszeć śpiew żon, kiedy pracują razem na polu - Mbejane starał się przedłużyć marzenia. - I obserwować swoje bydło, gdy synowie odprowadzają je o zachodzie słońca do zagrody.

- Ten czas nadszedł dla nas obu, przyjacielu. Wracamy do domu, do Ladyburga.

Mbejane wstał i włócznie uderzyły o tarczę z niewyprawionej skóry bawołu. Twarde mięśnie pod lśniącym atlasem skóry napięły się, gdy Murzyn podniósł głowę i uśmiechnął się do Seana. Uśmiech Mbejane aż promieniował nieskazitelną bielą. Sean odwzajemnił go i przez chwilę obaj szczerzyli wesoło zęby jak dwaj chłopcy, którym udał się złośliwy dowcip.

- Nkosi, jeśli popędzimy woły, to możemy dotrzeć do Pretorii jeszcze dziś wieczór.

- Możemy spróbować - zachęcił go Sean i skierował konia w dół zbocza, żeby przeciąć drogę wozom.

Na końcu karawany, jadącej z trudem w białym żarze afrykańskiego poranka, powstało jakieś zamieszanie i szybko rozszerzało się wzdłuż linii wozów. Szczekanie psów i krzyki służących dopingowały jeźdźca, który w pełnym pędzie zdążył do czoła karawany. Z daleka było widać, że jeździec niemal leży w siodle, poganiając kucyka łokciami i piętami. Kapelusz opadł mu na plecy, trzymając się jedynie dzięki zawiązanemu na szyi sznurkowi, a ciemne włosy były zburzone przez pęd powietrza.

- To lwiątko ryczy głośniejsz niż lew, który go spłodził - mruknął Mbejane, ale na jego twarzy widać było wyraz uwielbienia, kiedy przyglądał się, jak młody jeździec zatrzymuje kuca w pełnym biegu, tak że zwierzę niemal przysiadło na ogonie.

- Przy okazji niszczy pysk każdego konia, na którego go wsadzić. - Głos Seana był równie szorstki jak głos Mbejane, ale w oczach rysował się ten sam wyraz miłości, gdy patrzył na syna, który odciął brązowe ciało małej antylopy od siodła i zrzucił je na ziemię obok wozu. Dwóch poganiaczy wołów rzuciło się, żeby podnieść upolowane zwierzę, a Dirk Courteney uderzył piętami kuca i pogalopował do miejsca, gdzie czekał ojciec i Mbejane.

- Tylko jedna? - spytał Sean, gdy Dirk kierował kuca, żeby znaleźć się za nimi.

- Och nie, mam trzy. Trzy antylopy trzema strzałami. Nosiciele broni przyniosą pozostałe. - Dirk powiedział to w zupełnie naturalny sposób, jakby nie było nic niezwykłego w tym, że dziewięcioletni chłopiec zdobywa mięso dla całego obozu. Następnie rozsiadł się wygodnie w siodle, trzymając wodze w jednej ręce, a drugą kładąc niedbale na udach w wiernej imitacji swojego ojca.

Marszcząc lekko brwi, żeby ukryć rozpierającą go dumę i miłość, Sean przyjrzał się uważnie synowi. Piękno rysów twarzy chłopca było wręcz nieme, w oczach Dirka kryła się niewinność, a gładką skórą mogłaby się poszczycić niejedna dziewczyna. Promienie słońca wydobywały głęboką czerń jego gęstych włosów, a szeroko rozstawione oczy były ocienione długimi rzęsami i obramowane delikatnymi łukami brwi. Oczy chłopca miały kolor szmaragdu, skóra odcień złota, a włosy barwę kruczego skrzydła - twarz wyglądała, jakby

wymodelował ją złotnik. Sean przeniósł wzrok na usta syna i poczuł ukłucie niepewności. Usta były zbyt szerokie, wargi zbyt miękkie i pełne. Ich kształt sprawiał wrażenie, jakby chłopiec się dąsał.

- Dirk, nie robimy dzisiaj żadnych postojów. Żadnych popasów, aż dotrzemy do Pretorii. Pojedź wzdłuż karawany i powtórz to woźnicom.

- Poślij Mbejane. On nic nie robi.

- Powiedziałem, że ty masz pojechać.

. - Tato! Już dosyć się dziś napracowałem.

- Ruszaj, do diabła! - ryknął Sean czując, że niepotrzebnie się unosi.

- Dopiero co wróciłem, to niesprawiedliwe, żebym... - zaczął Dirk, ale Sean nie pozwolił mu skończyć.

- Za każdym razem, jak cię o coś poproszę, słyszę same wymówki. Zrobisz, co ci każę. - Patrzyli sobie w oczy; wzrok Seana pełny wściekłości, a Dirka niechętny i nadąsany. Sean rozpoznał ten wyraz twarzy ze zdumieniem. Zapowiadało się na kolejną próbę sił, które ostatnio coraz częściej ich rozdzielały. Czy i tym razem skończy się tak samo jak zawsze? Czy będzie musiał przyznać się do porażki i użyć znowu sjamboka? Kiedy to było? - dwa tygodnie temu - gdy Sean skarcił syna za niedbałe opiekowanie się kucykiem. Dirk stał cały czas obrażony, a kiedy ojciec skończył mówić, oddalił się i zniknął wśród wozów. Sean rozmawiał z Mbejane, starając się zapomnieć o całej sprawie, gdy nagle z głębi obozu dobiegł ich skowyt bólu i Sean pobiegł w tamtym kierunku.

Dirk stał w środku obozowiska. Twarz miał pociemniałą od gniewu, a u jego stóp leżał szczeniak z żebrami rozbitymi kopniakiem i wyl z bólu.

Rozwścieczony Sean zbił syna, ale nawet wtedy nie użył okrutnego bata - sjamboka - ze skóry hipopotama, tylko kawałek liny. Następnie zabronił Dirkowi wychodzić z wozu.

W nocy Sean posłał po Dirka i zażądał przeprosin. Chłopiec zacisnął tylko zęby i potrząsnął przecząco głową.

Sean zbił go ponownie linką, ale tym razem już na chłodno i bez złości. Dirk trwał nadal w swoim uporze.

W końcu, doprowadzony do ostateczności, Sean sięgnął po sjambok. Dziesięć świszających uderzeń, z których każde trafiło w pośladki chłopca, nie przerwało jego milczenia. Mimo że po każdym razie jego ciałem wstrząsały dreszcze, chłopak tylko mocniej zaciskał zęby. Sean czuł gorzki smak żółci w ustach, a wstyd i poczucie winy powodowały, że po czole spływały mu krople potu. Podnosił i opuszczał rękę zupełnie mechanicznie, czując jak ściska mu się serce.

Kiedy w końcu Dirk wydał z siebie okrzyk bólu, Sean odrzucił sjambok i zatoczył się na ścianę wozu, z trudem łapiąc powietrze i starając się opanować mdłości.

Dirk nie przestawał krzyczeć i płakać z bólu i Sean porwał go w ramiona, tuląc do piersi.

- Przepraszam, tatusiu! Przepraszam. Nigdy już tego nie zrobię, obiecuję ci. Kocham cię, tylko ciebie i nigdy już tak nie postąpię - płakał Dirk, przyciskając się do ojca z całych sił.

Przez następne dni żaden ze służących nie uśmiechnął się ani nie odezwał się do Seana nawet słowem poza potwierdzeniem przyjęcia rozkazów. W karawanie nie było ani jednego człowieka, wliczając w to także Mbejane, który nie zdecydowałby się kraść i kłamać, żeby tylko Dirk Courteney dostał wszystko, co sobie zamarzy i w tej samej chwili, gdy wypowie swoje życzenie. Ludzie byli zdolni znienawidzić każdego, nie wyłączając Seana, kto by odmówił chłopcu tego przywileju.

To było dwa tygodnie temu. Teraz, gdy Sean patrzył na skrzywione usta syna, zastanawiał się, czy będzie musiał przechodzić ponownie przez to samo.

Zupełnie nieoczekiwanie Dirk się uśmiechnął. Była to jedna z tych zmian jego nastroju, która potrafiła zupełnie rozbroić Seana.

- Pojadę, tatusiu. - Powiedział to tak pogodnie, jakby się zgłaszał na ochotnika do pracy, i szybko zawrócił kuca. Po chwili jechał stępa od wozu do wozu.

- A to szczeniak! - mruknął pod nosem Sean na użytek Mbejane, ale w głębi serca wyrzucał sobie brak umiejętności postępowania z synem. Sam go wychowywał wśród wozów, które miały zastąpić mu dom, i przyrody, która była szkołą chłopca. Dirk wyrastał w towarzystwie dorosłych mężczyzn, a z racji swojego urodzenia miał nad nimi bezdyskusyjną przewagę.

Od czasu śmierci matki, pięć lat temu, chłopak nie miał żadnego kontaktu z delikatną kobiecą naturą. Nic dziwnego, że wyrósł na małe, dzikie zwierzątko.

Sean starał się nie myśleć o matce Dirka. Gdzieś w głębi duszy nękało go poczucie winy i potrzebował sporo czasu, żeby się z nim uporać. Jego żona już nie żyła. Nic nie zyska na rozpamiętywaniu przeszłości. Odsunął od siebie ponure myśli, które zdołały całkowicie zaćmić niedawną radość, uderzył konia końcami lejc i skierował go na południe w stronę linii niskich wzgórz na horyzoncie i w kierunku Pretorii.

Chłopak jest dziki, ale gdy tylko dotrą do Ladyburga, wszystko się zmieni, zapewniał sam siebie. W szkole wybiją mu głupstwa z głowy, a w domu nauczę go dobrych manier. Wszystko będzie w porządku.

Tego wieczora, trzeciego grudnia 1899 roku, Sean sprowadził wozy ze wzgórz i rozbił obóz nad rzeką Apies. Kiedy zjedli późny obiad, przykazał Dirkowi położyć się spać w wozie. Następnie wdrapał się na grzbiet wzgórza i rozejrzał po rozległej równinie. W świetle księżyca ziemia świeciła srebrnoszarą poświatą, rozciągając się w ciszy, jak wzrokiem sięgnąć. To było jego dawne życie. Odwrócił się na pięcie i zrobił kilka kroków w kierunku świateł miasta, które zapraszająco mrugały do niego z doliny pod nimi.

2. Znow doszło do przykrego spięcia, kiedy Sean nakazał Dirkowi pozostać rano z wozami, więc przekraczając most na Apies przed wjazdem do miasta, nie był w najlepszym nastroju. Biegący koło niego Mbejane z łatwością dotrzymywał kroku koniowi.

Zatopiony we własnych myślach, Sean skręcił w ulicę Church, zanim zauważył nienaturalną ruchliwość mieszkańców. Kolumna jeźdźców zmusiła go do zjechania ze środka ulicy. Przyglądał im się z ciekawością, kiedy go mijali.

Mężczyźni z miasta, odziani w ubrania domowej roboty, jechali w formacji, która przy odrobinie wyobraźni mogła zostać uznana za czwórki. Jednak Seana zadziwiła głównie ich liczba - dobry Boże! W szeregu musiało jechać co najmniej dwa tysiące ludzi. Wszyscy, od młodych chłopców po siwych starców byli obwieszani ładunkami amunicji, a każdy z nich miał w olstrach przy kolanie karabin typu mauzer. Do siodła były przywiązane zrolowane koce, menażki i garnki. Nie było żadnych wątpliwości. Ci ludzie udawali się na wojnę.

Stojący na chodniku mężczyźni i kobiety pozdrawiali jeźdźców.

- Geluk hoor! Strzelajcie celnie!

- Spoedige terugkoms.

Burowie śmiali się radośnie i odpowiadali gapiom okrzykami. Sean nachylił się w siodle ku ładnej dziewczynie, która stanęła obok jego konia. Machała energicznie chusteczką. Sean spostrzegł, że na jej rzęsach błyszczą niczym rosa na trawie kropelki łez.

- Dokąd oni jadą? - musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć wiwaty.

Dziewczyna spojrzała na niego i w tej chwili jedna z łez oderwała się od rzęs, spłynęła jej po policzku i spadła na bluzkę.

- Do pociągu, a gdzieżby indziej?

- Do pociągu? Do jakiego pociągu?

- Patrzcie, jadą działa.

Zdezorientowany Sean podniósł wzrok i zobaczył dwa ciężkie działa, toczące się z hałasem po bruku. Umundurowani działowi w niebieskich koszulach szamerowanych złotem siedzieli sztywno na kozłach poganiając konie, które z widocznym wysiłkiem ciągnęły olbrzymi ciężar. Wysokie koła okute metalem i zamki aż błyszczały w słońcu. W przeciwieństwie do nich długie lufy były szare.

- Mój Boże! - wyszeptał Sean. Obrócił się do dziewczyny, złapał ją za ramię i w podnieceniu potrząsnął mocno. - Dokąd oni się udają? Niech mi pani powie, dokąd oni jadą?

- Menheer! - Wyrwała się z jego uścisku.

- Proszę! Przepraszam panią. Musi mi pani powiedzieć - wołał za nią Sean, gdy dziewczyna pośpiesznie zniknęła w tłumie.



Siedział przez dłuższą chwilę osłupiały, aż wreszcie jego umysł zaczął pracować.

To była wojna. Ale gdzie i przeciwko komu?

Z pewnością żadne powstanie plemienne nie wymagałoby takiej liczby ludzi do jego stłumienia. Sean nie znał nowocześniejszej broni od tego typu dział.

Nie, to była wojna białych ludzi.

Przeciwko republice Oranje? Niemożliwe, to bratnia republika.

Więc przeciwko Brytyjczykom? Ta myśl zaszokowała go. A jednak - a jednak słyszał takie pogłoski pięć lat temu. Jedna wojna z imperium brytyjskim już kiedyś wybuchła. Pamiętał doskonale rok 1895 i atak Jamesona. Przez długie lata, kiedy był odcięty od cywilizacji, mogło się wiele zdarzyć - a teraz bezwiednie znalazł się w samym środku wydarzeń.

Sean szybko zastanowił się nad swoją sytuacją. Był poddanym brytyjskim. Urodził się w Natalu pod Union Jack. Co prawda wyglądał jak rodowity Bur, mówił jak Bur, nawet jeździł na koniu jak Bur. Urodził się w Afryce i nigdy jej nie opuszczał - ale w rzeczywistości był tak samo Anglikiem, jakby mieszkał w pobliżu dzwonów kościoła Bow w Londynie.

Założywszy, że to jest rzeczywiście wojna pomiędzy Burami i Brytyjczykami, a on zostanie złapany przez Burów - co się z nim wtedy stanie?

Z pewnością skonfiskują mu wozy i kość słoniową, może wsadzą go do więzienia, nawet zastrzelą jako szpiega!

- Muszę się stąd jak najszybciej wydostać - powiedział pod nosem, a następnie zawołał Mbejane. - Chodź tutaj. Wracamy jak najszybciej do wozów.

Zanim dotarli do mostu, Sean zmienił plan. Musiał się upewnić, że jego domysły są słuszne. Był tylko jeden człowiek, do którego mógł się udać, i musiał podjąć to ryzyko.

- Mbejane, wrócisz sam do obozu. Znajdź Nkosizana Dirka i każ mu się nie ruszać z miejsca. Możesz go nawet związać, jeśli okaże się to konieczne. Nie rozmawiaj z nikim i nie pozwól Dirkowi z nikim rozmawiać. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem, Nkosi.

Sean, z wyglądu podobny do innych białych mieszkańców Afryki, zaczął się przedzierać przez tłumy ludzi, kierując się ku sklepowi położonemu na końcu miasta, w pobliżu stacji kolejowej.

Kiedy ostatnio robił zakupy w sklepie, nad drzwiami wisiał świeżo pomalowany na złoto i czerwono szyld z napisem: "I. Goldberg. Importer & Exporter, Hurtownia Handlu Maszynami Górniczymi. Skup: złota, kamieni szlachetnych, skór, kości słoniowej i produktów naturalnych".

Pomimo wojny, a może właśnie dzięki niej, sklep Goldberga wydawał się dobrze prosperować. Wewnątrz było wielu kupujących i Sean kręcił się przez chwilę pomiędzy nimi, szukając właściciela.

Znalazł go właśnie przy próbie sprzedania kawy klientowi najwyraźniej sceptycznie nastawionemu do jakości produktu. Dyskusja na temat wyższości ziaren kawy oferowanej w sklepie pana Goldberga nad towarem oferowanym u konkurenta po drugiej stronie ulicy stawała się coraz bardziej zawzięta.

Sean oparł się o wypełnioną towarami ladę, nabił fajkę, zapalił i czekając cierpliwie, przyglądał się Goldbergowi. Ten człowiek mógłby być adwokatem, jego argumenty okazały się dostatecznie mocne, żeby przekonać Seana, a w końcu i klienta. Mężczyzna zapłacił, zarzucił worek kawy na ramię i mrucząc coś pod nosem wyszedł ze sklepu, zostawiając Goldberga czerwonego i spoconego z wysiłku, ale promieniejącego satysfakcją.

- Nic nie schudłeś, Izzy - przywitał go Sean.

Goldberg przyglądał mu się przez chwilę niepewnie sponad swoich okularów w złotych oprawkach, aż rozpoznał przybysza i uśmiech znikł z jego twarzy. Ze zdziwienia zamrugał oczyma, szybko skinął głową w stronę zaplecza i sam zniknął w biurze. Sean podążył za nim.

- Panie Courteney, czy pan oszalał? - Goldberg czekał na niego, roztrzęsiony ze zdenerwowania. - Jeśli pana złapią...

- Słuchaj, Izzy. Wróciłem wczoraj w nocy. Nie rozmawiałem z żadnym białym przez cztery lata. Co tu się do cholery dzieje?

- Nic pan nie słyszał?

- Nie, do diabła. Nic nie wiem.

- To wojna, panie Courteney.

- To widzę. Ale gdzie? Przeciwko komu?

- Na wszystkich granicach - Natal, Cape.

- Przeciw?

- Imperium brytyjskiemu. - Goldberg pokręcił głową, jakby nie dowierzał własnym słowom. - Rozpoczęliśmy wojnę z całym brytyjskim imperium.

- My? - zapytał ostro Sean.

- Republika Transwalu i Wolna Prowincja Oranje. Wygraliśmy już kilka potyczek - Ladysmith jest obleżone, Kimberley, Mafeking...

- Ty, osobiście?

- Urodziłem się w Pretorii. Jestem Burem.

- Wydasz mnie?

- Oczywiście, że nie. Zawsze był pan dobrym klientem.

- Dziękuję, Izzy. Muszę się stąd wydostać możliwie jak najszybciej.

- To będzie rozsądne.

- A co z moimi pieniędzmi w Volkskaas - mogę je podjąć? Izzy spojrzał na niego smutnym wzrokiem.

- Zamrozili konta bankowe wszystkich wrogów.

- Cholera! Niech to diabli! - Sean zaklął wściekle i szybko się opanował. - Izzy, mam dwadzieścia wozów wyładowanych dziesięcioma tonami kości słoniowej. Wozy stoją pod miastem. Jesteś zainteresowany?

- Ile?

- Dziesięć tysięcy za całość: woły, wozy, kość - wszystko.

- To nie byłoby patriotyczne, panie Courteney - zdecydował niechętnie Goldberg. - Nie wolno handlować z wrogiem. Zresztą mam tylko pańskie słowo, że to dziesięć ton.

- Cholera, Izzy, nie jestem brytyjską armią. Całość jest warta dwadzieścia tysięcy.

- Chce pan, żebym kupił towar nie oglądając go i nie zadawał żadnych pytań? W porządku, dam panu cztery tysiące - w złocie.

- Siedem.

- Cztery i pół - odparł Izzy.

- Ty draniu.

- Cztery i pół.

- Nie, do cholery. Pięć.

- Pięć?

- Pięć!

- W porządku, pięć.

- Dziękuję, Izzy.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Courteney. Sean opisał mu szybko miejsce, gdzie zostawił wozy.

- Możesz wysłać kogoś i kazać to zabrać. Zamierzam uciec do granicy z Natalem, jak tylko się ściemni.

- Niech pan się trzyma z dala od drogi i linii kolejowej. Joubert ma trzydzieści tysięcy ludzi w północnym Natalu, zebranych wokół Ladysmith i wzgórz Tugeli. - Goldberg podszedł do sejfu i wyjął z niego pięć małych worków. - Chce pan sprawdzić?

- Ufam tobie tak samo, jak ty zaufałeś mnie. Żegnaj, Izzy. - Schował ciężkie worki

pod koszulę i zatknął je za paskiem.

- Powodzenia, panie Courteney.

**3.** Do zachodu słońca zostało nie więcej niż dwie godziny, kiedy Sean skończył płacić służącym. Przesunął po podłodze wozu małą stertę suwerenów ku ostatniemu człowiekowi i jeszcze raz nastąpił skomplikowany rytuał pożegnania: poklepywanie się i ściskanie dłoni, powtarzanie formalnych zwrotów. Następnie wstał z krzesła i spojrzał na otaczającą go grupę mężczyzn. Siedzieli w kucki, patrząc na niego nieruchomymi oczyma, w których potrafił wyczytać swój własny żal z powodu rozstania. Żył z tymi ludźmi, pracował i dzielił trudy obozowego życia. Nie było teraz łatwo się rozstać.

- To koniec - powiedział.

- Yebho, to koniec - zawtórowali mu chórem i nikt się nie poruszył.

- No idźcie już.

Jeden z nich wolno wstał i zebrał swoje rzeczy: karoos, czyli skórzany koc, dwie włócznie, podarowaną mu przez Seana koszulę. Ułożył sobie zawiniątko na głowie i spojrzał na Seana.

- Nkosi! - powiedział głośno, podnosząc do góry zaciśniętą pięść.

- Nonga - odpowiedział Sean. Mężczyzna odwrócił się i wyszedł z obozu.

- Nkosi!

- Hlubi.

- Nkosi!

- Zama..

Była to deklaracja lojalności - Sean po raz ostatni wymawiał ich imiona i ludzie pojedynczo opuszczali obóz. On zaś stał i patrzył, jak znikają w mroku nadciągającej nocy. Żaden z nich nie obejrzał się za siebie i każdy szedł samotnie. Wszystko się skończyło.

Zmęczony Sean obrócił się w stronę obozu. Konie były już gotowe. Trzy pod siodłem i dwa obciążone pakunkami.

- Mbejane, zjemy przed wyruszeniem.

- Obiad jest już gotowy, Nkosi. Hlubi przygotował go przed odejściem.

- Chodź, Dirk. Obiad.

Dirk był jedyną osobą, która mówiła przy posiłku. Paplał wesoło, podniecony perspektywą nowej przygody, podczas gdy Sean i Mbejane jedli w milczeniu tłusty gulasz Hlubiego, nawet go nie smakując.

W gęstniejących ciemnościach zaszczekał szakal i ten samotny dźwięk przyniesiony przez wiatr wydawał się pasować do nastroju człowieka, który nagle stracił przyjaciół i majątek.

- Już czas. - Sean włożył podbitą skórą kurtkę i zapiął ją, rozkopując ogień, gdy

nagle zamarł i stał przez dłuższą chwilę z przechyloną głową, nasłuchując. Wiatr przyniósł nowy dźwięk.

- Konie! - potwierdził Mbejane.

- Mbejane, szybko, moja strzelba.

Zulus zerwał się na nogi, podbiegł do koni i wyszarpnął strzelbę z ołstrów.

- Odsuń się od ognia i nie odzywaj się - rozkazał Sean, odpychając Dirka w cień pomiędzy wozami. Złapał podaną mu przez Mbejane strzelbę, załadował ją i wszyscy troje przycupnęli, czekając w milczeniu. Wiatr przyniósł odgłos kopyt trącających kamienie i miękki szelest uderzonej gałęzi.

- Tylko jeden - wyszeptał Mbejane. Juczny koń zarżał cicho i z ciemności odpowiedziało mu rzenie. Nastąpiła dłuższa cisza, przerwana w końcu brzękiem wędzideł, gdy jeździec zsiadł z konia.

Sean zobaczył szczupłą postać wynurzającą się z ciemności i skierował strzelbę w stronę przybysza. Było coś nienaturalnego w sylwetce obcego, który szedł z gracją, poruszając przy tym biodrami jak żrebak i Sean domyślił się, że chłopak jest jeszcze młody, sądząc po wzroście - bardzo młody.

Wyprostował się z ulgą i obserwował młodzieńca, który podszedł do dogasającego ogniska i niepewnie rozejrzał się wokół. Chłopak miał naciągniętą na uszy czapkę, a jego kosztowna kurtka była wykonana z delikatnej irchy. Spodnie do jazdy konnej były doskonale dopasowane do figury i ciasno opinały biodra. Sean spostrzegł, że są one nieproporcjonalnie szerokie w stosunku do małych stóp odzianych w wypolerowane angielskie buty myśliwskie. Prawdziwy dandys, pomyślał i w jego głosie zabrzmiała pogarda, gdy zawołał:

- Zostań tam, gdzie jesteś, przyjacielu, i powiedz mi, po co tu przyjechałeś!

Efekt był zaskakujący. Młodzieniec podskoczył i gdy opadł na ziemię, stał przodem do Seana.

- No słucham. Nie mam zbyt wiele czasu.

Chłopak otworzył usta, zamknął je, oblizał wargi i wreszcie się odezwał.

- Powiedziano mi, że jedzie pan do Natalu. - Jego głos był niski i matowy.

- Kto ci to powiedział? - zażądał Sean.

- Mój wujek.

- Kto jest twoim wujkiem?

- Isaac Goldberg.

Sean zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią, przyglądając się cały czas twarzy nieznajomego. Była gładko ogolona, blada, ozdobiona dużymi, ciemnymi oczyma i ustami,

do których pasował uśmiech, choć teraz były mocno zaciśnięte.

- A jeśli jadę, to co z tego? - zapytał Sean.

- Chcę pojechać z panem.

- Zapomnij o tym. Wsiadaj na konia i wracaj do domu.

- Zapłacę panu. Dobrze zapłacę.

- Sean nie był pewien, czy to głos młodzieńca, czy też może coś w jego postawie wzbudziło w nim podejrzliwość. Chłopak trzymał oburącz na wysokości bioder skórzaną torbę - stojąc w postawie obronnej jakby coś osłaniał. Tylko co? Nagle Sean pojął, co to było.

- Zdejmij czapkę - zażądał.

- Nie.

- Zdejmij ją.

Po chwili wahania chłopak sięgnął po czapkę gestem, w którym czuć było wyzwanie. Kiedy ją zdjął, na plecy opadły dwa grube warkocze, błyszczące głęboką czernią w świetle żaru ogniska, sięgające mu niemal do pasa i zmieniające go z nieforemnego młodzieńca w piękną kobietę.

Mimo że Sean podejrzewał właśnie coś takiego, nie był przygotowany na tak zdumiewającą przemianę. Oszłomiła go nie tyle uroda nieznajomej, co raczej jej strój. Nigdy w życiu nie widział kobiety w bryczesach i aż otworzył usta ze zdziwienia, wciągając głęboko powietrze do płuc. Spodnie, na Boga; równie dobrze mogła być naga od pasa w dół - nawet to byłoby mniej nieprzyzwoite.

- Dwieście funtów. - Dziewczyna podeszła do niego, wyciągając w jego stronę skórzany worek. Przy każdym kroku obcisłe spodnie podkreślały mocno jej uda i Sean z poczuciem winy podniósł wzrok ku jej twarzy.

- Niech pani zatrzyma pieniądze. - Jej oczy były szare niczym dym.

- Dwieście funtów teraz i drugie tyle, gdy dotrzemy do Natalu.

- Nie jestem zainteresowany. - Tyle, że to nie była prawda. Jej miękkie usta zaczęły lekko drżeć.

- No więc ile? Niech pan poda swoją cenę.

- Niech pani posłucha. Nie prowadzę karawany. Jest nas już troje - w tym jedno dziecko. Mamy przed sobą ciężką jazdę i całą armię Burów w drodze do Natalu. Nasze szanse są i tak nikłe. Jeszcze jedna osoba, i to na dodatek kobieta, pozbawi nas ich całkowicie. Nie chcę pani pieniędzy, chcę tylko zawieźć bezpiecznie syna do domu. Niech pani wraca skąd przyjechała i przeczeka tę wojnę - nie potrwa długo.

- Jadę do Natalu.

- Dobrze. Niech pani jedzie - ale nie z nami. - Sean czuł, że nie może dłużej sobie ufać. Tylko z trudem przeciwstawiał się prośbie kryjącej się w tych szarych oczach i odwrócił się do Mbejane. - Konie - rzucił szorstko i odszedł od dziewczyny. Stała nic nie mówiąc i patrzyła, jak dosiadają koni. Sean spojrzął na nią z siodła. Wydała mu się bardzo mała i samotna.

- Przykro mi - powiedział cicho. - Niech pani wróci do domu jak dobra dziewczynka. - Zawrócił szybko konia i odjechał w ciemność.

Jechali całą noc przez równinę zalaną bladym światłem księżycy, nie zatrzymując się na odpoczynek. Raz minęli ciemny dom, skąd dobiegło ich szczekanie psa, ale zatoczyli koło i skierowali się na wschód, jadąc tak, aby mieć wielki Krzyż Południa po prawej stronie. Kiedy Dirk zasnął w siodle i zaczął się zsuwać z konia, Sean złapał go za ramię, zanim spadł na ziemię. Położył go sobie na kolanach i trzymał tak przez całą noc.

Przed świtem znaleźli kępę krzaków nad strumieniem, spętali konie i rozbili obóz. Mbejane gotował właśnie wodę w menażkach nad dobrze osłoniętym ogniem, a Sean opatulał mocno śpiącego Dirka w koce, kiedy nadjechała dziewczyna. Wjechała w sam środek obozu i zręcznie zeskoczyła z konia.

- Dwa razy prawie was zgubiłam. - Roześmiała się i zdjęła czapkę. - Nawet nie macie pojęcia, ile się najadłam strachu. - Strząsnęła błyszczące warkocze na ramiona. - Kawa! O Boże, umieram z głodu.

Sean wstał i zaciskając pięści patrzył na nią z wściekłością, ale dziewczyna odwróciła się od niego jak gdyby nigdy nic; spętała konia i puściła go wolno. Wreszcie spojrziała na stojącego w miejscu Seana.

- Nie musi się pan zrywać z miejsca na mój widok. Niech pan siada. - Mówiąc to wyszczerzyła do niego wesoło zęby, zmarszczyła złośliwie szare oczy i tak doskonale sparodiowała jego postawę, zaciskając pięści na biodrach, że Sean nie mógł powstrzymać uśmiechu. Przez chwilę walczył ze sobą wiedząc, że oznacza to zupełną kapitulację, ale wszystkie wysiłki spełzły na niczym, gdy dziewczyna parsknęła na widok jego miny.

- Potrafisz gotować? - spytał Sean.

- Jako tako.

- To lepiej sobie przypomnij, jak to się robi, bo od teraz pracujesz na swój przejazd.

Później, kiedy spróbował po raz pierwszy przyrządzonego przez nią dania, przyznał niechętnie:

- Wcale nieźle jak na obecne warunki. - I do połysku wyczyścił talerz chlebem.

- Jest pan nazbyt łaskawy, mój panie - odparła żartobliwie. Rozłożyła koc w cieniu,



ściągnęła buty i prostując palce położyła się z westchnieniem ulgi.

Sean ułożył własny koc w taki sposób, aby po przebudzeniu nie odwracając się mógł ją widzieć spod runda kapelusza.

Obudził się w południe i spostrzegł, że dziewczyna śpi mocno z głową ułożoną na otwartej dłoni. Długie rzęsy ocieniały jej policzki, a na zarumienioną i wilgotną od upału twarz osunęło się kilka kosmyków czarnych włosów. Sean przyglądał się jej przez dłuższy czas. Wreszcie wstał i podszedł do przytroczonych do siodła sakw. Idąc nad strumień niósł w rękę płócienną torbę z przyborami toaletowymi, ostatnią parę spodni, które nie były zbyt połatane czy poplamione i czystą jedwabną koszulę.

Usiadłszy na skale nad wodą, nagi i wymyty do czysta, przyjrzał się uważnie odbiciu twarzy w wypolerowanym stalowym lusterku.

- Niezła robota. - Westchnął ciężko i zaczął obcinać skłębioną brodę, której od trzech lat nie dotykały nożyce.

O zmierzchu wrócił do obozowiska, świadomy swojej odmiany jak panna, która pierwszy raz włożyła suknię balową. Wszyscy już się obudzili. Dirk siedział koło dziewczyny na jej kocu i oboje byli do tego stopnia pogrążeni w rozmowie, że nawet nie zauważyli jego powrotu. Mbejane rozpałał ognisko; obrócił się na pięcie i przyjrzał uważnie Seanowi, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Powinniśmy zjeść i ruszać w drogę.

Dirk i dziewczyna podnieśli głowy. Oczy dziewczyny zmrużyły się i szybko otworzyły szeroko, gdy dotarło do niej znaczenie zmian. Dirk gapił się przez chwilę na ojca i wreszcie nie wytrzymał.

- Twoja broda wygląda jakoś dziwnie - oznajmił, a dziewczyna z trudem powstrzymywała śmiech.

- Zwiń koc. - Sean próbował zmienić temat, ale chłopiec był równie nieustępliwy jak buldog.

- Tatusiu, dlaczego włożyłeś swoje najlepsze ubranie?

4. Jechali we troje w ciemnościach ramię w ramię, z Dirkiem pośrodku i Mbejane z tyłu. Teren był nierówny, ziemia podnosiła się niskimi pagórkami i opadała pod nimi, niczym fale niezmiernego morza. Sposób, w jaki nocny wiatr kołysał wysokimi trawami, jedynie potęgował wrażenie bujania się na falach. Ciemne formy skalistych gór przypominały wyspy na oceanie, a głuche szczekanie szakala brzmiało niczym krzyk mewy.

- Czy nie skręcamy za bardzo na wschód? - Dziewczyna przerwała ciszę i jej głos wtopił się harmonijnie w miękki szept wiatru.

- Celowo tak prowadzę - odparł Sean. - Chcę przekroczyć koniec pasma Drakensberg z dala od koncentracji wojsk burskich pod Ladysmith i od linii kolejowej. - Spojrzał nad głową Dirka na dziewczynę. Jechała z twarzą podniesioną ku niebu.

- Znasz gwiazdy? - zapytał Sean.

- Trochę.

- Ja też. Znam je wszystkie. - Dirk przyjął wyzwanie i obrócił się w siodle na południe. - To jest Krzyż, a to Orion z mieczem za pasem, a to Droga Mleczna.

- Powiedz mi o pozostałych - poprosiła dziewczyna.

- Reszta to zwykłe gwiazdy; w ogóle się nie liczą. Nawet nie mają nazw.

- A właśnie, że mają. Większość ma też własne legendy.

Na chwilę zapadła cisza. Dirk znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia: albo musiał się przyznać do niewiedzy, a był zbyt dumny, żeby pogodzić się z taką porażką, albo musiał zrezygnować z wysłuchania szeregu frapujących opowieści. W końcu ciekawość przemogła dumę.

- Opowiedz mi kilka z nich - zgodził się łaskawie.

- Widzisz tę małą grupkę poniżej tej wielkiej, jasnej gwiazdy? Ludzie nazywają je Siedmioma Siostrami. No więc, dawno, dawno temu...

Po kilku minutach Dirk był zasłuchany w historii gwiazd. Nowe opowieści były nawet lepsze od bajek Mbejane - najpewniej dlatego, że potrafił powtórzyć z pamięci cały repertuar Murzyna. Dirk był uważnym słuchaczem i wyszukiwał słabe punkty z biegłością prokuratora.

- Ale dlaczego po prostu nie zastrzelili starej wiedźmy?

- W tamtych czasach nie znano jeszcze strzelb.

- Mogli ją zabić z łuku.

- Nie można zabić czarownicy z łuku. Strzała przeleci przez nią - pssst - nie robiąc jej żadnej szkody.

- O kurczę! - To było naprawdę niesamowite, ale przed uznaniem czegokolwiek Dirk

wolał się poradzić eksperta. Przetłumaczył problem na zulu. Kiedy Murzyn potwierdził słowa dziewczyny, Dirk nie miał już żadnych zastrzeżeń, gdyż Mbejane był autorytetem we wszystkich sprawach nadprzyrodzonych.

Tej nocy nie zasnął jak zazwyczaj w siodle i kiedy przed świtem rozbili obóz, głos dziewczyny był szorstki ze zmęczenia, ale udało jej się całkowicie podbić chłopca. Wyglądało na to, że Sean nie pozostaje daleko w tyle za synem.

Przez całą noc, gdy słuchał jej głosu i wybuchów gardłowego śmiechu, czuł, jak ziarno zasiane przy ich pierwszym spotkaniu wypuszcza pędy w jego lędźwiach, rozpościerając gałązki oplatające serce. Pragnął tej kobiety tak gwałtownie, że w jej obecności tracił cały rozsądek i dowcip. W czasie jazdy próbował kilkakrotnie włączyć się do rozmowy, ale Dirk odsuwał z pogardą jego zakusy i zwracał się do dziewczyny. Nad ranem Sean dokonał nieprzyjemnego odkrycia. Był zazdrosny o własnego syna - zazdrosny o uwagę, jaką dziewczyna poświęcała chłopcu i jakiej Sean pożądał coraz mocniej dla siebie.

Kiedy po śniadaniu pili kawę, leżąc na kocach w cieniu drzew jaśminowca, Sean zauważył:

- Nie powiedziałaś nam jeszcze, jak się nazywasz. Oczywiście to Dirk odpowiedział na pytanie.

- Mnie powiedziała. - Obrócił się do dziewczyny. - Masz na imię Ruth, tak?

- Zgadza się, Dirk.

Sean z trudem pohamował gniew, ale kiedy się odezwał, w słowach dzwięczały echa wewnętrznej walki.

- Dostyc się już nagadałeś jak na jedną noc. Teraz przyłóż głowę do poduszki, zamknij oczy i usta i nie otwieraj ich więcej.

- Tatusiu, wcale nie chce mi się spać.

- Rób, jak ci mówię. - Sean zerwał się na równe nogi i przeszedł przez obozowisko. Wdrapał się na wysoki kopiec, który górował nad obozem. Był już jasny dzień i Sean uważnie oglądał horyzont. Nigdzie nie dostrzegął śladów życia. Zszedł na dół i przez chwilę sprawdzał pęta koni, zanim wrócił do kępy drzew.

Mimo wcześniejszych protestów Dirk spał zwinięty w kłębek, jak mały szczeniak. Spod koców leżących przy ognisku dochodziło głośnie chrapanie Mbejane. Ruth leżała trochę dalej od nich. Nogi miała owinięte kocem, oczy zamknięte, a koszula na jej piersiach podnosiła się i opadała w sposób, który od razu spędził Seanowi sen z powiek. Leżał nieruchomo, oparty na łokciu i sycił oczy i wyobraźnię jej widokiem.

Przez ostatnie cztery lata nie widział białej kobiety. Przeżył cztery lata nie słysząc

kobiecego głosu i nie czując bliskości kobiecego ciała. Z początku nie dawało mu to spokoju: często nie mógł sobie znaleźć miejsca, ogarniało go bez żadnej przyczyny przygnębienie lub równie łatwo wpadał we wściekłość. Stopniowo długie dni polowania i podróży, nieustająca walka z suszą lub burzami, z drapieżnikami i naturą pozwoliły mu zapanować nad ciałem. Kobiety stały się nierealnymi zjawami, które w końcu zupełnie znikły i tylko czasami nękały go nocami, kiedy związał się, pociał i płakał przez sen, aż wreszcie udawało mu się pokonać zmory, odpędzić je w ciemności, gdzie czekały i zbierały siły do kolejnej napaści.

Ale teraz nie patrzył na zjawę. Wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby dotknąć ciepłego policzka dziewczyny i poczuć krew pulsującą pod atlasową skórą.

Ruth otworzyła oczy - były zamglone od głębokiego snu - i z trudem skoncentrowała spojrzenie na twarzy Seana.

Musiała coś w niej wyczytać, gdyż wysunęła lewą rękę spod koca i wyciągnęła ją ku niemu. Przed pójściem spać zdjęła skórzane rękawiczki. Sean po raz pierwszy spostrzegł delikatną złotą obrączkę na serdecznym palcu.

- Rozumiem - powiedział martwo i zaraz zaprotestował: - Ale przecież jesteś za młoda, nie możesz mieć jeszcze męża.

- Mam dwadzieścia jeden lat - odpowiedziała miękko.

- Twój mąż... gdzie jest teraz? - Może drań nie żył. To była jego jedyna nadzieja.

- Właśnie do niego jadę. Kiedy wojna wydawała się nieunikniona, wyjechał do Natalu, do Durbanu, żeby znaleźć pracę i dom dla nas. Miałam za nim pojechać, ale walki wybuchły wcześniej, niż sądziliśmy. Znalazłam się w pułapce.

- Rozumiem. - Wiozę cię do innego mężczyzny, pomyślał zawistnie i wypowiedział to innymi słowami. - Więc twój mąż siedzi w Durbanie i czeka spokojnie, aż sama przedrzesz się przez linie wroga.

- Jest teraz w wojsku. Tydzień temu przysłał mi list. Chciał, żebym została w Johannesburgu i poczekała, aż Brytyjczycy zdobędą miasto. Przy tak olbrzymich siłach powinni oswobodzić je za trzy miesiące.

- Dlaczego więc na niego nie czekasz? Wzruszyła ramionami.

- Cierpliwość nie jest moją główną zaletą. - W oczach rozbłyły złośliwe ogniki. - Poza tym pomyślałam, że podróż trochę mnie rozerwie. Życie w Johannesburgu jest okropnie nudne.

- Kochasz go? - zażądał niespodziewanie odpowiedzi. Pytanie poruszyło ją i uśmiech zgasł.

- To mój mąż.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.  
- Nie masz prawa zadawać mi takich pytań. - Teraz była zła.  
- Musisz mi powiedzieć.  
- Czy ty kochasz swoją żonę? - syknęła gniewnie.  
- Kochałem ją. Zmarła pięć lat temu. - Gniew Ruth znikł równie szybko, jak się rozbudził.

- Przepraszam. Nie wiedziałam.  
- Zapomnij o moim pytaniu. Zapomnij, że je w ogóle zadałem.  
- Tak, tak będzie najlepiej. Wplątujemy się w niepotrzebne kłopoty. - Wyciągnięta ku niemu ręka z obrączką na palcu nadal spoczywała na miękkim dywanie opadłych liści. Sean sięgnął i podniósł ją. Dłoń była mała i delikatna.

- Panie Courteney - Sean, jeśli wolisz - nie powinniśmy. Myślę, że lepiej będzie, jeśli pójdziemy teraz spać. - Wysunęła dłoń z jego ręki i odwróciła się do niego plecami.

Wiatr obudził ich po południu. Od wschodu zrywała się burza; świszczący wichur przygniatał na wzgórzach łany trawy do ziemi i łomotał gałęziami nad ich głowami.

Sean wstał, żeby przyjrzeć się niebu, a wiatr szarpał mu koszulę i tarosił brodę. Pochylił się do przodu, żeby sprostać jego naporowi, i przez chwilę górował nad Ruth. Nagle zdała sobie sprawę, jak potężnie jest zbudowany. Przypominał jej boga burzy, gdy stał tak na szeroko rozstawionych silnych nogach, a mięśnie klatki piersiowej i ramion rysowały się dumnie pod białą koszulą.

- Zbierają się chmury - krzyknął, żeby mogli go usłyszeć poprzez ryk wiatru. - Dzisiejszej nocy nie będzie księżycy.

Ruth podniosła się na nogi i nagły poryw wichury omal jej nie przewrócił na ziemię. Oparła się o Seana, a jego ramiona otoczyły ją i podtrzymały. Przez chwilę była przyciśnięta do jego piersi i czuła sprężystą twardość mięśni i zapach ciała. Niespodziewany kontakt był szokiem dla nich obojga i gdy Ruth wyrwała się z jego objęć, jej oczy były szeroko rozwarte i pociemniałe ze strachu przed czymś, co się właśnie w niej obudziło.

- Przepraszam - wyszeptała. - To niechący. - Nowy podmuch porwał jej włosy i rozrzucił po twarzy czarną płataniną zasłony.

- Osiodłamy konie i będziemy jechać, dopóki nie zapadnie ciemność - zdecydował Sean. - Dzisiejszej nocy nie będziemy mogli podróżować.

Wiatr toczył chmury po niebie, a one zasłaniały się wzajemnie, zmieniały kształty i coraz bardziej ciążyły ku ziemi. Wszystkie miały kolor dymu i widać było, że są nabrzmiałe

deszczem.

Noc zapadła wcześniej, ale wiatr nadal wiał i swoim ponurym świstem wpędzał wszystkich w posepny nastrój.

- Za godzinę powinien ustać i wtedy spadnie deszcz. Musimy poszukać jakiegoś schronienia, dopóki cokolwiek jeszcze widać.

Po jednej stronie pagórka znaleźli nawis skalny i rozłożyli pod nim pakunki. Podczas gdy Sean przywiązywał konie, żeby nie uciekły strwożone burzą, Mbejane naściął trawy i poukładał ją w legowiska na skalnej podłodze pod skałą. Opatuleni w nieprzemakalne płaszcze zjedli suszone mięso z chlebem kukurydzianym. Po posiłku Mbejane wycofał się dyskretnie na koniec małej jaskini i zniknął pod kocami. Cechowała go niemal zwierzęca zdolność natychmiastowego zasypiania w każdych warunkach.

- W porządku, chłopcze. Schowaj się pod koc.
- Czy nie mógłbym... - Dirk zaczął swój codzienny protest.
- Nie, nie mógłbyś.
- Zaśpiewam ci - zaoferowała się Ruth.
- Po co? - Dirk był wyraźnie zdziwiony.
- Żebyś lepiej zasnął. Nigdy nie słyszałeś kołysanki?
- Nie. - Dirk był teraz zaciekawiony. - Co mi zaśpiewasz?
- Najpierw wejdź pod koc.

Siedząc w ciemnościach obok Seana, świadoma jego bliskości i ciepła ramienia, o które się opierała, Ruth zaczęła śpiewać.

Zacząła od starych holenderskich piosenek ludowych: "Nooi, Nooi" i "Jannie met die Hoepel been". Następnie zaśpiewała starsze przeboje, jak "Frere Jacques". Głos dziewczyny znaczył coś innego dla każdego z nich.

Mbejane obudził się gwałtownie, bo cichy głos Ruth przypominał mu wiatr na wzgórzach Zululandu i śpiew młodych dziewcząt pracujących na polu. Poczul radość, że wraca do domu.

Dla Dirka był to głos matki, którą ledwo pamiętał. Delikatny kobiecy głos oznaczał bezpieczeństwo i Dirk szybko zasnął.

- Śpiewaj dalej - szepnął Sean.

Ruth śpiewała teraz tylko dla niego. Przypomniła sobie piosenkę miłosną, która miała ze dwa tysiące lat. Słowa mówiły o cierpieniach jej narodu, ale także o jego radościach. W pewnej chwili wiatr zamarł i Ruth umilkła. Otoczyła ich bezbrzeżna cisza nocy.

Wtedy wybuchła burza. Rozniósł się pogłos pierwszego grzmotu i poszarpany piorun

rozdarł chmury i rozświetlił noc. Dirk jęknął cicho przez sen, ale się nie obudził.

W ostrym, niebieskim świetle Sean zobaczył, że policzki Ruth są mokre od łez. Kiedy noc ponownie zawarła się wokół nich, dziewczyna zaczęła drżeć. Sean sięgnął po nią i Ruth przytuliła się do niego mocno, drobna i ciepła w jego objęciach, a Sean czuł słony smak łez na jej wargach.

- Sean, nie powinniśmy.

On jednak dźwignął ją i tuląc mocno do piersi ruszył w noc. Błyskawica oświetliła ziemię jaskrawym światłem, w którym Sean zobaczył konie spuszczone nerwowo łby i zarys kopca nad nimi.

Pierwsze krople rozbiły się o jego ramiona i twarz. Deszcz był ciepły i Sean szedł szybkim krokiem niosąc pewnie Ruth w ramionach. Powietrze wypełniło się deszczem. W następnym rozbłysku Sean zobaczył zasnuwającą wszystko perłową mgłę i noc zapachniała wysuszoną ziemią wchłaniającą deszcz - był to czysty i ciepły zapach.

5. Rankiem, który był tak wymyty przez deszcz, że na południowym horyzoncie widać było niebieskie góry, stanęli oboje na szczycie kopca.

- Tam jest koniec pasma Drakensberg. Przeszliśmy jakieś dwadzieścia mil od nich. Mała szansa, żebyśmy spotkali teraz patrol Burów. Od dziś możemy jechać w ciągu dnia. Wkrótce będziemy mogli skręcić i skierować się ku linii kolejowej za pozycjami wojsk.

Piękno poranka, ziemia, która na horyzoncie przechodziła w wielką, trawiastą nieckę Natalu, i stojąca przy nim kobieta powodowały, że Sean czuł się szczęśliwy.

Był zadowolony, że jedna podróż dobiega właśnie końca, a rozpoczyna się następna, z ukochaną kobietą u jego boku.

Kiedy się odezwał, Ruth spojrzała na niego, a jej podniesiona wysoko twarz świadczyła o tym, jak bardzo nad nią góruje. W tej chwili po raz pierwszy Sean uświadomił sobie, że oczy dziewczyny nie odzwierciedlają jego nastroju.

- Jesteś bardzo piękna - powiedział, ale Ruth stała w milczeniu. Sean rozpoznał, że cienie kryjące się w jej oczach mówią o smutku albo o czymś jeszcze silniejszym. - Ruth, pojedziesz ze mną?

- Nie. - Potrząsnęła z rezygnacją głową. Gruby wąż czarnych włosów zakołysał się na ramionach i znieruchomiał na złocistej skórze kurtki.

- Musisz.

- Nie mogę.

- Ale ta noc.

- Ta noc była szaleństwem... to burza.

- To było coś wyjątkowego. Wiesz o tym.

- Nie. To tylko burza. - Odwróciła od niego wzrok ku niebu. - Teraz burza się skończyła.

- To było coś więcej. Wiesz o tym. To było od pierwszej chwili, kiedy się spotkaliśmy.

- To tylko szaleństwo oparte na oszustwie. Coś, co będę musiała ukrywać za pomocą kłamstw, tak jak musieliśmy to zakryć ciemnościami nocy.

- Ruth. Mój Boże, nie mów tak.

- Bardzo dobrze, nie będę. Nie będę więcej o tym mówiła. Nigdy.

- Nie możemy tego teraz zostawić. Wiesz, że nie możemy.

W odpowiedzi wyciągnęła dłoń tak, że promyk słońca odbił się od złota.

- Pożegnamy się tutaj na górze. Będziemy jeszcze kawałek jechać razem, ale pożegnamy się już tutaj.



- Ruth... - zaczął Sean, lecz kiedy położyła mu dłoń na ustach, poczuł na wargach chłód metalu. Wydało mu się, że obrączka jest równie zimna, jak obawa przed utratą Ruth.

- Nie - wyszeptała. - Pocałuj mnie ostatni raz i pozwól mi odejść.

6. Mbejane pierwszy zauważył delikatne pasmo brązowego pyłu, które jakieś dwie mile od nich smużyło się zza przełęczy, i cicho ostrzegł Seana. Smuga była tak niewyraźna, że Sean potrzebował dobrej chwili, zanim ją zobaczył. Odwrócił się gwałtownie w przeciwną stronę i rozejrzał za kryjówką. Najbliżej nich był pagórek z czerwonego kamienia, jakieś pół mili dalej. Za daleko.

- Sean, o co chodzi? - Ruth spostrzegła jego podniecenie.

- Kurz - odpowiedział. - To jeźdźcy. Kierują się w naszą stronę.

- Burowie?

- Może.

- Co zrobimy?

- Nic.

- Nic?

- Jak znajdują się na przełęczy, wyjadę im na spotkanie. Spróbuję się wykpić. - Odwrócił się do Mbejane i przemówił w zulu. - Podjadę do nich. Obserwuj mnie uważnie, ale jedź cały czas w przeciwnym kierunku. Jeśli podniosę rękę, zostaw juczne konie i uciekaj. Postaram się ich zatrzymać, ale jeśli podniosę rękę, wiedz, że wszystko skończone. - Odpiął szybko od siodła torbę ze złotem i podał ją Zulusowi. - Będziesz miał przewagę i powinieneś utrzymać ją do nocy. Zawieź Nkosikazi tam, gdzie będzie chciała jechać, a potem pojedź z Dirkiem do mojej matki w Ladyburgu.

Spojrzał na przełęcz w tej samej chwili, gdy pojawiło się na niej dwóch jeźdźców. Podniósł lornetkę i zobaczył mężczyzn jadących obok siebie na koniach, z twarzami zwróconymi w jego stronę tak, że mógł rozpoznać kształt hełmów. Dostrzegł także wypolerowane ekwipunki, silnie zbudowane wierzchowce oraz specyficzny kształt siodła i krzyknął z ulgą:

- Żołnierze!

Jakby dla potwierdzenia jego słów, na przełęczy pojawiły się dwa regularne szeregi oddziału lekkiej kawalerii z proporczykami u lanc trzepoczącymi wesoło na wietrze.

Sean pognał galopem na ich spotkanie, stojąc w strzemionach i machając kapeluszem nad głową. Za nim jechał Dirk, wrzeszcząc z podniecenia, śmiejącą się z radości Ruth i ciągnący juczne konie Mbejane.

Ułani nie zarażeni entuzjastycznym przywitaniem siedzieli nieruchomo na koniach i przyglądali się nadjeżdżającym. Młodszy oficer dowodzący oddziałem pozdrowił podejrzliwie Seana.

- Kim pan jest? - Oficer wydawał się mniej zainteresowany odpowiedzią niż

spodniami Ruth. Wyjaśniając okoliczności swojego pobytu na tym terenie, Sean nabierał coraz większej niechęci do młodego oficera. Mimo iż gładka, opalona na czerwono skóra i puszyste, żółte wąsy jedynie wzmagaly jego nieprzyjemne uczucia, głównym powodem nienawiści była para bladoniebieskich oczu. Może zawsze były tak wytrzeszczone, ale Sean podejrzewał coś zupełnie innego. Oczy zatrzymały się na chwilę na Seanie, kiedy ten stwierdził, że w czasie podróży nie napotkali nigdzie Burów, a następnie wróciły do Ruth.

- Nie będziemy pana dłużej zatrzymywali, poruczniku - warknął Sean i zebrał wodze.

- Panie Courteney, nadal ma pan przed sobą dziesięć mil do rzeki Tugeli. Teoretycznie teren znajduje się w rękach Burów i mimo że jesteśmy oddaleni od ich głównych oddziałów, bezpieczniej będzie, jeśli przekroczy pan linie brytyjskie pod naszą osłoną.

- Nie, dziękuję. Chcę uniknąć obu armii i jak najszybciej dotrzeć do Pietermaritzburga.

Oficer wzruszył ramionami.

- Wybór należy do pana. Gdyby to jednak była moja żona i dziecko... - Nie skończył i obrócił się w siodle, żeby dać znak żołnierzom.

- Chodź, Ruth. - Sean zdołał zwrócić na siebie jej uwagę, ale ona nie ruszyła się z miejsca.

- Nie jadę z tobą. - W jej głosie brzmiała jakaś pusta nuta i Ruth odwróciła wzrok.

- Nie bądź niemądra. - Nagły sprzeciw zaskoczył go i nadał słowom szorstkość, która rozbudziła złe błyski w oczach dziewczyny.

- Czy mogę pojechać z wami? - spytała zdecydowanym tonem młodego oficera.

- No cóż, proszę pani. - Żołnierz zawahał się i rzucił szybkie spojrzenie na Seana, zanim dokończył. - Jeśli pani mąż...

- To nie jest mój mąż. Ledwo go znam - przerwała Ruth, ignorując protest Seana. - Mój mąż jest w waszej armii. Chciałabym pana prosić, żeby mnie pan do niego zabrał.

- No...! To zupełnie inna historia - powiedział wolno oficer, a jego aroganckie przeciąganie słów wyraźnie świadczyło o satysfakcji, którą sprawiła mu decyzja Ruth. - Będę zaszczycony mogąc panią eskortować, madam.

Dziewczyna spięła konia kolanami i ustawiła się za oficerem. Ten manewr spowodował, że stanęła twarzą w twarz z Seanem, jakby stali po przeciwnych stronach bariery.

- Ruth, proszę. Pozwól mi pomówić z sobą. Tylko kilka minut.

- Nie. - Jej głos był pusty, a twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Chcę się tylko pożegnać - prosił Sean.

- Już się pożegnaliśmy. - Przeniosła wzrok z Seana na Dirka i odwróciła spojrzenie.

Młodszy oficer podniósł zaciśniętą pięść i zakomenderował:

- Kolumna! Naprzód! - Kiedy jego potężny rumak drgnął, oficer uśmiechnął się złośliwie do Seana i dotknął palcami runda hełmu w ironicznym geście salutu.

- Ruth!

Jednak ona nie zwracała już na niego uwagi. Jej oczy były wpatrzone w drogę przed nimi i kiedy przejeżdżała obok Seana na czele kolumny, miała wysoko uniesiony podbródek, zawsze śmiejące się usta były ściągnięte w prostą linię, a gruby warkocz obijał się rytmicznie o plecy przy każdym ruchu konia.

- Taki los, stary! - zawołał mijający go w ostatnim szeregu żołnierz.

Zgarbiony w siodle Sean nie odrywał wzroku od odjeżdżającej kolumny.

- Tatusiu, czy ona wróci? - spytał Dirk.

- Nie, już nie wróci.

- Dlaczego?

Sean nie usłyszał pytania. Czekał, wypatrując czy Ruth nie odwróci się do niego. Czekał na próżno, gdyż po chwili znikła za następnym wzniesieniem, a kolumna podążyła za nią. Została jedynie wielka pustka nieskończonej równiny i nieba - tak wielka, jak pustka wypełniająca Seana.

7. Sean jechał na przedzie. Dziesięć jardów z tyłu jechał Mbejane, który coraz to powstrzymywał Dirka przed zbliżeniem się do ojca. Zulus rozumiał, że Sean powinien być teraz sam. Wiele razy jechali już w tej formacji: z Seanem wiozącym z przodu swój smutek czy wstyd i Mbejane jadącym cierpliwie z tyłu i czekającym, aż ramiona pana wyprostują się, a broda uniesie się z piersi.

W myślach Seana panował zupełny chaos, z którego wyłaniały się na przemian gniew, a zaraz potem rozpacz.

Gniew na Ruth powodował, że Sean zaczynał jej nienawidzić, dopóki nie przypominał sobie, iż odeszła na zawsze, i wtedy popadał w czarną rozpacz. Po chwili wracało wzburzenie, rozrastając się do granic szaleństwa; tym razem skierowane przeciwko samemu sobie za to, że pozwolił jej odejść. I znowu nadchodziła ściskająca mu gardło żalność, kiedy uświadomił sobie, że nie było siły, która mogłaby Ruth zatrzymać. Co mógł jej ofiarować? Siebie samego? Dwieście funtów mięśni, kości i blizn zwieńczonych hardą, niczym wykutą z granitu twarzą? Niewiele to było warte! Swój majątek? Mała torba suwerenów i dziecko innej kobiety - dobry Boże, to wszystko, co posiadał. Po trzydziestu siedmiu latach życia tylko tym mógł się poszczycić! Jego umysł ponownie opanowała złość. Tydzień temu był bogaty! Nagle gniew znalazł nowy obiekt nienawiści. Miał przynajmniej na kim szukać zemsty; istniał namacalny wróg, w którego mógł uderzyć. Burowie. To oni okradli go z wozów złota i zmusili do wstydlivej ucieczki. To z ich powodu do jego życia weszła ta kobieta i przez nich musiała odejść od niego.

Niech więc tak będzie, pomyślał wściekle, to jest moja odpowiedź. Wojna!

Wyprostował się w siodle, a ramiona przybrały normalną pozycję. Podniósł głowę i zobaczył błyszczącą rzekę w dolinie przed sobą. Dotarli do Tugeli. Nie zwalniając zmusił konia do skoku ze skarpy. Zwierzę przysiadło na zadzie, spod kopyt zaczęły lecieć i toczyć się w dół luźne kawałki skały i Sean ruszył ku rzece.

Sean niecierpliwie podążał wzdłuż nurtu, szukając brodu. Głęboka rzeka płynęła wartko pomiędzy stromymi brzegami, szeroka na dwadzieścia jardów i wciąż mętna po burzy.

W pierwszym miejscu, gdzie po drugiej stronie brzeg obniżał się dostatecznie, żeby zapewnić łatwe wyjście z wody, Sean zatrzymał konia i powiedział zdecydowanie:

- Przepłyniemy.

W odpowiedzi Mbejane spojrzał znacząco na Dirka.

- Robił to już wcześniej - odparł Sean zsiadając z konia i pośpiesznie zrzucając ubranie. Następnie zwrócił się do syna: - Nie marudź, Dirk. Rozbieraj się.

Najpierw wpędzili do wody juczne konie, zmuszając je do zeskoczenia z wysokiej skarpy, i patrzyli niespokojnie, kiedy ich łby wynurzą się z wody. Zwierzęta zaczęły płynąć do brzegu. Dopiero wtedy dosiedli koni; wszyscy trzej nadzy, z ubraniami zawiniętymi w nieprzemakalne płaszcze i przywiązany do siodła.

- Mbejane, ty pierwszy.

Woda trysnęła ponad krawędź skarpy.

- Ruszaj, Dirk. Pamiętaj, żebyś nie puszczał siodła.

Kolejne chrupnięcie i olbrzymia fontanna wody. Sean uderzył końcami wodzów konia, który tańczył niespokojnie na brzegu. Poczul, że wzlatują w powietrze i długo spadają, zanim toń zamknęła się nad nimi.

Parskając wodą wynurzyli się na powierzchnię i Sean z ulgą zobaczył, że głowa Dirka wystaje z wody tuż koło jego konia i usłyszał okrzyki radości wznoszone przez syna. Po kilku chwilach stali na przeciwległym brzegu, ociekając wodą i śmiejąc się na cały głos.

Nagle, w jednej chwili śmiech zamarł w gardle Seana. Na skarpie ponad nimi stało kilkunastu mężczyzn uśmiechając się przyjaźnie, ale trzymając w pogotowiu mauzery. Byli potężni: brodaci i obwieszani pasami z amunicją. Ubrani w stroje i nakrycia głowy tak różne, jak brązowy melonik i wysoka czapka z bobrów.

Za przykładem Seana, Dirk i Mbejane przestali się śmiać i patrzyli niespokojnie na uzbrojoną grupę na brzegu. Zapadła całkowita cisza.

Przerwał ją dopiero mężczyzna w brązowym meloniku, który wskazał lufą karabinka na przyrodzenie Seana.

- Magtig! Będziesz chyba potrzebował siekiery, żeby obciąć tę gałąź.

- Uważaj, żebyś go nie rozgniewał - ostrzegł mężczyzna w czapce z bobrów. - Jak ci przyłoży tym po łbie, to ci rozwali czaszkę! - Wszyscy się roześmiali.

Sean nie wiedział, co jest bardziej nieprzyjemne: bezczelne dyskusowanie o jego nagości czy fakt, że rozmowa przebiegała w języku taal (to znaczy holenderskim z Cape). Przez własną nieostrożność wszedł, a raczej wpłynął prosto w ręce patrolu Burów. Istniała nikła nadzieja, że uda mu się jeszcze wykpić z kłopotów jakimś zręcznym kłamstwem, i właśnie otworzył usta, żeby spróbować. Ubiegł go Dirk.

- Tatusiu, kim są ci ludzie i dlaczego się śmieją? - spytał bezbłędą angielszczyzną i nadzieje Seana ulotniły się tak samo szybko, jak szybko zamarł śmiech na ustach Burów, gdy usłyszeli znienawidzony język.

- Aha! Więc to tak! - warknął mężczyzna w czapce z bobrów i zrobił wymowny ruch mauzerem. - Rączki do góry, przyjacielu.

- Może pozwolicie mi najpierw włożyć spodnie? - poprosił grzecznie Sean.

- Dokąd nas prowadzą? - Dirk pierwszy raz mówił tak stłumionym głosem, zaś wyczuwalne w nim drżenie poruszyło mężczyznę w czapce z bobrów, który jechał bezpośrednio z tyłu. Odpowiedział za Seana.

- Nie musisz się bać. Zobaczysz generała. Prawdziwego generała. - Angielski Bura był zrozumiasty i Dirk przyglądał mu się z ciekawością.

- Czy będzie miał medale i ozdoby?

- Nee, chłopcze. Nie ma u nas miejsca na takie głupoty. - Dirk stracił całe zainteresowanie i odwrócił się do ojca.

- Tato, jestem głodny.

Znowu wtrącił się Bur. Wyjął z kieszeni długi pas suszonego mięsa i podał go Dirkowi.

- Wyostrz sobie zęby na tym, kerel.

Dirk pośpiesznie zajął się jedzeniem i Sean mógł spokojnie przyjrzeć się Burom. Byli przekonani, że złapali szpiega i omawiali właśnie sposób szybkiej egzekucji. Sean został dopuszczony do rozmowy i mężczyźni wysłuchali z uwagą jego obrony. Wyjaśnienia zostały przerwane, gdy ponownie przeprawiali się przez rzekę, ale Sean podjął kolejną próbę, gdy tylko znaleźli się na drugim brzegu i ruszyli grupą wzdłuż skarpy. W końcu przekonał ich o swojej niewinności - którą przyjęli z widoczną ulgą, ponieważ żaden z nich nie miał widocznej ochoty go rozstrzelać.

Rozmowa zeszła na miłsze tematy. Był piękny dzień ze słońcem malującym dolinę w złote i jasnozielone kolory. Rzeka pod nimi, która rozpoczynała swój bieg gdzieś pomiędzy mglisto niebieskimi ścianami Drakensberg widocznymi na horyzoncie, błyszczała w słońcu, wijąc się w dolinie. Kilka kłębiastych chmur wlokło się leniwie po niebie, a delikatny wiatr pozwalał znieść dokuczliwy upał.

Młodszy mężczyźni z oddziału słuchali z ciekawością opowieści Seana o olbrzymich stadach słoni wędrujących po szerokich równinach za rzeką Limpopo i wielkich połaciach ziemi, które tylko czekały na każdego, kto zechce je wziąć w posiadanie.

- Po wojnie... - stwierdzili i roześmiali się głośno.

Wiatr, który nagle zmienił kierunek, przyniósł ledwo dostyszalny, nieprzyjemny dźwięk i śmiech zamarł im na ustach.

- Działa - powiedział jeden z nich.

- Ladysmith.

Teraz Sean zaczął zadawać pytania. Burowie opowiedzieli mu o tym, jak ich komanda otoczyły miasto i pokonały broniące go oddziały. Z goryczą wspominali, jak stary Joubert wstrzymał jeźdźców i patrzył spokojnie na Anglików bezładnie umykających do miasta.

- Mocny Boże! Gdyby pozwolił nam uderzyć na nich! Zmiotlibyśmy ich do morza.

- Gdyby wujek Paul wtedy dowodził zamiast starego Jouberta, wojna byłaby już skończona. Zamiast tego musimy siedzieć i czekać.

Powoli Sean kompletował sobie obraz wojny w Natalu. Ladysmith było obleżone. Armia generała George'a White'a była zamknięta w mieście. Połowa armii burskiej podążyła wzdłuż linii kolejowej i zajęła pozycje obronne na skarpie, która górowała nad rzeką i małym miasteczkiem Colenso.

Na wielkiej równinie Tugeli rozciągającej się przed nimi generał Buller zbierał wojska, żeby pójść na odsiecz Ladysmith.

- Niech tylko spróbuje się ruszyć - wujek Paul już na niego czeka.

- Kto to jest wujek Paul? Chyba nie Kruger? - Sean był zdziwiony. Wujek Paul było przezwiskiem prezydenta Republiki Południowej Afryki.

- Nee, człowieku! To inny wujek Paul. To Jan Paulus Leroux, Vecht-generał komanda Wynberger. - Sean wstrzymał oddech.

- Czy to potężny mężczyzna z rudymi włosami, którego często zalewa równie płomienna wściekłość?

Odpowiedziały mu śmiechy.

- Ja! Wypisz wymaluj. Znasz go?

- Tak, trochę.

Więc mój szwagier został generałem, Sean uśmiechnął się do siebie i zapytał:

- To do tego generała nas wieziecie?

- Jeśli go znajdziemy.

Dirk pozna wreszcie swojego wujka, a i Sean oczekiwał spotkania z niecierpliwą przyjemnością.



8. Płócienne ściany namiotu tylko w niewielkim stopniu tłumili głosy rozmawiających w środku ludzi.

- Czy mam wypić kawę i uściskać rękę każdemu rooiniek, którego złapiemy? Mam pracę, którą można obłożyć dziesięciu ludzi, a ty mi dokładasz następną! Oddaj go w ręce kornetów polowych! Wyślij do Pretorii, żeby go zamknęli! Zrób z nim, co chcesz, jeśli jest szpiegiem, ale na miłość boską nie przyprowadzaj go do mnie.

Sean uśmiechnął się wesoło. Jan Paulus z pewnością nie stracił głosu. Nastąpiła krótka przerwa, w czasie której mężczyzna w bobrowej czapce tłumaczył coś generałowi. Po chwili rozległ się kolejny stłumiony ryk.

- Nie! Nie przyjmę go! Zabierz go.

Sean wziął głęboki oddech, złożył dłonie w tubkę i krzyknął:

- Hej, ty cholerny Holendrze! Boisz się spotkać znowu ze mną? Myślisz, że ci wybije zęby, jak ostatnim razem?

Na kilka chwil zapanowała zdumiewająca cisza, zaraz potem rozległ się stukot wywróconego stołka i odsłoniła się poła wejścia. Jan Paulus wyszedł na słońce, mrużąc oczy od blasku i marszcząc gniewnie brwi. Rude włosy okalały łysą czaszkę niczym pożar lasu, a ramiona były agresywnie wysunięte do przodu. Obrócił twarz, szukając źródła obrazy.

- Tutaj - krzyknął Sean i Jan Paulus znieruchomiał. Patrzył niepewnie na Seana.

- Ty! - Zrobił krok w jego kierunku. - To ty, prawda? Sean! - Zaczął się śmiać. Zaciśnięta w pięść potężna dłoń rozwarła się i wysunęła ku Seanowi. - Niech mnie diabli, stary! Sean!

Uścisnęli ręce i szczyrzyli do siebie wesoło zęby.

- Chodź do namiotu. No chodź, stary.

Kiedy weszli do środka, Jan Paulus miał tylko jedno pytanie do szwagra:

- Gdzie jest Katrina? Gdzie moja mała siostrzyczka? Uśmiech znikł jak zdmuchnięty z ust Seana. Usiadł ciężko na krześle i zdjął kapelusz, zanim odpowiedział.

- Nie żyje, Paulus. Zmarła cztery lata temu.

Z wolna wyraz twarzy Jana Paulusa zmienił się w twardy i nieprzenikniony grymas.

- Jak? - spytał.

Co mogę mu powiedzieć, pomyślał Sean. Czy mam mu powiedzieć, że popełniła samobójstwo z jakiegoś powodu, którego nikt nigdy nie pozna?

- Od malarii - rzekł. - Złośliwa malaria.

- Nie powiadomiłeś nas.

- Nie wiedziałem, gdzie cię szukać. Twój rodzice...

- Oni też nie żyją - przerwał mu szorstko Jan Paulus, odwrócił się od Seana i utkwiał wzrok w białym płótnie ściany.

Zapanowała cisza, w czasie której przypominali sobie z bólem zmarłych. Ból był tym silniejszy, że zrodzony z beznadziejności. W końcu Sean podniósł się z krzesła i podszedł do otworu wejściowego.

- Dirk. Chodź tutaj.

Mbejane pchnął lekko chłopca, który podszedł do ojca i wziął go za rękę. Sean wprowadził go do namiotu.

- Syn Katriny - powiedział i Jan Paulus odwrócił się.

- Chodź tu, mój chłopcze.

Dirk niepewnie zbliżył się do niego. Jan Paulus przykucnął, tak że jego oczy były na równym poziomie z oczami chłopca. Wziął w dłonie twarz Dirka i przyglądał mu się uważnie.

- Tak - powiedział wreszcie. - To syn, którego tylko ona mogła urodzić. Oczy... - Głos mu się załamał i Jan Paulus umilkł. Po chwili spojrział Dirkowi w oczy i odzyskał głos. - Możesz być dumny - stwierdził i wstał.

Sean wskazał na wyjście i Dirk z ulgą opuścił namiot.

- Co dalej? - spytał Jan Paulus.

- Chcę przejechać przez wasze linie.

- Przejdiesz na stronę angielską?

- Jestem Anglikiem - oznajmił Sean.

Marszcząc lekko brwi, Jan Paulus rozważał to przez chwilę, zanim spytał:

- Dasz mi słowo, że nie będziesz walczył po ich stronie?

- Nie - odparł zdecydowanie Sean i Jan Paulus skinął głową; właśnie takiej odpowiedzi oczekiwał.

- Mam wobec ciebie dług - rzekł. - Nie zapomniałem polowania na słonia. Teraz ci go spłacę. - Podszedł do przenośnego stolika i wziął do ręki pióro. Stojąc, napisał szybko kilka słów, powachlował papierem i podał go Seanowi. - Jesteś wolny. Mam nadzieję, że się nigdy już nie spotkamy, bo wtedy cię zabiję.

- Albo ja ciebie - odpowiedział Sean.

9. Tego popołudnia Sean poprowadził swoją grupkę przez stalowy most na rzece Tugeli, opuszczoną wioskę Colenso i dalej przez wielką równinę. W dali przed nimi rozpościerały się namioty brytyjskiego obozu w Chievely Siding, które przypominały pole białych stokrotek. Na długo przed dotarciem do obozu Sean natknął się na posterunek straży obsadzony przez sierżanta i czterech żołnierzy ze sławnego regimentu Yorkshire.

- Halo, Piet. Gdzie, do cholery, się wybierasz?

- Jestem brytyjskim poddanym - poinformował go Sean. Sierżant przyjrzał się uważnie jego brodzie i połatanemu ubraniu.

Rzucił okiem na wynędzniałego konia i spojrzał w stronę, z której Sean przyjechał.

- Powtórz to - zaproponował.

- Jestem brytyjskim poddanym - zapewnił go Sean angielskim, którego akcent musiał podrażnić ucho żołnierza z Yorkshire.

- A ja jestem cholernym Japończykiem - wesoło zgodził się z nim sierżant. - Oddaj strzelbę, przyjacielu.

Przez dwa dni Sean wałęsał się bez celu po terenie więzienia otoczonym drutem kolczastym, podczas gdy departament wywiadu oczekiwał na odpowiedź od urzędu stanu cywilnego w Ladyburgu. Dwa długie dni, w czasie których mógł jedynie rozmyślać nieustannie o kobiecie, którą poznał, pokochał i równie szybko utracił. Przymusowa bezczynność nie mogła go dotknąć w gorszym momencie życia. Powtarzał w kółko każde słowo, jakie ze sobą zamienili, przeżywał ponownie najdrobniejsze dotknięcie rąk i spotkanie ich ciał, rysował w pamięci jej twarz i przyglądał się z miłością najdrobniejszemu szczegółowi. Wszystko to sprawiło, że osoba Ruth wryła mu się tak mocno w pamięć, iż nie opuszczała go ani na chwilę. Choć nie znał nawet jej nazwiska, czuł, że nigdy jej nie zapomni.

Kiedy w końcu został wypuszczony z należnymi przeprosinami i gdy oddano mu konie, strzelbę, worki z pieniędzmi i bagaże - Sean wpędził się już w taką depresję, że na powierzchnię mógł go jedynie wydobyć alkohol albo bójka.

Mała wioska Frere, w której się zatrzymali w drodze wiodącej wzdłuż wybrzeża na południe, obiecywała jedno i drugie.

- Zabierz Dirka poza miasto - rozkazał Sean Mbejane. - Znajdź miejsce na obóz przy drodze i rozpal duży ogień, żebym mógł was znaleźć po ciemku.

- Nkosi, co zamierzasz zrobić?

Sean ruszył w stronę małej kantyny, która przyciągała spragnionych mężczyzn z Frere.

- Idę tam - rzucił przez ramię.

- Chodź, Nkosizana. - Jadąc dalej ulicą, Mbejane zastanawiał się, ile ma dać czasu Seanowi, zanim po niego pójdzie. Minęło wiele lat, od kiedy Nkosi wszedł tak zdecydowanym krokiem do baru, ale w ciągu ostatnich dni wydarzyło się wiele spraw, które mogły go wprowadzić w zły nastrój. Będzie potrzebował czasu do północy, zdecydował Mbejane, wtedy znajdzie się już w stanie, w którym można go położyć spać.

Stojąc w drzwiach Sean przyjrzał się uważnie wnętrzu kantyny. Bar stanowiła jedna duża sala z ladą przy tylnej ścianie. Pomieszczenie było ciepłe, wypełnione po brzegi mężczyznami, zapachem wódki i cygar. Wciąż stojąc przy wejściu Sean włożył rękę do kieszeni spodni i ukradkiem policzył pieniądze. Wziął ze sobą dziesięć suwerenów; aż nadto dużo na zakup alkoholu, który miał zamiar wypić.

Przedzierając się przez tłum w stronę lady, Sean przyglądał się ludziom. Klientelę baru w większości stanowili żołnierze z kilkunastu różnych regimentów; kolonialni i z imperium brytyjskiego; głównie szeregowcy, choć przy stole pod ścianą siedziała grupa młodszych oficerów. Było także kilku cywilów, którzy musieli być woźnicami transportów, dostawcami i handlarzami, dwie kobiety z oficerami, które miały profesję wypisaną na twarzach, i kilkunastu czarnych kelnerów.

- Co ci podać, kochanie? - spytała gruba kobieta za ladą. Seanowi nie podobał się ani ten zwrot, ani zarost nad jej górną wargą.

- Brandy. - Nie był w nastroju do picia czegoś bardziej wymyślnego.

- Chcesz całą butelkę, kochanie? - Barmanka wprawnie rozpoznała jego potrzeby.

- Wystarczy na początek - zgodził się Sean.

Wypił trzy duże szklaneczki pod rząd i z nieprzyjemnym zdziwieniem stwierdził, że alkohol nie przynosi mu spodziewanego ukojenia. Wręcz przeciwnie, uwolniona od resztek rozsądku wyobraźnia postawiła mu przed oczyma twarz Ruth, dokładną w każdym szczególe, aż do małego pieprzyka na policzku i sposobu, w jaki kąci jej oczu podnosiły się do góry przy uśmiechu. Będzie potrzebował znacznie silniejszych bodźców, by znaleźć zapomnienie.

Oparł się plecami o ladę i trzymając w ręku pełną szklaneczkę, ponownie przyjrzał się klienteli kantyny, oceniając każdego pod względem możliwości wywołania bójk i szybko odrzucając kolejnych kandydatów. W końcu została mu tylko mała grupka mężczyzn przy karcianym stole.

Siedmiu ludzi grało w pokera i ze swojego miejsca Sean widział, że stawki są niskie. Wziął butelkę, zbliżył się do grupy kibiców i stanął za sierżantem kawalerii, któremu najwyraźniej nie szła karta. Kilka rozdań później sierżant dobrał kartę do pokera, nie trafił i

zablefował - podnosząc dwukrotnie stawkę, aż został sprawdzony dwoma parami. Sierżant rzucił karty na stół i gwizdnął z rezygnacją.

- Spłukałem się do czysta. - Zebrał kilka drobnych monet leżących przed nim na stole i wstał.

- Taki los, Jack. Ktoś chce się przyłączyć? - Zwycięzca rozejrzał się wokół. - Zupełnie niewinna gra, stawki na stole.

- Wchodzę. - Sean usiadł, ustawił butelkę i szklanekę w strategicznym punkcie przy prawej ręce i położył pięć złotych suwerenów przed sobą.

- Ten facet ma złoto! Witamy.

Sean w pierwszym rozdaniu nie wszedł, w następnym trzy królowe zabrały mu dwa funty, w trzecim wygrał pięć funtów. Karta zaczęła mu dopisywać i grał dalej bez wahania - wyglądało to tak, jakby dostawał karty na życzenie.

Przypomniał sobie stare przysłowie: "Kto nie ma szczęścia w miłości, ten ma szczęście w kartach." Sean uśmiechnął się wesoło, dobrał piątego kiera do koloru, przebił trzy siódemki i przyciągnął do siebie napęczniałą kupkę monet. Jakies trzydzieści, czterdzieści funtów. Bawił się coraz lepiej.

- Panowie, szybko nas ubywa. - W ciągu ostatniej godziny trzech graczy odpadło i przy stole zostało czterech mężczyzn. - Może damy szansę odegrać się przegrywającym.

- Chce pan podnieść stawkę? - spytał Sean drugiego gracza, który wygrywał. Był to potężny mężczyzna o czerwonej twarzy, pachnący końmi. Pewnie woźnica, pomyślał Sean.

- Jeśli nikt się nie sprzeciwi... Podnieśmy minimalną stawkę do pięciu funtów.

- Mnie pasuje - mruknął Sean i wokół stołu dały się słyszeć zgodne pomruki. Na początku wszyscy byli ostrożni z większymi pieniędzmi, ale powoli gra się rozluźniła. Seanowi karta nie szła dalej już tak świetnie, ale godzinę później miał siedemdziesiąt pięć funtów z drobnych wygranych. I właśnie wtedy dostał niesamowitą kartę.

Mężczyzna siedzący po jego lewej stronie podniósł stawkę przed dobraniem karty i został przebity przez gracza o końskim zapachu. Numer trzy dołożył i Sean delikatnie rozłożył karty.

Z lekkim uniesieniem zobaczył, że ma siódemkę, ósemkę, dziewiątkę i dziesiątkę trefli - z szóstką karo. Takiej karty nie mógł zmieniać.

- Twoje dwadzieścia i podnoszę o dwadzieścia - powiedział i wokół stołu rozległy się podniecone pomruki.

- Wchodzę. - Numer jeden miał już niewiele pieniędzy.

- Wchodzę - powtórzył jak echo Koński Zapach i jego złoto zadźwięczało na stole.

- Pasuję. - Numer trzy zamknął karty i odsunął je od siebie.

Sean zwrócił się do pierwszego gracza.

- Ile kart?

- Te mi wystarczą.

Sean poczuł pierwszą zapowiedź katastrofy.

- A ty? - zwrócił się do Końskiego Zapachu.

- Jestem szczęśliwy z tym, co mam.

Dwa dopasowane rozdania przeciw jego małemu stritowi. Sądząc po rozkładzie kart, w tym po czterech treflach Seana, jeden z nich miał karete. Czując nieprzyjemny ucisk w żołądku, Sean poznał, że jest w kłopotach. Miał słabszą kartę.

Powinien złamać strita i spróbować wyciągnąć trefla; co nadal nie byłoby pewnym zwycięstwem, ale tylko to mogło go ocalić.

- Biorę jedną. - Rzucił szóstkę karo do kupki kart i wziął jedną z wierzchu.

- Moja kolej. - Numer jeden aż promieniał pewnością siebie. - Podnoszę o następne czterdzieści. Musicie wyłożyć osiemdziesiąt funtów, żeby mnie sprawdzić. Pokażcie swoje pieniądze.

- Chętnie bym cię przycisnął, ale są pewne granice. Sprawdzam. - Wyraz twarzy Końskiego Zapachu był obojętny, ale miał lekką mgiełkę potu na czole.

- Muszę zobaczyć swoje karty. - Sean podniósł karty i zza wachlarza czterech kart wysunął rozek piątej, którą właśnie dobrał. Była czarna, wysunął ją trochę dalej - czarna szóstka. Poczuł, jak podniecenie narasta w nim, niczym para w czajniku nad ogniem. Wziął głęboki oddech i otworzył karty. - Także sprawdzam - powiedział wypuszczając powietrze.

- Duża kareta - krzyknął numer jeden. - Kareta królowych! Przebijcie to, dranie!

Koński Zapach rzucił wściekle karty na stół, a jego czerwona twarz zmarszczyła się z rozczarowania.

- Niech to diabli. Cholerny pech. Mam fula w asach. Numer jeden zachichotał z podniecenia i sięgnął po pieniądze.

- Poczekaj z tym, przyjacielu - poradził mu Sean i rozłożył karty na stole.

- To tylko kolor. Moja kareta bije cię - zaprotestował numer jeden.

- Policz oczka - Sean wskazywał palcem każdą kartę wymawiając ich nazwy - sześć, siedem, osiem, dziewięć i dziesięć. Wszystkie trefle. Mam pokera! Zostałeś daleko z tyłu, przyjacielu. - Zdjął ręce mężczyzny z pieniędzy, przysunął je do siebie i zaczął układać w kupki po dwadzieścia funtów.

- Coś wyjątkowo dobrze idzie ci karta - zawyrokował Koński Zapach, na którego

twarzą nadal malowało się rozczarowanie.

- Aha - zgodził się Sean. - Dwieście sześćdziesiąt osiem funtów. Całkiem nieźle.

- Ciekawe, że tak dobrze ci idzie szczególnie przy wysokich stawkach - ciągnął dalej Koński Zapach. - Zwłaszcza kiedy rozdajesz. Możesz nam powiedzieć, czym się zajmujesz?

Nie patrząc na niego Sean zaczął chować suwereny po kieszeniach; uśmiechał się przy tym lekko. Świetne zakończenie miłego wieczoru, zdecydował.

Spokojny, że pieniądze są bezpieczne, Sean spojrzał na swojego przeciwnika i roześmiał mu się w twarz.

- No to chodź, chłopcze - powiedział.

- Z przyjemnością. - Koński Zapach odsunął krzesło i podniósł się.

- Z największą - zgodził się Sean.

Koński Zapach wyszedł pierwszy tylnymi drzwiami na dziedziniec, a za nim szedł Sean i cała reszta towarzystwa z kantyny. Na dole zatrzymał się i zaczekał chwilę oceniając odległość Seana po odgłosie kroków na drewnianych schodach. Nagle się odwrócił i uderzył z całej siły.

Sean cofnął głowę, ale cios trafił go w skroń i cisnął na stojący za nim tłum ludzi. Padając zobaczył jeszcze, jak Koński Zapach odrzuca połę surduta i wyciąga nóż. Ostrze zabłysło stalą w świetle barowych okien - był to długi na osiem cali, zakrzywiony majcher do oprawiania zwierząt.

Tłum rozproszył się, zostawiając Seana leżącego na schodach. Koński Zapach rzucił się do przodu, wyjąc dziko i zamierzając się niewprawnie, by zadać śmiertelny cios od góry.

Lekko zamroczony Sean z łatwością podążył za łukowatym błyskiem ostrza i zablokował nadgarstek przeciwnika lewą ręką.

Przez chwilę mężczyzna leżał na Seanie z dłonią uwieczoną niczym w imadle, podczas gdy ten oceniał jego siłę - by z zalem stwierdzić, że nie napotkał równego sobie przeciwnika. Koński Zapach wydawał się potężnie zbudowanym mężczyzną, ale uciskający Seana brzuch był opasły i miękki, a uzbrojony nadgarstek kościsty, pozbawiony silnych mięśni i ścięgien.

Koński Zapach podjął walkę, usiłując wyswobodzić rękę, a z jego twarzy zaczęły skapywać krople potu o nieprzyjemnej, oleistej woni zjełczanego masła zmieszanego z końskim smrodem.

Sean wzmocnił uścisk posługując się najpierw siłą przedramienia.

- Aaaa! - Koński Zapach zaprzestał wysiłków. Sean użył siły całej ręki, czując jak mu pęcznią mięśnie grzbietu.

- Jezu Chryste! - Przeciwnik zawył z bólu, gdy pękły kości nadgarstka. Rozwarł palce

i nóż stuknął o drewniane schody.

Trzymając go nadal w uścisku, Sean usiadł i zaraz podniósł się na nogi.

- Zostaw nas, przyjacielu. - Sean rzucił go z całą siłą w kurz podwórka. Stał oddychając spokojnie, czując chłód i swoją obcość, gdy patrzył na gramolącego się z ziemi przeciwnika, który zdrową ręką ostrożnie podtrzymywał złamany nadgarstek.

Może to chęć ucieczki widoczna w ruchach mężczyzny poruszyła Seana, a może to alkohol pomieszał jego emocje, wzmocnił uczucie straty i frustracji i zmusił go do wyładowania się w wybuchu nienawiści.

Nagle wydało mu się, że na ziemi przed nim leży przyczyna wszystkich jego niepowodzeń - człowiek, przez którego stracił Ruth.

- Ty draniu! - warknął.

Mężczyzna wyczuł zmianę w nastawieniu Seana. Wstał na nogi, a jego rozbiegane oczy panicznie szukały drogi ucieczki.

- Ty pieprzony draniu! - Głos Seana nabrał ostrości ze wzburzenia. Po raz pierwszy w życiu opanowała go żądza krwi. Ruszył wolno ku przeciwnikowi, rozwierając i zaciskając pięści, ze skrzywioną twarzą i bezsensownymi słowami, które bezładnie wylewały mu się z ust.

Na podwórku zapadła martwa cisza. Widzowie pochowali się w cieniu, zafascynowani przerażającą sceną. Mężczyzna także zamarł, tylko jego głowa poruszała się lekko, ale nie potrafił wymówić ani słowa. Sean zbliżył się do niego, kiwając się na boki niczym atakująca kobra.

W ostatniej chwili mężczyzna chciał uciec, ale jego nogi były miękkie i ciężkie ze strachu - i kiedy Sean uderzył go w klatkę piersiową, rozległ się odgłos, jakby siekiera rozłupywała drzewo.

Mężczyzna upadł, a Sean runął na niego, przygniatając go kolanami i wyjąc jedyne zrozumiałe słowo - imię ukochanej kobiety. W wypełniającym go szałem czuł, jak twarz wroga rozpada się pod ciosami, ciepła krew zalewa mu głowę i ręce i usłyszał krzyki z tłumu.

- Zabije go!

- Odciągnijcie go!

- Na miłość boską, pomóżcie mi - jest silny jak cholerny wół! Poczł szarpiące go ręce, ramię oplatające mu szyję od tyłu, cios butelką w głowę i nacisk ich ciał, gdy kłębili się nad nim.

Mimo że jeden napastnik trzymał go z całej siły, dwóch innych uczepliło się jego pleców, a kilkanaście par rąk szarpało za ręce i nogi, Seanowi udało się podnieść.



- Podetnijcie mu nogi!
- Powal go, człowieku. Powalcie go.

Konwulsyjnym rzutem ciała Sean cisnął mężczyzn trzymających go za ręce i wyzwolił się od nich.

Uwolnił kopnięciem prawą nogę, a ci, którzy trzymali go za lewą, puścili ją i uciekli. Sięgając do tyłu zrzucił wiszących mu na plecach napastników i stał sam na placu, czując jak klatka piersiowa unosi się i opuszcza ciężko przy każdym oddechu, a z rany od ciosu butelką krew leje mu się po twarzy i wsiąka w brodę.

- Przynieście broń! - krzyknął ktoś w tłumie.

- Za barem jest strzelba. - Jednak nikt nie opuścił kręgu, który utworzył się wokół niego. Sean toczył po nich dzikim wzrokiem. Jego oczy błyszczały w zamazanej krwi twarzy.

- Zabiłeś go! - oskarżył go ktoś inny. Słowa przebiły się do Seana przez zasłone szaleństwa i naraz opuściło go całe napięcie. Spróbował zetrzeć dłonią krew z oczu. Tłum wyczuł zmianę, jaka w nim zaszła.

- Uspokój się, stary. Zabawa zabawą, ale do diabła z zabijaniem.

- Spokojnie. Obejrzyjmy tego biedaka.

Sean spojrzał na leżące przed nim ciało i poczuł nagle ogarniające go przerażenie. Ten człowiek nie żył - był tego pewien.

- O mój Boże! - szepnął, cofając się o krok i niezdarnie wycierając twarz z krzepnącej już krwi.

- Wyciągnął nóż. Nie martw się, brachu, masz świadków. - Nastrój tłumu wyraźnie się zmienił.

- Nie - wymamrotał Sean; nic nie rozumieli. Po raz pierwszy w życiu nadużył swojej siły, wykorzystał ją, żeby bez celu zabić innego człowieka. Zabić dla samej przyjemności zabijania; tak jak to robi leopard.

Nieprzytomny mężczyzna poruszył się lekko, obrócił głowę, a prawa noga zgięła się i ponownie wyprostowała. Sean poczuł nagły przypływ nadziei.

- Żyje!

- Wezwijcie lekarza.

Cały w strachu, Sean zbliżył się do mężczyzny i ukląkł przy nim. Zdjął z szyi chustkę i zaczął ostrożnie ścierać krew z rozbitych ust i nosa rannego.

- Wszystko będzie w porządku. Zostaw go lekarzowi. Wkrótce potem pojawił się lekarz, chudy i małomówny mężczyzna żujący tabakę. W żółtym świetle lampy zbadał

nieprzytomną ofiarę, odpychając tłum gapiów, który otoczył ich ściśle i spoglądał lekarzowi przez ramię. W końcu doktor wstał.

- W porządku. Można go przenieść. Zanieście go do izby chorych. - Spojrzał na Seana. - To pana robota?

Sean skinął głową.

- Niech mi pan przypomni, żebym pana nigdy nie rozgniewał.

- Nie chciałem tego. To jakoś samo się zdarzyło.

- Ciekawe. - Doktor splunął żółtą strugą. - Chciałbym rzucić okiem na pańską głowę. - Nachylił głowę Seana i rozgarnął brudne czarne włosy. - Pękła panu żyłka. Nawet nie potrzeba szwu. Niech pan to przemyje i posmaruje jodyną.

- Doktorze, ile się należy za tego faceta? - spytał Sean.

- Pan płaci? - Lekarz spojrział na niego podejrzliwie.

- Tak.

- Złamana szczęka, obojczyk, ze dwa tuziny szwów i kilka dni w łóżku, żeby oprzytomniał - zastanowił się na głos, sumując wydatki. - Powiedzmy dwie gwinee.

Sean dał mu pięć.

- Niech pan na niego uważa.

- To mój zawód. - Doktor ruszył za ludźmi, którzy ponieśli rannego.

- Chyba przydałby ci się drink, stary. Ja stawiam - zaofiarował się ktoś z tłumu.

Wyglądało na to, że wszędzie ceni się zwycięzców.

- Tak - odparł Sean. - Muszę się napić.

Sean wypił więcej niż jeden kieliszek. Kiedy o północy Mbejane przybył go zabrać, miał spore kłopoty z wsadzeniem Seana na konia. W połowie drogi do obozu Sean ześliznął się z siodła i wylądował w rowie, więc Mbejane przerzucił go przez konia tak, iż ręce wisały z jednego boku, a nogi dyndały z drugiego.

- Rano będziesz tego żałował - zapowiedział Mbejane, kiedy ułożył go już przy ognisku i owinał obutego i zakrwawionego w koc.

Jak zwykle miał rację.

**10.** O świcie Sean oczyścił twarz szmatką umoczoną w garnku z gorącą wodą i przyjrzał się swemu odbiciu w małym, metalowym lusterku. Jedyłą satysfakcją dawało mu ponad dwieście suwerenów, które zaoszczędził z nocnej zabawy.

- Tatusiu, źle się czujesz? - Złośliwa nadopiekuńczość Dirka jedynie podrażniła Seana.

- Zajmij się swoim śniadaniem. - Sean chciał uciąć dalsze pytania za pomocą chłodnego tonu.

- Nie mamy nic do jedzenia. - Mbejane przyjął znajomą rolę obrońcy Dirka.

- Dlaczego? - Sean skoncentrował wzrok na Murzynie.

- Jesteśmy z człowiekiem, który uważa zakup mocnych trunków i innych rzeczy za ważniejszy od kupienia jedzenia dla syna.

Sean wyciągnął garść suwerenów z kieszeni kurtki.

- Idź! - rozkazał. - Kup żywność i świeże konie. Pośpiesz się z tym, bo jeszcze twoja mądra rada pogorszy mój i tak zły stan. Zabierz ze sobą Dirka.

Mbejane przyjrzał się pieniądzom i wyszczerzył wesoło zęby.

- Noc nie poszła na marne.

Kiedy potężny Zulus z Dirkiem biegnącym za nim drobnym krokiem i nieustannie paplającym udali się do Frere, Sean nalał sobie kubek gorącej kawy i usiadł przy ognisku, patrząc na popiół i czerwone węgle. Mógł spokojnie zaufać Mbejane, że nie zmarnuje pieniędzy. Murzyna cechowała szczególna, właściwa jego rasie cierpliwość, która pozwalała mu poświęcić nawet dwa dni na targowanie ceny jednego wołu. Sean nie miał zresztą głowy do takich zmartwień. Przypomniawszy sobie po kolei wypadki ostatniej nocy. Wzbierało w nim obrzydzenie na samo wspomnienie bezsensownego napływu morderczej nienawiści i starał się ją jakoś usprawiedliwić. Nie zapomniawszy przy tym o stracie niemal całego majątku; trudu wielu lat, z którego owoców został ograbiony w ciągu jednego dnia. Pomyślał także o czekającej go ciężkiej pracy i niepewności jutra. Wreszcie dotarł do punktu, w którym alkohol i osłabione przez poker nerwy odmówiły posłuszeństwa i dały upust nienawiści.

Jednak to nie było wszystko; dobrze wiedział, jakiego tematu unikał. Ruth. Jej imię przyniosło ze sobą falę beznadziejnej tęsknoty i czułą rozpacz, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczył. Jęknął głośno i podniósł oczy ku gwiazdzie porannej, blednącej nad różowym horyzontem, zza którego wstawało słońce. Przez chwilę napawał się czułością swojej miłości, przypominając sobie sposób chodzenia Ruth, głębię kryjącą się w jej oczach, roześmiane usta i głos, kiedy śpiewała - aż poczuł, że zatracą się w swoim uczuciu. Poderwał się z ziemi i zaczął chodzić w tę i z powrotem przed ogniskiem. Musimy opuścić to miejsce, uciec stąd - i to jak najszybciej. Muszę znaleźć sobie jakieś zajęcie, coś, co by pozwoliło mi zapomnieć o

niej, jakąś pracę dla rąk.

Drogą na północ do Colenso szła długa kolumna żołnierzy. Sean zatrzymał się i patrzył na nich. Każdy mężczyzna był pochylony do przodu pod ciężarem plecaka, a spod ramion sterczały lufy karabinów.

Tak, pomyślał. Zaciągnę się. Może w miejscu, do którego się udają, znajdę to, czego nie mogłem znaleźć dziś w nocy. Pojedziemy do domu, do Ladyburga. Zostawię Dirka u matki i wrócę na wojnę.

Począł znowu niecierpliwie krążyć po obozie. Gdzie u diabła podziewał się Mbejane?

Ze wzgórza nad miasteczkiem Sean przyglądał się Ladyburgowi. Miasto otaczało równym kołem spiczastą wieżę kościoła. Pamiętał ją jeszcze, gdy pokryta miedzianą blachą lśniła niczym latarnia morska, ale dziewiętnaście ostatnich lat przygasiło jej blask.

Dziewiętnaście lat. Trudno uwierzyć, że to aż tyle. Stacja kolejowa otoczona targowiskami się powiększyła, przez Baboon Stroom przerzucono nowy betonowy most, drzewa gumowe na plantacji za szkołą znacznie urosły, a z głównej ulicy zniknęły tandetne i krzykliwe szyldy.

Sean odwrócił wzrok i z obawą spojrział na skarpe za rzeką, blisko której stał Theunis Kraal, duży holenderski dom z żółtymi okiennicami i ze spiczastym dachem pokrytym strzechą.

Dom stał nadal, ale inny, niż go zapamiętał. Nawet z tej odległości Sean dostrzegł, że ze ścian odpadła farba atakowana przez pleśń, słoma na dachu była rzadka niczym sierść teriera, jedna z okiennic pochylała się żałośnie na wyłamanym zawiasie, trawniki były zaniedbane i wszędzie wyłaziły płyty brązowej ziemi. Pozbawione dachów zagrody za domem rozpadły się, a resztki ścian sięgały mu najwyżej do ramion.

- Niech diabli porwą drania! - Gniew Seana wybuchł niczym płomień, kiedy zobaczył, jak jego brat zaniedbał piękny dom. - Jest tak leniwy, że nie wstałby z łóżka, nawet gdyby w nie nasikał.

Dla Seana te mury były czymś więcej niż tylko domem. Jego ojciec wybudował całą tę posiadłość, której dach osłaniał narodziny Seana i potem jego młodość. Kiedy ojciec zginął przeбитý włóczniami Zulusów w Isandlawana, Sean dostał w spadku połowę domu i farmy. Tylko on wiedział, ile nocy spędził w gabinecie przy kłodach drzewa palących się w kominku, patrząc na zawieszoną na ścianie głowę byka, która rzucała nieregularne cienie na sufit. Mimo że zrzekł się swojego udziału na rzecz brata - był to nadal jego dom. Garry, jego brat, nie miał prawa go tak zaniedbać.

- Niech go diabli! - Sean musiał wypowiedzieć na głos swój gniew i niemal natychmiast odezwało się sumienie. Garry był kaleką. Stracił nogę poniżej kolana w wyniku przypadkowego postrzału, a Sean był tym, który trzymał wtedy strzelbę. Czy już nigdy nie pozbędę się poczucia winy? Jak długo ma trwać kara? Usiłował przeciwstawić się wyrzutom sumienia.

Nie jest to twój jedyny grzech przeciw bratu, odparło sumienie. Kto splodził dziecko, które on teraz nazywa swoim synem? Czyje dziecko urodziła żona Garry'ego, Anna?

- Minęło dużo czasu, Nkosi. - Mbejane odgadł myśli Seana z wyrazu jego twarzy, kiedy ten patrzył na Theunis Kraal i wspominał zdarzenia sprzed lat. Lepiej będzie, jeśli wszystko pozostanie w mroku niepamięci.

- Zgadza się. - Sean wyprostował się w siodle. - Mamy za sobą długą drogę i wiele lat. Ale teraz jesteśmy znowu w domu.

Spoglądał na miasteczko, szukając hotelu położonego nie opodal głównej ulicy, po którym mógłby rozpoznać dach małego domku na ulicy Protea. Kiedy go znalazł pomiędzy wysokimi, rozłożystymi drzewami gumowymi, poczuł, jak zmienia się jego nastrój i napływa fala nowych emocji. Czy nadal tam mieszkała? Jak teraz wygląda - pewnie jest mała i siwa. Czy pięćdziesiąt lat bardzo ją zniszczyło, czy też potraktowało ją równie łagodnie, jak ona traktowała wszystkich, których знаła? Czy nie ukarała go niepamięcią za to, że odjechał bez pożegnania? Czy zdołała mu wybaczyć te wszystkie lata milczenia? Chciał wiedzieć, czy zrozumiała powody, dla których nigdy nie pisał, nie przesłał ani słowa wiadomości o sobie poza anonimowym podarkiem: dziesięcioma tysiącami funtów, które przekazał do banku na jej konto. Marne dziesięć tysięcy funtów, które niewiele dla niego znaczyły, gdy jako pan kopalni złota w Witwatersrandzie dysponował milionami.

Znowu wróciło poczucie winy. Przecież miał absolutną pewność, że zrozumiała i że wybaczyła, gdyż taka była Ada - jego macocha, którą kochał nawet bardziej niż pamięć własnej matki.

- Ruszamy - powiedział i spiął konia zmuszając go od razu do truchtu.

- Czy to nasz dom, tato? - krzyknął jadący za nim Dirk.

- Tak, synu. To nasz dom.

- Czy jest tam babcia?

- Mam nadzieję - odkrzyknął Sean i dodał cicho: - Liczę, bardziej niż na cokolwiek innego, że mieszka tam nadal.

Na betonowym moście Sean zmusił konia do szybszego kroku i zostawiając z tyłu Dirka i Mbejane z jucznymi końmi, minął zagrody dla bydła przy linii kolejowej, stary

drewniany budynek stacji z wyblakłą tablicą: "Ladyburg. 2256 stóp nad poziomem morza", skręcił w lewo w zakurzoną główną ulicę, na której mogło się pomieścić całe stado bydła, i wjechał w ulicę Protea.

Na rogu Sean przyhamował konia i jadąc stępą odwlekał ze strachem chwilę przywitania, aż wreszcie zatrzymał się przed małym domkiem otoczonym białym płotem. Ogródek przed wejściem był zielony i starannie utrzymany, pełen stokrotek i rododendronów. Domek został przebudowany i powiększony o nowy pokój. Pod świeżą warstwą farby wyglądał czysto i schludnie. Nad drzwiami wisiał zielony szyld ze złotym napisem:

**MAISON ADA**  
**PRACOWNIA KRAWIECKA DLA WYŻSZYCH SFER**

Sean uśmiechnął się.

- Mój Boże, staruszka zupełnie sfrancuziała. - Krzyknął do nadjeżdżającego Dirka: - Zostań tutaj!

Zeskoczył z konia, podał lejce synowi i wszedł przez bramę. Przy drzwiach zatrzymał się na chwilę, żeby poprawić fular. Przyjrzał się ciemnemu garniturowi i nowym butom, które kupił w Pietermaritzburgu, otrzepał kurz ze spodni, przyglądził brodę, podkręcił wąsy i zastukał do drzwi.

Otworzyła mu młoda dziewczyna, której Sean nie znał. Dziewczyna zarumieniła się lekko, spróbowała ukradkiem przyglądzić rozwichrzone włosy i schowała za siebie kawałek materiału. Wykazywała przy tym wszelkie oznaki zmieszania, jakie ogarnia kobietę, kiedy niespodziewanie znajdzie się w obecności wysokiego, dobrze ubranego i atrakcyjnego mężczyzny, ale Sean poczuł jedynie współczucie na widok pooranej bliznami twarzy, najpewniej po ospie. Zdjął kapelusz.

- Czy zastałem panią Courteney?

- Jest w pracowni, proszę pana. Jakie nazwisko mam podać?

- Niech pani jej nic nie mówi - to niespodzianka. - Sean uśmiechnął się do niej i dziewczyna automatycznie podniosła ręce do twarzy, próbując ją zakryć.

- Niech pan wejdzie. - Odwróciła wstydliwie głowę.

- Mary, kto to? - Sean drgnął słysząc głos z głębi domu; nie zmienił się ani trochę. Poczul, że czas się cofnął o te wszystkie lata.

- To jakiś pan, ciociu Ado. Chce się z tobą zobaczyć.

- Już idę. Poproś go, żeby usiadł. Mary, bądź taka dobra i przynieś nam kawę.

Mary uciekła z widoczną ulgą, zostawiając Seana samego w małym pokoju gościnnym. Miętosząc w rękach kapelusz, przyglądał się dagerotypowi przedstawiającemu Waite'a Courteneya. Mimo iż nie mógł tego dostrzec, jego twarz była dokładnym odbiciem twarzy ojca, z tymi samymi oczami pod szerokimi, czarnymi brwiami, tą samą arogancją kryjącą się w ustach, nawet z tym samym uporem, o którym świadczyła ostro zarysowana szczeka schowana pod spiczastą bródką - wierne odbicie aż po wielki, haczykowaty nos.

Drzwi pracowni się otworzyły i Sean odwrócił się na pięcie w ich stronę. Ada Courteney weszła z uśmiechem na twarzy, który znikł na widok gościa, zatrzymała się i zbladła. Jej ręka uniosła się niepewnie ku szyi i Ada stęknęła cicho.

- Dobry Boże - wyszeptała.

- Mamo. - Sean przydeptał sobie but. - Witaj, mamusiu. Jak dobrze cię widzieć.

- Sean. - Na policzki wróciły kolory. - Przez chwilę myślałam... wyrosłeś tak, jak twój ojciec. Och, Sean! - Rzuciła się ku niemu. Sean cisnął kapelusz na sofę i złapał ją w ramiona.

- Czekałam na ciebie. Wiedziałam, że wrócisz.

Sean podniósł ją z ziemi i zasypywał pocałunkami w mieszaninie wzruszenia i śmiechu, kołysząc się na boki i ciesząc się głośno.

- Postaw mnie na ziemię. - Ada wciągnęła głęboko powietrze i przytuliła się do niego.

- Zawsze wiedziałam, że wrócisz. Na początku były wzmianki w gazetach o tobie i ludzie przynosili mi wiadomości, ale w ciągu ostatnich lat nie miałam żadnych nowin, ani słowa.

- Przepraszam. - Sean zaczął przytomnieć.

- Jesteś złym chłopcem. - Ada aż promieniała radością, a jej włosy wysypały się z koka na głowie i jeden kosmyk spadł na policzek. - Ale tak dobrze mieć cię tutaj... - i nagle zaczęła płakać.

- Nie, mamusiu. Proszę, nie płacz. - Nigdy jeszcze nie widział jej płaczącej.

- To nic. To tylko... przez zaskoczenie. - Otarła niecierpliwie łzy. - To nic.

Sean szukał czegoś, co mogłoby zmienić nastrój.

- Ale, ale - krzyknął z ulgą - mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę.

- Później - zaprotestowała. - Ta mi na razie wystarczy.

- To nie może czekać. - Podprowadził ją do drzwi i wyszli razem na schody. Sean trzymał rękę na jej ramieniu. - Dirk! - krzyknął. - Chodź tutaj.

Poczuł, jak Ada sztywnieje, gdy Dirk wolno zbliżył się do nich.

- To twoja babcia. - Przedstawił ich.

- Dlaczego płacze? - Dirk przyglądał się Adzie z ciekawością.

Później, kiedy usiedli do stołu w kuchni, Ada i Mary zaczęły wpychać w nich

jedzenie. Ada Courteney wierzyła w to, że mężczyzna musi być przede wszystkim nakarmiony.

Mary była równie podniecona jak Ada. W ciągu kilku minut, kiedy była sama, uczesała włosy i włożyła nowy fartuch, ale puder na twarzy nie zdołał ukryć defektów jej urody. Sean ze współczuciem umykał od niej wzrokiem i Mary to spostrzegła. Zawstydzona zajęła się podbijaniem serca Dirka. Krzątała się wokół niego, a Sean przyjął to za naturalną kolej rzeczy.

Podczas posiłku Sean opowiedział w skrócie Adzie o swoim życiu w ciągu ostatnich lat, pomijając milczeniem śmierć matki Dirka i kilka innych spraw, z których nie miał powodu być szczególnie dumny. Skończył szybko opowieść.

- No i jesteśmy tutaj:

*Do domu żeglarza przygnał wiatr z mórz*

*Do domu wrócił łowca ze wzgórz.*

- Dirk, nie kładź tyle jedzenia do buzi i trzymaj usta zamknięte, kiedy jesz.

- Jak długo u nas zabawisz? Mary, zobacz, czy w słoju zostały jakieś ciastka? Dirk jest jeszcze głodny - powiedziała Ada.

- Rozchoruje się z przejedzenia. Nie wiem; niezbyt długo - jest wojna.

- Chcesz pójść na wojnę?

- Tak.

- Och, Sean. Naprawdę musisz iść? - Wiedziała, że musi. Szukając cygara w pudełku, Sean przyglądał się ukradkiem matce.

Posiwiiała tak, jak przypuszczał. Miała tyle samo siwych włosów, co i czarnych; szerokimi pasmami bieleły się na jej skroniach. Zmienił się także kolor jej karnacji, skóra straciła młodzieńczą jędrność, marszcząc się wokół oczu i rozciągając na rękach, tak że kości i niebieskie żyły rysowały się pod nią wyraźnie. Trochę również przytyła, jej piersi były pełne i okrągłe.

Jednak cechy jej charakteru, które Sean tak dobrze pamiętał, nie zmieniły się, a nawet wydawały się umocnić: opanowanie, które wyrażało się w spokoju jej rąk i ciała, pogoda kryjąca się w ustach, oczy, których głębia wyrażała współczucie i zrozumienie. Jednak szczególnie zwracała uwagę otaczająca ją aura dobroci - patrząc na nią Sean wiedział, że przez tę głowę nie mogła przeniknąć żadna zła myśl.

Zapałił cygaro i poczuł ulgę, że dym ukrył wyraz jego twarzy.



- Tak, mamusiu. Muszę iść.

W oczach Ady, której mąż także poszedł na wojnę i już z niej nie wrócił, zatlił się smutek.

- Tak, chyba musisz. Garry już się zaciągnął, a Michael też cały czas o tym mówi.

- Michael? - spytał gwałtownie Sean.

- Syn Garry'ego. Urodził się wkrótce po tym... jak opuściłeś Ladyburg. Tej zimy skończy osiemnaście lat.

- Powiedz mi, jaki on jest? - Głos Seana był zbyt napięty Michael. Więc tak nazywa się mój syn. Mój pierworodny. Mój Boże, mój pierwszy syn, a ja do tej chwili nawet nie znałem jego imienia. Ada patrzyła na niego i w jej oczach dostrzegł pytanie.

- Mary, zabierz Dirka do łazienki. Postaraj się zmyć mu jedzenie z ust.

Kiedy zostali sami, odpowiedziała na pytanie syna.

- Jest wysokim chłopcem; wysokim i szczupłym. Podobny do matki i poważny jak na swój wiek. Nie śmieje się dużo. Zawsze był najlepszy w szkole. Bardzo go lubię. Często mnie odwiedza. - Zamilkła na chwilę. - Sean...

Sean szybko jej przerwał.

- A co u Garry'ego? - Wyczuł, jakie chce mu zadać pytanie.

- Garry nie zmienił się wiele. Miał złe lata... Biedny Garry, na farmie mu się nie wiodło. Zaraza bydłęca zdziesiątkowała stada i musiał pożyczyć pieniądze z banku. - Zawahała się na moment. - Ostatnio dużo pije. Nie jestem tego pewna - nigdy tu nie przychodzi, a ja nigdy nie widziałam go pijanego, ale wiem, że tak jest.

- Znajdę go, jak pojedę do Colenso.

- Nie będziesz miał z tym kłopotów. Garry jest podpułkownikiem. Awansował z majora w zeszłym tygodniu i odznaczono go Honorowym Orderem za Służbę. Ma już także Krzyż Wiktorii. Jest oficerem łącznikowym pomiędzy wojskami imperium a kolonialnymi.

- Dobry Boże! - Sean był oszołomiony. - Garry pułkownikiem!

- Generał Buller bardzo go ceni. Generał także dostał Krzyż Wiktorii.

- Sama wiesz, jak Garry dostał to odznaczenie - zaprotestował Sean. - Przez pomyłkę. Jeśli Garry jest w sztabie generalnym, to niech Pan ma litość nad brytyjską armią.

- Sean, nie powinieneś mówić w ten sposób o bracie.

- Pułkownik Garry Courteney - głośno roześmiał się Sean.

- Nie wiem, co zaszło pomiędzy tobą i Garrym, ale wiem, że to coś bardzo wstępnego. Nie chcę słyszeć ani słowa o tym w moim domu. - Ton Ady był groźny i Sean przestał się śmiać.

- Przepraszam.

- Zanim zmienimy temat, chciałam cię ostrzec. Uważaj na Garry'ego. Cokolwiek się zdarzyło pomiędzy wami - a ja nie chcę nic wiedzieć na ten temat - Garry nadal cię nienawidzi. Raz czy dwa razy zaczął mówić o tobie, ale go uciszyłam. Wiem jednak o tym od Michaela - chłopiec przejął to po ojcu. To niemal jego obsesja. Strzeż się Garry'ego.

Ada wstała.

- Co do Dirka, Sean, to jest wspaniałym chłopcem. Obawiam się jednak, że trochę go zepsułeś.

- To tygrys - zgodził się Sean.

- Czy on się gdzieś uczył?

- No cóż, umie trochę czytać...

- Zostaw go u mnie. Zapiszę go do szkoły po wakacjach.

- Właśnie o to chciałem cię prosić. Dam ci pieniądze.

- Dziesięć lat temu ktoś wpłacił w tajemniczy sposób bardzo dużą sumę na moje konto. Pieniądze nie były moje, więc je włożyłam na procent. - Uśmiechnęła się do Seana, który z poczuciem winy spuścił wzrok. - Możemy użyć tych pieniędzy.

- Nie - zaprotestował Sean.

- Tak - sprzeciwiła się Ada. - A teraz powiedz mi, kiedy chcesz wyjechać.

- Wkrótce.

- Jak szybko?

- Jutro.

**11.** Od chwili znalezienia się na drodze World's View prowadzącej z Pietermaritzburga, Sean i Mbejane jechali w słońcu, zadowoleni z własnego towarzystwa. Ich przyjaźń, stała i sprawdzona przez czas, kłopoty i wspólny śmiech, chroniła ich niby tarcza - i teraz byli szczęśliwi, jak szczęśliwi potrafią być tylko dwaj przyjaciele. Śmiali się ze starych dowcipów na nowo, jak nowe jest codziennie wstające słońce. Jechali razem na wojnę, na kolejne spotkanie ze śmiercią i cała reszta przestała się liczyć. Sean czuł się wolny; myśli o ludziach, którzy w ostatnich miesiącach stanęli na jego drodze, zostały gdzieś daleko. Jadąc ku swojemu przeznaczeniu czuł w sobie dziwną lekkość.

Jednocześnie część jego umysłu analizowała go krytycznie i pochylała się z uśmiechem nad brakiem własnej powagi. Mój Boże, przypominamy dwóch uczniów, którzy urwali się na wagary. Podążając za tą myślą poczuł nagle wdzięczność. Czuł wdzięczność, że nadal jest zdolny zapomnieć wszystko i oczekiwać nowych zdarzeń z dziecięcą naiwnością. Zapragnął nagle rozliczyć się sam ze sobą; nie jestem już młody, myślał, i wiele się nauczyłem, zbierając doświadczenie niczym cegły na budowę i ustawiając z nich mocne ściany. Forteca mojego dorosłego życia nie jest ukończona, ale to, co dotąd zbudowałem, jest solidne i trwałe. Jednak celem fortecy jest bezpieczeństwo ukrytych w niej cenności i jeśli mężczyzna pogubi lub rozproszy skarby, które powinien chronić, ukończona forteca traci swój sens. Nie straciłem wszystkiego, a część rzeczy wymieniłem na inne. Wymieniłem odrobinę wiary za poznanie zła, trochę śmiechu za zrozumienie śmierci, część wolności za dwóch synów (i to był najlepszy targ) - ale wiem dobrze, czego mi jeszcze brakuje.

Jadący u jego boku Mbejane wyczuł zmianę w nastroju Seana i wybiegł mu na spotkanie, żeby wprowadzić go ponownie w stan poprzedniego zadowolenia.

- Nkosi, musimy się pośpieszyć, jeśli chcesz dotrzeć dziś do wodopoju we Frere.

Sean z wysiłkiem odgonił gnębiące go myśli i roześmiał się. Jechali razem dalej na północ i trzeciego dnia dotarli do Chieveley.

Wówczas przypomniał sobie swoje dziecięce zdumienie, kiedy jako chłopak na początku wojny z Zulusami przyłączył się w Rorke Drift do oddziału lorda Chelmsforda. Był wtedy przekonany, że patrzy na największe z możliwych zgromadzeń żołnierzy. Rozejrzał się po obozie armii brytyjskiej rozłożonym na wielkiej skarpie pod Colenso i uśmiechnął się do własnych myśli; oddział Chelmsforda zgubiłby się pośród artylerii i oddziałów zaopatrzenia, a przecież za nimi rzędy namiotów ciągnęły się jeszcze na dwie mile. Rząd za rzędem białe płócienne kopuły z grupami koni pośrodku. Dalej ustawiono tysiące wozów transportowych, a stada zwierząt pociągowych pasły się na równinie aż po sam horyzont.

Obraz był oszałamiający nie tylko ze względu na swoje rozmiary, ale także z powodu

niebываłego porządku; ta sama precyzja cechowała oddziały żołnierzy ćwiczących na polu, gdy przy każdym zwrocie błyszczały bagnety.

Po wejściu do obozu Sean wędrował pomiędzy rzędami namiotów i odczytując nazwy regimentów na tabliczkach zawieszonych na początkach alejek, rozpoznawał sławne oddziały, bowiem nowe mundury koloru khaki i hełmy tropikalne zredukowały żołnierzy do jednorodnej masy ludzi. Jedynie kawaleria zachowała swój urok odrębności w proporczykach powiewających wesoło na końcach lanc. Sean z zazdrością przyglądał się wierzchowcom mijającego go szwadronu. Konie były potężne i lśniące; równie aroganckie jak dosiadający ich mężczyźni. Jeźdźców otaczała aura nieludzkiej wręcz bezwzględności gdy tak jechali pochylając cienkie lance z jasnokolorowymi czubkami.

- Gdzie mogę znaleźć Zwiadowców? - Sean zadał to pytanie już z tuzin razy i, mimo że udzielano mu odpowiedzi w dialektach od Manchesteru po Lancashire, a nawet w ledwo zrozumiałym języku Szkotów i Irlandczyków, odpowiedź była zawsze ta sama - nikt nic nie wiedział.

Sean zatrzymał się na chwilę, żeby przyjrzeć się oddziałowi ćwiczącemu z nowymi karabinami maszynowymi maxim. Zawyrokował, że są nieporęczne. Nie mają szansy przy tradycyjnych karabinach. Później miał sobie przypomnieć ten osąd ze wstydem.

Spędził już cały ranek na przemierzaniu obozu, z Mbejane jadącym z tyłu, i w południe poczuł, że jest zmęczony i w coraz gorszym usposobieniu. Natalski Korpus Zwiadowców przypominał mityczny oddział, którego nikt nie widział. Stojąc na brzegu obozu, Sean spoglądał na równinę i zastanawiał się, co ma dalej robić.

Jego uwagę zwrócił obłoczek niebieskiego dymu pół mili dalej. Dym wydobywał się z kępy drzew rosnących nad strumykiem. Ktokolwiek wybrał to miejsce na obozowisko, musiał wiedzieć, jak zapewnić sobie wygodę na niegościnniej równinie. W porównaniu z pustką skarpy, obóz zapewniał niemal luksusowe wygody; osłonięty przez zagajnik od wiatru, blisko drzewa na opał i wody, z dala od baczego oka starszych oficerów. Tego właśnie szukam, Sean uśmiechnął się wesoło i ruszył w tym kierunku.

Jego przypuszczenia potwierdzili czarni służący krzątający się pomiędzy drzewami. To musiały być wojska kolonialne, w których każdy żołnierz miał własnego służącego. Wozy były ustawione w tradycyjną kolistą formację laageru. Sean zbliżył się do pierwszego białego mężczyzny z radością, jaką może sprawić tylko powrót do domu.

Mężczyzna siedział w emaliowanej wannie ustawionej w cieniu drzewa mimozy, podczas gdy służący dolewał do niej gorącej wody z olbrzymiego dzbanka.

- Dzień dobry - przywitał go Sean.

Mężczyzna podniósł wzrok znad książki, wyjął cygaro z ust i przywitał Seana.

- Szukam Zwiadowców.

- Więc twoje poszukiwania dobiegły końca, przyjacielu. Niech pan siada. - Odwrócił się do służącego. - Przynieś filiżankę kawy dla Nkosi.

Sean usiadł wygodnie na krześle i rozprostował nogi. Jego gość odłożył książkę i zaczął namydlać piersi i pachy, przyglądając się uważnie Seanowi.

- Kto tu dowodzi? - spytał Sean.

- Chce się pan z nim zobaczyć?

- Aha.

Kapiący się mężczyzna krzyknął głośno:

- Hej! Tim!

- Czego chcesz? - Odpowiedź dobiegła z najbliższego wozu.

- Jakiś facet chce cię zobaczyć.

- A czego on chce?

- Mówi, że chce pogadać z tobą o swojej córce.

Zapadła długa cisza, w czasie której mężczyzna w wozie zastanawiał się.

- Jak wygląda?

- Potężny byk ze strzelbą.

- Żartujesz!

- Ani trochę! Mówi, że jak nie wyjdiesz, to sam pójdzie po ciebie. Płótno na wozie odchyliło się lekko i przez szczelinę wyjrzało jedno oko. Potężny ryk poderwał Seana na nogi. Płachta zakrywająca wejście do wozu została odrzucona i na ziemię zeskoczył oficer dowodzący Zwiadowców. Ruszył do Seana z ramionami rozłożonymi jak u zapaśnika. On zaś patrzył na niego przez chwilę, następnie ryknął w ten sam sposób i przykucając w pozycji obronnej rozłożył ramiona.

- Yaah! - Mężczyzna zaatakował, na co Sean uderzył go piersiami i oplótł mocno ramionami.

- Tim Curtis, ty draniu! - ryknął z radości i bólu, gdy Tim szarpał go za brodę.

- Sean Courteney, ty cholerny sukinsynu - wrzasnął Tim, a uścisk Seana pozbawił go oddechu.

- Chodźmy na kielicha. - Sean walnął go w żebra.

- Na całą butelkę! - Tim wykręcił mu ucho.

W końcu rozdzielili się i stali śmiejąc się serdecznie, szczęśliwi z ponownego spotkania.

Służący wrócił z kawą dla Seana i Tim odpędził go pogardliwym ruchem ręki.

- Żadnych takich świństw! Przynies butelkę brandy z mojej skrzyni.

- Jak widzę, znacie się obaj - wtrącił się mężczyzna w wannie.

- Znamy się! Jezu, pracowałem dla niego przez pięć lat! -

zachnął się Tim. - Wykopywałem z ziemi jego brudne złoto. Najgorszy szef, jakiego miałem w życiu.

- No to teraz masz okazję mi się odwdziżyć - uśmiechnął się Sean - ponieważ przyszedłem pracować dla ciebie.

- Słyszysz to, Saul? Ten wariat chce się zaciągnąć!

- Mazel tow. - Kąpiący się mężczyzna zanurzył koniec cygara w wodzie, odrzucił je i wstał. Podał Seanowi namydloną dłoń. - Witamy w legionie straceńców. Nazywam się Saul Friedman. Jak rozumiem, pan się nazywa Sean Courteney. Gdzie jest ta butelka? Musimy uczcić pańskie przybycie.

Zamieszanie ściągnęło innych żołnierzy z wozów i Sean został przedstawiony każdemu z nich. Umundurowanie zwiadowców składało się z pozbawionych dystynkcji czy stopni bluz w kolorze khaki, kapeluszy i spodni do jazdy konnej. Oddział składał się z dziesięciu ludzi. Wyglądali na twardzieli i Seanowi przypadła do gustu ich kompania.

Owinięty jedynie ręcznikiem wokół bioder, Saul pełnił rolę barmana. Kiedy rozsiedli się w cieniu drzew, Tim przedstawił im życiorys Seana, który Saul uzupełniał kpiącymi komentarzami wywołującymi burzę śmiechu w całej kompanii. Było jasne, że Saul jest obozowym wesołkiem i że dobrze pełni swoją rolę. Najmłodszy ze wszystkich, nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat i fizycznie był najsłabszy w oddziale. Był to szczupły, owłosiony na całym ciele mężczyzna i tak brzydki, że aż przyjemnie było popatrzeć. Seanowi podobał się najbardziej ze wszystkich.

Godzinę później, gdy brandy wprawiła ich w swarliwy nastrój poprzedzający rozrobę, Sean spytał:

- Kapitanie Curtis...

- Poruczniku, i nie zapominaj o tym - poprawił go Tim.

- No to, poruczniku. Na czym polega nasze zadanie i kiedy je wykonujemy?

Tim spojrział niechętnie na pustą szklankę i podniósł wzrok na Saula.

- Wyjaśnij mu - rozkazał.

- Jak już wcześniej wspomniałem, jesteśmy legionem straceńców. Ludzie patrzą na nas ze współczuciem i zakłopotaniem. Na nasz widok przechodzą na drugą stronę ulicy, żegnając się ukradkiem i mamrocząc zaklęcia przeciw Złemu. Żyjemy samotni w naszej

kolonii trędowatych.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, ponieważ dowodzi nami najbardziej cholerny karzeł w całej armii Natalu. Oficer, który mimo szeregu medali, nie zostałby obdarzony zaufaniem nawet przez młode dziewczyny. Jest głównym oficerem łącznikowym wojsk kolonialnych w sztabie generalnym. Podpułkownik Garrick Courteney, V.C.<sup>1</sup>, D.S.O.<sup>2</sup>. - Saul umilkł na chwilę i wyraz jego twarzy zmienił się nieco. - Mam nadzieję, że nie jest pan z nim spokrewniony?

- Nie. - Sean skłamał bez wahania.

- Dzięki Bogu - Saul kontynuował. - To jest powód, dla którego ludzie darzą nas współczuciem. Zakłopotanie wynika z tego, że nikt nie uznał naszego oficjalnego istnienia. Nawet wydawanie racji jest poprzedzane komiczną dyskusją Tima z kwatermistrzem. Ponieważ nazywamy się Zwiadowcami, wszyscy oczekują, że ruszymy tyłki i zrobimy jakiś zwiad. W dziwny sposób nawet niezdolność generała Bullera do posunięcia armii o sto jardów przez trzy ostatnie miesiące jest składana na nasze karki. - Saul napełnił sobie szklaneczkę. - Jak by nie było, nie zabrakło nam dotąd brandy.

- Masz na myśli, że nic nie robimy? - spytał z niedowierzaniem Sean.

- Jemy, śpimy i pijemy.

- Czasami składamy wizyty - dodał Tim. - Teraz jest równie dobry czas na to, jak kiedy indziej.

- Komu składamy wizyty?

- Jest w pobliżu pewna nadzwyczaj interesująca kobieta, mniej niż pięć mil stąd. Prowadzi wędrowny cyrk - czterdzieści wozów i czterdzieści dziewcząt. Podążają zawsze za armią, żeby zabawić żołnierzy i dodać im otuchy. Chodźmy i zażyjmy nieco rozkoszy, i pokrzepmy się przed walką. Jeśli wyjdziemy od razu, będziemy pierwsi w kolejce. Kto ostatni przychodzi, sam sobie szkodzi - dodał sentencjonalnie.

- Ja zostaję w obozie. - Saul wstał i ruszył do wozu.

- To dobry chłopak - zauważył Tim, patrząc na odchodzącego Saula.

- Czy to się sprzeciwia jego religii?

- Nie. Tylko ożenił się i traktuje to bardzo poważnie. A co z tobą?

- Ja nie jestem żonaty.

- No to chodźmy.

Znacznie później wracali razem w świetle księżyca do obozu, obaj w melancholijnym

---

1 V.C. (Victoria Cross) - Krzyż Zwycięstwa.

2 D.S.O. (Distinguished Service Order) - Honorowa Odznaka za Służbę.

nastroju, odurzeni alkoholem i znużeni wizytą u rarkietanek. Dziewczyna, którą wybrał Sean, była ładną i towarzyską kobietą z dużym biustem.

- Lubię cię, mój panie - powiedziała mu po wszystkim.

- Też cię lubię - odparł zgodnie z prawdą Sean.

Mimo że nie odczuwał więcej wstydu niż przy zaspokajaniu jakichkolwiek innych potrzeb cielesnych, Sean wiedział, że pół godziny w łóżku z nieznajomą dziewczyną było marną namiastką jego potrzeb.

Jadąc zaczął nucić piosenkę, którą Ruth śpiewała w ową burzliwą noc.



**12.** Podpułkownik Garrick Courteney zdjął mundur i powiesił go ostrożnie na manekinie stojącym przy biurku. Tak jak pani domu z dumą poprawia obraz na ścianie, tak pułkownik dotknął palcami ciężkiego brązowego krzyża, aż ten zawisł w odpowiedniej pozycji. Przeczytał półgłosem napis: "Za Męstwo" i uśmiechnął się.

Szampan, który wypił przed obiadem, sprawił, że miejsce jego mózgu zajął wielki, skrzący się diament: ostry, twardy i jasny.

Usiadł na krześle bokiem do biurka i wyprostował nogi.

- Ordynans, możesz go wprowadzić! - krzyknął i spojrzał na swoje buty. Nie widać różnicy, skonstatował. Patrząc na jego nogi nikt nie potrafił rozpoznać, która składała się z mięśni i kości, a która była tylko kawałkiem drewna.

- Sir. - Ostry głos poruszył go i pułkownik schował nogi pod biurko z poczuciem winy.

- Curtis! - Przyjrzał się człowiekowi stojącemu przed biurkiem. Tim stał w postawie na baczność patrząc flegmatycznie na dowódcę i Garry pozwolił mu stać tak przez chwilę. Czuł satysfakcję, że drań musi wyprężyć potężne nogi, aby oddać szacunek Garrickowi Courteneyowi. Niech postoi. Czekaj cierpliwie, mierząc go wzrokiem, i w końcu Tim zadrzał lekko i odchrząknął.

- Spocznij! - Nie było żadnych wątpliwości, kto tu rządzi. Garry wziął z biurka nóż do papieru i bawił się nim, mówiąc. - Zastanawiasz się, czemu po ciebie posłałem. - Uśmiechnął się szeroko. - No cóż, powód jest taki, że mam w końcu dla was zadanie. Jadłem dziś obiad z generałem Bullerem. - Zamilkł na chwilę, żeby ta ważna wiadomość dotarła do podwładnego. - Omawialiśmy kwestię ofensywy. Generał chciał poznać moje zdanie w kilku istotnych kwestiach. - Garry ledwo powstrzymał się przed powiedzeniem czegoś głupiego. - Zresztą, nie o to chodzi. Chcę, żeby twoi ludzie zrobili rekonesans wzdłuż rzeki po obu stronach Colenso. Spójrz tutaj. - Garry rozłożył mapę na biurku. - Tu i tu są zaznaczone brody. - Uderzył w mapę nożem. - Znajdźcie je i porządnie oznakujcie. Sprawdźcie też mosty: kolejowy i drogowy. Upewnijcie się, czy nadają się do przeprawy. Macie to zrobić tej nocy. Chcę mieć pełny raport na jutro rano. Możesz odejść.

- Tak jest, sir.

- Aha, Curtis - Garry zatrzymał pochylonego Curtisa w drzwiach. - Nie zawieź mnie. Znajdźcie te brody. - Gdy płótno opadło za wysokim Amerykaninem, wysunął szufladę biurka i wyjął z niej srebrną pierścionkę. Otworzył ją i powąchał zawartość, zanim pociągnął pierwszy łyk.

O świcie zwiadowcy wrócili parami do obozu. Sean i Saul przyjechali ostatni. Zsiedli z koni, przekazali je służącym i przyłączyli się do grupy siedzącej przy ognisku.

- No i...? - Tim spojrzał na nich, ściskając w rękach kubek z kawą. Jego ubranie było przemoczone i przy ogniu zaczęło parować.

- Wysadzili most kolejowy, ale drogowy został nienaruszony.

- Jesteś pewien?

- Przeszliśmy przez niego.

- To już coś - mruknął Tim i Sean podniósł sceptycznie brwi.

- Tak myślisz? Nie przyszło ci do głowy, że zostawili ten most. ponieważ chcą, żebyśmy spróbowali przeprowić się właśnie w tym miejscu?

Nikt nie odpowiedział, więc Sean kontynuował:

- Kiedy już sprawdziliśmy z Saulem mosty, przeprowadziliśmy mały zwiad po drugiej stronie. Za mostem kolejowym jest kilka niskich kopców. Podkradliśmy się do nich.

- I?

- Na tych wzgórkach siedzi więcej Burów niż kolców na grzbiecie jeżozwierza. Każdy, kto spróbuje przejść przez most w ciągu dnia zostanie zastrzelony jak kaczka.

- Cudowna perspektywa! - warknął Tim.

- Przepiękna, no nie? Jeśli będę dłużej o tym myślał, to się porzygam. Co znaleźliście?

- Dużo wody. - Tim rzucił spojrzenie na swoje mokre ubranie. - Głębokiej wody.

- Żadnych brodów - odgadł Sean.

- Ani jednego. Ale znaleźliśmy na brzegu prom z wybitym dnem. Pewnie dlatego zaznaczono bród na mapie.

- Więc teraz możesz pójść i zanieść dobre nowiny naszemu ukochanemu pułkownikowi. - Saul skrzywił się wesoło. - Stawiam pięć do jednego, że to i tak nic nie zmieni. Według mnie, Buller zaatakuje Colenso w ciągu najbliższych dwóch dni. Może uda mu się przetrwać kilka tysięcy ludzi przez most i wtedy będziemy mieli jakąś szansę.

Tim spojrzał na niego nieszczęśliwym wzrokiem.

- A Zwiadowcy będą szli w pierwszym szeregu. Ty jeszcze dasz sobie radę. Rabbi i tak maksymalnie zmniejszył powierzchnię strzelniczą twojego ciała - ale co z nami?

- Przecież bród jest zaznaczony na mapie - sprzeciwił się pułkownik Garrick Courteney. Jego głowa pochylała się nad mapą tak, że Tim widział różową skórę czaszki prześwitującą przez rzadkie włosy koloru piasku.

- Widziałem już smoki i morskie potwory na mapach, sir - odparł Tim.

Garry spojrzał na niego zimno bladoniebieskimi oczyma.

- Curtis, nie płacimy panu za wygłupy.

- Przepraszam, sir. - Garry zmarszczył brwi. Curtis potrafił powiedzieć "sir", jakby to była obelga.

- Kogo wysłałeś? - zazaądał odpowiedzi.

- Sam poszedłem, sir.

- Mogłeś je minąć w ciemnościach.

- Gdyby tam był bród, to prowadziłyby do niego droga czy choćby ścieżka. Tego nie mógłbym minąć, sir.

- Ale w ciemnościach mogłeś się pomylić - nalegał Garry. - Mogłeś nie zauważyć czegoś, co byłoby oczywiste w świetle dziennym.

- No cóż, sir...

- Dobrze. - Garry nie zatrzymywał się. - Teraz mosty. Są nienaruszone, czy tak?

- Tylko most drogowy, ale...

- Ale co?

- Ludzie, których posłałem, donieśli, że wzgórze po drugiej stronie rzeki są obsadzone żołnierzami. Tak jakby most został pozostawiony jako pułapka.

- Curtis. - Garry odłożył nóż do cięcia papieru. Nos pułkownika był zbyt duży jak na przestrzeń między oczyma i kiedy zacisnął usta, Tim pomyślał, że dowódca przypomina małego brązowego wróbla.

- Curtis - powtórzył miękko Garry. - Wygląda na to, że nie bardzo jesteś podniecony perspektywą tego zadania. Wysłałem cię z konkretnym poleceniem, a ty przychodzisz z długą listą wymówek. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak ważne jest to zadanie.

Ćwir, ćwir - wróbelku. Tim uśmiechnął się ukradkiem do siebie i Garry się zaczerwienił.

- Na przykład, kogo posłałeś na rekonesans mostów? Mam nadzieję, że jakichś ludzi godnych zaufania?

- Z pewnością, sir.

- Kogo?

- Friedmana.

- Och! Tego małego żydowskiego prawnika. Bardzo rozsądny wybór, Curtis, wyjątkowo rozsądny. - Garry prychnął i podniósł nóż do papieru.

Mój Boże! - Curtis był zaskoczony. - Jest także żydożercą. Ten wróbelek ma wszystkie cnoty.

- Kogo jeszcze posłałeś?

- Nowego rekruta.

- Nowego rekruta? Nowego rekruta! - Garry rzucił nóż i podniósł ręce w błagalnym geście.

- Pracowałem dla tego człowieka przed wojną. Znam go bardzo dobrze, sir. To wspaniały człowiek. Zaufałbym mu bardziej niż komukolwiek innemu. Prawdę mówiąc chciałem pana prosić o zatwierdzenie jego awansu na sierżanta.

- Jak się nazywa ten cudowny człowiek?

- Przypadkowo nosi to samo nazwisko, co pan, choć powiedział mi, że nie jest z panem spokrewniony. Nazywa się Courteney. Sean Courteney.

Powoli, bardzo powoli, wyraz twarzy Garry'ego zmienił się w nieprzeniknioną maskę. Jego twarz zrobiła się jednocześnie trupio blada. Oczy stały się nieobecne, zapatrzone w głąb duszy, w tajemne miejsca z przeszłości. Ciemne miejsca. Garry zobaczył małego chłopca wspinającego się po pochyłym zboczu.

*Przedziera się przez gęsty las, czując wszystkie mięśnie nóg od trudów wspinaczki. Wchodzi na wzgórze pogrążone w głębokim cieniu, wdychając zapach liści, słysząc delikatny szmer owadów, a pot ścieka mu po czole w parny letni poranek. Oczy ma wyteżone do granic możliwości, gdy w gęstym zielonym listowiu wypatruje antylopy, na którą polują. Pies ciągnie mocno smycz i pierś mu gra tym samym podnieceniem.*

*Pies warczy i chłopiec dostrzega mignięcie potężnego ciała przed sobą, stukot kopyt o skalę i pęd ucieczki.*

*Pada strzał, głośny wybuch rozlega się w pobliżu i ranny byk zaczyna przedzierać się przez wysoką trawę, kalając ją kroplami krwi. Wyżej słychać głos Seana.*

- Mam go. Trafilem go pierwszym strzałem! Garry, Garry! Mam go, mam go!

*Pies ciągnie go ku słońcu. Podniecony Sean zaczyna zbiegać ze wzgórza, pędząc w szaleńczym tempie ze strzelbą w ręku. Wtem potyka się i upada, strzelba wypada mu z rąk, rozlega się huk kolejnego wystrzału i potężne uderzenie zbija Garry'ego z nóg.*

*Teraz Garry siedzi na trawie patrząc ze zdumieniem na nogę. Z ciała wystają małe odłamki kości, a na ziemię leje się ciemna, gęsta krew.*

- Nie chciałem... O Boże, Garry, nie chciałem. Potknąłem się. Naprawdę, potknąłem się.

Garry zadygotał; jego ciałem targnął gwałtowny spazm, a w nodze pod biurkiem poczuł silny skurcz.

- Czy pan się dobrze czuje, sir? - W głosie Tima słychać było troskę.

- Czuję się doskonale, Curtis. Dziękuję. - Garry przygładził włosy na skroniach. Pokazywały mu się już zakola. - Proszę, kontynuuj.

- No więc mówiłem, że to wygląda jak pułapka. Zostawili ten most, żeby...

- Curtis, twoim zadaniem jest zbieranie informacji. Od ich oceniania jest sztab generalny. To już chyba koniec raportu? Dobrze, możesz odejść.

Musiał się napić, jego ręka już spoczęła na uchwycie szuflady.

- Aha, Curtis. - Głos Garry'ego niemal się załamał z powodu suchości w gardle, ale udało mu się to przemóc. - Zatwierdzam awans, o którym wspominałeś. Poinformuj tego człowieka, że jest sierżantem.

- Tak jest, sir.

Oczywiście, w razie ataku od czoła na most ten człowiek będzie służył jako przewodnik dla pierwszej linii atakujących.

- Sir?

Rozumiesz chyba tę konieczność? - Tim jeszcze nigdy nie słyszał tego skomlącego tonu u swojego przełożonego. Wyglądało to tak, jakby pułkownik szukał poparcia u Tima; jakby chciał usprawiedliwić swoją decyzję. - Chodzi mi o to, że ten człowiek zna już most. Przeszedł przez niego. Jedyne on zna teren, czy tak? - Tak, sir.

- Zresztą jest sierżantem. Rozumiesz, że nie możemy posłać tam byle kogo, zwykłego szeregowca.

- Ja mógłbym pójść, sir.

- Nie. Nie. Będziemy cię potrzebować przy brodzie.

- Jak pan sobie życzy.

- Nie zapomnisz o tym, dobrze? Wyślesz go, tak? - Teraz Garry już niemal prosił.

- Wyślę go - zgodził się Tim i wyszedł z namiotu.

Garry wysunął szufladę, a jego drżące palce zaskrobały w deski w poszukiwaniu butelki.

### 13.

*Do generała Sir Redversa Bullera, V.C.*

*Oficer dowodzący,*

*Brytyjska Armia Ekspedycyjna w Natalu*

*Chieveley*

*19 grudnia 1899*

Sir,

Mam zaszczyt poinformować pana, że zgodnie z pańskimi rozkazami przeprowadzono rekonesans miejsca przeprawy. Zwiad został poprowadzony przez oficerów i żołnierzy Natalskiego Korpusu Zwiadowców w nocy z 18 na 19 grudnia. Rezultaty zwiadu są podane poniżej: Bród oznaczony literą "A" na załączonej mapie: Mimo iż bród wydaje się zapewniać łatwą przeprawę dla dużej liczby ludzi, jest trudny do zlokalizowania w ciemnościach i nie nadaje się do nocnego wypadu. Most oznaczony literą "B" na załączonej mapie: Jest to most drogowy stalowej konstrukcji. Most jest nienaruszony, prawdopodobnie z powodu jego trwałej konstrukcji, która uniemożliwiła dokonanie zniszczenia. Most oznaczony literą "C" na załączonej mapie: Jest to stalowy most kolejowy, który został zniszczony przez wroga.

Ogólne uwagi: Ograniczony zwiad terenów za rzeką Tugelą przez oddział NKZ ujawnił obecność wroga na wzgórzach oznaczonych literami „D” i „E”. Nie znaleziono jednak żadnych śladów artylerii czy znacznych sił wroga.

Courteney G., Podpułkownik

Oficer dowodzący NKZ

#### **FRAGMENT ROZKAZÓW WOJENNYCH GENERAŁA SIR REDYERSA BULLERA V.C. WYDANYCH W NOCY 19 GRUDNIA 1899**

Oddziały dowodzone przez generała brygady Lytteltona zaatakują i zajmą miasteczko Colenso. Następnie opanują i przekroczą most stalowy i odsuną nieprzyjaciela ze wzgórz na drugim brzegu. (Zobacz załączoną mapę.)

**14.** Leżeli obok siebie w trawie, a rosa przeinaczała im mundury. Noc była cicha i spokojna. Na niebie nie było ani jednej chmurki i gwiazdy wydawały się bardzo jasne. Srebrzyste światło Drogi Mlecznej ukazywało przed nimi zarys wzgórz za rzeką, nadając im złowróżbny charakter.

Saul ziewnął głośno i po chwili Sean mu zawtórował. Mimo że nie spali całą noc, nie było to symptomem zmęczenia, a jedynie nerwów napiętych do granic możliwości tuż przed atakiem na pozycje Burów...

- Jeszcze z półtorej godziny do świtu - szepnął Saul i Sean odchrząknął. Co za sens liczyć godziny? Słońce wstanie dokładnie o szóstej czterdzieści siedem i znajdująca się za nimi brytyjska armia ruszy do ataku przez trawiastą równinę.

Sean podniósł się na kolana i ponownie przyjrzał rozpościerającemu się przed nimi terenowi, uważnie oglądając brzeg Tugeli, przypatrując się przeszłom stalowego mostu sto kroków przed nimi i licząc każdy krzak na tym brzegu, żeby upewnić się, że ich nie przybyło ani żaden nie zmienił miejsca. Usatysfakcjonowany położył się w trawie.

- Mój Boże, ale zimno! - Czuł, jak Saul dygoce obok niego.

- Wkrótce zrobi się gorąco. - Sean w ciemnościach wyszczerzył wesoło zęby. Czyste niebo przyniosło ochłodzenie przed świtem i trawa oraz ich ubrania były dokładnie przemoczone; nawet lufy karabinów były nieprzyjemnie zimne w dotyku. Sean dawno temu nauczył się ignorować niewygodę. Jeśli było to konieczne, to potrafił leżeć nieruchomo, podczas gdy muchy tse-tse siadały mu na karku i wbijały palące żądła w delikatną skórę za uszami. Ucieszył się jednak na widok pierwszych oznak zbliżającego się świtu.

- Idę - szepnął.

- Powodzenia. Przygotuję śniadanie, jak wrócisz.

Zadanie było dla jednego człowieka. Sean nie czuł szczególnej podnieci na myśl o tym, co ma zrobić. Upewnili się z Saulem, że po ich stronie rzeki nie ma żadnych oddziałów wroga, i teraz, kiedy było już za późno, żeby Burowie zmienili pozycję, ktoś musiał przejść na drugą stronę i sprawdzić, w jakiej sile nieprzyjaciel broni mostu. Kilka maximów ustawionych w bliskiej odległości od mostu czy podłożone w ostatniej chwili ładunki gotowe do wysadzenia zredukowałyby do zera i tak nikłe szansę zwycięstwa.

Sean zarzucił karabin na plecy i zaczął się czołgać w stronę mostu. Zatrzymał się dwa razy, żeby wsłuchać się w odgłosy nocy, ale nie miał zbyt wiele czasu - pełny świt nadejdzie za godzinę. Dotarł do przeszła i leżał w jego cieniu obserwując brzeg po drugiej stronie. Nic się tam nie poruszało. W świetle gwiazd wzgórz wyrastały w morzu trawy niczym grzbiety wielorybów. Odczekał pięć minut - dostatecznie długo, żeby jakiś niespokojny strażnik

zmienił pozycję - nadal nic.

- No to w drogę - szepnął do siebie i nagle zaczął się bać. Z początku nie rozpoznał tego uczucia, gdyż doświadczył go nie więcej niż trzy, cztery razy w życiu, ale jeszcze nigdy z tak błahego powodu. Przykucnął przy stalowych przesłach mostu, czując miękkość w nogach i gwałtowny skurcz żołądka. Dopiero trupi smak zgniłych ryb w gardle pozwolił mu rozpoznać, co to jest.

Boję się. Jego pierwszą reakcją było zdziwienie, które zaraz przemieniło się w panikę.

Wiedział, jak to się stało. Widział ludzi, którym się to przydarzyło. Przypomniawszy sobie rozmowy przy obozowym ognisku, współczucie zawarte w słowach rozmawiających.

*- Jego nosiciel broni przyprowadził go do obozu. Trząśł się, jakby był w gorączce, i cały czas płakał. Myślałem, że jest ranny. „Daniel” - powiedziałem. - “Daniel, co się stało?”*

*- „To pękło” - odpowiedział, a łzy ciekły mu po brodzie. - „Coś pękło w mojej głowie, słyszałem, jak pęka. Rzuciłem strzelbę i uciekłem.”*

*- „Daniel, czy on zaatakował?” - spytałem.*

*- “Nie, człowieku. Nawet go nie widziałem. Tylko słyszałem, jak się pożywia w legowisku. Wtedy to pękło w mojej głowie i uciekłem.”*

*- To nie był tchórz. Polowałem z nim wiele razy i widziałem, jak zabił atakującego słonia, tak że ten padł z trąbą przy jego nogach. Był w tym bardzo dobry, ale żył zbyt blisko tego. Nagle coś przestawiło się w jego głowie. Nigdy już nie polował.*

Nazbierałem w życiu strachu, jak stary statek zbiera małże i zielsko poniżej linii wody, i teraz mnie to zatopi. Sean wiedział, że jeśli zacznie uciekać, to i on nigdy już nie będzie polował.

Schowanemu w ciemnościach, pocącemu się ze strachu w lodowatym porannym powietrzu Seanowi zbierało się na wymioty. Był chory oddychał ciężko przez usta, a coś tłustego podnosiło mu się z żołądka pod gardło. Był tak słaby, że nogi ugięły się pod nim i musiał przytrzymać się przesła.

Stał tak przez minutę, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Następnie zaczął walczyć z lękiem, pokonując go drobnymi zwycięstwami; naprężając mięśnie nóg, żeby opanować ich drzenie, i zmuszając je do poruszania się do przodu. Niepewną ręką dotknął spodni na siedzeniu i zaraz cofnął ją z obrzydzeniem.

Zrozumiał, że stary dowcip o tchórzach jest prawdziwy i że odnosi się także do niego.

Wszedł na most, z wysiłkiem podnosząc nogę za nogą, przesuując je po kolei do przodu, stawiając na ziemi i przenosząc pomału ciężar ciała. Nawet nie oddychał już naturalnie; każdy wdech i wydech był kontrolowany przez mózg. Nie mógł zaufać swojemu



ciału również przy wypełnianiu najprostszych zadań - zbyt boleśnie go zawiodło.

Gdyby Burowie czekali na moście, już by go zabili. Szedł samym jego środkiem nie zachowując ostrożności, wielki i wyraźnie widoczny w mętym świetle gwiazd, a odgłos kroków dźwięczał głucho na metalu.

Wreszcie poczuł pod nogami zwir. Przeszedł. Ruszył dalej środkiem drogi, która lekko skręcała ku wzgórzom.

Wraz z nim podążał paniczny strach, którego ryk rozrywał mu głowę, niczym huk morza. Pas karabinu ześliznął mu się z ramienia i broń stuknęła głośno o ziemię. Stał pełną minutę, zanim zdołał zmusić się do schylenia i sięgnięcia po nią. Założył karabin na ramię, odwrócił się i ruszył z powrotem. Szedł bardzo wolno, licząc każdy krok, odmierzając je - co sekunda jeden - pilnując nóg, żeby nie rzuciły się do ucieczki. Gdyby zaczął biec, wszystko byłoby skończone. Nigdy więcej już by nie polował.

- Wszystko w porządku? - Saul czekał na niego.

- Tak. - Sean opadł na trawę.

- Widziałeś coś?

- Nic.

Saul przypatrywał mu się.

- Jesteś pewien, że dobrze się czujesz?

Sean westchnął. Kiedyś już przeżył taki lęk. Paniczny strach zaatakował go w kopalni, ale wówczas zostawił strach w sztolni i wrócił spokojnie do domu. Miał nadzieję, że i teraz uda mu się porzucić lęk za rzeką, ten jednak tym razem podążył za nim. Z dziwną pewnością wiedział, że nigdy go już nie opuści. Zawsze będzie gdzieś w pobliżu.

Będę musiał go pokonać, pomyślał. Będę musiał złamać go, okiełznać.

- Tak, wszystko w porządku - odpowiedział Sean. - Która godzina?

- Wpół do szóstej.

- Wyślę Mbejane do obozu.

Wstał i podszedł do miejsca, w którym Mbejane czekał z końmi. Wręczył Murzynowi kawałek zielonego materiału, który był sygnałem, że ani miasto, ani most nie są obsadzone przez oddziały wroga. Schował czerwoną szmatkę do kieszeni na piersi.

- Wrócę - powiedział Mbejane.

- Nie. - Sean potrząsnął przecząco głową. - Nie masz tu nic do roboty.

Mbejane odwiązał konie.

- Zostań w pokoju.

- Jedź w pokoju. - Sean czuł ulgę, że Mbejane nie będzie świadkiem, jeśli jego pan

załamie się i ucieknie ze strachu.

Nie wolno mi się załamać, zawziął się gwałtownie. Dzisiejszy dzień będzie sprawdzianem. Jeśli go przeżyję, to może uda mi się pokonać bojaźń.

Wrócił do Saula i czekając na świt położył się obok niego w trawie.

**15.** Ciemności rozplywały się w brzasku poranka i z każdą minutą mogli widzieć coraz więcej szczegółów. Sean rozróżniał już balustradę mostu, kontrastującą regularnym kształtem z masywem przęsła. Następnie zobaczył ciemne krzaki na tle jaśniejszej trawy i skał.

Światło zniekształcało odległość, oddalało wzgórza po drugiej stronie i odbierało im wyraz wrogości. Długi klucz białych czapli leciał nad rzeką dostatecznie wysoko, żeby złapać pierwsze promienie słońca, i ptaki wyglądały jak zwiastuny jasności, błyszczące nad światem cieni. Wraz z brzaskiem nadleciał chłodny wiatr, którego szum w trawie odpowiadał szmerowi rzeki.

Promienie słoneczne padły na wysokie wzgórza, jakby błogosławiąc armię Republiki. Mgła zalegająca wąwozy zaczęła się podnosić w ciepłe słońca, rozwiewana na strony przez wiatr.

Krawędź słonecznego dysku uniosła się nad horyzontem i nastął jasny dzień, oczyszczony przez rosę.

Sean przyglądał się przez lornetkę wzgórzom na drugim brzegu. Sto kroków dalej widać było delikatne smugi dymu, świadectwo, że armia burska gotowała poranną kawę.

- Myślisz, że mogą nas zauważyć? - spytał niespokojnie Saul. Sean nie opuszczając lornetki potrząsnął przecząco głową. Dwie kępy krzaków i cienka zasłona z trawy, którą zbudowali w nocy, dostatecznie ich osłaniała od strony wzgórz.

- Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? - powtórzył pytanie Saul. Sądząc po grymasie na twarzy, Seana coś bolało.

- Mam kłopoty z żołądkiem - stęknął Sean. Niech to się zacznie myślał jednocześnie, niech to się wreszcie zacznie. Czekanie jest najgorsze.

Raptem poczuł lekkie drzenie ziemi pod piersiami i ta delikatna wibracja przyniosła mu olbrzymią ulgę.

- Nadciągają działa - oznajmił i korzystając z osłony jednego z krzaków, wstał, aby spojrzeć za siebie.

Działa jechały w jednej długiej kolumnie, rozdzielone bezpiecznymi odległościami. Zbliżały się szybko, wciąż widoczne jako małe punkciki, które powiększały się nieustannie, gdy siedzący na koniach działowi popędzali zaprzęgi. Jeszcze chwila i Sean dostrzegł podnoszące się i opadające ramiona z batami, usłyszał stukot kół i stłumione okrzyki poganiaczy.

Mimo że w kolumnie jechało szesnaście dział ciągniętych przez sto pięćdziesiąt koni, a obok nich stu ludzi do ich obsługi, na olbrzymiej równinie przed Colenso oddział wydawał

się mały i niewiele znaczący. Sean spojrzął dalej i zobaczył piechurów podążających za działami; szereg za szeregiem, tysiące szeregów zbliżających się pewnie do rzeki. Poczuł, jak ogarnia go dobrze znane uczucie podniecenia. Wiedział, że armia kieruje się wzdłuż znaków ułożonych w nocy przez niego i Saula, i że oni dwaj pierwsi przejdą most - prowadząc te tysiące ludzi do boju.

Jednak obecne uniesienie nie przypominało w niczym uczuć, które kiedykolwiek nim władały. Było silniejsze i bardziej dojmujące, podszyte olbrzymim strachem. Sean doświadczał pierwszy raz w życiu, że lęk może być przyjemnym uczuciem.

Przyglądał się oddziałom rozciągającym się na brązowej równinie, wyglądającym niczym kości rzucone na stół do gry bezwzględną ręką wojny. Świadomość, że on sam jest jedną z kostek, napełniała go obawą i jednocześnie radością.

Działa były już całkiem blisko. Rozróżniał krzyki poganiaczy, a nawet rozpoznawał w ich twarzach swoje własne uczucia.

Coraz bliżej, może nawet za blisko. Sean obejrzał się niepewnie na wysokie wzgórza za rzeką i ocenił odległość. Jakieś dwa tysiące jardów, zasięg dobrego karabinu. Lecz działa wciąż jechały naprzód. - Jezu Chryste! Czy oni poszaleli? - spytał z przestraszeniem. - Muszą zacząć strzelać. - Saul także pojął niebezpieczeństwo. - Nie mogą się bardziej zbliżać.

Jednak działa nadciągały niepowstrzymanie. Łoskot kół rozlegał się niczym grzmot, za nimi z mokrej ziemi podnosił się gęsty kurz a zmęczonym koniom leciała piana z otwartych pysków.

- Są już w zasięgu karabinów. Muszą się zatrzymać. Muszą! - jęknął Sean.

W końcu kolumna zatrzymała się i kolejne działa odwracały się szybko w prawo bądź w lewo, wystawiając się na czekające karabiny Burów.

- Mój Boże! Mój Boże! - Sean nie mógł powstrzymać jęku. - Zmasakrują ich!

Patrzył z przerażeniem na działowych stojących w strzemionach, żeby sprawdzić powozy; na dowódców dział, którzy zeskakiwali z koni w galopie i puszczając je wolno biegli odczepiać armaty i nakierowywać je na cel.

W momencie pełnym zamieszania, gdy żołnierze kłębili się przy działach, ładując je i nacelowując na wzgórza, zanim jeszcze zdążono wyładować pociski i ustawić je przy armatach - wystrzeliły burskie karabiny. Odgłos nie przyniósł ze sobą spodziewanego skutku; była to wyjątkowo niewojenna salwa, stłumiona przez odległość i przypominająca wystrzał kilkuset sztucznych ogni. Nie wywołała też żadnego efektu. Wysoka trawa skryła pociski, a kurz był zbyt wilgotny, żeby znaczyć ślady trafień.

Ale zaraz potem jeden z koni został trafiony i upadł na ziemię, kopiąc w agonii

nogami i przewracając na kolana stojącego w zaprzęgu obok towarzysza. Dwóch ludzi podbiegło, żeby go odciąć, lecz jeden z nich nie dotarł do celu. Usiadł nagle w trawie ze spuszczoną głową. Padły dwa następne konie. Trzeci wspiał się na tylne nogi i walił jednym kopytem w powietrze, druga noga złamana nad kolaniem przez kulę kołysała się bezwładnie.

- Wycofajcie się! - ryknął Sean. - Cofnijcie się, póki jeszcze jest na to czas! - Jednak jego potężny głos nie mógł się przedrzeć przez krzyki, rozpaczliwe jęki i paniczne rzenie koni.

Do okropnego hałasu włączył się nowy dźwięk, którego Sean z początku nie rozpoznał; dźwięk przypominający rześisty deszcz bijący w blaszany dach, najpierw samotny, coraz częstszy, aż w końcu setka potężnych młotów waliła w nierównym rytmie. Uświadomił sobie, że słyszy odgłos pocisków trafiających w działa.

Zobaczył niemal równocześnie celowniczego padającego na zamek i blokującego go swoim ciałem, póki inni żołnierze nie odciągnęli trupa; działowego upuszczającego niesiony ładunek, potykającego się na miękkich nogach, które go raptem zawiodły, i padającego twarzą na ziemię; konia wyrywającego się z zaprzęgu i galopującego przez

równinę w płataninie lejców; stado bażantów zrywających się z trawy nie opodal baterii i wzlatających nad rzekę, by zaraz opaść w zarośla, a za działami równe szeregi piechoty zbliżające się spokojnie do opuszczonych domostw Colenso.

Wreszcie bateria dział wystrzeliła z hukiem, od którego zadrżała ziemia a w powietrze wzbilo się szesnaście obłoczków niebieskiego dymu.

Sean nakierował lornetkę na wzgórza i zobaczył pociski wybuchające na krawędzi masywu. Przerażające zielonożółte kwiaty rozkwitających gazów materiału wybuchowego załśniły krótko w słońcu i wiatr porwał w powietrze tłuste obłoki dymu.

Znowu wszystkie działa wypaliły i po chwili jeszcze raz - każda salwa była jednak coraz bardziej nierówna, aż w końcu wystrzały poszczególnych armat zwały się w jeden nieustanny łoskot. Niedługo zarys wzgórza został przesłonięty kurzem i dymem lydditu<sup>3</sup>. Nad wzgórzem wisiał także dym, szara mgła unosząca się z wystrzałów tysiąca karabinów.

Sean szybko nastawił celownik karabinku lee-metford na tysiąc jardów, przesunął się do przodu na łokciach, przycisnął twarz do kolby i zaczął strzelać na oślep w dym nad wzgórzem. Leżący za nim Saul także strzelał w tym samym kierunku.

Sean dwukrotnie zmienił magazynek, zanim obejrzał się na działa. Tempo ostrzału znacznie zmalało. Większość koni leżała na trawie. Martwi żołnierze zalegali działa, a ranni szukali schronienia za podstawami armat. Z sześciuosobowych załóg zostało nie więcej niż

---

<sup>3</sup> Lyddit - materiał wybuchowy.

trzech, czterech ludzi do obsługi każdej z nich.

- Głupcy, cholerni głupcy - szepnął Sean i skoncentrował się na strzelaniu, mechanicznie odsuwając zamek, ładując nabój do komory tym samym ruchem, celując w chmurę gęstniejącego dymu i odpalając. Nie liczył strzałów i za każdym razem, gdy słyszał pusty szczęk zamka, wyjmował z pasa kolejny magazynek, ładował broń i strzelał dalej. Zaczął się pocić, czuł strużki wilgoci ściekające mu po plecach. Był zupełnie ogłuszony nieustannym hukiem karabinu, a mięśnie ramion całkiem mu zdrętwiały.

Z wolna ogarnęło go uczucie nierealności wywołane łoskotem dział i smrodem spalonego prochu. Miał wrażenie, że zawsze będzie tak leżał i strzelał do niczego, do dymu. Niedługo rzeczywistość jeszcze bardziej zbladła i w końcu widział jedynie celownik karabinu, jedyną wyraźną rzecz we mgle. Dymna zasłona nie miała kształtu. W uszach brzęczała mu niezwykła cisza, przez którą nie przedzierały się żadne odgłosy bitwy. Był sam, spokojny i otumaniony hipnotyzującym ruchem oparów i mechanicznymi czynnościami ładowania i strzelania. Nagle zaszła jakaś zmiana. Nad jego głową rozległ się dźwięk niby szum olbrzymich skrzydeł i zaraz potem huk, jakby sam szatan zatrzaskał drzwi do piekła. Wystraszony Sean podniósł głowę i zobaczył kulę błyszczącego białego dymu, która wirowała i rozpościerała się wysoko nad baterią dział.

- Co u...

- Szrapnel - mruknął Sean. - Wybiją ich wszystkich. Rozległy się następne huki, gdy burskie nordenfeldty zasypywały przestrzeń nad równiną białymi kulami dymu, z których na obsługę dział spadały z sykiem tysiące stalowych odłamków.

Sean usłyszał głosy. Oszołomiony kanonadą dział potrzebował dłuższej chwili, żeby je rozpoznać. Zapomniał o piechocie.

- Nie zostawać z tyłu.

- Trzymać szyk z prawej. Trzymać szyk!

- Niech nikt nie biegnie. Spokojnie, ludzie. Nie biec.

Długie szeregi ludzi pęczniały, rozciągały się i znowu prostowały, gdy oficerowie poganiaли żołnierzy. Idąc w równych odstępach, z karabinami trzymanymi na wysokości piersi, żołnierze minęli działa. Za nimi widać było ciała koloru khaki leżące na równinie; niektóre z nich spoczywały nieruchomo, ale inne wily się i jęczały z bólu. Jednostajne okrzyki: "Dołączyć. Nie zostawać z tyłu" szybko łątały dziury w kolumnie maszerujących żołnierzy.

- Kierują się na most kolejowy. - Sean poczuł zapowiedź katastrofy. - Czy nie wiedzą, że został zniszczony?

- Musimy ich zatrzymać. - Saul poderwał się z ziemi.

- Dlaczego ci głupcy nie kierują się według naszych znaków? - Sean krzyknął z gniewem, choć wiedział, że nikt mu nie udzieli odpowiedzi na to pytanie. Zrobił to, żeby zyskać na czasie, opóźnić chwilę, kiedy będzie musiał opuścić schronienie i wyjść na pole smagane pociskami karabinów i maximów. Wrócił strach. Nie chciał opuszczać schronienia.

- Chodź, Sean. Musimy ich zatrzymać. - Saul zaczął biec. Wyglądał jak chuda małpka biegnąca susami ku nadciągającej fali wojska. Sean wciągnął powietrze i zatrzymał je na chwilę w płucach, zanim ruszył za Saulem.

Dwadzieścia jardów przed kolumną żołnierzy maszerował szybkim krokiem oficer z obnażoną szablą w dłoni.

- Hej, tam! - wrzasnął Sean, machając kapeluszem, żeby zwrócić na siebie uwagę. Udało mu się i oficer przeszył go jasnoniebieskimi oczyma, ostrymi niczym szpady. Szare wąsiki poruszyły się i oficer skierował krok ku dwóm zwiadowcom.

- Kierujecie się na niewłaściwy most - krzyknął Sean głosem piskliwym z podniecenia. - Most kolejowy został wysadzony, nie możecie przejść tamtędy.

Oficer zbliżył się do nich i zwolnił kroku.

- A kim do cholery wy jesteście, jeśli można spytać?

- Jesteśmy zwiadowcami... - zaczął Sean i podskoczył do góry, gdy kula z mauzera wyrzuciła piasek pomiędzy jego nogami. - Schowaj pan tę cholerną szablę, każdy Bur po tamtej stronie rzeki będzie próbował pana zastrzelić.

Pułkownik, sądząc po epoletach, zmarszczył brwi.

- Sierżancie, ma się pan do mnie zwracać...

- Do diabła z tym! - ryknął wściekle Sean. - Niech pan idzie na most drogowy. - Wskazał na widoczną po lewej stronie przez gałęzie drzew metalową konstrukcję mostu. - Jeśli będzie pan szedł dalej tą drogą, to rozniosą was na strzępy.

Przez chwilę pułkownik lustrował go zimnym spojrzeniem, aż wreszcie podniósł gwizdek do ust i wydał przenikliwy dźwięk.

- Kryć się! - krzyknął na całe gardło. - Kryć się!

Niemal natychmiast pierwszy szereg upadł w trawę. Zaś idące z tyłu złamały szyk, gdy żołnierze zastanawiali się, co robić.

- Biegnijcie do miasteczka - zabrzmiał jakiś potężny głos. - Schowajcie się pomiędzy budynkami.

Szeregi rozsypały się i tysiąc ludzi zaczęło biec, przepychając się, w stronę domków Coenso. Żołnierze wbiegli na jedyną ulicę miasteczka, nurkując w otwartych drzwiach i

wskakując do domów przez okna. W pół minuty pole było puste.

- Może mi pan powiedzieć, o co tu do cholery chodzi? - zażądał rozgniewany pułkownik, zwracając się do Seana.

Sean niecierpliwie powtórzył wszystko, stojąc cały czas w szczerym polu i czując, że brak innych celów przyciąga uwagę wszystkich Burów do ich małej grupki.

- Jest pan pewien?

- Cholera jasna! Pewnie, że jestem. Most został zniszczony, zerwali wszystkie druty kolczaste łączące oba brzegi i wrzucili je do rzeki. Nigdy nie uda się panu jej przekroczyć w tym miejscu.

- Chodźmy. - Pułkownik skierował się ku najbliższemu domowi. Sean ruszył za nim. Później nie mógł zrozumieć, jak mu się udało przejść sto jardów nie biegnąc.

- Na miłość boską, niech pan schowa tę szablę - warknął na pułkownika, gdy kule zaczęły świstać coraz bliżej.

- Jest pan zdenerwowany, sierżancie? - Pułkownik uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Jasne, że jestem. Jak cholera.

- Ja też. Ale nic by to nie dało, gdyby zobaczyli to żołnierze, zgadza się pan ze mną? - Podciągnął pochwę i schował do niej szablę. - Jak się nazywacie, sierżancie?

- Sean Courteney. Natalski Korpus Zwiadowców. A jak brzmi pańskie nazwisko? - Sean instynktownie schował głowę w ramionach, gdy kula świsnęła mu koło ucha.

Pułkownik wyszczerzył wesoło zęby.

- Acheson. John Acheson. Drugi Batalion, Szkoccy Fizylierzy. Dotarli do domku. Sean, który z trudem się już powstrzymywał, rzucił się z ulgą przez kuchenne drzwi do środka i znalazł tam Saula. Saul podał mu cygaro i bez słowa je przypalił.

- Ci zwariowani Szkoci! - stwierdził bez entuzjazmu. - Jesteś równie pomyłony jak oni. Maszerujecie sobie spokojnie w samym środku bitwy.

- W porządku, Courteney. - Acheson wszedł za nim do kuchni. - Przyjrzyjmy się sytuacji.

Słuchał w skupieniu, gdy Sean wyjaśniał mu wszystkie szczegóły, podniesionym głosem, żeby przekrzyczeć wystrzały dział, wybuchy pocisków i huk setek karabinów Lee-Enfield, które strzelały ze wszystkich okien i drzwi miasteczka. Kuchnia posłużyła za gabinet opatrunkowy i jęki rannych potęgowały jeszcze wrzawę bitwy.

Kiedy Sean skończył, Acheson odwrócił się od niego i podszedł do okna. Spojrzał wzdłuż linii kolejowej na pozycję baterii. Działa były ustawione jak na paradzie, ale żadne z nich nie strzelało. Garstka działowych, którzy przeżyli ostrzał, czołgała się w stronę małego



wąwozu, ciągnąc ze sobą rannych towarzyszy.

- Biedni dranie - mruknął Sean i zobaczył, jak jednego z wycofujących się kula trafiła w głowę, a hełm poszybował w powietrze w rozbłysku czerwonej fontanny.

Widok ten poruszył także Achesona.

- W porządku - zdecydował. - Idziemy do mostu drogowego Courteney, idziesz z nami.

Za ich plecami rozległ się krzyk i Sean usłyszał odgłos ciała padającego na ziemię. Nie obejrzał się za siebie, patrząc cały czas na most. Mimo że nogi niosły go zupełnie mechanicznie, miał wrażenie, że wcale nie zbliża się do celu. Drzewa były w tym miejscu gęstsze i dawały im przez chwilę schronienie przed strzelcami wyborowymi z drugiego brzegu. Jednak żołnierze ciągle padali na ziemię, a w pewnej chwili nad ich głowami rozerwał się szrapnel.

- Chodźmy szybciej. Zajmiemy najlepsze miejsca po drugiej stronie - krzyknął za nim Saul.

- Chodźmy - zgodził się Sean i wyrwali do przodu. Pierwsi wbiegli na most, z Achesonem zaraz za nimi. Kule zostawiały jaskrawe szramy na zielonych, metalowych poręczach i tylko jakimś cudem znaleźli się po drugiej stronie. Przekroczyli Tugelę.

Przy drodze znajdował się płytki rów, w którym obaj zanurkowali. Sean zerknął za siebie. Mostem waliła fala ludzi w mundurach koloru khaki; znikł cały porządek, gdy Burowie skierowali ogień na tłoczących się żołnierzy.

Ci, którym udało się przebiec na drugą stronę, chowali się za niskim nasypem przy brzegu, podczas gdy na moście rozpoczęła się prawdziwa masakra. Przerażeni ludzie przepychali się klnąc dziko, padali i umierali.

- To zwykła rzeź. - Sean był porażony potwornością obrazu. Ranni i zabici wypadali przez niskie barierki, spadając z pluskiem do mętnej, brązowej wody. Niektórzy z nich walczyli z prądem usiłując dopłynąć do brzegu. Jedyne małe strumień ludzi przedzierał się przez kule na drugi brzeg i zapadał w dwóch przydrożnych rowach lub za niską skarpią.

Sean widział wyraźnie, że atak się załamuje. W twarzach chowających się w rozpadlinie żołnierzy i w sposobie, w jaki przywierali do ziemi, dostrzegł paniczny lęk i niewiarę w zwycięstwo. Przeprawa przez most złamała dyscyplinę i zniwelowała rangi; szeregowcy i oficerowie leżeli obok siebie, równie wycieńczeni i przerażeni. Pomiędzy grupkami schowanymi w rowach za skarpią nie było żadnego kontaktu. Sean dostrzegł, że zaczyna brakować miejsca dla wciąż napływających ludzi. Ogień z pozycji burskich nie zelżał nawet na chwilę i nowe fale żołnierzy musiały przedzierać się przez zwały trupów i rannych

zalegających most, powiększając ciągle ich liczbę.

Po zielonych przesłach mostu spływały strumyki krwi, które coraz bardziej brązowiły mętne fale. Ponad dzikim wrzaskiem zabijanych i jękami rannych wznosiły się od czasu do czasu przenikliwe okrzyki oszalałych z przerażenia ludzi.

- Dwudziesty pierwszy do mnie! Formujcie się przy mnie!
- Ogień na wzgórze! Dziesięć serii!
- Nosze!
- Bili! Gdzie jesteście, Bili?
- Jezu Chryste! Jezu Chryste!
- Do ataku, ludzie! Biegiem!
- Dwudziesty pierwszy naprzód! Bagnet na broń!

Niektórzy żołnierze powysuwali się do połowy z rowów i strzelali w stronę pozycji wroga; inni siedzieli na ziemi i popijali wodę z menażek. Nie opodał sierżant mocował się z zablokowanym zamkiem karabinu, klnąc cały czas, a obok niego siedział mężczyzna oparty o ścianę rowu, z rozstawionymi nogami i patrzył na krew chlustającą z rany na brzuchu.

Sean podniósł się i poczuł smagnięcie kuli na policzku, a zarazem paniczny strach zakleszczający żołądek. Wygramolił się z rowu.

- Naprzód! - ryknął na całe gardło i zaczął biec w kierunku wzgórz. Był na otwartym terenie, na małej łączce, a na pogniłych palikach przed nim wisiał drut kolczasty. Dobiegł do ogrodzenia, podniósł nogę i z całej siły kopnął słupek. Płot się przewrócił na ziemię. Sean przeskoczył go jednym susem.

- Oni zostali - krzyknął biegnący za nim Saul.

Sean się zatrzymał. Znajdowali się już w połowie pola i karabiny Burów zwracały się ku nim.

- Biegnij, Saul! - Sean zerwał kapelusz z głowy. - Naprzód, wy dranie! - Wydarł się z całych sił, machając na nich kapeluszem.

Kula śmignęła tak blisko jego głowy, że aż się zachwiał z wrażenia.

- Tędy! Za mną! Chodźcie! - Saul go nie zostawił. Skakał z podniecenia, wymachując ramionami.

- Wracajcie. - Dobiegł ich głos Achesona. Pułkownik stał w rowie. - Courteney, wracaj!

Atak się załamał. Sean pojął to dopiero w tej chwili i zrozumiał decyzję Achesona. Atak przez otwartą łąkę byłby zwykłym samobójstwem. Siła, która przywiodła Seana aż do tego miejsca, opuściła go nagle i strach smagnął go niczym batem. Zaczął uciekać co sił w

nogach ku schronieniu, płacząc z przerażenia, pochylając się do przodu i rozpychając powietrze łokciami.

Nagle biegnącego za nim Saula dosięgła kula. Dostał w głowę, karabin wyleciał mu z rąk. Skrzecząc ochryple z bólu wyłożył się jak długi. Sean nawet nie zwolnił kroku.

- Sean! - Usłyszał za sobą krzyk Saula.

- Sean! - Doleciał go wrzaskliwy jęk, lecz Sean był głuchy na jego prośbę i biegł dalej, ku bezpieczeństwu, jakie zapewniał rów.

- Sean! Proszę! - Sean zawahał się i stanął niezdecydowany, słysząc strzały z mauzerów i świst kul wokół siebie.

Zostaw go - wydarł się na niego strach. Zostaw go. Uciekaj! Uciekaj!

Saul pełził w jego stronę z twarzą zalaną krwią i oczyma wpatrzonymi w twarz Seana.

- Sean!

Zostaw go. Zostaw go.

Jednak w czerwonej od krwi twarzy rannego widać było nadzieję, a jego palce drapały ziemię, ciągnąc ciało do przodu.

To było szaleństwo, ale Sean wrócił po niego.

Dźgany strasznym lękiem znalazł siłę, żeby dźwignąć rannego i biec z nim do rowu.

Nienawidząc go, jak jeszcze nikogo w życiu, Sean zbliżał się szybko do schronienia. Wartki potok myśli sprawił, że czas wydawał się stać w miejscu i Sean przestał wierzyć, iż kiedykolwiek dotrze do kryjówki.

- Niech cię diabli! - wystękał z nienawiścią.

- Niech cię wszyscy diabli! - Podszyte strachem niewyraźne słowa wrywały mu się z ust.

W pewnej chwili ziemia rozstąpiła mu się pod nogami i Sean przeokoziłkował. Wpadli do rowu. Sean przetoczył się na bok, jak najdalej od Saula. Leżał na brzuchu, wciskając twarz w ziemię i trząsł się, jakby miał febrę.

Z wolna strach zelżał i wtedy dopiero podniósł głowę.

Saul siedział oparty o ścianę rowu. Jego twarz była wymazana mieszaniną krwi i brudu.

- Jak się czujesz? - Sean stęknął ochryłym głosem.

Saul spojrział na niego nieprzytomnie. Słońce stało pionowo nad ich głowami, zrobiło się bardzo gorąco. Sean odkręcił zakrętkę manierki, przysuwając ją do ust Saula. Ranny wypił z trudem kilka łyków. Woda polalała mu się z kącików ust na brodę i mundur.

Sean także się napił, dysząc ciężko z ulgi.

- Zobaczmy, co z twoją głową.

Zdjął mu kapelusz z głowy i krew, która nagromadziła się wokół opaski, spłynęła gęstą strugą na czoło i szyję. Rozsuwając brudne włosy, Sean znalazł ranę w czaszce.

- Tylko draśnięcie - mruknął i obmacał kieszenie Saula w poszukiwaniu bandaża. Zawiązując biały turban na głowie rannego uświadomił sobie, że nad polem bitwy zapadła dziwna cisza, którą podkreślały szepty wokół niego i przypadkowy odgłos strzału ze wzgórza.

Bitwa była skończona. Przynajmniej udało nam się przejść na drugą stronę rzeki, pomyślał z goryczą. Zostawał jednak otwarty problem powrotu.

- Boli cię jeszcze? - Namoczył chusteczkę i otarł krew i brud z twarzy Saula.

- Dziękuję, Sean. - Sean zobaczył, że oczy Saula są pełne łez. Poczul wstyd. Odwrócił od niego spojrzenie.

- Dziękuję, że... że wróciłeś po mnie.

- Zapomnij o tym.

- Nigdy. Nie zapomnę tak długo, jak żyję.

- Sam byś postąpił tak samo.

- Nie, chyba nie. Nie byłbym zdolny do tego. Sean, tak się bałem. Nie masz nawet pojęcia, jak byłem przerażony. Ty nie wiesz, co to znaczy strach.

- Zapomnij o tym. Daj już spokój.

- Muszę ci powiedzieć. Jestem ci to winny - od tej pory jestem twoim dłużnikiem... Gdybyś po mnie nie wrócił... nadal bym tam leżał. Będę do końca życia twoim dłużnikiem.

- Zamknij się, do cholery! - Widział, że oczy Saula są jakieś inne, zwężone źrenice przypominały czarne punkty. Saul potrząsał idiotycznie głową. Kula oszołomiła go. Sean nie mógł jednak powstrzymać gniewu.

- Zamknij się - warknął jeszcze raz. - Myślisz, że ja nie wiem co to strach? Byłem tak przerażony, że nienawidziłem cię. Słyszysz? Nienawidziłem cię!

Nagle jego głos zmiękł. Musiał wytłumaczyć wszystko Saulowi i sobie samemu. Musiał powiedzieć mu o tym, usprawiedliwić się i jednocześnie wszystko uporządkować.

Raptem poczuł się bardzo stary i mądry, jakby dostał do rąk klucz do tajemnicy życia. Wydało mu się, że wszystko rozumie i potrafi wyjaśnić.

Siedzieli obok siebie w słońcu, oddzieleni od innych ludzi i głos Seana przeszedł w niecierpliwy szept, którym starał się przekazać Saulowi całą poznaną prawdę.

Nie opodal nich leżał kapral fizyliarów. Spoczywał martwy na plecach, a muchy kłębiły się nad jego oczyma i składały w nich jajeczka, wyglądem przypominające drobne ziarenka ryżu; zebrane w powiekach, odsłaniały otwarte oczy.

Saul oparł się ciężko o ramię Seana i od czasu do czasu nerwowo potrząsał głową, próbując się skoncentrować na jego słowach. Słuchał głosu, który najpierw się potykał i zatrzymywał, a potem zaczął płynąć coraz szybciej popędzany nowymi myślami. Wyczuwał desperację Seana, gdy ten starał się uchwycić i przekazać choć kilka okruchów wiedzy, którą jeszcze przed chwilą posiadał. Wreszcie zapadła cisza, jakby wszystko to, co było do powiedzenia, nagle gdzieś przepadło.

- Nie wiem - stwierdził w końcu Sean.

- Ruth. - Głos Saula brzmiał martwo, a jego oczy nie mogły kupić się na twarzy Seana, gdy patrzył na niego spod zaczerwienionego turbanu. - Mówisz jak Ruth. Czasami w nocy, kiedy nie może spać, próbuje mi coś powiedzieć. Już prawie ją rozumiem, niemal udaje jej się jasno wyrazić myśl i nagle się zatrzymuje. "Nie wiem", mówi w końcu. "Po prostu nie wiem."

Sean odsunął się gwałtownie od niego i wlepił wzrok w jego twarz.

- Ruth?

- Ruth - moja żona. Polubiłbyś ją, Sean - a ona ciebie. Jest taka dzielna... przedarła się do mnie przez linie Burów. Całą drogę z Pretorii przejechała sama. Dotarła do mnie. Nie mogłem w to uwierzyć. Całą drogę. Zwyczajnie jednego dnia weszła do obozu i powiedziała: "Cześć, Saul. Jestem!" Tak po prostu. Polubisz ją, jak ją poznasz. Jest taka piękna...

W październiku, kiedy nadchodzą potężne wiatry, zawsze zaczynają wiać jakiegoś cichego dnia. Wcześniej przez miesiąc jest sucho i ciepło i nagle słyszy się, jak nadciągają z daleka, miękko wyjąc. Huk natęża się szybko, w powietrzu wiruje brązowy kurz, a drzewa pochylają się nisko, łomocząc gałęziami. Widać nadciągającą wichurę, ale żadne przygotowania nie zdają się na nic, kiedy uderzy. Człowieka otacza potężny ryk i kurz, który oszalał i oślepią swoją gwałtownością.

W ten sam sposób Sean zobaczył narastającą w nim burzę, rozpoznał morderczą wściekłość, przez którą nieomal zabił człowieka, ale nie potrafił się przygotować na jej przyjście. W pewnej chwili zalała go fala gniewu, zaślepiając i ograniczając pole widzenia do twarzy Saula Friedmana. Widział ją z profilu, gdyż Saul patrzył przez równinę Colenso na linie Anglików.

Sean podniósł karabin martwego kaprała i położył go sobie na kolanach. Odsunął kciukiem bezpiecznik. Saul nic nie zauważył.

- Jest teraz w Pietermaritzburgu. Dostałem od niej list w zeszłym tygodniu - wymamrotał i Sean przesunął karabin tak, że lufa celowała w bok Saula poniżej pachy.

- Sam ją wysłałem do Pietermaritzburga. Mieszka tam teraz ze swoim wujem. - Saul podniósł rękę i dotknął głowy. Sean zacisnął palec na spuście. - Tak bym chciał, żebyś ją poznał. Polubiłaby cię. - Spojrzał na Seana, a w jego oczach malowało się bezgraniczne zaufanie. - Napiszę jej w liście o dzisiejszym dniu... o tym, co zrobiłeś.

Sean ściągnął spust i poczuł ostateczny opór.

- Oboje jesteśmy twoimi dłużnikami... - Saul zamilkł i uśmiechnął się wstydliwie. - Chcę, żebyś tylko wiedział, że nigdy o tym nie zapomnę.

Zabij go - zawył głos w głowie Seana. Zabij go teraz - zrób to szybko. Nie pozwól mu mówić.

Było to pierwsze jasne polecenie, jakie wydał jego instynkt.

Teraz! Zrób to teraz! Jednak wskazujący palec się rozluźnił.

To on stoi pomiędzy tobą a Ruth. Zrób to, szybko. Szum w głowie zelżał. Wichura skończyła się i Sean słyszał, jak się oddala. Podniósł karabin i wolno przesunął bezpiecznik na swoje miejsce.

W ciszy, jaka zapanowała po burzy, Sean uświadomił sobie, że Saula Friedmana będzie odtąd otaczał specjalną opieką. Ponieważ niemal odebrał mu życie, od tej chwili życie Saula stało się honorowym długiem.

Odłożył karabin i zamknął ciężko oczy.

- Lepiej pomyślmy, jak się stąd wydostać - powiedział cicho. - Inaczej mogę nie mieć okazji poznać tej twojej piękności.

**16.** Hart sam wpakował się w te kłopoty! - Pompatyczny głos generała Redversa Bullera pasował do wystającego brzucha. Generał odchylił się do tyłu, wyciągając lunetę. - Co o tym myślisz, Courteney?

- No cóż, na pewno nie udało mu się dotrzeć do brodu, sir. Wygląda na to, że został zatrzymany na zakolu rzeki - zgodził się z nim Garry.

- Niech go diabli! Moje rozkazy były wyraźne - ryknął Buller. - Co z działami, możesz je dostrzec?

Wszystkie lunety w grupie oficerów skierowały się w stronę środka pola, gdzie w kłębach dymu i kurzu widać było porzewiałe dachy Colenso wystające nad poszarpane drzewa.

- Nie mogę... - zaczął Garry i drgnął nerwowo, gdy potężne działo wystrzeliło z hukiem ze skarpy za nimi. Garry podskakiwał przy każdym strzale. Gdybym tylko wiedział, kiedy będzie odpalać, pomyślał i znowu drgnął przy kolejnym grzmocie.

- Nikt ich nie obsługuje - wtrącił się jeden z oficerów i Garry poczuł, że zazdrości mu opanowania i kontroli nad głosem. Jego własne ręce drżały tak silnie, że musiał z całych sił ścisnąć lornetkę, żeby coś zobaczyć. Po każdym wystrzale z działa nad ich głowami unosił się obłok dymu. Słońce prażyło coraz mocniej i Garry'ego męczyło pragnienie. Pomyślał o manierce z wodą schowanej w torbach przy siodle i następny wystrzał całkowicie go zaskoczył. Tym razem obie nogi Garry'ego oderwały się od ziemi.

- ...Courteney, zgadzasz się ze mną? - Dobiegł go głos Bullera.

Nie słyszał początku pytania.

- W zupełności, sir.

- Dobrze. - Generał zwrócił się do adiutanta. - Wyślij gońca do Harta. Rozkaż mu się wycofać, zanim go tam zmasakrują. Pośpiesz się z tym, Clery.

W tym momencie Garry dokonał ważnego odkrycia. Pod nieprzeniknioną maską z okazałymi srebrnymi wąsami, za wyłupiastymi oczyma - generał Redvers Buller był równie podniecony i niepewny siebie jak Garry Courteney. Potwierdzały to jego ciągle prośby o radę. Oczywiście Garry nie uważał, że jednym z powodów, dla których generał szukał poparcia u niego, a nie u innych oficerów sztabowych był fakt, iż Buller mógł zawsze na nie liczyć.

- To ułatwia sprawę lewej flanki. - Buller nie ukrywał ulgi z podjętej decyzji i przesunął lunetę w prawo, by przyjrzeć się niskiemu wzgórzcu Hlangwane. - Wygląda na to, że Donaldson utrzymał się na swojej pozycji. - Wcześniej dochodziły ich częste strzały z karabinów z prawej flanki, ale teraz panowała tam cisza. - Jednak centrum... - Jakby chciał uniknąć spotkania, zwrócił wreszcie lunetę na zasłonę dymu, płomieni i wybuchających

szarpaneli nad Colenso. - Chodźcie. - Złożył lunetę. - Lepiej przyjrzyjmy się z bliska temu, czego tam dokonali. - Poprowadził sztab do koni. Uważając, żeby nikt nie zajął jego miejsca u boku generała, Garry pośpiesznie kuśtykał za nim. Kiedy dotarli do dowództwa brygady Lytteltona ukrytego w głębokim parowie jakieś pół mili przed pierwszymi budynkami miasteczka, Buller potrzebował pełnej minuty, żeby rozeznąć się w sytuacji. Straty oszołomiły go.

- Zajęliśmy miasto, sir. Trzy kompanie poszły na most drogowy i zajęły go, ale nie da się utrzymać. Wysłałem już gońca, żeby ich zawrócił.

- Ale dlaczego działa milczą? Co się stało z pułkownikiem Longiem?

- Działa zostały uciszone. Long jest ciężko ranny.

Podczas gdy Buller osadzał konia słuchając raportu, sierżant Transwaldzkiej Artylerii Stanowej wystrzelił z nordenfeldta pocisk, przemieniając wycofywanie się brytyjskiej armii w klęskę, która rozniosła się echem po całym świecie.

Pocisk poszybował w górę z poszarpanych skał wzgórza na północnym brzegu, przeleciał nad rzeką zbrązowiałą od wybuchów szrapneli i pocisków, i od żołnierskiej krwi, wysoko nad opuszczonymi działami zarzuconymi trupami, z sykiem minął głowy pozostałej przy życiu garstki artylerzystów, którzy setny raz przypadli do ziemi, minął żołnierzy ukrytych w miasteczku Colenso, zniżył się nad drzewami mimozy, brunatną równiną zasłaną ciałami i ostatnim podrzutem w wirującym pyłe i dymie wylądował w samym środku sztabu generała Bullera.

Pod Garrym martwy koń padł na ziemię przygniatając mu nogę, która gdyby nie była z drewna, pękłaby natychmiast. Zobaczył krew ciekącą po mundurze i zalewającą mu twarz i usta.

- Dostałem. Pomóżcie mi, na Boga, pomóżcie mi, jestem ranny. - Garry wiał się w trawie, ocierając krew z twarzy.

Czyjeś ręce oswobodziły mu nogę i odciągnęły go od konia.

- To nie twoja krew. Nie jesteś ranny. To jego krew. Klęczący na kolanach Garry patrzył w przerażeniu na majora, który stał wcześniej przed nim i zasłonił go przed odłamkiem. Szrapnel urwał mu głowę i krew tryskała z szyi, jakby to był przerwany wąż strażacki.

Wokół niego ludzie walczyli z oszalałymi ze strachu końmi, które wyrwały się do ucieczki. Buller siedział zgięty w siodle, trzymając się za piersi.

- Sir, sir. Czy dobrze się pan czuje? - Adiutant poskramiał rżącego ogiera generała, trzymając go krótko przy pysku. Dwóch oficerów podbiegło do Bullera i pomogło mu zsiąść z



konia. Stał między nimi z twarzą wykrzywioną bólem. Kiedy odezwał się, jego głos drżał z nadmiaru emocji i był wyjątkowo szorstki.

- Lyttelton, wycofujcie się! Zarządź odwrót na całym froncie!

- Sir - sprzeciwił się generał brygady. - Mamy w swoich rękach miasto. Niech pan mi pozwoli osłaniać do nocy działa i wtedy odciągniemy je...

- Do cholery, Lyttelton! Słyszałeś, co powiedziałem. Wycofaj całą brygadę, natychmiast. Atak się załamał. - Buller oddychał z poświstem i cały czas trzymał się obiema rękami za bok.

- Jeśli się teraz wycofamy, poniesiemy cięższe straty niż dotychczas. Artyleria wroga jest wycelowana...

- Wycofaj ludzi, słyszysz mnie? - Głos Bullera podniósł się do krzyku.

- Działa... - spróbował jeszcze raz Lyttelton, ale Buller odwrócił się już do adiutanta.

- Wyślij gońców do brygady lorda Dundonalda. Musi natychmiast się wycofać. Nie pozwalam na żadną zwłokę, ma natychmiast przerwać walkę i wycofać swoje oddziały. Powiedz mu... powiedz mu, że atak załamał się na lewej flance i w centrum, działa przepadły, i że może zostać otoczony przez wroga. Ruszaj. Pośpiesz się z tym.

Wśród oficerów rozległy się ponure pomruki, gdy usłyszeli rozkazy. Wszyscy zwrócili wzrok na Lytteltona, który był najstarszym oficerem pozostałym przy życiu.

- Generale Buller - powiedział cicho Lyttelton, ale z przyganą, która poruszyła nawet zszokowanego Bullera. - Niech mi pan przynajmniej pozwoli spróbować odzyskać działa. Nie możemy ich tak zostawić. Proszę mi pozwolić zebrać ochotników...

- Ja pójdę, sir. Proszę mi pozwolić. - Młodszy oficer odepchnął w pośpiechu Garry'ego. Garry znał tego człowieka, wszyscy go znali. Był to nie tylko jeden z najbardziej obiecujących oficerów w sztabie Bullera, ale także jedyny syn sławnego lorda Robertsa.

Wsparłszy się na ramieniu adiutanta, Buller schował się w cieniu drzewa mimozy i z ulgą usiadł, opierając się plecami o pień. Spojrzał znudzonym wzrokiem na Robertsa, nie wykazując większego zainteresowania.

- W porządku, Bobbie. Lyttelton da ci swoich ludzi. Możesz iść. - Wydał spokojnie wyrok śmierci na niego. Roberts roześmiał się wesoło jak dziecko i pobiegł po konia.

- Sądzę, że wszyscy potrzebujemy się trochę wzmocnić. Czy przyłączycie się do mnie, żeby zjeść po kanapce i napić się po kieliszku szampana? - Buller skinął na adiutanta, który poszedł przynieść sakwy z prowiantem. Dwadzieścia jardów od nich rozerwał się pocisk, obsypując wszystkich grudkami ziemi. Buller zdjął źdźbło suchej trawy z wąsów i wybrał kanapkę z wędzonym łososiem.

**17.** Sean pełzł rowem w stronę rzeki. Na krawędzi rowu rozerwał się pocisk i zasypał mu plecy ziemią. Zatrzymał się, żeby strzepnąć trawę z wąsów i ruszył dalej do miejsca, gdzie pułkownik Acheson przykucnął obok kapitana fizylierów.

- Hej, pułkowniku, chyba mnie już pan nie będzie potrzebował, co? - Kapitan spojrzał zaskoczony sposobem, w jaki Sean zwrócił się do przełożonego, jednak Acheson uśmiechnął się tylko.

- Właśnie przybiegł do nas posłaniec. Dostaliśmy rozkaz wycofania się.

- Co za szkoda! - Sean mruknął z sarkazmem. - I to właśnie, gdy już dobieraliśmy się do naszych braci Burów. - Wszyscy trzej schylili jednocześnie głowy, gdy pociski z karabinu maszynowego wyrwały ziemię z rowu nad ich głowami. Sean podjął rozmowę w tym samym miejscu, w którym została przerwana. - W takim razie pozwolę sobie pożegnać pana.

- Dokąd idziesz? - spytał podejrzliwie kapitan.

- Na pewno nie przez most. - Sean wyjął niedopałek cygara z ust i wskazał nim na zbryzgana krwią szarą konstrukcję. - Mam ze sobą rannego. Nie uda mu się przejść o własnych siłach. Macie zapalki?

Kapitan wyjął pudełko zapalek z kieszeni na piersiach.

- Dziękuję. Mam zamiar przepłynąć z nim w dół rzeki i znaleźć lepsze miejsce do przeprawy. - Sean zapalił cygaro, dmuchnął gęstym dymem i oddał zapalki oficerowi. - Miło było pana poznać, pułkowniku.

- Courteney, ma pan moje pozwolenie na oddalenie się od oddziału. - Patrzyli sobie przez chwilę w oczy i Sean poczuł ochotę uściśnięcia temu człowiekowi dłoni, ale zamiast tego odwrócił się i ruszył w stronę, z której przyszedł.

- Courteney! - Sean zatrzymał się i spojrzał przez ramię. - Jak się nazywa ten drugi zwiadowca?

- Friedman. Saul Friedman.

Acheson zapisał nazwisko w notatniku i schował go do kieszeni.

- Usłyszysz jeszcze o dzisiejszym dniu. Powodzenia.

- Powodzenia, sir.

Sean obciął bagnetem dużą zieloną gałąź z drzewa, którego konary zwisały nad zbrunatniałą Tugelą.

- Chodź. - Saul ześliznął się po nadbrzeżnej glinie i wpadł po pas do wody tuż obok Seana.

- Zostaw karabin. - Saul posłusznie upuścił broń do rzeki.

- Po co ci ta gałąź?

- Żeby zakryć nasze głowy.

- Na co czekamy?

- Aż Acheson ściągnie na siebie uwagę, gdy będzie przedzierał się z ludźmi przez most.

W tej samej chwili na brzegu rozległ się przenikliwy gwizdek. Niemal natychmiast rozpoczął się ostrzał mający na celu przyduszenie Burów do ziemi i grupa żołnierzy w mundurach koloru khaki wbiegła na most.

- Teraz - zakomenderował Sean. Zanurzyli się w ciepłej wodzie wystawiając na powierzchnię jedynie głowy ukryte pod liśćmi. Gdy Sean odepchnął się od brzegu, natychmiast porwał ich wartki nurt. Żaden z nich nie oglądał się na rzeź, która odbywała się na moście za ich plecami.

Dwadzieścia minut później, kiedy przepłynęli pół mili w dół rzeki, Sean zaczął kierować się ku pozostałościom mostu kolejowego, którego fragmenty sięgały wody niczym spuszczonego most zwodzony. Jego resztki pozwalały na bezpieczną przeprawę w wodzie na drugi brzeg, a wysoki nasyp zapewniał im osłonę w czasie ucieczki przez równinę.

Sean wyczuł nogami muliste dno i po chwili znaleźli się pod roztrzaskaną konstrukcją niczym dwa kurczaki pod skrzydłami kury. Puścił gałąź i przeciągnął Saula pomiędzy metalowymi przesłami.

- Pięć minut odpoczynku - powiedział rannemu i usiadł za nim, żeby poprawić bandaż, który spadł Saulowi na uszy. Z ubrań ciekła brudna woda. Sean z żalem przypomniał sobie o cygarach w kieszeni marynarki.

Za wysokim żwirowym nasypem kolejki biegł rów. Idąc w kucki wzdłuż rowu Sean popychał przed sobą Saula, gromiąc go za każdym razem, gdy ten usiłował wyprostować się i rozluźnić sztywne mięśnie karku. Znajdujący się na wzgórzu snajper musiał ich wypatrzeć, gdyż w pewnej chwili koło głowy Seana świsnęła kula i wbiła się w żwir nasypu. Sean zaklął szpetnie, niemal dotykając nosem kolan. Saul nawet tego nie spostrzegł. Zachwiał się na zmęczonych nogach, potknął i w końcu wylądował na dnie rowu, bezwładnie jak szmaciana lalka.

Sean kopnął go.

- Wstawaj, do cholery!

- Nie, Ruth. Nie budź mnie. Przecież to niedziela. Nie muszę dzisiaj iść do pracy. - Mówiąc rozsądnie, przekonującym głosem Saul z prośbą spojrzał na Seana. Jego oczy były matowe, a źrenice zwężyły się do wielkości dwóch czarnych punktów.

- Wstawaj! Wstawaj, psiakrew! - Imię Ruth rozwścieczyło Seana. Złapał Saula za

ramię i potrząsał nim z całej siły. Głowa rannego latała nieprzytomnie na wszystkie strony, a spod bandaża zaczęła wyciekać krew. Nagle wystraszony Sean ułożył go delikatnie na ziemi.

- Saul, proszę. Musisz spróbować. Jeszcze tylko kawałek.

- Fałszywy blask - wyszeptał Saul. - Nie ma połyску. Nie chcę tego. - Zamknął oczy, jego usta rozchyliły się lekko i zaczął się wydobywać z nich chrapliwy oddech i ślina.

Seana opanowała dławiąca rozpacz, gdy przyglądał się nieprzytomnej twarzy. Oczy zapadły się głęboko w ciemne jamy, a blada skóra naciągnęła się na policzkach i chudym nosie.

Wcale nie dlatego, że niemal go zabiłem. Nie dlatego, że jestem mu coś dłużny. Więc dlaczego - dlaczego? Jak można wyrazić swoje uczucia do innego mężczyzny? Można tylko powiedzieć, że robię to, bo jest moim przyjacielem. Ponieważ jest moim przyjacielem, nie mogę go tu zostawić.

Kucnąwszy przy nim, Sean posadził wiotkie ciało na ziemi, zarzucił sobie rękę Saula na ramiona i wstał. Saul wisiał na jego plecach, głowa opadła mu na piersi. Sean spojrzał przed siebie i zobaczył żołnierzy, którym udało się wrócić przez most, jak biegną do miasteczka, ciągnąc ze sobą rannych.

Przez równinę uciekała cała potężna armia generała Bullera, przedzierając się w pojedynkę, po dwóch lub trzech. Pokonani żołnierze zmykali przed kulami i szrapnelami. Mniej niż sto jardów od rowu, w którym znajdował się Sean, stały szeregiem działa, ustawione równo na trawie i kompletnie opuszczone.

Sean odwrócił spojrzenie i zaczął maszerować na południe, jak najdalej od rzeki. Jedną ręką trzymał przez ramię nadgarstek Saula, a drugą obejmował go w pasie.

Uświadomił sobie nagle, że ogień Burów znowu przybiera na sile. Pociski, które spadały na chybił trafił pomiędzy biegnących ludzi, zaczęły teraz koncentrować się na terenie przed Seanem. Dochodząca z tyłu kanonada natężyła się przechodząc w nieustający trask wystrzałów przypominający pożar lasu.

Oparłszy się o ścianę rowu, Sean przez drzewa mimozy i burzę wybuchających pocisków i tumanów kurzu lustrował teren przed sobą. Dojrzał konie, dwa pełne zaprzęgi i jeźdźców galopujących pomiędzy poszarpanymi drzewami. Spod końskich kopyt wzbijał się kurz i mieszał z dymem wybuchów. Wysunięty daleko przed mały oddział żołnierzy jechał mężczyzna na olbrzymim koniu, kierując się ku opuszczonym działom.

- On się śmieje. - Zauroczony Sean patrzył, jak jeździec znika w tumanie kurzu i dymu wyrzuconego przez pocisk i po chwili wynurza się z niego, skręcając koniem jak gracz polo. Usta mężczyzny były szeroko otwarte i Sean dostrzegł błysk białych zębów. - Głupiec, śmieje

się do rozpuku!

Nagle Sean zaczął wiwatować z szaleńczą radością.

- Jedź, człowieku, jedź! - Darł się na całe gardło. Jego krzyk został zagłuszony przez wycie nadlatującego pocisku i huk wybuchu.

- Wrócili po działa! - zawył Sean. - Saul, przyjechali po działa. - Nie wiedząc co robi, oszalały z podniecenia Sean wybiegł z rowu i z nowymi siłami biegł z Saulem na plecach przez otwartą przestrzeń ku armatom.

Kiedy dotarł do baterii, pierwsza grupa jeźdźców już się nimi zajmowała. Żołnierze ustawiali konie przed pierwszym działem. Sean opuścił ostrożnie nieprzytomnego towarzysza i ułożył go na trawie. Dwóch ludzi mocowało się z lawetą, ale do jej podniesienia potrzeba było siły czterech.

- Z drogi! - krzyknął na nich Sean i stanął w rozkroku nad długim klinem dolnej części lawety. Zacisnął ręce na uchwytych i podźwignął ją z ziemi. - Podsuńcie wózek.

Szybko wsunięto wózek pod lawetę i przytwierdzono ją doń zaczepami. Sean cofnął się o krok dysząc ciężko.

- Dobra robota! - Młody oficer pochylił się w siodle ku Seanowi. - Wsiadaj na wóz.

Ale Sean odwrócił się i podbiegł do Saula. Podniósł go z ziemi i ostrożnie ruszył z nim w kierunku wozu.

- Weźcie go ode mnie - stęknął ciężko. Dwóch żołnierzy usadziło Saula pomiędzy sobą na siedzeniu woźnicy.

- Tu nie ma już dla ciebie miejsca, stary. Zajmij miejsce Taffy'ego na prawym dyszlowym - krzyknął do niego jeden z żołnierzy.

Sean zobaczył, że żołnierz ma rację. Jeźdźcy siedzieli już na koniach, ale jedno siodło było puste.

- Uważaj na niego - poprosił mężczyznę, który podtrzymywał Saula.

- Nie martw się, trzymam go mocno - zapewnił działowy i ponaglił Seana. - Lepiej wskakuj na konia, już odjeżdżamy.

- Uważaj na niego - powtórzył Sean i podbiegł do przodu.

W tej samej chwili odwrócił się od niego dobry los, który osłaniał go cały ranek. Za Seanem rozerwał się pocisk. Nie poczuł bólu, ale prawa noga ugięła się nagle pod nim i Sean upadł na kolana.

Próbował wstać, lecz ciało odmówiło mu posłuszeństwa.

- Naprzód! - krzyknął młody oficer i wóz z działem ruszył z miejsca, nabierając szybkości i podskakując na wybojach, gdy jeźdźcy poganiali konie. Sean zobaczył, że

działowy trzymający Saula patrzy na niego z wyrazem bezradności na twarzy.

- Uważaj na niego! - krzyknął Sean. - Obiecuj mi, że będziesz uważał na niego!

Działowy otworzył usta, żeby odkrzyknąć, ale pomiędzy nimi eksplodował kolejny pocisk wyrzucając w powietrze fontannę piasku, która zakryła wóz. Tym razem Sean poczuł, jak odłamek rozdziera mu ciało. Ból był niczym cięcie brzytwą i Sean runął na ziemię. Padając dostrzegł jeszcze, że młody oficer także został trafiony. Młodzieniec wyrzucił ramiona do góry i spadł z konia do tyłu uderzając ramieniem o ziemię, z jedną nogą zaplątaną w strzemień. Spłoszony wierzchowiec poniósł go po wybojach, aż wreszcie pasek strzemienia pękł i ciało spoczęło na trawie. Koń pogalopował za oddalającym się zaprzęgiem.

Sean także pełzł w tę samą stronę.

- Uważaj na niego - krzyknął ostatkiem sił. - Na miłość boską, uważaj na Saula. - Lecz nikt nie słyszał już jego próśb. Żołnierze wjechali pomiędzy drzewa, znikając w kłębach dymu wyrzucanego w powietrze przez pociski, które podążały za nimi niczym szereg brązowych demonów.

Sean nie przestawał się czołgać, używając jednej ręki, żeby chwytać się kępek trawy i podciągać o kilka cali do przodu, podczas gdy druga ręka wlokła się bezwładnie przy boku. W pewnej chwili prawa noga zaczepiła o coś i został unieruchomiony. Sean zaczął się szarpać, ale but był wbity w kępę trawy i nie dawał się oswobodzić. Przewinał się na bok trzymając złamaną rękę pod sobą i spojrzał na nogę.

Wszędzie było pełno krwi, na przygiętej trawie lśnił mokry, śliski pas czerwieni, a krew wciąż lała się z rany. Nie czuł jednak żadnego bólu, tylko lekkie zamroczenie i bezwład ogarniający głowę i całe ciało.

Noga była skrzycona pod ostrym kątem i z ziemi wystawał obcas buta. Sean chciał się roześmiać patrząc na tę dziwną nogę, ale byłby to zbyt duży wysiłek, więc tylko zamknął oczy przed żarem słońca.

Obok niego ktoś jęknął i przez krótką chwilę Sean był przekonany, że to Saul. Przypomniał sobie z wysiłkiem, że Saul jest bezpieczny i że to musi być młody oficer. Sean leżał z zamkniętymi oczami i słuchał, jak młodzieniec umiera. Był to okropny odgłos.

**18.** Generał Jan Paulus Leroux stanąwszy na wzgórzu wznoszącym się nad Tugelą, zdjął kapelusz z szerokim rondem i podwójnym denkiem. Czaszka generała była niemal zupełnie łysa, okolona jedynie nad uszami wianuszkami rudych włosów, które z tyłu dopiero gęstniały. Skóra na głowie była gładka i jasnokremowa, w miejscu gdzie kapelusz osłaniał ją przed słońcem. Kontrastująca z nią twarz była ogorzala od słońca i wiatru, przypominając odłamek czerwonej skały.

- Przyrowadź mojego konia, Hennie. - Generał poprosił młodzieńca, który stał za nim.

- Ja, wujku Paul. - Chłopak zbiegł po zboczu do miejsca, gdzie stały konie.

Jeden z żołnierzy wychylił się z rowu strzeleckiego, by spojrzeć na Jana Paulusa.

- Bóg wysłuchał naszych modlitw, wujku Paul. Dał nam wielkie zwycięstwo.

Jan Paulus skinął ciężko głową, a jego głos był cichy i pokorny, bez żadnego śladu radości.

- Ja, Frederik. W imię boże, wielkie zwycięstwo. Jednak nie tak wielkie, jak to planowałem, pomyślał.

Poza zasięgiem dział, niemal poza zasięgiem oka, niedobitki armii brytyjskiej znikaly za horyzontem.

Dlaczego moi strzelcy nie zaczekali, pomyślał z goryczą. Wytłumaczyłem im wszystko tak jasno, ale mnie nie pojęli.

Głównym punktem strategicznym był most. Gdyby tylko moi ludzie na pagórku poniżej wzgórz pozwolili Brytyjczykom go przekroczyć. Bóg pozwoliłby nam wtedy zabić tysiące, a nie setki. Kiedy nasza artyleria zniszczyłaby most za ich plecami, żaden z Brytyjczyków nie uszedłby z życiem z otoczonej wzgórzami równiny. Spojrzał z żalem na pułapkę, którą przygotował z taką pieczołowitością. Ze wzgórza widział wyraźnie wszystkie okopy, doskonale zamaskowane i nachodzące na siebie tak, że prowadzony z nich ogień mógł objąć całą nieckę, do której chciał zwabić armię wroga. Pułapka na nic mu się już nie zda, gdyż wróg nie wróci ponownie na to samo miejsce.

Hennie powrócił z jego wierzchowcem i Jan Paulus dosiadł go natychmiast.

- Chodź, zjedziemy na dół.

Czterdziestodwuletni Jan Paulus Leroux był wyjątkowo młody jak na misję, którą mu powierzono. Jego nominacja po odejściu starego Jouberta spotkała się z silną opozycją w Pretorii, ale prezydent Kruger uciszył niechętnie głosy i zmusił Volkraad do zaakceptowania swojego kandydata. Dziesięć minut wcześniej Jan Paulus wysłał mu telegrafem wiadomość, która potwierdzała słuszność pokładanego w nim zaufania.

Siedząc wygodnie w siodle i prostując nogi w długich strzemionach, ze sjambokiem zwisającym mu u pasa i kapeluszem osłaniającym głowę, Jan Paulus zjechał na równinę, żeby zebrać plon wojny.

Kiedy dojechał do pagórków i skierował pomiędzy nie konia, ludzie podnieśli się w rowach strzeleckich i zaczęli wiwatować na jego cześć. Wkrótce głosy z tysięcy gardeł złączyły się w jeden chóralny ryk radości, który odbił się echem od wzgórz niczym ryk lwów radujących się z upolowanej zwierzyny. Mijając żołnierzy Jan Paulus oglądał bez żadnej emocji ich twarze. Wszystkie były pokryte czerwonym pyłem i spalonym prochem, porysowane strużkami potu. Jeden z ludzi, żeby powstać, posłużył się karabinem jak kulami, a wokół jego ust zarysowały się linie bólu. Jan Paulus zatrzymał konia.

- Nie bądź głupcem, połóż się, człowieku!

Mężczyzna uśmiechnął się z bólem i pokręcił przecząco głową.

- Nee, wujku Paul. Idę z panem po działa. Jan Paulus skinął na ludzi otaczających rannego.

- Zabierzcie go. Zanieście do lekarza. - Ruszył dalej stępa kierując się do miejsca, gdzie czekał na niego komendant van Vyk.

- Kazałem ci powstrzymać ludzi, póki wróg nie przekroczy mostu - rzucił na powitanie i z twarzy van Vyka znikł uśmiech.

- Ja, wujku Paul. Wiem. Nie mogłem ich jednak pohamować. Młodszy zaczął strzelać bez pozwolenia. Kiedy zobaczyli działa pod samym nosem, nie mogłem ich dłużej powstrzymać. - Van Vyk obrócił się i wskazał za rzekę. - Niech pan spojrzy, jak blisko stoją.

Jan Paulus spojrział we wskazanym kierunku. Działa stały na otwartym terenie zasłonięte tylko ciemnymi krzakami; tak blisko, że mógł policzyć osie kół i dostrzec brązowe zamki.

- To była zbyt wielka pokusa - dodał skruszonym głosem van Vyk.

- Tak. Stało się i nic już nie możemy na to poradzić. - Jan Paulus zdecydował, że ten człowiek nigdy już nie będzie dowodził jego oddziałami. - Chodźmy, musimy je przyprowadzić.

Kiedy zbliżyli się do mostu drogowego, Jan Paulus zatrzymał kolumnę jeźdźców. Mimo że jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, na widok jatki, jaką zobaczył, poczuł skurcz żołądka.

- Zabierzcie ich - rozkazał i trzydziestu ludzi zsiadło z koni, by oczyścić most. Jan Paulus zawołał za nimi: - Obchodźcie się delikatnie z ciałami. Nie ciągnijcie ich jak worki. To byli ludzie. Dzielni ludzie. - Jadący za nim Hennie zaczął płakać. Łzy skapywały mu z brody



na skórzaną kurtkę. - Jong, opanuj się - mruknął cicho Jan Paulus. - Łzy są dobre dla kobiet. - Skierował konia ku wąskiemu przejściu pomiędzy stertami zwłok. Oczy go piekły i musiał sobie powtarzać ze złością, że to wina kurzu, słońca i lydditu.

Podjechali w milczeniu do dział i stali pomiędzy nimi bez radości, która powinna cechować zwycięzców. Nagle padł strzał. Jeden z jego ludzi zachwiał się na nogach i złapał się koła działa, żeby nie upaść.

Zawracając konia i rozplaszczając się na jego grzbiecie, Jan Paulus skierował go galopem w stronę rowu, skąd wystrzelono. Następna kula świsnęła mu koło głowy, ale Jan Paulus dotarł już do skraju wyrwy. Ściągnąwszy wodze tak, że koń przysiadł na zadzie tuż nad jej brzegiem, zeskoczył z siodła i kopniakiem wytrącił żołnierzowi karabin z ręki, zanim szarpnął go do góry.

- Dostyc już nazabijaliśmy, głupcze! - Potykając się na angielskich słowach, z językiem płaczącym się z wściekłości, krzyczał w twarz żołnierzowi. - Wszystko już skończone. Poddaj się. - Odwrócił się do pozostałych żołnierzy, którzy pochowali się w rowie. - Poddajcie się, wszyscy! - Przez długą minutę żaden z nich się nie poruszył. W końcu zaczęli się podnosić i pojedynczo wychodzić z dołu.

Podczas gdy grupa Burów odprowadzała jeńców, a inni zajęci byli działami i skrzynkami z amunicją, pomiędzy drzewami mimozy pojawili się brytyjscy sanitariusze z noszami. Wkrótce ludzie w mundurach koloru khaki przemierzali się z Burami w poszukiwaniu rannych.

Dwóch Hindusów z korpusu medycznego znalazło mężczyznę leżącego na lewo od dział. Sanitariusze mieli kłopoty z opanowaniem rannego i Jan Paulus wręczył wodze Henniemu, a następnie podszedł do nich.

Na wpół przytomny mężczyzna klął okropnie i walczył z Hindusami, którzy usiłowali wziąć jego nogę w łupki.

- Zostawcie mnie, dranie. - Potężna pięść powaliła jednego z sanitariuszy.

Jan Paulus rozpoznał ten głos i uderzenie i podbiegł do szamoczących się ludzi.

- Uspokój się albo przyłożę ci po łbie - huknął, gdy tylko stanął przed nimi.

Rozdygotany Sean obrócił głowę w jego stronę i spróbował skoncentrować wzrok.

- Kto to? Kim jesteś? Odpieprz się ode mnie.

Jan Paulus nic nie odpowiedział. Patrzył na rany Seana i czuł, że zbiera mu się na wymioty.

- Zostawcie go mnie. - Wziął łupki od wystraszonych sanitariuszy i przykucnął przy rannym.

- Zostaw mnie! - wrzasnął Sean. - Wiem, co chcesz zrobić. Chcesz mi ją obciąć!

- Sean! - Jan Paulus złapał go za nadgarstek i trzymał z całych sił, gdy ranny próbował się uwolnić.

- Zabiję cię, ty pieprzony draniu. Zabiję cię, jeśli jej dotkniesz.

- Sean! To ja. Spójrz na mnie!

Sean z wolna się uspokajał, a jego rozbiegane oczy z lekka oprzytomniały.

- To ty? Naprawdę? - wyszeptał. - Nie pozwól im... nie pozwól im obciąć mi nogi. Nie chcę, żeby obcięli mi ją jak Garry'emu.

- Uspokój się albo rozwalę ci ten pusty łeb - warknął Jan Paulus. Podobnie jak twarz jego dłonie były czerwone i z silnymi stwardniałymi palcami, które teraz poruszały się delikatnie, jak ręce matki dotykające dziecka. Chwyciwszy za kostkę, spojrzał na Seana. - Trzymaj się teraz. Muszę ją naprostować.

Sean spróbował się uśmiechnąć, ale jego twarz była szara pod grubą warstwą brudu, a pot ciekł po skórze jak woda.

- Nie gadaj tyle, ty przeklęty Holendrze. Zrób to!

Kość zazgrzytała o kość w rozdartym ciele i Sean stęknął. Każdy mięsień w jego ciele skurczył się i zaraz rozluźnił, gdy ranny zemdlął.

- Ja - mruknął Jan Paulus. - Tak lepiej. - Po raz pierwszy tego dnia na jego twarzy rysowało się współczucie. Zabandażował nogę i jeszcze przez kilka sekund klęczał nad nieprzytomnym Seanem. Następnie wyszeptał cicho kilka słów, żeby nie usłyszeli go sanitariusze.

- Śpij dobrze, mój bracie. Niech Bóg oszczędzi twoją nogę. Wstał i jego twarz znowu przypominała nagą skałę, bez śladu żadnego uczucia.

- Zabierzcie go - rozkazał. Począł, aż podniosą nosze i odejdą, uginając się pod ich ciężarem.

Podszedł wolno do swojego konia, ciągnąc lekko nogi po trawie. Siedząc w siodle obejrzał się jeszcze raz na południe, ale sanitariusze znikli już pomiędzy drzewami mimozy. Spiął konia ostrogami i podążył za długą procesją wozów, więźniów i dział, która raz jeszcze przeprawiała się przez Tugelę. W ciszy rozlegało się jedynie brzęczenie uprząży i melancholijne skrzypienie kół.

**19.** Garrick Courteney patrzył, jak szampan leje się do kryształowego kieliszka. Złociste bąbelki wirowały migocząc w świetle lamp. Kaprał podniósł butelkę, zatrzymał spadającą kroplę wina serwetką i podszedł do siedzącego za Garrym generała Lytteltona, żeby napęlnić mu kieliszek.

- Nie. - Lyttelton zakrył pusty kieliszek dłonią.

- Ależ, Lyttelton, proszę. - Sir Redvers Buller nachylił się i spojrzał na generała. - To doskonałe wino.

- Dziękuję, sir, ale szampanem powinno się świętować zwycięstwo. Może słuszniej by było posłać skrzynkę wina za rzekę.

Buller zarumienił się lekko i spojrzał na własny kieliszek. W kasynie zapadła nieprzyjemna cisza. Garry spróbował ją przerwać.

- Uważam, że wycofaliśmy się w wyjątkowo dobrym porządku.

- Och tak, zgadzam się z panem zupełnie. - Lodowaty sarkazm siedzącego po drugiej stronie lorda Dundonalda udaremnił próbę. - Jednak musi pan przyznać, pułkowniku, że nie byliśmy zbyt obciążeni w czasie wycofywania się.

Wspomnienie działa spowodowało, że wszystkie spojrzenia zwróciły się na Bullera. Dundonald zlekceważył znany wszystkim wybuchowy temperament generała. Jako członek Izby Lordów mógł sobie pozwolić na podjęcie ryzyka. Z grzecznym zuchwalstwem wytrzymał spojrzenie Bullera, aż blade wylupiające oczy zgasły i Buller spuścił wzrok.

- Panowie - powiedział ciężko Buller. - Mamy za sobą bardzo ciężki dzień i wszystkich nas czeka jeszcze praca. - Odwrócił się do adiutanta. - Clery, może wzniesiesz toast za króla?

Garry kuśtykał wracając samotnie do swojego namiotu. Olbrzymi namiot kasyna świecił się za nim jaskrawym światłem, a przed sobą widział rozległe pole zasłane mniejszymi namiotami oświetlonymi od środka. Nad białymi stożkami ciemne niebo wisiało niczym satynowa zasłona ozdobiona srebrnymi gwiazdami. Wino wypite do obiadu szumiało mu w głowie i nie zauważył posępnej ciszy zalegającej olbrzymią skarpe, gdy szedł przez obóz.

Kiedy wszedł do swojego namiotu, zobaczył mężczyznę podrywającego się ze stołka za biurkiem. W świetle lampy twarz mężczyzny wydawała się bardzo mizerna, a w jego postawie widać było olbrzymie zmęczenie.

- Ach! Curtis.

- Dobry wieczór, sir.

- Przyszedłeś złożyć raport?

- Tak jest, sir.

- Powiedz mi, Curtis... jakie mamy straty? - W głosie pułkownika dźwięczała nuta obawy, która wywarła niepokojące wrażenie na Timie. Przyjrzał się uważnie twarzy przełożonego, zanim odpowiedział.

- Ciężkie. Z dwudziestu ludzi czterech zostało zabitych, dwóch zaginęło, a pięciu jest rannych, w tym trzech poważnie.

- Przygotowałeś listę?

- Jeszcze nie.

- Podaj mi nazwiska.

- Zabici zostali: Booth, Amery...

Garry nie mógł się już powstrzymać. Przerwał ostro adiutantowi.

- A co z sierżantem?

- Ma pan na myśli Courteneya?

- Tak. Tak. - Niecierpliwość przemieszała się z obawą, która ścisnęła mu żołądek.

- Ranny, sir.

Garry poczuł tak ogromną ulgę, że musiał zamknąć oczy i wciągnąć głęboko powietrze, żeby się opanować.

Sean żył! Dzięki Bogu. Dzięki za to Bogu.

- Gdzie jest teraz?

- Zabrali go do polowego szpitala. Zostanie wysłany z pierwszą grupą ciężko rannych.

- Ciężko? - Ulga przemieniła się natychmiast w troskę. Spytał gwałtownym tonem: - Jak ciężko? Jak ciężko jest ranny?

- Tylko tyle mi powiedziano. Poszedłem do szpitala, ale nie zezwolono mi na widzenie.

Garry opadł na krzesło i instynktownie sięgnął do szuflady, zanim się opanował.

- Dziękuję, Curtis. Możesz odejść.

- A reszta mojego raportu?

- Jutro. Zostaw to na jutro.

Wódka paliła mu wnętrzności, kiedy ruszył w stronę szpitala. Nie miało teraz znaczenia, że planował śmierć Seana i że prosił o nią. Nie potrafił już myśleć rozsądnie i tylko przyśpieszał kroku, popędzany trawiącym go niepokojem. Rozpierała go nie rozpoznana jeszcze nadzieja, że tak jak kiedyś, tak i teraz znajdzie wsparcie w jedynym bracie. Zaczął biec niezdarnie, ciągnąc przy każdym kroku but po piasku.

Garry przeszukiwał szpital z rosnącą desperacją. Biegł wśród rzędów noszy

przyglądając się każdej twarzy; widział ból, okaleczenia i skradającą się śmierć, która przesiąkała przez brudne bandaże niczym czerwony atrament. Słyszał jęki, płacze i nieprzytomny śmiech; czuł zapach potu przyniesionego przez agonię, pomieszanego z ciężkim, słodkim zapachem gangreny i środków dezynfekujących - i nawet tego nie zauważał. Szukał jednej twarzy, tylko jednej twarzy. Nie znalazł jej.

- Courteney. - Sanitariusz przejrzał listę nachylając ją do światła. - Ach! Mam. Tu jest... zobaczmy. Tak! Już go u nas nie ma. Odjechał pierwszym pociągiem jakąś godzinę temu... Nie jestem pewien, sir, chyba do Pietermaritzburga. Założyli tam nowy wielki szpital. Obawiam się, że tego też nie wiem, ale zapisali go w rubryce przypadki poważne... to zawsze lepiej niż krytyczne.

Otulony samotnością jak płaszczem, Garry wrócił do namiotu.

- Dobry wieczór, sir. - Służący już czekał na niego. Garry zawsze kazał im czekać. Nowy człowiek; tak szybko się zmieniali. Nigdy nie mógł utrzymać żadnego dłużej niż miesiąc.

Garry odepchnął go i ciężko opadł na łóżko polowe.

- Proszę uważać, sir. Pomogę panu się położyć, sir. - Głos mężczyzny brzmiał służalczo. Ludzie zawsze mówili takim tonem do pijaków. Dotyk jego ręki rozwścieczył Garry'ego.

- Zostaw mnie. - Uderzył mężczyznę pięścią w twarz. Służący przewrócił się do tyłu. - Zostaw mnie. Wynoś się stąd!

Służący pocierał niepewnie policzek i wycofywał się na bezpieczną odległość.

- Wynoś się! - syknął na niego Garry.

- Ale, sir...

- Zjeżdżaj stąd, do cholery! Won!

Mężczyzna wyszedł i delikatnie opuścił za sobą połę namiotu. Garry pokuśtykał do wejścia i zasznurował klapę. Cofnął się o krok. Sam. Nie mogą mnie teraz zobaczyć. Nie mogą się teraz ze mnie śmiać. Nie mogą. O Boże, Sean!

Odwrócił się do środka namiotu. Sztuczna noga zaczepiła o nierówność w podłodze i Garry upadł. Jeden z rzemieni zerwał się i noga wykręciła się pod nim. Garry podpętlął na rękach i kolanach do szafki, a wykrzywiona noga ciągnęła się za nim groteskowo.

Kłęcząc przy szafce wyjął porcelanową miszkę, ponownie sięgnął do wnętrza i namacał butelkę. Palce były zbyt sztywne, żeby wyciągnąć korek. Wyszarpnął go zębami i wypluł na podłogę. Podniósł butelkę do ust. Grdyka poruszała się rytmicznie przy każdym łyku. Trochę brandy polało mu się na mundur, plamiąc wstążkę Krzyża Wiktorii.

Opuścił butelkę i odpoczywał, oddychając głęboko, żeby pozbyć się piekącego smaku alkoholu. Następnie zaczął znowu pić, tym razem wolniej. Ustało drzenie rąk. Oddech się wyrównał. Sięgnął za siebie, zdjął z komody kubek, napełnił go, a następnie odstawił butelkę na podłogę obok siebie i oparł się plecami o szafkę.

Sztuczna noga leżała przed nim wykręcona pod dziwnym kątem. Przyglądał się jej z ciekawością, sącząc wolno brandy i czując jak alkohol pozbawia czucia kubki smakowe na języku.

Noga stanowiła centrum jego życia. Nieczuła na nic, nieruchoma, spokojna jak oko cyklonu, wokół którego wirowało całe jego poplątane życie. Noga - zawsze tylko ona. Zawsze i zawsze tylko noga.

Oszołomiony alkoholem odwrócił wzrok od protezy ku potężnym ceniom przeszłości i przekonał się, że nie zostały zniekształcone czy zamazane przez czas, ukazywały się dokładnie w każdym szczególe.

Podczas gdy przesuwali się przed jego oczyma, noc zwinęła się w kłębek tak, że czas stracił całe znaczenie. Godziny trwały kilka minut i znikwały topione na dnie butelki, gdy Garry siedział oparty o szafkę i wolno sączył brandy z kubka, obserwując jak noc odchodzi w zapomnienie. O świcie rozegrał się przed nim ostatni akt dramatu.

*Jedzie na koniu, w ciemnościach siekanych zimnym deszczem, do Theunis Kraal. Tylko w jednym oknie widać żółte światło lampy, a reszta domu jest pogrążona w ciemnościach.*

*Raptem ogarnia go niewytłumaczalne przeczucie czającego się blisko zła, które zamyka się wokół niego niczym zasłona lodowatego deszczu. W ciemnościach słychać tylko chrzęst kopyt konia stąpającego po wyżwirowanym podjeździe. Następnie stukot jego drewnianej nogi, gdy wspina się po schodach. Czuje w dłoni lodowaty Mód klamki i w ciszy otwiera drzwi.*

*Jego głos brzmi bełkotliwie, przesycony alkoholem i przerażeniem.*

*- Hej! Gdzie są wszyscy? Anno! Anno! Wróciłem!*

*Niebieski płomień zapalki, zapach płonącej siarki i nafty, kiedy zapala lampę. Po chwili głuchy stukot nogi w korytarzu.*

*- Anna. Anno, gdzie jesteś?*

*Anna, jego niedawno poślubiona żona, leży na łóżku w ciemnym pokoju, na wpół naga, odwraca szybko głowę od światła, ale on dostrzega śmiertelnie bladą twarz i opuchnięte, poranione usta.*

*Lampa postawiona na stole rzuca głębokie cienie na ścianę, gdy on nachyla się i*

*delikatnie zasłania spódnicą jej nagi brzuch i nogi. Obraca jej twarz ku sobie.*

*- Moje kochanie, Anno, kochanie. Co się stało? - Przez porwaną bluzkę widzi jej nabrzmiałe piersi i ciemne sutki zdradzające brzemiennosć. - Czy ktoś cię skrzywdził? Kto? Powiedz mi, kto to zrobił?*

*Ale ona zakrywa ręką twarz i pęknięte wargi.*

*- Moje kochanie, moje biedactwo. Kto to zrobił? Ktoś ze służby?*

*- Nie.*

*- Anno, proszę, powiedz mi. Co się stało?*

*Nagle jej ramiona oplatają mu szyję, a usta zbliżają się do jego ucha.*

*- Przecież wiesz, Garry! Wiesz, kto to zrobił.*

*- Nie, przysięgam, że nie wiem. Proszę, powiedz mi.*

*Jej głos jest gardłowy i napęczniały nienawiścią, gdy wymawia jedno słowo, to niewiarygodnie przerażające słowo.*

*- Sean!*

*- Sean! - jęknął głośno w swojej okropnej samotności. - Sean!*

*O Boże! - Nagle zawołał gwałtownie. - Nienawidzę go. Nienawidzę go! Niech umrze. Proszę, Boże, niech umrze!*

*Zamknął oczy, tracąc kontakt z rzeczywistością, i poczuł zawrót głowy, gdy władzę nad jego ciałem przejął alkohol.*

*Nie miał siły unieść powiek i skoncentrować wzroku na łóżku. Ogarnęły go nudności i wiedział, że nie zdoła ich powstrzymać. Ciepły i cierpki smak brandy podniósł mu się do ust i nosa.*

**20.** Kiedy służący znalazł pułkownika, minęła już połowa poranka. Garry leżał w poplamionym i brudnym mundurze na łóżku, ze zmierzwionymi włosami. Drewniana noga spoczywała zapomniana na środku pokoju.

Służący opuścił cicho kłapę namiotu i stanawszy w progu przyglądał się swojemu panu, krzywiąc się przy tym od stęchłego smrodu brandy i rzygowin.

- Nieźle się ubabrałeś, stary. Hej, panie kuszyk-kuszyk - mruknął bez cienia sympatii. Podniósł z podłogi butelkę i przyjrzał się kilku łykom alkoholu, które w niej zostały.

- Twoje zdrowie, draniu. - Zasalutował Garry'emu i opróżnił butelkę. Otarł uważnie usta. - W porządku. Weźmy się za sprzątanie tego chlewu.

- Zostawcie mnie w spokoju - jęknął Garry.

- Już jedenasta, sir.

- Zostaw mnie. Wynoś się.

- Niech pan wypije kawę, sir.

- Nie chcę kawy. Daj mi spokój.

- Przygotowałem już kąpiel, sir, i czysty mundur dla pana.

- Która godzina? - Garry usiadł niepewnie.

- Jedenasta - powtórzył cierpliwie mężczyzna.

- Moja noga? - Garry czuł się bez niej jak nagi.

- Jeden z rzemieślników naprawiających uprząże przyszywa rzemienie. Będzie gotowa, jak pan wyjdzie z kąpeli.

Nawet siedząc i trzymając dłonie na biurku, Garry nie mógł opanować drżenia rąk, a pod powiekami czuł ostre kłucie. Ból pulsujący w głowie powodował, że skóra na twarzy była naciągnięta jak na bębnie.

Garry westchnął ciężko i wziął do ręki raport porucznika Curtisa wybrany spośród cienkiego pliku dokumentów, które czekały na jego podpis. Przeleciał wzrokiem raport. Nie kojarzył większości podanych nazwisk. Na początku listy rannych zobaczył nazwisko Seana. Pod nim widniało nazwisko tego małego żydowskiego prawnika. Zadowolony, że raport nie zawiera niczego, co mogłoby skompromitować nazwisko Garry'ego Courteneya, podpisał go i odłożył na stronę.

Wziął następny dokument. List zaadresowany do niego, jako oficera dowodzącego Natałskim Korpusem Zwiadowców. Od pułkownika Johna Achesona ze szkockich fizylierów. Dwie strony eleganckiego, drobnego pisma. Miał już odrzucić list, gdy jego wzrok przykuło jedno nazwisko. Nachylił się i zaczął szybko czytać od początku.

- ...z przyjemnością zwracam pańską uwagę... odwaga przekraczająca... pod ostrzałem



nieprzyjacielskim... ponownie poderwał atak... mimo iż ranny... z narażeniem własnego życia... dwóch żołnierzy z oddziału pańskich zwiadowców.

Sierżant Sean Courteney. Szeregowy Saul Friedman.

...gorąco rekomenduję... Honorowy Medal za Męstwo... wielkiej dzielności i sile dowodzenia.

Garry opuścił list i opadł na krzesło patrząc na kartkę, jakby to był wyrok śmierci na niego. Przez długą chwilę nie ruszał się, czując jak ból ponownie atakuje jego głowę. Wreszcie podniósł list. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że kawałek papieru drżał jak na wietrze.

- Zabrał mi wszystko, co moje; wszystko, co miałem. - Spojrzał na odznaki wiszące na piersi. - Nigdy nie miałem... A teraz to, tę jedną rzecz.

Kropla spadła na pismo rozmazując atrament.

- Nienawidzę go - szepnął drąc kartki. - Mam nadzieję, że umrze. - Podarł list na drobne kawałki i zmiął w kulę.

- Nie. Tego ode mnie nie dostaniesz. To moje. To jedyna rzecz, jakiej nigdy nie będziesz miał! - Cisnął kulę w kąt namiotu i oparł głowę o ręce złożone na biurku. Jego ramionami wstrząsały krótkie spazmy.

- Nie umieraj. Proszę, Sean, nie umieraj.

**21.** Dirk Courteney odepchnął ramieniem stojącą w drzwiach dziewczynkę i jako pierwszy zbiegł po schodach na zalane słońcem podwórko. Nie oglądając się za siebie pobiegł ku dziurze w żywopłocie. Kilku chłopców podążyło za nim.

Dogonili go, kiedy wybierał klei-lat z tyłu żywopłotu.

- Pośpieszcie się - zakomenderował Dirk. - Musimy pierwsi dostać się nad rzekę albo zajmą nam najlepszą pozycję.

Rozbiegli się wzdłuż płotu, niczym stado krzykliwych małpek.

- Dirkie, pożycz mi swojego noża.

- Hej, spójrz na mój kij. - Nick Peterson machnął krótką witką z wierzby z Port Jackson. Świsnęła z głośnym sykiem.

- To nie kij - poinformował go Dirk. - To lee-metford. - Spojrzał po swoim oddziale. - Macie zapamiętać - jestem lord Kitchener i zwracacie się do mnie per "Mój lordzie".

- A ja jestem generał French - oznajmił Nick. Dirk zgodził się, gdyż Nick był jego porucznikiem. Dirk potrzebował zaledwie dwóch tygodni i pięciu porządnych bójek na pięści, żeby ustanowić swoje niekwestionowane przywództwo.

- A ja jestem generał Methuen! - zaproponował piskliwym głosem jeden z mniej ważnych członków grupy.

- To ja będę generałem Bullerem!

- A ja generałem Catacre!

- Nie możecie być wszyscy generałami. - Dirk rzucił im gniewne spojrzenie. - Tylko Nick i ja jesteśmy dowódcami. Wy jesteście zwykłymi szeregowcami.

- Kurczę, Dirkie! Zawsze musisz psuć zabawę!

- Zamknij się, Brian. - Dirk wyczuł groźbę buntu i zręcznie odwrócił ich uwagę. - Chodźcie, idziemy po amunicję.

Dirk wybrał dłuższą drogę przez trawnik sanitarny. W ten sposób mógł uniknąć dorosłych i perspektywy uszczuplenia swoich sił, kiedy niektórzy z nich zostaliby zabrani przez rodziców do rąbania drzewa czy pracy w ogrodzie.

- Brzoskwinie już prawie dojrzały - zauważył Nick, kiedy mijali ogród Pye'a.

- Jeszcze z tydzień - zgodził się z nim Dirk i zaczął się przedzierać przez żywopłot ogradzający plantację van Essena, która rozpościerała się aż do Baboon Stroom.

- Tam są! - ktoś krzyknął, gdy wyszli pomiędzy drzew.

- Burowie, generale!

Na prawo od nich grupka chłopców szukała czegoś nad brzegiem rzeki. Byli to synowie holenderskich rodzin mieszkających w okolicy.

- Pójdę porozmawiać z nimi - powiedział Dirk. - Idźcie po amunicję. - Pobiegli ku rzece i Dirk zawołał za nimi: - Hej, Nick, przygotuj dla mnie porządną bryłę gliny.

- Dobrze, mój lordzie.

Dirk zbliżył się do nieprzyjaciela z powagą, jaka przystoi generałowi i członkowi Izby Lordów. Zatrzymał się w pewnej odległości od nich.

- Hej, Piet, jesteście gotowi? - zapytał wyniośle. Piet van Essen był jego dalekim kuzynem. Był to silny chłopak, ale nie tak wysoki jak Dirk.

- Ja.

- Te same zasady? - spytał Dirk.

- Ja, te same.

- Bez ubrań - ostrzegł go Dirk.

- I bez rzucania kamieniami - dodał Piet.

- Ilu masz? - Dirk zaczął podejrzliwie liczyć nieprzyjaciół.

- Piętnastu. Tylu samo co ty.

- No to w porządku. - Dirk skinął głową.

- W porządku!

Nick czekał pod skarpą nad rzeką. Dirk zeskoczył do niego i wziął dużą kulę niebieskawej gliny, którą podał mu Nick. - W sam raz, Dirkie, nie jest zbyt wilgotna. - Dobrze, przygotujcie się.

Dirk szybko zdjął ubranie, wyciągnął pas ze spodni i zapiął go sobie na biodrach, żeby przytrzymać zapasowe witki.

- Brian, schowaj ubrania - rozkazał i przyjrzał się uważnie nagim wojownikom. Prawie wszyscy zachowali jeszcze niewinne kształty młodości: płaskie klatki piersiowe, wystające brzuchy i tłuste, białe pośladki.

- Nadejdą od strony rzeki, jak zawsze to robią - stwierdził Dirk. - Tym razem wciągniemy ich w zasadzkę. - Mówiąc ugniatł z gliny kulę wielkości pięści i wbił ją na koniec witki. - Nick i ja zaczekamy na nich tutaj, reszta ukryje się na szczycie skarpy pomiędzy tymi drzewami z tyłu.

Szukał przez chwilę celu, na którym mógłby wypróbować glinę, i znalazł go w zółwiu wodnym, który z trudem gramolił się na brzeg.

- Patrzcie na tę skorupę - przerwał sam sobie. Wystąpił krok do przodu z opuszczoną prawą ręką i zatoczył nią nad głową spory łuk. Kula poleciała z przenikliwym szumem w powietrze i trafiła w błyszczącą czarną skorupę z siłą, która zostawiła na niej białe pęknięcie

w kształcie gwiazdy. Żółw wciągnął głowę i nogi i potoczył się do rzeki.

- Dobry strzał!

- Tam jest, teraz ja mu przywalę.

- Dosyć! Będziecie wkrótce mieli dosyć strzałów. - Zakomenderował Dirk. - Słuchajcie! Kiedy nadbiegną tędy, Nick i ja powstrzymamy ich na chwilę, a następnie uciekniemy wzdłuż rzeki. Jak zaczną nas ścigać, musicie poczekać, aż znajdą się dokładnie pod wami - wtedy im dołożcie.

Dirk i Nick przykucnęli obok siebie przy brzegu zanurzeni po nosy w wodzie. Kępa trzciny zasłaniała im głowy. Kije uzbrojone w gliniane kule zostawili na brzegu w zasięgu ręki.

Pod wodą Dirk poczuł, jak ramię Nicka trąca go w żebra i lekko skinął głową. Usłyszał już przed chwilą szepty za zakrętem rzeki i odgłos kamyka potrąconego nieostrożną nogą, który z pluskiem wpadł do wody. Dirk odwrócił głowę i odpowiedział drapieżnym uśmiechem na porozumiewawcze spojrzenie Nicka, następnie wyjrzał przez trzciny.

Dwadzieścia kroków przed nim zza zakrętu wysunęła się ostrożnie głowa. Twarz chłopaka była spięta i Dirk schował się głębiej w kępę trzciny.

Długa cisza została wreszcie przerwana.

- Nie ma ich tam. - Piskliwy głos zdradzał podniecenie. Boetje był delikatnym, małym chłopcem, który napraszał się do wzięcia

udziału w zabawach silniejszych kolegów. Dirk ścisnął Nicka za ramię - wróg dał się wciągnąć w pułapkę. Po chwili wysunął usta z wody.

- Teraz! - szepnął. Sięgnęli po kije. Zaskoczenie było całkowite. Gdy Dirk i Nick poderwali się z wody z rękami podniesionymi do rzutu, atakowani stali w takim miejscu, że nie mogli uciec ani podjąć walki nie ponosząc przy tym strat.

Poleciały na nich pociski z gliny, uderzając z głośnym kłapnięciem o nagie ciała, wywołując krzyki bólu i lekkie zamieszanie wśród potykających się o siebie chłopców.

- Na nich! Ognia! - krzyczał Dirk i ciskał kule, nie wybierając celu, mierząc w płataninę nóg, rąk i różowych pośladków. Obok niego Nick rzucał z taką samą zawziętością.

Zamieszanie nie trwało dłużej niż piętnaście sekund, po czym krzyki bólu ustąpiły miejsca gniewnym wrzaskom.

- To tylko Dirk i Nick.

- Na nich! Jest ich tylko dwóch.

Pierwszy pocisk zaświstał Dirkowi koło ucha, ale drugi trafił go w sam środek klatki piersiowej.

- Uciekamy! - Syknął z bólu i rzucił się ku brzegowi. Był łatwym celem, gdy tak biegł

pochylony, by czym prędzej wydostać się ze strumienia, i kula rzucona z bliskiej odległości ugodziła go w plecy. Ból spowodował, że wyskoczył z wody, a oczy zaszyły mu łzami.

- Za nimi!

- Ognia!

Wyjąc dziko wróg rzucił się w pogoń, a w powietrzu świstały pociski trafiające do celu. Zanim dobiegli do następnego zakrętu, ich plecy i pośladki były pokryte czerwonymi plamami, które następnego dnia miały przemienić się w bolesne siniaki.

Przeciwnik upojony przewagą, bez zachowania jakiejkolwiek ostrożności wbiegł z krzykiem i radosnymi wrzaskami w sam środek zasadzki. Kiedy atakujący minęli zakręt, droga odwrotu została odcięta.

Dirk i Nick stali spokojnie, gotowi na ich przyjęcie. Nagle brzeg nad głowami atakujących wypełnił się wyjącymi, skaczącymi z radości nagimi dzikusami, którzy z całej siły zaczęli ich zasypywać glinianymi kulami.

Wróg wytrzymał ostrzał przez minutę i wreszcie rzucił się panicznie do ucieczki wzdłuż strumienia. Z kulami świszczącymi nad głowami i raniącymi im plecy chłopcy zmykali co sił w nogach ku plantacji.

Jeden z nich został na placu boju. Klęczał w mule poniżej brzegu i cicho łkał. Według niepisanych praw rządzących zabawą ten chłopiec nie podlegał już dalszym karom.

- To tylko Boetje - krzyknął Nick. - Zostawcie go! Chodźcie! Ścigamy pozostałych! - Wygramolił się na brzeg i pobiegł na czele grupy ścigać pokonanego przeciwnika. Wyjąc i piszcząc z rozgorączkowania, rzucili się przez brązową trawę w stronę brzegu plantacji, gdzie Piet van Essen starał się z desperacją zebrać swoich podwładnych i przygotować ich na atak.

Tylko jeden z nich został na brzegu. Dirk Courteney nie pobiegł za pozostałymi.

Teraz nad rzeką byli tylko dwaj chłopcy, osłonięci przez skarpe. Boetje podniósł głowę i zobaczył przez łzy, jak Dirk zbliża się wolno do niego. Zobaczył rękę Dirka gotową do rzutu i wyraz jego twarzy. Boetje wiedział, że nie ma nikogo, kto by mu pomógł.

- Dirk, proszę - wyszeptał. - Poddaję się. Proszę. Poddaję się. Dirk wyszczerzył złośliwie zęby. Z rozmysłem nałożył dużą kulę na kij.

- Oddam ci jutro cały mój obiad - błagał Boetje. - Nie same słodycze, ale cały obiad.

Dirk cisnął kulą. Jęk Boetjego na wskroś przeniknął ciało Dirka. Przebiegły go przyjemne dreszcze.

- Dam ci mój nowy scyzoryk. - Głos Boetjego przerywały spazmatyczne chlipnięcia. Zakrył sobie twarz rękami.

Dirk nałożył kolejną kulę; powoli smakował poczucie własnej siły.

- Dirk, błagam cię. Proszę, dam ci wszystko, co tylko... - Boetje znowu jęknął.
- Weź ręce z twarzy, Boetje. - Głos Dirka był ochryply z podniecenia.
- Nie, Dirk. Proszę, nie!
- Zabierz ręce, to przestanę.
- Obiecujesz, Dirk? Daj słowo, że przestaniesz.
- Daję ci słowo - szepnął Dirk.

Boetje powoli opuścił chude i bardzo blade ramiona, które zawsze chronił przed słońcem długimi rękawami.

- Obiecałeś. Zrobiłem to, co... - Gliniana kula trafiła go prosto w nos, zaklejając całą twarz i odrzucając głowę do tyłu. Z obu nozdrzy połała się krew.

Boetje chwycił się za głowę, rozmazując krew na policzkach.

- Dajeś słowo - pisnął płaczliwie. - Dajeś słowo! - Ale Dirk szykował już następny pocisk.

Dirk wrócił sam do domu. Szedł wolno, uśmiechając się do siebie, a delikatne włosy opadały mu na czoło, zakrywając smugę z niebieskiej gliny na policzku.

Mary czekała na niego w kuchni domu przy ulicy Protea. Przyglądała mu się przez okno, gdy przedzierał się przez krzaki i szedł przez trawnik. Kiedy zbliżył się, zauważyła na jego ustach uśmiech. Uczucie, jakie ją przepęłniło na widok tej niewinnej i pięknej twarzy, ledwo mieściło się w jej piersiach. Pobieгла otworzyć mu drzwi.

- Dzień dobry, kochanie.

- Cześć, Mary - przywitał ją Dirk i uśmiech rozpromienił jego twarz, zmuszając Mary do wzięcia go w ramiona.

- Dobry Boże, cały jesteś wypačkany gliną. Musimy cię wykapać, zanim twoja babcia wróci do domu.

Dirk wysunął się z jej objęć i podszedł do puszki z ciastkami.

- Jestem głodny.

- Ale tylko jedno - zgodziła się Mary. Dirk wziął całą garść ciastek. - Mam dla ciebie niespodziankę.

- Co takiego? - Dirk był bardziej zainteresowany ciasteczkami. Mary miała dla niego niespodziankę każdego dnia. Zazwyczaj były to skarpetki, które sama zrobiła na drutach.

- Powiem ci, jak wejdiesz do wanny.

- No dobrze. - Opychając się ciastkami Dirk skierował się do łazienki. Po drodze rozbierał się, rzucając na podłogę koszulę i spodnie, żeby Mary je zebrała. - Co to za

niespodzianka?

- Och Dirk, znowu bawiłeś się w tę okropną grę. - Mary przykucnęła przy wannie i delikatnie namydliła posiniaczone plecy i pośladki. - Proszę, obiecaj mi, że już nigdy nie będziesz się w to bawił.

- Zgoda. - Od Dirka zawsze było bardzo łatwo uzyskać obietnicę. Przrzekał już wcześniej zaprzestać tej zabawy. - Powiedz, co to za niespodzianka?

- Zgadnij. - Mary uśmiechała się i ten znaczący uśmiech skrywający tajemnicę zwrócił uwagę Dirka. Przyglądał się z uwagą jej zniszczonej twarzy. Jej brzydkiej, kochającej twarzy.

- Słodczyce? - spróbował. Mary potrząsnęła głową pieszcząc jego ciało flanelową szmatką.

- Chyba nie skarpetki!

- Nie. - Wrzuciła szmatkę do białej od mydła wody i przycisnęła go do piersi. - Nie, to nie skarpetki - wyszeptała.

Dirk domyślił się.

- Czy to...? Czy to...

- Tak, Dirkie, to o twoim ojcu. Zaczął się jej wrywać.

- Mary, gdzie on jest? Gdzie on jest?

- Najpierw przebierz się w piżamę.

- Czy on jest tutaj? Czy wrócił do domu?

- Nie, Dirk. Jeszcze nie przyjechał. Jest w Pietermaritzburgu. Ale wkrótce go zobaczysz. Już niedługo. Babcia pojechała zarezerwować bilety na pociąg. Zobaczysz go jutro.

Jego rozgrzane ciało zaczęło drżeć w jej ramionach, wstrząsane łkaniem rozczarowania i tęsknoty za ojcem.

**22.** Z pewnych względów, pani Courteney, to nawet lepiej, że nie udało nam się skontaktować z panią wcześniej. - Lekarz w randze majora nabił fajkę i zaczął przeszukiwać kieszenie.

- Pańskie zapalki leżą na stole - pomogła mu Ada.

- Och! Dziękuję. - Zapalił fajkę, wydmuchnął dym i mówił dalej. - Widzi pani, pani syn nie należał do regularnego oddziału i nie posiadaliśmy żadnych informacji o rodzinie. Kiedy wrócił spod Colenso sześć tygodni temu, nie był, powiedzmy, w stanie podać nam pani adresu.

- Czy możemy zobaczyć teraz tatusia? - Dirk nie mógł już dłużej wytrzymać. Przez ostatnie pięć minut wiercił się nieustannie na kanapie, siedząc obok Ady.

- Zobaczysz ojca za kilka minut, młody człowieku. - Lekarz wojskowy zwrócił się do Ady. - Tak się składa, pani Courteney, że ten zbieg okoliczności pozwolił nam zaoszczędzić pani niepotrzebnych zmartwień. Z początku nie byliśmy pewni, czy uda nam się ocalić życie pani syna, nie mówiąc już o nodze. Można powiedzieć, że przez cztery tygodnie jego życie wisiało na włosku. Jednak teraz - spojrzał z dumą na Adę - no cóż, najlepiej będzie, jak pani sama się przekona.

- Dobrze się czuje? - spytała szybko z niepokojem.

- Pani syn jest bardzo mocnej budowy, same mięśnie i siła woli. - Skinął głową, uśmiechając się. - Tak, jest na dobrej drodze do pełnego wyzdrowienia. Może pozostać lekki niedowład prawej nogi, ale jeśli porówna się to z tym, co mu groziło... - Rozłożył ręce. - Siostra zaprowadzi panią teraz do niego.

- Kiedy będzie mógł wrócić do domu? - spytała Ada stojąc w drzwiach.

- Już niedługo. Może za miesiąc.

Weranda była duża, dobrze ocieniona i chłodzona delikatnym wiatrem, który wiał od strony szpitalnych trawników. Wzdłuż ściany stało sto wysokich metalowych łóżek. Leżało na nich stu mężczyzn w szarych flanelowych koszulach, z głowami opartymi o białe poduszki. Niektórzy spali, kilku czytało, inni rozmawiali cicho, a także grali w szachy lub karty na stolikach ustawionych pomiędzy łóżkami. Jeden z rannych leżał oddalony od pozostałych, patrząc nie widzącym wzrokiem na parę dzierzb, które kłóciły się głośno na trawniku.

Kiedy Sean był zbyt słaby, żeby protestować, zgolono mu brodę na rozkaz siostry przełożonej, która uznała ją za niehigieniczną. Jego twarz prezentowała się teraz o wiele lepiej i nawet Sean musiał to po cichu przyznać. Osłaniana tak długo skóra dolnej części twarzy była gładka i biała jak u chłopca; wraz z gęstą, czarną brodą ujęto mu piętnaście lat



życia. W jego twarzy zaczęły przykuwać uwagę głównie ciężkie brwi, które z kolei zmuszały do spojrzenia w oczy, ciemnoniebieskie niczym cień chmur na górskim jeziorze. Były teraz jeszcze ciemniejsze niż zazwyczaj, bo Sean rozważał treść listu trzymanego w prawej ręce.

List przyszedł już trzy tygodnie temu i tani papier porozdzierał się w kilku miejscach od ciągłego składania i rozkładania. Był długi, w większości poświęcony drobiazgowemu opisowi walk armii Bullera nad rzeką Tugelą. Była w nim też wzmianka o bólach głowy, jakie nadawca cierpiał od rany, która zdążyła się już zagoić. Saul poświęcił także sporo miejsca opisowi wdzięczności, jaką czuł do swojego wybawcy. Wynurzenia te zawstydzaly Seana i opuszczał pewne fragmenty przy każdym ponownym odczytywaniu listu.

Wracał jednak nieustannie do jednego akapitu, czytając go wolno, półgłosem, tak aby zapamiętać każde słowo.

Wspominałem ci już o mojej żonie, Ruth. Jak wiesz, uciekła z Pretorii i przebywa obecnie w Pietermaritzburgu u swojej rodziny. Wczoraj dostałem od niej list z wprost cudownymi wiadomościami. W czerwcu miną cztery lata, odkąd się pobraliśmy, i teraz, w wyniku naszego krótkiego spotkania w Natalu, mam zostać ojcem! Ruth twierdzi, że to będzie dziewczynka (choć ja jestem przekonany, że to syn!) i wybrała już dla niej imię. Mówiąc oględnie, jest to najbardziej niezwykle imię, jakie słyszałem w swoim życiu. Widzę, że będę potrzebował dużej dozy dyplomacji, aby zmienić jej decyzję. (Upór jest jedną z jej licznych cnót.) Ruth chce nazwać biedne dziecko imieniem "Storm"<sup>4</sup> - Storm Friedman - muszę przyznać, że pomysł ten zbija mnie z pantałyku! Mimo że nie jesteśmy tego samego wyznania, odpisałem jej, żeby na twoją cześć zgodziła się na imię "Sandek", co znaczy ojciec chrzestny. Mam nadzieję, że nie będzie się sprzeciwiać (zwłaszcza ze względu na dług, jaki mamy wobec ciebie) i potrzebuję teraz jedynie twojej zgody. Czy ją wyrażasz?

Opisałem Ruth stan, w jakim się znajdujesz, podałem twój adres (z listami: szpital Greys) i poprosiłem, żeby odwiedziła cię, by osobiście ci podziękować. Ostrzegam, wie o tobie tyle samo co ja i nie będzie ukrywać swojego entuzjazmu!

Ściskając list w dłoni Sean patrzył w słońce ponad trawnikami. Pod kołdrą czuł pleciony koszyk, który unieruchamiał mu nogę.

- Storm - wyszeptał, przypomniawszy sobie błyskawice, które oświetlały niebieskim światłem jej ciało.

- Dlaczego nie przyjeżdża? - Czekał na nią od trzech tygodni. - Wie, że tu jestem.

---

<sup>4</sup> Storm (ang.) - Burza

Czemu nie przyjeżdża?

- Goście do pana. - Siostra stanęła przed nim i poprawiła kołdrę.

- Kto? - Podniósł się z wysiłkiem na zdrowym łokciu. Drugie ramię miał unieruchomione bandażem przy piersi.

- Jakaś pani. - Poczul, jak ogarnia go podniecenie. - I mały chłopiec. - Ogarnęła go fala zawodu, gdy zorientował się, że to nie ona. Po chwili poczul wyrzuty sumienia. Ada z Dirkiem, któż by inny?

Dirk nie rozpoznał ogolonego ojca, póki nie podszedł na odległość dziesięciu kroków. Wtedy rzucił się do niego, gubiąc po drodze czapkę. Ciemne włosy mimo brylantyny rozsypały się lokami po twarzy. Krzycząc dziko z radości wskoczył Seanowi na piersi i zarzucił mu obie ręce na szyję.

Minęła długa chwila, zanim Sean zdołał się uwolnić z uścisków, by się mu przyjrzeć.

- No, no, synu - powiedział i zaraz powtórzył: - No, no, synu. - Nie ufając sobie, że zdoła powstrzymać oznaki silnego wzruszenia - przyglądało im się stu mężczyzn, uśmiechając się porozumiewawczo - Sean odwrócił się w poszukiwaniu ratunku do Ady.

Czekała cierpliwie, tak jak to robiła całe życie, ale kiedy spojrział na nią, w jej uśmiechu dostrzegł też wielką czułość.

- Sean. - Nachyliła się, żeby go pocałować. - Co się stało z twoją brodą? Wyglądasz tak młodo.

Zostali z nim przez całą godzinę, większą jej część spędzając na słuchaniu monologu Dirka. W przerwach, kiedy Dirk nabierał oddechu, Sean i Ada wymieniali najświeższe wiadomości. W końcu Ada podniosła się z krzesła przy łóżku.

- Pociąg odjeżdża za pół godziny, a Dirk musi jutro iść do szkoły. Będziemy cię odwiedzać co tydzień, aż będziesz mógł wrócić do domu.

Zabranie Dirka ze szpitala przypominało kłopoty z wyrzuceniem natrętnego pijaka z baru. Ada nie mogła sama dać sobie z nim rady i poprosiła do pomocy sanitariusza. Kopiającego i rzucającego się Dirka zniesiono na werandę, a Sean słyszał jego krzyki długo po tym, jak syn zniknął mu z oczu.

- Chcę do tatusia. Chcę do mojego tatusia.

**23.** Benjamin Goldberg był wykonawcą testamentu brata. Pozostawiony jego opiece majątek składał się z czterdziestu procent akcji przedsiębiorstwa Goldberg Bros. Ltd., które zarządzało gorzelnią, czterema małymi hotelami i jednym bardzo dużym na Marine Parade w Durbanie, szesnastoma rzeźniami i fabryką kiełbas, bekonu i wędzonej szynki. Ostatnie produkty fabryki były przyczyną wstydu Beniamina, ale fabryka przynosiła znaczne zyski. Benjamin był także przewodniczącym rady Goldberg Bros. i udziałowcem posiadającym pozostałe sześćdziesiąt procent. Obecność dwudziestopięcioletniej armii zawsze głodnych i spragnionych żołnierzy w Natalu, mimo że zwiększała zapotrzebowanie na bekon i piwo, jeszcze bardziej ambarasowała Beniamina, który był przeciwny wszelkiej przemocy. Olbrzymie zyski, jakie przynosiła wojna, były powodem jednocześnie zmartwień i radości.

Te same ambiwalentne uczucia wzbudzała obecność siostrzenicy w jego domu. Benjamin miał czterech synów, zaś jego brat Aaron zostawił tylko jedną córkę. Ben czuł, że chętnie oddałby za nią wszystkich swoich synów. Nie znaczyło to, że skarżył się na dzieci, wszyscy dobrze prowadzili interesy. Jeden z nich kierował hotelem w Port Natal, najstarszy zarządzał gorzelnią, a dwóch innych pracowało w dziale mięsnym. Jednak - i w tym miejscu Benjamin westchnął - jednak Ruth! To była dziewczyna, która powinna być podporą jego starości. Spojrzał na nią ponad stołem zastawionym srebrami i śniadaniem na wspaniałej porcelanie i ponownie westchnął.

- Wujku Ben, nie zaczynaj wszystkiego od początku. Proszę. - Ruth energicznie posmarowała tost masłem.

- Ależ ja tylko mówię, że potrzebujemy go tutaj. Czy jest w tym coś złego?

- Saul jest prawnikiem.

- Nu? Co w tym złego? Jest prawnikiem, a my potrzebujemy Prawnika. Ile ja płacę tym śmokom!

- On nie chce pracować w naszej firmie.

- W porządku. Wiemy, że nie chce łaski z naszej strony. Wiemy, że nie chce, aby twoje pieniądze pracowały na niego. Wiemy o jego dumie - ale teraz ma także obowiązki. Powinien myśleć o tobie - i dziecku - a nie o swoim widzimisie.

Na wspomnienie dziecka Ruth zmarszczyła lekko brwi. Benjamin zauważył to; niewiele rzeczy uchodziło jego uwagi. Ci młodzi ludzie! Gdyby tylko potrafił ich przekonać. Westchnął ciężko.

- W porządku. Zostawimy sprawę, dopóki Saul nie przyjedzie na przepustkę - opornie wyraził zgodę.

Ruth, która nigdy nie wspominała mężowi o ofercie wuja, zobaczyła w wyobraźni

swoje życie w Pietermaritzburgu; ujrzała siebie całkowicie zniewoloną przez uczucia wujka Beniamina; złapaną niczym owad w pajęczynę rodzinnych obowiązków. W jej oczach zapłonęła wściekłość.

- Jeśli wspomnisz Saulowi o tej propozycji, nigdy się do ciebie nie odezwę.

Policzki jej zaróżowiły się ze złości. Nawet gruby warkocz wyraził swój protest, podskakując na plecach, kiedy potrząsnęła głową.

Ojjoj! Beniamin ukrył radość pod spuszczonej powiekami. Co za temperament! Co za kobieta! Przy niej każdy mężczyzna zawsze będzie czuł się młodo.

Ruth poderwała się od stołu. Beniamin dopiero teraz zauważył, że ma na sobie strój do jazdy konnej.

- Gdzie się wybierasz? Ruth, chyba nie zamierzasz więcej dzisiaj jeździć?

- Właśnie że zamierzam.

- Ale dziecko!

- Wujku Ben, czy nie mógłbyś się nauczyć nie wtykać nosa w nie swoje sprawy? - Wysła z pokoju. Jej kibić była cały czas szczupła i Ruth szła z gracją, która budziła najbardziej sprzeczne uczucia w sercu Beniamina.

- Nie powinieneś jej pozwolić traktować siebie w ten sposób - powiedziała jego żona łagodnym tonem, którym zawsze się do niego zwracała.

- Coś kłopotuje tę dziewczynę. - Beniamin wytarł uważnie resztki jajka z wąsów, położył serwetkę na stole, wyjął z kieszeni kamizelki złoty zegarek i sprawdzwszy czas wstał od stołu. - Coś bardzo poważnego. Zapamiętaj moje słowa.

Był piątek. Ruth wydało się dziwne to, jak piątek stał się dniem, wokół którego kręciły się wszystkie dni tygodnia. Pogoniła kasztanowatego ogiera, który z miejsca ruszył galopem, tak że musiała go lekko powstrzymać i zmusić do spokojniejszego kroku.

Przyjechała za wcześnie i musiała odczekać w parkowej alei wysadzonej dębami dziesięć ciągnących się niemiłosiernie minut. Siostra wynurzyła się z za żywopłotu niczym mały konspirator.

- Ma pani to? - spytała niecierpliwie Ruth.

Dziewczyna skinęła głową, rozejrzała się szybko wokół i wyjęła kopertę z za szarego fartucha. Ruth wręczyła jej złotego suwerena. Ściskając w rękę monetę siostra ruszyła z powrotem w stronę szpitala.

- Niech pani zaczeka. - Ruth zatrzymała ją. To był jej jedyny z nim kontakt i Ruth nie chciała go tak szybko przerwać. - Jak się czuje?

- Wszystko w porządku, proszę pani.

- Wiem. Powiedz mi, jak wygląda. Co robi i mówi? - nalegała Ruth.

- Och, teraz wygląda całkiem nieźle. Od tygodnia wstaje z łóżka i chodzi o lasce z tym wielkim czarnym dzikusiem u jego boku. Pierwszego dnia wywrócił się i szkoda, że pani nie słyszała, jak przy tym kłął. O Boże! - Roześmiały się równocześnie. - To twarda sztuka. Siostra miała z nim wczoraj przeprawę, kiedy chciała go wykapać. Nazwał ją bezwstydną ladacznicą. Nakrzyczała na niego, ale widziałam, że była zadowolona i wszystkim o tym opowiadała.

Dziewczyna mówiła chętnie, a Ruth słuchała oczarowana; do pewnego momentu.

- A wie pani, co zrobił wczoraj, kiedy zmieniałam mu piżamę? - Zarumieniła się lekko. - Uszczypnął mnie z tyłu!

Ruth poczuła, jak zalewa ją gorąca fala złości. Uświadomiła sobie nagle, że dziewczyna jest całkiem ładna.

- I powiedział...

- Dosyć! Dziękuję. - Ruth z trudem powstrzymała rękę, którą trzymała wodze. - Muszę już jechać. - Zazwyczaj długa spódnica przeszkadzała jej we wspięciu się na konia, ale tym razem znalazła się w siodle bez żadnych problemów.

- Za tydzień, proszę pani?

- Tak. - Uderzyła ogiera w szyję. Skoczył do przodu tak energicznie, że Ruth musiała przytrzymać się z całych sił siodła. Pędziła tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu, poganiając konia batem i piętami, aż na jego bokach pojawiły się ciemne plamy potu, a piana z pyska zaczęła przyskać na grzbiet. Kiedy dotarła do swojej kryjówki na brzegu rzeki Umgeni, zazdrość jej minęła i poczuła wstyd. Poluzowała ogierowi popręg i poklepała go z czułością po szyi, zanim zostawiła go przywiązanego do jednej z wierzb płaczących. Zeszła nad sam brzeg rzeki i usiadła na swoim ulubionym kłocu drzewa nad wodą.

Otworzyła kopertę. Gdyby Sean mógł wiedzieć, że wykresy temperatury, dane o stanie zdrowia, zalecenia lekarza i poziom cukru w moczu są czytane z taką pasją, na pewno dodałby do innych swoich chorób naruszenie śledziony.

W końcu złożyła kartki i schowała je do kieszeni. Musi teraz wyglądać zupełnie inaczej, kiedy zgolono mu brodę. Patrzyła na płynącą rzekę i miała wrażenie, że jego twarz formuje się w zielonej toni, żeby na nią spojrzeć. Dotknęła powierzchni wody czubkiem buta i zmarszczki zniszczyły obraz.

Poczuła przygniatającą samotność.

- Nie wolno mi pójść do niego - szepnęła, utwierdzając się w postanowieniu, które

trzymało ją z dala od niego przez ostatnie tygodnie, odkąd dowiedziała się o pobycie Seana w szpitalu. Tak blisko - tak bardzo blisko.

Spojrzała zdecydowanym wzrokiem na wodę, usiłując przypomnieć sobie twarz męża. Zobaczyła jedynie żółtą rybę, której łuska pokryta zębatym wzorem błyszczała na tle piaszczystego dna. Rzuciła kamyk do wody i ryba uciekła.

Saul. Zawsze wesoly, mały Saul z twarzą małpki, który potrafił skłonić ją do nieopanowanego śmiechu, jakby była dzieckiem śmiejącym się do matki. Kocham go, pomyślała. Była to prawda, kochała męża. Jednak miłość przyjmuje różne kształty, niektóre z nich przypominają górę - wysoką i poszarpaną. Miłość może też być niczym chmura - bezkształtna i pozbawiona wyraźnych konturów. Miłość niczym miękka chmura napływa nad górę i rozplywa się w powietrzu. Góra jednak stoi nieporuszona pośród otaczających ją chmur. Góry są niezmiennie.

- Moja góra - wyszeptała i zobaczyła go wyraźnie, jak stoi nad nią potężny w szalejącej burzy.

- Storm - szepnęła i położyła dłoń na brzuchu, który był nadal płaski i twardy. - Storm - powtórzyła i poczuła ciepło w środku. Fala gorąca promieniowała z jej łona, rozpościerając się i przemieniając w palące pożądanie, którego nie mogła opanować. Podbiegła co sił w nogach do ogiera, ze spódnicą płaczącą się pomiędzy nogami i drżącymi rękoma zacisnęła popręg.

- Tylko raz - obiecała sobie. - Tylko ten jeden raz. - Rozpaczliwie wdrapała się na siodło.

- Przysięgam, tylko ten jeden raz! - Głos się jej załamał. - Nie mam siły. Próbowałam, Bóg mi świadkiem, że próbowałam!

Ruth szła przez werandę wywołując poruszenie i podniecone szepty na ustawionych przy ścianie łózkach. Sposób, w jaki trzymała ręką spódnicę, stukot jej długich butów na podłodze i delikatne falowanie bioder znamionowały niecierpliwość. W oczach błyszczało pożądanie, które kryło się także w nabrzmiątych piersiach pod zakietem koloru czerwonego wina. Szaleńcza jazda zaróżowiła jej policzki i rozrzuciła na czole czarne włosy.

Chorzy i samotni mężczyźni odnosili wrażenie, jakby między nich zstąpiła bogini, oszołomieni jej urodą, a jednocześnie smutni, że kobieta ta jest dla nich nierealna jak senne marzenie. Ruth nie widziała ich, nie czuła dotykających jej ciała spragnionych spojrzeń i nie słyszała żalonych szeptów. Widziała tylko Seana.

Szedł wolno po trawniku w stronę werandy, posługując się laską przy każdym niepewnym kroku. Szedł ze spuszczonej oczami, zatopiony w myślach. Coś ścisnęło ją za

gardło, gdy zobaczyła, jak bardzo wyniszczone jest jego ciało. Nie pamiętała go aż tak wysokim, z wychudzonymi, szerokimi ramionami. Nigdy nie widziała ostrego zarysu szczęki, bladej skóry, lekko niebieskiej po niedawnym goleniu. Pamiętała jednak ocienione gęstymi brwiami oczy i wielki nos nad zmysłowymi ustami.

Sean zatrzymał się na brzegu trawnika na rozstawionych szeroko nogach, oparł laskę o ziemię i wspierając się na niej obiema rękami podniósł na nią oczy.

Przez długie sekundy żadne z nich się nie poruszyło. Sean stał z pochylonymi ramionami i podniesioną głową utrzymując równowagę dzięki lasce i patrzył na nią. Ruth stała w cieniu werandy ze spódnicą zebraną w jednej ręce i z drugą ręką podniesioną do gardła, żeby powstrzymać dławiące ją łkanie.

Z wolna rozprostował ramiona. Odrzucił laskę i wyciągnął do niej rękę.

Ruth rzuciła się ku niemu przez nienagannie ostrzyżony zielony trawnik. Wpadła w rozwarte ramiona i zadrżała w jego uścisku.

Obiema rękami oplótła jego pas, a twarz ukryła na piersiach. Czowała męski zapach i silne mięśnie trzymających ją ramion. Wiedziała teraz, że jest bezpieczna. Tak długo jak znajdowała się w jego objęciach, nikt i nic nie mogło jej dotknąć.

**24.** Na zboczu góry, która wyrasta nad Pietermaritzburgiem, znajduje się polana ukryta pomiędzy akacjami. Jest to odosobnione miejsce, gdzie nawet płochliwe jelenie przychodzą paść się za dnia. W cichy dzień można usłyszeć z tego miejsca stłumiony stukot kół wozów na biegnącej poniżej drodze czy gwizd parowozu. Są to jedyne odgłosy miasta, jakie docierają do tego miejsca.

Nad polaną przeleciał motyl i niepewnie trzepocząc w słońcu skrzydełkami skierował się ku cętkowanemu, poruszającemu się cieniowi na skraju lasu i usiadł.

- Co za traf - wymamrotał leniwie Sean i Ruth podniosła głowę z koca, na którym leżeli. Przy każdym poruszeniu skrzydełek zielono-żółty wzór błyszczał w promieniach słońca, które przedzierały się przez liście nad ich głowami i padały nań niczym światło reflektora.

- Łaskocze mnie - powiedziała Ruth, gdy motyl podjął wędrówkę w dół jej ciała przez gładki, biały brzuch. Wyglądał niczym ożywiony drogocenny kamień. Dotarł do pępka i znieruchomiał. Po chwili rozwinął długi języczek i zanurzył go w delikatnej rosie potu, który zwilżył jej skórę podczas miłosnego aktu.

- Przyleciał pobłogosławić dziecko.

Motyl opuścił pięknie wyrzeźbiony pępek i podjął przechadzkę w dół ciała.

- Nie sądzisz, że posuwa się za daleko? Nie musi chyba błogosławić i tego? - spytała Ruth.

- Wygląda na to, że wie co dobre - odparł dwuznacznie Sean. Motyl dotarł do skraju gęstych, czarnych włosów i nie mogąc iść dalej zawrócił. Jeszcze raz minął pępek i bez wahania skierował się ku przejściu pomiędzy piersiami.

- Nie zatrzymuj się, przyjacielu - poradził mu Sean, ale nagle motyl skrzywił się, wdrapał się na stromy pagórek i usiadł na szczycie.

Sean patrzył na drgające skrzydełka, które z orientalnym przepychem wachlowały sutek, i poczuł ogarniające go na nowo pożądanie.

- Ruth. - Jego głos był dziwnie gardłowy. Obróciła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Zmykaj, motylku. - Odgoniła go ruchem ręki.

Jakiś czas później Ruth obudziła Seana z krótkiej drzemki. Usiedli naprzeciw siebie na kocu, ustawiając otwarty kosz z jedzeniem pomiędzy sobą.

Kiedy Sean otwierał wino, Ruth przygotowywała posiłek z poświęceniem kapłanki składającej ofiarę. Patrzył, jak rozcina bułki, smaruje je grubo masłem, następnie otwiera słoiki z marynatą, cebulą i ćwikłą. Na dno drewnianej miseczki włożyła kilka listków sałaty i



zręcznie je przybrała.

Rozpuszczone włosy rozlały się czarną falą na delikatnych białych ramionach i poruszały się przy każdym ruchu głowy. Odsunęła je z czoła grzbietem dłoni, spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Nie gap się tak. To nieładnie. - Wzięła kieliszek z jego ręki, wypila łyk zimnego białego wina, odstawiła go na koc i zajęła się dzieleniem kurczaka. Udając, że nie czuje na sobie jego wzroku zaczęła cicho nucić pieśń miłosną, którą śpiewała mu w czasie burzy. Sean patrzył, jak białe piersi wysuwają się ku niemu zza zasłony czarnych włosów.

Ruth wytarła palce w białą szmatkę, podniosła kieliszek i opierając łokcie na kolanach odwzajemniła jego badawcze spojrzenie.

- Jedz - zachęciła go.

- A ty?

- Za chwilę. Chcę popatrzeć na ciebie. Sean poczuł głód i wziął się do jedzenia.

- Jesz w ten sam sposób, jak się kochasz. Jakbyś jutro miał umrzeć.

- Nie lubię ryzykować.

- Cały jesteś pokryty bliznami, jak stary kocur, który stoczył zbyt wiele walk. -

Pochyliła się do przodu i dotknęła palcem jego piersi. - Co to było?

- Leopard.

- A to? - Dotknęła ramienia.

- Nóż.

- A ta blizna? - Wskazała na nadgarstek.

- Kula.

Opuściła rękę i pogłaskała świeżą bliznę, która opasywała mu udo niczym groteskowy pęd dzikiego wina.

- Tę znam - szepnęła i jej oczy napełniły się smutkiem. Sean odezwał się szybko, żeby zmienić nastrój.

- Teraz moja kolej. - Sięgnął nad koszem i położył rękę na jej brzuchu, czując jak miękko ugina się pod jego dłonią. - Co się tutaj stało? - zapytał i Ruth zachichotała. - Kula karabinowa czy raczej pocisk armatni?

Kiedy spakowała koszyk, uklękła przy nim. Sean leżał na plecach z cygarem w ustach.

- Masz dosyć? - zapytała.

- Och, tak - odparł szczęśliwym tonem.

- A ja nie. - Nachyliła się nad nim, wyjęła mu z ust cygaro i wyrzuciła je w kępę jeżyn.

Wraz ze zbliżającym się zmierzchem z góry nadleciał słaby wietrzyk i poruszył liście nad nimi. Delikatny meszek na jej ramionach podniósł się, a ciemne sutki napęczniały.

- Nie możesz spóźnić się do szpitala już przy pierwszym wyjściu. - Ruth zsunęła się z niego i sięgnęła po ubranie.

- Siostra przełożona powiesi mnie, poćwiartuje i obedrze ze skóry - zgodził się z nią Sean. Ubierali się szybko i Sean poczuł, że Ruth jest już daleko od niego. W jej głosie nie było słyhać śmiechu, a twarz była chłodna.

Stanął za nią i pomógł jej zawiązać gorset. Nienawidził pętać tego pięknego ciała i chciał jej to powiedzieć.

- Saul wraca jutro. Ma miesięczną przepustkę. - Głos Ruth był szorstki. Ręce mu zamarły. Stali przez chwilę nieruchomo w milczeniu. Był to pierwszy raz, kiedy któreś z nich wspomniało o Saulu od tego ranka miesiąc temu, gdy przyjechała odwiedzić go w szpitalu.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? - Głos Seana był równie szorstki.

- Nie chciałam zepsuć dzisiejszego dnia. - Nie odwróciła się do niego, tylko patrzyła na odległe wzgórze za miastem.

- Musimy się naradzić, co mamy mu powiedzieć.

- Nie ma nic do powiedzenia - odpowiedziała sucho.

- Ale co zrobimy? - Jego głos brzmiał nieprzyjemnie, wyrażając mieszaninę strachu i poczucia winy.

- Zrobimy, Sean? - Obróciła się do niego z twarzą pozbawioną wyrazu. - Nic nie zrobimy, nic a nic.

- Przecież należysz do mnie! - zaprotestował gwałtownie.

- Nie - odparła.

- Dziecko jest moje!

Na te słowa jej oczy zwięzły się, a usta zacisnęły z gniewu.

- Nie, do cholery, nie jest twoje! Nie jest twoje, mimo że to ty je spłodziłeś. - Patrzyła na niego rozognionymi oczami. Pierwszy raz wybuchła na niego gniewem. Sean był głęboko poruszony. - Dziecko należy do Saula. Ja też należę do Saula. Nic ci nie jesteśmy dłużni.

Patrzył na nią ze zdumieniem.

- Nie mówisz tego poważnie. - Gniew nieco przycichł. Sean spróbował wykorzystać moment. - Odjedziemy razem.

- Uciekniemy, chciałeś powiedzieć. Zwiejemy, jak para złodziei. Co ze sobą zabierzemy, Sean? Szczęście człowieka, który kocha nas i ufa nam bezgranicznie? Tak, to i naszą winę. Nigdy byś mi nie wybaczył, a ja tobie. Nawet gdy o tym mówimy, nie potrafisz

spojrzeć mi w oczy. Już teraz zaczynasz mnie nienawidzić.

- Nie! Wcale nie!

- A ja bym cię znienawidziła - wyszeptała. - Przyrowadź mojego konia.

- Nie kochasz go. - To bolesne oskarżenie samo wyrwało mu się z piersi, ale Ruth ubierała się dalej, jakby nic nie powiedział.

- Będzie chciał cię zobaczyć. Połowa każdego listu, jaki do mnie pisze, dotyczy ciebie. Powiedziałam mu, że odwiedziłam cię w szpitalu.

- Powiem mu - krzyknął Sean. - Powiem mu o wszystkim.

- Nie, nie zrobisz tego - odpowiedziała spokojnie. - Nie po to go uratowałeś pod Colenso, żeby teraz zniszczyć. Zniszczyłbyś go w ten sposób, a przy tym nas oboje. Proszę, przyrowadź mojego konia.

Sean gwizdnął. Stali obok siebie, nie dotykając się, nie odzywając się, nawet nie patrząc na siebie. Mbejane wyszedł z lasu prowadząc ich konie.

Sean podsadził Ruth i pomógł jej usiąść w siodle.

- Kiedy? - spytał cicho.

- Może nigdy - odpowiedziała i zawróciła wierzchowca. Nie spojrziała na niego i Sean nie widział jej twarzy mokrej od łez. Tętent kopyt zagłuszył jej łkania, zaś ramiona cały czas starała się trzymać wyprostowane, żeby nic nie zauważył.

**25.** Rada wojenna zakończyła obrady w nocy i kiedy oficerowie odjechali do swoich oddziałów, Jan Paulus usiadł samotnie przy ogniu.

Czuł się tak zmęczony, jakby mózg był zimną ośmiornicą, która pochwyliła w swoje ramiona całe jego ciało. Był także samotny. Stojąc na czele pięciu tysięcy ludzi miał wrażenie większego osamotnienia niż na bezludnej wyspie.

Obecna samotność przywołała wspomnienie dwudziestu lat życia, jakie poświęciła mu żona, i jego myśli skierowały się ku Henriecie. Uśmiechnął się do jej obrazu, czując jak czułość osłabia w nim chęć walki.

Najchętniej wróciłbym na farmę, choćby tylko na tydzień. Tylko żeby zobaczyć, czy wszystko u nich w porządku. Gdybym mógł poczytać im Biblię i patrzeć na twarze dzieci w świetle lampy. Tak bardzo chciałbym siedzieć z synami na ganku i słyszeć głosy Henrietty i córek krzątających się po kuchni. Chciałbym...

Wstał gwałtownie od ogniska. Ja, chciałbyś tego i chciałbyś tamtego! No to idź! Weź sobie urlop, którego odmówiłeś innym. Przygryzł ustnik fajki. Możesz też siedzieć tutaj i marzyć jak stara kobieta, kiedy dwadzieścia pięć tysięcy Anglików przeprowadza się przez rzekę.

Wyszedł z obozu i zaczął wspinać się na przełęcz. Jutro, pomyślał. Jutro.

Bóg okazał się łaskawy i dwa dni temu powstrzymał Brytyjczyków od ataku na przełęcz, kiedy to Jan Paulus miał tylko trzystu ludzi do obrony. Teraz miał już pięć tysięcy przeciw ich dwudziestu pięciu tysiącom. Brytyjczycy mogą sobie atakować.

Dotarł na szczyt przełęcz i zobaczył pod sobą zalaną miękkim blaskiem księżyca dolinę Tugeli. Rzeka wyglądała niczym ciemna rozpadlina w ziemi. Zmarszczył brwi widząc ogniska biwakowe na farmie Trichard.

Więc już przekroczyli rzekę. Niech Bóg wybaczy mi, że im na to pozwoliłem, ale nie mogłem zatrzymać całej armii z trzystoma ludźmi. Dwa dni czekałem, aż kolumna pokona dwadzieścia mil dzielących nas od Colenso. Dwa dni patrzyłem bezsilnie, jak ich kawaleria i piechota przekracza rzekę, podczas gdy nasze działa grzęzły w błocie.

Teraz żołnierze są gotowi i jutro nas zaatakują. Muszą zaatakować w tym miejscu, gdyż atak w każdym innym punkcie byłby szaleństwem, większą głupotą niż ta, którą dotąd okazali.

Nie mogą uderzyć z prawej flanki, gdyż najpierw musieliby przejść przed naszymi liniami. Nie mają tu żadnej osłony, a rzeka odcina im odwrót, więc musieliby odsłonić prawy bok z odległości dwóch tysięcy jardów. Nie, nie odważą się na atak od prawej strony. Nawet Buller nie zdecydowałby się na to.

Odwrócił głowę w przeciwną stronę i spojrzął na wysokie szczyty. Ukształtowanie terenu przypominało grzbiet olbrzymiej ryby. Jan Paulus stał na jej głowie, na łagodnym zboczu Tabankyama; dalej wyrastały płetwy ryby: ciąg wysokich szczytów Vaalkrans, Brakfontein, Twin Peaks, Conical Hill i najwyższy ze wszystkich, Spion Kop.

Ponownie poczuł wątpliwości. Z pewnością żaden dowódca, a zwłaszcza Buller, nie rzuciłby swoich ludzi do ataku na tę naturalną fortecę. Byłoby to równie beznadziejne jak uderzenia fal morskich o granitowe skały. Jednak wątpliwości nie miały zamiaru ustąpić.

Buller, przeciwnik, którego zawsze potrafił przejrzeć i który wydawał się wierzyć jedynie w teorię frontalnego ataku, może tym razem spostrzeże, że zbocza Tabankyamy są jedynym sensownym miejscem, w którym jego wojska mają szansę dokonać wyłomu. Jeśli domyśli się, że cała armia burska ze wszystkimi działami czeka na wroga właśnie w tym miejscu? Co będzie, jeśli zgadnie, że tylko dwudziestu ludzi broni każdego szczytu na lewej flance, że Jan Paulus nie odważył się rozproszyć swoich sił i postawił wszystko na jedną kartę, ustawiając oddziały na Tabankyamie?

Jan Paulus westchnął ciężko. Za późno już na wątpliwości. Dokonał wyboru i jutro przekona się, czy był on słuszny. Jutro, van more, jutro będzie wiedział.

Odwrócił się i zaczął schodzić do obozu. Księżyc chował się już za ciemnym masywem Spion Kop i na ścieżce położył się cień góry. Spod buta usunął się kawałek skały i Jan Paulus ledwo utrzymał się na nogach.

- Wies Daar? - Zapytanie nadbiegło zza skalnego załomu przy ścieżce.

- Przyjaciel. - Jan Paulus zobaczył mężczyznę opartego o skałę z mauzerem na biodrach.

- W jakim jesteś komandzie?

- Wynbergera pod Leroux.

- Aha! Więc znasz Leroux? - spytał strażnik.

- Oczywiście.

- Jakiego koloru ma brodę?

- Rudą, tak rudą jak płomienie piekła. Strażnik się roześmiał.

- Powiedz ode mnie wujkowi Paulowi, że jak go spotkam, to zawiążę mu na niej supeł.

- No to najlepiej będzie, jak sam wcześniej zgolisz brodę, bo może odwzajemnić ci się tym samym - ostrzegł go Jan Paulus.

- Jesteś jego przyjacielem?

- Jestem z nim spokrewniony.

- No to diabli i z tobą. - Strażnik znowu się roześmiał. - Napijesz się z nami kawy?

Była to wspaniała okazja przekonania się, jak duży zapal mają jego ludzie do jutrzejszej bitwy.

- Dankie. - Przyjął zaproszenie.

- Dobrze. - Strażnik się wyprostował i Jan Paulus zobaczył, że jest to wysoki mężczyzna, któremu jeszcze dodawał wzrostu filcowy kapelusz. - Karl, zostało trochę kawy w dzbanku? - krzyknął w ciemności za skałą. Natychmiast odpowiedział mu jakiś głos.

- Musisz się tak, do cholery, drzeć? To pole bitwy, a nie zebranie partyjne.

- Anglicy są równie głośni. Słyszę ich przez całą noc.

- Anglicy to głupki. Musisz być równie głupi jak oni?

- Tylko dla ciebie. - Strażnik opuścił głos do teatralnego szeptu i zaraz znowu ryknął. - Ale co jest z tą cholerną kawą?

Ten facet ma jaja, Jan Paulus uśmiechnął się do siebie, gdy rozbawiony mężczyzna położył mu rękę na ramieniu i poprowadził go do osłoniętego ogniska pomiędzy skałami. Przy ogniu z kocami na ramionach siedziało trzech ludzi zajętych rozmową.

- Księżyc zajdzie za jakieś pół godziny - powiedział jeden z nich. - Wcale mnie to nie cieszy. Jeśli Anglicy planują zaatakować w nocy, to uderzą właśnie po zachodzie księżyca.

- Kto idzie z tobą? - spytał Karl, gdy zbliżyli się do ognia.

- Przyjaciel - odparł strażnik.

- Z jakiego komanda?

- Wynbergera - odpowiedział Jan Paulus. Karl skinął głową i podniósł poobijany czajnik znad ogniska.

- Więc jesteś pod wujkiem Paulem. Ciekaw jestem, co on myśli o naszych szansach w jutrzejszej bitwie?

- To samo co o człowieku z jednym pociskiem w komorze, który w gęstym buszu musi powstrzymać szarżującego bawołu z prze strzelonymi płucami.

- Myślisz, że się tym przejmuje?

- Tylko wariat nie zna strachu. Wiem, że wujek Paul się boi, tyle że nie pokazuje tego po sobie, żeby strach nie zaraził innych ludzi - odpowiedział Jan Paulus przyjmując kubek z kawą i siadając na skale poza zasięgiem światła z ogniska, by nie rozpoznali jego twarzy i koloru brody.

- Okazuje to, czy nie - mruknął strażnik napełniając własny kubek - ale przypuszczam, że oddałby jedno oko za to, żeby teraz być na swojej farmie w Wynberg w łóżku z żoną.

Jan Paulus czuł narastający w nim gniew i jego głos był szorstki, kiedy się odezwał.

- Uważasz, że jest tchórzem?

- Uważam, że wolałbym stać na wzgórzu milę za linią walk i posyłać innych ludzi na śmierć - zachichotał strażnik, ale w jego głosie słychać było szyderstwo.

- Słyszałem, jak przysięgał, że jutro będzie tam, gdzie będą toczyły się największe walki - warknął Jan Paulus.

- Och, tak powiedział? Pewnie, żebyśmy bardziej ochoczo szli do walki. Jednak kiedy kula z lee-metforda rozerwie ci brzuch, to jak będziesz wiedział, gdzie jest wujek Paul?

- Mówiłem ci już, że to mój krewniak. Jeśli obrażasz go, to obrażasz także mnie. - Gniew ścisnął mu gardło.

- W porządku! - Strażnik wstał szybko. - Załatwmy to od razu.

- Uspokójcie się, głupcy - powiedział z irytacją Karl. - Zachowajcie swój gniew dla Anglików. - Po chwili dodał trochę spokojniej: - Wszyscy jesteśmy zdenerwowani wiedząc, co nam przyniesie jutrzejszy dzień. Przerwijcie sprzeczkę.

- Ma rację - zgodził się Jan Paulus. Głos miał nadal zduszony od gniewu. - Jednak kiedy spotkam cię ponownie...!

- Jak mnie poznasz? - zapytał strażnik.

- Trzymaj! - Jan Paulus zerwał kapelusz z szerokim rondem z głowy i rzucił mężczyźnie pod nogi. - Weź ten i daj mi swój.

- Po co? - Strażnik był zdziwiony.

- Jeśli przyjdzie kiedyś do mnie mężczyzna i powie mi: "Nosisz mój kapelusz", to będzie mówił: "Jan Paulus Leroux jest tchórzem!"

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, tak że w słabym świetle zabłysły jego zęby, rzucił Janowi Paulusowi swój wysoki kapelusz i schylił się, żeby podnieść kapelusz przeciwnika. W tej samej chwili usłyszeli ciche odgłosy strzałów karabinowych przyniesione przez wiatr.

- Mauzery! - krzyknął Karl podrywając się na nogi i wywracając czajnik z kawą.

- Po lewej - jęknął Jan Paulus. - O Boże, miej nas w opiece! Zaatakowali od lewej strony.

Strzelanina rozrastała się i pomiędzy suchymi trzaskami mauzerów słyszeli teraz głucho huki lee-metfordów.

- Spion Kop! Są na Spion Kop. - Jan Paulus pobiegł szaleńczo w dół ścieżką do obozu, wciskając wysoki kapelusz na uszy.

**26.** Cały szczyt Spion Kop zakrywała gęsta mgła, przez którą wstające słońce przeświecało perłowym światłem. Miękka zasłona unosiła się pomiędzy żołnierzami formując kropelki rosy na lufach karabinów.

Pułkownik John Acheson zjadał właśnie na śniadanie chleb z szynką. Siedział na olbrzymim głazie w kurtce od munduru zarzuconej na ramiona i jadł w milczeniu.

- Jak na razie żadnych śladów Burów - oznajmił pogodnie nadchodzący z tyłu kapitan.

- Rów nie jest dostatecznie głęboki. - Acheson przyjrzał się płytkiemu okopowi z trudem wrytemu w kamienistej ziemi i wypełnionemu po brzegi odpoczywającymi żołnierzami.

- Wiem, sir. Nie można jednak na to nic poradzić. Dokopaliśmy się do skały i trzeba by wozu dynamitu, żeby go pogłębić o następną stopę. - Kapitan wziął kanapkę. - Zresztą nieprzyjaciel będzie strzelał z dołu i parapety zasłonią nas od kul. - Na brzegu rowu usypano wał z ziemi i kamieni na wysokość dwóch stóp. Słaba osłona dla dwóch tysięcy ludzi.

- Był pan już kiedyś w tych górach? - spytał grzecznie Acheson.

- Nie, sir. Oczywiście, że nie.

- Więc skąd pan ma, do cholery, taką pewność, jak jest ukształtowany teren? W tej mgle nic nie widać.

- Przecież znajdujemy się na szczycie i jest on najwyższy... Acheson przerwał mu zirytowanym głosem:

- Gdzie są ci cholerni zwiadowcy? Dlaczego jeszcze nie wrócili? - Zerwał się na równe nogi i ruszył wzdłuż rowu z powiewającą na nim marynarką. - Hej, wy tam. Nie możecie podwyższyć tego parapetu?

Kilku ludzi poruszyło się i zaczęło niechętnie układać kamienie. Żołnierze byli zmęczeni nocną wspinaczką i potyczką z oddziałem Burów pilnujących dostępu na górę. Acheson usłyszał, jak klną pod nosem za jego plecami.

- Acheson! - Z mgły wyłonił się generał Woodgate, a za nim reszta sztabu.

- Sir! - Acheson pośpieszył na jego spotkanie.

- Czy pańscy ludzie są dobrze okopani?

- Tak dobrze, jak to tylko możliwe.

- W porządku. Co z wrogiem? Czy zwiadowcy wrócili już z raportem?

- Nie. Nadal są tam gdzieś we mgle. - Acheson wskazał na tumany białej mgły, która ograniczała widoczność do pięćdziesięciu stóp.

- No cóż, powinniśmy się utrzymać do czasu nadsięgnięcia posiłków. Niech pan mnie powiadomi, jak tylko... - Za nimi zrobiło się małe zamieszanie. Woodgate zamilkł na chwilę.



- Co to jest?

- Moi zwiadowcy, sir.

Saul Friedman wykrzykiwał raport z odległości dwudziestu stóp. Twarz miał wykrzywioną podnieceniem, gdy biegł w ich kierunku.

- Fałszywy szczyt! Jesteśmy na fałszywym szczycie! Prawdziwy jest dwieście jardów dalej, a po naszej prawej stronie znajduje się wzniesienie porośnięte aloesami, które pozwala wrogowi ostrzelać ogniem flankowym całą naszą pozycję. Wszędzie są Burowie. Cała ta cholerna góra roi się od Burów.

- Dobry Boże, człowieku! Jesteś tego pewien?

- Pułkownik Acheson - krzyknął Woodgate - niech pan obróci prawą flankę w stronę wzniesienia - i gdy Acheson ruszył w pośpiechu w tamtym kierunku, generał dodał pod nosem: - Jeśli tylko pan zdąży!

W tej samej chwili wiatr zaczął unosić wirującą mgłę.

27. Jan Paulus stał przy swoim koniu. Mgła skropliła się na jego długiej brodzie i skrzyła się złościście w słońcu. Z obu ramion zwisały mu pasy z amunicją, a karabin mauzer wyglądał niczym dziecinna zabawka w potężnych dłoniach. Ostro zarysowana szczeka była wysunięta do przodu, gdy Jan Paulus rozważał w skupieniu swoją pozycję. Przez całą noc jeździł od obozu do obozu, zachęcając ludzi krzykiem i przykładem do wspinania się na zbocza Spion Kop. Cała góra wokół niego pobrzmiwała szeptami pięciu tysięcy oczekujących ludzi, a za nimi stały działa ustawione pod kątem stu dwudziestu stopni. Od Green Hill na północnym zachodzie aż po zbocza Twin Peaks jego działowi czekali przykucnięci przy nordenfeldtach, gotowi nacelować je na szczyt Spion Kop.

Wszystko już gotowe i teraz muszę tylko zasłużyć na przywilej noszenia tego kapelusza. Uśmiechnął się i wcisnął wysoki kapelusz mocniej na głowę.

- Hennie, odprowadź mojego konia do obozu.

Chłopiec wziął konia za uzdę i Jan Paulus zaczął wspinąć się na szczyt. Z każdą chwilą przybywało światła i schowani pomiędzy kamieniami ludzie rozpoznawali płomienną brodę.

- Goeie Jag, wujku Paul. - Wołali za nim. - Kom saam om die Rooi Nekke te skiet. - Dwóch ludzi wybiegło mu naprzeciw.

- Wujku Paul. Byliśmy na Aloe Knoll. Nie ma tam Anglików!

- Jesteście pewni? - Wydawało się to zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- Ja, wujku Paul. Wszyscy są z tyłu tej góry. Słyszeliśmy, jak kopią i rozmawiają ze sobą.

- Z jakiego jesteście komanda? - spytał Jan Paulus i we mgle zaczęli się tłoczyć wokół niego ludzie.

- Z komanda Carolina - odpowiedziały głosy w tłumie.

- Chodźcie - rozkazał Jan Paulus. - Chodźcie wszyscy. Idziemy na Aloe Knoll.

Poszli za nim. Omijając łukiem szczyt szli szybkim krokiem i Jan Paulus słyszał za sobą setki nóg szeleszczących w gęstej trawie i przyśpieszone oddechy parujące w wilgotnym powietrzu. Nagle wyrósł przed nimi ciemny szczyt Aloe Knoll i ludzie wbiegli na niego i pochowali się za występami skalnymi, niczym kolumna mrówek wracających do mrowiska.

Leżąc na brzuchu Jan Paulus zapalił fajkę i ubił żarzący się tytoń stwardniałym kciukiem, zaciągnął się dymem i wydmuchnął go w gęstą, białą zasłonę z mgły. W pełnej grozy ciszy, która zapadła nad szczytem, odezwał się jego żołądek. Jan Paulus przypomniał sobie, że nic nie jadł od wczorajszego południa. W kieszeni miał pas suszonego mięsa.

Lew najlepiej poluje o pustym żołądku, powiedział sobie i zaciągnął się fajką.

- Nadeściaga wiatr - szepnął ktoś za nim, ktoś, kto pierwszy usłyszał delikatny szelest wśród aloesów. Aloesy wyrastały tu na wysokość człowieka, ozdobione wieloma głowami niczym zielone kandelabry ze szkarłatnymi i złotymi zwieńczeniami, które teraz lekko pochylały się na wietrze.

- Ja. - Jan Paulus poczuł w piersiach ucisk wywołany przez strach pomieszany z podnieceniem. Natychmiast zapomniał o zmęczeniu. - Nadchodzi. - Wystukał tytoń z fajki o kamień, schował ją do kieszeni i podniósł karabin ze skały.

W dramatycznym nastroju wiatr zerwał mgłę niczym zasłonę zakrywającą posąg. Pod niebem koloru kobaltu leżał okrągły szczyt Spion Kop, złocistobrazowy w porannym słońcu. Przecinała go długa na pięćset jardów pręga czerwonej ziemi.

- Almagtig! - sapnął Jan Paulus. - Teraz są nasi. Wystające nad niski parapet hełmy koloru khaki odcinały się wyraźnie od brązowej ziemi, przypominając ptaki usadzone równym rzędem na płocie. Były tak blisko, że Jan Paulus rozróżniał paski podtrzymujące hełmy i czubki ozdobione zapinkami. Za linią okopu setki angielskich żołnierzy odsłoniętych od butów po hełmy stały lub poruszały się, spokojnie niosąc skrzynki z amunicją i manierki z wodą. Przez kilka długich sekund panowała taka cisza, jakby Burowie patrzący na ten niewiarygodny cel nie mogli się zmusić do pociągnięcia za cyngle, na których spoczywały ich palce. Anglicy byli zbyt blisko, zbyt łatwo można ich było zabić. Ludzie nie mogli podjąć decyzji.

- Ognia! - ryknął Jan Paulus. - Skiet, kerels, skiet. - Głos dotarł do brytyjskich okopów. Zobaczył, jak cały ruch zamiera, w jego stronę odwracają się blade twarze i Jan Paulus wymierzył w pierś jednego z żołnierzy. Kolba uderzyła go w ramię. Mężczyzna potoczył się w trawę.

Pierwszy strzał rozwiął urok. Gruchnęły karabiny i stojące martwo figurki w mundurach khaki trafiane setkami kul zaczęły wykonywać nieskoordynowane ruchy. Przy takiej odległości większość ludzi Jana Paulusa potrafiła położyć cztery z pięciu biegnących gazeli. W ciągu kilku sekund, których Anglicy potrzebowali do ukrycia się w okopie, najmniej pięćdziesięciu z nich zostało zastrzelonych lub ranionych. Rozciągnięte ciała leżały nieruchomo na czerwonej ziemi.

Nad parapet wystawały teraz jedynie hełmy, które nieustannie nurkowały, by załadować broń, wynurzały się, żeby oddać strzał, i ponownie się chowały. Przeszło tysiąc siedemset karabinów lee-metford włączyło się do walki i huk wystrzałów zdawał się osiągnąć szczyt swoich możliwości.

Po chwili nad głowami Burów zaświstał pierwszy pocisk wystrzelony z działa

polowego ustawionego na zboczu Conical Hill i wybuchł chmurą dymu i ziemi pięćdziesiąt stóp przed rowem strzeleckim. Załoga obsługująca heliograf znajdujący się poniżej szczytu nadała nowe namiary dla baterii i drugi pocisk rozerwał się za okopem. Krótka przerwa i wreszcie trzeci pocisk trafił dokładnie w sam środek wypełnionego żołnierzami rowu, z którego jedno ciało wyleciało w powietrze, wirując bezwładnie kończynami. Kiedy opadł pył, w parapecie widniała wyrwa, a kilkunastu ludzi usiłowało ją pośpiesznie zasłonić kamieniami.

Wszystkie działa burskie otworzyły ogień. Nieustanny jęk większych pocisków przeplatał się z wysokim piskiem szybko strzelających pomponów. Mgła ponownie zasłoniła szczyt; mgła utworzona z pyłu i dymu. Wypełniała oczy, nozdrza i usta żołnierzy, dla których rozpoczął się długi dzień.

**28.** Podpułkownikowi Garrickowi Courteneyowi było wyjątkowo niewygodnie. Po plecach ściekał mu pot i skapywał na drewnianą nogę, która ocierała mu skórę. Lornetka łapała promienie słońca, kiedy patrzył ponad rzeką Tugelą na grzbiety gór oddalonych o cztery mile. Odblask słońca powiększał ból, który usadowił się za skroniami; pozostałość po nocnym pijaństwie.

- Wygląda na to, że Woodgate dobrze się trzyma. Posiłki powinny wkrótce do niego dotrzeć.

Sir Redvers Buller wyglądał na zadowolonego i nikt z oficerów sztabowych nie ośmielił się nic dodać do tej uwagi. Grupa oficerów stała patrząc przez lunety na zakryty dymem i pyłem szczyt wzgórza.

Garrick zastanawiał się kolejny raz nad wzajemną zależnością dowódców wyznaczonych do ataku na Spion Kop. Oficerem prowadzącym atak był generał Woodgate, który teraz "dobrze się trzymał", jednak Woodgate podlegał generałowi Charlesowi Warrenowi stojącemu za Trichardts Drift, gdzie kolumna przekroczyła rzekę. Warren odpowiadał bezpośrednio przed Bullerem, który stał na wzgórzu Mount Alice, w bezpiecznej odległości od rzeki.

Wszyscy w sztabie wiedzieli, że Buller nienawidzi Warrena. Garrick był przekonany, że Warrenowi powierzono dowództwo nad ryzykowną operacją tylko po to, żeby go zdyskredytować i zmusić do ustąpienia na wypadek przegranej. Oczywiście, gdyby atak się powiódł, to Sir Redvers Buller jako głównodowodzący przyjąłby wszelkie pochwały za zwycięstwo.

Ten sposób rozumowania nie był obcy Garrickowi; w rzeczywistości, gdyby to on dowodził, postąpiłby dokładnie tak samo. Ta wiedza przyniosła mu pewną satysfakcję i stojąc za Bullerem na zboczu Mount Alice czuł się bardzo blisko tego człowieka. Miał nawet nadzieję, że Spion Kop szybko przemieni się w rzeź Anglików i Warren będzie musiał wrócić przez rzekę napiętnowany hańbą klęski. Przypomniawszy sobie podsłuchaną w mesie opinię Sir Charlesa o sobie: "nierówny, w dodatku cholernie nierówny kolonialista!" Palce Garry'ego zacisnęły się na lunecie, przez którą przyglądał się górze. Był tak ogarnięty uczuciem nienawiści, że ledwo zauważył sygnalistę, który nadbiegł z wozu mieszczącego polowy telegraf łączący dowództwo Bullera z Warrenem.

- Sir! Sir! Wiadomość od generała Warrena. - Nagłący ton biegnącego zwrócił uwagę całego sztabu, który jak jeden mąż opuścił lunety i zwrócił się do niego.

- Daj mi to, człowieku! - Buller wyrwał mu kartkę z rąk i szybko ją przeczytał. Następnie spojrzał na Garry'ego. W bladych oczach kryła się radość, konspiracyjny uśmiech,

który spowodował, że Garry niemal wyszczerzył zęby z radości. - Courteney, co o tym sądzisz? - Buller podał mu kartkę i czekał, aż Garry ją przeczyta. “Wiadomość od pułkownika Croftona na Spion Kop. Przyślijcie natychmiast posiłki albo wszystko zostanie stracone. Generał Woodgate nie żyje. Co pan sugeruje? Warren.”

- Wygląda na to - zaczął wolno Garry, starając się ukryć zadowolenie - że Sir Charles Warren jest bliski paniki.

- Tak, właśnie tak to wygląda. - Buller otwarcie napawał się informacją.

- Proponowałbym wysłanie mu wiadomości, która powstrzyma go na miejscu, sir.

- Masz rację, zgadzam się. - Buller odwrócił się do sygnalisty i zaczął dyktować: - Góra musi zostać utrzymana za każdą cenę. Nie zezwalam na wycofanie się. Powtarzam, nie zezwalam na wycofanie się. Wzmocnić regimentami Middlesex i Dorset. - Zawahał się i spojrzał po oficerach. - Co wiecie o tym Croftonie? Czy to odpowiedni człowiek, żeby przejąć dowództwo na szczycie?

Rozległy się niepoehlebne pomruki, aż wreszcie odezwał się adiutant Bullera, A'Court.

- Sir. Jest tam jeden doskonały oficer: Acheson, pułkownik John Acheson. Pamięta pan, jak dobrze się spisał pod Colenso?

Buller skinął w zamyśleniu głową i obrócił się do sygnalisty, kontynuując dyktowanie wiadomości:

- Musi pan postawić jakiegoś dzielnego oficera na czele oddziałów walczących na szczycie. Sugeruję awansowanie Achesona na generała.

**29.** Trawa przed rowem strzeleckim była wygnieciona wielokrotnymi próbami kontrataków, zachlapana krwią w miejscach, gdzie ludzie wycofywali się z podejścia na pozycje burskie na grani, i zarzucona ciałami tych, którym nie udało się dotrzeć do okopu. Co kilka sekund nad linią Brytyjczyków rozrywał się pocisk, ogień przesuwiał się w bok i kolejny szrapnel leciał z sykiem przypominającym zamach cepem.

John Acheson wstał z ziemi, wspiął się na parapet i krzyknął wzdłuż linii:

- Chodźcie, chłopcy! Tym razem nas nie powstrzymają!

W ciągnącym się u jego stóp rowie przemieszani ze sobą leżeli ranni i zabici. Wysoka na trzy ciała sterta była przysypana grubą warstwą czerwonego pyłu. Ten sam pył oblepiał twarze żołnierzy, którzy patrzyli na pułkownika.

- Bugler, zatrąb do ataku. Chodźcie, chłopcy, naprzód! Załóżcie bagnety.

Trąbka odezwała się ponaglającym głosem. Acheson zeskoczył z parapetu niczym stary, chudy bocian i machnął szablą. Za sobą usłyszał śmiech kilkunastu ludzi. Nie był to normalny śmiech, ale mrozący krew w żyłach chichot szaleństwa.

- Za mną, żołnierze! Za mną! - Głos pułkownika podniósł się do piskliwego krzyku. Z okopu zaczęli gramolić się żołnierze, wyglądający jak wysmarowane kurzem i potem widma o nabiegłych krwią oczach. Szaleńczy śmiech i przekleństwa zmieszały się z nieprzytomnymi jękami rannych. Okrzyki nabrały siły i po chwili było słyhać jedynie zapamiętałe zagrzewanie się do walki. Żołnierze atakowali szczyt w nieładzie, niczym potok rozlanej lawy. Czterystu ludzi potykając się bieгло w chmurach ziemi wyrzucanej wybuchami w powietrze i w burzy strzałów z mauzerów.

Acheson potknął się o jakieś zwłoki i upadł. Kostka wykrzywiła się pod ostrym kątem i przez stępione zmysły przedarł się ostry ból. Podniósł z ziemi szablę, wstał wspierając się na niej i pokuśtykał w kierunku głązów porzrzucanych na szczycie. Jednak tym razem atak nie dotarł do szczytu i załamał się już w połowie drogi. Na próżno Acheson usiłował poderwać ich do walki, krzycząc co sił w płucach, aż jego głos przemienił się w ochryple rżęzenie. Żołnierze zwolnili kroku, linia ataku załamała się i w końcu zaczęli uciekać w panice przez zasypywane kulami zbocze ku okopom. Acheson czuł, jak ze złości łyzy nabiegają mu do oczu i pokuśtykał pośpiesznie za nimi. Przewrócił się przechodząc przez parapet i leżał twarzą ku ziemi na trupach wyściełających rów.

Czyjaś ręka potrząsnęła go za ramię. Pułkownik usiadł szybko, starając się opanować oddech rozdzierający mu płuca. Z trudem rozpoznał klęczącego przy nim człowieka.

- O co chodzi, Friedman? - sapnął. Odpowiedź zginęła w wybuchu następnego pocisku i skowycie żołnierza ranionego w brzuch. - No mów, człowieku!

- Wiadomość od Sir Charlesa Warrena - krzyknął Saul. - Został pan awansowany na generała. Dowodzi pan oddziałami na szczycie. - Uśmiechając się przez warstwę kurzu i potu dodał: - Gratuluję, sir.

Acheson patrzył na niego oszołomionym wzrokiem.

- A co z generałem Woodgate'em?

- Nie żyje. Został trafiony w głowę dwie godziny temu.

- Nie wiedziałem. - Od rana Acheson nie miał pojęcia, co się dzieje poza jego odcinkiem. Jego cała egzystencja zamykała się na stu jardach zasypywanej szrapnelami i kulami ziemi. Rozejrzał się po leżących wokół ciałach i szepnął: - Mam dowodzić! Nikt tu nie dowodzi! Tylko diabeł kieruje bitwą.

- Sir Charles wysłał trzy bataliony, żeby nas wzmocnić - krzyknął mu do ucha Saul.

- Przydadzą nam się - mruknął Acheson. - Friedman, zwichnąłem nogę w kostce. Chcę, żebyś zawiązał mi but tak mocno, jak tylko możesz. Będę jeszcze potrzebował dziś tej nogi.

Saul uklęknął przed nim i zaczął bez słowa zaciągać sznurowadła. Jeden z żołnierzy na parapecie poleciał nagle do tyłu, padając na kolana Achesona. Z rany na skroni wyprysnął na nich mózg żołnierza. Saul wydał okrzyk przerażenia i wstrętu. Cofnął się o krok i otarł twarz, następnie sięgnął po zwłoki spoczywające na nogach Achesona.

- Zostaw - powstrzymał go ostrym tonem Acheson. - Zajmij się tym butem. - Kiedy Saul ponownie nachylił się nad butem. Acheson zdjął jedwabną chustę z szyi i owinał nią zmasakrowaną głowę trupa. Tego dnia widział już setki razy taką samą ranę: przestrzeloną prawą skroń. - Aloe Knoll - szepnął wściekle. - Gdybyśmy tylko zajęli Aloe Knoll. - Jego głos złagodniał. - Moi biedni chłopcy. - Delikatnie zdjął głowę żołnierza z kolan i ułożył ją na ziemi.



**30.** Wygląda na to, że są już dojrzały do ataku. Chodźmy po nich! - Jan Paulus opuścił schronienie Aloe Knoll i wraz z pięciuset ludźmi podczołgał się przez labirynt skał ku zakrytemu terenowi tuż przed fałszywym szczytem. Dwadzieścia jardów przed nimi znajdował się prawy koniec brytyjskiego rowu strzeleckiego. Nie mogli zobaczyć okopu, ale słyszeli wyraźnie pomieszane jęki rannych i częste krzyki: "Nosze! Nosze!" oraz "Amunicja tutaj!" Przez nieustanny trzask muszkietów przebijał się także metaliczny dźwięk ładowanych karabinów.

- Wujku Paul, musi pan dać znak działom - przypomniał mu leżący za nim mężczyzna.

- Ja. - Jan Paulus zdjął kapelusz z głowy i pomachał nim w stronę Aloe Knoll. Zobaczył, że sygnał został odebrany i wiedział, że baterie zaraz otrzymają rozkaz przerwania ognia.

Długa linia mężczyzn czekała cierpliwie na sygnał do ataku. Jan Paulus spojrzał po nich i zobaczył, że każdy z nich patrzy nieruchomym wzrokiem przed siebie. Twarze ludzi były zasłonięte brodami o kilkudziesięciu odcieniach, ale od czasu do czasu napotykał młodą i gładką twarz, na której rysował się nie skrywany strach. Dzięki Bogu, że mój najstarszy nie ma jeszcze dwunastu lat, inaczej byłby w tym szeregu. Zdławił w sobie narastające poczucie winy i skoncentrował się na odgłosach rozrywających się przed nimi pocisków. Nagle wybuchy ustały i we względnej ciszy wystrzały karabinów wydały się dziwnie zduszone. Jan Paulus liczył wolno do dziesięciu, zanim zaczerpnął głębokiego oddechu i krzyknął na całe gardło:

- Vrystaat! Obywatele wolnego stanu do ataku!

Pięciuset ludzi zawtórowało mu dzikim okrzykiem i rzuciło się przez grań na prawą flankę Anglików. Zaatakowali z tak bliska, wyrastając nagle niczym ściana przed parapetem okalającym rów, że siła uderzenia pozwoliła im się przebić przez zdziesiątkowaną linię zaszokowanych żołnierzy z oddziału Lancashire. Padło tylko pięć czy sześć strzałów i, mimo że kilka odosobnionych potyczek załamało linię ataku, większość angielskich żołnierzy zareagowała na krzyki: "Ręce do góry! Ręce do góry!" rzuceniem karabinów na ziemię. Anglicy wstawali z ziemi z podniesionymi wysoko rękami. Triumfujący Burowie otaczali jeńców i pędzili w dół stoku ku Aloe Knoll. Szereg ludzi rozciągnął się na pięćdziesiąt jardów wzdłuż rowu.

- Szybko! - Potężny głos Jana Paulusa górował nad zamieszaniem. - Bierzcie ich i natychmiast odprowadzajcie. - Jan Paulus zdawał sobie sprawę, że nie odnieśli jeszcze pełnego zwycięstwa. Jak dotąd poddała się zaledwie jedna dziesiąta nieprzyjacielskich

żołnierzy. Jednak okrzyki: “Oddział Lancashire poddaje się!”, “Gdzie są oficerowie?” i “Wycofać się!” roznosiły się wzdłuż angielskich linii. Udało mu się zasiać wśród nich ziarno klęski i jeśli chciał zająć całą pozycję, to musiał właśnie teraz rozproszyć zwątpienie. Jan Paulus zaczął dawać znaki ku swoim oddziałom na szczycie. Z Aloe Knoll biegły już setki ludzi. Jeszcze pięć minut i z zamieszania wyłoni się całkowite zwycięstwo.

- Niech pana diabli, sir! Co pan, do cholery, robi? - We wściekłym głosie za nim słyhać było nutę autorytetu, cechującą wyższych oficerów. Jan Paulus odwrócił się na pięcie i zobaczył wysokiego, starszego mężczyznę, którego siwe bokobrody drżały z gniewu. Apoplektyczna czerwień twarzy kontrastowała upiornie z pokrywającym ją pyłem.

- Biorę pańskich ludzi do niewoli. - Jan Paulus miał kłopoty z wymówieniem obcych słów.

- Niech mnie diabli, jeśli panu na to pozwolę, sir. - Opierając się na ramieniu chudego mężczyzny, oficer wyciągnął palec w stronę twarzy Jana Paulusa. - Na tym wzgórzu nie będzie kapitulacji. Zechce pan łaskawie zabrać tę hołotę z moich okopów!

- Hołotę! - ryknął Jan Paulus. Naokoło nich Anglicy i Burowie przestali walczyć i słuchali kłótni z zaciekawieniem. Jan Paulus obrócił się do najbliższych ludzi. - Vat hulle weg! Zabierzcie ich! - Gest, który towarzyszył tym słowom, był aż nadto wymowny.

- Nie ma mowy, sir! - Acheson rzucił mu wściekłe spojrzenie i wydał własne rozkazy. - Wszyscy cofnąć się i uformować w szyku wraz z oddziałem Devonshire. Szybciej, ludzie. Ruszajcie się.

- Hej! - Jan Paulus złapał go za rękę. - To moi... - Szukał przez chwilę słowa. - To moi jeńcy.

- Sir. - Acheson puścił ramię Saula, wyprostował się i patrzył w oczy przeciwnikowi. - Daję panu pięć minut na opuszczenie okopu. W przeciwnym wypadku stanie się pan moim jeńcem. Żegnam pana. - Odwrócił się i pokuśtykał wzdłuż rowu.

Jan Paulus patrzył z niedowierzaniem, jak pięćdziesiąt kroków dalej Acheson odwrócił się, założył ręce na piersiach i czekał, aż minie pięć minut. Przy nim zebrała się garstka żołnierzy i było jasne, że brytyjski oficer z tymi nielicznymi ludźmi ma zamiar spełnić swoją pogroźkę. Jan Paulus chciał się roześmiać ze zdenerwowania. Stary cap. Zauważył ze zdziwieniem, że większość jeńców zaczyna uciekać do Achesona. Musi coś zrobić, ale co? Cała sprawa coraz bardziej przypominała farsę.

- Zatrzymajcie ich! - krzyknął na swoich ludzi. - Trzymajcie ich. Poddali się już. Nie mogą się teraz wycofać.

Nagle jego pozycja się zmieniła. Wokół Achesona i jego małej grupki zaczęli

wyrastać nowi ludzie w mundurach khaki. Trzy bataliony posiłków wysłanych przez Sir Charlesa Warrena wreszcie wdrapały się na Spion Kop. Acheson spojrział przez ramię i zobaczył, jak cały stok za nim wypełnia się żołnierzami. Jego twarz rozpromienił okrutny uśmiech.

- Założyć bagnety! - krzyknął, wyciągając szablę. - Bugler, odtrąb sygnał do ataku. Naprzód, ludzie! Do ataku!

Skacząc i potykając się na zwichniętej nodze poprowadził ich do boju. Za nim biegła wzdłuż rowu fala żołnierzy z pochylonymi bagnetami. Ludzie Jana Paulusa niczego tak się nie bali jak nagiej stali. Było ich tylko pięciuset przeciw dwóm tysiącom żołnierzy. Burowie rzucili się do ucieczki, a ich niedawni jeńcy rzucili się za nimi w pogoń.

Jan Paulus dobiegł do szczytu i padł za głazem, za którym schowało się już trzech ludzi.

- Zatrzymajcie ich! Nadchodzą! - krzyknął, łapiąc powietrze otwartymi ustami.

Podczas gdy fala Brytyjczyków zwolniła atak przygnieciona strzałami z mauzerów, Jan Paulus patrzył na padających na ziemię wrogów, trafianych szrapnelami i wiedział, że już nie postawi nogi w brytyjskich okopach.

Wyczuwał zwątpienie, które ogarnęło ludzi. Wiedział dobrze, że mniej odważni biegli z powrotem do swoich koni u podnóża góry. Nie miał żadnych wątpliwości, że stracił Spion Kop. Och, diabli nadali! Anglicy zapłacili wysoką cenę: na szczycie leżało co najmniej tysiąc pięciuset rannych i zabitych. Liczyło się jednak tylko to, że zdołali zrobić wyrwę w jego linii. Stracił Spion Kop i przez tę szczelinę wleje się dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy, którzy ruszą na odsiecz Ladysmith i przepędzą ich z Natalu do Transwalu. Przegrali. To koniec.

John Acheson starał się z całych sił zignorować ból w opuchniętej kostce. Usiłował zamknąć uszy na jęki rannych, którzy błagali o wodę. Na szczycie nie było źródeł. Odwrócił wzrok od rowu, w którym wyczerpani żołnierze spali na ciałach zabitych i umierających towarzyszy.

Spojrział w krwawą tarczę słońca przesłoniętego przez dym unoszący się nad polem bitwy. Za godzinę zapadnie zmierzch. Wiedział, że przegrał. Trzymana w ręku instrukcja potwierdzała jego obawy. Groteskowe stosy ciał zalegających okop były pewnym dowodem. Przeczytał rozkaz ponownie, z wyraźną trudnością, gdyż wzrok miał zamglony i niepewny. "Jeśli nie może się pan utrzymać do jutra, to niech się pan wycofa. Buller."

Jutro. Co jutro przyniesie, jeśli nie taką samą masakrę? Przegrali. Muszą opuścić górę. Przegrali.

Zamknął oczy i oparł głowę o parapet. Nerw w oku zaczął drgać i generał nie mógł go

opanować.

**31.** Ilu ich zostało? Może połowa. Nie wiem. Połowa moich ludzi uciekła. Słyszałem całą noc galopujące konie i stukot kół i nie mogłem ich powstrzymać.

Jan Paulus patrzył na górę oświetloną wstającym słońcem.

- Spion Kop. - Wymówił nazwę z nienawiścią. Jej zarys był niewyraźny, gdyż zmęczone oczy nie chciały się skoncentrować. Powieki były czerwone od gniewu, a w kącikach zebrał się żółty brud. Jego ciało skurczyło się niczym zwłoki starożytniej mumii. Siedział bezwładnie w siodle, a każdy mięsień i nerw krzyczał o chwilę spoczynku. Gdyby mógł się choć trochę przespać. O Boże, choć odrobinę snu.

Wraz z kilkunastoma wiernymi oficerami walczył przez całą noc z wykrwawiającym armię strumieniem dezertersów. Jeździł od obozu do obozu sypiąc pogrozkami, prosząc, próbując ich zawstydzić. W wielu wypadkach mu się udało, ale w równie wielu przegrał. Raz sam został zawstydzony. Przypominał sobie z bólem starego człowieka z długą białą brodą, która zakrywała pozołkłą, wychudzoną twarz. Pamiętał także oczy błyszczące od łez w świetle ogniska.

- Janie Paulusie Leroux, dałem ci dzisiaj trzech synów. Moi bracia wspięli się na tę przeklętą górę, żeby błagać Anglików o ich ciała. Trzech synów! Trzech wspaniałych synów! Czego jeszcze chcesz ode mnie? - Starzec podniósł się z trudem z ziemi, opatulony kocem. - Nazywasz mnie tchórzem, Leroux. Mówisz, że się boję. - Zamilkł łapiąc oddech. Kiedy się odezwał, jego głos przypominał krakanie. - Mam siedemdziesiąt osiem lat i jesteś pierwszym człowiekiem, który tak mnie nazwał. Jeśli Bóg jest łaskawy, to będziesz także ostatnim. - Znowu zamilkł. - Siedemdziesiąt osiem lat. Siedemdziesiąt osiem! A ty mnie nazywasz tchórzem! Spójrz, Leroux. Przyjrzyj się dobrze! - Odrzucił koc i Jan Paulus zeszywniał w siodle na widok pokrwawionych bandażów zakrywających piersi mężczyzny. - Jutro rano będę z moimi synami. Czekam na nich. Napisz to na naszym grobie, Leroux! Napisz "Tchórze" na naszym grobie! - Na pomarszczone usta wystąpiła czerwona ślina.

Jan Paulus patrzył nieruchomym wzrokiem na górę. Ślady zmęczenia, wstydu i porażki wyostrzyły rysy jego twarzy. Kiedy podniesie się mgła, zobaczą na szczycie Anglików, a on uderzy na nich wraz z połową ludzi. Dotknął konia ostrogami i zaczął wspinać się na stok.

Słońce pozłociło mgłę, która lekko wirowała i zaczynała się unosić.

Wiatr przyniósł krzyki radości i Jan Paulus zmarszczył brwi. Anglicy cieszą się przedwcześnie, pomyślał. Czy sądzą, że nie zaatakujemy ich jeszcze raz? Popędził konia, który w tej samej chwili potknął się na luźnym kawałku skały. Jan Paulus zatoczył się jak pijany w siodle i przytrzymał lęku.

Krzyki się natężyły. Leroux spojrział na szczyt nic nie rozumiejąc. Na tle nieba widać było skaczące i machające kapeluszami postacie. Otoczyły go podniecone głosy.

- Uciekli.

- Góra jest nasza.

- Zwyciężyliśmy! Dzięki ci, Boże, zwyciężyliśmy. Anglicy odeszli. Wokół jego konia tłoczyli się ludzie, którzy podnieśli go z siodła. Jan Paulus poczuł, jak nogi dyndają mu w powietrzu, ale podtrzymały go silne ręce i na wpół niosąc, a na wpół ciągnąc go wspinali się na szczyt.

Leroux usiadł na głazie i przyglądał się, jak zbierają żniwo bitwy. Nie mógł zasnąć, dopóki to się nie skończy. Pozwolił angielskim sanitariuszom wejść na górę i pozbierać ciała. Jego ludzie wyszukiwali wśród skał własnych zabitych.

Czterech z nich szło do Jana Paulusa trzymając za rogi szary wełniany koc. Uginali się pod jego ciężarem, aż dotarli do długiego szeregu zwłok równo ułożonych na trawie.

- Kto zna tego człowieka? - zawołał jeden z nich, ale z grupy milczących ludzi, którzy czekali obok Jana Paulusa, nikt się nie odezwał.

Złożyli z wysiłkiem ciało obok innych. Żołnierz wyjął z zaciśniętych palców trupa kapelusz z szerokim rondem i podwójnym dnem, by zasłonić mu nim głowę. Wyprostował się i krzyknął:

- Kto rości sobie prawo do tego człowieka? - Jeśli nikt z rodziny nie zgłaszał się po ciało, chowano je we wspólnej mogile.

Jan Paulus wstał i podszedł do ciała. Zdjął mu z twarzy kapelusz i zastąpił go własnym.

- Ja - powiedział ciężkim głosem.

- Czy to ktoś z rodziny, czy przyjaciel, wujku Paul?

- Przyjaciel.

- Jak się nazywa?

- Nie znam jego nazwiska. To po prostu przyjaciel.

**32.** Saul Friedman nie potrafił czekać cierpliwie. Z pośpiechu przyjechał pół godziny za wcześnie i do czasu składania wizyt musiał siedzieć w małej poczekalni szpitala Greys. Usiadł na prostym drewnianym krześle i bawiąc się hełmem patrzył na ścianę ozdobioną napisem: “Uprzejmie prosimy o NIEPALENIE”.

Chciał, żeby Ruth pojechała razem z nim, ale wymówiła się bólem głowy. Saulowi było to nawet na rękę. Zdawał sobie sprawę, że obecność Ruth przeszkadzałaby tylko w spotkaniu z Seanem Courteneyem. Nie miał najmniejszej ochoty na grzeczną rozmowę o pogodzie, o tym jak się czuje i że Sean musi koniecznie przyjść do nich na obiad. Na pewno nie mogliby sobie zakląć, gdyby naszała ich taka ochota - byłoby to szczególnie trudne ze względu na postawę Ruth.

Wczoraj, po powrocie do domu, Saul mówił z entuzjazmem o Seanie. Chciał koniecznie wiedzieć, ile razy go odwiedziła. Jak się czuje? Czy ma kłopoty z chodzeniem? Czy Ruth nie uważa, że to cudowny człowiek? Odpowiedziała mu, że była u niego dwa razy i że nie, nie ma kłopotów z nogą i tak, jest bardzo miły. Właśnie wtedy Saul poznał prawdę. Ruth nie lubiła Seana. Z początku nie mógł w to uwierzyć. Starał się kontynuować rozmowę, ale każda z monosylabicznych odpowiedzi Ruth potwierdzała tylko jego podejrzenia. Oczywiście nie przyznałaby mu się do tego, ale jej niechęć była zupełnie wyraźna. Z jakiegoś powodu nabrała do Seana uprzedzeń, które niewiele różniły się od nienawiści.

Saul siedząc w poczekalni zastanawiał się nad możliwymi powodami. Z miejsca odrzucił przypuszczenie, że Sean ją czymś obraził. Gdyby tak było, Ruth odplaciłaby mu pięknym za nadobne i następnie opowiedziała wesoło całą historię Saulowi.

Nie, zdecydował Saul, chodziło o coś zupełnie innego. Jak nurek, który ma wskoczyć do lodowatej wody, Saul nabrał oddechu i zanurzył się w niezbadanym morzu kobiecych myśli. Czy męskość Seana była tak przemożna, że uraziła Ruth? A może nie zwrócił na nią należytej uwagi (Ruth była przyzwyczajona do raczej gwałtownych reakcji na swoją urodę). Czy jest możliwe, żeby...? A może właśnie Sean...? Saul borykał się z przeciwnościami, kiedy zupełnie nagle, jak tonący rozbitek znajdujący statek, z którego opuszczają już łodzie ratunkowe, natrafił na rozwiązanie zagadki.

Ruth jest zazdrosna!

Saul oparł się o prostą poręcz krzesła, zaskoczony celnością swojego spostrzeżenia.

Jego piękna żona o gwałtownym temperamencie była zazdrosna o przyjaźń łączącą jej męża z Seanem!

Śmiejąc się czule Saul rozważał, jak może ułagodzić Ruth. Będzie musiał ograniczyć swoje pochwały przyjaciela. Musi ich spotkać ze sobą i na oczach Seana zwracać szczególną

uwagę na Ruth. Musi także...

Jego myśli wykonały nagły zwrot i Saul zaczął myśleć o Ruth. Jak za każdym razem, kiedy myślał o niej zbyt intensywnie, doznał uczucia oszołomienia znanego każdemu biedakowi, który wygrał na loterii olbrzymi majątek.

Poznał Ruth w klubie wyścigowym w Johannesburgu w czasie dorocznego letniego spotkania i zakochał się w niej z odległości pięćdziesięciu kroków. Kiedy go jej w końcu przedstawiono, normalnie wyjątkowo sprawny język Saula był zupełnie zdrętwiały, a cały, biedak, spocony nie mógł nic wykrztusić. Przyjazny uśmiech, jakim go obdarzyła, opalił mu twarz niczym płomień i Saul czuł, że się roztapia.

Tej samej nocy, samotny w swoim małym mieszkaniu, przygotował plan kampanii. Na jej potrzeby przeznaczył sumę pięciuset gwinei, dokładnie połowę swoich oszczędności. Następnego ranka rozpoczął wywiad i w ciągu tygodnia zebrał wszelkie potrzebne mu informacje.

Ruth miała osiemnaście lat i odwiedzała swoją rodzinę w Johannesburgu. Odwiedziny miały trwać jeszcze sześć tygodni. Pochodziła z bogatej natalskiej rodziny browarników i hotelarzy, ale była sierotą, którą opiekował się wujek. W czasie pobytu w Johannesburgu jeździła codziennie konno, chodziła do teatru lub na tańce z eskortą kawalerów. Zawsze w piątki udawała się do starej synagogi na ulicy Jeppe.

Pierwszym posunięciem Saula było wynajęcie konia. Zasadził się na Ruth, kiedy udała się na przejażdżkę z kuzynem. Ruth nie pamiętała go i już miała go minąć, kiedy wreszcie język Saula ożywił się, wyostrzony przez trzy lata advokatury w Johannesburgu. Potrzebował dwóch minut, żeby wywołać uśmiech na jej twarzy, a po godzinie zaprosiła go do siebie na herbatę.

Następnego dnia przyjechał po nią wspaniałym powozem i zabrał na obiad do hotelu Candy, a następnie w towarzystwie przyjaciół Saula udali się na balet.

Dwa dni później Ruth poszła z nim na bal związku adwokatów i przekonała się, że jest wspaniałym tancerzem. Elegancki w nowiutkim fraku, z brzydką, lecz za to wyrazistą twarzą, wyższy o cal od jej pięciu stóp i sześciu cali wzrostu, obdarzony dowcipem i inteligencją, która przysporzyła mu wielu przyjaciół - Saul wydawał się wspaniałą oprawą dla urody Ruth. Kiedy odprowadzał ją do domu, w oczach Ruth widać było zamyślenie pełne rozmarzenia.

Następnego dnia przyszła do sądu i wysłuchała jego zwycięskiej obrony mężczyzny, którego oskarżono o napaść i ciężkie pobicie. Była pod wrażeniem jego wymowy i doszła do wniosku, że Saul osiągnie wysoką pozycję w zawodzie adwokata.

Tydzień później Saul znowu dowiedział, jak świetnym jest mówcą, kiedy w płomiennych



słowach zadeklarował się ze swoją miłością. Jego oświadczenia zostały poważnie rozpatrzone, przyjęte i pozostało im tylko powiadomienie obu rodzin i rozesłanie zaproszeń.

W końcu, po czterech latach, doczekali się dziecka. Saul rozpromienił się na samą myśl o tym. Jutro zacznie dyskretną walkę o odwiedzenie Ruth od pomysłu nadania dziecku imienia Storm. Będzie to trudna sprawa i z pewnością godna jego oratorskiego talentu. W ciągu czterech lat pożycia Saul przekonał się, że Ruth trzymała się z uporem maniaka każdej rzeczy, którą sobie wbiła do głowy. Będzie potrzebował wiele taktu, żeby zmienić jej zdanie nie budząc jednocześnie gniewu. Saul czuł respekt wobec gniewu żony.

- Już czwarta. - Mała pielęgniarka o blond włosach wsunęła głowę przez drzwi i uśmiechnęła się do niego. - Może pan wejść. Znajdzie go pan na werandzie.

Wróciło radosne zniecierpliwienie i Saul musiał się powstrzymać, żeby nie zacząć biec.

Rozpoznał postać przyjaciela w mundurze koloru khaki. Sean siedział na wyplatanym krześle i rozmawiał z ludźmi leżącymi na łózkach. Saul stanął za krzesłem.

- Nie musicie wstawać, sierżancie. Możecie mi zaszalutować na siedząco.

- Saul! - Sean poderwał się z krzesła, obrócił na zdrowej nodze i złapał Saula w ramiona, ściskając go z całej siły. W jego oczach malowała się prawdziwa radość, co Saula rozczuliło.

- Dobrze cię widzieć, stary draniu. - Odwzajemnił uścisk, śmiejąc się radośnie. W swoim rozrzewnieniu nie zauważył, jak szybko błysk radości zgasł w oczach Seana, zastąpiony niepewnym, nerwowym uśmiechem.

- Napij się ze mną. - Były to pierwsze słowa, jakie przyszły Seanowi do głowy. Czuł, że potrzebuje czasu, żeby zorientować się w sytuacji. Czy Ruth powiedziała cokolwiek mężowi? A może Saul sam się czegoś domyślił?

- Wody? - spytał Saul.

- Ginu - szepnął Sean. Poczucie winy maskował sztuczną wesołością. - Karafka na wodę jest pełna ginu. Na miłość boską, tylko nic nie mów siostrze przełożonej. Ledwo go przeszmygłowałem. Muszę się wyklócać z siostrą, kiedy chce zmienić wodę. Jak ona mówi, że: "Woda jest nieświeża, trzeba ją zmienić!", to ja jej odpowiadam: "Lubię nieświeżą wodę, wyrosłem na niej, nieświeża woda jest zalecana przy wszelkich urazach nóg!"

- No to nalej mi tej nieświeżej wody - roześmiał się Saul. Rozlewając alkohol Sean przedstawił Saulowi mężczyznę leżącego na sąsiednim łóżku, Szkota, który zgodził się z nimi, że nieświeża woda jest również wspaniałym remedium na rany w piersi. Mężczyzna leżał w szpitalu z rozerwaną szrapnelem klatką piersiową. Wszyscy trzej z chęcią zaczęli

zażywać tego skutecznego na wszelkie dolegliwości lekarstwa.

Po krótkich naleganiach Seana Saul zgodził się opisać im bitwę o Spion Kop. Saul potrafił w zabawny sposób przedstawić przebieg walki. Następnie opowiedział im o przedarciu się przez linię nieprzyjaciela pod Hlangwane, o odsieczu Ladysmith przez armię Bullera i o pościgu za wojskami Leroux, uciekającymi do Transwału.

Omówili też dokładnie ofensywę lorda Robertsa, którego wojska rozpoczęły działania w prowincji Cape, oswobodziły Kimberley, podbiły Bloemfontein i obecnie szykowały się do przebiccia przez Transwał do Pretorii.

- Wojna skończy się za trzy miesiące - zawyrokował Szkot.

- Tak myślisz? - Sean uśmiechnął się pobłaźliwie i udało mu się wywołać kłótnię, podsycaną przez gin.

W miarę jak karafka zaczęła pokazywać dno, mijał czas poważnej rozmowy i wszyscy wpadli w sentymentalny nastrój. Saul zaczął wypytywać ich o odniesione rany.

Seana zasmuciła myśl o pożegnaniu ze Szkotem, który wkrótce miał zostać odesłany do domu. Sam zaś następnego dnia wyjeżdżał do Ladyburga na odpoczynek. Jeśli pod koniec przepustki lekarze przekonają się, że fragment szrapnela jest już należycie otorbiony, Sean zostanie przywrócony do służby.

Na dźwięk słowa "służba" obudziły się w nich patriotyczne uczucia. Objawszy się Saul i Sean poprzysięgli sobie, że jak prawdziwi towarzysze broni dotrważą razem do końca wojny. Nie bacząc na niebezpieczeństwa i trudy ruszą we dwóch na wroga.

Tylko odpowiedniej muzyki brakowało im do szczęścia, więc Szkot zaintonował piosenkę "Dziki chłopak z Kolonii". Gdy śpiewał, jego oczy lśniły od łez, a głos drżał ze wzruszenia.

Saul i Sean wykonali w duecie bardzo wzruszającą, choć może niezbyt pasującą do sytuacji piosenkę "Serca z dębu". Następnie wszyscy trzej odśpiewali "Czy obudziłeś się, Johnny Cope?".

Siostra przełożona wkroczyła przy trzeciej zwrotce, kiedy to ani Johnny Cope, ani nikt inny w promieniu stu jardów nie miał nawet co marzyć o zaśnięciu.

- Panowie, wizyty skończyły się o piątej. - Była to wzbudzająca lęk kobieta, której głos dorównywał siłą rykowi szarżującej kawalerii. Ale Saul, który często apelował przed groźniejszymi sędziami, wstał nieporuszony z krzesła.

- Madam. - Zaczął mowę obrońcą głębokim ukłonem. - Ci ludzie - nie, to nie jest odpowiednie słowo - ci bohaterowie poświęcili to, co mieli najlepszego w obronie wolności. Ich krew spłynęła jak gin w imię ratowania tego szczytnego ideału - Wolności! Madam,

proszę tylko, żeby zezwolono im na odrobinę tego najcenniejszego z darów. Proszę panią w imię honoru, uczciwości i wdzięczności. - Zakończył przemowę z jedną ręką zaciśniętą na piersi i tragicznie spuszczoną głową.

- Brawo, stary!

- Dobrze mówi! Brawo!

Obaj bohaterowie poparli go spontanicznymi oklaskami, jednak na twarzy siostry przełożonej odmalowało się okropne podejrzenie. Pociągnęła nosem i poczuła zapach alkoholu.

- Jesteście pijani! - oskarżyła ich wściekle.

- Och, co za złośliwe podejrzenie. Co za okropna potwarz. - Saul wycofał się na bezpieczną odległość.

- W porządku, sierżancie. - Odwróciła się do Seana. - Gdzie to jest?

- Co? - Sean był w tej chwili wcieloną niewinnością.

- Butelka! - Podniosła koce i zaczęła rewizję.

Saul porwał hełm, zasalutował im za jej plecami i uciekł na palcach z werandy.

**33.** Pobyt Seana w Ladyburgu minął szybko; o wiele za szybko. Mbejane udał się z jakąś tajemniczą sprawą do Zululandu. Sean podejrzewał, że miało to coś wspólnego z dwoma żonami i ich potomstwem, które Zulus odesłał pod opiekę ich rodziców, kiedy przed laty opuszczał z Seanem Ladyburg.

Dirk musiał spędzać przedpołudnia w szkole, więc Sean mógł swobodnie objeżdżać pagórki i równiny otaczające miasto. Większość czasu jednak spędzał na zwiedzaniu olbrzymiego i zaniedbanego rancza Lion Kop, które rozciągało się powyżej skarpy. Po miesiącu znał tu każdy strumień i pagórek. Dzięki ciągłemu wysiłkowi noga szybko wracała do dawnej sprawności. Przestał mu dokuczać ból, a blizna zmieniła kolor z ciemnego fioleto na odcień zbliżony do barwy jego skóry.

Jednak wraz z przyływem sił, gdy ramiona ponownie nabrzmiały mięśniami, a skóra na twarzy nie była już tak napięta na kościach policzkowych, wrócił także dawny niepokój. Codzienne wyprawy na ranczo Lion Kop stały się w końcu obsesją Seana. Krążył po pustych pokojach starego domu i w wyobraźni widział, jak by wyglądały po założeniu nowego dachu, po odświeżeniu i pomalowaniu tynków. Stawał też przed wypalonym kominkiem prawie czując ciepło, jakie dawałoby palące się drzewo. Krocząc po brudnej podłodze oceniał, że pozostałe deski są jeszcze mocne, tak samo jak szkielet dachu. Następnie wychodził na pola i schylając się co kilka kroków brał do ręki grudkę ziemi. Z przyjemnością rozcierał ją w palcach, żeby poczuć żyzność gleby.

W maju roku 1900 Sean udał się do magistratu i w urzędzie przechowującym tytuły posiadania nieruchomości sprawdził, do kogo należy farma. Dokumenty stwierdzały, że piętnaście tysięcy akrów Lion Kop zostało wykupione z majątku nieżyjącego już Stephanusa Johannesusa Erasmusa przez spółkę Bank Kredytowy w Ladyburgu. Akt przeniesienia prawa własności został podpisany przez prezesa spółki, Ronalda Pye'a. Sean uśmiechnął się czytając to nazwisko. Ronny Pye był jego największym wrogiem w szkole. To może okazać się całkiem zabawne.

Sean usiadłszy w głębokim i bardzo miękkim skórzanym fotelu z ciekawością rozejrzał się po wyłożonym boazerią gabinecie.

- Zaszło tu kilka zmian od czasu, gdy mnie ostatnio odwiedziłeś, co, Sean? - Ronny Pye zrećcznie przerwał rozmyślenia gościa.

- Kilka. - Sądząc po wystroju wnętrza Bank Kredytowy w Ladyburgu nieźle sobie radził. Także osoba prezesa mogła świadczyć o prosperity przedsiębiorstwa. Złota dewizka od zegarka dyndała na wydatnym brzuchu, spod ciemnego, kosztownego garnituru wyglądała

bogato wyszywana kamizelka, a na nogach lśniły buty ręcznej roboty za piętnaście gwinei. Wszystko to sprawiało odpowiednie wrażenie, dopóki nie podniosło się wzroku na twarz: tak bladą, że piegi wyglądały niczym złote cekiny, na zachłanne oczy i na uszy niczym uszka od kubka - to wszystko się nie zmieniło. Mimo że Ronny był starszy tylko o dwa lata od Seana, w bokobrodach połyskiwały siwe pasma, a siateczka zmarszczek oplatała oczy.

- Byłeś już w Theunis Kraal, żeby odwiedzić swoją bratową? - W oczach Ronny'ego zabłyśły złośliwe ogniki.

- Nie.

- Nie, oczywiście, że nie byłeś. - Ronny skinął głową, dając do zrozumienia, że mimo upływu tylu lat skandal nie został zapomniany. Sean poczuł nagłą niechęć do starego znajomego i zmienił pozycję w fotelu. Małe wąsiki koloru imbiru jeszcze bardziej upodabniały Ronny'ego do szczura. Sean zapragnął jak najszybciej załatwić sprawę i wyjść na świeże powietrze.

- Słuchaj, Ronny. Sprawdziłem prawo własności do Lion Kop. Jesteś właścicielem rancza - zaczął energicznie.

- Lion Kop? - Poprzedniego ranka urzędnik z magistratu przybiegł z wiadomością, za którą otrzymał suwerena. Ronny od miesiąca słyszał od różnych ludzi, że Sean codziennie odwiedza farmę. Jednak teraz Ronny potrzebował chwili czasu, żeby przypomnieć sobie, o którą posiadłość chodzi. - Lion Kop? Aha! Stare ranczo Erasmusa. Tak, wykupiliśmy je z jego majątku. Obawiam się, że zapłaciliśmy za nie trochę za dużo. - Westchnął z rezygnacją. - Możemy je jednak potrzymać następne dziesięć lat, żeby zwróciły się wydatki. Nie śpieszy nam się ze sprzedażą.

- Chcę je kupić. - Sean przerwał wstępne podchody i Ronny roześmiał się swobodnie.

- No to jesteś w dobrym towarzystwie. Połowa farmerów w Natalu chciałaby je kupić. Niestety nie oferują tyle, ile byśmy chcieli.

- Ile?

Oficjalna cena za akr ziemi rolnej w okolicach Ladyburga wynosiła szylinga i sześć pensów. Dziesięć minut wcześniej Ronny był zdecydowany zażądać dwa szylingi. Jednak teraz patrzył Seanowi w oczy i przypominał sobie pięść, która kiedyś rozbiła mu nos, i słodki smak krwi w ustach. Ponownie usłyszał arogancki śmiech, którym Sean bezwzględnie odrzucał próbę zaprzyjaźnienia się z nim. Nie, pomyślał nagle z nienawiścią. Nie, ty wielki draniu, teraz zapłacisz trzy.

- Trzy szylingi - powiedział.

Sean skinął w zamyśleniu głową. Zrozumiał całą grę. Nagle się uśmiechnął.

- Mój Boże, Ronny, słyszałem, że dobrze sobie dajesz radę w interesach. Ale to chyba tylko takie plotki. Jeśli zapłaciłeś trzy szylingi za akr Lion Kop, to dałeś się zrobić w konia. - Ronny momentalnie się zaczerwienił. Seanowi udało się porządnie ukłuć jego dumę.

- Zapłaciłem dziewięć pensów - warknął. - Sprzedaję za trzy szylingi.

- No to przygotuj umowę o przeniesieniu prawa własności opiewającą na dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt funtów. Kupuję farmę.

Cholera! Jasna cholera! Ronny kłął w myślach. Zapłaciłby i pięć tysięcy!

- To tylko za ziemię. Dodatkowo tysiąc funtów za naprawy.

- Coś jeszcze? - spytał spokojnie Sean.

- Nie.

Sean szybko policzył. Po opłaceniu podatku nadal powinno mu zostać kilka setek.

- Biorę.

Ronny patrzył na Seana, podczas gdy jego mózg wił się niczym wąż złapany w potrzask. Nie zorientowałem się, jak bardzo mu na tym zależy. Mogłem za to dostać jego duszę.

- Oczywiście rada banku będzie musiała zatwierdzić sprzedaż. W zasadzie to od nich zależy decyzja. - Rada Ronny'ego składała się z niego samego, młodszej siostry Audrey i jej męża, Denisa Petersona. Ronny posiadał osiemdziesiąt procent udziałów spółki i Sean dobrze o tym wiedział. Przed tą rozmową sprawdził dokładnie punkty umowy spółki, która była przechowywana u notariusza.

- Posłuchaj, mój drogi przyjacielu z dzieciństwa. - Sean nachylił się i wziął z biurka masywne srebrne pudełko na cygara. - Zrobiłeś ofertę, a ja ją przyjąłem. Będę o czwartej z pieniędzmi. Proszę, żebyś przygotował do tego czasu dokumenty. - Sean trzymając cygarnicę w prawej ręce, zaczął ją powoli ścisnąć. Muskulary ramion naprężyły się niczym dwa pytony, a pudełko skurczyło się i rozpadło. Sean położył bezkształtny kawałek metalu na bibularzu przed Ronnym.

- Nie zrozum mnie źle, Sean. - Ronny uśmiechnął się nerwowo i z trudem oderwał wzrok od pudełka. - Jestem pewien, że uda mi się przekonać radę.

**34.** Następnego dnia była sobota. Dirk nie szedł do szkoły i Sean zabrał go ze sobą na przejażdżkę do farmy. Oszalały z radości, że może być sam na sam z ojcem, Dirk wypuścił konia galopem, zatoczył koło i ustawił się za Seanem. Przez chwilę śmiał się na cały głos z podniecenia i paplał wesoło. Nie potrafił jednak długo opanować kolejnego wybuchu radości i ponownie pognął konia pełnym galopem. Nim dotarł do skrzyżowania pod skarpa, Sean natknął się na małą karawanę podróżującą w przeciwnym kierunku.

Sean przywitał uroczyście idącego na jej czele mężczyznę.

- Witaj, Mbejane. - Zulus wyglądał na zmęczonego. W jego spojrzeniu kryło się zakłopotanie, które nadawało mu wygląd kocura wracającego nad ranem po nocnych harcach.

- Witaj, Nkosi.

Zapanowało długie, niezręczne milczenie, w czasie którego Mbejane zażył tabaki i patrzył uporczywie w niebo nad głową Seana. Sean z ciekawością przyglądał się stojącej za Murzynem grupie kobiet. Dwie z nich były w średnim wieku, co dla kobiet z tego plemienia oznaczało jakieś trzydzieści pięć lat. Obie z nich nosiły wysokie gliniane nakrycia głowy świadczące, że są kobietami zamężnymi. Mimo że zachowały dumnie wyprostowane sylwetki, ich piersi były wysuszone i obwisłe, a skóra brzuchów nad krótkimi fartuszkami pomarszczona od wielu porodów. Obok nich stały dwie dziewczyny, których okrągłe twarze lśniły młodością; wysokie i dobrze umięśnione, z pośladkami jak dojrzałe melony i pełnymi, jędrnymi piersiami. Dziewczęta stały ze spuszczoneymi głowami i chichotały wstydliwie.

- W nocy może padać - zauważył Mbejane.

- Może.

- Będzie lepsza trawa dla wypasania bydła - kontynuował zawzięcie Zulus.

- Kim, do diabła, są te kobiety? - Sean nie mógł już opanować ciekawości.

Mbejane zmarszczył brwi na tak poważne naruszenie etykiety. Rozmowa na temat pogody i wypasania bydła powinna trwać jeszcze z pięć minut.

- Nkosi, te dwie to moje żony. - Wskazał na starsze kobiety.

- A te to pewnie twoje córki?

- Nie. - Mbejane zamilkł, by po chwili kontynuować z należytą powagą. - Mężczyźnie w moim wieku nie przystoi posiadać tylko dwóch żon, które są za stare do pracy i rodzenia dzieci. Kupiłem dwie młodsze żony.

- Rozumiem - odparł Sean i powstrzymał się od uśmiechu. Mbejane musiał zainwestować w nowy nabytek większą część swoich oszczędności. - Co masz zamiar robić z tymi wszystkimi żonami, skoro wiesz, że wkrótce ruszymy znowu na wojnę?

- Kiedy nadejdzie ten czas, wrócą do wsi swoich rodziców i poczekają tam na mnie. -

Mbejane zawahał się. - Przyprowadziłem je ze sobą, bo muszę się upewnić, że przeszedłem się po księżycu każdej z nich.

W języku zulu chodzenie po księżycu kobiety oznaczało przerwanie jej cyklu miesięcznego. Mbejane chciał się upewnić, że zainwestowany kapitał będzie teraz przynosił zyski.

- Dalej na wzgórzach leży farma. - Sean zmienił temat.

- Nkosi, ty i ja mówiliśmy o niej wiele razy. - Mbejane zastygł w oczekiwaniu, a w jego oczach rozblęsnął promyk nadziei.

- To dobra farma, jak sądzisz? - Sean wołał go jeszcze przez chwilę potrzymać w niepewności.

- To wspaniała i piękna farma. Woda tam jest słodsza niż sok z trzciny cukrowej, ziemia jest jędrniejsza niż ciało młodego wołu, trawa na niej tak gęsta i dorodna jak włosy na łonie kobiety. - Oczy Zulusa błyszczały teraz od szczęścia. W przekonaniu jego rasy własna farma była miejscem, gdzie z dzbankiem jęczmiennego piwa mężczyzna siedział w słońcu na ganku i słuchał śpiewu żon pracujących w polu. Farma oznaczała także bydło, jedyne prawdziwe bogactwo, i oczywiście wielu synów do jego pilnowania. Własna ziemia oznaczała koniec długiej podróży.

- Weź żony i wybierz sobie miejsce, gdzie chcesz zbudować własny dom.

- Nkosi. - W języku zulu nie ma odpowiednika słowa: dziękuję. Mbejane mógł powiedzieć: sławię cię, ale nie oddawało to należycie jego uczuć. W końcu znalazł właściwe słowo. - Bayete! Nkosi, Bayete! - W ten sposób pozdrawiano króla.

Koń Dirka był przywiązany do słupka przed domem, Dirk zaś kawałkiem węgla smarował na ścianie koślawe, drukowane litery, które w końcu utworzyły jego imię.

Mimo że w całym domu należało zmienić tynki i pomalować ściany, Sean poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Zeskoczył z konia z głośnym okrzykiem wywijając sjambokiem. Dirk błyskawicznie zniknął za rogiem domu. Kiedy Sean się już uspokoił i zasiadł na werandzie napawając oczy swoim majątkiem, nadszedł Mbejane z żonami. Porozmawiali przez chwilę ze sobą i Murzyn zabrał kobiety. Sean był pewien, że Zulus wybierze najżyźniejszą ziemię, by postawić na niej podobne do uli domy własnej wioski.

Ostatnia z idących rzadkiem dziewczyn była najmłodszą i najładniejszą z żon Zulusa. Trzymając tobolek z dobytkiem na głowie, szła wyprostowana z niemal zupełnie odkrytymi pośladkami. W jej ruchach było tyle królewskiej godności, że Sean automatycznie pomyślał o Ruth.

Poczuł, jak opuszcza go dotychczasowe uniesienie. Wstał i oddalił się od starego



domu. Bez Ruth ten budynek nigdy nie stanie się domem.

Przysiadł samotnie na zboczu wzgórza. Wspomnienie o Ruth znowu opanowało jego myśli. To miejsce tak bardzo przypominało ich sekretną polankę. Tyle, że nie było tu akacji.

**35.** Akacje! - wykrzyknął Ronny Pye i spojrzał gniewnie na siostrę i jej męża. - On tam sadi akacje!

- Ale po co? - spytał Denis Peterson..

- Dla kory, człowieku. Dla kory! W tym jest majątek. Dwadzieścia funtów za tonę!

- Do czego to jest przydatne?

- Ekstrakt z kory jest używany jako barwnik do skóry.

- Jeśli to taki dobry interes, to czemu inni... - zaczął Denis, ale Ronny przerwał mu niecierpliwie w pół słowa.

- Sprawdziłem to dokładnie. Lion Kop idealnie nadaje się na plantację akacji: jest wysoko położony i wilgotny. Jedyne pozostałe dobre grunty w naszej okolicy to farma Mahobo Kloof i Theunis Kraal. Dzięki Bogu, że jesteś właścicielem Mahobo Kloof! Właśnie tam założymy naszą plantację akacji. - Spojrzał na Denisa, ale ślepy z podniecenia nawet go nie widział. - Rozmawiałem już z Jacksonem z Natalskiego Przedsiębiorstwa Akacyjowego. Sprzeda nam sadzonki na tych samych warunkach, co temu draniowi Courteneyowi i będzie od nas kupował korę, po dwadzieścia funtów za tonę. Wynająłem już ludzi do nadzorowania sadzenia drzewek. Największym problemem będzie siła robocza. Sean zabrał wszystkich Murzynów w promieniu dwudziestu mil. Ma ich tam całą armię. - Nagle Ronny umilkł. Zauważył wyraz twarzy Denisa. - Co z tobą?

- Mahobo Kloof! - jęknął Denis. - O Boże! O mój Boże!

- O co chodzi?

- On przyszedł do mnie w zeszłym tygodniu. Sean... Chciał opcję na zakup farmy. Opcję na pięć lat.

- Nie dałeś mu jej! - wrzasnął Ronny.

- Zaoferował trzy szylingi za akr. To sześć razy więcej, niż sam zapłaciłem. Jak mogłem mu odmówić?

- Ty głupcze! Ty cholerny idioto! Za pięć lat ta ziemia będzie warta... - Ronny z trudem przełknął ślinę. - Będzie warta co najmniej dziesięć funtów za akr!

- Ale nikt mi nie powiedział! - załkał Denis. Był to jęk człowieka, któremu znowu się nie powiodło.

- Nikt też nie powiedział Seanowi - odezwała się po raz pierwszy Audrey. W jej spokojnym głosie brzmiała nuta, która spowodowała, że Ronny gwałtownie obrócił się do swojej pięknej siostry.

- W porządku. Wszyscy wiemy o tobie i Seanie. Jednak nie pośpieszył się dostatecznie, żebyś go mogła złapać na męża, co? - Ronny pohamował się i spojrzał z

poczuciem winy na szwagra. Minęło już wiele lat od czasu, gdy Audrey zrezygnowała wreszcie z czekania na powrót Seana do Ladyburga i przyjęła delikatne, choć uporczywe oświadczenia Denisa. Teraz Denis zakaszłał dziwnie i spojrział na swoje dłonie leżące na biurku.

- No cóż - mruknął. - Sean ma tę opcję i nic nie możemy na to poradzić.

- Cholera tam nie możemy! - Ronny wyciągnął notatnik i otworzył go Denisowi przed nosem. - Ja widzę to w ten sposób. Sean pożyczył dziesięć tysięcy od matki; wiecie, te dziesięć kawałków, które chcieliśmy dla niej zainwestować w interes Burleya. - Pamiętali interes Burleya i z zawstydzeniem spuścili oczy. Ronny kontynuował pośpiesznie. - Pożyczył też pięć tysięcy od Przedsiębiorstwa Natalskiego, Jackson mi to zdradził. - Ronny wyłożył im swoje obliczenia. Kiedy skończył, na jego twarzy malował się uśmiech samozadowolenia. - Pan Sean Courteney jest tak rozciągnięty, jak to tylko możliwe. Jeden błędny krok, jedno małe potknięcie i bęc! - Wykonał gest, jakby coś odrąbywał. - Możemy poczekać!

Wybrał cygaro ze skórzanego pudełka, którym zastąpiono srebrne, i zapalił.

- Przy okazji, czy wiecie, że nie został jeszcze zwolniony z armii? A ponieważ tak, a nie inaczej toczą się ostatnio walki, na pewno potrzebują dobrych żołnierzy na froncie. Dla mnie ta jego noga wygląda zupełnie w porządku. Może słówko w odpowiednie ucho przyspieszy sprawę. - Ronny był już zupełnie zadowolony z siebie. Cygaro smakowało wyśmienicie.

**36.** Lekarze w szpitalu Greys zbadali Seana na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia. Uznali, że kalectwo nie przekracza jednego procenta. Sean lekko pociągał nogą tylko wtedy, gdy był zmęczony. Orzeczenie lekarzy pozbawiało go wojennej renty inwalidzkiej i stwierdzało, że może natychmiast wrócić do czynnej służby.

W tydzień po Nowym Roku 1901 nadszedł pierwszy list z wojska. Sean miał się bezzwłocznie stawić u oficera dowodzącego Natalskimi Strzelcami Konnymi - regiment ten wchłonął dawny Natalski Korpus Zwiadowców.

Wojna w Afryce Południowej wkroczyła w nową fazę działań. W prowincji Transwalu i Wolnej Prowincji Oranje Burowie podjęli walkę partyzancką na niespotykaną dotąd skalę. Wojna wcale nie zmierzała do końca i ćwierćmilionowa armia wojsk brytyjskich znajdujących się w polu pilnie potrzebowała wsparcia Seana Courteneya.

Sean napisał do dowództwa prosząc o przedłużenie urlopu i w odpowiedzi otrzymał list stwierdzający, że w przypadku niestawienia się w Johannesburgu przed pierwszym lutego 1901 roku zostanie uznany za dezertera.

Dwa ostatnie tygodnie pobytu w domu wypełnione były gorączkowym załatwianiem najważniejszych spraw. Sean zdołał ukończyć rozpoczęte w maju poprzedniego roku sadzenie akacji na dziesięciu tysiącach akrów ziemi. Załatwił jeszcze jedną pożyczkę od Natalskiego Przedsiębiorstwa Akacyjowego na rozwój plantacji. Remont i urządzenie domu na Lion Kop także dobiegły końca i Ada mogła przenieść się z domku na ulicy Protea, żeby zaopiekować się nową posiadłością pod nieobecność Seana.

Na koniec Sean postanowił dokładnie obejrzeć swój majątek i jednocześnie się z nim pożegnać. Jadąc samotnie przez farmę miał okazję pomyśleć o kilku innych sprawach. Jego rozważania skoncentrowały się na córce. Jego pierwsza i jedyna córka. Miała już cztery miesiące. Nazywała się Storm i Sean jeszcze jej nie widział. Saul napisał mu długi i radosny list z frontu, gdzie z niecierpliwością oczekiwał przyjaciela. Sean oczywiście pogratulował mu córki i jednocześnie spróbował skontaktować się z Ruth. Napisał do niej wcześniej, a nie otrzymawszy odpowiedzi, zostawił nie dokończoną pracę na farmie i pojechał do Pietermaritzburga. Czekał cierpliwie przez cztery dni, przychodząc każdego ranka i wieczoru do domu państwa Goldberg, ale Ruth zawsze była niedysponowana albo już wyszła. Napisał jej krótki list pełen gorzkich wymówek i wrócił do domu.

Pograżony w niewesołych myślach jechał teraz przed siebie pomiędzy nie kończącymi się rzędami młodych drzewek porastających wzgórze Lion Kop. Starsze, zasadzone dziewięć miesięcy wcześniej, pięły się wyraźnie w górę. Drobne gałązki pokryte zielonymi listkami sięgały mu już do pasa. Było to osiągnięcie wręcz niewyobrażalne: dziewięć miesięcy ciężkiej

pracy dwóch tysięcy Murzynów. Wreszcie wszystko zostało ukończone. Sean zatrzymał pięćdziesięciu Zulusów, którzy pod nadzorem Ady mieli doglądać drzewek i strzec ich przed ogniem. W zasadzie nie było przy nich większej pracy: sadzonki potrzebowały czterech lat, żeby wyrosnąć na wysokość pozwalającą na okorowanie.

Sean był tak pochłonięty rozważaniem wszystkich swoich problemów, że nie zauważył, kiedy minął granice Lion Kop i jechał dalej ścieżką ciągnącą się u podnóża skarpy. Przejechał przez drogę, a następnie przeciął linię kolejową. Dobiegł go szmer Białych Wodospadów zmieszany z szeptem wiatru w trawie. Z zamyślenia wytrącił go promyk słońca odbity od spadającej z wysokich skał Wody. Drzewa akacjowe właśnie rozkwitały. Pokryte złotą mgłą drobnych kwiatków rzucały na ziemię przyjemny cień.

Przekroczył rzekę poniżej sadzawki utworzonej pod wodospadami. Skarpa osłonięta gęstym lasem porastającym wąwozy wznosiła się stromo na wysokość tysiąca stóp i rzucała głęboki cień. Małe rozlewisko było gęsto obrośnięte paprociami i zielonym mchem, a skały wystające nad powierzchnią stały ciemne i śliskie od rozpryskujących się strumieni wody. Osłonięte od słońca miejsce było wypełnione chłodnym powietrzem, zaś wokół rozlegał się grzmot kipiącej, białej jak welon wody.

Seana przeszły dreszcze i pogonił konia, żeby jak najszybciej wrócić na grzbiet skarpy. Zdał sobie nagle sprawę, dokąd przywiódł go instynkt. Niepokój przygnał go do jego pierwszego domu. Znajdował się na ziemi Courteneyów, która rozpościerała się daleko przed nim aż do rzeki Tugeli. W miarę wspinania nachodziła go coraz większa nostalgia. W końcu osiągnął krawędź wzniesienia i stał przez dłuższą chwilę, przyglądając się całej posiadłości Theunis Kraal.

Wzrokiem wyszukiwał punkty, które coś dla niego znaczyły: dom z ustawionymi na tyłach stajniami i pomieszczeniami dla służby, wygony dla stadniny, na których pasły się konie, stożkowate zbiorniki na wodę. Z każdym z tych miejsc łączyły się inne wspomnienia.

Sean zeskoczył z konia i usiadł na trawie. Zapalił cygaro i cofnąwszy się myślami w czasie, na nowo przeżywał przeszłość. Minęła godzina i następna, zanim wrócił do terażniejszości. Wyjął zegarek z kieszonki kamizelki.

- Już po pierwszej! - wykrzyknął. Wstał, otrzepując spodnie z kurzu i wkładając kapelusz. Zaczął schodzić ze skarpy. Jednak tym razem, zamiast przekroczyć rzekę przy rozlewisku, pozostał na ziemi Courteneyów i skierował się ku skrzyżowaniu ścieżką po tej stronie mostu. Po drodze napotkał kilka niedużych stad bydła liczących mniej niż tuzin krów. Zwierzęta były dobrze wypasione. Widać było, że urodzajna ziemia i gęsta trawa mogłyby wyżywić o wiele więcej bydła. Mijane krowy podnosiły łby i odprowadzały go spojrzeniem

obojętnych na wszystko zwierząt.

Las wokół niego gęstniał coraz bardziej. Sean dotarł do jednego z grzędawisk, które wyrzuciło się na rzece. Cała okolica widziana ze skarpy była zasłonięta gęstymi drzewami i dopiero teraz spostrzegł konia uwiązanego po drugiej stronie na skraju bagna. Gdy rozejrzał się za jeźdźcem, zobaczył tylko głowę wystającą nad jasnozieloną papirusową trawę, która porastała grzędawisko. Raptem głowa zniknęła wśród trawy, powodując w tym miejscu gwałtowne falowanie. Sean usłyszał odgłosy szarpaniny i przerażony ryk zwierzęcia.

Zaczął pośpiesznie przedzierać się przez chaszczki porastające brzeg bagna, aż znalazł się przy obcym koniu. Z trawy wychynęła głowa i ramiona mężczyzny, dokładnie ochlapane błotem.

- Co się stało? - krzyknął Sean i głowa odwróciła się do niego.

- Krowa ugrzęzła mi w tym trzęsawisku.

- Poczekaj, pomogę ci. - Sean zrzucił kurtkę, kamizelkę i koszulę i powiesił je wraz z kapeluszem na gałęzi. Brnąc po kolana w bagnistej wodzie, która bulgotała i wypuszczała pęcherze trującego gazu, Sean rozsuwał rękoma płataninę trzciny oraz bagiennej trawy, by w końcu dotrzeć do stojącego nad zwierzęciem mężczyzny.

Stara czarna krowa była już do połowy zanurzona w grzędawisku, a jej przednie nogi ugięły się pod nią bezsilnie.

- Nie ma już siły - powiedział mężczyzna.

Sean spojrział na niego i dopiero teraz zobaczył, że nie jest to mężczyzna, a młody chłopak. Choć wysoki jak na swój wiek, był drobnej budowy. Ciemne, krótko obcięte włosy i potężny nos zdradzały Courteneyowskie pochodzenie.

Czując ucisk w żołądku i przyspieszony oddech, Sean uświadomił sobie, że patrzy na swojego pierworodnego syna.

- Niech pan tak nie stoi - skarcił go chłopak. Od piersi w dół był pokryty błyszczącym szlamem. Po twarzy spływały mu strużki potu, które rozmazywały kropki błota po czole i policzkach. Chłopak dyszał ciężko wyężdżając wszystkie siły, by utrzymać łeb zwierzęcia nad powierzchnią.

- Musimy ją odwrócić - zarządził Sean. - Trzymaj jej łeb do góry. - Dobrnął do ogona zwierzęcia, a bagno zbulgotało groźnie, wciągając go do pasa. Zanurzył w szlamie obie ręce szukając tylnych nóg zwierzęcia.

Udało mu się pochwycić grube kości i ścięgnął kolan. Wzmocnił uścisk i wpierając się z całych sił nogami w grząską ziemię zaczął ciągnąć do góry, aż poczuł, że lada moment coś w nim pęknie. Trzymał zwierzę w potężnym uścisku, napierając do góry tak, że twarz

wykrzywił mu grymas bólu, przez otwarte usta wydobywał się z płuc rozdzierający oddech, a nabrzmiałe mięśnie ramion i piersi napięły się do granic możliwości.

Minęła minuta, później druga, a Sean nie zwalniał uścisku. Stojący przy nim chłopiec patrzył na niego z mieszaniną przerażenia i podziwu. Nagle olbrzymi bąbel cuchnącego gazu wypłynął obok piersi Seana i krowa zaczęła się ruszać. Najpierw powoli z bagna wydobył się jej czarny tył, później już coraz szybciej zaczęła się ukazywać reszta ciała, aż wreszcie z ostatnim czknięciem błoto ustąpiło i Sean wyprostował się trzymając nogi krowy nad bagnem. Wyczerpane zwierzę leżało na boku.

- Niech mnie diabli! - wykrzyknął zafascynowany chłopak. Przez chwilę zmęczona krowa leżała spokojnie, ale kiedy spostrzegła, że ma wolne nogi, zaczęła walić nimi z całych sił usiłując się podnieść.

- Trzymaj łeb - krzyknął Sean i schylił się, żeby uchwycić ją za ogon i uniemożliwić powstanie. Kiedy krowa się uspokoiła, Sean zaczął ciągnąć ją w stronę pewniejszego gruntu. Ciało dawało się z łatwością przesuwac po grzęzawisku i spłaszczonej trzinie, aż wreszcie dotarli do brzegu. Sean odskoczył, gdy krowa poderwała się ciężko na nogi, stała przez chwilę i wreszcie odeszła niepewnym krokiem do lasu.

Sean i jego syn stali obok siebie, obaj umazani błotem i nadal po kostki w mule. Ciężko oddychając patrzyli, jak krowa znika pomiędzy drzewami.

- Dziękuję. Nigdy bym sam nie dał rady, sir. - Sposób, w jaki chłopiec się do niego zwrócił, i ton jego głosu poruszyły Seana.

- Tak, potrzeba było do tego dwóch ludzi - zgodził się z nim. - Jak się nazywasz?

- Courteney, sir. Michael Courteney. - Wyciągnął rękę do Seana.

- Bardzo mi miło, Mike. - Sean uścisnął wyciągniętą rękę.

- Ja pana chyba znam. Jestem pewien, że już pana gdzieś widziałem - cały czas mnie to prześladowuje.

- Nie sądzę. - Sean z trudnością powstrzymywał się od okazania wzruszenia.

- Ja... będzie dla mnie zaszczytem poznać pańskie nazwisko. - Słowa Michaela zatrwożyły Seana.

Co mam mu powiedzieć? - zastanawiał się Sean. Nie wolno mi go okłamać, ale nie mogę też powiedzieć prawdy.

- Mój Boże, ale się obaj ubabraliśmy. - Śmiech Seana był wymuszony. - Jedzie od nas jak od nieboszczyka leżącego dziesięć dni w ziemi.

Michael dopiero teraz zauważył ich wygląd.

- Mama dostanie apopleksji, jak mnie zobaczy - zawtórował Seanowi. - Niech pan

pojedzie ze mną do domu. To niedaleko stąd. Zapraszam pana na obiad. Będzie mógł się pan umyć, a służba oczyści pana ubranie.

- Przykro mi, ale nie mogę. - Sean potrząsnął głową. - Muszę wracać do Ladyburga.

- Ależ proszę. Chciałbym pana przedstawić mojej matce. Ojca nie ma w domu - jest na wojnie. Proszę, niech pan pojedzie ze mną.

On naprawdę chce, żebym z nim pojechał. Sean spojrzawszy synowi w oczy i przepełniające go uczucie rozjaśniło mu twarz.

- Mike - powiedział wolno, szukając właściwych słów. - Moja sytuacja jest w tej chwili trochę skomplikowana. Nie mogę przyjąć twojego zaproszenia, ale chciałbym cię jeszcze kiedyś spotkać, jak będę tędy przejeżdżał. Zgodzisz się, żebyśmy odłożyli nasze spotkanie na później?

- Och! - Michael nie mógł ukryć rozczarowania. - Trudno. W każdym razie odprowadzę pana do mostu.

- Dobrze. - Sean zdjął z drzewa koszulę i wytarł ciało z mułu, a Michael w tym czasie odwiązał ich konie.

Jechali wolno i czując skrępowanie nie odzywali się do siebie. Później zaczęli rozmawiać i szybko przełamali swoje zakłopotanie. Z poczuciem dumy, które było zupełnie nieodpowiednie w tej sytuacji, Sean zauważył, jak szybko Michael potrafi myśleć, z jaką łatwością słu? wypowiada i jak dorosłe są jego przekonania.

Najpierw rozmawiali o Theunis Kraal.

- To dobra farma. - W głosie Michaela brzmiała duma. - Moja rodzina posiada ją od 1867 roku.

- Nie macie za wiele bydła - stwierdził Sean.

- Tatuś miał zły okres. Zaraza bydłęcą zdziesiątkowała nam stada, ale szybko je odbudujemy. - Przez chwilę milczał. - Tatuś nie jest właściwie hodowcą bydła. Zamiast zainwestować w stado, traci pieniądze na konie - jak na tę Beauty. - Poklepał szyję pięknej klaczy. - Próbowałem mu to wyperswadować, ale... - Nagle uświadomił sobie, że jego słowa mogą być poczytane za nielojalność i szybko dodał: - Niech pan mnie źle nie zrozumie, tatuś jest wspaniałym człowiekiem. Teraz jest w sztabie generalnym - jest pułkownikiem i prawą ręką generała Bullera. Odznaczono go Krzyżem Wiktorii za męstwo i dostał także D.S.O.

Tak, pomyślał Sean, ja także kiedyś broniłem Garry'ego; nawet wiele razy, tyle samo, ile ty to będziesz jeszcze robił, aż osiągniesz mój wiek. Zmienił zrećznie temat i zaczęli rozmawiać o przyszłości.

- Więc chcesz zostać farmerem?



- Bardzo kocham tę ziemię. Urodziłem się tutaj. Dla mnie to nie jest zwykły kawałek ziemi i dom; to część tradycji, do której należę, zbudowanej przez ludzi, z których jestem dumny. Po ojcu będę jedynym mężczyzną, który będzie mógł się zająć farmą i na pewno go nie zawiodę. Tyle że...

Dotarli do wzniesienia nad drogą i Michael zatrzymał konia; spojrzął na Seana zastanawiając się, ile może powiedzieć obcemu mężczyźnie.

- Tyle że? - Delikatnie ponaglił go Sean.

Michael przyglądał mu się, usiłując znaleźć wytłumaczenie dla zaufania, jakie budził w nim ten mężczyzna - było to przekonanie, że może mu ufać bardziej niż komukolwiek innemu na świecie. Miał wrażenie, że zna tego człowieka całe życie i że wiąże ich jakaś niewidzialna nić - związek tak silny, iż niemal namacalny.

- Chodzi o to - mówił dalej - że to nie jest wszystko, czego chcę. Chciałbym mieć coś więcej niż tylko ziemię i bydło. To tak trudno wyjaśnić. Mój dziadek był wielkim człowiekiem; pracował nie tylko ze zwierzętami, ale i z ludźmi. Miał... rozumie pan, co chcę powiedzieć?

- Chyba tak. - Sean skinął głową. - Chcesz sobie znaleźć własne miejsce na świecie.

- Właśnie. Chciałbym decydować o czymś więcej, niż tylko kiedy wycofywać zwierzęta ze stada i kiedy je piętnować, czy też gdzie zbudować nową studnię.

- Co masz zamiar zrobić w tej sprawie?

- No cóż, studiuje teraz na uniwersytecie w Kapsztadzie. Jestem już na trzecim roku i dostanę stopień naukowy na święta Bożego Narodzenia.

- A co potem?

- Nie wiem, ale coś wymyślę. - Michael się uśmiechnął. - Muszę się jeszcze dużo nauczyć. Czasami, kiedy o tym myślę, przeraża mnie, jak wiele jest przede mną nauki.

Sprowadzili konie do drogi, tak zajęci rozmową, że żaden z nich nie zauważył małego powozu jadącego od strony Ladyburga, aż ten znalazł się przed nimi.

Michael podniósł wzrok.

- To moja mama! Będzie mógł ją pan teraz poznać.

Sean z przerażeniem zauważył, że znalazł się w pułapce. Nie mógł się już wycofać, gdyż powóz znajdował się zaledwie pięćdziesiąt jardów przed nimi. Rozpoznał Annę siedzącą za czarnym woźnicą i patrzącą na nich uważnie.

Michael krzyknął radośnie.

- Mamusiu!

- Michael! Co ty robiłeś? Spójrz tylko na siebie! - Anna zrzędziła kłótliwym głosem.

Lata potraktowały ją tak, jak na to sobie zasłużyła: rysy twarzy wyostrzyły się, a oczy nabrały jeszcze bardziej przebiegłego wyrazu. Spojrzała na Seana i zmarszczyła brwi. Jej czoło przecięły głębokie zmarszczki, a pod brodą zaznaczyły się wałki tłuszczu. - Kto jest z tobą? - zapytała Michaela.

- Przyjaciel. Pomógł mi wyciągnąć krowę z bagna. Szkoda, że tego nie widziałas. Po prostu podniósł ją z błota.

Sean zauważył, że Anna jak na żonę farmera ubrana jest bardzo zamożnie. Aksamit i strusie pióra. Te perły musiały kosztować Garry'ego fortunę. Uprząż też była nowa, czarna skóra ozdobiona szkarłatnymi wstążkami i miedziane zapinki - następne kilkaset funtów. Sean przyjrzał się koniom czystej krwi, ocenił ich wartość i aż jęknął w duszy.

Anna wciąż przyglądała się mu badawczym wzrokiem, a na jej twarzy pojawił się wyraz niedowierzania, gdy go wreszcie rozpoznała. Zaczerwieniła się i zaczęły jej drżeć usta.

- Witaj, Anno.

- Sean! - Niemal wypłuła to słowo.

- Minęło wiele lat. Jak się miewasz?

Jej oczy zwęziły się nienawistnie. Warknęła na Michaela ledwo otwierając usta.

- Odsuń się od tego człowieka!

- Ale... - Zaskoczenie na twarzy syna zabolalo Seana niczym cios w serce.

- Michael, zrób tak, jak ci mówi matka - poradził mu Sean.

- Czy pan... czy pan jest wujkiem Seanem?

- Tak.

- Odsuń się od niego - syknęła ponownie Anna. - Nigdy więcej się do niego nie odzywaj. Słyszysz mnie, Michael? On jest zły. Zły! Nie zbliżaj się nigdy do niego, bo cię zniszczy. - Anna ciężko dyszała, trzęsąc się z nienawiści i wściekłości. Jej głos był bełkotliwy, jakby postradała zmysły. - Sean Courteney, opuść naszą ziemię. Opuść Theunis Kraal i nigdy tu nie wracaj.

- Bardzo dobrze, Anno. Już się wynoszę.

- Michael. Wsiadaj na konia! - krzyknęła na syna. - Szybko. Odsuń się od niego.

Michael wskoczył na siodło.

- Jedź. No jedź! - rozkazała woźnicy. Popędzone batem rumaki skoczyły do przodu, tak że Anna upadła na pluszowe siedzenie. - Michael, do domu. Natychmiast masz jechać do domu!

Michael spojrzał na Seana. Był oszołomiony i nie wiedział, co powiedzieć.

- Ja... nie wierzę, że pan...

- Porozmawiamy o tym kiedyś, Mike.

Nagle wyraz twarzy chłopca się zmienił, kąciki ust się opuściły, a oczy zrobiły się ciemne z żalu.

- Nie - odpowiedział, podniósł rękę na pożegnanie i zawrócił konia. Pochylony w siodle pogalopował za uciekającym powozem.

- Michael! - krzyknął za nim Sean, ale chłopiec go już nie usłyszał.

**37.** Sean wrócił na wojnę. Przed wyjazdem musiał się pożegnać z rodziną, co wcale nie było takie łatwe. Ada zachowywała stoicki spokój, aż Sean miał ochotę potrząsnąć nią i zawołać: “Płacz, do diabła! Wiem, że chcesz płakać!” Natomiast Dirk urządził taką scenę, wieszając się ramion ojca i drąc się wniebogłosy, że niemal dostał ataku hysterii. Kiedy pociąg wreszcie ruszył, Sean ledwo hamował wzburzenie, które przeminęło dopiero cztery godziny później, tuż przed wjazdem do Pietermaritzburga.

Ale tak naprawdę nie uspokoił się, póki w barze nie wypił kilku szklaneczek brandy. Następnie, z Mbejane niosącym ich bagaż, zaczął się przedzierać przez tłum ludzi jadących ekspresem na północ. Na stacji stały jedynie wojskowe pociągi i na peronie Seana otaczali głównie żołnierze w mundurach koloru khaki. Wśród jednostajnych spłowiałych zieleni zdarzały się gdzieś tam barwne stroje kobiet, odprowadzających swoich mężczyzn na wojnę. Płacz mieszał się z głośnym męskim śmiechem, głośne rozmowy i nawoływania z pochlipywaniem dzieci. Nagle Sean usłyszał, jak ktoś wykrzykuje jego imię. Rozejrzał się wokół i zobaczył ramię machające do niego ponad głowami ludzi.

- Sean! Hej, Sean! - Z tłumy wynurzyła się głowa Saula i zaraz znikła, by po chwili pojawić się przy następnym podskoku. Gdy Sean przepchał się do niego, z radością uścisnęli sobie ręce.

- Co, u diabła, tu robisz? - spytał Saul.

- Wracam na służbę. A ty?

- Właśnie mi się skończył tygodniowy urlop. Przyjechałem, żeby zobaczyć moją córkę. Co za szczęście, że cię zauważyłem w tym tłumie!

- Ruth jest z tobą? - Sean nie mógł się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

- Czeka w powozie przed stacją.

- Chętnie zobaczyłbym dziecko.

- Jasne! Znajdźmy sobie najpierw jakieś miejsca i zostawmy bagaże. Mamy jeszcze dwadzieścia minut do odjazdu pociągu.

Sean spostrzegł Ruth, gdy tylko wyszli na schody przed stacją. Siedziała w otwartym powozie, a czarny służący osłaniał ją parasolem od słońca. Miała na sobie szarą suknię z bufiastymi rękawami, ozdobioną różową lamówką, a na głowie olbrzymi kapelusz przystrójony czerwonymi różami. Pochylała głowę nad leżącym na kolanach zawiniątkiem w białych koronkach i Sean widział jej twarz z profilu. Patrząc na jej spokojne rysy poczuł nagłe dławienie w gardle. Zatrzymał się w pół kroku i szepnął:

- Mój Boże, jaka ona jest piękna.

Stojący przy nim Saul roześmiał się z zadowolenia.

- Poczekaj, aż zobaczysz moją córkę!

Ruth była zajęta niemowlęciem i nie zauważyła ich, zanim nie zbliżyli się do powozu.

- Ruth, mam dla ciebie niespodziankę - powiedział entuzjastycznie Saul.

Podniosła oczy i napotkała wzrok Seana. Zaskoczona zamarła, a z jej policzków zniknęły rumieńce.

- Witaj, Ruth.

Nie odpowiedziała mu od razu. Sean spostrzegł, jak maskuje swoje uczucia pod obojętnym wyrazem gwałtownie pobladłej twarzy.

- Witaj, Sean. Nie spodziewałam się ciebie...

Saul wsiadał właśnie do powozu i nie zauważył jej nagłego zmieszania.

- Chodź. Możesz na nią popatrzeć. - Rozchylił koronkowy szal i z dumnie rozpromienioną twarzą nachylił się nad niemowlakiem.

Sean wsiadł w milczeniu do powozu i usiadł po przeciwnej stronie.

- Ruth, pozwól Seanowi potrzymać małą. - Roześmiał się Saul. - Niech zobaczy najpiękniejszą na świecie dziewczynę. - Nie dostrzegł martwego wyrazu jej twarzy i tego, jak opiekuńczo przyciska dziecko do piersi.

- Weź ją, Sean. Zapewniam cię, że nie zmoczy ci za bardzo spodni, choć może się jej ulać z buzi - mówił uszczęśliwiony Saul.

Sean wyciągnął ręce, patrząc cały czas na twarz Ruth. Odpowiedziała mu wyzywającym spojrzeniem, za którym krył się strach.

- Mogę? - poprosił.

Oczy Ruth nabrały koloru ciemnej szarości. Ostre linie rysujące się wokół ust znikły, lecz różowe i wilgotne wargi drżały lekko. Nachyliła się i ostrożnie ułożyła mu córkę na rękach.

**38.** Podróż do Johannesburga była długa i męcząca, przerywana nie kończącymi się postojami. Zatrzymywali się na każdej stacji po pół godziny, choć najczęściej i trzy razy dłużej. Od czasu do czasu zdarzały się postoje w pustym stepie bez żadnego powodu.

- Co, u diabła, porobiło się tym razem?

- Ktoś zastrzelił maszynistę.

- Znowu?

Wychylające się z okien każdego wagonu głowy wykrzykiwały protesty i złośliwe uwagi. Kiedy strażnik szedł zwirowanym nasypem do czoła pociągu, podążały za nim gwizdy i śmiechy.

- Panowie, uspokójcie się. Musimy sprawdzić wszystkie przepusty i mosty.

- Wojna już się skończyła.

- Czego się boicie?

- Ci biedni Burowie wieją tak szybko, że nie mają czasu przejmować się mostami.

Z pociągu małymi grupkami powychodzili ludzie i stali na nasypie, aż odgwiszdano odjazd. Wszyscy wsiedli, pociąg szarpnął i wolno ruszył do przodu.

Sean i Saul siedzieli w kącie zatłoczonego wagonu i grali w klabrias. Ponieważ większość pasażerów uznała zgodnie świeże, chłodne powietrze płaskowyżu za równie niebezpieczne jak gaz cyjankowy, wszystkie okna były szczelnie pozamykane. W przedziale było szaro od dymu i unosił się kwaśny zapach nie mytych ciał. Rozmowa na znane wszystkim tematy była nieunikniona. Jeśli zamknie się grupę mężczyzn w małym pomieszczeniu, to przejdą do tematu kobiet w ciągu kilku minut.

Okazało się, że zebrane towarzystwo posiada rozległą wiedzę w dziedzinie pornografii.

Pewien sierżant, który służył trzy lata w Bangkoku, potrzebował aż dwóch godzin, żeby przekonać niedowiarków, że natura może umieścić w poprzek to, co pogłoski umieszczały zwykle wzdłuż. Sierżant posunął się nawet do tego, że przyniósł z przedziału bagażowego album ze zdjęciami, które zostały dokładnie zbadane i uznane za przekonujące.

Przypomniało to kapralowi, który służył w Indiach, o odwiedzinach w Świątyni Konarak. Nowy temat zajął żołnierzy na następną godzinę i pozwolił gładko przejść do omawiania wrażeń ze sławnego Elephant House w Szanghaju.

Rozmowy przeciągnęły się aż do zapadnięcia zmroku.

W tym czasie, znużywszy się grą w karty, Saul wyjął z torby książkę i zaczął czytać. Sean, który też nie miał nic do roboty, z nudów wyczyścił karabin. Potem grzebiąc w zębach zapalką bezmyślnie gapił się przez okno na małe stada antylop, które pasły się wzdłuż linii

kolejowej. Jednym uchem łowił szczegółowe opisy przyjemności, jakie zapewnia właścicielka Elephant House, i postanowił poznać to miejsce, jeśli kiedykolwiek odwiedzi Szanghaj.

- Co czytasz? - spytał w końcu Saula.

- Hmm? - Saul podniósł nieobecny wzrok znad książki i Sean powtórzył pytanie. - “Westminsterski system rządów”. - Saul odwrócił książkę, żeby Sean mógł zobaczyć tytuł.

- Jezu! - mruknął Sean. - Po co tracisz czas na takie rzeczy?

- Interesuję się polityką. - Saul przyjął postawę obronną. Po chwili wrócił do czytania.

Sean przyglądał mu się uważnie.

- Masz może jeszcze jakieś inne książki ze sobą? Saul otworzył torbę.

- Możesz zacząć od tej.

- “Majątek narodów”. - Sean oglądał nieufnie książkę. - O czym to jest? - Ale Saul był już pochłonięty czytaniem.

Sean otworzył gruby tom i ze znudzeniem przebiegł wzrokiem pierwszą stronę. Westchnął ciężko, gdyż minęło wiele czasu, odkąd czytał cokolwiek poza pismami z banku. Bez przekonania zabrał się do lektury.

Godzinę później Saul oderwał się od książki i spojrzał na przyjaciela.

- Rozumiesz coś z tego? - spytał Seana.

Sean mruknął coś pod nosem nie podnosząc głowy. Był całkowicie pochłonięty treścią książki. To było naprawdę ważne. Język Adama Smitha miał w sobie majestatyczną prostotę. Sean nie zgadzał się z niektórymi wnioskami, ale przedstawiane argumenty prowokowały go do formułowania myśli, które wybiegały naprzód wyprzedzając rozumowanie autora - czasami dążąc w tym samym kierunku, a innym razem prowadząc do zupełnie odmiennych konkluzji.

Sean czytał w pośpiechu wiedząc, że będzie musiał jeszcze wrócić do tej książki i przeczytać ją uważnie. Obecnie był to jedynie zwiad na zupełnie mu obcym terenie ekonomii. Z oczami utkwionymi w czytany paragrafie Sean wyszukał w kieszeni kawałek ołówka i podkreślił szczególnie interesujący fragment. Szybko czytał dalej. Teraz częściej używał ołówka.

“Nie!” - Napisał w jednym miejscu na marginesie.

“Dobrze.” - Pochwalił w innym.

Saul ponownie podniósł wzrok i zmarszczył brwi, gdy zobaczył, jak Sean niszczy książkę. W tej samej chwili dostrzegł pełen skupienia wyraz jego twarzy i rozchmurzył się. Przyglądał się towarzyszowi spod przymkniętych powiek. Przyjaźń, jaką obdarzył tego

potężnie zbudowanego człowieka, zdolnego do niespodziewanie delikatnych uczuć, przerodziła się w o wiele głębsze uczucie przepelnione podziwem. Nie miał pojęcia, czemu Sean otoczył go swoją opieką, i nie był nawet tego ciekaw. Czuł, że jest mu dobrze, kiedy tak siedzi nie czytając już książki i przygląda się twarzy mężczyzny, który był kimś więcej niż tylko przyjacielem.

Siedzieli samotni wśród tłumu obcych ludzi, a pociąg jechał na północ, przecinając trawiaste równiny i ciągnąc za sobą wstęgę srebrnoszarego dymu. Znużone słońce nachyliło się już ku ziemi i zaczerwieniło chmury. Kiedy znikło za horyzontem, szybko zapadły ciemności.

Na kolację zjedli konserwę mięsną, kładąc plastry mięsa na chlebie ostrzem bagnetu. W przedziale nie zapalono światła. Po posiłku opatuleni w koce siedzieli obok siebie i rozmawiali w ciemnościach. Wokół nich ucichły już wszystkie pogawędki i zewsząd dochodziły odgłosy śpiących ludzi. Sean uchylił okno pozwalając, żeby świeże, chłodne powietrze orzeźwiło ich umysły, a rozbudzone zmysły dostarczyły nowych emocji.

Rozmawiali o ludziach i ziemi, o tym, jak jedno z drugim może stworzyć naród i o tym, jak ten naród powinien być rządzony. Mówili trochę o wojnie i dużo o pokoju, który nastąpi po jej zakończeniu. Zastanawiali się wspólnie, jak odbudować wszystko, co zostało tak zniszczone, by stworzyć tym razem coś trwalszego.

Widzieli zawziętość, która rozrastała się niczym złośliwy chwast znajdujący pożywkę we krwi i śmierci, i starali się wymyślić sposoby, aby go wykorzenić, zanim zadusi rozkwitający delikatny kraj, który miał przed sobą wielką przyszłość.

Nigdy wcześniej tak z sobą nie rozmawiali. Saul owinał się szczelnie kocem i słuchał w ciemnościach głosu przyjaciela. Jak większość członków jego nacji miał świetnie wyostrzony umysł i potrafił wyczuć nowe wartości, wybór nowej drogi proponowanej przez siedzącego obok mężczyznę.

Mam w tym swój udział, pomyślał nie bez dumy. Sean to potężny, dziki byk, który szarżuje na wszystko, co się rusza; rzuca się do ataku bez powodu, nagle się zatrzymuje i wybiera nowy obiekt, w którego zniszczenie wkłada wszystkie siły, gdyż nie nauczył się jeszcze wykorzystywać ich w innym celu. Jest rozwścieczony i skonfundowany, z rykiem bólu ściga wszystko i wszystkich i w rezultacie niczego nie może złapać. Może potrafiłbym mu pomóc, wskazać jakiś cel wart życia i wyprowadzić z areny.

Mijały godziny nocy, a oni byli coraz bardziej pochłonięci rozmową. Ciemność nadała nowy wymiar ich istnieniu. Nie widząc się nie czuli ograniczenia, jakie nakładały na nich ciała, i wydawało się, że umysły poruszały się swobodnie, spotykając się gdzieś w



ciemnościach, by wspólnie kształtować nowe idee. Nagle te delikatne więzy zostały rozerwane wybuchem dynamitu, gwizdem uchodzącej w powietrze pary, rykiem pękającego drewna i szkła i przemieszaniem rzuconych na siebie ciał śpiących ludzi i bagaży. Pociąg zatrzymał się w miejscu i poskręcany wypadł z szyn. W tej samej chwili do huku i rumoru dołączył się nowy dźwięk: trzask pojedynczych wystrzałów z bliskiej odległości i jednostajny łoskot karabinów maszynowych Maxim.

Sean był przywalony czymś ciężkim i czuł, że nie może złapać tchu. Zaczął się szarpać dziko, zrzucając z siebie ludzi i bagaż i wyplątując nogi z koców. Ucisk zmniejszył się i wreszcie mógł zaczerpnąć powietrza, ale w tym momencie czyjeś kolano uderzyło go z ogromną siłą w twarz i otwarte usta wypełniły się krwią. Zaczął walić pięściami na oślep, póki nie poczuł, jak w ramię wbijają mu się odłamki szkła.

W ciemnościach ludzie krzyczeli z przerażenia i bólu, a ich wrzaski łączyły się z przekleństwami i hukem wystrzałów.

Sean wyswobodziwszy się z plątaniny ciał i bagaży wstał, z trudem utrzymując równowagę, bo ludzie rzucali się i wili mu pod nogami.

Teraz usłyszał także głuchoe odgłosy rozrywanych kulami drewnianych ścian wagonu, o wiele głośniejsze niż same wystrzały.

Ktoś zatoczył się na niego i Sean złapał mężczyznę za ramiona.

- Saul?

- Puść mnie. Puszczaj. - Jakiś obcy. Sean puścił go.

- Saul! Gdzie jesteś?

- Sean.

- Jesteś ranny?

- Nie.

- Wyośmy się stąd.

- Mój karabin.

- Do diabła z twoim karabinem.

- Gdzie jest okno?

- Zablockowane.

Sean zaczął z wolna orientować się w sytuacji. Wagon leżał na boku z oknami na ziemi zawalonymi ciałami zabitych i rannych. Drzwi, pewnie zaklinowane, były wysoko nad nimi.

- Musimy wyjść przez dach. - Zaczął po omacku szukać jakiegoś otworu i nagle zaklął ciężko, gdy długa drzazga wbiła mu się pod paznokieć. Poczuł jednak powiew zimnego

powietrza na twarzy. - Tu jest dziura. - Wymacał rozdarte drewno. - Pękła jedna z desek.

Natychmiast zaroilo się wokół niego od ludzi i kilkanaście rąk starało się go odciągnąć, walcząc o dostęp do otworu.

- Cofnąć się, sukinsyny. - Sean zaczął walić pięściami, żeby ich odepchnąć. Dyszał ciężko i czuł, jak po plecach ściekają mu strużki potu. Powietrze było stęchłe od rozgorączkowanych ciał i oddechów spanikowanych ludzi.

- Cofnąć się. Wyłomie deski. - Złapał obiema rękami za koniec pękniętej deski i wyrwał ją z dachu. Przez chwilę miał ochotę przyłożyć twarz do otworu i zaczerpnąć łyk świeżego powietrza. Zamiast tego złapał obiema rękami następną deskę, zaparł się nogami o dach i szarpnął z całej siły. Nawet nie drgnęła. Poczuł, jak z wolna opanowuje go strach.

- Niech ktoś mi poda karabin - ryknął, żeby przekrzyczeć tumult.

- Trzymaj. - Był to głos Saula. Włożył Seanowi karabin do ręki. Sean wcisnął lufę w otwór i posługując się karabinem jak łomem naparł na kolbę całym ciężarem ciała. Poczuł, jak drewno zaczyna pękać, przesunął trochę lufę i ponownie wyteżył wszystkie siły. Deska ustąpiła i Sean zabrał się do następnej.

- W porządku. Wychodźcie pojedynczo. Saul, ty pierwszy. - Czuł, że strach zaczął się gdzieś w pobliżu. Bezceremonialnie wyrzucał kolejnych żołnierzy przez poszarpany otwór. Jakiś grubas zaklinował się w dziurze, więc Sean podniósł nogę i wypchnął go kopniakiem w tyłek. Mężczyzna tylko jęknął i wyleciał na zewnątrz jak korek od szampana.

- Jest tu ktoś jeszcze? - Sean krzyknął w ciemność.

- Sean. - Dobiegł go z zewnątrz głos Saula. - Wyłaż stamtąd.

- Schowaj się - odkrzyknął Sean.

Kule Burów bez przerwy grzechotały o wykolejony pociąg. Sean krzyknął jeszcze raz:

- Jest tu ktoś? - U jego stóp jęknął jakiś mężczyzna.

Sean znalazł go szybko. Żołnierz był ciężko ranny, leżał ze skrzyżowanymi rękami. Wyrzebał go z płataniny bagaży i położył na wznak. Nie mogąc go stąd ruszać, zdecydował, lepiej będzie jak tu poczeka na sanitariuszy. Zostawił rannego i potknął się o następne ciało.

- Cholera z nimi - jęknął, czując przemożną chęć wydostania się z tego miejsca. Ten człowiek już nie żył. Sean wyczuł na skórze gądzia chłód śmierci. Zostawił nieboszczyka i wysunął się przez otwór na zewnątrz.

Po całkowitych ciemnościach panujących w wagonie teraz miał wrażenie, że gwiazdy oświetlają ziemię mocnym perłowym światłem. Wysoko nad lokomotywą unosiła się chmura pary, przednie wagony powbijały się w siebie jak złożona luneta, a dalsze były poskręcane i połamane niczym jakiś okropny symbol zniszczenia. W przerwach pomiędzy wagonami

strzelało kilka karabinów w odpowiedzi na zalewający żołnierzy ogień z linii burskich.

- Sean! - zawołał Saul ze swojej kryjówki za wywróconym wagonem.

Sean podbiegł do niego. Musiał krzyczeć, żeby Saul go usłyszał.

- Zostań tutaj. Idę poszukać Mbejane.

- Nigdy go nie znajdziesz w tym zamieszaniu. Był z końmi - posłuchaj, co się tam dzieje.

Z wagonu dla koni dobiegł ich dźwięk, którego Sean wołałby nigdy w życiu nie słyszeć. Było to paniczne rżenie dwustu uwięzionych, oszalałych ze strachu zwierząt. Było to jeszcze bardziej przerażające niż wycie ludzi w wagonach.

- Dobry Boże! - wyszeptał zmartwiał Sean. Nagle wybuchł w nim gniew znacznie silniejszy od strachu. - Skurwysyny. - Zgrzytnął zębami i spojrzał na rozciągające się przed nimi wzgórza. Burowie wybrali na zasadzkę miejsce, gdzie tory kolejowe skręcały wzdłuż wysokiego brzegu rzeki. Woda za nimi uniemożliwiała żołnierzom ucieczkę, a po drugiej stronie torów wznosiło się pofałdowane wzgórze, z którego Burowie mogli ostrzelać cały pociąg.

Na pierwszej fałdzie leżeli strzelcy, co najmniej dwustu Burów sądząc po sile ognia, a ze szczytu nad nimi rozbłyskiwał i przygasał ogniem maxim, który nieustannie prznosił ogień wzdłuż pociągu w tę i z powrotem. Sean przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, potem podniósł karabin i wystrzelił cały magazynek w jego stronę. Rozbłyski z lufy karabinu maszynowego stały się jaśniejsze, gdy załoga maxima wzięła na cel Seana. Wokół głowy zaczęły mu świstać pociski.

Sean zanurkował za pociąg, załadował karabin i wstał, żeby oddać strzały.

- Wy dranie! - wrzasnął na nich, a jego głos musiał dotrzeć do strzelców, bo oni także skoncentrowali ogień na Seanie. Pociski gwizdały niebezpiecznie blisko.

Sean przykucnął szybko i zobaczył, że Saul także strzela.

- Skąd masz karabin?

- Wróciłem po niego. - Odpowiedź Saula przerywały kolejne wystrzały. Sean uśmiechnął się ładując broń.

- Któregoś dnia oberwiesz kulkę za głupotę - ostrzegł go.

- Biorę przykład z ciebie - odciął się Saul.

Sean wystrzelał kolejny magazynek, ale jedynym efektem była jeszcze większa wściekłość wywołana kopnięciami karabinu. W tej samej chwili, gdy skończył strzelać, usłyszał za sobą głos Mbejane i złość wybuchła pełną siłą.

- Nkosi.

- Gdzie byłeś, do jasnej cholery? - wydarł się na niego Sean.

- Zgubiłem włócznie. Zajęło mi dużo czasu, zanim znalazłem je w ciemnościach.

Sean milczał przez chwilę, przyglądając się wzgórz. Po lewej stronie, w miejscu gdzie mały parów przecinał wzgórze biegnąc aż do torów kolejowych, widniała przerwa w linii strzelców. Mała grupka żołnierzy mogłaby wspiąć się wąwozem na górę, omijając linię Burów. Pozbawiony osłony maxim nie byłby trudną zdobyczą.

- Mbejane, przynieś swoje włócznie.

- Gdzie idziesz? - spytał Saul.

- Mam zamiar uciszyć ten karabin maszynowy. Zostań tutaj i zajmij strzelców na fałdzie.

Sean ruszył wzdłuż pociągu ku wylotowi wąwozu. Przebiegł Pięćdziesiąt jardów, zanim zorientował się, że za nim, obok Mbejane, biegnie również Saul.

- Gdzie się, do diabła, wybierasz?

- Z tobą.

- Nie ma mowy!

- Tak myślisz? - W głosie towarzysza zabrzmiała nuta zaciętego uporu, który Sean zdołał już dobrze poznać. Nie było czasu na kłótnie. Dobiegł do końca pociągu, gdzie zaczynał się wąwóz, i przypadł do ziemi za wywróconym wagonem. Wysunął głowę, żeby ocenić sytuację.

Jar był wąski, ale dostatecznie głęboki, a krzaki porastające jego brzegi powinny zasłonić ich przed Burami. Na szczycie była znaczna przerwa pomiędzy ich liniami.

- Powinno się udać - zdecydował i zwrócił się do dwóch towarzyszy. - Pójdę pierwszy. Saul, idziesz za mną, tylko uważaj, żebyś nie narobił hałasu.

Sean spostrzegł, że rozbici żołnierze zaczęli się wreszcie organizować. Wszędzie było słyhać rozkazy oficerów i po chwili sto karabinów odpowiedziało ogniem na ostrzał Burów.

- W porządku. Idę. - Sean wstał. - Ruszycie za mną, dopiero jak się przedrę na drugą stronę.

Nie zrobił jeszcze kroku, gdy zatrzymał go jakiś głos.

- Co wy robicie?

- A co ci do tego? - odkrzyknął niecierpliwie Sean.

- Jestem oficerem. - Sean rozpoznał głos i postać trzymając obnażoną szablę w ręce.

- Acheson!

Minęła sekunda, zanim Acheson także go sobie przypomniał.

- Courteney. Co chcesz zrobić?

- Wejść tym wąwozem, żeby uciszyć maxima.
- Myślisz, że uda ci się do niego dotrzeć?
- Zobaczymy.
- Dobra. Możesz iść. Wesprzemy cię ogniem, jeśli ci się powiedzie.
- Zobaczymy się na szczycie - odkrzyknął Sean i rzucił się długimi susami ku wylotowi wąwozu.

Szli w milczeniu gęsiego, a strzały i krzyki zagłuszały ich kroki Sean słyszał nad sobą głosy strzelców, które stawały się coraz głośniejsze, w miarę jak zbliżali się do ich pozycji. Teraz były już bardzo blisko, bezpośrednio nad ich głowami, po obu stronach wąwozu. Wspinali się dalej i głosy zostały za nimi. Przeszli.

Przed szczytem jar stawał się coraz płytszy. Sean wystawił głowę ponad krawędź i rozejrzał się na strony. Poniżej widniały niewyraźne kształty leżących w trawie Burów. Patrząc z góry widział, jak ich karabiny wyrzucają długie pomarańczowe bryzgi płomieni. Odpowiedź z brytyjskich linii wyglądała jak drobne światełka rozbłyskujące pomiędzy ciemną płataniną wagonów.

Sean skoncentrował się na maximie. Szybko pojął, dlaczego kule karabinowe z dołu nie wyrządzały mu żadnej szkody. Ustawiony poniżej krawędzi szczytu na wysuniętym wybrzuszeniu zbocza, karabin maszynowy był osłonięty od dołu przez szaniec zbudowany z ziemi i kamieni. Gruba lufa chłodzona wodą wystawała przez wąską szczelinę szańca, a trzyosobowa załoga była schowana za jego ścianą.

- Chodźcie - szepnął Sean i wypełzł z wąwozu na brzuchu. Jeden z ludzi obsługujących karabin spostrzegł go, gdy Sean znajdował się kilka kroków od szańca.

- Magtig! Pasop, daars 'n!

Sean rzucił się na niego z podniesionym do góry karabinem i mężczyzna nie skończył zdania. Za Seanem skoczyli Saul i Mbejane i przez kilka sekund wokół maxima kłębiły się walczące ciała. Po kilku sekundach było po wszystkim i trzech napastnicy dyszeli ciężko w nagłej ciszy.

- Saul, wiesz jak się z tym obchodzić?

- Nie.

- Ja też nie. - Sean przykucnął za podstawą maxima i położył dłonie na dwóch uchwytach. Kciuki automatycznie spoczęły na podwójnych spustach.

- Wat makeer julle daar bo? Skiet, man, skiet! - krzyknął na nich z dołu Bur.

- Wag maar 'n oomblik - dan skiet ek bedonderd - odpowiedział mu Sean.

- Wie's daar? Kto to? - zapytał Bur i Sean pochylił karabin. Było zbyt ciemno, żeby

mógł posłużyć się celownikiem, więc tylko wycelował lufę w dół i nacisnął kciukami spusty. Ramionami wstrząsnęły drgawki, jak u człowieka posługującego się młotem sprężynowym, a szorstki bębniący hałas niemal go ogłuszył. Sean przesuwiał lufę łagodnym łukiem, omiatając kulami grań znajdującą się pod nim od jednego końca do drugiego.

Wzdłuż burskiej linii rozszalała się burza krzyków i jęków i Sean roześmiał się z dziką radością. Ostrzał pociągu ustał w jednej chwili, gdy przerażeni ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, chowając się przed kulami. Większość uciekała do koni przywiązanych daleko od szczytu, poza zasięgiem maxima, zaś brytyjscy żołnierze wiwatując zaczęli się wspinać za nimi na górę. Zapewniali Seanowi osłonę obiecaną mu przez Achesona.

Jedynie nieduża grupka Burów biegła w jego stronę, wrzeszcząc wściekle i strzelając. Przed szczytem znajdował się fragment terenu niedostępny dla pocisków z maxima.

- Zmykajcie stąd. Rozbiegnijcie się na boki - krzyknął Sean na Saula i Mbejane, przenosząc ciężki karabin na kamienny parapet przed nim, żeby zwiększyć kąt ostrzału. Lecz przy przenosinach musiała zagiąć się taśma, gdyż po pierwszym strzale karabin zablokował się i umilkł. Sean podniósł go nad głowę, stał przez chwilę nieruchomo i wreszcie cisnął nim we wspinających się ludzi. Maxim trafił tylko dwóch, którzy potoczyli się bezwładnie w trawę. Sean poprawił więc kamieniem wielkości dużego jaśka. Potem złapał następny. Wyjął z podniecenia i strachu ciskał jeden głaz za drugim. Przeciwnik nie wytrzymał tego bombardowania i ludzie rozbiegli się na boki, przyłączając się do grupy uciekających do koni.

Tylko jeden człowiek wspinał się wytrwale na szczyt. Był to potężnie zbudowany mężczyzna, który szedł szybko w milczeniu. Sean nie trafił go trzema kamiennymi pociskami i nagle przeciwnik był zbyt blisko, ledwie dziesięć stóp od niego. Zatrzymał się na krawędzi szczytu i podniósł karabin. Z tej odległości, nawet w ciemnościach Bur nie mógł chybić i Sean skoczył na niego ze ściany. Przez chwilę leciał w powietrzu, by zaraz uderzyć w pierś Bura z siłą, która pozbawiła ich obu oddechu. Poturlali się w trawę, kopiąc i mocując się, objając się o skały, aż wpadli na ciernisty krzak, który ich zatrzymał.

- Ty piekielny Holendrze! - ryknął chrapliwym głosem Sean Wiedział, że może być tylko jeden wynik tych zapasów. Sięgnął pewnie do gardła wroga i z niedowierzaniem poczuł, że jego ręka ugrzęzła w uścisku, który niemal połamał mu kości.

- Kom, ons slaat aan. - Usta mężczyzny były o cal od ucha Seana. Ten głos poznałby na końcu świata.

- Jan Paulus!

- Sean! - Zaskoczenie spowodowało, że Jan Paulus rozluźnił nieco uścisk i Sean wyrwał rękę.

Tylko raz w życiu spotkał człowieka, który dorównywałby mu siłą i teraz znowu stanęli naprzeciw siebie. Sean podparł prawą ręką brodę Jana Paulusa i zaczął odginać mu głowę do tyłu, wspierając ją o owinięte wokół szyi lewe ramię. To powinno złamać mu kark, ale w odpowiedzi Jan Paulus otoczył ramionami pierś napastnika i ścisnął z całej siły. Po kilku sekundach od napływu krwi Seanowi zaczęła puchnąć twarz. Z otwartych ust wysunął się język.

Mimo że pozbawiony oddechu, Sean wzmocnił nacisk na głowę Jana Paulusa czując, że lekko odchyła się do tyłu. Jeszcze tylko cal i kręgosłup pęknie.

Miał wrażenie, że ziemia umyka mu spod stóp, a przed oczami zaczęły latać czarne platy, przez które nic nie mógł dojrzeć. Śmiertelne niebezpieczeństwo dodało mu sił. Pchnął mocniej brodę Bura do góry. Drgnęła. Jan Paulus wydał z siebie stłumiony jęk i jego uścisk nieco zelżał.

Znowu, pomyślał Sean, znowu. Zebrał resztkę sił, żeby zakończyć walkę. Zanim jednak zdołał ich użyć, Jan Paulus wysliznął mu się z rąk, zmienił chwyt i odsunął Seana od siebie. Pod miednicę Seana wsunęło się kolano. Podrzuciło go do góry i do przodu, obracając nim w powietrzu, tak że musiał puścić głowę przeciwnika, żeby złagodzić upadek.

Uderzył krzyżem o wystającą skałę i jego ciało sparaliżował niesamowity ból. Przez szum w głowie przedzierały się krzyki podchodzącej coraz bliżej brytyjskiej piechoty. Zobaczył, jak Bur zrywa się na nogi, patrzy w dół na oświetlone światłem gwiazd bagnety i rzuca się do ucieczki.

Sean dzwignął się ciężko z ziemi i ruszył za nim w pościg, ale ból w plecach zwolnił jego ruchy i Jan Paulus dotarł do szczytu dziesięć kroków przed nim. Kiedy tam już się znalazł, z ciemności po lewej stronie wychynęła jakaś postać i szybko zmniejszając odległość rzuciła się za nim w pogoń, niczym pies gończy dopadający rannego kozła. Sean rozpoznał Mbejane z długą stalą błyszczącą w jego rękach, którą Zulus uniósł właśnie nad plecami Jana Paulusa.

- Nie! - krzyknął Sean. - Nie, Mbejane! Zostaw go! Mbejane zawahał się, zwolnił bieg i obejrzał się.

Sean stał na skraju szczytu, trzymając się oburącz za krzyż i ciężko dysząc. Po chwili z ciemności na przeciwległym stoku rozległ się stukot kopyt pojedynczego konia.

Odgłos kopyt szybko przycichł, zagłuszony przez zbliżających się z przeciwnej strony żołnierzy. Sean obrócił się i pokuśtykał w ich kierunku.

**39.** Dwa dni później dotarli zastępczym pociągiem do Johannesburga.

- Wydaje mi się, że chyba powinniśmy gdzieś się zameldować - zasugerował Saul, gdy wszyscy trzej stanęli na peronie obok małej sterty bagaży, które zostały uratowane z rozbitego pociągu.

- Możesz się zameldować, jeśli chcesz - odparł Sean. - Ja idę się rozejrzeć po mieście.

- Nie mamy przecież żadnych nakazów kwaterunkowych - sprzeciwił się Saul.

- Słuchaj się wujka Seana.

Johannesburg jest miastem potrafiącym rzucić zły urok, wzniesionym z zachłanności, jaką rodzi gorączka złota. Jest to jednak ruchliwe miasto przepelnione atmosferą wesołości i sztucznego podniecenia. Można je nienawidzić, kiedy jest się z dala od niego, ale wróciwszy, każdy ponownie ulega jego czarowi. Tak właśnie było i z Seanem.

Wyprowadził ich przez portal stacji kolejowej na ulicę Eloff i uśmiechnął się z zadowoleniem przypomniawszy sobie znany widok. Ulica była zatłoczona. Powozy ścigały się z konnymi tramwajami. Na chodnikach, przy których wyrastały trzy- i czteropiętrowe domy, mundury kilkunastu różnych regimentów mieszały się z kolorami kobiecych sukien.

Sean zatrzymał się na schodach prowadzących do dworca i zapalił cygaro. W tej samej chwili w stukot kół na jezdni i szum ludzkich głosów wdarły się jękliwe gwizdki kopalnianych syren, do których przyłączały się coraz to nowe, oznajmiając południe. Sean automatycznie wyjął z kieszonki zegarek, żeby sprawdzić czas, i zauważył, że wiele osób w tłumie wykonało ten sam ruch. Uśmiechnął się do siebie.

Jo'burg nie zmienił się wiele - nadal panowały tu te same stare zwyczaje. Hałdy przed kopalniami były znacznie większe, niż pamiętał, wyrosło kilka nowych budynków, miasto wyglądało nieco starzej, a pod tym wszystkim kryła się pozbawiona serca chciwość.

Na rogu ulicy Commissioner stał hotel należący do Candy, zdobiony bogato fantazyjnymi balustradami i dachem z karnesami niczym weselny tort.

Z karabinem i plecakiem przewieszonym przez ramię Sean zaczął przedzierać się przez tłum torując drogę Saulowi i Mbejane. Szybko dotarli do hotelu i Sean wszedł pewnie do środka przez obrotowe drzwi.

- Całkiem nieźle. - Zrzucił bagaże na gruby dywan i rozejrzał się po hallu. Zobaczył kryształowe żyrandole, aksamitne zasłony obrębione srebrem, palmy i brązowe wazy, marmurowe stoły i wykładane pluszem fotele. - Jak myślisz, Saul, zatrzymamy się w tym domu noclegowym? - Jego głos rozniósł się po hallu i natychmiast ucichł szmer grzecznych rozmów.



- Nie mów tak głośno - szepnął Saul.

Siedzący w pluszowym fotelu generał wyprostował się, odwrócił głowę i przyjrzał się przez monokl przybyszom, podczas gdy jego adiutant nachylił się do niego i szepnął:

- Mieszkańcy kolonii.

Sean mrugnął do niego i podszedł do recepcjonisty stojącego za ladą.

- Dzień dobry panu. - Urzędnik przyjrzał mu się niechętnym wzrokiem. - Czy ma pan rezerwacje dla mojego szefa sztabu i dla mnie?

- Na jakie nazwisko, sir?

- Przykro mi, ale nie mogę panu podać żadnych nazwisk. Podróżujemy incognito - powiedział poważnym tonem Sean. Recepcjonista spojrział na niego bezradnie. Sean zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - Czy widział pan może, jak wchodził tu mężczyzna z bombą?

- Nie. - Recepcjonista cofnął się o krok. - Nie, nie widziałem.

- To dobrze. - Sean wyglądał, jakby poczuł ulgę. - W takim razie weźmiemy apartament Victoria. Niech pan każe zanieść nasz bagaż na górę.

- Generał Caithness zajął już ten apartament, sir. - Urzędnik był coraz bardziej zdesperowany.

- Co takiego? - ryknął Sean. - Jak pan śmiał!

- Ja nie... Nie mieliśmy... - Jąkając się, recepcjonista cofnął się o krok.

- Wezwij pan tu właścicielkę - rozkazał Sean.

- Tak jest, sir. - Mężczyzna zniknął za drzwiami z napisem "Wstęp wzbroniony".

- Oszalałeś? - Saul z zażenowaniem przestępował z nogi na nogę. - Nie stać nas na wynajęcie pokoju w takim hotelu. Lepiej chodźmy stąd jak najszybciej. - Czując na sobie krytyczne spojrzenia wszystkich znajdujących się w hallu gości, Saul zdawał sobie sprawę, jak bardzo zszargane są ich mundury.

Zanim Sean zdążył mu odpowiedzieć, z pokoju z napisem "Wstęp wzbroniony" wyszła piękna, w tej chwili bardzo rozzłoszczona kobieta, której oczy sypały iskry jak niebieskie szafiry wiszące na jej szyi.

- Jestem pani Rautenbach - właścicielka hotelu. Chciał się pan ze mną widzieć.

Sean w odpowiedzi uśmiechnął się tylko. Jej gniew zaczął tajać, gdy zaczęła go rozpoznawać w źle dopasowanym mundurze i bez brody.

- Candy, czy kochasz mnie jeszcze?

- Sean? - spytała niepewnie.

- A któż by inny?

- Sean! - Rzuciła się do niego biegiem.

Pół godziny później generał Caithness został przeniesiony do innego pokoju, a Sean i Saul rozlokowali się w apartamencie Victoria.

Świeżo po kąpieli, jedynie z ręcznikiem wokół bioder, Sean rozwalił się na fotelu pozwalając fryzjerowi zgolić sobie trzydniowy zarost.

- Jeszcze szampana? - Candy nie spuszczała z niego wzroku od dziesięciu minut.

- Chętnie.

Napełniła jego szklankę, włożyła mu ją do ręki i przesunęła palcami po bicepsie.

- Wciąż twarde - mruknęła. - Nic się nie postarzałeś przez te lata. - Jej palce przesunęły się po jego piersi. - Tylko trochę siwizny, ale jest ci z nią nawet do twarzy. - Zwróciła się do fryzjera. - Skończyłeś już?

- Jedną chwileczkę, madam. - Fryzjer przystrzygł lekko włosy na skroniach, cofnął się o krok i przyjrzał się swojemu dziełu, aż wreszcie przysunął Seanowi lustro, by i ten mógł podziwiać jego robotę.

- Świetnie. Dziękuję.

- Możesz już iść. Ostrzyż jeszcze pana w sąsiednim pokoju. - Candy dosyć się już naczekała. Gdy za fryzjerem zamknęły się drzwi, wstała i przekręciła w nich klucz. Sean podniósł się z fotela i przez chwilę patrzyli na siebie. - Mój Boże, ale ty jesteś wielki. - Jej głos drżał z emocji i nie skrywanego już pragnienia.

- Mój Boże, ale ty jesteś piękna - zawtórował jej Sean i wolno zbliżyli się do siebie.

Znacznie później leżeli objęci w półmroku, który wraz z nastaniem wieczora z wolna wypełniał pokój. Candy przyłożyła usta do jego ramienia i, tak jak kotka liże swoje małe, zaczęła delikatnie pieścić długie blizny na jego karku.

Kiedy w pokoju było już zupełnie ciemno, Candy zapaliła lampę gazową i posłała na dół po biszkopty i butelkę szampana. Następnie usiedli naprzeciw siebie w zmiętej pościeli i zaczęli rozmawiać.

Z początku rozmowa się nie kleiła, bo oboje byli jeszcze zbyt oszołomieni tym, co przed chwilą robili, ale znużenie szybko zniknęło i siedzieli długo w noc prowadząc rozmowę.

Sean pomyślał, że rzadko kobieta może być przyjacielem i jednocześnie kochanką. A tak właśnie było z Candy. Potrafił opowiedzieć jej wszystko, co od dawna leżało mu na sercu i nie dawało spokoju.

Opowiedział jej o Michaelu i dziwnym uczuciu, jakie ich wiązało.

Następnie wspominał jej o Dirku i o swoich złych przecuciach.

Powiedział jej także o wojnie i co ma zamiar robić, kiedy się skończy.

Zwierzył się jej też z planów związanych z Lion Kop i plantacją akacji.

Jednej rzeczy nie mógł jej powiedzieć. Nie mógł mówić o Ruth ani o jej mężu.

**40.** Kilka dni później Sean i Saul zameldowali się w miejscowym dowództwie i ani nie otrzymali kwater, ani nie wyznaczono im żadnych zadań. Wyglądało na to, że kiedy już zgłosili się na służbę, armia przestała się nimi interesować. Kazano im się codziennie meldować, a tak poza tym zostawiono ich samym sobie. Wrócili więc do hotelu Candy i spędzali większość dnia na grze w karty i w bilard, a wieczory na piciu i rozmowach.

Po tygodniu Sean był całkowicie znudzony takim życiem. Znużyła go rola ogiera, bo nawet manna z nieba może się w końcu przejeść. Toteż z ulgą zgodził się towarzyszyć Candy na obiedzie wydanym przez lorda Kitchenera, który święcił swój awans na głównodowodzącego armii w Afryce Południowej.

- Wyglądasz jak młody bóg - pochwaliła go Candy, gdy wszedł do jej pokoju przez ukryte drzwi łączące jej sypialnię z apartamentem Victoria. Kiedy Candy pierwszy raz pokazała mu tajemne przejście i zademonstrowała, jak bezszelestnie odsuwają się drzwi za dotknięciem guzika, Sean ledwie powstrzymał się od zapytania, ilu mężczyzn przed nim posługiwało się tymi drzwiami. Nie miało sensu czuć urazy do bezimiennych poprzedników, którzy przechodzili sekretnym przejściem po to, by nauczyć Candy tych wszystkich sztuczek, którymi teraz go zabawiała.

- Ty też wyglądasz wspaniale. - Candy była ubrana w suknię z niebieskiego jedwabiu, pod kolor oczu, a na szyję włożyła diamenty.

- Jesteś prawdziwym dżentelmenem. - Podeszła do niego i wygładziła mu jedwabne klapy świeżo na wieczór uszytego garnituru. - Szkoda, że nie masz swoich medali.

- W ogóle nie mam medali.

- Och, Sean! Musisz mieć! Za te wszystkie dziury od kul powinieneś dostać medale.

- Przykro mi, Candy. - Sean się uśmiechnął. Czasami Candy tak mało przypominała światową damę. Mimo że była od niego o rok starsza, czas nie zniszczył delikatnej karnacji jej skóry i koloru włosów, które zazwyczaj kobiety tracą bardzo szybko. Jej ciało nadal było szczupłe i zgrabne, a rysy szlachetne.

- Nieważne. Nawet bez medali będziesz najprzystojniejszym mężczyzną tego wieczoru.

- A ty będziesz najpiękniejszą kobietą.

Sean rozparł się wygodnie na skórzanych siedzeniach, gdy powóz wiózł ich ulicą Commissioner w kierunku hotelu Grand National. Cygaro paliło się równo, zwieńczone całowym, srebrnym koniuszkiem popiołu, kieliszek brandy, który wypił przed wyjściem, rozgrzewał go pod wykrochmaloną białą koszulą, czuł przyjemny zapach aromatycznego płynu do włosów, a dłoń Candy spoczywała wysoko na jego udzie.

Wszystko to wzbudzało w nim głębokie poczucie samozadowolenia. Śmiał się wesoło z paplaniny Candy i wypuszczał wolno dym ustami, radując się jak dziecko jego smakiem. Kiedy powóz zatrzymał się przed wejściem do hotelu, Sean wyskoczył na zewnątrz i stojąc przy tylnym kole podtrzymał suknię wysiadającej Candy.

Jej ręka spoczęła delikatnie na jego przedramieniu i Sean poprowadził ją po schodkach przez szklane drzwi do hallu. Mimo przepychu hotel Grand nie umywał się do hotelu Candy. Wywierał jednak duże wrażenie, podobnie jak gospodarze tego wieczoru. Sean i Candy zajęli miejsce w kolejce, czekając na prezentację. Zbliżając się do głównodowodzącego armii, Sean szepnął kilka słów jego adiutantowi.

- Wasza lordowska mość, pozwolę sobie przedstawić pana Courteneya i panią Rautenbach.

Lord Kitchener był imponującym człowiekiem. Był równie wysoki jak Sean, a uścisk miał chłodny i silny. Oczy, które na chwilę zatrzymały się na Seanie, cechowała niepokojąca pewność siebie. Lord obrócił się do Candy i wyraz jego twarzy na chwilę się rozluźnił, gdy nachylał się nad jej dłonią.

- Bardzo mi miło, że zgodziła się pani zaszczyścić nas swoją obecnością.

Sean wprowadził Candy do sali pełnej umundurowanych mężczyzn oraz kobiet w atłasach i jedwabiach. Nad całością dominowały szkarłatne mundury gwardzistów i fizylierów, ale widać było również szamerowane złotem niebieskie uniformy huzarów, a także mundury kilku szkockich regimentów. Czarny garnitur Seana zwracał uwagę swoją elegancją. Pomędzy orderami i odznakami błyszcząły klejnoty i białe karnacje kobiet.

W tej sali zebrał się kwiat olbrzymiego drzewa znanego jako imperium brytyjskie. Zebrani tu goście mieli świadczyć o tym, jak wysoko ponad inne wyrasta to drzewo. Mocarstwo stworzyły dwa wieki zwycięskich wojen, a dwieście milionów ludzi było niczym korzenie, które wchłaniały bogactwa połowy świata i wysyłały statkami do rozłożonej na Tamizą stolicy. Właśnie tam konsumowano i rozdzielano zdobycze pomiędzy tych, których leniwa wymowa i wyrobiona nonszalancja odzwierciedlały arogancję i zadowolenie z siebie. Ta właśnie postawa wzbudzała nienawiść i strach nawet w pniu potężnego drzewa. Podczas gdy mniejsze drzewa trzymały się razem i wypuszczały własne korzenie, żeby zdobyć dla siebie choć część tych bogactw, potężne drzewo było trawione od środka śmiertelną chorobą. Olbrzymie źródła dochodu, jak Ameryka, Indie, Afganistan i Afryka Południowa zaczęły z wolna wysychać. Pewnego dnia potężne drzewo runie i rozpadnie się na tyle kawałków, że wszyscy poznają, iż była to raczej miękka sosna niż twardy tek.

Przyglądając się gościom, Sean czuł się wśród nich obco. Miał wrażenie, że pod

względem celów i postawy bliżsi są mu obszarpani mężczyźni, których mauzery nadal dawały odpór brytyjskim żołnierzom na bezkresnych stepach.

Dobry nastrój Seana wisiał na włosku, odsunął więc na bok ponure myśli, wymienił pusty kieliszek na pełny i sącząc żółte wino spróbował włączyć się do wesołej rozmowy, jaką kilku młodszych oficerów zabawiało Candy. Lecz udało mu się jedynie nabrać przemożnej ochoty, żeby strzelić jednego z nich w wypiełgnowane wąsiki. Rozwagał właśnie tę ideę, kiedy poczuł czyjaś dłoń na swoim ramieniu.

- Witaj, Courteney. Widzę, że można spotkać cię wszędzie, gdzie jest jakaś bijatyka lub bezpłatne drinki. - Zaskoczony Sean obrócił się i zobaczył surową twarz i dziwnie wesołe oczy generała Johna Achesona.

- Witam, panie generale. Jak widzę, pana również można spotkać w podobnych okolicznościach. - Sean uśmiechnął się do niego.

- Co za cholernie kiepski szampan. Stary Kitchener zrobił się skąpy. - Generał przyjrzał się uważniej nienagannie skrojonemu garniturowi Seana. - Trudno odgadnąć, czy otrzymał pan odznaczenia, do których pana rekomendowałem.

Sean potrząsnął przecząco głową.

- Nadal jestem sierżantem. Nie chciałem zawstydzić sztabu generalnego pokazując się w moich szewronach.

- Hmm! - Oczy Achesona zwięzły się lekko. - To musi być jakieś niedopatrzenie. Zajmę się tym.

- Zapewniam pana, że czuję się zupełnie szczęśliwy w swojej randze.

Acheson skinął głową i zmienił temat.

- Nie poznał pan jeszcze mojej żony. - Wyglądało na to, że Sean zdobył sobie nieoczekiwanie silnego poplecznika. Nie domyślał się nawet, że generał uważał go za swoją szczęśliwą gwiazdę. Jego własny awans miał miejsce w czasie ich pierwszego spotkania. Sean zamrugnął ze zdziwienia oczami.

- Nie miałem przyjemności być jej przedstawionym.

- No to chodźmy.

Sean przeprosił Candy, która zwolniła go lekkim uderzeniem wachlarza w ramię, i podążył za Achesonem ku stojącej po drugiej stronie sali grupie ludzi. Kilkanaście kroków przed nimi zatrzymał się gwałtownie.

- Coś nie w porządku? - spytał Acheson.

- Nie. Nic. - Sean ruszył dalej z oczami utkwionymi w jednym z mężczyzn stojących w grupie.

Był to szczupły oficer w ciemnoniebieskim mundurze Natalskich Strzelców Konnych. Zaczesane do tyłu włosy piaskowego koloru odsłaniały szerokie czoło, a nos był za duży w stosunku do ust i brody. Mężczyzna stał lekko zgarbiony, ale na jego piersi wisiało dumnie najwyższe odznaczenie za dzielność obok medalu za służbę, a gwiazdki i galony na ramionach wskazywały, że jest pułkownikiem.

Ogarnięty poczuciem winy Sean wolno spuścił wzrok na jego nogi. Ze zdziwieniem zobaczył, że mężczyzna stoi na dwóch nogach obutych w długie skórzane buty. Dopiero kiedy ten zmienił pozycję, przenosząc ciężar ciała na drugą nogę, Sean dostrzegł jej sztywność i zrozumiał.

- Moja droga, pozwól, że ci przedstawię pana Courteneya. Wspominałem ci o nim. Był ze mną pod Colenso i w czasie napadu na pociąg kilka tygodni temu.

- Ach, pan Courteney, bardzo mi miło. - Była to pulchna i sympatyczna kobieta, ale Sean ledwo zdołał wykrztusić grzeczną odpowiedź, tak bardzo był spięty pod spojrzeniem pary męskich oczu.

- A to jest major Peterson z mojego sztabu. Sean skinął głową.

- Pułkownika Courteneya pewnie już pan zna, zwłaszcza że nosicie to samo nazwisko. Nie wspominając faktu, że jest on pańskim przełożonym.

Po raz pierwszy od dziewiętnastu lat Sean mógł spojrzeć w twarz mężczyzny, którego uczynił kaleką.

- Witaj, Garry - powiedział i wyciągnął rękę. Stał tak przez chwilę i czekał.

Usta Garry'ego poruszyły się nieznacznie. Nachylił ramiona, a jego głowa poruszyła się na boki.

Przyjmij ją, Garry. Proszę, weź moją dłoń - Sean starał się ponaglić brata w myślach. Uświadamiając sobie, jaką musi mieć w tej chwili minę, zmusił się do uśmiechu. Był to wyjątkowo niepewny uśmiech, ledwo rysujący się na ustach, których kąćki nieznacznie drżały.

Usta Garry'ego rozluźniły się i Sean dostrzegł okropną tęsknotę w oczach brata.

- Minęło wiele czasu, Garry. O wiele za dużo. - Sean jeszcze bardziej wysunął dłoń. Weź ją. O Boże, spraw, żeby ją przyjął.

Garry się wyprostował i obcas prawego buta zaszurał delikatnie po marmurowej podłodze. Pragnienie pojednania znikło natychmiast z jego oczu, a kąćki ust uniosły się do góry w lekko pogardliwym uśmiechu.

- Sierzancie. - Głos Garry'ego był za wysoki. - Sierzancie, jesteście nieodpowiednio ubrani! - Odwrócił się na pięcie sztucznej nogi i kulejąc oddalił się od grupy.

Sean nadal stał z wyciągniętą dłonią i martwym uśmiechem na ustach.

Nie powinieneś tego robić. Obaj chcieliśmy - wiem, że chciałeś tego tak samo mocno, jak ja.

Sean opuścił rękę i zacisnął dłoń w pięść.

- Zna go pan? - spytał miękko Acheson.

- To mój brat.

- Rozumiem - mruknął Acheson. Zrozumiał właśnie kilka rzeczy, między innymi powód, dla którego Sean Courteney nadal był sierżantem.

Major Peterson zakaszłał grzecznie i zapalił cygaro. Pani Acheson dotknęła ramienia męża.

- Mój drogi, wczoraj przyjechała Daphne Langford. Stoi tam z Johnem. Musimy zaprosić ich na obiad.

- Oczywiście, kochanie. Zaproszę ich dziś wieczorem.

Przez chwilę byli zajęci sobą i Sean miał czas, żeby dojść do siebie po doznanym afroncie.

- Courteney, pański kieliszek jest tak samo pusty jak mój. Proponuję, żebyśmy napili się czegoś mocniejszego niż ten szampan.

Acheson miał na myśli brandy z Cape, znacznie różniącą się od słabego alkoholu produkowanego we Francji. Był to wyjątkowo niebezpieczny alkohol, zwłaszcza przy obecnym nastroju Seana, którego po przywitaniu Garry'ego opanowała zimna, mordercza wściekłość.

Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, odpowiadał grzecznie na pytania pani Acheson i raz uśmiechnął się do Candy stojącej po drugiej stronie sali, ale zamawiał jeden kieliszek po drugim, podniecając gniew, który palił mu wnętrzności. Oczy Seana nieustannie podążały za kuśtykającym po sali mężczyzną w ciemnoniebieskim mundurze.

Adiutant lorda, który wyznaczał gościom miejsca przy stole, nie domyślał się nawet, że Sean jest zwykłym sierżantem. Jako gość pani Rautenbach, Sean Courteney musiał być jakimś wpływowym cywilem i adiutant posadził go wysoko przy stole, pomiędzy panią Rautenbach i panią Acheson. Dalej siedział major Peterson, a po przeciwnej stronie generał i dwóch pułkowników. Jednym z nich był Garrick Courteney.

Czując na sobie uporczywe spojrzenie Seana, Garry reagował na nie nerwową wesołością. Starając się nie zwracać uwagi na brata kierował swoje uwagi do siedzących przed nim ludzi, a brązowy krzyż zawieszony na purpurowej wstążce, objijający się mu o pierś za każdym razem, gdy Garry nachylał się nad stołem, nadawał wagi jego opiniom, których z



uwagą słuchali oficerowie wyższych rang.

Jedzenie było wyśmienite. Na stół podano homary, które pomimo burskiej blokady zostały sprowadzone z Cape, młode bażanty, cztery wyborne sosy. Nawet szampan był znacznie lepszy. Jednak Sean jadł niewiele, za to nieustannie zatrudniał kelnera podającego wina, który niemal nie odstępował od jego krzesła.

- No cóż - powiedział Garrick, wybierając cygaro z cedrowego pudełka, kiedy je mu podsunęto - osobiście nie widzę możliwości, żeby wojna trwała dłużej niż jeszcze trzy miesiące.

- Zgadza się z panem. - Major Peterson skinął głową. - Na wiosnę powinniśmy wrócić do Londynu.

- Brednie! - Sean po raz pierwszy włączył się do dyskusji. Poznał to słowo dopiero niedawno i bardzo przypadło mu do gustu. Poza tym, przy stole znajdowały się panie.

Twarz Petersona przybrała barwę harmonizującą z jego szkarłatnym mundurem, Acheson zaczął się uśmiechać, ale pohamował się, zaś Candy wierciła się niecierpliwie, gdyż jej znudzenie osiągnęło szczyt. Przy tej części stołu zapadła nieprzyjemna cisza.

- Przepraszam? - Garry pierwszy raz zwrócił na niego uwagę.

- Brednie - powtórzył Sean, a kelner podający wina nachylił się nad nim i nalał szampana do kryształowego kieliszka. W czasie obiadu Sean opróżnił co najmniej tuzin kieliszków, ale tym razem zwróciło to uwagę całego towarzystwa.

- Nie zgadzasz się ze mną? - spytał wyzywającym tonem Garry.

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ w polu jest nadal osiemnaście tysięcy Burów, ponieważ nadal tworzą zorganizowaną armię, ponieważ ani razu nie ponieśli całkowitej klęski, a ponadto ci ludzie mają charakter.

- Nic nie wiesz - Garry był wyraźnie podrażniony, ale Acheson przerwał mu zrećźnie.

- Przepraszam, pułkowniku Courteney. - I zwrócił się do Seana. - Jeśli się nie mylę, to zna pan tych ludzi. - Zawahał się na chwilę. - Zdaje się, że jest pan spokrewniony z jednym z nich przez małżeństwo.

- Mój szwagier jest dowódcą komanda Wynberger - potwierdził Sean. Acheson wiedział o nim więcej, niż Sean przypuszczał. Musiał pewnie zasięgnąć języka. Sean poczuł się podbechtany i z jego głosu zniknęła szorstkość.

- Jak, według pana, będą dalej postępować? - Acheson kontynuował temat i Sean łyknął szampana zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Rozproszą się, podzielą na tradycyjne oddziały, komanda. - Acheson skinął głową. Będąc w sztabie generalnym przekonał się, że tak właśnie się działo.

- W ten sposób rozwiążą problem wożenia ze sobą zapasów. Kiedy nastanie pora deszczowa, mniejsze oddziały nie będą także miały problemów z wypasem koni.

- Tak. - Sean czuł, że wszyscy go teraz słuchają. Myślał szybko, przeklinając wino, które go już lekko zamroczyło. - Będą unikali walki, uciekali przed większymi oddziałami, zawracali, żeby zaatakować flanki, i znowu uciekali.

- Zapasy? - spytał generał.

- Step jest ich spizarnią. Dostaną je w każdej farmie.

- Amunicja, broń, ubranie? - nalegał Acheson.

- Każdy brytyjski żołnierz, którego pojماją lub zabiją, zapewni im nowego leemforda i sto sztuk amunicji.

- Ale jak długo mogą tak żyć? - spytał pobłaźliwie Garry, jakby mówił do dziecka. - Jak daleko mogą uciekać? - Rozejrzył się wokół, szukając wsparcia, ale wszyscy patrzyli na Seana.

- Mogą uciekać tak daleko, jak szeroki jest step. - Sean obrócił się do niego, ukłuty tonem brata. - Mój Boże, przecież znasz ich. Ciężka harówka jest dla nich normalnym życiem, duma zaś ogniem, który dodaje im sił.

- Przedstawiasz ciekawy obraz. - Garry się uśmiechnął. - Rzadko spotyka się tyle wyczucia wielkiej strategii wśród zwykłych żołnierzy. - Obrócił się do Achesona z miną, która wykluczała Seana z dalszej rozmowy. - Jak już mówiłem, generale Acheson, jestem przekonany...

- Chwileczkę, pułkowniku. - Tym razem Acheson wyłączył go z rozmowy, zwracając się do Seana. - Gdyby pan dowodził armią, przyjęcie jakiej taktyki by pan sugerował?

Garrick zakaszlał znacząco, jakby chciał zwrócić uwagę gości, że jego brat zaraz zrobi z siebie głupca. Nie umknęło to Seanowi.

- Problem koncentruje się na jednym podstawowym punkcie: ruchliwości wroga - powiedział twardo.

- Twoja obserwacja przynosi ci zaszczyt - mruknął po drugiej stronie stołu Garry.

- Naszym pierwszym zadaniem powinno być uniemożliwienie nieprzyjacielowi częstych odwrotów i znużenie go ciągłymi potyczkami - mówił dalej Sean, starając się nie zwracać uwagi na docinki Garry'ego.

- Uniemożliwienie? - spytał generał.

- Ograniczenie go do niewielkiego terenu - wyjaśnił Sean.

- Jak?

- Na przykład przez zbudowanie ciągu fortyfikacji - zaproponował Sean.

- Może poprawisz mnie, jeśli się mylę, ale czy sugerujesz, że powinniśmy podzielić cały step na zagrody i postępować z nieprzyjacielem tak, jak z bydłem? - Garry uśmiechał się złośliwie.

- Nowe blokhauzy budowane wzdłuż linii kolejowych zdają jak na razie egzamin. Powinno być możliwe rozciągnięcie ich na cały step. Za każdym razem, kiedy wróg chciałby przekroczyć te linie, byłby narażony na ostrzał ze strony garnizonów i znalazłby natychmiast jego pozycję.

- Koszty byłyby olbrzymie - wskazał Acheson.

- Nie tak wielkie, jak utrzymywanie w polu ćwierćmilionowej armii przez najbliższych pięć lat. - Sean z łatwością odparł zarzut. Był zupełnie pewien rodzących mu się w głowie idei. - Następnie, na niewielkim terytorium można by użyć małych oddziałów jeźdźców, którzy nie ciągnąc za sobą artylerii i zapasów mieliby swobodę ruchów. Oddziały te atakowałyby burskie komanda; nękając je nieustannymi napadami i zasadzkami spychałyby je ku blokhauzom, nie dawałyby im czasu odpocząć czy choćby napić koni. Partyzantkę należy zwalczać jej własnymi metodami.

Acheson skinął w zamyśleniu głową.

- Mów dalej.

- Następnie należałoby wysiedlić farmy - ciągnął Sean. - Zebrać kobiety i starców, których zapasy służą komandom. Zmusić Burów do działania w próżni.

Później Sean miał pożałować impulsu, który zmusił go do wypowiedzenia tej myśli. Może Kitchener zastosowałby politykę spalonej ziemi bez sugestii Seana. Może Sean wcale nie był odpowiedzialny za stworzenie obozów koncentracyjnych, które wzbudziły w ludziach i w nim samym tak wielką nienawiść, że musiał z nią walczyć do końca życia. Nigdy się tego nie dowiedział. Był zły i pijany, ale ta wymówka nie potrafiła uciszyć jego sumienia.

Nagle poczuł się zupełnie wypalony, jakby ogarnięty przecuciem zła, które właśnie zasiał. Siedział zatopiony w myślach, podczas gdy inni dyskutowali jego idee, rozszerzając je, tworząc w oparciu o nie zarysy planów.

Kiedy obiad się skończył i goście przeszli do następnej sali na kawę, Sean podjął jeszcze jedną próbę pogodzenia się z bratem. Podeszedł do niego, zapominając o swojej dumie.

- Byłem w zeszłym miesiącu w Ladyburgu. Wszyscy są zdrowi. Ada napisała do mnie...

- Dostaję co tydzień Ust od mojej żony, macochy i syna. Wiem dobrze, co się u nich

dzieje. Dziękuję. - Garry patrzył gdzieś ponad ramieniem brata.

- Garry...

- Przepraszam. - Garry skinął sztywno głową i pokuśtykał do grupy oficerów. Nie odwrócił się do Seana.

- Chodźmy do domu, Candy.

- Ależ, Sean...

- Chodź.

Sean nie spał tej nocy.

**41.** Kwatera głównodowodzącego wschodnim sektorem była usytuowana w biurze browaru na ulicy Plein. Major Peterson czekał już na Garry'ego, gdy przybył na wezwanie.

- Sir, posłałem po pana dwie godziny temu.

- Byłem niezdrów - odpowiedział mu Garry.

- Stary Ach nie jest dziś w najlepszym humorze. Lepiej będzie, jeśli nie każemy mu dłużej na siebie czekać. Chodźmy.

Peterson poprowadził go do drzwi na samym końcu korytarza. Zastukał do nich i otworzył. Acheson podniósł wzrok znad rozłożonych na stole papierów.

- Sir, przyszedł pułkownik Courteney.

- Dziękuję, Peterson. Niech pan wejdzie, Courteney. Peterson zamknął za sobą drzwi, zostawiając Garry'ego stojącego

na grubym perskim dywanie naprzeciw biurka generała.

- Courteney, kazałem posłać po pana dwie godziny temu. - Acheson zwrócił się do niego z tą samą wymówką i Garry przestąpił z nogi na nogę.

- Nie czułem się najlepiej dziś rano, sir. Musiałem wezwać lekarza. Acheson gładził palcami siwe wąsy, przyglądając się baczny wzrokiem ciemnym sińcom pod oczami pułkownika i jego ziemistej cerze.

- Niech pan siada - rozkazał.

Acheson nie odzywał się, ale nie spuszczał oczu z Garry'ego. Garry starał się uniknąć tego spojrzenia. Czuł się niepewnie po nocnym przepiciu. Jego skóra była sucha i nad wyraz wrażliwa. Garry wiercił się na krześle, składając i rozkładając dłonie.

- Chciałbym poprosić o jednego z pańskich ludzi - odezwał się wreszcie Acheson.

- Oczywiście, sir - pośpiesznie odparł Garry.

- Sierżanta Courteneya. Chciałbym powierzyć mu samodzielne dowództwo nad oddziałem.

Garry siedział teraz nieruchomo.

- Wie pan, o kim mówię? - nalegał Acheson.

- Tak, sir.

- Powinien pan - mruknął sucho Acheson. - Osobiście przedstawiłem go panu dwa razy do awansu. - Spojrzał na leżące przed nim dokumenty.

- Tak, sir. - Dłoń Garry'ego otwierała się i zamykała nieustannie.

- Zauważyłem, że nie przyjął pan żadnej z tych rekomendacji.

- Nie, sir.

- Czy mogę zapytać dlaczego?

- Nie miałem... Nie uważałem, żeby te okazje zasługiwały na szczególne wyróżnienie.  
- Uważa pan, że myliłem się w swoim osądzie? - spytał grzecznie Acheson.  
- Nie, sir. Oczywiście, że nie - zaprzeczył szybko Garry.  
- No więc? - Oczy generała były bladoniebieskie i zimne.  
- Rozmawiałem z nim. Pogratulowałem mu. Po Colenso dałem mu urlop.  
- Bardzo wspaniałomyślne z pana strony, zwłaszcza ze względu na rany, jakie otrzymał w tej bitwie.

- Nie chciałem, żeby... Widzi pan, on jest moim bratem. Było mi niezręcznie. To byłoby faworyzowanie. Nie mogłem nic zrobić. - Garry wiał się na krzesło, a jego dłonie uniosły się do góry, drapiąc powietrze, jakby chciały z niego wydobyć brakujące słowa.

- To pański brat? - spytał Acheson.

- Tak. Mój brat. Znam go. Ja go znam, pan nie, Nie ma pan nawet pojęcia. - Garry czuł, jak jego myśli się plączą. Własny głos wydawał mu się wyjątkowo piskliwy. Musiał wszystko wytłumaczyć. Musiał powiedzieć o wszystkim Achesonowi. - Moja noga - niemal pisnął - moja noga. Widzi ją pan. Niech pan spojrzy! To on zrobił. Zabrał mi nogę. Nie zna go pan. Jest zły, zły. Mówię panu, że jest zły.

Wyraz twarzy Achesona nie zmienił się, ale jego oczy stały się jeszcze zimniejsze i uważne. Garry czuł, że musi dotrzeć do niego, przekonać go.

- Anna. - Usta Garry'ego były wilgotne i drżące. - Moja żona, Anna. To on jej to zrobił. Wszystko, czego dotknie - nie ma pan pojęcia, jaki on jest. Ja go znam. On jest zły. Próbowałem, miałem nadzieję pod Colenso, ale jego nie można zniszczyć. To on wszystko niszczy.

- Pułkownik Courteney! - Ostry głos przerwał jego bełkot i Garry drgnął na dźwięk głosu generała. Zakrył usta ręką i wolno opadł na krzesło.

- Chciałem tylko wyjaśnić. Pan nie rozumie.

- Wydaje mi się, że rozumiem. - Acheson wymawiał ostro i krótko każde słowo. - Udzielam panu bezterminowego urlopu ze względu na kłopoty zdrowotne.

- Nie może pan tego zrobić. Nie złożę rezygnacji.

- Nie proszę pana o nią - stwierdził Acheson. - Jeszcze dzisiaj prześlę papiery do pańskiej kwatery. Może pan pojechać jutrzejszym pociągiem.

- Ale... ale, sir...

- To wszystko, Courteney. Może pan odejść. Acheson skoncentrował się na dokumentach.

**42.** Tego popołudnia Sean spędził dwie godziny z Achesonem. Kiedy wrócił do

hotelu, znalazł Saula w pokoju bilardowym. Sean wybrał sobie kij. Saul położył obie kule na stole i wyprostował się.

- No i? - spytał, gdy Sean nakładał kredę na czubek kija.

- Nie uwierzysz.

- Powiedz mi, to się przekonamy.

Uśmiechając się tajemniczo Sean uderzył dwa razy i wstrzelił czerwoną kulę.

- Awans z sierżanta na majora z niezależnym dowództwem - oznajmił.

- Ty?

- Ja. - Sean zachichotał i spudłował.

- Musieli w sztabie poszaleć.

- Poszaleli czy nie, od tej pory masz stawać na baczność w mojej obecności, okazywać mi respekt i spudłować.

Saul spudłował.

- Jeśli jesteś oficerem i dżentelmenem, to czemu nie zamkniesz gęby, kiedy gram?

- Ty także awansowałaś.

- Ja?

- Jesteś teraz porucznikiem - poinformował go Sean.

- Nie!

- Z małą błyskotką.

- Z jaką znowu błyskotką?

- Z medalem, głupku.

- Nie wierzę własnym uszom. - Saul roześmiał się pełnym głosem. Sean stwierdził, że lubi słuchać tego śmiechu. - Jaki medal i za co?

- Medal za Wzorową Służbę. Przyznali ci go za obronę pociągu.

- Ależ, Sean, ty... Sean przerwał mu.

- Tak, ja też dostałem ten sam. Starego Achesona zupełnie poniosło. Zaczął wieszać medale i awanse na wszystkim co się ruszało z tym samym zaangażowaniem, co facet naklejający plakaty z reklamą nowej zupy. O mały włos a przypiąłby odznaczenie ordynansowi, który przyniósł kawę.

- Poczęstował cię kawą?

- I cygarem - pochwalił się Sean. - Zupełnie przestał się liczyć z kosztami. Przypominało to spotkanie dwojga zakochanych. Cały czas zwracał się do mnie per mój drogi przyjacielu.

- Powiedz, jakie dowództwo ci wyznaczył. Sean przestał się śmiać i odstawił kij do

stojaka.

- Mamy stanąć na czele pierwszego oddziału do zwalczania komand. Ma to być mały, dobrze wyposażony oddział jeźdźców, który będzie ścigał Burów. Naszym zadaniem jest nękanie ich i zmuszanie do ciągłego ruchu, aż wpadną na jakąś większą kolumnę.

Następnego ranka udali się na przegląd ochotników, których zwerbował dla nich major Peterson.

- Obawiam się, że jest to zupełna zbieranina. Udało nam się zwerbować trzystu pięćdziesięciu. - Ton Petersona nie był zupełnie szczery. Major nie zapomniał jeszcze, jak Sean zwrócił się do niego na obiedzie: brednie.

- Tak, to musiało być trudne zadanie - zgodził się z nim Sean. - Miał pan tylko ćwierć miliona ludzi do wyboru. A co z oficerami?

- Przykro mi. Tylko Friedman. Ale mam dla pana prawdziwą perłę. Starszy sierżant, którego zwędziłem od Dorsetów. Nazywa się Eccles. Naprawdę jest świetny.

- A Tim Curtis, o którego pana prosiłem?

- Przykro mi. Otworzyli kopalnie złota. Ściągają teraz wszystkich inżynierów do pracy.

- Cholera, chciałem go mieć u siebie. Co z karabinami maszynowymi?

- Cztery maximy. Cholerne szczęście, że udało nam się je dostać.

- Konie?

- Też nie było najłatwiej, ale może pan je wymienić i wtedy wybierze pan sobie lepsze.

W czasie jazdy do Randfontein Sean nie ustawał w pytaniach i żądaniach. Jednocześnie narastało w nim podniecenie z wyzwania, jakie stawiało przed nim zadanie. Wreszcie mógł traktować tę wojnę poważnie. Kiedy mijali strażę pilnującą wejścia do obozu na przedmieściach Johannesburga, Sean zadał najważniejsze pytanie.

- Czy Acheson zdecydował, na jakim obszarze mamy działać?

- Tak. - Peterson zniżył głos. - W południowo-wschodnim Transwalu.

- Tam jest Leroux!

- Zgadza się. Mężczyzna, który napadł na wasz pociąg. Znowu Jan Paulus!

- Oto twoi ludzie, Courteney.

W pewnej odległości od obozu stały trzy rzędy namiotów. Na ich końcu dymiła kuchnia polowa, a wokół niej zebrali się wojacy Seana.

- Na Boga, Peterson. Mówiłeś, że to zbieranina! Przecież ty zabrałeś z armii



wszystkich kucharzy i ordynansów. Rany boskie, a to kto - marynarze?

Peterson uśmiechnął się lekko i przesunął w siodle.

- Zwerbowaliśmy ich niemal siłą - przyznał. - To działowi z Repulse. O, idzie nasz sierżant.

Eccles zbliżył się do nich na czele kolumny czwórek. Był to potężnie zbudowany mężczyzna z czarnymi włosami, o wzroście sześciu stóp i kilku cali, sztywno wyprostowany jakby połknął kij. Peterson przedstawił go Seanowi i obaj mężczyźni przyglądali się sobie uważnie.

- Zdaje się, że mamy parszywą zbieraninę, sir.

- Na pewno mamy sporo do roboty, Eccles.

- Na to wygląda, sir.

- No to bierzmy się do pracy. - Obaj mężczyźni patrzyli na siebie z rosnącym szacunkiem.

Tydzień później oddział był gotowy do drogi. Saul przezwiał ich "Walecznymi Skautami Courteneya". Choć wszyscy mieli już porządne konie, można było zauważyć ciekawe style jazdy, szczególnie wśród delegatów marynarki królewskiej. Szantażując kwatermistrza Sean zdołał także zdobyć dla nich identyczne umundurowanie przypominające stroje lekkiej kawalerii królewskiej: kapelusze z zagiętą połową ronda, mundury i bryczesy koloru khaki, bandolier, sztylpy i długie buty. Dostali także czterdzieści juczych mułów i cztery maximy, do których obsługi Eccles wyszkolił kilka zespołów.

Acheson zezwolił Seanowi na korzystanie z miasta Charlestown jako ich bazy wypadowej. Załatwił dla nich także pociąg, który miał ich zawieźć do małego miasteczka przy granicy z Natalem, obiecał zapewnić współpracę z większymi oddziałami operującymi w tej okolicy i poinformował Seana, że oczekuje od niego wielkich rzeczy. Zabrzmiało to niczym groźba.

**43.** Ależ, kochanie, nawet nie dostałeś prawdziwego munduru. Wyglądasz tak nieporządnie. - Candy, która przyglądała się z podwójnego łóżka, jak Sean się ubiera przed lustrem, miała bardzo zdecydowany pogląd na to, co stanowi prawdziwy mundur. Powinien być szamerowany złotem, ze złotymi guzikami i Orderem Podwiązki na szkarłatnym tle. - Przyjrzyj się tym guzikom, przecież one nawet nie błyszczą.

- Burowie lubią błyszczące rzeczy, lepiej się do nich mierzy w słońcu. - Sean spojrział na nią przez ramię. Jej złote loki były w nieładzie, a niebieski szlafroczek więcej odsłaniał, niż ukrywał. Sean szybko odwrócił wzrok do lustra i odgarnął włosy ze skroni. Były lekko przetykane siwizną. Wyglądam bardzo dostojnie, zdecydował. Kiepsko tylko z tym nochalem. Spróbował go wyprostować palcami, ale nos, gdy tylko go puścił, wrócił do swojej normalnej pozycji. - No cóż, muszę cię już opuścić - powiedział Sean.

Candy zerwała się z łóżka ze smutną miną i lekko drżącymi ustami. - Zejdź z tobą. - Poprawiła pośpiesznie szlafroczek.

- Nie.

- Tak, mam dla ciebie prezent na pożegnanie.

Na podwórku hotelu stał powóz zaprzężony w cztery dorosłe muły. Candy podprowadziła go do niego i podniosła brezent.

Dla ochrony przed zimnem Candy podarowała mu barani kozuch, sześć wełnianych kocy i jedwabną puchową kołdrę, dwie poduszki i materac, a także skrzynkę z brandy Courvoisier i skrzynkę szampana Veuve Clicquot. By nie umrzeć z głodu, miał słoje z łososiem, dżem z truskawek, kawior w małych słoiczkach i puszki z delikatesami, wszystko zapakowane w drewniane skrzynki. Candy pomyślała także o jego zdrowiu, umieszczając w powozie apteczkę z lekarstwami i sprzętem chirurgicznym. Przeciwno Burom Sean otrzymał szablę z Toledo w wybijanej srebrem skórzanym pochwie i parę koltów w mahoniowym pudle.

- Candy... - wymamrotał Sean. - Nie wiem, co powiedzieć. Uśmiechnęła się delikatnie i wzięła go za ramię, przytulając do siebie.

- To nie wszystko. - Skinęła na jednego ze służących, który zniknął w stajni i po chwili wyprowadził z niej araba pełnej krwi z angielskim siodłem do polowania na grzbiecie.

- Mój Boże! - wykrzyknął Sean, a ogier zatańczył bokiem, aż poranne słońce odbiło się od jego sierści. Rumak rozdał różowe, wielkie jak spodki chrapy, błysnął białkami i stanął dęba, pociągając za sobą służącego. - Candy, kochanie - powtórzył zdumiony Sean.

- Żegnaj, Sean. - Podała mu usta do pocałowania i zaraz wyrwała się z jego objęć i uciekła do hotelu.

Podczas gdy Saul zagrzewał Seana wesołymi okrzykami, Mbejane i służący trzymali

rumaka przy pysku. Sean dosiadł konia i kiedy go puścili, rozpoczęła się walka. W końcu udało mu się okiełznać araba na tyle, że zmusił go do skierowania się ku stacji kolejowej. W drodze koń stawał dęba, przyginał łeb do ziemi i popisywał się krokiem na sztywnych nogach.

Eccles przyglądał się nadjeżdżającemu Seanowi bez wyrazu.

- Sierzancie, z czego, do diabła, się śmiejecie?

- Nie śmiałem się, sir.

Sean zeskoczył z konia i z ulgą oddał go pod opiekę dwóch żołnierzy.

- Całkiem ładne zwierzę, sir.

- Jak myślisz, ile można by za niego wziąć?

- Chce go pan sprzedać, sir? - Eccles nie ukrywał ulgi.

- Masz cholerną rację, że chcę go sprzedać, ale to jest prezent, więc nie mogę tego zrobić w Johannesburgu.

- Wiem, że pułkownik Jordan w Charlestown szuka porządnego rumaka. Postaram się uzyskać dla pana dobrą cenę, sir.

Pułkownik Jordan kupił nie tylko konia, ale także pistolety i szablę. Sekretarzowi kasyna oficerskiego garnizonu w Charlestown zaświeciły się oczy, gdy Eccles odwinął brezent z powozu.

Kiedy oddział Seana wyruszył przez zimowe, brązowe pola ku rysującym się na horyzoncie górą Drakensberg, powozik jechał na końcu kolumny wyladowany po brzegi maximami i skrzynkami z amunicją.

**44.** Pierwszej nocy był przymrozek i gwiazdy świeciły bardzo jasno, czyste i dalekie. Rankiem ziemia obudziła się biała i krucha od szronu, każda gałązka i opadły liść zamienił się w nocy w migoczące w pierwszych promieniach słońca cacko. Cieniutka pokrywa ładu przykrywała sadzawkę, przy której rozbili obóz.

Mbejane ze skórami małąp zarzuconymi na ramiona przykucnął obok Seana opatulonego w zapięty pod szyję kożuch.

- Tej nocy rozbijemy obóz pod tamtą górą. - Sean wskazał na zachód na niebieski stożek, który przed świtem odcinał się od nieco jaśniejszego nieba. - Znajdziesz nas tam.

- Nkosi. - Mbejane skinął głową znad tabakierki.

- Powiedz mi coś o nich. - Sean wskazał głową na grupę Murzynów, którzy czekali z włóczniami przy sadzawce. - Czy to mężczyźni?

Mbejane wzruszył ramionami.

- Nie znam ich dobrze. Najlepszy jest ten, z którym rozmawiałem. Wiem tylko, że pracują za złoto, ale nie znam ich serc. - Zamilkł, przyglądając się ludziom ubranym w zniszczone europejskie ubrania, które wszędzie wypierały tradycyjne stroje plemienne. - Ubierają się bez godności. Może jednak pod tymi szmatami kryją się mężczyźni.

- Nie mamy nikogo innego, więc musimy ich użyć. Żałuję jednak, że nie ma z nami tych, którzy obecnie obrastają w tłuszcz przy swoich żonach.

Mbejane uśmiechnął się. Tydzień wcześniej przekazał wiadomość i wiedział, że Hłubi i Nonga pozbywają się teraz nadmiaru tłuszczu dążąc na północ ze swoich wiosek nad rzeką Umfolozi. Powinni wkrótce tu dotrzeć.

- Zrobimy tak - zwrócił się do niego Sean. - Twoi ludzie rozproszą się przed nami i będą szukali śladów. Konie tych, których szukamy, nie mają podków. Jeśli znajdziecie świeży trop, macie podążać za nim tak długo, aż będziecie wiedzieli, dokąd prowadzi. Następnie wróćcie szybko do mnie.

Mbejane skinął głową i zażył odrobinę tabaki.

- Kiedy będziecie szukali, zatrzymujcie się w wioskach i pytajcie ludzi. Jeśli Mabunu są na tym obszarze, ludzie będą o tym wiedzieć.

- Będzie jak każesz, Nkosi.

- Słońce wstaje. - Sean spojrział na oświetlone szczyty. Doliny były jeszcze pokryte cieniem. - Idź w pokoju, Mbejane.

Zulus złożył skóry i przywiązał je rzemiennym paskiem. Wziął do ręki włócznię i zarzucił na ramię wielką, owalną tarczę.

- Idź w pokoju, Nkosi.

Sean przyglądał się przez chwilę, jak rozmawia z tropicielami, słuchając melodyjnych i donośnych głosów. Po chwili Murzyni rozbiegli się po stepie i niedługo znikli.

- Eccles.

- Sir?

- Śniadanie skończone?

- Tak jest, sir.

Ludzie z podniesionymi kołnierzami chroniącymi przed zimnem krzżeli się przy koniach, przytracając koce i karabiny do siodła. Niektórzy jeszcze jedli krajaną bagnetami wołowinę z puszek.

- No to ruszamy.

Kolumna wyruszyła jadąc czwórkami z jucznymi mułami i powozem pośrodku. Przed główną grupą jechali zwiadowcy, osłaniając oddział. Kolumna nie była długa, rozciągnięta na jakieś sto pięćdziesiąt kroków, i Sean uśmiechnął się do siebie wspominając piętnastomilową kolumnę wojska, która maszerowała spod Colenso do Spion Kop.

Czuł rozpierającą go dumę, że dowodzi własnym oddziałem. Waleczni Skauci Courteneya. Musiał teraz udowodnić, że zasługują na tę nazwę.

Saul przerzucił jedną nogę przez siodło, oparł na niej notatnik i wraz z Seanem zaczęli rozważać reorganizację oddziału.

Kiedy w południe zatrzymali się na odpoczynek, plany zostały wprowadzone w życie. Sean wyznaczył dziesięciu żołnierzy do ochrony mułów, wybierając do tego celu ludzi grubych i starych oraz tych, którzy nieszczerólnie potrafili jeździć konno. Mieli oni także pilnować koni, kiedy oddział udawał się do walki.

Z marynarzy Sean wybrał najlepszych działowych, którzy kierowali maximami. Strzelcy zostali podzieleni na dziesięcioosobowe patrole, a najlepsi ludzie otrzymali awans na sierżantów patroli. Saul zapisał ich nazwiska w notatniku.

Było już ciemno, kiedy rozłożyli się obozem pod masywem góry. Mbejane czekał ze swoimi ludźmi przy dobrze osłoniętym ognisku.

- Witaj, Mbejane.

- Witaj, Nkosi.

W świetle ogniska widać było nogi Zulusa pokryte do kolan kurzem i jego twarz szarą ze zmęczenia.

- Jakie wieści?

- Tylko stare ślady. Jakiś tydzień temu wielu ludzi obozowało za rzeką. Dwadzieścia ognisk, ale nie w jednym rzędzie, jak to robią żołnierze. Nie zostawili też puszek po jedzeniu

jak żołnierze, kiedy zjedzą mięso. Nie mieli namiotów, a tylko materace z trawy. Wiele materacy.

- Ile? - Pytanie było bezsensowne, gdyż Mbejane nie potrafił liczyć. W odpowiedzi wzruszył ramionami. - Tyle materacy, ilu mamy ludzi? - Sean znalazł właściwe porównanie.

- Więcej. - Mbejane zastanowił się dobrze, zanim odpowiedział.

- Drugie tyle? - nalegał Sean.

- Może drugie tyle, ale nie więcej. Jakichś pięciuset ludzi, domyślił się Sean.

- Jaką drogą jechali?

Mbejane wskazał z południa na zachód.

Udawali się do Vryihed, żeby znaleźć schronienie wśród gór Drakensberg. To musiało być komando Wynberger. Sean nie miał żadnych wątpliwości.

- A jakie wieści z wioski?

- Ludzie się boją. Nie chcą mówić, a to co mówią, jest bez znaczenia. - Mbejane nie próbował ukryć obrzydzenia i pogardy, jaką każdy Zulus czuje do pozostałych plemion.

- Dobrze się spisałeś, Mbejane. Odpocznij teraz, bo przed świtem wyruszymy.

Przez następne cztery dni jechali na południowy zachód. Zwiadowcy Seana przeczesali teren na dziesięć mil przed główną kolumną, ale nic nie znaleźli.

Pasma Drakensberg wznosiło się na południowym horyzoncie niczym ząbkowany grzbiet prehistorycznego zwierzęcia. Na szczytach leżał śnieg.

Przez całą drogę Sean ćwiczył ludzi, jak reagować na atak z zaskoczenia. Strzelcy rozciągali się w jedną linię i zostawiwszy konie osłaniali maximy, by jak najszybciej je przenieść na najbliższy pagórek. Strażnicy zbierali konie i uciekali z nimi za osłonę kopca czy wąwozu. Ludzie powtarzali po wielokroć ten sam manewr.

Sean ćwiczył ich tak długo, aż pochylali się w siodłach, żeby rozmasować obolałe krzyże, i klęli go nieustannie. Ćwiczył ich dalej, aż padali ze zmęczenia, i nie przestawał, póki nie zaczęli nabierać nowych sił. Wszystkim wyrosły brody, twarze się zaczerwieniły od słońca, a potem pociemniały od opalenizny. Także ich mundury pociemniały, tyle że od brudu. Teraz już go nie przeklinali. Czuł, że budzi się w nich nowy duch; częściej się śmiali i pewniej siedzieli w siodłach, spali głęboko mimo zimnych nocy i budzili się ochoczo. Sean był tylko w niewielkim stopniu usatysfakcjonowany.

Rankiem dziesiątego dnia Sean wraz dwoma zwiadowcami badali teren przed oddziałem. Zsiedli właśnie z koni, żeby odpocząć pomiędzy kilkoma głazami, gdy Sean zauważył ruch na stepie przed nimi. Z dziką niecierpliwością zeskoczył ze skały i pobiegł do

konia po lunetę.

- Do diabła! - mruknął rozczarowany, gdy szkła przybliżyły błyszczące w słońcu metalowe końce lanc. - Kawaleria.

Pół godziny później napotkali mały patrol lansjerów, którzy badali teren przed wielką kolumną jadącą na południe od linii blokhauzów. Młody podoficer dowodzący patroliem poczęstował Seana cygarem i opowiedział mu o najnowszych wydarzeniach.

De la Rey i Smuts wraz z trzema tysiącami ludzi działali w Magaliesbergu na północ od Johannesburga i wymykali się czterdziestu tysiącom ścigających ich żołnierzy. Na południu w Wolnym Stanie umykali ludzie de Weta, ale jak podoficer zapewnił Seana, tym razem ich złapią. Pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy zapędziło komando w trójkąt pomiędzy linią blokhauzów i rozlaną rzeką Riet. Na wschodzie było najspokojniej. Działającym tam komandom brakowało przywódców, więc pochowały się w górach otaczających Komatipoort.

- Jak dotąd u nas także było spokojnie, sir. Jednak nie podoba mi się ta cisza. Ten Leroux to twardy zawodnik i bardzo przebiegły. Na razie ograniczył działania do kilku napadów. Dziesięć dni temu uderzył wraz z pięciuset ludźmi na kolumnę naszych zapasów w okolicy Charlestown. Zabili strażę i zabrali tyle amunicji, że starczy im na dużą bitwę, a następnie zniknęli w górach.

- Wiem. - Sean poważnie skinął głową. - Znaleźliśmy ich obóz.

- Od tego czasu nie dawał znaku życia, sir. Staramy się go znaleźć, ale jak dotąd bez powodzenia.

- Ilu ludzi ma ze sobą?

- Mówią, że może zebrać trzy tysiące. Moim zdaniem, to on się zaczął na coś naprawdę dużego.

Tej nocy Mbejane wrócił do obozu po północy. Podszedł wraz z dwoma ludźmi do wozu, pod którym spał Sean.

- Nkosi.

Sean obrócił się na bok od razu przytomny po przebudzeniu.

- Mbejane? - Wygramolił się spod wozu.

Księżyc już wstał, okrągły i jasny. W srebrnym świetle Sean rozpoznał ludzi, których przyprowadził Mbejane, i wykrzyknął z radości:

- Na Boga! Hlubi! Nonga! - Przypomniał sobie obowiązujące dobre maniery. - Witam was.

Podszedł do nich z szerokim uśmiechem na twarzy i uściskał ich za ramiona. Każdy z

nich odpowiedział poważnie, gdy odwzajemniali uścisk.

- Witaj, Nkosi.

- Jak się macie?

- Dobrze. Jak ty się masz?

Katechizm tradycyjnych przywitań Zulusów może ciągnąć się tak długo, jak starcza czasu. Sean zwolnił ich ze służby już ponad rok temu i teraz musiał zapytać o ojca, brata, stada i podróż każdego z nich, zanim mógł przejść do spraw bardziej go interesujących.

- Mijaliście po drodze Ladyburg?

- Przyszliśmy tą drogą, Nkosi - przyznał Hlubi.

- Widzieliście Nkosizana Dirka?

Po raz pierwszy obaj się uśmiechnęli, a ich białe zęby błysnęły w świetle księżyca.

- Spotkaliśmy Nkosizana - zachichotał Hlubi. - Rośnie jak młody byczek. Już nosi pierwsze ślady walki, zaszczytny siniak pod okiem.

- Jest także coraz mądrzejszy - chwalił go Nonga. - Powiedział nam rzeczy, które są napisane w książce.

- Przysłała pozdrowienia dla Nkosi, swojego ojca i prosi, żeby pozwolono mu opuścić szkołę i przyłączyć się do niego. Mówi, że już jest wyszkolony w liczbach i książkach - dodał Hlubi.

Sean roześmiał się.

- A co u Nkosikazi, mojej matki? - spytał.

- Jest zdrowa. Posyła ci tę książkę. - Hlubi wyjął poplamioną kopertę zza opaski biodrowej. Sean schował ją do kieszeni, żeby przeczytać później.

- No więc. - Wymiana grzeczności dobiegła końca i Sean mógł wrócić do spraw bieżących. - Jakie wieści o Mabunu? Znaleźliście jakieś ślady?

Mbejane przykucnąwszy na ziemi, położył obok siebie włócznię i tarczę. Inni poszli za jego przykładem.

- Mów. - Mbejane rozkazał Hlubiemu.

- Przyszliśmy krótszą drogą przez góry - wyjaśnił Hlubi. - Na pagórkach przed górami znaleźliśmy ścieżkę zrobioną przez wiele koni i idąc za nimi dotarliśmy do miejsca otoczonego skałami. Są tam Mabunu z bydłem i wozami.

- Jak daleko jest to miejsce? - spytał niecierpliwie Sean.

- Dzień drogi od nas. Jakies trzydzieści mil.

- Ilu Mabunu widzieliście? - zapytał Sean i Mbejane mu odpowiedział:

- Tylu, ilu obozowało w miejscu, o którym ci mówiłem.



Sean zdecydował, że to ma sens. Jan Paulus musiał podzielić swoje siły na mniejsze oddziały, żeby łatwiej zdobywać zapasy i kryć się aż do czasu, kiedy będzie potrzebować wszystkich ludzi.

- Idziemy - zdecydował Sean i wstał. Eccles obudził się szybko.

- Sierżancie, zwiadowcy znaleźli małe burskie komando, które rozbiło się obozem niedaleko stąd, za tymi górami. Niech ludzie siodłają konie.

- Sir! - Wąsy Ecclesa, wygniecione przez sen, drżały jak u psa myśliwskiego.

Kiedy obóz zaczął budzić się do życia, Sean dołożył drzewa do ognia. Siedząc przy żółtym, migającym świetle wyrwał stronę z notatnika i poślinił koniec ołówka.

Do wszystkich brytyjskich oddziałów w polu:

Znalazłem obóz burskiego komanda liczącego 500 ludzi. Postaram się ich zatrzymać aż do przybycia posiłków. Doręczyciel będzie przewodnikiem.

S. Courteney (Major)

5 sierpnia, 1901 rok. Godzina 00.46.

- Hlubi! - zawołał.

- Nkosi!

- Weź tę książkę - podał mu kartkę. - Tam są żołnierze. - Wskazał ręką na północ. - Zanieś im to.

**45.** Zbici ciasno w kolumnę, z powozem podążającym z tyłu, Waleczni Skauci Courteneya jechali na południe, wśród sięgającej strzemion brązowej, zimowej trawy.

Sean jechał na czele oddziału mając Saula za sobą i dwóch Zulusów badających teren przed nimi. Nachylił się w siodle i starał się przytrzymać obiema rękami trzepoczący na wietrze list od Ady. Jej delikatne, pokrzepiające słowa robiły na nim dziwne wrażenie, gdy wiedział, że niedługo weźmie udział w bitwie.

Wyglądało na to, że na farmie wszystko jest w porządku. Akacje szybko dorastały, strzeżone przed pożarem, suszą czy chorobami. Ada zatrudniła pomocnika zarządcy, który pracował jedynie popołudniami, gdyż ranki musiał spędzać na nauce w szkole w Ladyburgu. Dirk otrzymał wysoką stawkę dwóch szylingów i sześciu pensów tygodniowo i był najzupełniej zadowolony z powierzonych mu obowiązków. Odrobinę trosk spowodowały oceny, które przyniósł na półroczu przed świętami Wielkiejnocy. Średnie oceny Dirka były uzupełniane uwagami typu “Mógł uzyskać wyższą ocenę”, czy “Nie potrafi się skoncentrować”. Jego naukę dyrektor szkoły podsumował następującymi słowami: “Dirk jest zdolnym i lubianym chłopcem. Musi się jednak nauczyć panować nad swoimi uczuciami i przyłożyć do niektórych przedmiotów, nawet jeśli nie przypadły mu do gustu.”

Ostatnio Dirk pobił się z chłopcem Petersonow, który był od niego starszy o dwa lata, i mimo że był cały zakrwawiony i posiniaczony, wyszedł z tej walki zwycięsko. Sean wyczuł dobrze skrywaną dumę Ady w jej ocenzonej opisie bójki. Następne pół strony zajmowały wiadomości dyktowane przez Dirka, gdzie przyrzeczenia synowskiej miłości i posłuszeństwa przeplatały się z ręcznie z prośbami o konia, strzelbę i zezwolenie na zakończenie kariery naukowej.

Dalej Ada wspomniała, że Garry niedawno wrócił do Ladyburga, ale nie miał jeszcze czasu jej odwiedzić.

W końcu kazała mu dbać o swoje zdrowie, uprosiła Wszechpotężnego o opiekę nad jej synem, oznajmiła, że oczekuje na jego szybki powrót do Lion Kop i zakończyła list wieloma pocałunkami.

Sean złożył uważnie kartki i schował je do kieszeni. Kołysząc się w siodle pozwolił myślom na swobodny bieg. Było tyle wątków, które wymykały mu się z rąk Dirk i Ada, Ruth i Saul, Garrick i Michael - i każdy napelniał go smutkiem.

W pewnej chwili Sean obejrzał się na Saula i wyprostował w siodle. To nie był odpowiedni czas na takie rozmyślenia. Wjechali właśnie do jednego z wąwozów, wspinającego się ku białym szczytom Drakensberg i jechali wzdłuż strumienia, którego brzegi opadały dziesięć stop do wody wesoło bulgoczącej pomiędzy okrągłymi głazami.

- Nonga, jak daleko jeszcze? - zawołał Sean.

- Już blisko, Nkosi.

W dolinie biegnącej równolegle i oddzielonej dwiema skalistymi graniami od tej, którą jechał Sean ze swoim oddziałem, młody Bur zadał dokładnie to samo pytanie.

- Wujku Paul, jak daleko jeszcze?

Zanim odpowiedział na pytanie, generał Jan Paulus Leroux odwrócił się w siodle i spojrzał na liczące tysiąc ludzi komando, które prowadził do ukrytego w górach obozu Brodaci, ubrani w domowe stroje ludzie wypełniali szczelnie wąż Jechali na wymęczonych i chudych koniach, a jednak patrząc na nich Jan Paulus czuł dumę. Byli to weterani kilkudziesięciu bitew, zahartowani w ogniu walk, i odporni na wszystko, jak najlepsza stal. Jan Paulus przeniósł wzrok na jadącego obok chłopca - chłopca tylko z wieku, gdyż jego oczy były dorosłe i mądre.

- Już blisko, Hennie.

- Eccles, zatrzymamy się tutaj Niech ludzie napoją konie. Mogą popuścić popręgi, ale niech nie zdejmują siodeł. Żadnych ognisk Wolno im tylko usiąść i odpocząć.

- Tak jest, sir.

- Pojadę do przodu, zęby przyjrzeć się ich obozowi. Kiedy mnie nie będzie, rozdasz ludziom dodatkowo po sto sztuk amunicji. Sprawdźcie maximy. Powinienem wrócić za dwie godziny.

- Kiedy ruszymy, sir?

- Wyjedziemy po zapadnięciu zmroku. Chcę zająć pozycję do ataku, jak tylko wstanie księżyc. Możesz to powiedzieć ludziom.

Kiedy Sean i Nonga ruszyli piechotą w górę doliny, ze szczytu grani obserwowało ich dwóch ludzi. Brodaci mężczyźni leżeli na ziemi schowani pomiędzy skałami. Jeden z nich na skórzanej kurtce nosił pas od pistoletu brytyjskiego oficera, ale obok niego na skale leżał karabin mauzer.

- Wysłali szpiegów do obozu - szepnął jeden z nich. Jego towarzysz odpowiedział w taal:

- Ja, musieli go wypatrzeć.

- Pojedź szybko do wujka Paula i powiedz mu, że mamy w zasięgu rąk trzystu żołnierzy dojrzałych do zerwania.

Drugi Bur uśmiechnął się porozumiewawczo i zaczął się wyczołgiwać do tyłu. Kiedy był pewien, że nie można go dostrzec z dołu, podbiegł do konia i poprowadził go kawałek do trawy, która zagłuszy tętent kopyt.

Godzinę później Sean wrócił z rekonesansu.

- Eccles, mamy ich - uśmiechnął się okrutnie do Saula i Ecclesa. - Obóz jest jakieś dwie mile przed nami, schowany w kotlinie pomiędzy wzgórzami.

Sean przykucnął i wygładził dłonią ziemię przed sobą.

- Zrobimy to w następujący sposób. - Zaczął rysować końcem gałązki w piasku. - To jest nasz wąż. Znajdujemy się tutaj. Tu jest ich obóz, a tu, tu i tu wzgórze. Tu jest wejście do kotliny. Umieścimy maximy w tym miejscu ze stu ludźmi poniżej. Chcę, żebyś...

Nagle narysowana na ziemi mapa wybuchła, zasypując mu twarz, oczy i otwarte usta piaskiem.

- Co jest do jasnej... - ryknął Sean otrzepując piasek, ale reszta jego wypowiedzi została zagłuszona wystrzałami z mauzerów.

Sean spojrzał zażawionymi oczyma na szczyt grani.

- O Boże! - Nad całą krawędzią unosiła się chmura dymu z wystrzałów, niczym piana z fal unoszona nad morzem przez silną bryzę. Sean poderwał się na nogi.

- Do rzeki! Ściągnijcie konie do rzeki - wrzasnął na całe gardło przekrzykując wystrzały, świst rykoszetujących pocisków i głuchy odgłos kul wbijających się w ziemię i w ciała.

- Do rzeki! Chowajcie się do rzeki! - Pobiegł wzdłuż kolumny żołnierzy, którzy wyszarpywali karabiny z olstrów przy siodłach, walcząc ze stającymi dęba i rzucającymi się do ucieczki końmi. Ogień Burów chłostał ich bezlitośnie, zostawiając ludzi i zwierzęta leżących w trawie i jęczących z bólu. Wystraszone konie rozbiegły się po wąwozie z lejcami wlokącymi się po ziemi i strzemionami objającymi się o ich boki.

- Zostawcie je! Niech uciekają! Chowajcie się w wodzie! - Dwa muły ciągnące powóz leżały ranne na ziemi, waląc dziko kopytami. Sean zerwał brezent i podniósł jeden z karabinów maszynowych. Pod jego ręką kula oderwała drzazgę z boku powozu.

- Ty! - krzyknął na jednego z marynarzy. - Weź to! - Rzucił mu karabin. Żołnierz pobiegł trzymając maxima przed sobą i wskoczył z nim do rzeki. Dźwigając dwie skrzynki amunicji, Sean podążył za nim. Miał wrażenie, że brodzi po pas w wodzie, że każdy jego krok jest spowolniony i opanował go strach. Kula trafiła w rondo kapelusza, który nasunął mu się na oczy, a skrzynki z amunicją przesunęły się pod pachami do przodu. W panice Sean pobiegł na oślep ku rzece. Nagle ziemia usunęła mu się spod stóp, poleciał w dół i wpadł twarzą w

lodowatą wodę z rozpędem, który boleśnie odczuł w krzyżu.

Poderwał się natychmiast na nogi i trzymając skrzynki pod pachami dobiegł do stromego brzegu. Nad nimi nadal grzmiały mauzery, ale strumień był pełen żołnierzy, a pozostali szybko zeskakiwali z brzegu, żeby skryć się w wodzie.

Dyszząc ciężko i ociekając wodą Sean oparł się o brzeg, żeby nieco odetchnąć. Strumień wskakujących do wody ludzi zmniejszył się i wreszcie ustał. Ostrzał Burów także zelżał i w końcu umilkł, a nad wąwozem zapanowała względna cisza, przerywana jedynie jękami i przekleństwami rannych.

Pierwsza myśl Seana skierowała się ku Saulowi. Zobaczył go pilnującego wraz z Nonga dwóch juczych mułów, a obok niego stał Mbejane z drugą parą. Sean wyznaczył Saula do dowodzenia skrzydłem linii żołnierzy.

- Sierzancie! - krzyknął Sean i z ulgą usłyszał głos Ecclesa.

- Jestem, sir.

- Rozciągnij ludzi wzdłuż brzegu. Niech się zabiorą do kopania pozycji strzeleckich.

- Tak jest, sir. - Eccles zaczął natychmiast wydawać rozkazy. - Ruszać się, słyszeliście majora! Do roboty!

Po dziesięciu minutach nad brzeg wystawało dwieście karabinów, a maxim został ustawiony za szańcem z kamieni i ziemi. Żołnierze, którzy stracili broń, zajmowali się rannymi. Mała grupka jęczących z bólu ludzi została umieszczona pośrodku rozciągniętego szeregu walczących. Ranni siedzieli po pas w lodowatej wodzie, oparci o stromy brzeg i ich krew zabarwiła strumień na czerwono.

Sean wdrapał się na krawędź brzegu ku jednej z osłoniętych pozycji strzeleckich i ostrożnie wystawił głowę. Teren przed nim przedstawiał okropny widok. W trawie leżały martwe muły i konie, a z pootwieranych ładunków wysypały się na ziemię koce i zapasy. Niektóre ranne zwierzęta skakały na okulawionych nogach lub stały ze spuszczoneymi łbami.

- Jest tam ktoś jeszcze? - krzyknął Sean, ale nikt mu nie odpowiedział. W tej samej chwili kula wystrzelona przez snajpera wyrzuciła fontannę ziemi tuż przed jego twarzą i Sean zanurkował za krawędzią.

- Większość rannych zdołała dopełznąć do brzegu, sir. Ci, którym się to nie udało, będą mieli się lepiej w trawie niż w wodzie.

- Eccles, ilu straciliśmy?

- Jakichś dwunastu zabitych i dwa razy tyle rannych. Mieliśmy dużo szczęścia.

- Tak - mruknął pod nosem Sean. - Na początku strzelali za wysoko. Nawet najlepsi strzelcy popełniają ten błąd, gdy strzelają z góry w dół.

- I tak im się udało złapać nas ze spuszczoneymi gaciami - powiedział ponuro Eccles i Sean pochwycił nutę przygany.

- Wiem. Powinienem umieścić strażę na grani - zgodził się z nim. Nie jesteś Napoleonem, powiedział sobie. Wokół leżą ciała, które to potwierdzają. - Ilu ludzi straciło broń? - zapytał.

- Mamy dwieście dziesięć karabinów i maxima, sir. Zdążyłem wydać każdemu dodatkowo po sto sztuk amunicji przed samym atakiem.

- Powinno wystarczyć - zdecydował Sean. - Teraz musimy jedynie się utrzymać, dopóki mój zwiadowca nie przyprowadzi posiłków.

Przez następne pół godziny nic się nie zdarzyło poza okazjonalnymi strzałami snajperów z grani. Sean przeszedł wzdłuż linii rozmawiając z żołnierzami.

- Jak się trzymasz, marynarzu?

- Moja mama dostałaby ataku serca, sir. "George", powiedziała, "siedzenie w mule nie pomoże na twoje hemoroidy", tak by powiedziała, sir. - Mężczyzna dostał postrzał w brzuch i Sean śmiejąc się razem z nim czuł ucisk w gardle. - Ale chętnie bym zakurzył. To chętnie.

Sean znalazł jedno mniej przemoczone cygaro w kieszeni, podał marynarzowi i ruszył dalej. Młody chłopak, z Anglii, płakał cicho przyciskając rękę owiniętą w pokrzwawione bandażę do piersi.

- Boli cię? - spytał delikatnie Sean. Chłopak spojrzał na niego, a łzy pociekły mu po policzku.

- Odejdź - szepnął. - Proszę, niech pan odejdzie.

Sean poszedł dalej. Powinienem wystawić strażę na grani, pomyślał ponownie. Powinienem...

- Biała flaga na szczycie, sir - krzyknął w podnieceniu jeden z żołnierzy i Sean wdrapał się na brzeg.

Wzdłuż linii przebiegł szmer komentarzy.

- Wywiesili swoje pranie.

- Dranie chcą się poddać. Wiedzą dobrze, że nie mają szansy. Sean wyskoczył na brzeg i pomachał kapeluszem ku białej plamce, poruszającej się nad krawędzią grani. Po kilku chwilach zbliżył się do niego jeździec.

- Middag, menheer - przywitał go Sean. W odpowiedzi mężczyzna skinął głową i podał mu kartkę.

Menheer

Oczekuję, że moje działa hotchkiss przybędą lada chwila. Wasza pozycja jest nie do utrzymania. Proponuję, żebyście złożyli broń, co zapobiegnie dalszemu rozlewowi krwi.

J.P. Leroux, generał,

Wynberg komando.

List był napisany w języku holenderskim na kawałku brązowego papieru pakowego.

- Proszę pozdrowić ode mnie generała, menheer, ale zamierzamy pozostać jeszcze trochę na stanowiskach.

- Jak pan sobie życzy - odparł Bur - lecz najpierw musicie sprawdzić, czy wśród nich - wskazał na ciała w mundurach leżące pomiędzy martwymi końmi i mułami - pozostał ktoś przy życiu. Musicie też zabić ranne zwierzęta.

- Dziękuję za tę grzeczność, menheer.

- Oczywiście nie będziecie próbowali zabrać broni czy amunicji.

- Oczywiście.

Bur został z nimi, gdy Eccles z kilkoma ludźmi przeszukiwali pole, zabijając ranne zwierzęta i badając leżące na ziemi ciała. Jeden z żołnierzy żył jeszcze. Przy każdym oddechu przez przestreloną tchawicę wydostawało się z sykiem powietrze, a wokół dziury błyszczały bańki krwi. Rannego zaniesiono na kocu do rzeki.

- Jedenastu zabitych, sir - zameldował Eccles.

- Eccles, jak tylko skończy się zawieszenie broni, zabierzemy jeszcze jednego maxima i dwie skrzynki amunicji.

Stanęli przy powozie i Sean skinął lekko głową w stronę wystającej spod brezentu lufy karabinu.

- Bardzo dobrze, sir.

- Niech czterech ludzi czeka przy brzegu. Upewnij się, czy mają noże do przecięcia linek.

- Tak jest, sir. - Eccles uśmiechnął się jak łasica i wrócił do strumienia. Sean podszedł do siedzącego na koniu Bura.

- Skończyliśmy, menheer.

- Dobrze. Jak tylko przekroczę krawędź szczytu, zaczniemy od początku.

- Zgoda. - Sean ruszył ku strumieniowi, mijając porzucane w trawie zwłoki. Zielonometaliczne muchy obsiadły już ciała i z brzęczeniem wznosiły się w powietrze, gdy Sean przechodził obok, by zaraz usiąść z powrotem.

Sean dotarł do brzegu. Zobaczył Saula przycupniętego na czele grupki nie uzbrojonych ludzi. Za nimi stał bardzo niezadowolony Eccles, jego zwisające wąsy podkreślały wyraz rozczarowania malujący się na twarzy. Sean natychmiast zrozumiał, co się stało - Saul wykorzystał swój stopień, żeby przejąć komendę nad ochotnikami.

- Co ty, u diabła, wyrabiasz? - spytał ze złością Sean. Saul odpowiedział mu twardym spojrzeniem. - Zostaniesz tutaj. To rozkaz! - Odwrócił się do Ecclesa.

- Sierzancie, niech pan przejmie komendę nad tymi ludźmi. - Eccles wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Nie było już czasu na kłótnie. Bur dotarł właśnie do połowy grani. Sean podniósł głos i krzyknął do żołnierzy:

- Słuchajcie wszyscy. Niech nikt nie strzela, dopóki oni nie zaczną. Może uda nam się w ten sposób zyskać na czasie. - Zwrócił się do Ecclesa, zniżając głos:

- Nie biegnijcie, idźcie cały czas normalnym krokiem. - Sean zeskoczył do strumienia i stanął pomiędzy Ecclesem i Saulem. Wszyscy trzej patrzyli na krawędź wzniesienia. Bur dotarł wreszcie na szczyt, pomachał kapeluszem i zniknął.

- Teraz! - rozkazał Sean i poszli. Eccles, czterech ochotników i Saul. Sean w napięciu patrzył, jak cała szóstka idzie szybkim krokiem ku powozowi. Ogarnął go nagły gniew. Cholerny głupi kurdupel. Wyskoczył na brzeg.

Dopał ich, gdy już dotarli do powozu w niesamowitej ciszy przed burzą i warknął wściekle na Saula:

- Później się porachujemy!

Saul uśmiechnął się do niego triumfalnie.

Na grani panowała wciąż zdumiewająca cisza. Nie mogło to trwać długo.

Saul i Eccles przecięli już linki trzymające brezent, Sean odrzucił go i sięgnął po karabin.

- Bierzcie. - Podał maxima stojącemu za sobą człowiekowi. W tym samym momencie nad ich głowami zabrzmiał ostrzegawczy strzał.

- Niech każdy łapie skrzynkę i biegnie!

Od szczytu doszły ich strzały niczym szybki rytm na bębnach i żołnierze rzucili się pędem do strumienia, zgięci w pół pod targanym ciężarem.

Mężczyzna niosący maxima poleciał na ziemię. Sean cisnął skrzynkę z amunicją tak, że potoczyła się ku strumieniowi, prześliznęła ku krawędzi i spadła do wody, a sam porwał maxima i nie zatrzymując się biegł dalej. Eccles i Saul pierwsi zniknęli za krawędzią brzegu, a po chwili za nimi wskoczył Sean z trzema pozostałymi ochotnikami.



Akcja się udała. Sean stał po pas w lodowatej wodzie, przyciskając karabin do piersi i jedyne, o czym mógł myśleć, to przekleństwa, jakie zamierzał zrzucić na głowę Saula. Spojrzał na niego, ale Saul klęczał naprzeciw Ecclesa i obaj śmieli się do siebie.

Sean podał karabin najbliższemu żołnierzowi i podszedł do Saula. Złapał go za ramię i podciągnął do góry.

- Ty... - Brakowało mu odpowiednio obraźliwego słowa. Gdyby Saul został zabity na brzegu, Ruth nigdy by nie uwierzyła, że to nie Sean posłał go na śmierć. - Ty cholerny głupcze - rzucił ze złością i może by uderzył Saula, gdyby nie okrzyki z pozycji strzeleckich nad nimi.

- Jezu! Zwariował!

- Wstaje!

- Połóż się, na miłość boską, kładź się!

Sean puścił Saula, wskoczył na platformę i spojrzał przez otwór strzelniczy w szańcu.

Żołnierz, który niósł maxima, podniósł się z ziemi. Szedł równoległe do brzegu niepewnym krokiem lunatyka, z ramionami wiszącymi luźno wzdłuż boków. Wokół niego świstały kule.

Ludzie byli tak sparaliżowani tym widokiem, że żaden z nich nie próbował mu pomóc. Żołnierz został raniony. Zarzuciło nim, ale szedł dalej, trafiany następnymi kulami, które nim miały, aż wreszcie padł martwy twarzą w piach.

Strzały ucichły. W zapadłej ciszy żołnierze odsunęli się od brzegu i zaczęli mówić o trywialnych sprawach, nie patrząc sobie w oczy, zawstydzeni, że musieli patrzeć na coś tak intymnego, jak śmierć człowieka.

Gniew Seana ulotnił się, a jego miejsce zajęła podszyta poczuciem winy wdzięczność, że to nie Saul leżał tam w trawie.

**46.** W czasie długiej przerwy w działaniach Sean i Saul siedzieli obok siebie oparci plecami o brzeg. Nie rozmawiali wiele, ale szybko wróciło między nimi dawne porozumienie.

Powietrze nad ich głowami rozdarł nagły świst i furkot i Sean wraz ze wszystkimi żołnierzami przylgnął do ziemi. Pocisk rozerwał się w brązowożółtej fontannie ognia i dymu na drugim brzegu. Wśród żołnierzy zapanowała konsternacja.

- Niech mnie kule, oni mają działa!

- Cholera, to już po nas.

- Nie ma się czym przejmować, chłopcy! - krzyknął pogrzejającym głosem Sean. - Nie mogą nas tu osiągnąć.

Następny pocisk rozerwał się na krawędzi stoku, zasypując ich piaskiem i kamkami. Przez sekundę stali oszołomieni, kaszląc w obłokach żrącego dymu i nagle wszyscy rzucili się na wał nadbrzeżny, kopiąc i wrywając zaciekle ziemię. Obłok kurzu wzniósł się nad krawędź brzegu w postaci brązowej chmury, która musiała zdziwić Burów. Jeszcze zanim spadł kolejny pocisk, większość żołnierzy wykopała sobie niewielką dziurę, w którą mogli się od biedy wcisnąć.

Burscy celowniczy byli wyjątkowo niekonsekwentni. Dwa lub trzy pociski przeleciały wysoko nad strumieniem i wybuchły po drugiej stronie wąwozu. Lecz następny pocisk spadł w strumień wzbijając wysoko w powietrze fontannę błota i wody. Żołnierzy dobiegły stłumione okrzyki radości i wiwaty ze szczytu grani, a następnie zapanowała długa cisza, w czasie której obsługa wrogich dział najpewniej przyjmowała gratulacje od towarzyszy. Później bombardowanie znowu się zaczęło, by po jakimś czasie zelżeć. W końcu zapadła cisza, gdy wszyscy odpoczywali.

W tym czasie Sean wyjrzał przez otwór strzelniczy. Nad granią w kilkunastu miejscach unosił się dym.

- Eccles, mają przerwę na kawę.

- Przy takiej walce możemy oczekiwać, że zaraz znowu wywieszą białą flagę i zejną poczęstować nas kawą.

- Wątpię. - Sean się uśmiechnął. - Ale sądzę, że w końcu pofatygują się do nas. - Wyjął zegarek. - Jest wpół do piątej. Dwie godziny do zachodu słońca. Leroux musi się na coś zdecydować przed zapadnięciem zmroku.

- Jeśli nas zaatakują, to zrobią to od tyłu - oznajmił pogodnie Saul i wskazał zбочe za nimi. - Żeby odeprzeć atak, musielibyśmy ustawić się przy drugim brzegu i odsłonić plecy przed snajperami na grani.

Sean rozważał przez chwilę problem.

- Dym! To najlepsze wyjście.

- Co takiego, sir?

- Eccles, zbierz ludzi i weźcie się do budowania ognisk na kamieniach nad wodą, i zgromadźcie na nich trawę i gałęzie - rozkazał Sean. - Jeśli zaatakują nas od tyłu, zasłonimy się dymem.

Kwadrans później ogniska zostały przygotowane. Co dziesięć kroków żołnierze ułożyli paleniska z kamieni wystających nad wodę, a na każdym z nich spiętrzone wysoki stos trawy i gałęzi dzikiego świerku, zebranych w miejscach, gdzie konary zwisały nad strumieniem.

Przed samym zachodem, kiedy słońce rzucało długie, zniekształcone cienie, a w zimnym nieruchomym powietrzu unosiła się lekka mgła, Leroux wraz z oddziałem jeźdźców zaatakowali żołnierzy.

Sean usłyszał głuchy tętent kopyt przypominający odgłos przejeżdżającego w oddali pociągu i poderwał się z ziemi.

- Jada! - ktoś krzyknął na cały głos. - Dranie atakują od tyłu. Mając za plecami niskie słońce żołnierze rozciągnęli się, biegnąc ku drugiemu brzegowi.

- Zapalcie ogień! - ryknął Sean.

Pięciuset jeźdźców leżących niemal płasko na koniach pędziło galopem ku potokowi, strzelając w czasie jazdy.

- Maximy! - krzyknął Sean. - Przenieście maximy na drugą stronę! - Załogi strzelców ściągnęły ciężkie i nieporęczne karabiny ze stanowisk strzelniczych i przeniosły je na drugi brzeg. Z ognisk unosiły się i rozpościerały nad potokiem kłęby niebieskiego dymu. Kaszłąc i klnąc ciężko ludzie przebrnęli przez wodę i zajęli nowe pozycje. Ze szczytu grani dochodził szaleńczy huk ognia zaporowego z setek karabinów, do którego włączyły się szybko następujące po sobie wybuchy pocisków artyleryjskich.

- Ognia! Ognia! - wrzeszczał Sean. - Dajcie im popalić. Cel! Pal!

Zgiełk był oszałamiający; wystrzały karabinów, łoskot rozrywających się pocisków, terkotliwy stukot maximów, wściekle okrzyki i jęki bólu łączyły się z tętentem koni i trzaskiem ognia w jedną przerażającą wrzawę bitewną.

Z łokciami opartymi o kamienisty brzeg Sean strzelił i jeden z koni poleciał na ziemię, wyrzucając w powietrze jeźdźca i jego broń. Nie odrywając kolby od ramienia Sean załadował i znowu wystrzelił. Trafił! Następny jeździec zachwiał się i zwiśł bezwładnie w siodle. Spadnij, draniu! Właśnie tak - Bur poleciał na ziemię. Kolejny strzał i jeszcze jeden.

Sean opróżnił magazynek, każdą kulą trafiając wroga.

Za nim marynarz obracał maximem wzdłuż łuku obejmującego całe pole bitwy. Ładując broń Sean przyglądał się, jak kule karabinu maszynowego ścinają niczym kosą konie i wydobywających się spod nich żołnierzy, zanim terkot maxima urwał się gwałtownie i marynarz nachylił się, żeby założyć nowy pas z amunicją. W tym samym momencie wystrzelona z grani na oślep w dym kula trafiła go w kark i marynarz poleciał do przodu, blokując karabin. Tryskająca z otwartych ust krew zalała lufę. Kończyny żołnierza jeszcze przez chwilę trzepotały w agonii.

Sean odrzucił swoją broń, odciągnął strzelca z maxima, włożył pierwszą kulę na pasie do zamka i zacisnął kciuki na spustach.

Burowie byli już blisko. Sean napał na uchwyty, unosząc lufę do góry i mierząc w piersi koni. Krew marynarza wysychała z sykiem na rozgrzanym metalu, a każda seria przygniatała pustymi łuskami trawę pod lufą.

Przed Seanem kłębiły się konie, wyraźnie zarysowane na tle ciemniejącego nieba, a siedzący na nich ludzie strzelali bez przerwy w kierunku zatłoczonego brzegu. Ze zbocza do potoku spadały ranne konie, rzucając się i kopiąc w mule.

- Zsiadać! Zsiadać! Idziemy na nich! - krzyczał starszy Bur z żółtą brodą.

Sean wycelował do niego z karabinu. Mężczyzna dojrzał ten ruch przez kłęby dymu, ale jego prawa noga była już poza strzemieniem, a karabin w lewym ręku, i zsiadający z konia mężczyzna był bezradny. Sean zobaczył, że patrzące w otwór lufy maxima oczy są szare i pozbawione strachu. Seria trafiła go w pierś. Bur padający do tyłu rozrzucił ramiona, lewa noga ugrzęzła mu w strzemieniu i koń pociągnął go za sobą.

Atak się załamał. Ogień ze szczytu zelżał, jeźdźcy zawrócili i pogalopowali ku wzgórzom. Koń zabitego przez Seana starego Bura pognał za nimi, a głowa jego pana obijała się po ziemi, zostawiając za sobą długi ślad spłaszczonej trawy.

Wokół Seana zaczęli wstawać śmiejący się i wiwatujący żołnierze. Jednak w przybrzeżnym mule leżało wiele nieruchomych ciał. Sean z przerażeniem spostrzegł że stoi na zwłokach marynarza, który zginął przy maximie.

- To była nasza runda! - Eccles aż promieniał z radości, nieczuły na otaczającą go śmierć, jak tylko żołnierz to potrafi.

- Tak - zgodził się z nim Sean.

Przed nimi z ziemi podniósł się ranny koń i stał na trzech nogach cały drżąc. Postrzelony w płuca Bur zaczął kaszleć nie opodal w trawie, dysząc ciężko i dławiąc się własną krwią.

- Tak, Eccles, to była nasza runda. Wywieś flagę. Muszą zejść i zabrać rannych.

Burowie musieli posłużyć się lampami, żeby znaleźć w ciemnościach rannych ludzi i dobić konie.

- Nkosi, umieścili ludzi w miejscu, gdzie rzeka zakręca i brzeg jest niski - zameldował Mbejane po powrocie ze zwiadu. - Nie uciekniemy tamtędy.

- Tak podejrzewałem. - Sean skinął głową i podał Mbejane otwartą konserwę z wołowiny. - Jedz - rozkazał.

- Co on mówi, sir? - spytał Eccles.

- Dół rzeki jest obstawiony Burami. - Sean zapalił jedno z cygar, które wydobył w ciemnościach z juków przy martwym koniu.

- Cholernie zimno tak siedzieć w tym błocie - mruknął Eccles.

- Cierpliwości, sierżancie. - Sean się uśmiechnął. - Poczekamy do pomocy. Wtedy większość z nich powinna być już po drugiej stronie stoku, pijąc kawę przy ognisku.

- Chce pan zaatakować grań? - Ton Ecclesa wskazywał, że sierżant zgadza się ze swoim przełożonym.

- Tak. Powiedz ludziom. Trzy godziny odpoczynku, a potem zajmiemy szczyt.

- Tak jest, sir.

Sean położył się i zamknął oczy. Był bardzo zmęczony, pod powiekami czuł jeszcze pył i dym, od połowy w dół był przemoczony, a buty ciążyły od mułu i wody. Zapach materiałów wybuchowych wywołał silny ból głowy.

Powinienem był wystawić strażę na grani, pomyślał. Mój Boże! Ale wszystko spieprzyłem. Moje pierwsze samodzielne dowództwo i już straciłem wszystkie konie i prawie połowę ludzi. Powinienem był wystawić strażę na grani.

**47.** Zdobyli szczyt kilka minut po północy nie napotykając niemal na żaden opór. Kilku wartowników zwało co sił w nogach w dół po zboczu. Sean stanął na jego krawędzi i spojrzał na obóz Burów. Wzdłuż doliny rozciągały się ogniska, wokół których stali ludzie i patrzyli na szczyt. Sean z żołnierzami rozproszyli ich kilkunastoma strzałami. Gdy Burowie zniknęli, Sean krzyknął:

- Przerwać ogień! Eccles, niech ludzie wybiorą sobie stanowiska. Wkrótce będziemy mieli gości.

Burowie zbudowali szańce wzdłuż krawędzi grani, co teraz zaoszczędziło żołnierzom pracy i po dziesięciu minutach maximy zostały ustawione na stanowiskach strzelniczych, a dwustu nadających się do walki żołnierzy ukryło się za kamiennymi murkami, gotowych do odparcia ataku. Zastygli w oczekiwaniu, gdyż nagła zmiana sytuacji zmusiła przeciwnika do zwołania rady wojennej. W końcu żołnierzy dobiegły kroki zbliżających się ludzi.

- Sierzancie, nadchodzą. Wstrzymać ogień!

Burowie wspinali się ostrożnie, zachowując ciszę. Kiedy Sean usłyszał stłumione szepty pomiędzy skałami, zdecydował, że podeszli dostatecznie blisko i zniechęcił ich do dalszego marszu salwą ze wszystkich karabinów i maximów. Burowie odpowiedzieli ogniem z mauzerów, a po chwili do walki włączyli działą hotchkiss. Pierwszy pocisk przeleciał zaledwie kilka stóp nad głową Seana i wybuchł w dolinie za nimi. Drugi zaś i trzeci trafiły prosto pomiędzy atakujących Burów, wywołując gwałtowne zamieszanie i stek przekleństw. Obrażeni działowi, których wysiłków nikt nie chciał docenić, zachowali przez resztę nocy urażone milczenie.

Sean oczekiwał zdeterminowanych szturmów przez całą noc, ale wkrótce stało się jasne, że Leroux w pełni zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie niesie atakowanie w ciemności dobrze okopanego, choć mniej licznego przeciwnika. Zadowolił się nieustannym nękaniami żołnierzy; Burowie zmieniali się co jakiś czas i do świtu prowadzili wymianę ognia z bliskiej odległości. Sean nabrał pewnych wątpliwości co do sensu całej ofensywy. Świt zastanie ich na skalistym wzgórzu, nie posiadających żadnej naturalnej osłony z którejkolwiek ze stron, mających przeciwko sobie przeważające siły nieprzyjaciela. Linia jego żołnierzy była krótka, a więc łatwa do obejścia i zaatakowania od flanki. Sean przypomniał sobie Spion Kop i nie potrafił znaleźć pocieszenia w tym porównaniu. Jednak jedynym wyjściem było cofnięcie się do potoku i na samą myśl o tym przeszły go ciarki. Jeśli nie nadciągnie pomoc, przegrają tę walkę. Lepiej na wzgórzu niż w błocie, pomyślał Sean. Zostajemy, zdecydował.

Przed świtem zapanował względny spokój, przerywany od czasu do czasu

pojedynczym wystrzałem, ale Sean potrafił wyczuć zwiększoną aktywność wśród oddziałów wroga. Złowieszczy szelest i stłumione dźwięki poruszających się ludzi na obu flankach potwierdziły jego obawy. Było zbyt późno, żeby wrócić do rzeki, gdyż na tle nieba rysowały się już ciemne sylwetki gór. Szczyty wydawały się bardzo blisko, wrogie jak kryjący się wśród skał nieprzyjaciel.

Sean wstał.

- Przejmij karabin - szepnął do siedzącego za nim mężczyzny i zostawił mu maxima.

Sean strzelał przez całą noc z ciężkiej i nieporęcznej broni. Jego skurczone dłonie były zaciśnięte w pięści, a plecy bolały nieznośnie. Przeciągnął się, prostując mięśnie i ruszył wzdłuż linii, zatrzymując się co kilka kroków, żeby porozmawiać z żołnierzami leżącymi na ziemi za szaniami. Z trudem udawało mu się uczynić przekonującymi słowa zachęty i pokrzepienia.

W odpowiedziach wyczuł respekt, jaki żołnierz czuje do dobrego dowódcy. Był to nie tyle szacunek, ile uczucie bliższe przyjaźni. Podobne uczucia wywoływał w ludziach generał Buller. Popełniał wiele błędów, ludzie ginęli pod jego dowództwem, ale mimo to żołnierze lubili go i chętnie szli za nim. Sean dotarł do końca linii.

- Jak się masz? - spytał miękko Saula.

- Całkiem nieźle.

- Jakież ślady Burów?

- Są blisko. Słyszeliśmy ich głosy kilka minut temu. Moim zdaniem są gotowi do ataku.

- Jak z amunicją?

- Mamy jej dosyć, żeby zakończyć tę sprawę.

Żeby zakończyć tę sprawę! Sean będzie musiał podjąć decyzję. Kiedy zacznie się masakra, ile pozwoli ludziom wycierpieć, zanim poprosi o łaskę i podda się, stojąc w najbardziej haniebnej ze wszystkich postawie, z podniesionymi rękami?

- Sean, lepiej się schowaj. Robi się coraz jaśniej.

- Kto tu, do cholery, kim się opiekuje? - Sean wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu.

- Chcę, żebyś wreszcie przestał strugać bohatera - powiedział i wrócił do swojej pozycji na skrzydle.

Noc cofała się pośpiesznie i ranek wstał tak szybko, jak to jest możliwe tylko w Afryce. Z doliny zniknął obóz burski. Zniknęło także działo. Sean wiedział, że konie i działo przeniesiono za następne wzniesienie, znajdujące się naprzeciwko ich pozycji. Zdawał sobie także sprawę, że skaliste zbocza pod nimi roją się od Burów, którzy rozlokowali się

naprzeciw jego flank i z tyłu.

Wolno, jak człowiek rzucający ostatnie spojrzenie przed opuszczeniem domu, Sean rozejrzał się po górze, zerknął na niebo i na dolinę. W miękkim świetle poranka wąż wyglądał wyjątkowo pięknie.

Sean spojrzął na wejście do doliny, w stronę trawiastych równin i ze zdumienia potrzęsął głową. Poczuł, jak podniecenie przebiega dreszczem ciała i podnosi włoski na ramionach. Wejście do doliny było zamknięte jakąś ciemną masą. W niepewnym świetle wstającego słońca przypominała ona plantację akacji: obłą, regularną i mroczną na tle wyblakłej trawy. Jednak ta plantacja poruszała się i zmieniała kształt wydłużając się. Las Birnam zbliżający się do Dunsinane.

Pierwsze promienie słońca wysunęły się zza wzgórza i odbiły się w ostrzach tysiąca lanc.

- Kawaleria! - huknął Sean. - Jezu, spójrz na nich. Okrzyk podjęli inni ludzie i po chwili cały szereg żołnierzy wrzeszczał i wiwatował z radości. Żołnierze zaczęli strzelać do małych brązowych figurek, które gnały w dół zbocza ku burskim strażnikom uciekającym w górę rzeki. Każdy z jeźdźców wiódł za sobą kilkanaście koni.

Przez okrzyki radości, strzały, stukot końskich kopyt i paniczne wrzaski uciekających przebił się czysty dźwięk trąbki, oznajmiającej szarżę melodią "Bonnie Dundee".

Stojący wokół Seana żołnierze przestali strzelać. Ucichły także wiwaty. Jeden po drugim żołnierze zbliżali się do krawędzi i patrzyli w napięciu, jak lansjerzy ruszają naprzód. Stępa. Kłusem. Galopem. Cwałem. Końce lanc się pochyliły. Trzymane na wysokości brzucha błyszczały jak świetliki przed ciemną masą koni, wbiły się w przerażoną płataninę ludzi i wrywających się zwierząt.

Niektórzy z Burów zdołali dosiąść wierzchowców i błyskawicznie zawracali, czmychając jak zwierzyna przed naganiaczami.

- Mój Boże! - westchnął Sean, wciągając powietrze i przygotowując się na odgłos walki po rozbijającej Burów szarży. Jednak usłyszał tylko tętent kopyt. Nie było żadnego załamania szeregu, gdy szwadron przejechał po Burach. Żołnierze zawrócili w idealnym porządku i runęli ponownie na płataninę ciał. Połamane kopie poleciały na ziemię i w słońcu zabłysły długie szable.

Sean patrzył w oszołomieniu, jak jakiś Bur uciekał w popłochu przed szarżującym lansjerem. W ostatniej chwili mężczyzna wywinął się i ukląkł na ziemi zakrywając rękami głowę. Lansjer podniósł się w strzemiączkach i zamachnął się szablą. Bur przypadł do ziemi. Żołnierz zawrócił sprawnie konia i wychyliwszy się z siodła pomknął na klęczące na trawie



Bura.

- Oszczędź! - jęknął Sean, a jego przenikliwy głos był pełen przerażenia i wstrętu. - Darujcie im życie! Na miłość boską, darujcie im życie!

Jednak kawaleria nie oszczędzała nikogo. Żołnierze rznęli poddających się przeciwników z pozbawioną uczuć precyzją. Zamach i cięcie, nawrót i szarża na następnego człowieka, aż szable ociekały krwią, a wóz zasłały ciała straszliwie okaleczonych ludzi.

Sean oderwał wzrok od makabrycznego widoku i zobaczył resztki komanda Leroux uciekające pomiędzy skałami, gdzie potężne konie kawalerzystów nie mogły ich doścignąć.

Usiadł na skale i odgryzł koniec cygara. Ostry smak oczyścił mu usta ze smaku zwycięstwa.

Dwa dni później Sean wprowadził swój oddział do Charlestown Garnizon przywitał ich wiwatami i Sean uśmiechnął się na widok szczęśliwych min swoich ludzi. Jeszcze pół godziny temu siedzieli ze spuszczoneymi głowami na pożyczonych koniach. Teraz wyprostowali się i z dumą przyjmowali radosne okrzyki i oklaski, wznoszone na ich cześć.

Uśmiech zniknął z ust Seana, gdy uświadomił sobie, jak mały jest teraz jego oddział. Wzrokiem powędrował ku piętnastu wozom z rannymi.

Gdybym był tylko wystawił strażę na grani.

**48.** Na Seana czekało pilne wezwanie od generała Achesona. Dostał się do pociągu jadącego na północ w dwadzieścia minut po przybyciu do Charlestown. Wyruszał wściekły na Saula za to, że zostawia go w gorącej kąpieli i za to, że Mbejane udało się namówić pulchną dziewczynę z plemienia Zulu do wyprasowania Saulowi munduru, a najbardziej za to, że przyjaciel dostał zaproszenie do kantyny oficerskiej, gdzie jako gość honorowy będzie mógł się spić Veuve Cliquot i Curvoisierem, które jeszcze do niedawna należały do Seana.

Kiedy następnego ranka przybył do Johannesburga, z pyłem z lokomotywy utrwalającym szczególnie zapach, jakim Sean przesiąkł w czasie dwóch tygodni w polu, na peronie czekał już na niego służący, który zaprowadził go do kwatery generała w hotelu Grand National.

Major Peterson zdrętwiał na widok Seana. Przez dłuższą chwilę przyglądał się z lekkim przerażeniem plamom brudu, śladom łez i zaschniętego błota, które jaskrawo kontrastowały ze srebrną zastawą śniadaniową ustawioną na nienagannie białym obrusie. Zapach bijący od Seana pozbawił majora apetytu i Peterson siedział przy stole z jedwabną chusteczką przy nosie. W przeciwieństwie do niego Acheson zdawał się niczego nie zauważać i był w wyjątkowo dobrym humorze.

- Courteney, to było naprawdę wspaniałe. Naprawdę piękne. Całkowicie udowodnił pan swoją tezę. Gwarantuję panu, że na dłuższy czas mamy spokój z tym Leroux. Chce pan jeszcze jedno jajko? Peterson, podaj mu bekon.

Sean skończył jeść i napełnił sobie filiżankę kawą, zanim przedstawił swoją prośbę.

- Chciałbym prosić o zwolnienie mnie z dowództwa. Wszystko dokładnie spieprzyłem.

Acheson i Peterson spojrzeli na niego z przerażeniem.

- Dobry Boże, Courteney. Osiągnął pan znaczący sukces, najbardziej liczące się zwycięstwo w ciągu ostatnich miesięcy.

- Szczęście - przerwał mu stanowczo Sean. - Jeszcze dwie godziny i rozbiliby nas doszczętnie.

- Oficerowie posiadający szczęście są dla mnie więcej wari niż ci rozsądni. Pańska prośba nie została przyjęta, pułkowniku Courteney. - Więc teraz jest pułkownikiem, małe przekupstwo, żeby go zaciągnąć na fotel dentysty. Sean był tym lekko rozbawiony.

Pukanie do drzwi przerwało jego dalsze protesty. Do pokoju wszedł ordynans i podał Achesonowi kartkę z wiadomością.

- Pilna wiadomość z Charlestown - szepnął ordynans. Acheson wziął od niego zwiniętą w rulon kartkę i mówił dalej posługując się nią niczym dyrygent pałeczką.

- Mam dla pana trzech młodszych oficerów i ludzi do uzupełnienia oddziału. Pan ma tylko złapać wroga i zatrzymać go do czasu przybycia mojej kawalerii. To wszystko, czego od pana oczekuję. Kiedy pan będzie zajęty tropieniem Burów, moje oddziały rozpoczną serię ofensyw. Tym razem przeczeszemy każdą piędź ziemi pomiędzy nowymi liniami blokhauzów. Zamierzamy zniszczyć plony i stada trzody, spalimy farmy i zamkniemy każdą kobietę, mężczyznę i dziecko w obozach koncentracyjnych. Jak skończymy, nie zostanie nic poza pustym stepem. Zmusimy ich do działania w próżni, znużymy ich nieustannymi atakami i najezdami. - Acheson uderzył w stół, aż zabrzęczała porcelana. - Wojna na wyniszczenie, Courteney. Odtąd prowadzimy wojnę na wyniszczenie!

Słowa te wzbudziły w Seanie nieprzyjemne wspomnienia. W jego umyśle zarysował się obraz zniszczeń. Ujrzał ziemię - jego ziemię - poczerniałą od ognia i pozbawione dachów domostwa stojące wśród spalonych pól. Jęczenie wiatru wiejącego nad opuszczoną ziemią łączyło się w jego wyobraźni z płaczem dzieci i krzykami zagubionych ludzi.

- Generale Acheson... - zaczął Sean, ale Acheson był zajęty czytaniem wiadomości.

- Cholera! - wybuchnął po chwili. - Niech to jasna cholera! Znowu Leroux! Wrócił i napadł na kolumnę transportową oddziału kawalerii, który go rozbił. Zniszczył wszystko i zniknął w górach. - Acheson położył wiadomość na stole i patrzył na nią wściekłym wzrokiem. - Courteney - powiedział wreszcie - wróci pan i tym razem złapie go pan!

**49.** Śniadanie już podane, Nkosi. - Michael Courteney podniósł wzrok znad książki i spojrzał na służącego.

- Dziękuję, Joseph. Już idę.

Dwie godziny porannej nauki miały tak szybko, że Mike ich wcale nie zauważał. Spojrzał na zegarek stojący na półce nad łóżkiem: już wpół do siódmej. Zamknął książkę i wstał.

Czesząc włosy przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze bez szczególnego zainteresowania. Jego głowę wypełniały sprawy, które miał załatwić tego dnia.

Odbicie spojrzało na niego poważnymi szarymi oczami, osadzonymi w szczupłej twarzy, której regularne rysy psuł potężny Courteneyowski nos. Włosy miał czarne i sprężyste pod szczotką.

Michael odłożył szczotkę. Wkładając skórzaną kurtkę otworzył książkę i sprawdził zaznaczony fragment. Przeczytał go uważnie i wyszedł z pokoju.

Anna i Garrick siedzieli na przeciwnych końcach długiego stołu i oboje podnieśli oczekująco głowy, gdy Michael wszedł do jadalni.

- Dzień dobry, mamusiu. - Anna podsunęła mu policzek do pocałunku.

- Dzień dobry, tato.

- Dzień dobry, synu. - Garry miał na sobie mundur ze wszystkimi odznaczeniami i Michael poczuł ukłucie irytacji. Było to tak nieprzyjemnie ostentacyjne. Przypominało mu także, że ma dziewiętnaście lat i podczas gdy w kraju toczy się wojna, on siedzi w domu na farmie.

- Wybierasz się dzisiaj do miasta, tatusiu?

- Nie, chciałem popracować w domu nad moimi pamiętnikami.

- Aha. - Michael spojrzał wymownie na mundur. Ojciec zarumienił się lekko i zajął jedzeniem.

- Jak ci idzie nauka, kochanie? - Anna przerwała ciszę.

- Dobrze, dziękuję, mamusiu.

- Jestem pewna, że nie będziesz miał żadnych kłopotów z końcowymi egzaminami, jak nie miałeś z żadnymi innymi. - Anna uśmiechnęła się do niego zaborczo i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego dłoni. Michael cofnął ją szybko i odłożył widelec.

- Mamo, chciałem porozmawiać z tobą o zaciągnięciu się do wojska. - Uśmiech na twarzy Anny zastygł. Siedzący po drugiej stronie Garry się wyprostował.

- Nie - huknął z niespodziewaną gwałtownością. - Mówiliśmy już o tym. Jesteś nadal niepełnoletni i masz robić, co ci się każe.

- Wojna już się kończy, kochanie. Pomyśl o swoim ojcu i o mnie. Znowu się zaczęło. Kolejna kłótnia wypełniona bałamutnymi płaczącymi argumentami, które doprowadzały Michaela do mdłości i frustracji, aż w końcu zerwał się od stołu i wyszedł z jadalni. Osiodłany koń czekał już na niego na podwórku. Michael wskoczył na siodło, skierował konia ku bramie i przesadził ją potężnym susem, wypłaszając kurczaki, gdy wylądował po drugiej stronie. Pogalopował szaleńczo ku głównemu zbiornikowi wody.

Siedzący przy stole Anna i Garrick usłyszeli tętent kopyt, który szybko ucichł. Garry wstał od stołu.

- Dokąd idziesz? - warknęła Anna.

- Do mojej pracowni.

- Do butelki brandy w twojej pracowni - poprawiła go z pogardą.

- Anno, proszę.

- Anno, proszę - przedrzeźniała go. - Anno, proszę. To wszystko, co potrafisz powiedzieć? - W jej głosie nie słychać było już niedawnej czułości. Odzywała się w niej jedynie nagromadzona przez dwadzieścia lat gorycz.

- Anno. Zatrzymam go. Obiecuję ci to.

- Zatrzymasz go! - Roześmiała się w głos. - A jak go zatrzymasz? Potrząśniesz przed nim medalami? Jak go zatrzymasz, ty, który nie zrobiłeś choć jednej rzeczy należycie w całym swoim życiu? - Roześmiała się drwiąco. - Może pokażesz mu swoją nogę i powiesz: "Proszę, nie opuszczaj swojego biednego tatusia."

Garry się wyprostował. Jego twarz była w tej chwili bardzo blada.

- Posłucha mnie. Jest moim synem.

- Twoim synem!

- Anno, proszę...

- Twoim synem! A to świetne! Nie jest twoim synem. Jest synem Seana.

- Anno. - Spróbował ją powstrzymać.

- Jak mógłbyś mieć syna? - Śmiała się okrutnie i Garry nie mógł już tego wytrzymać. Ruszył ku drzwiom, ale jej głos ścigał go dalej, dotykając dwóch najbardziej czułych miejsc w jego duszy: kalectwa i impotencji.

Garry potknął się wchodząc do swojego gabinetu, trzasnął drzwiami i przekręcił klucz w zamku. Następnie podszedł szybko do regału stojącego obok biurka.

Napełnił szklankę do połowy alkoholem i wypił go jednym haustem. Opadł na fotel z zamkniętymi oczyma. Po chwili znów sięgnął po stojącą za nim butelkę. Ponownie sobie nalał i zakręcił nakrętkę. Tę szklankę chciał wypić powoli; powinna mu wystarczyć na

następną godzinę. Garry nauczył się, jak najdłużej utrzymywać rozgrzewający go żar w żołądku.

Rozpiął mundur i wstał. Powiesił go na oparciu krzesła. Następnie usiadł za biurkiem, wypił łyk brandy i przysunął do siebie plik zapisanych kartek. Przeczytał nagłówek na pierwszej stronie:

“Colenso: Opis kampanii w Natalu pod generałem Bullerem. - Autorem był pułkownik Garrick Courteney, V.C., D.S.O.”

Odłożył kartkę tytułową i zaczął przebiegać wzrokiem tekst. Czytał to już tyle razy, że w końcu uwierzył w to, co napisał. To był dobry opis. Wiedział, że jest dobry. Tak samo twierdził William Heinemann w Londynie, któremu przesłał zarys dwóch pierwszych rozdziałów. Wydawnictwo czekało niecierpliwie, żeby jak najszybciej opublikować jego książkę.

Garry pracował bez przerwy cały poranek i czuł się szczęśliwy. W południe stary Joseph przyniósł mu posiłek do gabinetu: mrożonego kurczaka i sałatkę na porcelanie z Delf oraz butelkę białego wina z Cape owiniętą w śnieżnobiałą serwetkę. Garry jadł nie przerywając pracy.

Tego wieczoru, kiedy poprawił końcowy paragraf na ostatniej stronie i odłożył pióro do kałamarza, uśmiechnął się.

- Pójdę zobaczyć moje kochanie - powiedział do siebie i włożył marynarkę.

Theunis Kraal stał na grzbiecie wzgórza poniżej skarpy. Był to wielki dom z bielonymi ścianami, pokrytym strzechą dachem i holenderskimi okiennicami. Przed nim rozciągały się opadające tarasami trawniki okolone grządkami azalii i niebieskich rododendronów. Garry zatrzymał się przy dwóch dużych wybiegach dla kłaczy i przyglądał się żrebackom ssącym matki.

Następnie pokuśtykał wzdłuż płotu do mniejszego wygonu, okolonego dziewięciostopowymi palami osłoniętymi płótnem, w którym trzymał rozplodowego ogiera.

Gypsy czekał na niego, potrząsając długą, smukłą głową, tak że gęsta grzywa błyszczała w zachodzącym słońcu. Rumak kładł uszy po sobie, nastawiał je i tańczył niecierpliwie w miejscu.

- Hej, stary! Chodź tu, Gypsy! - zawołał Garry. Ogier wysunął głowę pomiędzy palami i skubnęła wargami jego rękaw.

- Cukier, tego szukasz, co? - zachichotał Garry i nadstawił złożone dłonie, żeby koń mógł wziąć kostki cukru.

- Cukier dla mojego konika - szepnął podniecony Garry, z przyjemnością odbierając

delikatne dotknięcia warg konia na dłoniach. Ogier podniósł uszy, słuchając jego głosu.

- Już koniec. Nie ma więcej. - Ogier potarł pyskiem o jego pierś i Garry wytarł dłonie o jego szyję, pieszcząc ciepłą, jedwabistą skórę.

- To wszystko, kochanie. Teraz pobiegaj dla mnie. Chcę popatrzeć, jak biegniesz. - Odsunął się o krok i głośno klasnął w dłonie. - Biegnij, kochanie, biegnij.

Ogier cofnął głowę i poderwał się na tylne nogi, rżąc radośnie, gdy jego kopyta cięły powietrze. Na brzuchu i podwójnych workach moszny rysowały się nabrzmiałe żyły.

Zwinny i potężny obrócił się na tylnych nogach.

- Pobiegaj dla mnie! - krzyknął Garry. Ogier runął galopem po wydeptanej ścieżce, mknąc wokół ogrodzenia i sypiąc w powietrze piasek spod kopyt. Na jego gładkiej skórze, pod którą przeżyły się potężne mięśnie, grało światło.

- Biegnij! - Opierając się o poprzeczne paliki, Garry patrzył na konia z nieopisaną tęsknotą w oczach.

Gdy ogier zatrzymał się przed nim z pierwszymi plamami potu na grzbiecie, Garry wyprostował się i krzyknął w stronę stajni:

- Zama, przyprowadź ją!

Dwóch chłopców stajennych przyprowadziło na długich lejcach dobrze zbudowaną klacz. Chrapy Gypsy'ego rozszerzyły się nabierając ciemnofioletowego koloru, a jego oczy wywróciły się, aż było widać tylko białka.

- Poczekaj, kochanie - szepnął Garry suchym głosem, w którym słychać było podniecenie.

**50.** Michael Courteney zsiadł z konia przy skałach na szczycie skarpy. Od tygodnia powstrzymywał się przed przyjechaniem tutaj. Wydawało mu się, że jest to w pewnym stopniu zdrada brak lojalności wobec swoich rodziców.

Daleko przed nim leżał ukryty w lesie Theunis Kraal. Pomiędzy skarpa a domem linia kolejowa skręcała ku nieregularnemu wzorowi dachów Ladyburga.

Jednak Michael nie patrzył w tamtą stronę. Stał przy klaczy i przyglądał się uprawie drzew porastających wzgórze na północy.

Akacje były już wysokie i ze swojego miejsca nie mógł dostrzec dróg przecinających plantację. Widział jedynie olbrzymi, ciemnozielony kobierzec przypominający zamrożone morze.

To była najmniejsza odległość, na jaką odważył się zbliżyć do Lion Kop. Patrzył na zakazaną ziemię, jakby była zaczarowanym lasem z bajki. Wyjął lornetkę z torby przy siodle i zaczął szukać dachu domu. Ujrzał nową strzechę, złocistą jeszcze i nie zniszczoną przez deszcz, wystającą nad akacje.

Babcia tam jest. Mógłbym pojechać złożyć jej wizytę. Nie byłoby w tym nic złego. Jego tam nie ma. On jest na wojnie.

Schował lornetkę do torby wiedząc, że nie pojedzie do Lion Kop. Nie mógł złamać obietnicy danej matce. Czuł się nią spętany, jak wieloma obietnicami, które na nim wymusiła.

Przypomniał sobie z rezygnacją kłótnię przy śniadaniu i wiedział, że znowu przegrał. Nie mógł ich zostawić, gdyż bez niego nie daliby sobie sami rady. Nie mógł podążyć na wojnę.

Uśmiechnął się ironicznie wspominając własne marzenia: kiedy to wkraczał do bitwy za stryjem, rozmawiał z nim przy ognisku, rzucał się na wymierzony w niego bagnet.

Michael spędził wiele godzin na tej skarpie w czasie ostatnich świąt Bożego Narodzenia wyczekując z nadzieją, że ujrzy Seana Courteneya. Przypomniał sobie z poczuciem winy przyjemność, jaką dał mu widok jego potężnej figury, za którą cierpliwie podążał lornetką, śledząc go pomiędzy drzewami akacjowymi.

Jednak teraz nie było go w domu. Wcale nie byłbym nielojalny, gdybym pojechał do babci. Wskoczył na klacz i przez chwilę siedział zamyślony. Wreszcie westchnął, zawrócił konia i odjechał w kierunku przeciwnym do Lion Kop.

Nie wolno mi tu więcej przyjeżdżać, pomyślał z determinacją. Zwłaszcza, kiedy on wróci do domu.



**51.** Są zmęczeni, śmiertelnie zmęczeni. Jan Paulus Leroux patrzył z niepokojem na ludzi, którzy ociężale zdejmowali siodła i pętali konie. Są wykończeni trzema latami walki i ucieczek, znużeni świadomością nieuniknionej przegranej, wycieńczeni nieustannym żalem po ludziach, których pogrzebali i bólem na myśl o dzieciach i żonach zamkniętych w obozach. Nie mają już sił patrzeć na spalone domostwa i pola zasypane białymi kośćmi ich stad.

Może wszystko już się skończyło, pomyślał z goryczą i zdjął wymięty kapelusz z głowy. Może powinniśmy przyznać się przed sobą, że walka się skończyła i poddać się. Otarł twarz chustą i materiał poczerńiał od potu i kurzu, jaki konie wzbijały na suchej ziemi. Jan Paulus włożył chustę do kieszeni i spojrzał jeszcze raz na spalone ruiny domu na wzniesieniu nad rzeką. Ogień rozprzestrzenił się na drzewa gumowe, których liście były żółte i martwe.

- Nie - powiedział głośno. - Nic nie jest skończone, dopóki nie spróbujemy jeszcze ten jeden raz. - Podszedł do najbliższej grupki ludzi.

- Hennie, jak się trzymasz? - zapytał.

- Nieźle, wujku Paul. - Chłopak był bardzo chudy, ale wszyscy jego ludzie byli równie wynędzniali. Chłopak rozpostarł koc na trawie i położył się na nim.

- To dobrze. - Jan Paulus skinął głową i przykucnął obok niego. Wyjął z kieszeni fajkę i zaczął ją ssać. Nadal było czuć resztki tytoniu.

- Wujku Paul, może napelnisz sobie fajkę? - Jeden z ludzi przysiadł się do niego i podsunął woreczek z tytoniem z kózlej skóry.

- Nee, dankie. - Jan Paulus odwrócił wzrok, żeby nie ulec pokusie. - Zatrzymaj tytoń, zapalimy, jak przekroczymy Vaal.

- Albo jak wjedziemy do Kapsztadu - zażartował Hennie i Jan Paulus uśmiechnął się do niego. Kapsztad był oddalony od nich o tysiąc mil, ale właśnie tam się udawali.

- Ja, zatrzymaj go, aż dotrzemy do Kapsztadu - zgodził się z chłopcem i uśmiech na jego twarzy zmienił się w wyraz goryczy. Kule i choroby zdziesiątkowały jego oddział. Miał teraz sześciuset wynędzniałych ludzi na wólpadłych ze zmęczenia koniach, z którymi chciał podbić prowincję wielkości Francji. Musieli jednak podjąć tę ostatnią próbę. Przemówił do nich.

- Jannie Smuts już jest w Cape z wielkim komandem. Pretorius także już przekroczył Oranje, a de la Rey i de Wet podążą za nim. Zietsmann czeka na nas nad rzeką Vaal. Tym razem nasi ludzie w Cape muszą powstać. Tym razem...

Mówił wolno, nachylając się do przodu z łokciami opartymi o kolana. Wyglądał jak wychudzony olbrzym, z potarganą rudą brodą, zszarzałą od kurzu i poplamioną na żółto przy

ustach. Rękawy miał brudne od prochu wielu wystrzałów, a nadgarstki poobijane od kolby. Z innych grup zaczęli schodzić się ludzie i kucać wokół Jana Paulusa, żeby posłuchać jego dodających otuchy słów.

- Hennie, przynieś moją Biblię z torby przy siodle. Poczytamy z niej nieco.

Słońce już zachodziło, gdy Jan Paulus zamknął Biblię i spojrzał na ludzi. Godzina modlitwy mogła być lepiej wykorzystana na odpoczynek, ale kiedy spojrzał w ich twarze, wiedział, że czas nie został zmarnowany.

- Kładźcie się spać, kerels. Ruszamy skoro świt. - Jeśli nie zaatakują nas w nocy, poprawił się w myślach.

Jan Paulus nie mógł zasnąć. Siedział oparty o siodło i setny raz czytał list od Henrietty. List został wysłany cztery miesiące wcześniej, lecz minęło sześć tygodni, zanim dotarł do niego przez sieć szpiegów i małych komand, które brały ze sobą pocztę. Henrietta miała czerwonkę. Dwoje najmłodszych dzieci, Stephanus i mały Paulus, zmarły na witseerkeel. W obozie koncentracyjnym panowała epidemia i Henrietta drżała o życie pozostałych dzieci.

Zapadły ciemności i Jan Paulus nie mógł dalej czytać. Siedział więc nieruchomo z listem w ręku. Za cenę, którą zapłaciliśmy, musieliśmy chyba coś wygrać.

Może mają jeszcze szansę. Może.

- Na koń! Na koń! Żołnierze idą! - Ostrzeżenie dobiegło ze wzgórza po drugiej stronie rzeki, gdzie Jan Paulus umieścił strażę. Głos wołającego roznosił się daleko w spokojnym powietrzu zapadającej nocy.

- Siodłać konie! Nadciągają żołnierze! - Okrzyk został podjęty przez ludzi w obozie. Jan Paulus nachylił się i potrząsnął śpiącym obok chłopcem, który był zbyt zmęczony, żeby się sam obudzić.

- Obudź się, Hennie. Musimy uciekać.

Pięć minut później Jan Paulus poprowadził komando przez grań i dalej na południe w noc.

**52.** Nadal kierują się na południe - zauważył Sean. - Jedziemy za nimi od trzech dni i jeszcze nie zmienili kierunku.

- Wygląda na to, że Leroux powziął jakiś zamiar - zgodził się z nim Saul.

- Zatrzymamy się na pół godziny i damy odpocząć koniom. - Sean podniósł rękę i długa kolumna jeźdźców zmieniła kształt. Ludzie zsiadli z koni i odprowadzili je na bok. Mimo że cały oddział otrzymał konie zaledwie tydzień wcześniej, zwierzęta traciły już dobrą kondycję od codziennej wielogodzinnej jazdy. Na szczęście ludzie byli w o wiele lepszej formie. Sean słuchał ich żartów i przyglądał się uważnie sposobowi, w jaki chodzą i się śmieją. Przekształcił ich w silny i bitny oddział, który sprawdził się w kilkunastu walkach od czasu, gdy rok temu Leroux zaskoczył ich w górach. Sean uśmiechnął się do swoich myśli. W pełni zasłużyli na nazwę, jaką nadał im Saul. Podał lejce Mbejane i podszedł na sztywnych nogach do małego drzewa mimozy, żeby schować się w jej cieniu.

- Masz jakiś pomysł, na co Leroux mógł się zdecydować? - zapytał Saula, częstując go cygarem.

- Może chce się zasadzić na kolej z Cape?

- Może - zgodził się Sean, siadając z ulgą na kamieniu i wyciągając nogi przed siebie.

- Mój Boże, rzygać mi się chce na to wszystko. Dlaczego nie przyznają, że wszystko już skończone? Dlaczego muszą to ciągnąć?

- Granit nie może się ugiąć. - Saul uśmiechnął się ponuro. - Ale wydaje mi się, że teraz niewiele już brakuje, żeby się rozprysł.

- Sądziłeś tak już pół roku temu - odpowiedział Sean i spojrzał ponad Saulem. - O co chodzi, Mbejane?

Mbejane odbywał rytualny ceremoniał, który poprzedzał każdą poważną rozmowę. Podszedł do Seana, przykucnął kilkanaście kroków przed nim, położył na ziemi włócznię i zażył tabaki.

- Nkosi.

- Tak? - Zachęcił go Sean i czekał, aż Zulus nasypie odrobinę czarnego proszku na palce.

- Nkosi, ta tabaka ma niezwykły smak. - Wciągnął głęboko do nosa i kichnął.

- Tak?

- Wydaje mi się, że trop się zmienił. - Mbejane otarł różową dłonią resztki tabaki z nosa.

- Mówisz zagadkami.

- Ludzie, za którymi podążamy, jadą inaczej niż poprzednio. Sean zastanawiał się

przez kilka sekund, zanim zrozumiał. Tak!

Mbejane miał rację. Komando Leroux zostawiało poprzednio szeroki na pięćdziesiąt stóp ślad zgniecionej ziemi. Od dzisiejszego ranka jechali w podwójnym szeregu jak kawaleria.

- Nkosi, jadą tak, jak my. Kopyta koni trafiają na ślady koni przed nimi. W ten sposób trudno jest powiedzieć, ilu ludzi ścigamy.

- Wiemy, że jest ich sześciuset... Zaraz! Chyba wiem, co chcesz.

- Nkosi, mnie się wydaje, że nie ma już sześciuset ludzi przed nami.

- Mój Boże! Masz rację. - Sean zerwał się z kamienia i zaczął krążyć nerwowo. - Leroux rozdziela swoje komando. Minęliśmy kilkanaście kamienistych miejsc, gdzie mogły się odłączyć małe grupki ludzi. Wieczorem będziemy jechali za mniej niż pięćdziesięcioma ludźmi i wtedy rozproszą się w ciemnościach i pojedynczo pojedą ku z góry ustalonemu miejscu spotkania. - Uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Tak właśnie zrobi! - Obrócił się do Saula.

- Pamiętasz strumień, który mijaliśmy milę stąd? To było świetne miejsce na rozdzielenie się.

- Podejmujesz duże ryzyko - ostrzegł go Saul. - Jeśli się cofniemy i okaże się, że nie miałeś racji, to stracimy go na dobre.

- Nie myślę się - odparł gwałtownie Sean. - Wiem, że mam rację. Każ ludziom wsiadać na konie. Wracamy.

Sean zatrzymał konia na brzegu strumienia i spoglądał na czystą wodę, która bulgotała rozpryskując się na żwirze i małych kamykach.

- Musieli skierować się w dół strumienia, inaczej muł, poruszony kopytami, płynąłby z wodą do brodu. - Spojrzał na Saula. - Biorę pięćdziesięciu ludzi, żeby nie wzbijać zbyt wysoko kurzu. Poczekaj godzinę i podążaj za mną z resztą oddziału.

- Mazel tow. - Saul uśmiechnął się wesoło.

Ze zwiadowcami, biegnącymi z przodu po obu stronach strumienia, Sean, Eccles i pięćdziesięciu ludzi skierowało się na północny-zachód. Za nimi wznosiły się góry Drakensberg, ledwo widoczne na tle nieba, a wokół rozciągała się równina porośnięta brązową zimową trawą. Dalej zaczynały się wzgórza i płytkie doliny. Skały wzdłuż stoków porastały przysadziste aloesy, które wystawiały ku słońcu bogactwo szkarłatnych kwiatów. W dolinach brzegi strumieni zarośnięte były karłowatymi, ciernistymi krzewami. Część nieba zakrywała olbrzymia, zimna chmura. Blade światło słońca nie dawało ciepła, a wiatr był ostry

i nieprzyjemny.

Po odjechaniu dwóch mil od brodu Sean zaczął okazywać niecierpliwość, wychylając się z siodła i przyglądając terenowi, który wcześniej już sprawdził Mbejane. W końcu nie wytrzymał.

- Mbejane, jesteś pewien, że ich nie przeoczyłeś?

Zulus wyprostował się, wolno obrócił i spojrział na Seana z urażoną dumą. Przełożył tarczę na drugie ramię i nie racząc nic odpowiedzieć, wrócił do szukania.

Pięćdziesiąt jardów dalej wyprostował się i poinformował Seana.

- Nie, Nkosi. Nie przeoczyłem ich. - Wskazał włócznią na stratowany przez kopyta brzeg i zmiętą trawę, gdzie konie oczyściły nogi z mułu.

- Mamy ich! - Sean zakrzyknął z ulgą. Za sobą usłyszał, jak ludzi ogarnia podniecenie.

- Dobra robota, sir. - Przy uśmiechu wąsy Ecclesa drżały srogo.

- Mbejane, ilu ich jest?

- Dwudziestu, nie więcej.

- Kiedy przejeżdżali?

- Muł już wysechł. - Mbejane zastanawiał się nad odpowiedzią, nachylił się, żeby dotknąć ręką ziemi i wyprostował się. - Byli tutaj w połowie wysokości rannego słońca.

Połowa poranka; mieli nad nimi przewagę pięciu godzin.

- Czy ślad jest na tyle wyraźny, żeby za nim podążać?

- Tak, Nkosi.

- Biegnij więc, Mbejane.

Trop skręcał lekko na zachód, by wreszcie zawrócić i skierować się pewnie na południe. Oddział Seana jechał szybko za biegnącym Zulusem.

Cały czas na południe. Sean nie mógł tego zrozumieć. Co Leroux zamierzał osiągnąć z sześciuset ludźmi?

Chyba że...! W umyśle Seana zaczęło się rodzić nieokreślone podejrzenie. Chyba że Leroux zamierzał prześliznąć się pomiędzy oddziałami piechoty i kawalerii stojącymi na jego drodze i zagrać o wyższą stawkę.

Kolej, jak sugerował Saul? Nie, Sean szybko odrzucił to wytłumaczenie. Jan Paulus nie ryzykowałby swoim dowództwem dla tak niskiej stawki.

Więc co? Cape? Na Boga, właśnie to - Cape! Bogata i piękna prowincja pól pszenicy i winnic. Kraina ta od wieku znajdowała się pod panowaniem brytyjskim, ale zamieszkiwali ją ludzie tego samego pochodzenia co Leroux, de Wet, czy Jan Smuts.

Smuts przeprowadził już swoje komando przez rzekę Oranje. Jeśli Leroux i de Wet

podążą za nim, jeśli Burowie w Cape zrezygnują z niepewnej neutralności i wzmocnią ich komanda... - umysł Seana wzдрыgnął się na taką perspektywę. Zostawił szerszy obraz sprawy i wrócił do terażniejszości.

Więc Jan Paulus chciał się przedostać do Cape tylko z sześciuset ludźmi? Niemożliwe, musi mieć więcej. Z pewnością udaje się na spotkanie z jakimś innym komandem. Tylko z którym? De la Reya? Nie, de la Rey był w Magaliesbergu. De Weta? Nie, de Wet znajdował się na południu, uciekając przed podążającymi za nim oddziałami wojska. Zietsmann? Tak, Zietsmann! Zietsmann z tysiącem pięciuset ludźmi. Dokładnie.

Ale gdzie się spotkają? Oczywiście gdzieś nad rzeką, żeby móc napoić dwa tysiące koni. Oranje była zbyt niebezpieczna, więc musi to być Vaal. Ale gdzie? Na pewno jakieś łatwe do rozpoznania miejsce. Któryś z brodów? Nie, kawaleria korzystała z brodów. Zbieg dopływów. Z pewnością, tak.

Sean pośpiesznie rozpiął sakwy i wyjął z nich mapnik. Wykonaną na grubym płótnie mapę trzymając w poprzek uda, obrócił się w siodle, żeby ją dokładnie przejrzeć.

- Jesteśmy tutaj - mruknął podążając palcem na południe. - Rzeka Padda!

- Słucham, sir.

- Padda, Eccles, Padda!

- Tak jest, sir - zgodził się z nim Eccles, ukrywając zdziwienie.

W ciemnej dolinie pod nimi rozbłysł na krótko mały płomyk i szybko przygasł.

- Eccles, wszystko gotowe - szepnął Sean.

- Sir! - nie podnosząc głosu sierżant położył wyraźny nacisk na tytuł.

- Schodzę. - Sean powstrzymał się od powtórzenia rozkazów. Chciał uświadomić Ecclesowi, jak ważne jest, żeby nikt nie zdołał uciec, ale nauczył się dawno temu, że sierżantowi wystarczyło raz coś powiedzieć. Sean szepnął tylko: - Czekaj na mój sygnał.

Burowie wystawili zaledwie jednego strażnika. Przekonani, że ich podstęp zmylił ścigającego wroga, spali spokojnie wokół źle osłoniętego ognia. Sean i Mbejane zsunęli się bezszelestnie na dół i przycupnęli w trawie dwadzieścia kroków od wysokiej skały, na której siedział strażnik. Sylwetka mężczyzny rysowała się wyraźnie na tle rozgwieżdżonego nieba. Sean przyglądał mu się przez pełną minutę, zanim podjął decyzję.

- On także śpi. Mbejane chrząknął.

- Weź go cicho - szepnął Sean. - Uważaj, żeby nie upadł mu karabin. - Mbejane się poruszył i Sean położył mu rękę na ramieniu. - Nie zabijaj go. To nie jest konieczne. - Zulus zaczął się bezszelestnie skradać do skały.

Sean wyteżał wzrok w ciemnościach. Sekundy wlokły się nieznośnie. Nagle Bur zniknął ze skały. Sean usłyszał tylko westchnięcie, szelest osuwającego się ciała i zapadła martwa cisza.

Sean czekał cierpliwie, aż Mbejane pojawi się u jego boku.

- Gotowe, Nkosi.

Sean odłożył karabin, złożył dłonie przy ustach, nadał policzki i wydał cichy i długi trzel nocnego ptaka. Jeden ze śpiących mężczyzn poruszył się i wymamrotał coś przez sen. Dalej dało się słyszeć stąpnięcie, a potem parsknięcie konia. Po chwili Sean usłyszał stukot kamyka i delikatny szelest stóp w trawie. Niewyraźne odgłosy łatwo wtopiły się w świst wiatru.

- Eccles?

- Sir.

Sean wstał i zbliżyli się do ogniska.

- Pobudka, panowie. Śniadanie gotowe - krzyknął Sean w taal. Każdy Bur po gwałtownym przebudzeniu znalazł stojącego nad nim mężczyznę z karabinem lee-metford wymierzonym w jego pierś.

- Podosyćcie ogień - rozkazał Sean. - Zabierzcie im karabiny. - Wszystko poszło zbyt łatwo i Sean mówił z irytacją, czując odpływające napięcie.

- Mbejane, przynieś tego mężczyznę ze skały. Chcę zobaczyć, jak się z nim obszedłeś.

Zulus przyciągnął strażnika do ogniska i Sean zacisnął usta widząc, jak jego głowa kołysze się na boki, a nogi zwisają bezwładnie ku ziemi.

- On nie żyje. - Sean oskarżył Murzyna.

- On śpi, Nkosi - sprzeciwił się Mbejane.

Sean uklęknął przy ciele i obrócił twarz ku światłu. Nie był to mężczyzna, a tylko chłopak o wychudzonej twarzy. Policzki zarastała mu jasna, rzadka broda. W kącie oka pęknięty jęczmień zalał powiekę żółtą wydzieliną. Usłyszał oddech chłopaka.

- Mbejane, wody. - Zulus przyniósł menażkę znad ogniska, podczas gdy Sean uważnie oglądał guz na skroni nieprzytomnego chłopca.

- Musi wystarczyć - mruknął Sean, a usta wygięły mu się w wyrazie niesmaku na myśl o tym, co miał zamiar zrobić. Musi to zrobić, póki chłopak jest nieprzytomny i zaspany. Ze złożonych dłoni chlusnął wodą na twarz Bura i ten jęknął i odwrócił głowę.

- Obudź się. - Sean przemówił w taal. - Obudź się.

- Wujek Paul? - wymamrotał Bur.

- Obudź się. Chłopak zdołał usiąść.

- Gdzie... Jesteś Anglikiem! - Chłopiec zobaczył mundur.

- Tak - odrzekł ostro Sean. - Jesteśmy Anglikami. Złapaliśmy was.

- Wujek Paul? - Chłopiec rozejrzał się w popłochu.

- Nie martw się o niego. Dołączy do ciebie na statku wiozącym was na Świętą Helinę. Leroux i Zietsmann zostali pojmani wczoraj nad Vaal. Czekaliśmy na nich nad Paddą. Sami weszli nam w ręce.

- Wujek Paul pojmany! - Nadal zamroczone oczy chłopca rozszerzyły się z przerażenia. - Ale skąd wiedzieliście? Ktoś musiał nas zdradzić, ktoś wam powiedział. Skąd wiedzieliście o miejscu spotkania? - Zamilkł gwałtownie, gdy jego umysł zaczął pracować. - Ale... Wujek Paul nie mógł jeszcze dotrzeć do Vaal. Dopiero wczoraj się rozstaliśmy. - Chłopca ogarnęły mdłości, gdy zrozumiał, co zrobił. - Podszedłeś mnie - szepnął. - Podszedłeś mnie.

- Przykro mi - powiedział po prostu Sean. Wstał i podszedł do Ecclesa wiążącego jeńców.

- Kiedy przyjedzie kapitan Friedman, powiedz mu, żeby udał się z oddziałem do garnizonu w Vereeniging i poczekał tam na mnie. Pojadę przodem z moim służącym.

- Mbejane, konie. - Sean nie powierzyłby nikomu zadania przekazania wiadomości Achesonowi.

Następnego popołudnia Sean dotarł do strzeżonej przez blokhaus linii kolejowej i zatrzymał pociąg jadący na północ. Rankiem, zmęczony i brudny, z oczami czerwonymi od kurzu, dojechał do Johannesburga.



**53.** Jan Paulus Leroux zatrzymał konia i jadąca za nim drobna część komanda zbiła się w grupę. Ludzie wychylali się z siodła, żeby przyjrzeć się widokowi.

Vaal jest szeroką rzeką o mętnych, brązowych wodach, które toczy wśród piasków i wycina w nich własny szlak. Strome brzegi są porośnięte rzadkimi, brzydkimi ciernistymi drzewami, które nie zapewniają osłony dla trzech tysięcy ludzi i koni. Leroux wybrał rozważnie miejsce spotkania. Mała rzeka Padda, łącząca się z Vaal, wiła się w tym miejscu pomiędzy pagórkami, wśród których mogłaby się skryć mała armia pod warunkiem, że zachowywałaby ostrożność. Jednak Zietsmann nawet tego nie próbował.

Dym z kilkunastu ognisk unosił się nad stepem tworząc wyżej delikatną, błądą mgiełkę. W połowie rzeki ludzie poili konie, gałęzie drzew były obwieszane praniem, a ponad stu ludzi kąpało się i hałasowało przy brzegu.

- Głupiec - warknął Leroux i pogonił konia kopnięciem pięt. Wpadł galopem do obozu, zeskoczył z siodła i ryknął wściekle na Zietsmanna.

- Menheer, muszę zaprotestować.

Zietsmann był siedemdziesięcioletnim starcem. Jego zupełnie biała broda sięgała piątego guzika u kamizelki. Zietsmann był duchownym, a nie generałem i jego komando przetrwało tak długo, gdyż nieporadność dowódcy nie stwarzała zagrożenia dla Brytyjczyków. Jedynie nacisk ze strony de la Reya i Leroux zmusił Zietsmanna do wzięcia udziału w tym przedsięwzięciu. Przez ostatnie trzy dni, gdy czekał na Leroux, Zietsmann był pełen obaw i wątpliwości. Niepewność tę podzielała także jego żona - Zietsmann był jedynym burskim generałem, który zabrał ze sobą żonę na wojnę.

Teraz Zietsmann wstał z krzeselka przy ogniu i rzucił gniewne spojrzenie czerwonemu z wściekłości Leroux.

- Menheer - warknął. - Niech pan pamięta, proszę, że mówi pan nie tylko do starszego od siebie, ale także do nauczyciela Kościoła.

W ten sposób ustalili się ton ich rozmów, które wypełniły cztery następne dni. Leroux ze zdumieniem stwierdził, że w zaciętych dyskusjach jego śmiały plan przemienił się w ciąg trywialnych kłopotów. Nie żałował straty pierwszego dnia, który został poświęcony na modlitwę. Zrozumiał, że było to ludziom bardzo potrzebne. Bez boskiego błogosławieństwa i jego aktywnej pomocy całe przedsięwzięcie było z góry skazane na niepowodzenie. Kazanie wygłoszone przez Leroux trwało ponad dwie godziny, a jego treścią był fragment z księgi sędziów: "Czy mam jeszcze raz wyjść do walki z dziećmi mojego brata, Beniamina, czy powinienem skończyć walkę?" i Pan odpowiedział: "Idź i walcz, gdyż jutro oddam ich w twoje ręce".

Wygłaszający po nim kazanie Zietsmann pobił jego czas o czterdzieści minut, ale jak zauważyli ludzie Leroux, Zietsmann był zawodowym kaznodzieją, a wujek Paul tylko amatorem.

Następną kwestią było wybranie głównodowodzącego całej operacji. Zietsmann był starszy od Leroux o trzydzieści lat i fakt ten silnie działał na jego korzyść. Przeprowadził także ze sobą tysiąc pięciuset ludzi wobec sześciuset ludzi Leroux. Jednak Leroux był zwycięzcą spod Colenso i Spion Kop i od tego czasu walczył nieustannie z niemałymi sukcesami, do których należało zaliczyć zniszczenie ośmiu pociągów i rozbicie czterech kolumn wojska. Zietsmann był zastępcą dowódcy w czasie bitwy nad rzeką Modder, ale od tego czasu nie zrobił nic, poza chronieniem komanda przed walką.

Debata trwała trzy dni, w ciągu których Zietsmann uporczywie odmawiał poddania kwestii pod głosowanie, aż stwierdził, że nastroje zmieniły się na jego korzyść. Leroux chciał objąć dowództwo nie dla osobistej satysfakcji, a tylko dlatego, że pod ostrożnym i upartym starcem mieli małe szansę dotarcia do rzeki Oranje, nie mówiąc już o wywołaniu powstania w Cape.

W końcu Zietsmann zdobył dowództwo i dla Leroux zakrawało na ironię, że osiągnął to dzięki unikaniu walki przez ostatnie osiemnaście miesięcy.

Kiedy lord Roberts wkroczył dwa lata wcześniej do Pretorii, nie napotkał na większy opór, gdyż rząd Republiki Południowej Afryki wycofał się wcześniej koleją na wschód do Komatipoort. Wraz z gabinetem wyjechała cała kasa państwowa, której zawartość w suwerenach Krugera sięgła dwóch milionów funtów w złocie. Później, gdy prezydent Kruger udał się do Europy, zabrał ze sobą część skarbu, a jego reszta została podzielona pomiędzy dowódców komand na pokrycie kosztów prowadzonej walki.

Leroux wydał już dawno większość powierzonych mu pieniędzy na zakup żywności od plemion tubylczych, na amunicję od portugalskich handlarzy bronią i na wypłaty dla ludzi. W czasie desperackiej nocnej walki z brytyjskim oddziałem kawalerii stracił resztę pieniędzy oraz działo hotchkiss, dwudziestu najlepszych ludzi i sto bezcennych koni.

Zietsmann natomiast przywiózł ze sobą na spotkanie trzydzieści tysięcy złotych suwerenów. Zwycięska kampania w Cape była w dużej mierze uzależniona od tego złota. Wieczorem czwartego dnia Zietsmann został wybrany większością dwustu głosów na głównodowodzącego i, w niecałe dwanaście godzin później, udowodnił, jak świetnie nadawał się do pełnienia tej funkcji.

- Więc rankiem ruszamy dalej - mruknął jeden z siedzących obok Leroux Burów.
- Najwyższy czas - skomentował inny. Śniadanie składało się z pasków suszonego

mięsa, gdyż Leroux udało się przekonać Zietsmanna, że używanie ognia jest niebezpieczne.

- Żadnych śladów ludzi van der Bergha? - spytał Leroux.

- Jeszcze nie, wujku Paul.

- Musieli wpaść w ręce żołnierzy, gdyż inaczej przybyliby tu już kilka dni temu.

- Tak, już po nich - zgodził się Leroux. - Musieli natknąć się na jedną z kolumn. -

Dwudziestu świetnych żołnierzy, westchnął cicho, i Hennie razem z nimi. Jan Paulus bardzo lubił chłopca, który stał się kimś w rodzaju maskotki komanda.

- Przynajmniej mają już to z głowy, cholerni szczęściarze. - Mężczyzna powiedział to bez większego zastanowienia i Leroux odwrócił się gwałtownie do niego.

- Też możesz iść z podniesionymi rękami do Anglików. Nikt ci? tu nie zatrzyma. - Miękkość jego głosu nie kryła groźnego spojrzenia.

- Nie to miałem na myśli, wujku Paul.

- Więc nie mów takich rzeczy - warknął Jan Paulus i chciał jeszcze coś dodać, gdy krzyk strażnika ustawionego na wzgórzu poderwał ich na nogi.

- Nadjeżdża jeden ze zwiadowców!

- Skąd?! - krzyknął ku górze Leroux.

- Wzdłuż rzeki! Pędzi, co koń wyskoczy!

Podniecone głosy były jedynym wyrazem obawy, jaka opanowała ludzi. W tych dniach galopujący jeździec mógł przynosić jedynie złe wieści.

Ludzie patrzyli, jak koń rozpryskuje kopytami wodę na płyciźnie i jak jeździec zeskakuje z siodła, żeby przepłynąć za nim przez głębsze miejsca. Ociekający wodą koń i jeździec wspięli się na brzeg.

- Khaki! - krzyknął mężczyzna. - Khaki się zbliżają! Leroux podbiegł, żeby złapać konia i zapytał:

- Ilu?

- Wielka kolumna wojska.

- Tysiąc?

- Więcej. O wiele więcej: sześć, siedem tysięcy.

- Magtig! - zaklął Leroux. - Kawaleria?

- Piechota z działami.

- Jak blisko?

- Będą tu przed południem.

Leroux puścił go i pobiegł długimi susami do wozu Zietsmanna.

- Menheer, słyszał pan?

- Ja, słyszałem. - Zietsmann wolno skinął głową.

- Musimy uciekać - ponaglał go Jan Paulus.

- Może nas nie znajdą. Może przejadą bokiem - odpowiedział z wahaniem Zietsmann i Leroux spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Czy pan oszalał? - szepnął, a głównodowodzący potrząsnął głową jak nieporadny starzec. - Musimy wsiadać na konie i przedrzeć się na południe. - Leroux złapał go za kłapy i potrząsnął z całej siły.

- Nie, nie na południe, tam już wszystko skończone. Musimy się cofnąć - wymamrotał starzec i nagle jakby wrócił do rzeczywistości. - Musimy się modlić. Pan nas wybawi przed Filistynami.

- Menheer, żądam... - zaczął Leroux, ale przerwały mu podniecone krzyki ze wzgórza.

- Jeźdźcy! Z południa nadciąga kawaleria!

Jan Paulus podbiegł do pierwszego z brzegu konia, wskoczył na oklep i szarpiąc za grzywę skierował ku wzgórzu. Popędzając go piętami wjechał pędem na strome, skaliste zbocze, potykając się i ślizgając, aż wreszcie dotarł do szczytu i zeskoczył obok strażnika.

- Tam! - Wskazał Bur.

Jak kolumna mrówek, mała i nic nie znacząca wobec bezmiaru stepu i nieba, cztery, pięć mil dalej szwadrony kawalerii rozciągały się na południowych wzgórzach.

- Nie, nie tędy. Nie możemy jechać na południe. Musimy zawrócić. - Obrócił się na pomoc. - Tam musimy jechać.

W tej samej chwili dostrzegł kurz na horyzoncie i poczuł, jak mu żołądek podchodzi do gardła. Kurz snuł się nisko nad ziemią i jego smuga była tak cienka, że przypominała unoszący się znad ziemi żar czy tuman piasku, ale Jan Paulus wiedział, że to jest coś innego.

- Są i tam - szepnął. Acheson okrążył ich ze wszystkich stron. Nie mieli gdzie uciekać.

- Van der Bergh! - szepnął nienawistnie Leroux. - Poddał się Anglikom i zdradził nas. - Patrzył jeszcze przez chwilę na kurz i szybko rozważał plan obrony.

- Naszą linią jest rzeka - mruknął pod nosem. - Musimy ustawić flanki na tym wzgórzu i na tamtym. - Przebiegł wzrokiem małą dolinę rzeki Padda, zapamiętując każde wzniesienie, każdy przydatny szczegół ukształtowania terenu i już wyznaczając pozycje dla zdobytych maximów, wynajdując kryjówki za wzgórzami dla koni, decydując, gdzie ma zostawić rezerwy.

- Pięciuset ludzi może utrzymać północny kopiec, ale będziemy potrzebować tysiąca nad rzeką. - Wskoczył na konia i zawołał do strażnika: - Zostań tu. Przyślę ci ludzi. Mają wzniesić szańce wzdłuż krawędzi: tam i tam.

Pognał w dół zbocza tak, że koń zjechał niemal na ogonie.

- Gdzie jest Zietsmann? - rzucił pytanie w biegu.

- W swoim wozie.

Jan Paulus popędził konia do obozu i odrzucił płachtę zasłaniającą wejście do wozu.

- Menheer - zaczął i nagle zamilkł. Zietsmann siedział na łóżku razem z żoną. Na jego kolanach leżała otwarta Biblia.

- Menheer, nie ma czasu. Wróg zbliża się ze wszystkich stron. Będą tu za dwie godziny.

Zietsmann podniósł na niego wzrok i po mętnym spojrzeniu Jan Paulus poznał, że nie słyszał jego głosu.

- Nie będziesz się bał strzały lecącej za dnia ani strachu, który kroczy nocą - wymamrotał.

- Menheer, przejmuję dowództwo - powiedział Leroux. Zietsmann wrócił do Biblii, a jego żona otoczyła go ramieniem.

Możemy utrzymać się dziś i może jutro, zdecydował Leroux, leżąc na najwyższym wzniesieniu. Ich kawaleria nie może szarżować na te wzgórza, więc ruszą na nas z bagnietami.

Najgroźniejsze są działa, a dopiero później piechota, pomyślał.

- Martinus van der Bergh - powiedział na głos. - Jeśli spotkamy się kiedyś, to cię zabiję. - Spojrzał na baterie dział rozmieszczanych poza zasięgiem kuli karabinowej. Działa stały w idealnym porządku.

- Nou skiet hulle - mruknął jeden z ludzi za nim.

- Ja - zgodził się Jan Paulus. - Teraz otworzą ogień. Z lufy jednego z dział wydobył się obłok dymu i poszybował nad równiną. Pocisk rozerwał się nisko na zboczu i przez chwilę dym lydditu wirował w powietrzu niczym żółty duch, aż wreszcie porwany przez wiatr podniósł się ku nim. Otoczeni gryzącymi wyziewami ludzie zaczęli kasłać.

Następny pocisk trafił w krawędź zbocza wyrzucając wysoko w powietrze dym, ziemię i kamienie. W tej samej chwili wszystkie baterie otworzyły ogień.

Ludzie leżeli schowani w pośpiesznie wykopanych rowach, podczas gdy pociski rozbiły szczyt wzgórza. Nad ich głowami przeleciał szrapnel i eksplodował na skale wyrzucając w powietrze snopy iskier, a potężny wybuch zakołysał ziemią pod ich brzuchami. Uszy ludzi były zatkane od huku, ledwo słyszeli jęki rannych towarzyszy. Nad szczytem zawisła wielka chmura dymu i pyłu, wznosząc się w niebo coraz wyżej. Chmura była tak wielka, że dostrzegł ją nawet Sean Courteney czekający piętnaście mil dalej na północ.

- Wygląda na to, że Acheson ich dopadł - mruknął Saul.

- Tak - zgodził się Sean i dodał miękko: - Biedni dranie.

- Powinni nam pozwolić wziąć udział w ataku - poskarżył się sierżant Eccles. Odległy łoskot dział obudził w nim żądzę krwi i wielkie wąsy sierżanta drżały z niecierpliwości. - Nie wydaje mi się to sprawiedliwe, zwłaszcza po tym, jak ścigaliśmy tych Burów przez półtora roku. Powinni za to przynajmniej pozwolić nam być tam i dokończyć roboty.

- Eccles, osłaniamy tyły. Generał Acheson stara się ich zmusić do ucieczki na południe, gdzie czeka już kawaleria, ale jeśli ktokolwiek wydostanie się przez nasze linie, to wpadnie w nasze ręce - wyjaśnił Sean.

- Mnie się to wydaje nie w porządku - upierał się Eccles. Przypomniał sobie nagle swoje dobre maniery i dodał: - Za pozwoleniem, sir.

**54.** Generał Acheson w podnieceniu przyglądał się przez lornetkę wzgórzom. Przez chmurę dymu i pyłu dostrzegł niewyraźny zarys szczytu.

- Niezła gratka, sir! - Peterson uśmiechnął się.

- Rzeczywiście, niezła! - zgodził się Acheson. Musieli podnosić głos, żeby usłyszeć się przez nieustający huk wystrzałów, a konie pod nimi drżały i nerwowo przebierały nogami. Zbliżył się do nich galopujący posłaniec, zasalutował i podał Petersonowi wiadomość.

- O co chodzi? - spytał Acheson nie odejmując lunety od oczu.

- Nicholson i Simpson zajęli już pozycję do ataku. Zdaje się, że nie mogą się doczekać chwili, kiedy ruszą na wroga, sir. - Peterson podniósł wzrok na kłęby dymu i ognia zasłaniające szczyt wzgórza. - Będą mieli szczęście, jeśli znajdą tam jakichś żywych ludzi.

- Znajdą - zapewnił go Acheson. Nie dał się zmylić wrażeniu, jakie sprawiał huragan wybuchających pocisków. Burowie przetrwali o wiele gorszy ostrzał na Spion Kop.

- Pozwoli im pan ruszyć, sir? - nalegał ostrożnie Peterson. Generał patrzył jeszcze przez pełną minutę na wzgórze, wreszcie zniżył lornetkę i wyjął z kieszeni zegarek. Czwarta - za trzy godziny zachód słońca.

- Tak! - odpowiedział. - Każ im ruszać.

Peterson napisał rozkaz i podał go generałowi do podpisu.

- Hier Kom Hulle! - Leroux usłyszał krzyk podawany z ust do ust wzdłuż linii przez nieustający ryk nadlatujących pocisków.

- Nadchodzą.

- Pasop! Nadchodzą.

Wstał czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła przy każdym kroku. Zatruty wyziewami lydditu opanowywał przez chwilę mdłości i wreszcie udało mu się zapanować nad ciałem. Spojrzał na rzekę. Na krótką chwilę zasłona dymu rozsunała się i zobaczył linie żołnierzy maszerujących na wzgórze. Tak, zbliżali się.

Zbiegł wzdłuż własnych linii ku rzece, krzycząc w biegu:

- Poczekajcie, aż się zbliżą! Nie strzelać, aż dojdą do zaznaczonego miejsca!

Z punktu obserwacyjnego na wzgórzu Jan Paulus mógł widzieć całe pole bitwy.

- Tak właśnie myślałem! - mruknął pod nosem. - Nadciągają z obu stron, żeby nas rozdzielić. - Ku rzece zbliżały się malutkie z tej odległości szeregi żołnierzy. Szeregi wybrzuszały się i wyrównywały, by zaraz znowu stracić szyk, ale cały czas szły naprzód. Pierwsza linia zbliżała się do ustawionych przez Leroux znaków określających odległość tysiąca jardów. Za pięć minut znajdą się w zasięgu strzału.

- Trzymają się porządnie. - Leroux przebiegł wzrokiem po szeregach znaków. Podczas gdy większość ludzi zbudowała umocnienia na wzgórzach, część Burów odmierzyła zasięgi strzeleckie przed okopami. Co dwieście pięćdziesiąt jardów wzniesli małe kopczyki kamieni i zasmarowali je jasnoszarym mułem z rzeki. Brytyjczycy nie zorientowali się w podstępnie i kiedy teraz zbliżali się do rzeki, odległość do nich była wymierzona niemal co do jardu.

- Rzeka jest bezpieczna - zdecydował Jan Paulus. - Nie dadzą rady przejść tędy. - Uśmiechnął się do siebie. - Nigdy się niczego nie nauczą. Zawsze atakują od najtrudniejszej strony. - Zajął się lewą flanką. Ta strona była bardziej niebezpieczna i tu musiał dowodzić osobiście. Wrócił biegiem na swoją pozycję, podczas gdy nad jego głową cały czas rozrywały się szrapnele i otaczały go kłęby lydditu.

Jan Paulus rzucił się na ziemię pomiędzy dwoma Burami, podczołgał do przodu, odpinając jednocześnie pas z amunicją i układając go na kamieniu.

- Powodzenia, wujku Paul! - zawołał jeden Bur.

- Dla ciebie też, Henrik! - odpowiedział, ustawiając celownik mauzera na tysiąc jardów i odkładając karabin.

- Są już blisko - mruknął leżący obok niego Bur.

- Dostatecznie blisko. Powodzenia i strzelajcie celnie!

Nagle huk wybuchów ustał i zapadła cisza, przejmująca, bardziej przeraźliwa niż odgłos wystrzałów dział. Pył i dym uniosły się porwane wiatrem znad wzgórza. Po ponurym mroku słońce oświetliło wzgórza i złocistobrazową równinę. Promienie odbijały się migotliwym światłem od fal rzeki i oświetliły każdego żołnierza w szeregu tak, że na ziemi za nimi kładły się długie cienie. Anglicy dotarli do linii znaczników.

Leroux podniósł karabin. Obserwował od dobrej chwili jednego z mężczyzn, który szedł kilka kroków przed szeregiem. Leroux widział go, jak dwa razy zatrzymał się, jakby wydawał rozkazy żołnierzom.

- Ty pierwszy, przyjacielu. - Muszkę karabinu naprowadził na oficera i podązał tak za nim, podczas gdy szczerbinka zasłaniała jego tułów. Jan Paulus pociągnął delikatnie za spust i kolba kopnęła go w ramię. Ogluszony trzaskliwym wystrzałem mauzera patrzył, jak oficer pada na trawę.

- Ja! - powiedział i załadował karabin.

Karabiny burskie zaczęły polowanie, ale nie były to jednolite salwy, które pod Colenso szybko przemieniły się w huraganowy ogień, tylko uważne, mierzone strzały.

- Czegoś się nauczyli - mruknął Leroux i odciągnął zamek karabinu, a łuska wyleciała pomiędzy skały. - Dobrze opanowali lekcje. - Mówiąc to zabił następnego żołnierza. Z dwóch



pozycji na wzgórzu maximy zaczęły strzelać z charakterystycznym łoskotem.

Zanim pierwszy szereg piechoty dotarł do drugiej linii znaczników, wszyscy żołnierze leżeli w trawie, zdziesiątkowani celnymi strzałami Burów. Drugi szereg przeszedł po leżących ciałach i zbliżał się równomiernym krokiem do następnej linii znaczników.

- Spójrzcie, jak idą - krzyknął jeden z Burów. Mimo że patrzyli na ten widok wiele razy, obszarpani farmerzy nie mogli oderwać oczu od machinalnego, niemal obojętnego marszu brytyjskiej piechoty.

- Ci ludzie nie walczą, żeby żyć, ale żeby umrzeć! - skomentował leżący przy Leroux mężczyzna.

- Więc pomóżmy im umrzeć - krzyknął Jan Paulus. Na równinie pod nimi spokojnie kroczący żołnierze dochodzili już do trzeciej linii znaczników.

- Strzelajcie, kerels. Strzelajcie celnie! - ryknął Leroux. Teraz widać już było bagnety na karabinach żołnierzy. Włożył pełny magazynek do karabinu, wierzchem dłoni otarł pot z czoła, przesunął karabin do przodu i zabił czterech ludzi kolejnymi sześcioma strzałami. Nagle zobaczył szybkie zmiany. W jednym miejscu linia wybrzuszyła się, gdy żołnierze zaczęli biec do przodu, podczas gdy flanki zafalowały i rozpadły się. Ludzie zaczęli się cofać lub szukać schronienia na ziemi.

- Atak się załamuje! - zawył podnieconym głosem Leroux. - Nie dotrą do podnóża góry.

Ruch piechoty załamał się i niezdolni stawić czoła ostrzałowi żołnierze rzucili się do ucieczki lub przypadli do ziemi. Pomędzy nimi biegali oficerowie usiłując poderwać ludzi do ataku. Burowie mieli teraz łatwiejszy cel i w krótkim czasie większość oficerów została wybita.

- Po nich! - krzyknął Leroux. Wśród Burów leżących na szczycie wzgórza przebiegła fala wiwatów. Ogień zwiększył się jeszcze, masakrując załamującą się, uciekającą w popłochu piechotę.

- W nich, kerels! Ognia! Ognia! - Kolejny szereg żołnierzy minął znaczniki, lecz szybko zwolnił kroku i załamał się, gdy kule z maximów zaczęły siać wśród nich spustoszenie.

Dalej na równinie rozległ się jęśliwy sygnał trąbki i przy jej dźwiękach ostatnie szeregi zaprzestały marszu naprzód, by wkrótce zacząć uciekać, pozostawiając na polu bitwy rannych i zabitych.

Pierwszy pocisk przeleciał nad głowami Burów, żeby wybuchnąć w dolinie za nimi i niemal w tej samej chwili wszystkie baterie otworzyły ogień ze zdwojoną siłą. Jednak, wśród

rozbłysków bomb, pięciuset Burów śmiało się i wiwatowało, machając karabinami za uciekającą piechotę.

- Co się stało na rzece? - Głos Leroux zagrzmiął nad tumultem i po chwili nadbiegła odpowiedź.

- Nie doszli do rzeki. Ich atak się załamał.

Leroux zdjął z głowy kapelusz i otarł twarz z kurzu i potu. Spojrzał na zachodzące słońce.

- Wszechpotężny Panie, dziękujemy ci za dzisiejsze zwycięstwo. Prosimy Cię o łaskę i pomoc w następnych dniach.

Pociski smagały wzgórze do zapadnięcia zmroku niczym wzburzone sztormem morze skały. Kiedy nastąpiła noc, obrońcy zobaczyli ogniska obozowe Anglików, które otaczały ich niby ogród żółtych kwiatów.

**55.** Musimy wymknąć się tej nocy. - Leroux spojrzał nad ogniem na Zietsmanna.

- Nie. - Starzec odpowiedział miękko, nie patrząc na niego.

- Dlaczego nie? - zażądał odpowiedzi Leroux.

- Możemy utrzymać się na tych wzgórzach. Nie mogą nas z nich przepędzić.

- Ja! Możemy zatrzymać ich jutro, przez dwa dni, tydzień, ale później wszystko będzie skończone. Działa zabiły nam dzisiaj pięćdziesięciu ludzi.

- Oni stracili wiele setek. Pan na nich uderzył i rozgromił ich. - Zietsmann spojrzał na niego i jego głos nabrał siły. - Zostaniemy tutaj i złożymy swoją nadzieję w rękach Pana. - Wśród słuchających przebiegł szmer uznania.

- Menheer. - Leroux zakrył na chwilę oczy, wciskając w nie palce, żeby zmniejszyć ból. Był zmęczony i chory od lydditu - krańcowo znużony. O wiele łatwiej byłoby zostać. Nie było w tym żadnej hańby, gdyż walczyli jak nikt inny przed nimi. Odsunął ręce od twarzy. - Menheer, jeśli nie wyrwiemy się stąd dzisiejszej nocy, nigdy nam się to nie uda. Jutro nie będziemy już na to mieli siły. - Zamilkł, gdyż słowa napływały z trudem. Był jeszcze oszołomiony materiałem wybuchowym i hukiem dział. Spojrzał na swoje ręce i zobaczył otwierające się wrzody na nadgarstkach. Nie byłoby w tym żadnej hańby. Podjęliby jeszcze raz walkę i wszystko byłoby skończone.

- Ale tu nie chodzi o honor - wymamrotał pod nosem. Wstał z ziemi i wszyscy patrzyli w milczeniu, czekając na jego przemowę. Rozłożył ręce w proszącym geście i płomienie z ogniska oświetliły mu twarz od dołu, zostawiając oczy w cieniu. Ciemne, zapadnięte oczodoły wyglądały jak otwory w nagiej czaszce. Jan Paulus stał nieruchomo przez chwilę, a porwane ubranie luźno zwisało na jego wychudzonym ciele.

- Burowie... - zaczął. Nagle zabrakło mu słów. Nie było w nim nic poza potrzebą walki. Opuścił ręce.

- Idę - powiedział po prostu. - Kiedy zajdzie księżyc, odjadę. - Odszedł od ogniska. Z ziemi jeden za drugim zaczęli się podnosić ludzie i podążać za nim. Wszyscy byli z jego komanda.

Sześciu mężczyzn przykucnęło w kółku i patrzyło, jak księżyc dotyka gór. Stojące za nimi konie były osiodłane, a karabiny wsunięte w olstra. Przy każdym z sześciuset koni leżał owinięty w koce mężczyzna usiłując się zdrzemnąć przed drogą. Mimo że konie przestępowały niespokojnie z nogi na nogę, nie było słyhać odgłosów dźwięczącej uprzęży, gdyż wszystkie metalowe części zostały dokładnie owinięte.

- Powtórzmy to jeszcze raz, żeby każdy z was znał swoje zadanie. - Leroux spojrzał po

ludziach. - Pojadę z pierwszą setką ludzi wzdłuż rzeki na wschód. Henrik, którą drogą jedziesz?

- Na południe. Przebiję się przez kawalerię i o świcie skrucę ku góróm.

Leroux skinął głową i spytał następnego mężczyzny:

- A ty?

- Na zachód wzdłuż rzeki.

- Ja, a ty?

Każdy z nich powtórzył swoją trasę. Kiedy skończyli, Leroux zabrał głos.

- Spotkamy się w starym obozowisku przy wzgórzu Inhlozana. Wszyscy się zgadzają?

Czekali dalej cierpliwie, patrząc na księżyc i słuchając szakali walczących o leżące na równinie ciała Brytyjczyków. Kiedy księżyc schował się za wzgórzami, Leroux wstał.

- Totsiens, kerels. Powodzenia. - Wziął konia za lejce i poprowadził go w dół ku rzece Vaal, a stu mężczyzn szło w ciszy za nim. Kiedy mijali wóz stojący samotnie nad Paddą, Zietsmann czekał na niego i zbliżył się, prowadząc za sobą jucznego muła.

- Jedziesz? - zapytał.

- Ja, menheer. Musimy.

- Niech Bóg będzie z wami. - Zietsmann wyciągnął rękę i wymienili uściski. - Zapakowałem na muła pieniądze, weź je ze sobą. Nie będziemy ich tu potrzebowali.

- Dziękuję, menheer. - Leroux skinął na jednego ze swoich ludzi, żeby zajął się mułem. - Powodzenia.

- Powodzenia, generale. - Zietsmann po raz pierwszy użył jego tytułu. Leroux ruszył ku liniom obronnym i dalej przez step, na którym czekali Brytyjczycy.

Kiedy na niebie pojawiły się pierwsze oznaki poranka, przeszli przez linie brytyjskie. Dwa razy w ciągu nocy słyszeli burzę strzałów daleko za nimi i wiedzieli, że nie wszystkim towarzyszom udało się uciec.

**56.** Sean i Saul stali przy powozie, gdy Mbejane przyniósł im kawę.

- Cholera, jest tak zimno, że można sobie tyłek odmrozić. - Sean trzymał gorący kubek w obu dłoniach i siorbał głośno kawę.

- Przynajmniej z przodu masz osłonę, żeby ci język nie zmarzł - odparł Saul. - Lepiej ruszajmy, zanim przymarzniemy do ziemi.

- Świt za godzinę - zgodził się z nim Sean. - Czas ruszać. - Zawołał do Mbejane: - Zasyp ognisko i przyprowadź mojego konia!

Oddział ruszył w podwójnym szeregu na zwiad, z powozem podskakującym z tyłu na wybojach. W ciągu czterech ostatnich dni przemierzyli już ten teren wiele razy, patrolując wyznaczony im przez Achesona odcinek. Trawa była krucha od mrozu i łamała się z chrzęstem pod kopytami.

Zwiadowcy zuluscy sprawdzali teren przed oddziałem, żołnierze opatuleni w kurtki dygotali z zimna, a Sean i Saul podjęli nie kończącą się dyskusję, którą przerwali poprzedniego wieczoru. Zapuścili się już tak daleko w przyszłość, że omawiali kwestie związane z możliwością utworzenia federacji obejmującej wszystkie prowincje na południe od Zambezi i stworzeniem odpowiedzialnego rządu.

- Rhodes proponował coś podobnego przez ostatnie dziesięć lat - przypomniał Saul.

- Nie chcę nawet słyszeć o tym podstępnym draniu - odparł z naciskiem Sean. - Będzie się starał trzymać nas u klamki Whitehallu. Im wcześniej pozbędziemy się jego i Milnera, tym lepiej.

- Chcesz uwolnić się od rządów imperialnych? - spytał Saul.

- Oczywiście. Skończmy tę wojnę i pošlijmy ich do wszystkich diabłów, do Anglii. Sami możemy sobą rządzić.

- Pułkowniku, wydaje mi się, że walczy pan po niewłaściwej stronie - zauważył Saul i Sean zachichotał.

- Ale poważnie, Saul... - Nie skończył zdania. Z ciemności wyłonił się Mbejane, kierując się ku nim, i Sean zatrzymał konia. Poczul na ramionach drobne ukłucia podniecenia.

- Mbejane?

- Mabuna!

- Gdzie? Ilu?

Wysłuchał pośpiesznych objaśnień Zulusa i gwałtownie zawrócił konia ku sierżantowi Ecclesowi, którego przyśpieszony oddech czuł na karku.

- Twoje ptaszki, Eccles. Jakichś stu ludzi tylko milę stąd i kierują się prosto na nas. -

Głos Seana był napięty do tego stopnia, że wąsy sierżanta drgały silnie na owalnej twarzy. - Niech pan ustawi ludzi w szyku. W ciemnościach wejdą prosto na nas.

- Zsiadamy z koni, sir?

- Nie - zdecydował Sean. - Ruszymy na nich, jak tylko się pokażą. Tylko, na miłość boską, niech wszyscy zachowają ciszę.

Kiedy Sean osadził konia przed Saulem, dwa rzędy jeźdźców rozciągnęły się po jego obu stronach. Nikt nie rozmawiał i w ciemnościach słychać było jedynie uderzenia kopyt o skałę, szelest zdejmowanych ciężkich kurt i miękki stukot otwieranych i zamykanych zamków.

- Znowu musimy wziąć na siebie impet uderzenia wroga - szepnął Saul, ale Sean nie odpowiedział, gdyż walczył właśnie ze strachem. Nawet przy nocnym przymrozku miał dłonie wilgotne od potu. Otarł je o spodnie i wyjął karabin z olstrów.

- A co z maximami? - spytał Saul.

- Nie ma czasu, żeby je rozstawiać. - Sean wiedział, że jego głos jest ochryply i odchrząknął. - Nie będziemy ich potrzebować. Mamy przewagę, jak sześć do jednego.

Spojrzał na szereg milczących ludzi, ciemną linię na tle trawy, która szarzała wraz z nastającym porankiem. Widział, jak żołnierze pochylają się w siodłach, trzymając karabiny na kolanach. W ciemnościach czuć było narastające napięcie; nawet konie były nim zarażone. Przesępowały z nogi na nogę i potrzęsały z niecierpliwością głowami. Boże, żeby tylko żaden z nich nie zarżał.

Sean starał się przebić wzrokiem ciemności. Strach żołnierzy i jego własny był tak silny, iż miał wrażenie, że Burowie muszą go wyczuć.

W dole przed sobą wyłowił z mroku ciemniejącą na horyzoncie plamę. Wyteżył wzrok i zobaczył, że plama porusza się wolno, niczym cień oświetlonego przez księżyc drzewa.

- Jesteś pewien, że to Burowie? - szepnął Saul. Seana ogarnęły wątpliwości. Kiedy się zastanawiał, cień rozszerzył się i słychać już było odgłos kopyt.

Czy to na pewno Burowie? Szukał desperacko jakiegoś znaku, który pozwoliłby mu powstrzymać atak. Czy to Burowie? Nie było jednak żadnego znaku, tylko ciemna masa zbliżająca się do nich i niewyraźne odgłosy w ciemnościach.

Byli już bardzo blisko, mniej niż sto jardów, mimo że trudno to było ocenić, bo czarna masa wydawała się płynąć na nich.

- Sean... - szept Saula został przerwany nerwowym rzeniem jego konia. Dźwięk był tak nieoczekiwany, że Sean usłyszał, jak siedzący za nim mężczyzna powstrzymuje oddech. W tej samej chwili otrzymał znak, na który czekał.

- Wie's daar? - Pytanie zostało wymówione w gardłowym języku taal.

- Do ataku! - zawył Sean i spiął konia kolanami. Natychmiast cały oddział ruszył galopem na przeciwnika.

Pędzili naprzód otoczeni krzykiem, stukotem kopyt i wystrzałami karabinów. Zostawiając strach za sobą, Sean gnał na czele oddziału. Ścisnął kolbę karabinu pod pachą i strzelał na oślep, a jego dziki wrzask mieszał się z rykiem sześciuset ludzi.

Burowie nie wytrzymali ataku. Musieli się załamać, gdyż nie mieli najmniejszej szansy przeciwstawić się takiej sile. Zawrócili wymęczone konie i zaczęli uciekać z powrotem na południe.

- Ku mnie! - ryknął Sean. - Zbierzcie się wokół mnie! - Linia żołnierzy zwęziła się tak, iż teraz jechali noga przy nodze tworząc ścianę ognia, przed którą Burowie pierzchali w popłochu.

Na drodze Seana leżał ranny koń, który walił kopytami i przygniatał rannego jeźdźcę. Wciśnięty w szereg ludzi, Sean nie mógł skrócić.

- Skacz, stary! - krzyknął. Poderwał konia kolanami i rękami, przeskakując nad rzucającym się zwierzęciem i potykając się po drugiej stronie. Pędził jednak dalej wraz z resztą krzyczących z podniecenia ludzi.

- Doganiamy ich! - zawył Sean. - Tym razem mamy ich. Koń pędzący za nim wpadł w dziurę i runął na ziemię z suchym trzaskiem łamanych nóg. Żołnierz wyleciał w górę, obracając się w powietrzu. Jeźdźcy ścisnęli się zamykając wyrwę.

- Przed nami jest wzgórze! - krzyknął Sean widząc szary zarys skalnej masy rysujący się na tle błędnego nieba. - Nie pozwólcie im dotrzeć do niego! - Wbił ostrogi w boki konia.

- Nie złapiemy ich - ostrzegł go Saul. - Już wpadli między skały.

- Cholera! - jęknął Sean. - Cholera! - W ciągu ostatnich kilku minut wyraźnie pojaśniało. W Afryce świt zawsze nadchodzi bardzo szybko. Sean widział wyraźnie pierwszych Burów dopadających wzgórze, zeskakujących z koni i szukających kryjówki.

- Szybciej! - wrzasnął z rozpaczą. - Szybciej! - Widział, jak szansa łatwego zwycięstwa wymyka mu się z rąk. Spośród skał odezwały się pierwsze mauzery, a ostatni Burowie znikali właśnie wśród skalnych wyłomów. Porzucone konie z rozszerzonymi ze strachu oczami, podrzucając pustymi strzemionami, pognały dziko w kierunku atakujących żołnierzy, zmuszając ich do rozstąpienia się i opóźniając pościg. Juczny muł ze skórzaną torbą na grzbiecie wspinał się na wzgórze, gdy dosięgła go kula. Zwalił się w głęboką szczelinę. Nikt nie zauważył jego upadku.

Sean poczuł, jak koń pod nim rzuca się gwałtownie i wyleciał w górę z taką siłą, że

strzemiona pękły jak cienkie nitki. Leciał przez chwilę w górę, na przerażający ułamek sekundy zawisł w powietrzu i zwałił się na ziemię, uderzając w nią piersią, ramieniem i bokiem głowy.

Gdy tak leżał w trawie, szarża wpadła na wzgórze, by zaraz zmuszona strzałami rozpierchnąć się w zamieszaniu na boki. Na wpół przytomny Sean poczuł, jak tuż przy jego głowie wała końskie kopyta. Słyszał strzały mauzerów i krzyki rannych żołnierzy.

- Z koni! Na ziemię i do ataku! - Głos Saula, a zwłaszcza jego ton podziałały na Seana jak kubek zimnej wody. Trzymając się za pierś usiadł na ziemi. Policzek palił ogniem w miejscu, gdzie zdarł skórę. Krwawił z nosa, a krew w ustach zmieszała się z ziemią, tworząc piaszczystą maź. Nie czuł lewej ręki aż do ramienia i stracił karabin.

Z trudem oczyścił usta i spojrzał na otaczający go chaos, starając się zorientować w sytuacji. Potrząsnął głową, żeby pozbyć się uczucia ośpienia, podczas gdy wokół niego ludzie walili się na ziemi, masakrowani strzałami z bliskiej odległości.

- Z koni! Z koni! - Niepokój w głosie Saula spowodował, że Sean podniósł się z ziemi, chwając się na nogach.

- Z koni, dranie!

Sean powtórzył jego zawołanie.

- Na ziemię i do ataku! - Jakiś koń otarł się o niego, ale Sean utrzymał równowagę, podczas gdy jeździec zeskoczył tuż przy nim.

- Wszystko w porządku, pułkowniku? - Sięgnął, żeby wesprzeć Seana, ale kula trafiła go w pierś pod wyciągniętym ramieniem i żołnierz runął na ziemię. Sean spojrzał na martwe ciało, czując jak mózg zaczyna mu pracować.

- Dranie - warknął i porwał karabin zabitego. - Naprzód! - ryknął. - Za mną! - Wyprowadził żołnierzy z jatki oszalałych koni pomiędzy skały.

W ciągu następnej pół godziny użyli całej swojej przeważającej siły, żeby wyrzucić Burów z podnóża góry i zapędzić ich na stok. Wróg walczył o każdy wyłom skalny i za każdy metr ziemi trzeba było zapłacić krwią. Na przestrzeni jakichś dwustu jardów atak przemienił się w serię pojedynków, nad którymi Sean nie miał żadnej kontroli. Zebrał wokół siebie grupę ludzi i bijąc się o każdy kamień zaczęli przedzierać się ku szczytowi. Burowie walczyli do ostatniej chwili o każdą pozycję, by szybko zająć następną.

Szczyt wzgórza przypominał spłaszczony spodek, szeroki na jakieś pięćdziesiąt stóp. W końcu sześćdziesięciu Burów wdrapało się na strome ściany wzgórza i zapadło w tej naturalnej fortecy. Zamierzali ją trzymać z determinacją ludzi, którzy wiedzą, że to ich ostatnia walka. Dwa razy udało im się odeprzeć atak Brytyjczyków, odrzucić ich od krawędzi



wzniesienia i pogonić kulami do kryjówek pomiędzy skałami. Po drugiej próbie na wzgórzu zapadła nienaturalna, przygniatająca cisza.

Sean usiadł opierając się plecami o skałę i wziął podaną mu przez kaprała manierkę z wodą. Wypłukał z ust zakrzepłą krew i ślinę i wypuł różową wodę na ziemię za sobą. Następnie przechylił manierkę, przymknął z rozkoszy oczy i wypił dwa długie łyki wody.

- Dzięki. - Oddał naczynie.

- Jeszcze? - spytał kapral.

- Nie. - Sean potrząsnął głową i spojrzał w dół zbocza. Słońce wzniosło się już wysoko rzucając długie cienie za końmi, które pasły się daleko na równinie. U stóp góry zobaczył martwe zwierzęta. Większość leżała na bokach ze sztywno wyciągniętymi nogami. Niektóre koce porozwijały się i trawa była zasypana przedmiotami będącymi własnością poległych obok koni ludzi.

Ubrani w mundury koloru khaki żołnierze zlewali się z brązową trawą niczym kopczyki uschłych liści, a pomiędzy nimi zjednoczeni z wrogiem przez śmierć leżeli Burowie.

- Mbejane. - Sean zawołał miękko potężnego Zulusa, który przykucnął za nim. - Znajdź Nkosi Saula i przyprowadź go do mnie.

Patrzył, jak Murzyn czołga się pomiędzy skałami. Na początku szarzy Mbejane został z tyłu za końmi, ale gdy Sean znajdował się już w połowie drogi na szczyt, obejrzał się za siebie i stwierdził, że Zulus kłęczy dwa kroki za nim, trzymając w ręku pas z amunicją. Od tej chwili nie zamienili ze sobą ani słowa - rzadko kiedy były potrzebne między nimi.

Sean dotknął koniuszkami palców obtartego policzka i przez chwilę przysłuchiwał się rozmowom otaczających go żołnierzy. Dwa razy usłyszał wyraźne głosy Burów ze szczytu nad nimi, a raz dobiegł ich głośny śmiech. Byli bardzo blisko. Sean poruszył się niespokojnie i schował głębiej za głąz.

Po kilku minutach Mbejane wrócił z czołgającym się za nim Saulem. Kiedy Saul zobaczył Seana, wyraz jego twarzy zmienił się nagle.

- Twoja twarz! Co się stało?

- Zaciałem się przy goleniu. - Sean uśmiechnął się pogodnie do niego. - Siadaj i czuj się jak u siebie.

Saul podpełził ostatnie kilka jardów i usiadł naprzeciw Seana z plecami opartymi o skałę.

- Co dalej? - spytał.

- Odpoczniemy jeszcze dziesięć minut i ruszamy - odpowiedział Sean. - Tym razem

musimy to jednak zrobić z głową. Chcę, żebyś wziął połowę ludzi i zaszedł ich od tyłu. Weź też ze sobą Ecclesa. Uderzymy na nich ze wszystkich stron w tym samym czasie. Jak będziesz na pozycji, wystrzel szybko trzy razy i policz do dwudziestu. Wesprę cię z tej strony.

- Dobrze. - Saul skinął głową. - Zajmie mi trochę czasu, żeby się tam dostać, więc się nie denerwuj. - Jego twarz rozjaśniał uśmiech, gdy podniósł się na kolana i nachylił, żeby dotknąć ramienia Seana.

Sean na zawsze go takim zapamiętał. Z szerokimi ustami i zmarszczkami w kąciach oczu śmiejącego się i błyszczącego białymi zębami spod kilkudniowego zarostu, z kapeluszem zsuniętym na kark tak, że włosy opadły mu na czoło, i z opalenizną schodzącą mu z nosa.

Skała nad nimi była u góry pęknięta i wyszczerbiona. Gdyby Saul nie nachylił się w tym przyjacielskim geście, nie odsłoniłby się przed wrogiem.

Schowany na szczycie snajper dostrzegł nad skałą rondo kapelusza i wymierzył karabin w szczelinę. Kiedy palce Saula dotknęły ramienia Seana, jego głowa znalazła się na wysokości szczeliny, a Bur wystrzelił.

Kula trafiła Saula w prawą skroń, zoczyła z toru i wyleciała po drugiej stronie nad uchem.

Ich twarze były oddalone od siebie o kilkanaście cali i Sean uśmiechał się, gdy przyjaciela dosięgła kula. Głowa Saula została zniekształcona przez uderzenie, napuchła i rozrosła się niczym nadmuchany balon. Usta rozciągnęły się wyglądając przez chwilę jak ohydna gumowa maska i Saul potoczył się w dół stoku. Zatrzymał się, z głową i ramionami skrytymi w kępie brunatnej trawy rosnącej pomiędzy kamieniami, ale jego ciało dygotało jeszcze, a nogi kopały ziemię w konwulsjach.

Przez dziesięć długich sekund Sean nie poruszył się ani nie zmienił wyrazu twarzy. Potrzebował tyle czasu, żeby uwierzyć w to, co widział. Przez twarz przebiegł skurcz.

- Saul! - zaskrzeczał.

- Saul! - krzyknął głośniejszym głosem, gdy zaczął uświadamiać sobie swoją stratę.

Podniósł się wolno na kolana. Ciało Saula już się uspokoiło. Leżało nieruchomo i spokojnie.

Sean otworzył usta, ale wydobył się z nich jedynie nieartykułowany dźwięk. Jęk bólu przypominał ryk trafionego w serce byka. Niski, wstrząsający odgłos dotarł także do pozycji burskich na szczycie.

Nie próbował dotknąć Saula. Jedynie patrzył na niego.

- Nkosi. - Mbejane przestraszył się tego, co zobaczył w twarzy Seana. Mundur jego

pana był sztywny od zaschłej krwi. Rana na policzku zdążyła już spuchnąć i ociekała limfą. Mbejane zatrwożyły oczy Seana.

- Nkosi! - Mbejane usiłował dotrzeć do niego, ale Sean go nie słyszał. Oczy błyszczały mu szaleństwem, które zastąpiło żal. Wsunął głowę między ramiona i zawył jak zwierzę.

- Zabić ich! Zabić drani! - Przeskoczył skałę jednym susem, trzymając przy piersi karabin z bagnetem.

- Naprzód! - ryknął i biegł po zboczu tak szybko, że doścignęła go tylko jedna kula. Nic go nie mogło powstrzymać. Sean wskoczył na krawędź wyjąc, waląc wkoło kolbą i dźgając bagnetem.

Za nim na zbocze wdzierało się czterystu ludzi. Zanim dobiegli do niego, Sean znalazł się twarzą w twarz z Janem Paulusem Leroux.

Tym razem Leroux nie był dla niego przeciwnikiem. Jan Paulus był wycieńczony i chory. Przypominał bardziej szkielet niż potężnego mężczyznę, jakim był kiedyś. Karabin miał nie naładowany. Kiedy siłował się z zamkiem, spojrzał do góry i rozpoznał Seana. Zobaczył, jak góruje nad nim zachlapany krwią. Dostrzegł wzniesiony bagnet i szaleństwo w oczach Seana.

- Sean! - powiedział i podniósł pusty karabin, żeby odeprzeć cios. Nie miał jednak na to dość siły. Sean pchnął z całej siły i bagnet ominął kolbę, a Jan Paulus poczuł, jak stał wbija mu się w ciało i przewrócił się na plecy z bagnetem w brzuchu.

- Sean - jęknął z ziemi. Sean stanął nad nim i wyrwał bagnet. Podniósł karabin wysoko obiema rękami. Jego całe ciało przechyliło się, by zadać ostateczny cios.

Patrzyli sobie w oczy. Brytyjscy żołnierze minęli ich i zostawili samych. Jeden ranny mężczyzna leżał w trawie, a drugi stał nad nim ze wzniesionym karabinem i szaleństwem w oczach.

Pokonany mężczyzna, który walczył, cierpiał i poświęcił życie swoich najbliższych, patrzył na stojącego nad nim zwycięzcę, który także walczył, cierpiał i poświęcił życie najbliższych.

Wojna się skończyła. Nagrodą był kraj, a karą za przegraną - śmierć.

- Maak dit klaar! Skończ! - powiedział cicho Leroux. W Seanie szaleństwo zgasło tak gwałtownie, jak płomień świecy. Opuścił karabin i pozwolił mu upaść na ziemię. Odezwał się ból w ranie i Sean zachwiał się na nogach. Ze zdziwieniem spojrzał na brzuch, zacisnął palce na postrzale i upadł na ziemię obok Jana Paulusa. Na górze walka już się skończyła.

**57.** Wszyscy gotowi do drogi, sir. - Eccles stanął przy powozie i spojrzał na Seana. Na jego twarzy malował się wyraz z troskaniem.

- Czy jest panu wygodnie? Sean zignorował pytanie.

- Eccles, kto kieruje pogrzebem?

- Smith, sir.

- Powiedziałeś mi o Saulu... o kapitanie Friedmanie?

- Tak jest, sir. Pochowają go oddzielnie.

Sean podniósł się z trudem na łokciu i spojrzał na dwie grupy rozebranych do pasa ludzi, którzy kopali groby. Za nimi leżały rzędy zawiniętych w koce ciał. Piękny plon jak na jeden dzień, pomyślał z goryczą.

- Czy możemy już ruszać, sir? - spytał Eccles.

- Przekazałeś Smithowi mój rozkaz? Burowie mają być pochowani w jednym grobie, a nasi ludzie w drugim.

- Wszystko będzie, jak pan każe.

Sean położył się na kocach wyścielających dno powozu.

- Eccles, zawołaj mojego służącego.

Czekając na Mbejane, Sean starał się nie patrzeć na leżącego obok mężczyznę. Wiedział, że Jan Paulus mu się przygląda.

- Sean... Menheer, kto zmówi pacierz za moich ludzi?

- Nie mamy kapelana. - Sean nie spojrzał na niego.

- Ja mógłbym to zrobić.

- Generale Leroux, miną jeszcze dwie godziny, zanim groby zostaną wykopane. Jest pan ranny i moim obowiązkiem jest zawieźć wszystkich rannych do Vereeniging tak szybko, jak to tylko możliwe. Zostawimy tutaj ludzi kopiących groby, którzy później do nas dołączą. - Sean nie podniósł się, gdy to mówił, i cały czas patrzył w niebo.

- Menheer, żądam - zaczął Jan Paulus, ale Sean odwrócił się do niego z gniewem.

- Słuchaj, Leroux. Powiedziałem ci, co mam zamiar zrobić. Groby zostaną oznaczone i później wojskowa komisja pogrzebowa przyśle tu kapłana.

W powozie było niewiele miejsca, a oni obaj byli potężnymi mężczyznami. Kiedy patrzyli na siebie z wściekłością, ich twarze były oddalone ledwie o stopę. Sean chciał jeszcze coś dodać, ale kiedy otworzył usta, odezwała się rana w brzuchu i tylko cicho jęknął. Na czoło wystąpiły krople potu.

- Dobrze się czujesz? - Wyraz twarzy Jana Paulusa się zmienił.

- Wszystko będzie w porządku, jak tylko dostaniemy się do Vereeniging.

- Ja, masz rację. Musimy jechać - zgodził się Jan Paulus. Eccles wrócił z Mbejane.

- Nkosi, posłałeś po mnie.

- Mbejane, chcę, żebyś tu został i zaznaczył miejsce, w którym pochowają Nkosi Saula. Zapamiętaj je dobrze, bo będziesz musiał mnie tu później przyprowadzić - powiedział cicho Sean.

- Nkosi. - Mbejane oddalił się.

- W porządku, Eccles. Możemy ruszać.

Była to długa kolumna. Za strażą przednią jechali jeńcy, często po dwóch na jednym koniu. Za nimi podążali ranni ułożeni na umocowanych do dwóch koni noszach z kocy, dalej jechał powóz, a na końcu Eccles z dwustoma żołnierzami. Kolumna poruszała się wolno, w ponurej ciszy.

Leżący w powozie dwaj ranni nie odzywali się. Obaj byli zajęci własnym bólem starając się amortyzować podrzuty i kołysanie powozu. Z nieba lał się niemiłosierny żar.

Oslabiony bólem i utratą krwi, na pograniczu jawy i snu, Sean myślał o Saulu. Starał się przekonać sam siebie, że śmierć Saula nie zdarzyła się naprawdę i kiedy mu się to udało, poczuł nagłą ulgę, jakby obudził się z jakiegoś koszmaru. Więc Saul żył. Po chwili świadomość wróciła i Saul znowu nie żył. Leżał owinięty w koc pod grubą warstwą ziemi i wszystko, co razem planowali, spoczywało tam razem z nim. Sean znowu zaczynał mocować się z wątpliwościami.

- Ruth! - krzyknął tak głośno, że Jan Paulus poruszył się obok niego.

- Sean, wszystko w porządku?

Sean nic nie odpowiedział. Teraz jego myśli wypełniało wspomnienie Ruth. Poczł radość z powodu straty rywala, który był jednocześnie jego przyjacielem, ale szybko przesłoniły ją wyrzuty sumienia. Przez krótką chwilę cieszył się, że Saul nie żyje i tak okropna zdrada przyprawiała go o mdłości równie silne, jak rana w brzuchu. Jednak Ruth go nie opuszczała, a Saul nie żył. Nie mogą myśleć w ten sposób. Nie wolno mi myśleć! Usiadł z trudem przytrzymując się boku wozu.

- Połóż się, Sean - powiedział delikatnie Jan Paulus. - Znowu będziesz krwawił.

- Ty! - krzyknął Sean. - To ty go zabiłeś!

- Ja. - Leroux skinął głową, a broda opadła mu na piersi. - Zabiłem ich, ale ty także.

Wszyscy zabijaliśmy. Ja, zabiliśmy ich. - Wziął Seana za ramię i położył na kocach. - Teraz leż spokojnie, bo ciebie także pochowamy.

- Ale dlaczego? Paul, dlaczego? - spytał cicho Sean.

- Czy to ma znaczenie? Oni już nie żyją.

- I co dalej będzie? - Sean zasłonił oczy przed słońcem.

- Musimy żyć. To wszystko. Musimy iść naprzód.

- Ale o co walczyliśmy? Po co to było?

- Nie wiem. Kiedyś wiedziałem to dobrze, ale teraz już nie wiem - odpowiedział Leroux.

Leżeli przez chwilę w milczeniu i znowu zaczęli rozmawiać. Szukali razem czegoś, co mogłoby nastąpić po wydarzeniach, które miały miejsce w ciągu ostatnich trzech lat.

Kolumna wojska musiała zatrzymać się dwa razy, żeby pochować ludzi, którzy umarli z ran. Każda z tych śmierci: jedna brytyjskiego żołnierza, a druga Bura, nadały nowy sens rozmowie Seana i Jana Paulusa.

Wieczorem natknęli się na patrol, który badał teren przed wojskiem wracającym z Paddy. Do powozu podszedł młody porucznik i zsalutował Seanowi.

- Mam dla pana wiadomość od generała Achesona, sir.

- Tak?

- Ten Leroux uciekł z Paddy. Zietsmann, drugi dowódca, został zabity, ale Leroux uciekł.

- To jest generał Leroux - powiedział mu Sean.

- Dobry Boże! - Porucznik patrzył z niedowierzaniem na Leroux. - Złapał go pan. Muszę powiedzieć... dobra robota, sir. - W ciągu ostatnich dwóch lat Jan Paulus stał się legendarną postacią wśród brytyjskich żołnierzy i porucznik przyglądał mu się z ciekawością.

- Jaką ma pan dla mnie wiadomość? - przywrócił go do porządku Sean.

- Przepraszam, sir. - Młodszy oficer odwrócił spojrzenie od Leroux. - Wszyscy przywódcy burscy spotykają się w Vereeniging. Mamy im zapewnić swobodny wjazd do miasta. Generał Acheson chciał, żeby pan skontaktował się z Leroux... ale teraz nie będzie już z tym kłopotów. Świetna robota, sir.

- Dziękuję, poruczniku. Niech pan przekaze generałowi Achesonowi, że jutro będziemy w Vereeniging.

Patrzyli, jak patrol znika za wzgórzem.

- Więc to kapitulacja - warknął Jan Paulus.

- Nie - sprzeciwił się Sean. - To pokój!

**58.** Szkoła podstawowa w Vereeniging została zamieniona w szpital oficerski. Sean leżał na łóżku polowym i z ciekawością przyglądał się wiszącemu na ścianie portretowi prezydenta Krugera. W ten sposób odsuwał od siebie moment, kiedy będzie musiał kontynuować pisanie listu. Jak na razie napisał tylko adres, datę i pozdrowienie: “Moja droga Ruth”.

Minęło już dziesięć dni, odkąd oddział wrócił do garnizonu. Tyle samo dni minęło od czasu, gdy lekarze pocięli go i połatali dziury wyrwane przez kulę w przewodzie pokarmowym, a potem go zszyli. Sean zaczął wreszcie pisać.

Jestem na najlepszej drodze do pełnego wyzdrowienia po małej ranie, jaką otrzymałem dwa tygodnie temu nad rzeką Vaal, więc proszę, żebyś nie zwracała uwagi na podany adres. (Zaczął od nowego akapitu.) Bóg tylko wie, jak bardzo pragnąłbym, żeby okoliczności, w których piszę, były mniej bolesne dla nas obojga. Z pewnością musiałas już otrzymać oficjalne powiadomienie o śmierci Saula, więc nie mogę wiele dodać poza tym, że zginął w okolicznościach przynoszących mu wielką chwałę. Miał poprowadzić atak na bagnety, kiedy trafiła go kula i zginął natychmiast.

Wiem, że będziesz chciała zostać sama ze swoim żalem. Minie pewnie jeszcze kilka tygodni, zanim lekarze pozwolą mi podróżować. Mam jednak nadzieję, że kiedy przybędę do Pietermaritzburga, dojdiesz na tyle do siebie, żebym mógł złożyć ci wizytę i spróbować cię pocieszyć. Jestem przekonany, że mała Storm rośnie szybko i staje się coraz piękniejsza. Z niecierpliwością oczekuję chwili, kiedy będę mógł ją znowu ujrzeć.

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę, jak zakończyć list i wreszcie napisał: “Twój prawdziwy przyjaciel”. Podpisał list, schował do koperty i położył na szafce.

Następnie położył się na poduszce i poczuł, jak wraca ból z powodu straty Saula i rany w brzuchu.

Po chwili ból stał się nie do zniesienia i Sean rozejrzał się ukradkiem po sali, czy nie ma w pobliżu jakiejś pielęgniarki. Potem podniósł prześcieradło, podciągnął koszulę i zaczął zsuwać bandaż, aż odsłonił krawędź rany z wystającymi z ciała czarnymi końcami szwów, które przypominały zakończenia drutu kolczastego. Na ustach pojawił mu się komiczny wyraz obrzydzenia. Sean nienawidził choroby, a zwłaszcza we własnym ciele. Obrzydzenie zamieniło się szybko w bezsilną złość.

- Lepiej to zostaw, Sean. Przyglądanie się nic nie pomoże. - Sean był tak zajęty wstrętną dziurą w brzuchu, że nie usłyszał kroków. Mimo laski i lekkiego kuśtykania Leroux

poruszał się bardzo cicho jak na tak potężnego mężczyznę. Stał przy łóżku i uśmiechnął się wstydliwie.

- Paul! - Sean zakrył się pośpiesznie.

- Tak, Sean. Jak się czujesz?

- Nie najgorzej. A ty? Leroux wzruszył ramionami.

- Powiedzieli mi, że będę potrzebował tego jeszcze przez długi czas. - Postukał laską w podłogę. - Mogę usiąść?

- Jasne. - Sean odsunął się, żeby zrobić mu miejsce i Leroux usiadł na brzegu łóżka wyciągając sztywną nogę przed siebie. Jego ubranie było doprowadzone do porządku, mankiety pocerowane, na łokciach pojawiły się łaty, a dziura na kolanie została zaszyta niewprawną męską dłonią.

Jego broda była krótsza i przybrała bardziej regularny kształt. Nadgarstki były schowane pod poplamionymi jodyną bandażami, ale kręcone rude włosy sięgały kołnierza kurtki, a kości czoła i policzków rysowały się ostro pod spaloną od słońca skórą.

- Więc... - powiedział Sean.

- Więc... - powtórzył za nim Leroux i spojrzał na swoje dłonie. Milczeli przez chwilę, czując skrępowanie, gdyż żaden z nich nie potrafił się swobodnie wysławiać.

- Paul, zapalisz? - Sean sięgnął po cygara leżące na szafce.

- Chętnie, dziękuję. - Wybierali z uwagą cygara i uważnie przypalali, ale wkrótce znowu zapadła cisza. Leroux zmarszczył brwi patrząc na koniec cygara.

- Dobry tytoń - mruknął.

- Aha - zgodził się Sean i spojrzał równie ostro na swoje cygaro. Leroux zakasłał i obrócił laskę w palcach.

- Toe maar, pomyślałem sobie, że cię odwiedzę - powiedział.

- Bardzo mi miło.

- Więc, u ciebie wszystko w porządku, co?

- Tak, czuję się dobrze - odparł Sean.

- To dobrze. - Leroux skinął gwałtownie głową. - No cóż! - Wstał wolno z łóżka. - Chyba już pójdę. Mamy spotkanie za godzinę. Jannie Smuts przyjechał z Cape.

- Słyszałem o tym. - Wieści o wydarzeniach rozgrywających się pod wielkim namiotem ustawionym na terenie parad przed stacją kolejową dotarły nawet do szpitala. Pod przewodnictwem starego prezydenta Steyna przywódcy burscy dyskutowali nad przyszłością. Był tam de Wet, Niemand i Leroux. Byli tam także: Botha, Hertzog, Strauss i inni, których nazwiska rozbrzmiewały przez ostatnie dwa lata echem po całym świecie. Wreszcie



przyjechał ostatni z nich: Jannie Smuts. Zostawił swoje komando, które oblegało małe miasteczko O'Kiep w północnej części prowincji Cape i przybył koleją znajdującą się w rękach Brytyjczyków. Teraz wszyscy burscy przywódcy byli już zebrani. Nawet jeśli nie wywalczyli nic w czasie kilku lat wojny, zdobyli sobie uznanie jako przywódcy Burów. Tych kilku zniszczonych przez wojnę ludzi pertraktowało z przedstawicielami największej na świecie potęgi wojskowej.

- Ja, słyszałem o tym - powtórzył Sean i wyciągnął rękę. - Powodzenia, Paul.

Leroux schwycił jego dłoń i trzymał ją w mocnym uścisku, a jego usta drżały od wezbranych emocji.

- Sean, powinniśmy pomówić. Musimy pomówić! - zawołał zdesperowanym tonem.

- Siadaj - powiedział Sean, Leroux puścił jego dłoń i opadł na łóżko.

- Sean, co mam zrobić? - spytał. - Ty musisz mi poradzić, a nie ci... nie ci zza morza.

- Widziałeś Kitchenera i Milnera. - Nie było to pytanie, gdyż Sean wiedział o spotkaniu. - Czego od was zażądali?

- Chcą wszystkiego - odparł z goryczą Jan Paulus. - Żądają, żebyśmy bezwarunkowo złożyli broń.

- Zgodzisz się na to?

Przez minutę Leroux siedział w milczeniu, wreszcie podniósł głowę i spojrzał Seanowi w oczy.

- Dotąd walczyliśmy, żeby żyć - powiedział i Sean dostrzegł w jego oczach coś, czego nigdy już nie miał zapomnieć. - Teraz będziemy walczyć, żeby umrzeć.

- I co przez to osiągniecie? - spytał cicho Sean.

- Śmierć jest mniejszym złem. Nie możemy żyć jak niewolnicy. - Leroux podniósł głos. - To nasz kraj! - wykrzyknął.

- Nie - odparł szorstko Sean. - To także mój kraj i kraj mojego syna. - Jego głos zmiękł. - W żyłach mojego syna płynie ta sama krew co w twoich.

- Ale ci inni: Kitchener i ten diabelny Milner.

- Oni nie należą do nas - stwierdził po prostu Sean.

- Jednak walczyłeś po ich stronie! - oskarżył go Leroux.

- Zrobiłem wiele głupich rzeczy w moim życiu - zgodził się Sean. - Ale dzięki nim czegoś się nauczyłem.

- Co ty mówisz? - spytał gwałtownie Leroux i Sean dostrzegł promyk nadziei w jego oczach. Muszę uważać, pomyślał Sean. Muszę być bardzo uważny. Zaczerpnął powietrza.

- W tej chwili wasi ludzie są w rozsypce, ale przynajmniej żyją. Jeśli będziecie

walczyć dalej, Brytyjczycy zostaną tutaj, póki was wszystkich nie wybiją. Jeśli natomiast teraz przestaniecie walczyć, szybko stąd wyjadą.

- Czy ty wyjedziesz? - zapytał ostro Leroux.

- Nie.

- A przecież jesteś Brytyjczykiem! Brytyjczycy zostaną. Ty i podobni tobie.

Sean uśmiechnął się nagle do niego. Było to tak nieoczekiwane, że Leroux poczuł się zupełnie wytracony z równowagi.

- Paul, czy ja wyglądam albo mówię jak rooinek? - spytał w taal. - Która połowa mojego syna jest burska, a która angielska?

Zaskoczony Jan Paulus patrzył na niego przez długą chwilę, zanim spuścił wzrok i zaczął zabawiać się laską.

- Słuchaj, stary - odezwał się Sean. - Skończ z tą głupotą. Czeka nas obu wiele pracy.

- Ciebie i mnie? - spytał podejrzliwie Leroux.

- Tak.

Leroux parsknął ostro śmiechem.

- Jesteś sprytnym kerelem - śmiał się do rozpuku.

- Muszę pomyśleć o tym, co powiedziałeś. - Wstał z łóżka i wydawał się teraz znacznie wyższy, uśmiech rozpogodził jego wychudzoną twarz.

- Muszę bardzo uważnie rozważyć, co od ciebie usłyszałem. - Wyciągnął dłoń i Sean ją uściśnął. - Przyjdę jeszcze z tobą pomówić. - Odwrócił się i pokuśtykał ku sali, stukając głośno laską o podłogę.

Jan Paulus dotrzymał słowa. Przychodził w odwiedziny codziennie i rozmawiał z Seanem przez godzinę czy dwie. Dwa dni po kapitulacji Burów przyprowadził ze sobą gościa.

Jan Paulus był wyższy od swojego towarzysza o dobre cztery cale, ale szczupły mężczyzna sprawiał wrażenie silnego człowieka.

- Sean, to Jan Christian Niemand.

- Chyba mam szczęście, że nie spotkaliśmy się wcześniej, pułkowniku Courteney. - Głos Niemanda był silny i władczy, a jego angielski, doszlifowany na uniwersytecie w Oxfordzie, brzmiał nienagannie. - Co o tym myślisz, Oubas? - Użył wobec Jana Paulusa tytułu, który był ich prywatnym dowcipem, gdyż Jan Paulus zachichotał.

- Bardzo dużo szczęścia. Inaczej musiałbyś nosić laskę, jak ja. Sean przyglądał się Niemandowi z zaciekawieniem. Lata walk i niewygód musiały go zahartować, o czym świadczyła jego wojskowa postawa, jednak zakończona jasną bródką twarz pozostała twarzą uczonego. Skóra na twarzy zachowała jeszcze młodzieńczą świeżość, ale świdrujące

niebieskie oczy były równie twarde jak stal z Toledo.

Także jego umysł odznaczał się tą samą odpornością i nie minęło wiele minut, gdy Sean musiał wyężyć całą swoją inteligencję, żeby odpowiedzieć na jego pytania. Zdał sobie sprawę, że podlega właśnie jakiemuś testowi. Po godzinie rozmowy nabrał przekonania, że zdał egzamin.

- Jakie są twoje dalsze plany?

- Muszę wracać do domu - odpowiedział Sean. - Mam farmę, syna i może wkrótce żonę.

- Życzę szczęścia.

- To jeszcze nic pewnego - przyznał Sean. - Musi się najpierw zgodzić.

Jannie Niemand uśmiechnął się do niego.

- No więc życzę powodzenia w konkurach. I siły do zbudowania nowego życia. - Szybko spoważniał. - My także musimy odbudować wszystko, co zostało zniszczone. - Podniósł się z łóżka i Jan Paulus także wstał.

- W następnych latach będziemy potrzebować dobrych ludzi. - Niemand wyciągnął rękę i Sean ją uścisnął. - Spotkamy się jeszcze. Możesz na to liczyć.

**59.** Wychylając się z okna pociągu mijającego białe kopalniane hałdy, Sean przyglądał się leżącemu przed nim znanemu zarysowi Johannesburga i zastanawiał się, czym takie brzydkie miasto potrafi go zawsze do siebie przyciągnąć. Miał wrażenie, że jest z nim związany jakąś niewidzialną pępowiną, która pozwala mu na pewną swobodę ruchów, ale kiedy oddalał się za bardzo, ściągała go zawsze z powrotem.

- Tylko dwa dni. - Obiecał sobie. - Zostanę dwa dni. Wystarczy, żeby wręczyć Achesonowi formalną rezygnację i pożegnać się z Candy. Potem wracam do Ladyburga i niech to miasto samo kisi się we własnym sosie.

W pobliżu pociągu syrena fabryczna odgwiżdżała południe i natychmiast inne kopalnie podjęły sygnał. Dźwięk przypominał wycie polującego stada wilków, dzikich bestii goniących za złotem. Kopalnie, które zamknięto na czas wojny, pracowały teraz pełną parą, a kłęby czarnego dymu wydobywającego się z kominów wisiały w postaci brudnej chmury nad krawędzią pasma gór.

Pociąg zwolnił i nagły łoskot hamujących wagonów zakłócił rytmiczny stukot kół. Po chwili pociąg wjeżdżał już na dworzec w Johannesburgu. Sean zdjął bagaż z półki nad głową i podał przez okno stojącemu na peronie Mbejane. Wysiłek nie wywołał już bólu w brzuchu. Poza świeżą, nieregularną blizną w okolicy pępka był zupełnie zdrowy. Idąc ku wyjściu trzymał się prosto i czuł ulgę, że nie musi już się zginać, żeby oszczędzać żołądek.

Dojechawszy dorożką przed kwaterę Achesona, Sean zostawił Mbejane z bagażami, a sam przedarł się przez zatłoczony hall i wspinał się po schodach na piętro.

- Dzień dobry, pułkowniku. - Ordynans rozpoznał go natychmiast i stanął w postawie na baczność tak gwałtownie, że przewrócił stołek.

- Dzień dobry, Thompson - przywitał go Sean. Honory związane z jego rangą nadal wprawiały go w zakłopotanie. Thompson rozluźnił się i spytał już mniej formalnym tonem:

- Jak pan się czuje, sir? Przykro mi z powodu pańskiej rany, sir.

- Dziękuję, Thompson. Czuję się już zupełnie dobrze. Czy zastałem majora Petersona?

Peterson wyraźnie ucieszył się na widok Seana i zaczął go troskliwie wypytywać o ruchy kiszek, które były często najprzykrzejszą dolegliwością po postrzale w brzuch. Sean zapewnił go, że ma się zupełnie dobrze.

- Może napijesz się herbaty? - zaproponował Peterson. - Stary jest w tej chwili zajęty, ale przyjmie cię za dziesięć minut. - Krzyknął na Thompsona, żeby przyniósł im herbaty, a potem wrócił do rany Seana. - Założę się, że została ci niezła blizna, co, stary draniu? - zapytał.

Sean poluźnił pasek, rozpiął mundur i wyciągnął koszulę ze spodni. Peterson wyszedł

zza biurka i przyjrzał się z bliska owłosionemu brzuchowi Seana.

- Bardzo ładnie. Nieźle cię pozszywali. - Peterson zaopiniował jak ekspert. - Też mam jedną bliznę z Omdurmanu. Jeden z tych czarnych diabłów trafił mnie swoją wielką, brudną włócznią. - Peterson rozpiął koszulę i pokazał swoją bladą klatkę piersiową. Teraz Sean musiał przez grzeczność przyjrzeć się i pokiwać głową nad małą trójkątną szramą na piersi Petersona, choć w głębi ducha nie był pod wrażeniem. Następnie Peterson pokazał mu blizny na głowie.

- Mam jeszcze jedną. Cholernie bolesną! - Rozpiął pasek i częściowo ściągnął spodnie, gdy otworzyły się wewnętrzne drzwi.

- Panowie, mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadzam? - spytał grzecznie generał Acheson. Przez chwilę panowało zamieszanie, kiedy obaj starali się pośpiesznie doprowadzić do porządku. Peterson dokonał szybko wyboru, który nie był uwzględniony w prawie wojennym. Był to z pewnością jeden z niewielu momentów w historii, kiedy dowódca dywizji został przyjęty przez wyższego oficera stojącego na baczność ze spodniami wokół kostek. Major Peterson sprawiał przy tym bardzo szczególne wrażenie w swoich czerwonych, flanelowych gatkach. Kiedy Acheson zorientował się w powodach tego nieprzepisowego zachowania, sam nabrał ochoty, żeby pochwalić się swoimi bliznami, ale w ostatniej chwili udało mu się powstrzymać. Wprowadził Seana do swojego gabinetu i poczęstował go cygarem.

- Co słyhać, Courteney? Mam nadzieję, że nie szuka pan u mnie pracy, co?

- Wręcz przeciwnie. Chcę wycofać się z całej zabawy, sir.

- Myślę, że da się to załatwić. Nasz skarbnik z ulgą przyjmie tę nowinę. - Acheson pokiwał głową. - Każę Petersonowi przygotować pańskie papiery.

- Chciałbym wyjechać już jutro - nalegał Sean i Acheson się uśmiechnął.

- Bardzo się panu śpieszy. W porządku. Peterson wyśle je panu pocztą do podpisu. Pański oddział został już rozwiązany, więc nie ma sensu trzymanie pana tutaj.

- Świetnie. - Sean oczekiwał oporu i teraz roześmiał się z ulgą.

- Zostały nam trzy sprawy do załatwienia - mówił dalej Acheson i Sean zmarszczył podejrzliwie brwi.

- Tak?

- Po pierwsze, pożegnalny prezent od Jego Królewskiej Mości. Przyznano panu Distinguished Service Order za złapanie Leroux. Wręczanie odznaczeń odbędzie się w przyszłym tygodniu. Lord Kitchener chciałby osobiście panu pogratulować.

- Nie ma mowy! Jeśli miałbym zostać w Johannesburgu, to rezygnuję z tego

przywileju.

Acheson zachichotał.

- Co za zadziwiający brak wdzięczności! Myślę, że Peterson może panu przysłać także i medal. Po drugie, udało mi się wpłynąć na komisję do spraw odszkodowań wojennych. Mimo że parlament nie zatwierdził jeszcze ustawy, zdecydowali się uznać pańską petycję.

- Dobry Boże! - Sean był szczerze zaskoczony. Pod wpływem rady Achesona Sean złożył podanie o odszkodowanie w wysokości dziesięciu tysięcy funtów, które Burowie zabrali z jego konta w Volkskaas Bank na początku wojny. Nie oczekiwał wiele po swojej prośbie i szybko o niej zapomniał. - Nie wierzę, że zdecydowali się zwrócić mi całą sumę, co?

- Niech pan nie będzie naiwny, Courteney - roześmiał się Acheson. - Tylko dwadzieścia procent z możliwością wyrównania gdy ustawa zostanie zatwierdzona. Zawsze dwa tysiące funtów to lepiej niż nic. Tu ma pan czek. Musi go pan podpisać.

Sean przyjrzał się kawałkowi papieru z prawdziwą przyjemnością. Spora ulga, kiedy przyjdzie do spłacania długu zaciągniętego w Natalskim Przedsiębiorstwie Akacyjnym. Podniósł wzrok na Achesona.

- A trzeci punkt? - zapytał.

Acheson podsunął w jego stronę mały kartonik.

- Moja wizytówka i zaproszenie do odwiedzenia nas, jeśli znajdzie się pan w Londynie. - Wstał i wyciągnął rękę. - Powodzenia, Sean. Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy.

Podniecony myślą, że jest wolny, i perspektywą czulego pożegnania z Candy, Sean udał się najpierw na dworzec, gdzie zarezerwował miejsce w porannym pociągu do Ladyburga i przetelegrafował do Ady wiadomość o swoim powrocie do domu. Następnie skierował się do hotelu na ulicy Commissioner i w recepcji spytał o właścicielkę.

- Pani Rautenbach odpoczywa, sir, i nie wolno jej teraz przeszkadzać - poinformował go recepcjonista.

- W porządku! - Sean wręczył mu pół gwinei i puszczając mimo uszu jego protesty zaczął się wspinać po marmurowych schodach.

Wszedł cicho do apartamentu Candy i podszedł do drzwi jej sypialni. Miał zamiar sprawić jej niespodziankę i udało mu się to lepiej, niż mógłby przypuszczać. Candy Rautenbach nie odpoczywała. Wręcz przeciwnie, była bardzo zajęta zabawianiem pewnego dżentelmena, którego mundur wisiał na jednym z obitych czerwonym pluszem krzeseł i wskazywał, że gość Candy jest podoficerem w służbie Jego Królewskiej Mości.

Następne poczynania Seana wynikały z założenia, że Candy jest jego wyłączną własnością. Ogarnięty słusznym oburzeniem zapomniał, że przyszedł się pożegnać, że jego stosunki z nią były co najmniej nieokreślone i sporadyczne i że następnego ranka miał wyjechać, żeby oświadczyć się innej kobiecie. Sean widział tylko kukułkę we własnym gniazdku.

Ażeby uniknąć zdyskredytowania podoficera czy jego regimentu, należy pamiętać, iż jego znajomość układów rodzinnych Candy była o wiele mniejsza niż jej anatomii. Przedstawiono mu ją jako Mrs Rautenbach i w tej chwili, kiedy tak gwałtownie przywrócono go do rzeczywistości, przyjął, że potężny mężczyzna, idący ku łóżku i ryczący jak ranny byk, musi być panem Rautenbachem, który wrócił do domu z wojny. Podoficer począł czynić przygotowania do opuszczenia sypialni. Szybko wyskoczył z olbrzymiego łóżka po przeciwnej stronie, niż zbliżający się Sean. Nadmiar adrenaliny w żyłach przyspieszył znacznie bieg jego myśli. Podoficer stwierdził, że nie może uciec nago pomiędzy ludźmi, że pozycja domniemanego pana Rautenbacha blokuje mu drogę ucieczki i że mąż Candy nosi mundur i insygnia pułkownika. Zwłaszcza ten ostatni szczegół zdeprymował młodego podoficera, który pochodził ze starej, szanowanej rodziny i doskonale rozumiał zwyczajowe prawa obowiązujące w porządnym towarzystwie. Kodeks honorowy zdecydowanie potępiał nadmierne zajmowanie się żoną wyższego stopniem oficera.

- Sir - zaczął, prostując się godnie. - Mogę panu wszystko wyjaśnić.

- Ty mały draniu! - odparł Sean tonem, który wskazywał, że takie wyjaśnienia niewiele go obchodzą. Wybierając najkrótszą drogę, czyli przez łóżko, Sean rzucił się na niego. Candy, do tej pory zajęta pośpiesznym okrywaniem się, krzyknęła przerażona. Podniosła swój jedwabny szlafroczek w taki sposób, że owinął się wokół nóg Seana, kiedy próbował ją ominąć, i zaplątał się o jego ostrogi. Sean runął z takim łomotem, że wystraszył gości w głównym hallu. Leżał zamroczony z nogami na łóżku, a głową i ramionami na podłodze.

- Uciekaj! - krzyknęła Candy na podoficera, gdy Sean zaczął się poruszać. Zebrała pościel i zakryła nią dokładnie Seana, uniemożliwiając mu wyrwanie się.

- Szybciej. Na miłość boską, pośpiesz się! - prosiła patrząc, jak jej przyjaciel skacze na jednej nodze, niezdarnie wciągając spodnie. - Rozerwie cię na strzępy. - Usiadła szybko na rzucającej się i klnącej gorze pościeli i ubrań.

- Nie martw się o buty - poradziła i podoficer wsadził je sobie pod pachę, zarzucił marynarkę na ramiona, a hełm wcisnął na głowę.

- Dziękuję, madam - powiedział i dodał z rycerskim wyrazem twarzy: - Bardzo mi

przykro z powodu kłopotów, jakie pani sprawiłem. Proszę przekazać moje przeprosiny mężowi.

- Wynoś się, głupcze! - krzyknęła. Trzymała z całych sił Seana, który zaczął się podnosić klnąc bezustannie. Kiedy podoficer zniknął za drzwiami, zeszła z Seana i poczekała, aż wynurzy się spod pościeli.

- Gdzie on jest? Zabiję go! Zamorduję małego drania! - Sean zrzucił z siebie prześcieradło, podniósł się i rozglądał wściekłym wzrokiem po sypialni. Najpierw zobaczył Candy, która trzęsła się ze śmiechu. Widok białego i delikatnego ciała roznegliżowanej Candy przesłonił Seanowi resztę pokoju. Nawet jeśli jej śmiech był nieco histeryczny, nie sprawiało to nieprzyjemnego wrażenia.

- Dlaczego mnie powstrzymałaś? - spytał ostro Sean, ale jego uwagę coraz bardziej przyciągały piersi Candy.

- Myślał, że jesteś moim mężem - odetchnęła głęboko.

- Mały drań - warknął Sean.

- Był taki słodziutki. - Nagle przestała się śmiać. - A kim ty, do diabła, jesteś, żeby wchodzić do mnie bez pukania, co? Myślisz, że jesteś panem świata i wszystko do ciebie należy?

- Ty do mnie należysz.

- Jak cholera! - wybuchnęła Candy. - Wynoś się stąd, ty wielki, głupi ośle!

- Załóż coś na siebie. - Sprawy przybierały nieoczekiwany obrót. Sean oczekiwał skruchy i przeprosin.

- Wynoś się stąd! - wrzasnęła na niego i wpadła w prawdziwą pasję. Sean jeszcze nigdy nie widział jej w takim stanie i ledwo się uchylił przed wielką wazą, która przeleciała mu obok głowy. Podniecona odgłosem pękającej porcelany Candy cisnęła następny pocisk, ornamentowane lustro, które rozbiło się z wielkim hukiem na ścianie za Seanem. Buduar był utrzymany w stylu wiktoriańskim i zapewniał jej nieskończoną ilość amunicji. Mimo zręcznych uników, Sean nie mógł obronić się przed wszystkimi latającymi w powietrzu przedmiotami i w końcu oberwał portretem jakiegoś oficera w złożonych ramach. Gust Candy wyraźnie ciążył ku wojskowym.

- Ty mała suko! - ryknął z bólu Sean i rzucił się do ataku. Candy spróbowała uciekać, ale złapał ją naga i krzyczącą przy drzwiach, zarzucił sobie na ramię i mimo silnych kopniaków zaniósł do łóżka.

- Poczekaj no tylko - mruknął, układając ją sobie na kolanie z różowymi pośladkami ku górze. - Nauczę cię dobrych manier.



Pierwszy klaps zostawił czerwony odcisk jego palców na jej pulchnych pośladkach i Candy znieruchomiała. Drugi klaps nie był już tak silny, a trzeci przemienił się w czułe klepienie. Candy zaczęła płakać żałośnie.

Z podniesioną ręką Sean uświadomił sobie z przerażeniem, że pierwszy raz w życiu uderzył kobietę!

- Candy! - powiedział niepewnie. Ogarnęło go jeszcze większe zdumienie, gdy Candy obróciła się na jego kolanach, zarzuciła ramiona na szyję i przycisnęła mokry policzek do jego twarzy.

Na usta zaczęły mu się cisnąć słowa przeprosin, chciał ją błagać o przebaczenie, ale szybko wrócił zdrowy rozsądek i Sean spytał pożądlwym głosem:

- Czy jest ci przykro z powodu twojego zachowania? Candy chlipnęła i pokiwała głową.

- Proszę, wybacz mi, kochanie. Zasłużyłam na to. - Podniosła dłoń do jego ust. - Sean, wybacz mi. Jest mi tak bardzo przykro.

Wieczorem zjedli obiad w łóżku. Wczesnym rankiem, gdy Sean leniwie leżał w wannie, czując jak gorąca woda szczypie go w rany, zaczęli rozmawiać.

- Candy, jadę rannym pociągiem do Ladyburga. Chcę znaleźć się w domu na święta Bożego Narodzenia.

- Och, Sean! Czy nie możesz zostać? Choć na kilka dni.

- Nie.

- Kiedy wrócisz?

- Nie wiem.

Na długą chwilę zapadła cisza. Wreszcie Candy się odezwała.

- Jak widzę, nie ma dla mnie miejsca w twoich planach na przyszłość.

- Jesteś moją przyjaciółką - zaprotestował.

- No popatrz, czy to nie miłe? - Wstała. - Każę ci przynieść śniadanie.

W sypialni przystanęła na chwilę i przyjrzała się swojemu odbiciu w dużym lustrze. Niebieski jedwab szlafrocza harmonizował z kolorem jej oczu, ale w świetle dnia dostrzegła delikatne zmarszczki na szyi.

Jestem bogata, pomyślała. Nie muszę być sama. Odwróciła się od lustra.

**60.** Sean szedł wolno po żwirowanej ścieżce ku domowi Goldbergów. Szedł aleją wysadzaną drzewami o egzotycznej nazwie "Duma Indii", a rozciągające się wokół tarasami trawniki prowadziły prosto do rokokowej fasady domu. Ranek był ciepły i leniwy, a gołębie gruchały sennie w koronach drzew.

Zza krzewów dobiegł go stłumiony śmiech. Sean zatrzymał się i słuchał go przez chwilę. Nagle ogarnęło go uczucie niepewności, wręcz lęku przed tym spotkaniem. Nie miał pojęcia, jak zostanie przyjęty, bo Ruth nie odpisała na jego list.

W końcu ruszył przez trawnik ku amfiteatrowi bielejącemu na jego skraju. W małej nieszce przed nim stała miniaturowa replika Panteonu. W słońcu lśniły białe kolumny, a małą świątynię otaczał staw z rybami. Sean dostrzegł ciemny zarys karpia płynącego w zielonej wodzie pod liliami. Kwiaty lilii wodnych były białe, żłociste i purpurowe.

Ruth siedziała na marmurowym stopniu nad brzegiem stawu, cała w czerni, ale z obnażonymi ramionami, które wyciągnęła, wołając:

- Chodź, Storm. Chodź do mnie.

Dziesięć kroków od niej, siedząca na trawie Storm Friedman przyjrzała się matce poważnym wzrokiem spod ciemnych loków.

- Chodź, kochanie - ponagliła ją Ruth i dziewczynka pochyliła się do przodu. Podniosła wolno pulchną pupę, aż ta wycelowwała w niebo, a koronkowe majteczki przesunęły się pod krótką sukienką. Pozostała w tej pozycji przez kilka sekund. Wreszcie podniosła się z wysiłkiem na tłuście, różowe nóżki i stała kiwając się na wszystkie strony. Ruth zaklaskała w dłonie z radości, a Storm uśmiechnęła się do niej triumfalnie, ukazując cztery białe ząbki.

- Chodź do mamusi - zaśmiała się Ruth i dziewczynka zrobiła kilkanaście niepewnych kroków, zanim uznała ten środek lokomocji za niepraktyczny. Opuściła się na czworaka i w ten sposób dobiegła do matki.

- Oszukiwałaś! - oskarżyła ją Ruth. Poderwawszy się z ziemi, złapała ją na ręce i podniosła wysoko do góry. Storm krzyknęła z zachwytem.

- Jeszcze! - zażądała. - Jeszcze!

Sean chciał się śmiać z nimi. Chciał biec i złapać je w swoje ramiona. Nagle zrozumiał, że to jest cały smak jego życia, sens istnienia. Kobieta i dziecko. Jego kobieta i jego dziecko.

Ruth podniosła wzrok i spostrzegła go. Zamarła, przyciskając dziecko do piersi. Jej twarz była bez wyrazu, gdy patrzyła, jak schodzi do niej po stopniach amfiteatru.

- Dzień dobry. - Zatrzymał się przed nią, gniotąc kapelusz w rękach.

- Dzień dobry, Sean - szepnęła, kąciki jej ust podniosły się w niepewnym uśmiechu i

Ruth zaczerwieniła się. - Tak długo się nie odzywałeś. Bałam się, że już nie przyjedziesz.

Twarz Seana rozpromieniła się natychmiast. Zrobił krok ku niej, gdy nagle przyglądająca mu się ciekawie Storm zaczęła rzucać się w ramionach matki, krzycząc jednocześnie:

- Pan! Pan! - Opierając się mocno o brzuch matki wyginała się do tyłu. Nagle dziewczynka zdecydowana dosięgnąć Seana wychyliła się z ramion matki tak, że zaskoczona Ruth straciła równowagę. Sean rzucił kapelusz i złapał Storm, zanim upadła na ziemię.

- Jeszcze! Jeszcze! - krzyczała, podskakując w jego ramionach. Jedną z niewielu rzeczy, jakie Sean wiedział o dzieciach, było istnienie małego pulsującego miejsca na czubku głowy, które jest wyjątkowo delikatne. Trzymał córkę kurczowo w ramionach równie przerażony możliwością upuszczenia jej, jak rozgniecenia przez nieuwagę. Wreszcie Ruth przestała się śmiać i uwolniła go od trudnego obowiązku.

- Chodź do domu. Właśnie jest pora na herbatę.

Szli powoli przez trawnik z Storm pomiędzy sobą, trzymając ją za rękę, tak że dziecko nie musiało już przejmować się problemem zachowania równowagi i mogło się skoncentrować na fascynującym sposobie poruszania się, przy którym jej nogi na przemian to pojawiały się przed nią, to znikały.

- Sean. Muszę podać odpowiedź na jedno pytanie. - Ruth patrzyła cały czas na dziecko. - Czy ty... - Zamilkła na chwilę. - Saul... Czy mogłeś zapobiec temu, co się stało? Chodzi mi o to, że ty nie... - Nie dokończyła zdania.

- Nie, nie mogłem - odpowiedział chropowatym głosem Sean.

- Przysięgnij, Sean. Tak jak zależy ci na zbawieniu, przysięgnij mi - prosiła.

- Przysięgam ci. Przysięgam... - Szukał przez chwilę czegoś poza swoim życiem, które nie było dostatecznie ważne. - Przysięgam ci na życie naszej córki.

Ruth odetchnęła z ulgą.

- Właśnie dlatego nie pisałam do ciebie wcześniej. Musiałam mieć pewność.

Chciał jej powiedzieć, że zamierza ją zabrać ze sobą; pragnął opowiedzieć jej o Lion Kop i olbrzymim pustym domu, który czekał, aż ona wniesie do niego życie. Czuł jednak, że to nie jest odpowiedni moment - nie po tym, jak przed chwilą rozmawiali o Saulu. Będzie musiał poczekać.

Powstrzymał się przed poruszeniem tego tematu, zaś Ruth przedstawiła go Goldbergom i zostawiła go z nimi, żeby przekazać córkę opiekunce. Wróciła wkrótce do pokoju, gdzie Sean podtrzymywał rozmowę przy herbacie, żeby Goldbergowie niczego nie

dostrzegli w jego oczach, kiedy patrzył na Ruth.

Czekał, aż zostali wreszcie sami przed domem, i w końcu nie wytrzymał.

- Ruth, ty i Storm jedziecie ze mną do domu.

Ruth nachyliła się, zerwała żółty kwiatek i ze zmarszczonymi brwiami odłamała kolce z gałązki, zanim podniosła na niego wzrok.

- Naprawdę, Sean? - spytała niewinnym tonem, a Sean powinien był dostrzec ostrzeżenie w jarzających się w jej oczach iskierkach.

- Tak - potwierdził. - Możemy wziąć ślub w przeciągu kilku dni. Potrzebuję tylko czasu, żeby załatwić specjalne zezwolenie, a ty będziesz mogła się spakować. Potem pojedziemy do Lion Kop. Nie mówiłem ci jeszcze...

- Niech cię diabli - powiedziała cicho. - Niech diabli porwą twoją zarozumiałość i twoją cholerną arogancję.

Sean patrzył na nią ze zdumieniem.

- Przychodzisz tu z pejczem w dłoni, machniesz nim raz i oczekujesz, że dam głos i skoczę przez obręcz. - Ruth najwyraźniej została doprowadzona do szewskiej pasji. - Nie wiem, co cię łączyło z innymi kobietami, ale ja nie jestem jakąś markietanką i nie pozwolę, żebyś traktował mnie w ten sposób. Czy przyszło ci do głowy choć na chwilę, że mogę nie być gotowa do przyjęcia twojej wspaniałomyślnej oferty? Jak mogłeś zapomnieć, że jestem wdową od zaledwie trzech miesięcy? Czy jesteś zupełnie ślepy, żeby nie widzieć, że nie mogę pobiec znad grobu męża wprost do twojego domu?

- Ależ, Ruth, ja cię kocham. - Sean usiłował powstrzymać wybuch, ale Ruth krzyknęła na niego wściekłym głosem.

- Więc udowodnij to, do diabła! Bądź delikatny. Traktuj mnie jak kobietę, a nie jak sprzęt. Staraj się mnie zrozumieć.

Zaskoczenie Seana ustąpiło miejsca gniewowi, równie gwałtownemu, jak jej własny. Teraz on podniósł na nią głos.

- Nie byłaś taka drobiazgowa w noc burzy czy później! Cofnęła się o krok, jakby uderzył ją w twarz, i zmięty pęk róży wypadł jej z dłoni.

- Ty świnió - szepnęła. - Wynoś się stąd i więcej nie wracaj.

- Do usług szanownej pani. - Założył kapelusz na głowę, obrócił się na pięcie i pomaszerował przez trawnik. Kiedy doszedł do zwirowej ścieżki, zwolnił kroku i zatrzymał się, walcząc z dumą i gniewem.

Wolno się odwrócił. Gładki, zielony trawnik był pusty. Ruth zniknęła.

Ruth wbiegła do domu po szerokich marmurowych schodach, ale kiedy dopadła do okna sypialni, Sean znajdował się już w połowie podjazdu. Z wysokości drugiego piętra wydawał się jej niższy i bardziej masywny, a jego ciemny garnitur odcinał się wyraźnie od jaśniejszej drogi. Doszedł do bramy i zatrzymał się. Ruth wychyliła się, żeby mógł ją łatwiej zauważyć, kiedy się obejrzy. Zobaczyła, jak spokojnie przypala długie, czarne cygaro, odrzuca zapalną, poprawia kapelusz i odchodzi z wyprostowanymi ramionami.

Patrzyła przez długi czas z niedowierzaniem na dwie kolumny przy bramie i dalej na żywopłot z głogu, za którym zniknął. Odeszła wolnym krokiem od okna i usiadła na łóżku.

- Dlaczego nie zrozumiał? - spytała cichym głosem.

Wiedziała, że płakać będzie później, w nocy, gdy zacznie się prawdziwa samotność.

**61.** Sean wrócił do Ladyburga w mgliste południe zimowego dnia. Gdy pociąg toczył się wolno wzdłuż krawędzi skarpy, stał na tylnym podeście wagonu i przyglądał się ciemnozielonej plamie Lion Kop na wzgórzach. Widok farmy poruszył go, choć radość nie była pełna.

Jestem w połowie drogi. W tym roku skończę czterdzieści jeden lat. Z moich wysiłków i szaleństw musiało wynikać coś trwałego. Muszę podsumować swój majątek.

W gotówce mam trochę ponad dwa tysiące funtów (z podziękowaniem dla komisji do spraw odszkodowań wojennych). Posiadam piętnaście tysięcy akrów ziemi, z opcją na zakup następnych piętnastu tysięcy. Na dziesięciu tysiącach rosną akacje, które w przyszłym roku będą się nadawały do okorowania. Wziąłem dużą pożyczkę na rozwój tego interesu, a warunki nie są złe, więc mogę powiedzieć, że jestem zamożnym człowiekiem.

Jeśli chodzi o moje ciało, to mam trochę siwych włosów, ładną kolekcję blizn i złamany nos. Nadal jednak potrafię przenieść stufuntowy worek kukurydzy pod każdym ramieniem, mogę zjeść połowę jagnięcia za jednym posiedzeniem, zdołam policzyć bez lornetki antylopy w oddalonym o dwie mile stadzie, a Candy, która zna się na takich sprawach, nie narzekała na moją witalność. Nie jestem jeszcze stary.

Oprócz tego mam syna, który należy do mnie (i drugiego syna, i córkę, którzy nie należą do mnie). Mimo że straciłem najlepszych przyjaciół, wielu mi jeszcze pozostało. Sądzę, że mam więcej przyjaciół niż wrogów.

Równie ważne jest, że udało mi się znaleźć właściwą drogę i kierunek w życiu. Wiem, czego chcę. Kurs jest wytyczony, a wiatr mi sprzyja. To moje aktywa. Należą do mnie i mogę się nimi cieszyć do woli. Jakie są moje pasywa? Pożyczone pieniądze, nienawiść brata i syna, a może także Ruth.

Ruth odeszła! Ruth odeszła! Stukały podkłady pod wagonem. Ruth odeszła! Ruth odeszła! Szydziły z niego.

Sean zmarszczył brwi i zmusił swój umysł do wypowiedzenia innych słów.

Wiatr jest sprawiedliwy! Wiatr jest sprawiedliwy!

Przez następne miesiące Sean wykorzystywał całą swoją energię do pracy nad rozwijaniem Lion Kop. Zaplanował ścinanie drzew i zdecydował się okorować jedną trzecią akacji na rok przed osiągnięciem pełnej dojrzałości, zaś pozostałe dwie trzecie ścinać przez następne dwa lata. Spożytkował zaoszczędzone dwa tysiące funtów nie na spłacenie długów, ale na obsadzenie wolnej części farmy akacjami. Kiedy tego dokonał, nadal potrafił wypełniać cały wolny czas pracą. Kupił sobie teodolit i podręcznik do nauki miernictwa,

sporządził plan swojej posiadłości, podzielił plantację na części i jeszcze przed rozpoczęciem ścinki wytyczył nowe drogi dojazdowe.

Wkrótce okazało się jednak, że brakuje mu zajęcia, więc udał się do Denisa Petersona i spędził cały dzień na dyskutowaniu kwestii wykupu farmy Mahobo Kloof, na którą nabył opcję. Nie dysponował żadną gotówką, a Jackson z Natalskiego Przedsiębiorstwa Akacyjowego zdecydowanie odrzucił możliwość dalszego kredytowania. Kiedy Denis nie zgodził się rozważyć rozłożenia spłat na dłuższy termin, Sean odwiedził Ronny'ego Pye'a w siedzibie spółki Ladyburg Banking & Trust. Szansa była nikła i Sean nie potrafił ukryć zdziwienia, kiedy Ronny poczęstował go kawą i cygarem, a następnie wysłuchał z uwagą.

- Sean, stawiasz wszystkie pieniądze na jednego konia - ostrzegł go Ronny.

- W tym biegu jest tylko jeden koń. Nie mogę przegrać.

- Bardzo dobrze. - Ronny skinął głową. - Mogę ci zaproponować następującą umowę. Pożyczę ci całą kwotę niezbędną na zakup Mahobo Kloof i dodam dziesięć tysięcy na rozbudowę plantacji. W zamian za to dasz mi list zastawny na Mahobo Kloof i drugi list zastawny na Lion Kop po Natalskim Przedsiębiorstwie Akacyjowym.

Sean przyjął ofertę. Tydzień później Ronny Pye skontaktował się z Jacksonem w Pietermaritzburgu. Po wstępnej wymianie grzeczności Ronny spytał:

- Co sądzisz o tych wekslach od Courteneya?

- Zabezpieczenie jest dobre - odparł z wahaniem Jackson. - Wydaje mi się jednak, że niektóre decyzje podejmuje bez zastanowienia.

- Mógłbym je ewentualnie od ciebie wykupić - napomknął Ronny i Jackson potarł nos, żeby ukryć ulgę.

Sean z radością skierował całą armię Zulusów do pracy na porośnięte trawami wzgórza Mahobo Kloof. Przyglądał się z prawdziwą przyjemnością długim rzędom spoconych czarnych robotników, którzy rozkopywali żyzną, czerwoną ziemię i umieszczali w niej sadzonki.

Dirk właściwie nie odstępował ojca na krok, a jego wizyty w szkole stawały się coraz bardziej sporadyczne. Sean, przekonany, że jego syn nigdy nie zostanie uczonym, wybaczał mu wszelkie dolegliwości żołądkowe, które uniemożliwiały pójście na lekcje, ale przechodziły po kilku minutach, kiedy chłopiec jechał za ojcem na plantację. Dirk przybierał teraz taką samą postawę jak ojciec, identycznie siedział w siodle i tak samo ustawiał stopy idąc długim krokiem. Słuchał każdego słowa Seana, a później powtarzał wszystko, nie opuszczając przekleństw. Wieczorami na zboczach skarpy razem polowali na przepiórki,

bażanty i perliczki. W niedzielę, kiedy Sean wybierał się z sąsiadami na polowanie na antylopy, jechał na pokera czy zwyczajnie, żeby popić i pogadać z kolegami, Dirk towarzyszył mu wszędzie jak cień.

Mimo protestów Seana po jego powrocie, Ada przeniosła się wraz ze swoimi dziewczętami do domku na ulicy Protea. Dom na Lion Kop przypominał olbrzymią pustą skorupę. Sean z Dirkiem zajmowali tylko trzy z piętnastu pokoi, a i one nie były zbyt bogato wyposażone. W mieszkaniu nie było ani dywanów na podłogach, ani obrazów na ścianach. Sean ustawił jedynie kilka pokrytych skórą krzesel, metalowe łóżka, prosty, zбитy z desek stół i dwie szafki. Książki i wędki wały się po kątach, a dwa karabinki i strzelba stały na stojaku koło kominka. Podłoga była już tak brudna, że pod łózkami i krzesłami leżały pokłady kurzu, wszędzie było widać ciemne plamy pozostawione przez szczeniaki pointera, a w sypialni Dirka, której Sean nigdy nie odwiedzał, wały się stare skarpety, brudne koszule, szkolne zeszyty i trofea polowań.

Dom najwyraźniej nie interesował Seana. Mógł tu spać i jeść, miał zapewniony dach nad głową w czasie deszczu, ciepło z kominka w zimne noce i światło lampy, kiedy oddawał się swojej nowej pasji: czytaniu. Z zakupionymi od przypadkowego komiwojażera okularami na nosie, spędzał wieczory na pochłanianiu książek o polityce i podróżach, podręczników z ekonomii i miernictwa, matematyki i medycyny, podczas gdy Dirk udając, że odrabia lekcje, pożerał wręcz ojca wzrokiem. Czasami, kiedy Sean był zajęty pisaniem listów i zapominał o obecności syna, Dirk siedział przy nim w pokoju do późnej nocy.

Sean pisał regularnie do Jannie Niemanda i Jana Paulusa Leroux. Dwaj przyjaciele założyli partię w Transwalu i wywierali na niego delikatny nacisk, żeby zorganizował w Natalu odpowiednik Partii Południowoafrykańskiej i stanął na jej czele. Sean zachowywał rezerwę. Obiecał, że zastanowi się nad ich propozycją, ale jeszcze nie teraz.

Raz w miesiącu otrzymywał list od Johna Achesona. Acheson wrócił do Anglii i cieszył się uznaniem narodu. Otrzymał tytuł lorda Caisterbrook i ze swojego miejsca w Izbie Lordów informował Seana o nastrojach panujących wśród angielskiego społeczeństwa oraz o zamierzonej polityce państwa.

Czasami, nawet częściej, niż zgodziłby się przyznać do tego, Sean myślał o Ruth. W końcu zawsze wpadał w złość, siedział smutny i rozpaczliwie samotny. Uczucie opuszczenia wzbierało w nim tak, że tracił ochotę do snu i maszerował w nocy do oddanej mu wdowy, mieszkającej w jednym z domków robotniczych przy kolei.

Nie był jednak szczęśliwy aż do dnia na początku września 1903 roku, kiedy to otrzymał zdobioną kartę następującej treści:



Panna Storm Friedman zaprasza pułkownika Seana Courteneya, D.S.O.,  
D.C.M., na przyjęcie z okazji jej trzecich urodzin. Przyjęcie odbędzie się  
26 września o godzinie szesnastej  
(uprzejmie prosimy o potwierdzenie zaproszenia)  
The Golds, Chase Valley,  
Pietermaritzburg.

W prawym dolnym rogu znajdował się niebieski odcisk paluszka wielkości  
trzy pensówki.

**62.** Dwudziestego czwartego Sean odjechał pociągiem do Pietermaritzburga, a Dirk wrócił z Adą do domu na ulicy Protea. Tej nocy Mary leżała rozbudzona w łóżku i słuchała, jak Dirk płacze za ojcem. Ich łóżka rozdzielała jedynie cienka drewniana ścianka. Domek Ady nie był z początku zaprojektowany z myślą o pracowni krawieckiej z pokojami dla pracownic. Ada rozwiązała problem dzieląc wielką werandę z tyłu domu na malutkie pokoiki, w których mieściło się łóżko, szafka i umywalka. Pokój Mary i Dirka przylegały do siebie.

Mary leżała przez godzinę i słuchała płaczu chłopca, modląc się w duszy, żeby wreszcie się uspokoił i zasnął. Dwa razy myślała, że jej modły zostały wysłuchane, ale za każdym razem po kilkuminutowej ciszy znowu dobiegały ją żałosne chlipnięcia. Każde z nich przesywało jej serce niczym ukłucie szpilką. Leżała wyprostowana pod kołdrą z pięciami zaciśniętymi tak mocno, że w końcu zaczęły ją boleć palce.

Dirk już od dawna stał się sensem jej istnienia. Był dla niej jedyną radością w życiu. Uwielbiała aż do bólu jego piękną twarz, młodość i nienaganne ciało. Kochała delikatny dotyk jego skóry i sprężyste jedwab włosów. Patrząc na Dirka zapominała o własnej szpetocie. Jej zniszczona przez ospę twarz traciła wszelkie znaczenie.

Miesiące, kiedy była od niego oddzielona, przemieniły się w prawdziwą agonię z samotności. Jednak teraz Dirk wrócił i znowu potrzebował od niej otuchy i pocieszenia. Wyśliznęła się z łóżka i stała spięta pod wrażeniem własnego uczucia, wyrażając je całą swoją postacią. Białe światło księżyca wpadające przez okno osłonięte moskitierą potraktowało jej ciało z wyjątkową łagodnością. Nie widać było siateczki blizn, które przecinały jej twarz. Jej dwudziestojednoletnie ciało pod cienką koszulą nocną wydawało się szczupłe, ozdobione pełnymi piersiami i zupełnie nieświadome śladów zniszczeń na twarzy. To młode i delikatne ciało, otoczone jasnym światłem księżyca nadawało dziewczynie wygląd anioła.

Dirk ponownie zaczął łkać i Mary poszła do niego.

- Dirk - szepnęła kucając przy jego łóżku. - Dirk, proszę nie płacz, proszę, moje kochanie.

Dirk powstrzymał łkanie i odwrócił się od niej, zasłaniając twarz rękami.

- Szsz, kochanie. Już wszystko w porządku. - Mary zaczęła gładzić go po włosach, lecz jej dotyk wywołał nowy atak płaczu dławiąc chłopca, który drżał na całym ciele.

- Och, Dirkie, proszę cię... - Wsunęła się do niego do łóżka. Pościel była rozgrzana i mokra w miejscu, gdzie trzymał głowę. Mary przytuliła go do piersi i kołysała w ramionach.

Jej samotność gwałtownie zażądała ukojenia. Jej głos nabrał matowego brzmienia, gdy szeptała do niego. Przycisnęła Dirka mocniej do piersi czując, jak narasta w niej

pożądanie.

Dirk wydał z siebie jeszcze jedno konwulsyjne chlipnięcie i uspokoił się. Mary czuła, jak rozluźnia się w jej ramionach, a jego krągłe pośladki wpinają się w jej brzuch. Tuląc się do niego gładziła go po policzku i szyi.

Dirk odwrócił się do niej. Jego pierś podnosiła się i opadała, oparta o jej piersi, a głos chłopca był stłumiony od żalu.

- Nie kocha mnie. Opuścił mnie.

- Ja cię kochani, Dirk - szepnęła. - Kocham cię... wszyscy cię kochamy. - Całowała go w oczy, policzki i usta, smakując słone, gorące łzy.

Dirk westchnął jeszcze raz i pochylił głowę, aż spoczęła na jej piersiach. Czuła, jak jego twarz wciska się pomiędzy nie i objęła dłońmi jego głowę, i przytuliła do siebie.

- Dirkie... - Głos jej zamarł w gardle, gdy w jej ciele zapłonął nieznany płomień.

Rankiem Dirk obudził się powoli z uczuciem zdziwienia. Leżał nieruchomo i zastanawiał się, nie mogąc pojąć, skąd bierze się to bezkształtne i ulotne wrażenie zaspokojenia, które go ogarniało.

Po chwili usłyszał, jak Mary porusza się w swoim pokoiku. Dobięł go chlupot wody nalewanej z dzbanka do miski i szelest ręcznika. Następnie usłyszał odgłos otwieranych, a potem zamykanych delikatnie drzwi i jej kroki oddalające się ku kuchni.

Przypomniał sobie wydarzenia ubiegłej nocy, wyraźnie i dokładnie w każdym szczególe. Nie wszystkie były w pełni zrozumiałe, ale tak intensywne, że wyparły inne myśli z jego głowy.

Odrzucił koc, podniósł się na łokciach, podciągnął nocną koszulę i zaczął przyglądać się swojemu ciału, jakby widział je pierwszy raz na oczy.

Usłyszał kroki na korytarzu zbliżające się do drzwi. Zakrył się szybko, podciągnął koc i udał, że śpi.

Mary weszła do pokoju na palcach i na stoliku obok łóżka postawiła filiżankę kawy z sucharkiem na spodeczku.

Dirk otworzył oczy i spojrzał na nią.

- Nie śpisz - stwierdziła.

- Nie.

- Dirk... - zaczęła i nagle się zaczerwieniła. Zniszczone policzki pokryły się rumieńcami, a głos opadł do szeptu, drżąc ze wstydu. - Nie możesz nikomu o tym powiedzieć. Musisz zapomnieć o wszystkim... co się stało.

Dirk nic nie odpowiedział.

- Obiecaj mi, Dirkie. Proszę, obiecaj mi.

Skinął wolno głową. Nie próbował się nawet odezwać, smakował świadomość dominacji nad nią.

- Dirkie, to było złe. To była straszna rzecz. Nie wolno nam nawet myśleć o tym.

Podeszła do drzwi.

- Mary.

- Tak. - Zatrzymała się, nie odwracając do niego, a jej ciało przypominało kształtem ptaka, gotowego ulecieć w powietrze.

- Nie powiem nikomu... jeśli przyjdiesz dziś w nocy.

- Nie - syknęła gwałtownie.

- Więc powiem babci.

- Nie. Och, Dirkie. Nie zrobisz tego. - Podbiegła do łóżka i uklękła przy nim, sięgając po jego dłoń. - Nie możesz tego zrobić - nie wolno ci. Obiecałeś mi.

- Przyjdiesz? - spytał cicho.

Spojrzała na jego spokojną twarz, ciepłą opaloną skórę, zielone oczy i czarny jedwab kręcących się na głowie włosów.

- Nie mogę... to, co robiliśmy, jest straszne, okropne.

- Więc powiem - zagroził jej.

Wstała i wyszła wolno do swojego pokoiku z ramionami spuszczoneymi w geście rezygnacji. Dirk wiedział, że dziś w nocy do niego przyjdzie.

**63.** Sean przybył punktualnie do rezydencji Goldbergów w wynajętym powozie. Siedząc wśród stosu opakowanych w barwne papiery paczek przypominał egzotycznego mędrca ze Wschodu. Ograniczona wiedza na temat upodobań trzyletnich dziewczynek znalazła swój wyraz w doborze prezentów. Każda z paczek zawierała lalkę. Sean kupił porcelanowe lalki, które zamykały oczy, kiedy się je pochylało, szmaciane laleczki z jasnymi włosami, lalkę, która płakała, gdy naciśnięto się jej brzuszek i taką, która piła i wydalala wodę oraz kilkanaście lalek w strojach regionalnych.

Za powozem jechał Mbejane prowadząc podarunek, który Sean osobiście uważał za najlepszy wyraz swojego gustu. Był to srokaty kucyk szetlandzki, z ręcznie wykonanym angielskim siodłem, wytokiem i miniaturowymi lejcami.

Żwirowy podjazd był zastawiony powozami. Ostatnie sto jardów do domu Sean musiał pokonać piechotą, niosąc w ramionach stertę prezentów, które sięgały mu pod brodę i utrudniały znalezienie drogi. Za drogowskaz wybrał brzydki dach dworku, który mógł dostrzec znad paczek, i ruszył na oślep przez trawnik. Wokół niego narastały podniecone okrzyki i wreszcie Sean poczuł, jak ktoś go natarczywie ciągnie za spodnie na wysokości kolana. Zatrzymał się.

- Czy to moje prezenty? - dobiegł go słodki głosik z dołu. Wysunął głowę spomiędzy pakunków i spojrzał na uniesioną twarzyczkę małej Madonny. Duże lśniące oczy przyglądały mu się z niewinną czystością spod ciemnych loków opadających na czoło. Sean poczuł ukłucie w sercu.

- To zależy, jak się nazywasz. - Chciał się upewnić Sean.

- Nazywam się miss Storm Friedman z Golds w Chase Valley, Pietermaritzburg. No więc, czy to moje prezenty?

Sean przykucnął tak, że jego twarz znalazła się na tej samej wysokości, co twarz córki.

- Wielu szczęśliwych kolejnych urodzin, miss Friedman - powiedział.

- Ojejku! - Rzuciła się na prezenty drżąc z podniecenia, a otaczające ich kółko pięćdziesięciorga dzieci wydawało głośne okrzyki zachwyty.

Storm poradziła sobie z opakowaniami z zadziwiającą łatwością, posługując się zębami, tam gdzie palce nie mogły dać sobie rady ze sznurkami. Jeden z jej małych gości chciał jej pomóc, lecz Storm rzuciła się na niego jak mała dzika kotka z okrzykiem:

- To moje prezenty!

Chłopiec wycofał się na bezpieczną odległość. W końcu usiadła na ziemi wśród stosu lalek i porwanych papierów i wskazała na ostatnią paczkę, jaka została Seanowi.

- A ta? - spytała.

Sean potrząsnął przecząco głową.

- Nie, ta jest dla mamusi. Ale jeśli obejrzysz się za siebie, to znajdziesz jeszcze jeden prezent.

Mbejane stał koło kuca, uśmiechając się szeroko. Przez chwilę Storm była zbyt zaskoczona, żeby coś powiedzieć i wreszcie poderwała się na nogi wydając odgłos przypominający gwizd lokomotywy. Porzucając swoje nowe dzieci, podbiegła do kuca. Inne dziewczynki natychmiast rzuciły się na lalki, jak małe drapieżniki na zdobycz opuszczoną przez lwicę.

- Podnieś mnie! Podnieś mnie! - Storm podskakiwała z niecierpliwością. Sean wziął ją w ramiona i to ciepłe wierzgające w jego rękach ciało spowodowało, że serce забиło mu mocniej. Posadził ją delikatnie w siodle, podał lejce i poprowadził kucyka ku domowi.

Storm dotarła na taras, niczym królowa otoczona przez świtę małych dworzan.

Ruth stała z rodzicami małych gości przy zastawionym słodyczami stole. Sean przekazał lejce Mbejane.

- Uważaj na nią - powiedział i wszedł na taras świadom podążających za nim spojrzeń. Poczuł ulgę na myśl, że spędził tego ranka godzinę u fryzjera i że zadbał o swoje ubranie: nowy garnitur z drogiej angielskiej wełny, wypolerowane do połysku buty, grubą złotą dewizkę zegarka kieszonkowego i białą różę w butonierce.

Stanął przed Ruth i zdjął kapelusz. Ruth wyciągnęła ku niemu rękę, wierzchem dłoni do góry.

- Sean, jak miło, że zechciałeś przyjechać.

Sean ujął podaną rękę. Tylko siła jego uczuć do Ruth skłoniła go do pochylenia głowy i muśnięcia ustami jej dłoni, gdyż w ogóle gardził tym francuskim obyczajem jako niegodnym mężczyzny.

- Jestem bardzo wdzięczny, że zechciałaś mnie zaprosić. Wyjął pudełko spod pachy i podał jej. Gdy Ruth bez słowa zdjęła pokrywkę, jej policzki zaczerwieniły się z radości na widok długich, pięknych róż.

- Och, Sean, to najpiękniejszy prezent! - uśmiechnęła się do niego i serce Seana odezwało się głośno po raz trzeci. Potem wzięła go za rękę.

- Chciałabym cię przedstawić moim przyjaciółom.

Tego wieczoru, gdy goście już się pożegnali, a wyczerpana dniem pełnym wrażeń Storm została położona do łóżka, Sean zjadł kolację z Goldbergami. Oboje państwo Goldbergowie szybko się zorientowali, że zainteresowanie, jakim Sean darzy Ruth, nie wynika z dawnej przyjaźni z Saulem. Przez całe popołudnie Sean podążał krok w krok za

Ruth, jak wielki bernardyn za wykwinnym pudełkiem.

Podczas kolacji zadowolony z siebie, Ruth, Goldbergów i życia w ogóle Sean oczarował panią Goldberg i rozwiał podejrzenia wuja Ruth, że może być awanturnikiem bez grosza przy duszy. Przy brandy i cygarach Sean i Ben dyskutowali na temat przedsięwzięć na farmie Lion Kop i Mahobo Kloof. Sean nie ukrywał finansowego ryzyka, jakie podjął, i Ben był pod wrażeniem śmiałej gry prowadzonej przez Seana przy spokojnej ocenie wszelkich przeciwności. Właśnie tak odważne posunięcia zapewniły Benowi Goldbergowi pozycję, jaką dziś zajmował, i myśl o starych dobrych czasach wprawiła go w sentymentalny, nostalgiczny nastrój. Kiedy wrócili do pań, Ben poklepał Seana po ramieniu i nazwał go "drogim chłopcem".

Stojąc na schodach i szykując się do odjazdu Sean spytał:

- Ruth, czy mogę cię jeszcze odwiedzić? A ona odpowiedziała:

- Będzie mi bardzo miło.

Dla Seana zaczął się zupełnie nowy okres w jego życiu, kiedy powoli na nowo zdobywał uczucia Ruth. Po pewnym czasie stwierdził, że takie zaloty nawet mu się podobają. W każdy piątek wyjeżdżał do Pietermaritzburga i zajmował pokój w hotelu Pod Białym Koniem. Ze swojej bazy planował kolejne posunięcia kampanii. Organizował przyjęcia w którymś z zajazdów lub bywał gościem na obiadach organizowanych przez Ruth w The Golds. Zabierał ją na bale i tańce, spędzali całe dni na wyścigach, piknikach, konnych przejażdżkach po okolicznych wzgórzach wraz ze Storm jadącą pomiędzy nimi na swoim kucyku. W czasie nieobecności Seana w Ladyburgu Dirk przenosił się do domku Ady na ulicy Protea i Sean zauważył z ulgą, że syn przyjmował teraz znacznie lepiej rozstania.

Wreszcie nadszedł czas, gdy pierwsze drzewa były gotowe do ścinki. Sean skorzystał z tego wydarzenia, żeby zwabić Ruth do Ladyburga. Goldbergowie zrazu zamarli przerażeni taką propozycją i rozluźnili się dopiero wtedy, gdy Sean pokazał im pisemne zaproszenie od Ady, która chciała gościć Ruth u siebie przez cały tydzień. Sean wyjaśnił im, że będzie świętował rozpoczęcie produkcji kory akacjowej, która zacznie się pod koniec tygodnia, i że później nie będzie mógł opuścić farmy przez całe miesiące.

Pani Goldberg, która w myślach już radowała się z perspektywy posiadania Burzy na cały tydzień tylko dla siebie, wywarła delikatny wpływ na męża i w końcu uzyskała jego niechętną zgodę.

Sean postanowił, że Ruth będzie traktowana w miasteczku jak udzielna królowa, co miało wreszcie zwińczyć długi okres zalotów.

**64.** Jako jeden z największych właścicieli ziemskich w okolicy i ze względu na honory wojenne, Sean zajmował wysoką pozycję w skomplikowanej strukturze społecznej Ladyburga. Z tych powodów przygotowania do przyjazdu Ruth wzbudziły zainteresowanie i podniecenie, które objęło całe miasteczko. Zaproszenia rozesłane przez Seana spowodowały, że panie rzuciły się do szaf i koszyczków z przyborami do szycia, a zamieszkujący na dalej położonych farmach ludzie prosili mieszkających w mieście przyjaciół i rodziny o zaproszenia. Pozostali mieszkańcy zajmujący wysokie miejsca w hierarchii społecznej, zazdrośni o swoją pozycję, przybyli do Lion Kop z propozycją zorganizowania zabaw w czasie trzech dni tygodnia, które w planach Seana pozostawały nie wypełnione. Sean zgodził się bardzo niechętnie, bo miał swoje własne zamiary na te trzy dni.

Ada i jej pracownicy były zawałone zamówieniami na nowe stroje, ale i tak znalazły czas jednego popołudnia i przybyły ze szczotkami i środkami czyszczącymi do Lion Kop. Sean i Dirk zostali bezceremonialnie wyproszeni z domu. Spędzili ten czas wybierając miejsca na duże polowanie na leśne antylopy, które miało być punktem kulminacyjnym tygodniowych zabaw.

Wraz z całą armią Zulusów, Mbejane wyciął dżunglę chwastów wokół domu i przygotował doły na rożna.

Zarząd miasteczka spotkał się w ścisłej tajemnicy i uzbrojony w wyraźne nakazy żon zdecydował jednogłośnie, że Ruth Friedman zostanie przywitana przez władze miasteczka na stacji i w czasie wieczornego balu. Denis Peterson, który uzyskał już zgodę Seana na zorganizowanie rożna w dniu przyjazdu Ruth, został ponadto zjednany obietnicą zgody na krótkie przemówienie powitalne na dworcu.

Sean odwiedził Ronny'ego Pye'a i był szczerze zdumiony, gdy bankier ochoczo zgodził się udzielić mu pożyczki w wysokości tysiąca funtów. Ronny podpisał czek z uśmiechem pająka, który zakłada ostatnią nić w sieci, i Sean bezzwłocznie pojechał do Pietermaritzburga do złotnika. Wrócił do domu biedniejszy o pięćset funtów, ale za to z paczuszką w kieszeni na piersi, w której spoczywał wielki diament oprawiony w platynę. Na stacji czekał już na niego Dirk. Sean przyjrzał mu się uważnie i zdecydowanie skierował go do fryzjera.

Wieczorem dnia poprzedzającego przyjazd Ruth Sean i Mbejane napadli znienacka na Dirka i mimo protestów zaciągnęli go do łazienki. Sean był zadziwiony ilością obcej materii, jaką usunął z uszu syna i szybkością, z jaką opalenizna Dirka zniknęła po użyciu mydła.

Następnego ranka, kiedy pociąg zahamował ze zgrzytem hamulców naprzeciw



budynku stacji w Ladyburgu, Ruth zobaczyła tłum ludzi stojących za sznurem odgradzającym część peronu, na którym zatrzymał się jej wagon. W tłumie ludzi widać było panienki i młodych kawalerów z wyższej szkoły w Ladyburgu ubranych w stroje wkładane jedynie do kościoła. Tylko jedna rodzina w miasteczku nie stawiała się na dworzec.

Ruth stanęła niepewnie na podeście wagonu słuchając szumu komentarzy i spekulacji. Cała w czerni, przyozdabiała ją jedynie szeroka różowa wstążka zawiązana na kapeluszu, różowe rękawiczki i przejrzysta woalka tego samego koloru, która zasnuwała jej twarz mgiełką tajemnicy.

Przekonana, że zaszło jakieś nieporozumienie, Ruth chciała już się cofnąć do przedziału, gdy zobaczyła delegację zbliżającą się do niej pomiędzy szpalerem gapiów. Na jej czele szedł Sean ze zmarszczonymi brwiami, które wskazywały na to, że czuje się wyjątkowo zaambarasowany. Ruth miała ochotę wybuchnąć śmiechem, ale się powstrzymała. Przywitała Seana uśmiechem, gdy wspiął się do niej na podest i wziął ją za rękę.

- Ruth, tak mi przykro. Wierz mi, że to nie mój pomysł. Sprawy wymknęły się nieco spod mojej kontroli - wyszeptał pośpiesznie i zaraz musiał przedstawić Denisa Petersona, który szedł tuż za nim. Peterson odwrócił się do zebranego tłumu i uniósł ręce w geście, którego równie dobrze mógł użyć Mojżesz wracając z góry.

- Panie i panowie, mieszkańcy Ladyburga, przyjaciele... - zaczął i po jego tonie Sean poznał, że będzie przemawiał dobre pół godziny. Zaniepokojony obejrzał się na Ruth, lecz zauważył ze zdziwieniem uśmiech na jej ustach. Ruth bawiła się dobrze i Sean poczuł ulgę.

- Mam wielką przyjemność powitać w naszym wspaniałym mieście tę piękną damę, przyjaciółkę jednego z najbardziej... - Palce Ruth wśliznęły się ukradkiem do dłoni Seana, co sprawiło, że poczuł się zupełnie rozluźniony. Dojrzał w tłumie szeroki kapelusz Ady i posłał jej uśmiech. Odpowiedziała mu lekkim skinieniem głowy świadczącym o tym, że aprobuje jego wybór.

Dzięki jakiemuś zręcznemu chwytowi oratorskiemu Denis mówił teraz o projektach planowanych przez radę miejską.

- ...Ale, moi przyjaciele, to jest tylko początek tego, co planuje wasza rada. - Zamilkł efektownie.

- Brawo! Brawo! - Sean wtrącił się głośno, klaszcząc entuzjastycznie w ręce. Tłum podjął tę owację i Sean minął Denisa, stając przy barierce.

- W imieniu pani Friedman i moim własnym chciałbym wszystkim podziękować za serdeczne i przyjacielskie przyjęcie. - Następnie zostawił gestykującego Denisa, otwierającego i zamykającego usta, jakby chciał jeszcze coś dodać, i trzymając Ruth za rękę

przeprowadził ją przez burzę powitań i uścisków dłoni, zebrał dziewczęta i Adę i usadził je w powozie

W czasie gdy Sean i Mbejane byli zajęci układaniem bagażu, Ada i Ruth wygładziły spódnice, poprawiły kapelusze i dopiero wtedy spojrzały na siebie.

- Mimo że Sean mnie uprzedził, nie przypuszczałam, że możesz być aż tak piękna - powiedziała Ada. Ruth rumieniąc się z radości i ulgi pochyliła się, żeby dotknąć jej ramienia.

- Bardzo pragnęłam panią poznać, pani Courteney.

- Jeśli zgodzisz się mówić do mnie: Ada, to chętnie mówiłabym do ciebie: Ruth.

Sean wdrapał się do powozu, czerwony i spocony.

- Wyośmy się stąd jak najszybciej.

Wkrótce się okazało, że tydzień ten będzie wspomniany przez następne kilka lat. Zwyczajowe zabawy świąteczne nie mogły się nawet równać z tym, co przygotowano na te kilka dni.

Starsze matrony współzawodniczyły między sobą, przygotowując według ściśle strzeżonych przepisów góry najróżniejszych smakołyków. Kiedy nie były zajęte w kuchni, prowadziły stare spory, zaczynały nowe i martwiły się o przyszłość swoich córek.

Młodzi kawalerowie ruszyli ze sobą w szranki na stadionie i boisku do gry w polo. Dirk Courteney wygrał tytuł mistrza juniorów w wyrwaniu lanca kołków z ziemi w galopie, a następnie poprowadził szkolną drużynę rugby do niechlubnej przegranej trzydziestu do zera w meczu z drużyną ze szkoły w Pietermaritzburgu.

Młode damy konkurowały pomiędzy sobą z równą zaciekłością jak mężczyźni, tyle że wygraną była ilość zerwanych zaręczyn i wznieconych skandali.

Starsi mężczyźni spoglądali na to wszystko z pobłażaniem, aż wreszcie rozgrzani alkoholem porzucili powagę i zaczęli współzawodniczyć między sobą w sali tanecznej. Wynikły trzy bójki na pięści, ale był to skutek starych zatargów i nie było na co patrzeć.

Tylko jedna rodzina w mieście trzymała się z dala od wszystkich zabaw. Wiele młodych panien czuło, że brakuje im towarzystwa Michaela Courteneya.

W czasie jednego z rzadkich momentów spokoju Seanowi udało się oddzielić Ruth od Ady i zabrać ją do Lion Kop. Ruth zwiedzała duże i puste pokoje w zamyśleniu, a chodzący za nią krok w krok Sean zaczął się obawiać, czy jej milczenie nie oznacza czasem dezaprobaty. Ruth zaś była po prostu zafascynowana przyglądając się wspaniałemu domowi, w którym nie widać było śladu kobiecej ręki i który czekał na wniesienie do niego życia. Wyobrażała sobie zasłony, jakie chciałyby powiesić na oknach; perskie dywany, które wujek

Isaac przysłał z Pretorii i które stały schowane u Goldbergów, wyglądałyby wspaniale na wypolerowanej podłodze. Kuchnia musiałaby oczywiście zostać całkowicie przebudowana i wyposażona w nową, podwójną kuchnię aga. Sypialnia...

Nie mogąc się dłużej pohamować Sean wyrzucił z siebie dręczące go pytanie:

- Więc jak, podoba ci się?

Obróciła się wolno do niego, a z jej oczu zniknęła mgielka rozmarzenia.

- Och, Sean! To najpiękniejszy dom na świecie. Podniecony jej słowami Sean złożył propozycję, którą zamierzał zostawić na wieczór.

- Ruth, czy zgodzisz się wyjść za mnie?

Ruth, która planowała opierać się trochę i poprosić o czas do namysłu, odparła natychmiast:

- Och, tak!

Ruth była absolutnie oczarowana pierścieniem.

**65.** Wydarzeniem wieńczącym tydzień było zorganizowane przez Seana polowanie.

Sean i Dirk przybyli do domku Ady o świcie. Byli ubrani w stroje myśliwskie, a pod stopami Seana na podłodze wozu leżały strzelby w skórzanych pokrowcach. Sean potrzebował dobrego kwadransa, żeby przeprowadzić Ruth, Adę i dziewczęta z domu do powozu. Przypominało to nieco wysiłki człowieka zapędzającego stado kur do kurnika. Z rozpostartymi ramionami Sean prowadził wreszcie przed sobą rozgadane i roześmiane panie ku powozowi. Niemal udawało mu się dotrzeć do niego, gdy nagle jedna z nich wyrywała się z okrzykiem przerażenia ku domowi, biegnąc po zapomnianą parasolkę czy koszyk, i wszystkie wysiłki Seana szły na marne.

Kiedy przydarzyło się to po raz trzeci, Sean stracił panowanie nad sobą. Ryknął jak ranny byk. Wśród pań zapanowała martwa cisza, a dwie z nich wyglądały, jakby miały się zaraz rozplakać.

- Kochanie, tylko się nie denerwuj. - Ada starała się go uspokoić.

- Nie denerwuję się. - Głos Seana drżał z tłumionych emocji. - Ale jeśli wszystkie nie będziecie siedziały w powozie, zanim policzę do dziesięciu, to mogę bardzo łatwo się zdenerwować.

Wszystkie panie siedziały na swoich miejscach, zanim doliczył do pięciu i Sean ruszył, wyglądając przy tym jak nastroszony kogut.

Powozy i furmanki z całą społecznością Ladyburga czekały już przy zagrodzie dla zwierząt. Sean przejechał wśród bezładnego szeregu ludzi witając się ze znajomymi i wymieniając żartobliwe uwagi. Powoli wszystkie powozy ustawiały się za zaprzęgiem Seana i długi konwój ruszył w stronę farmy Mahobo Kloof. Rozpoczęło się polowanie.

W środku szeregu ktoś grał na harmonii i ludzie zaczęli śpiewać. Siedzący w kolejnych powozach podjęli piosenkę, a w jej brzmienie włączyło się skrzypienie kół, stukot kopyt i śmiechy.

Seanowi powoli przechodził gniew. Słuchał, jak na tylnym siedzeniu dziewczęta Ady śpiewają "Boland Se Noointentje". Dirk wyskoczył z powozu i wraz z garstką wyrostków biegł przed końmi. W pewnym momencie dłoń Ruth spoczęła na kolanie Seana. Kiedy się odwrócił i uśmiechnął do niej, dostrzegł wyraz ulgi w jej jasnych oczach.

- Sean, co za piękny dzień.

- Przepraszam, że omal go nie zepsułem... - odpowiedział.

- Ależ skądże! - Przysunęła się bliżej do niego i nagle Sean poczuł, że jest szczęśliwy.

Wszystkie przygotowania zwracały się teraz z nawiązką. Ruth roześmiała się cicho.

- Coś śmiesznego? - Sean sięgnął do tyłu i wziął ją za rękę.

- Nie, nic. Po prostu poczułam nagle ochotę się roześmiać - odparła. - Spójrz, jakie wszystko jest zielone. - Powiedziała pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy, żeby zwrócić jego uwagę i móc spojrzeć mu w oczy. Podstęp się udał.

- Ziemia wydaje się jeszcze taka niedojrzała. - Gdy patrzył na mijany krajobraz, jego oczy nabrały łagodności, którą Ruth zdążyła już poznać. Znała już wiele z jego nastrojów i szybko uczyła się, jak jedne wywoływać, a inne zmieniać. Był bardzo prostym człowiekiem, ale w tej prostocie drzemała cała jego siła. Jest jak góra, pomyślała. Można go tak łatwo przejrzeć, jak można sobie bez trudu wyobrazić wygląd góry, gdy padają na nią pierwsze promienie słońca. Ma się z nim tę samą pewność jak ze szczytem, którego przełęcz będzie pokrywała mgła, jeśli wieje południowy wiatr, wieczorem cienie położą się w regularnych wzorach na stokach, a wąwozy staną się ciemnoniebieskie. Jednak sam kształt góry nigdy się nie zmienia i można być pewnym, że nigdy nie ulegnie zmianie.

- Kocham cię, moja góro - szepnęła i oczekiwała zdziwionego wyrazu twarzy, który dojrzała u niego w chwilę później.

- Co?

- Kocham się. - Poprawiła się.

- Och! Ja ciebie też kocham.

A teraz jest lekko zawstydzony. O, Boże, mogłabym go zjeść! Gdybym mogła nachylić się i pocałować go przy wszystkich...! W głębi ducha przyznała, że pomysł ten bardzo się jej podoba.

- Co za podstęp knujesz? - zapytał trochę gburowato.

Nie przypuszczała, że może tak łatwo odczytać jej myśli. Zaskoczona spojrzała na Seana. Jej góra nagle pokazała, że potrafi dokładnie zrozumieć, co ona czuje patrząc na niego.

- Nic podobnego - zaprzeczyła zmieszana. - Żadnego... - Zanim się zorientowała, co się dzieje, Sean odwrócił się na siedzeniu, podniósł ją i posadził sobie na kolanach.

- Sean, nie! - zawstydziła się Ruth, ale jej protesty zostały szybko stłumione namiętym pocałunkiem. Słyszała śmiech dziewcząt Ady, zachęcające okrzyki i oklaski z innych powozów. Zaczęła kopać i wrywać się, odpychając go jedną ręką, podczas gdy drugą podtrzymywała kapelusz. Kiedy Sean posadził ją z powrotem na siedzeniu, włosy Ruth rozsypały się na plecach, kapelusz zsunął jej się z głowy, a policzki i uszy paliły ogniem. Została bardzo dokładnie wycelowana.

- Sean, pierwszorzędny strzał!

- Powtórka! Powtórka!

- Zaaresztujcie tego człowieka! - Okrzyki i śmiechy spotęgowały jej zakłopotanie.

- Jesteś okropny! - Ruth wykorzystała kapelusz, żeby ukryć nagłe rumieńce. - W dodatku przy wszystkich ludziach!

- To powinno pohamować twoje figlarne zapędy, moja panno! Nagle Ruth nie była już taka pewna kształtu swojej góry. Kawalkada skrzyła z głównej drogi na wyboisty trakt, przejechała przez strumyk, wspięła się na brzeg i rozciągnęła wśród drzew. Służący, którzy czekali już od poprzedniego wieczoru, podbiegli do koni swoich panów. Z wozów wysypały się z hałasem dzieci i psy, a za nimi wysiedli dorośli. Kobiety od razu skierowały się do dwóch olbrzymich namiotów, które ustawiono pomiędzy drzewami, podczas gdy mężczyźni wyjęli broń i zaczęli ją składać.

Siedzący na kozle Sean otworzył skórzany pojemnik na strzelbę i kiedy jego dłonie automatycznie dopasowywały lufy do zamka, przyglądał się z niemałą satysfakcją poczynionym przygotowaniom.

Sean wybrał to miejsce nie tylko ze względu na zagajnik jaśminowca, zapewniający przyjemny cień i miękki dywan z opadłych liści, ani z powodu płynącego w pobliżu strumienia, w którym można było napić konie, ale także dlatego, że najbliższa pozycja naganiaczy była oddalona o piętnaście minut marszu.

Kilka dni wcześniej kierowani przez Mbejane Zulusi oczyścili teren z zarośli, wzniesli namioty i ustawili stoły, wykopali doły na różna, a nawet zbudowali z trawy dwie latryny ukryte na uboczu.

W dołach pod różnami paliły się olbrzymie kłocce drzewa, ale już widać było, że do południa zostaną z nich jedynie żarzące się węgle. Stoły, przy których kręciły się kobiety, były zastawione jedzeniem i właśnie przy nich panowało największe zamieszanie.

Z wozów zaczęli schodzić mężczyźni ze strzelbami w rękach, zakładając po drodze pasy z amunicją i rozmawiając głośno, żeby ukryć podniecenie. Na polecenie ojca Dirk zebrał grupę chłopców, którzy byli za mali, żeby wziąć do ręki broń i za duzi, aby zostać z kobietami. Ta grupka nie starała się ukrywać rozgorączkowania. Uzbrojeni w sikele, czyli kije bojowe Zulusów, wykazywali wszelkie oznaki, że nie będzie ich łatwo dopilnować. Jeden z młodszych chłopców płakał już głośno i rozmasowywał siniak po przypadkowym ciosie sikelą.

- W porządku. Wszyscy mają być cicho! - krzyknął na nich Sean. - Dirk zaprowadzi was do naganiaczy. Tylko pamiętajcie, jak zacznie się polowanie, macie robić, co wam się każe! Jeśli złapię któregoś, jak biegnie przed linią, to osobiście stłukę go na kwaśne jabłko. Jasne? - Była to długa przemowa, którą Sean zakończył z niebezpiecznie groźną miną, co

przydało wagi jego słowom. W odpowiedzi usłyszał chóralne:

- Tak jest, panie Courteney.

- No to zmykajcie.

Krzycząc z radości i ścigając się zapamiętane, chłopcy zniknęli pomiędzy drzewami i w obozie zapanowała względna cisza.

- Dobry Boże, ta banda może wypłoszyć stado słoń, bawołów i lwów, a co dopiero leśne antylopy - zauważył krytycznie Denis Peterson. - Sean, a co z naszymi pozycjami?

Wiedząc, że wszyscy go słuchają, Sean przedłużył chwilę oczekiwania.

- Na początku polujemy w Eland Kloof - oznajmił. - Mbejane i dwustu Zulusów czekają na początku wąwozu na mój sygnał. Pozycje zostaną ustawione u wylotu wąwozu. - Sean umilkł na chwilę.

- Właśnie, co z pozycjami?

- Cierpliwości, panowie - uspokoił ich Sean. - Wiem, że nie powinienem powtarzać reguł, ale... - i od razu zaczął je wymieniać. - Żadnych karabinów - tylko strzelby. Strzelacie jedynie w łuku 45 stopni przed sobą. Nie ma żadnych strzałów na boki. Odnosi się to zwłaszcza do waszej wielbności. - Ksiądz, który był znany z tego, że strzela gdzie popadnie, wyglądał na porządnie zmieszanego. - Mój gwizdek oznacza, że naganiacze są zbyt blisko, i wtedy wszystkie strzelby do góry i zostają rozładowane.

- Sean, robi się późno.

- Zaczynamy już.

- W porządku - zgodził się Sean. - Zajmuję środkową pozycję. - W tłumie dały się słyszeć zgodne pomruki. Najlepsza pozycja dla tego, kto zorganizował polowanie. Nikt nie miał żadnych zastrzeżeń. - Moja lewa flanką w następującym porządku: wielbny Smiley - ponieważ Wszechpotężny pośle najwięcej zwierzyny prosto na niego, więc i ja mogę tylko na tym skorzystać. - Wszyscy się roześmieli, podczas gdy Smiley nie wiedział, czy ma się oburzyć na bluźnierstwo, czy cieszyć ze swojego szczęścia. - Dalej Ronny Pye, Denis Peterson, Ian Vermaak, Gerald i Tony Erasmus, wy dwaj możecie sami zdecydować, jak się ustawić, Nick... - Sean czytał nazwiska z listy. Lista przedstawiała hierarchię ważności członków społeczeństwa Ladyburga, uwzględniając zamożność i wpływy, popularność i wiek. Poza wstawieniem siebie na samym jej czele, Sean nie zajmował się sporządzeniem wykazu, gdyż Ada, całkiem słusznie, nie ufała jego wyczuciu społecznych wartości.

- To by była lewa flanką. - Sean podniósł wzrok znad kartki. Był tak zajęty wyznaczaniem stanowisk, że nie dostrzegł wcześniej nagłego napięcia i nastroju oczekiwania, jakie ogarnęło jego publikę. Samotny jeździec przejechał przez strumień i wjechał na ogierze

czystej krwi do obozu. Zeskoczył w milczeniu na ziemię, zaś służba odprowadziła jego konia. Trzymając w ręku strzelbę zbliżył się do wozu Seana.

Sean patrzył na niego zdziwiony, czując jak wzbiera w nim radość i rozlewa się na twarzy szerokim uśmiechem.

- Garry, cieszę się, że mogłeś przyjść! - zawołał przyjaźnie, ale twarz Garry'ego pozostała bez wyrazu. Skinął sztywno głową. Przynajmniej przyszedł, pocieszył się Sean. To tylko pierwszy gest. Muszę na niego odpowiedzieć.

- Garry, zajmiesz pierwszą pozycję po mojej prawej stronie.

- Dziękuję. - Garry uśmiechnął się, lecz był to dziwnie zimny grymas. Garry szybko odwrócił się i zaczął rozmawiać z najbliższym stojącym mężczyzną. Przez tłum przebiegł dreszcz rozczarowania. Wszyscy oczekiwali jakiegoś widowiskowego starcia. Każdy z nich wiedział o nienawiści dzielącej braci Courteney'ów i związanej z nią tajemnicy. Jednak teraz mężczyźni ponownie skoncentrowali uwagę na wyczytującym nazwiska organizatorze polowania. Ten zaś szybko skończył, zeskoczył z wozu i cała grupa mężczyzn wyruszyła z obozu. Sean rozglądał się za bratem i dostrzegł go na czele mężczyzn kierujących się w stronę Eland Kloof.

Szereg ludzi poruszał się szybko do przodu, gdy myśliwi żwawo kroczyli wąską ścieżką. Sean wiedział, że nie dogoni brata, chyba żeby zaczął biec. Poczekam, aż dotrzemy do stanowisk, zdecydował. Dobry Boże, co za wspaniałe zakończenie tygodnia. Mam Ruth, a teraz mogę odzyskać brata i Michaela!

Ze szczytu skarpy Sean spoznał na Eland Kloof. Głęboki i długi na dwie mile, a szeroki na pięćset jardów wąwóz wznosił się lekko na drugim końcu, aż wreszcie łączył się z wyższym terenem. Cały jar był zasłonięty gęstym, ciemnozielonym buszem. Nad tę nieprzenikloną masę zieleni wyrastało kilka wyższych drzew, które zdołały przebić się ku słońcu. Niczym macki olbrzymiej kałamarnicy, dzikie wina i pnącza wznosiły się z głębi buszu i oplatały pnie drzew, jakby chciały je ściągnąć na dół. Na krawędzi wąwozu powietrze było suche i zdrowe, zaś na dole pachniało wilgotną ziemią i gnijącą roślinnością.

Myśliwi ociągali się stojąc nad urwiskiem, jakby nie chcieli zapuszczać się w nieprzenikniony gąszcz i zaduch pod nimi. Osłoniwszy dłońmi oczy przed słońcem przyglądali się wylotowi jaru, gdzie można było dostrzec linie ciemnych kropek na tle wiosennej trawy - naganiaczy.

- Tam są dzieciaki - ktoś wskazał palcem. Dirk prowadził swoją bandę wzdłuż krawędzi wąwozu.

Sean zbliżył się do brata.



- No i jak, Garry, co słyhać w Theunis Kraal?

- Wszystko w porządku.

- Czytałem twoją książkę. Uważam, że jest świetna. Z pewnością zasłużyła na uznanie, z jakim spotkała się w Londynie. Lord Caisterbrook napisał do mnie, że jej ostatnie rozdziały dają radzie wojennej dobry materiał do przemyślenia. Niezła robota, Garry.

- Dziękuję. - Jednak w jego odpowiedzi czuć było brak życzliwości. Garry nie wykonał żadnego gestu, żeby podtrzymać rozmowę.

- Michael nie przyjechał dzisiaj z tobą?

- Nie.

- Dlaczego, Garry?

Garrick uśmiechnął się po raz pierwszy, zimnym, pogardliwym uśmiechem.

- Nie chciał.

- Och! - Przez krótką chwilę na twarzy Seana widać było rozczarowanie. Odwrócił się do zebranych wokół myśliwych. - W porządku, panowie, schodzimy na dół.

Wszyscy zajęli pozycje. Długa linia mężczyzn stała cicho w cieniu i w nieruchomym gorącu. Każdy najbliższy sąsiad był widoczny jedynie jako niewyraźny kształt wśród liści, dzikich winorośli i wywróconych drzew. Jedynie poszczególne fragmenty widać było wyraźnie: zarys runda kapelusza, przypadkowy promień słońca na lufie strzelby, rękę okoloną zielonymi liśćmi. Panująca cisza była równie ciężka jak upał, przerywana jedynie nieuważnym poruszeniem gałęzi, stłumionym kasznięciem czy cichym trzaskiem zamka.

Sean objął oba kurki zamka kciukiem i odciągnął je do tyłu, podniósł strzelbę i wystrzelił szybko raz za razem w gęsty dach liści nad głową. Usłyszał, jak niskie huki wystrzałów roznoszą się echem po wąwozie, odbijając się od stromych ścian i nakładając na siebie. Po chwili zapadła martwa cisza.

Sean stał bez ruchu, wyciągając maksymalnie słuch, ale udało mu się jedynie usłyszeć cichutkie brzęczenie owada i ostry, wystraszony krzyk ptaka. Wzruszył ramionami; dwie mile odległości i gęszcz roślinności musiały stłumić krzyki naganiaczy i stukot kijów o pnie drzew. Wiedział jednak, że się zbliżają. Musieli usłyszeć jego sygnał. Wyobraził sobie, jak przedzierają się w jednej linii przez gęstwiny; dwustu Murzynów, a pomiędzy nimi biali chłopcy i wszyscy wykrzykiwali rytmicznym głosem to samo pytanie, równie stare jak samo polowanie.

- E'yapi? - Pytanie powtarzane nieustannie z akcentem na pierwszej sylabie, co nadawało pytaniu przenikliwe brzmienie.

- E'yapi? Dokąd idziesz?

Pomiędzy myśliwymi a naganiaczami, w klinie poplątanej roślinności, można było wyczuć pierwsze niespokojne ruchy zwierzyny. Delikatne ciała podnosiły się z legowisk ukrytych w opadłych liściach. Napięte mięśnie powodowały, że kopyta, ostre i spiczasto zakończone wbijały się głęboko w miękkie kopce liści. Uszy wysuwały się do przodu, oczy przypominały czarny, wilgotny atlas, lśniąca pyski drżały nerwowo wciągając głęboko powietrze, a rogi w kształcie korkociągów kładły się na grzbietach. Całe ciało antylopy było spięte i przygotowane do ucieczki.

Czując jeszcze w nozdrzach delikatny zapach prochu, Sean otworzył komorę strzelby i dwie puste łuski wypadły na ziemię. Wyjął dwa naboje z pasa i wsunął je do komory, zatrzasnął strzelbę i na wpół odbezpieczył odciągając kciukiem kurki.

Teraz zwierzęta już biegły. Najpierw łanie, jasnobrązowe i nakrapiane, uciekały w popłochu z młodymi, długonogimi sarenkami za nimi. Następnie biegły kozły inkonka, czarne, wielkie i ciche jak cienie; rozciągnięte w biegu z rogami położonymi na grzbietach. Antylopy pierzchały przed cichymi jeszcze krzykami i zamieszaniem, wyprowadzając sarny i młode z dala od niebezpieczeństwa - ku czekającym na nie strzelbom.

- Coś słyszałem! - Głos wielebnego Smileya brzmiał, jakby go ktoś dusił, pewnie ze względu na koloratkę, która jaśniała w ciemnościach.

- Zamknij się, głupcze! - Sean ryzykował swoje zbawienie, ale nie musiał się przejmować, gdyż jego słowa zginęły w huku obu luf strzelby Smileya, tak nieoczekiwanym i ogłuszającym, że Sean podskoczył w miejscu.

- Trafieś go? - spytał drżącym z emocji głosem. - Wasza wielebność, czy trafił pan coś? - Sean nie widział i nie słyszał nic, co nawet przy najlepszych chęciach można by uznać za antylopę.

- A niech to, mógłbym przysiąc... - Odpowiedź Smileya brzmiała jak głos zza grobu. - Coś takiego, chyba się pomyliłem.

Znowu się zaczyna, pomyślał Sean z rezygnacją.

- Jeśli zabraknie ci naboji, to powiedz mi o tym! - krzyknął Sean i uśmiechnął się na obrażone milczenie Smileya. Strzały musiały zawrócić zwierzynę ku naganiaczom i wkrótce antylopy zaczęły się w popłochu kręcić, szukając drogi ucieczki. Pewnie niektóre uciekną na boki. Jakby dla potwierdzenia swoich myśli usłyszał strzał na lewej flance, zaraz następny i dwa strzały na prawo od niego.

Zaczęła się prawdziwa strzelanina.

W krótkiej chwili ciszy Sean usłyszał wreszcie naganiaczy. Ich podniecone krzyki były jeszcze stłumione, ale nagłące.

Przez zasłonę gałęzi dojrzał jakiś niewyraźny ruch; mignęło coś ciemnego, więc Sean poderwał broń i wystrzelił. Kolba kopnęła go w ramię, a jednocześnie dobiegł go odgłos upadającego ciała i szuranie nogami.

- Mam go! - krzyknął w podnieceniu Sean. Zwierzę nadal wierzgało, z zarośli zaś wychyliła się głowa i grzbiet na wpół dorosłego samca. Antylopa rzucała się po ziemi z otwartym pyskiem, krwawiąc, zostawiając ciemny ślad na zeschniętych liściach. Jeszcze jeden strzał i dobite zwierzę legło martwe. Na głowie widać było ciemne plamki po kulach, powieki drżały w agonii, a z nozdrzy trysnęła krew.

Wokół grzmiąły wystrzały, krzyki naganiaczy i wrzaski radości myśliwych, odgłosy panicznej ucieczki i trzask łamanych gałęzi.

Inkonka, duży samiec, czarny jak sam diabeł, z trzema skrętami rogów i wytrzeszczonymi w panice oczyma wybiegł na małą polankę. Zatrzymał się w miejscu z uniesioną głową, szeroko rozstawionymi przednimi nogami, zagoniony i ciężko dyszący.

Sean nachylił się nad strzelbą, utrzymał muszkę przez chwilę na unoszącej się ciężko piersi zwierzęcia i wystrzelił. Poczul kopnięcie. Z lufy wypływał długi, niebieski obłoczek dymu. Byk upadł trafiony śmiertelnie z tak bliskiej odległości. Czysty strzał.

- Mam go!

Następna antylopa wyszła wprost na strzał, biegnąc w panice niemal wyskoczyła na Seana. Łania z małym tuż za nią - trzeba ją puścić.

Sarna zobaczyła go i skręciła gwałtownie w lewo ku przerwie pomiędzy Seanem a Garrickiem. Sean obejrzał się za nią i spostrzegł brata. Garry opuścił swoją pozycję i zbliżał się do Seana. Był lekko schylony, ze strzelbą w obu rękach i odciągniętymi do strzału kurkami. Jego wzrok był wlepiony w Seana.

Garrick przeczekał cierpliwie wstępną fazę nagonki. Pień drzewa, na którym siedział, był miękki i z lekka przegniły, pokryty mchem i pomarańczowo-białymi plamami grzybów. Z wewnętrznej kieszeni kurtki Garry wyjął srebrną flaszkę wysadzaną krwawnikami. Pierwszy łyk spowodował, że do oczu napłynęły mu łzy, ale przełknął alkohol i odjął piersiówkę od ust.

Zabrał mi wszystko, co miałem:

Moją nogę. Gary spojrział na drewnianą protezę, która sztywno sterczała przed nim z piętą na wpół zagrzebaną w zgniłych liściach. Pociągnął szybko jeszcze łyk, zamykając oczy, gdyż brandy paliła go w gardło.

Moją żonę. W ciemnoczerwonej poświacie pod powiekami zobaczył ją ponownie tak, jak ją zostawił Sean, w porwanym ubraniu i z opuchniętymi zakrwawionymi ustami.

Moją męskość. Z powodu tego, co jej zrobił tej nocy, Anna nigdy mnie już nie chciała.

Wcześniej miałem jeszcze jakąś nadzieję. Teraz mam już czterdzieści dwa lata i nadal jestem niewinny jak dziewica. Już za późno.

Moją pozycję. Ta świnia Acheson nigdy by mnie nie wyrzucił, gdyby nie Sean.

A teraz zabierze mi Michaela.

Przypomniał sobie zapowiedź nieszczęścia, jakiego doznał, gdy Anna opowiedziała mu o spotkaniu Michaela z Seanem w Theunis Kraal. Wszystko zaczęło się właśnie wtedy, a każde następne zdarzenie jeszcze bardziej zaogniało sytuację. Przypomniał sobie dzień, kiedy Michael patrzył z napięciem na wyblakły, ale śmiały podpis w księdze rejestrów.

- Czy to pismo wujka Seana?

Michael znalazł podniszczone siodło na strychu nad stajniami; wypolerował je, wzmocnił szwy, przymocował nowe rzemienie do strzemion i używał go prawie przez rok. Pewnego dnia Garry zauważył inicjały wyryte na połach. "S.C." Tej samej nocy zabrał siodło i wrzucił je do pieca pod bojlerem.

Osiem miesięcy temu, na dwudzieste pierwsze urodziny Michaela, Garry zwołał go do wyłożonego boazerią gabinetu w Theunis Kraal i powiedział mu niechętnie o zapisie Seana dla niego. Michael trzymał w rękach kartę o pozaginanych rogach i czytał, poruszając wolno ustami. W końcu podniósł wzrok i jego głos był niepewny.

- Dlaczego wujek Sean zapisał mi połowę Theunis Kraal, zanim się jeszcze narodziłem? Tatusiu, dlaczego to zrobił? Dlaczego? - Garry nie miał dla niego odpowiedzi.

Ostatni tydzień był najgorszy. Anna i Garry musieli użyć wszystkich sił, podstępów i próśb, żeby powstrzymać Michaela przed przyjęciem zaproszenia od Seana. Wreszcie zuluski chłopiec, którego zadanie polegało na śledzeniu Michaela i donoszeniu Garrickowi, zdradził, że każdego wieczoru jego syn przekraczał granice Theunis Kraal, jeździł na szczyt skarpy i przesiadywał tam godzinami patrząc w kierunku Lion Kop.

Stracę go. Jest moim synem, nawet jeśli Sean go spłodził. Jest moim dzieckiem i jeśli nie zapobiegnę temu, Sean mi go zabierze. Chyba, że temu przeszkodzę.

Podniósł flaszkę do ust i ze zdziwieniem stwierdził, że jest pusta. Zatknął korek i schował ją do kieszeni.

Wokół niego rozlegały się strzały i krzyki. Podniósł strzelbę z pnia i załadował ją. Wstając odciągnął kurki.

Sean dostrzegł go, gdy zbliżał się wolno, kulejąc lekko na jedną nogę. Szedł pochylony i nie starał się nawet odgarniać gałęzi, które uderzały go w twarz.

- Garry, nie wyłamuj się z linii. Wracaj na swoją pozycję. Zostawiłeś wyrwę w linii.

Spostrzegł wyraz twarzy Garry'ego. Skóra na nosie i policzkach była tak napięta, że

krawędzie nozdrzy zupełnie zbiały. Szczęki poruszały się nerwowo, a na czole błyszczał pot. Garry wyglądał, jakby był chory albo wystraszył się czegoś panicznie.

- Garry, dobrze się czujesz? - Zaalarmowany Sean zrobił krok w jego stronę i zatrzymał się gwałtownie. Garry wymierzył w niego ze strzelby.

- Przykro mi, Sean. Ale nie mogę pozwolić ci go zabrać - powiedział. Sean widział tylko czarne wyloty luf i białe knykcie, gdy Garry ścisnął zamek. Jeden z palców był zagięty na cynglach.

Sean poczuł strach. Stał nie mogąc się ruszyć. Jego nogi zrobiły się nagle okropnie ciężkie i zdrętwiałe.

- Muszę to zrobić. - Głos Garry'ego przypominał skrzeczenie. - Muszę to zrobić, bo inaczej mi go odbierzesz. Jego też zniszczysz.

Mimo że strach obezwładniał mu nogi, Sean odwrócił się od brata i wrócił na swoją pozycję. Mięśnie grzbietu, napięte w oczekiwaniu, były ściągnięte tak mocno, że zaczęły go gwałtownie boleć.

Naganiacze byli już zupełnie blisko, słyszał przed sobą ich nawoływania i walenie pałek o drzewa. Podniósł gwizdek do ust i wydał trzy przenikliwe tony. Krzyki zamarły i we względnej ciszy Sean usłyszał za sobą dziwny dźwięk, ni to płacz, ni to jęk bólu.

Bardzo wolno obrócił głowę. Garry zniknął.

Nagle pod Seanem zaczęły drżeć nogi, a jeden z mięśni uda kurczył się nerwowo. Sean opadł na ziemię, siadając na dywanie z miękkich liści. Kiedy zapalał cygaro, musiał trzymać zapalną w obu rękach, żeby natrafić na jego koniec.

- Tatusiu! Tato! - Dirk wbiegł na polankę. - Tato, ile masz?

- Dwa - odparł Sean.

- Tylko dwa? - W głosie Dirka słychać było wyraźnie rozczarowanie i wstyd. - Nawet wielbny Smiley pobił cię na głowę. Zabił cztery!

**66.** Ruth wróciła do Pietermaritzburga następnego wieczora po polowaniu. Sean nalegał na to, żeby pozwoliła się odwiedzić do domu. Ada, Dirk i kilkanaście przyjaciółek, które Ruth pozyskała w czasie tygodniowego pobytu w miasteczku, odprowadzili ich na stację. Sean starał się odciągnąć Ruth od zapamiętałej rozmowy, w którą wszystkie panie wdały się tuż przed odjazdem pociągu. Jednak jego ciągle nalegania: “Kochanie, lepiej wejdź do wagonu” i “Maszynis, ta dał już znak chorągiewką”, były zupełnie ignorowane, aż wreszcie Sean musiał wziąć Ruth w ramiona i wsadzić ją do pociągu jak bagaż. Po chwili jej głowa wysunęła się przez okno i Ruth podjęła dyskusję w miejscu, w którym została przerwana. Sean miał już wsiąść za nią, gdy zobaczył Dirka. Z poczuciem winy uprzytomnił sobie, że okropnie zaniedbał syna w ciągu ostatniego tygodnia.

- Cześć, Dirkie. - Sean zawołał chropowatym głosem. Chłopiec rzucił mu się w ramiona, zaplatając ręce wokół szyi ojca.

- Daj spokój, Dirk. Jutro wracam.

- Chcę jechać z tobą.

Sean usiłował rozluźnić uchwyt chłopca. Kobiety przyglądały im się w milczeniu i Sean czuł, jak rumieni się ze wstydu. Mój Boże, przecież to już nie jest małe dziecko - ma prawie piętnaście lat. Sean usiłował nie pokazać po sobie irytacji, gdy szepnął mu na ucho:

- Uspokój się natychmiast. Co sobie ludzie o tobie pomyślą?

- Weź mnie ze sobą, tatusiu. Proszę, weź mnie ze sobą. - Dirk drżał mocno w jego ramionach. Rozległ się dźwięk gwizdka. Z widoczną ulgą kobiety odwróciły się od nich i zaczęły mówić szybko jedna przez drugą.

- Myślisz, że jestem z ciebie dumny, kiedy tak się zachowujesz? - syknął na niego Sean. - Bądź grzeczny i pożegnaj się ze mną normalnie.

Dirk ścisnął kurczowo jego rękę, a łzy napływały mu do oczu.

- Uspokój się natychmiast! - Sean odwrócił się od niego i wskoczył do wagonu, gdy pociąg szarpnął i ruszył.

Dirk zrobił kilka niepewnych kroków za nim i nagle się zatrzymał. Ramiona trzęsły mu się gwałtownie, a oczy utkwili w twarzy ojca, kiedy ten wyjrzał przez okno.

- Dirkie, tatuś wróci jutro do domu. - Ada położyła delikatnie rękę na ramieniu chłopca.

- Nie kocha mnie - wyszeptał Dirk. - Nigdy nawet...

- Oczywiście, że cię kocha - przerwała mu szybko Ada. - To tylko dlatego, że był...

Dirk nie pozwolił jej skończyć zdania. Szarpnięciem zrzucił jej rękę z ramienia, odwrócił się i zeskoczył z peronu na tory. Przebiegł pod ogrodzeniem z drutu kolczastego i

rzucił się pędem przez pola, żeby przeciąć tory w miejscu, gdzie pociąg wyjeżdżał z szerokiego łuku, wspinając się wolno na skarpe.

Biegł z wykrzywioną boleśnie twarzą, czując, jak ostre trawy uderzają go po nogach; biegł wyrzucając gwałtownie ramiona, żeby złapać jeden rytm z nogami - a przed nim pociąg zagwizdał żałośnie wysuwając się zza plantacji van Essena.

Pociąg już go mijał, oddalony o pięćdziesiąt jardów, nabierając szybkości, żeby wspiąć się na skarpe. Nie zdąży - mimo że wagon Seana był na samym końcu składu - nie miał szans go doścignąć.

Zatrzymał się w miejscu, dysząc ciężko, wypatrując ojca, ale okno w przedziale Seana było puste.

- Tato! - krzyknął na całe gardło, lecz jego głos utonął w stukocie kół i chrapliwym steku parowozu.

- Tatusiu! - Zaczął machać rękoma nad głową. - Tatusiu! To ja. Ja, Dirk.

Przedział Seana przesunął się wolno przed nim. Przez kilka krótkich sekund Dirk mógł dojrzeć wewnątrz przedziału.

Sean stał bokiem do okna. Pochylony do przodu obejmował Ruth ramionami. Jej głowa była odrzucona do tyłu, a nie związane włosy rozsypały się ciemnym strumieniem na plecach. Śmiała się, pokazując białe zęby. Jej oczy lśniły. Sean pochylił się jeszcze bardziej i zakrył jej otwarte usta swoimi wargami. Jeszcze chwila i oboje zniknęli.

Dirk stał nieruchomo ze wzniesionymi ramionami. W końcu wolno opuścił je na dół. Z twarzy znikło napięcie. Oczy były bez wyrazu, gdy patrzył na wijący się w górę zbocza pociąg, aż wreszcie ostatnia chmurka białej pary zniknęła za horyzontem.

Dirk przeszedł przez tory i znalazł ścieżkę prowadzącą na szczyt wzgórza. W pewnej chwili podniósł ręce, otarł palcami łzy z policzków i stanął, patrząc na idącego skarabeusza. Żuk był wielkości kciuka, połyskliwie czarny i uzbrojony w groźnie wyglądający róg. Pchał przed sobą kulkę gnoju trzy razy większą od niego samego. Podnosił się na tylne nogi i wyrzucając przednie przed siebie popychał gładką kulkę. Skarabeusz nie bacząc na nic dążył do jakiejś kryjówki, gdzie mógłby zakopać kulkę i złożyć w niej jajeczka.

Czubkiem buta Dirk kopnął kulkę w trawę. Pozbawiony celu swojego istnienia żuk znieruchomiał. Po chwili rozpoczął poszukiwania. Krążył w tę i z powrotem, przesuwał z chrzęstem lśniący pancerz po ziemi.

Kiedy Dirk patrzył na te gorączkowe poszukiwania, jego twarz była spokojna i piękna. Podniósł stopę i przycisnął żuka lekko obcasem.

Czuł, jak pod butem rusza się maleńkie ciało, aż wreszcie pancerz pękł z chrzęstem i

spod nogi trysnął brązowy płyn. Dirk podjął wspinaczkę na szczyt wzgórza.

Tej nocy Dirk był sam. Otoczył nogi ramionami i oparł czoło o kolana. Przenikające przez gałęzie białe światło księżyca było zimne i przywodziło na myśl uczucie wypełniające Dirka. Podniósł głowę. Księżyc oświetlił jego twarz akcentując szlachetne rysy. Gładkie szerokie czoło, czarne linie brwi zharmonizowane z dużym, ale delikatnie ukształtowanym nosem. Tylko usta wyglądały jak cienka linia, wykrzywiona białym, zimnym bólem.

- Nienawidzę go. - Grymas bólu nie zelżał, gdy Dirk szeptał te słowa. - Jej też nienawidzę. Nie zależy mu już na mnie. Chodzi mu tylko o tę kobietę.

W zawziętym głosie słysząc było rozpacz.

- Zawsze chcę mu udowodnić... Nikomu, tylko jemu, ale jego to nie obchodzi. Dlaczego nie chce zrozumieć? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Zadrzał gwałtownie jak w gorączce.

- Nie chce mnie już. Nie dba o mnie więcej.

Drżenie ustąpiło, a usta wyrażały teraz jedynie nienawiść.

- Pokażę mu jeszcze. Jeśli mnie nie chce - to ja mu pokażę. - Następne słowa wypłynęły, jakby to był brud w ustach. - Nienawidzę go. - Nad jego głową zaszumiały poruszone wiatrem gałęzie akacji. Poderwał się na nogi i rzucił do biegu, podążając oświetloną przez księżyc ścieżką zagłębiającą się w plantację.

Polujący przy drodze mały szary meerkat dojrzał poruszający się cień i wdrapał się pośpiesznie na drzewo. Dirk biegł dalej, łkając przy każdym oddechu, coraz szybciej, gnany nienawiścią. Twarz owiewał mu suchy zachodni wiatr, a Dirk potrzebował tego powiewu. Wiatr poniesie jego zemstę.

- Teraz mu pokażę - krzyknął nie zatrzymując się. - Nie chcesz mnie? To dostaniesz to w zamian! - Wiatr i akacje odpowiedziały na jego krzyk jak wiele odległych głosów.

Przy drugiej drodze dojazdowej skręcił w prawo, kierując się ku sercu plantacji. Biegł przez dwadzieścia minut i kiedy wreszcie się zatrzymał, dyszał ciężko.

- Diabli z tobą. Diabli z wami wszystkimi. - Jego głos był ochryply i załamywał się po długim biegu.

- Niech cię diabli. - Zszedł z drogi i zaczął się przedzierać przez plataninę drzew. Akacje miały już dwa lata i cienkie, przeplatające się gałęzie zagradzały mu drogę, niczym ręce usiłujące go powstrzymać; małe rączki czepiające się w desperacji jego ubrania jak ręce proszącego zebra. Dirk odsuwał je niecierpliwymi gestami i przedzierał się dalej. W końcu był już głęboko pomiędzy drzewami.

- Tutaj! - powiedział szorstko. Uklęknął na małych gałązkach i opadłych liściach,



które zasłały ziemię miękkim dywanem. Zgarnął rękami sporą ilość ściółki, łkając przy każdym ruchu tak, że wylewające mu się z ust słowa były nieskładne i pozbawione sensu.

- Suche, wszystko jest suche. Pokażę ci teraz - nie chcesz... Wszystko, co zrobiłem dla ciebie... nienawidzę cię... Och, tatusiu! Dlaczego? Dlaczego nie chciałeś... co ja ci zrobiłem?

Wyciągnął z kieszeni pudełko zapalek. Potarł dwa razy i dwa razy zapalki złamały mu się w palcach. Trzecia jednak zapłonęła niebieskim ognikiem, rozsypując iskierki siarki i rozpalając się pewnym, żółtym ogniem, który tańczył pomiędzy jego złożonymi dłońmi.

- No to masz! - Wsadził płonąca zapalkę w suche liście. Płomień zamigotał, przygasł i ożywił się, gdy zajęła się kępka suchej trawy.

Trawa spaliła się szybko i ogień znowu przygasł, ale po chwili zapalił się suchy liść i pomarańczowe płomyki zamigotały wesoło pomiędzy gałązkami. Rozległ się lekki trzask i ogień rozszerzył się na boki. Płonący liść uniósł się z żarem w powietrze.

Dirk cofnął się o krok, gdy płomienie skoczyły mu ku twarzy. Dirk już nie płakał.

- Tato - szepnął, kiedy płomienie objęły niższe gałęzie drzewa. Poryw wiatru uderzył w drzewo i rozsypał iskry i złote języki ognia przenosząc je na sąsiednią akację.

- Tato! - Głos Dirka był niepewny. Wstał z ziemi, ocierając nerwowo ręce o koszulę.

- Nie. - Potrząsnął ze zdumieniem głową patrząc, jak drzewko rozkwita na czerwono, a ogień szepcze cicho na wietrze.

- Nie. - Podniósł głos. - Nie chciałem... - Jego krzyk został zagłuszony trzaskiem palących się gałęzi. Szept płomieni szybko przemieniał się w narastający ryk.

- Nie! Dostyc! - krzyknął. - O Boże, nie chciałem. Nie! Nie! - Rzucił się na drzewo, wprost na jasne płomienie, kopiąc dziko gałęzie i rozrzucając je na strony tak, iż spadały na boki i wzniewały nowe ognie.

- Nie, dostyc. Proszę, zatrzymaj to! - Rwał płonące drzewo, dopóki żar nie zmusił go do cofnięcia się. Podbiegł do następnej sadzonki i zerwał liściastą gałąź. Wrócił do ognia, bijąc w płomienie i płacząc w otaczającym go dymie.

Unoszone zachodnim wiatrem, czerwonopomarańczowe języki lizały kolejne drzewa. Dirk stał samotnie w kłębach dymu i wirującego popiołu.

- Tato! Przepraszam, nie chciałem tego.

**67.** Poruszana wiatrem okiennica stukała uporczywie o okno, ale nie był to jedyny powód, dla którego Michael Courteney nie mógł spać. Odnosił wrażenie, że jest uwięziony, skrepowany więzami, których nie może zerwać. Czuł wyraźnie, jak olbrzymi dom Theunis Kraal otacza go i więzi. Był w więzieniu, miejscu wypełnionym goryczą i nienawiścią.

Przewracał się niespokojnie z boku na bok, słuchając, jak okiennica wali coraz gwałtowniej o okno. Odrzucił koc, pod jego stopami zatrzeszczały klepki podłogowe.

- Michael! - Dobiegający z sąsiedniego pokoju głos był szorstki i podejrzliwy.

- Tak, mam?

- Dokąd idziesz, kochanie?

- Jedna z okiennic się otworzyła. Chcę ją zamknąć.

- Załóż coś na siebie, kochanie, bo się przeziębisz.

Był cały spocony i czuł, jak się dusi. Musiał natychmiast wyjść na świeże nocne powietrze. Ubrał się szybko i trzymając buty pod pachą przekradł się przez długi korytarz na szeroki ganek.

Znalazł w ciemnościach zasuwkę i zamknął okiennicę, a następnie usiadł na stopniach i wciągnął buty, zanim ruszył przed siebie przez trawnik. Zatrzymał się na najniższym tarasie Theunis Kraal słuchając, jak zachodni wiatr szeleści w gałęziach.

Gwałtowność wiatru wzmogła jeszcze bardziej jego nieokreślony niepokój. Musiał wydostać się z doliny - wejść na wyższy grunt, na skarpe. Ruszył w stronę stajni mijając po drodze wybiegi dla koni. Kiedy zbliżył się do podwórka przed stajniami, zatrzymał się nagle w pół kroku. Na horyzoncie dostrzegł plamę światła. Nad wzgórzami Lion Kop wznosiła się stonowana, pomarańczowa luna.

Michael rzucił się biegiem do stajni, wołając po drodze stajennych. Otworzył drzwi przegrody i biegnąc do konia porwał wiszącą na ścianie uzdę. Niezdarnymi z pośpiechu rękami wcisnął wędzidło pomiędzy zęby zwierzęcia i zapiął rzemienie. Kiedy wyprowadził konia na zewnątrz, dwóch rozespanych i zdziwionych chłopców stajennych czekało już na niego.

- Pożar! - Michael wskazał na wzgórze. - Zbierzcie szybko ludzi i przyprowadźcie ich do pomocy. - Wskoczył na grzbiet konia i spojrzał na nich z góry. - Wezwijcie wszystkich sąsiadów, niech przyjadą wozami. Pośpieszcie się! - Kopnął klacz piętami i pocałował, leżąc pochylony na jej grzbiecie.

Dwadzieścia minut później Michael zatrzymał się na krawędzi skarpy. Klacz dyszała mu ciężko pomiędzy nogami. Pięć mil przed nim, w samym środku plantacji Lion Kop widać było ogniste koło, jasne mimo pełni księżyca. Nad drzewami wznosiła się czarna chmura,

która porywana wiatrem zasłaniała gwiazdy.

- O Boże! Wujek Sean! - Był to krzyk bólu i Michael popędził konia. Przegalopował przez bród na Baboon Stroom tak, że woda tryskała spod kopyt konia, wspiął się na brzeg i wjechał pomiędzy wzgórza.

Klacz zaczęła się potykać i wreszcie Michael wpadł przez bramę na podwórze farmy. Na podwórzu zobaczył wozy i Murzynów z siekierami. Michael zatrzymał klacz tak gwałtownie, że omal przewróciła się na ziemię.

- Gdzie jest Nkosię! - krzyknął Michael do potężnego Zulusa, w którym rozpoznał służącego Seana.

- Pojechał do Pietermaritzburga. Michael zeskoczył z konia i puścił go wolno.

- Poślij kogoś do wsi, żeby sprowadził pomoc.

- Już to zrobiłem - odparł Zulus.

- Musimy wyprowadzić zwierzęta z zagród i konie ze stajni. Ogień może przyjść tutaj - powiedział Michael.

- Już kazałem wszystkim żonom zająć się tym.

- Dobrze zrobiłeś. Ruszajmy.

Zulusi kłębili się przy wozach, trzymając w rękach siekiery na długich trzonkach. Michael i Mbejane podbiegli do pierwszego wozu. Michael wziął lejce. W tej samej chwili dwaj jeźdźcy wpadli na koniach na podwórze. Michael nie widział ich twarzy w ciemnościach.

- Kto to? - krzyknął głośno.

- Broster i van Wyk! - Byli to najbliżsi sąsiedzi.

- Dzięki Bogu! Poprowadzicie pozostałe wozy? Mężczyźni zsiadli z koni i podbiegli do zaprzęgów.

Michael stanął na szeroko rozstawionych nogach, zamachnął się batem i strzelił nim z całej siły cał nad uszami mułów. Zwierzęta rzuciły się do przodu, wóz szarpnął i ruszył z klekotem z miejsca.

Kiedy galopowali w szaleńczym tempie główną drogą dojazdową, spotkali kobiety zuluskie z plantacji idące wraz z dziećmi w stronę domu. Kobiety krzyczały coś do swoich mężczyzn jadących na wozach.

Michael nic nie widział, stał na wozie ze wzrokiem utkwionym w słup ognia i dymu, który wznosił się z samego środka plantacji Seana.

- Ogień zajął drzewa, które sadziliśmy dwa lata temu - powiedział siedzący za nim Mbejane. - Pewnie już jest blisko następnej przecinki ze starszymi drzewami. Nie możemy go

tam zatrzymać.

- Więc gdzie?

- Po tej stronie rosną młodsze drzewa i są szersze drogi. Musimy tu spróbować.

- Jak się nazywasz? - spytał Michael.

- Mbejane.

- Ja mam na imię Michael. Jestem kuzynem Nkosi.

- Wiem. - Mbejane skinął głową i mówił dalej. - Zjedź w miejscu, gdzie spotykają się drogi.

Dojechali do skrzyżowania. W sektorze przed nimi rosły młode drzewka - wysokie na dziesięć stóp i grube jak ramię dorosłego mężczyzny, wyglądały jak ciemna masa poplątanych gałęzi i liści. Dalej linia ognia znaczyła miejsce, gdzie rosły dorosłe akacje. Nad nimi wznosiła się ściana iskier i ciemnego dymu, która wraz z wiatrem szybko przesuwała się w ich stronę. W tym tempie ogień dotrze do nich za mniej niż godzinę.

Pożar tych rozmiarów mógł z łatwością przeskoczyć trzydziestostopową drogę. Muszą wyciąć młode akacje i powiększyć odstęp do co najmniej sześćdziesięciu stóp.

Michael zjechał z drogi i zatrzymał muły. Zeskoczył z kozła i wybiegł na spotkanie nadjeżdżających wozów.

- Jedźcie dalej jakieś dwieście jardów i niech ludzie zaczną ścinać drzewka po tej stronie drogi. Musimy poszerzyć drogę. Ja będę pracował tutaj! - krzyknął do van Wyka.

- Dobrze.

- Panie Broster, niech pan pojedzie do końca tego sektora i tnie drzewa w naszą stronę. Niech pan wycina na szerokość trzydziestu stóp.

Nie czekając dłużej, Broster pogalopował drogą. Obaj mężczyźni, przynajmniej dwa razy starsi od Michaela, przyznali mu bez słowa prawo kierowania całą akcją.

Michael wyrwał siekierę najbliższemu Zulusowi i biegnąc ku akacjom wydawał polecenia. Mężczyźni zaczęli kłębić się wokół niego. Chłopak wybrał drzewo, rozstawił nogi i spuścił siekierę niskim łukiem na pień. Drzewko zadygotało i z gałązek posypały się liście. Michael zmienił uchwyt na trzonku i uderzył z drugiej strony pnia. Ostrze przecięło miękkie drzewo, akacja pochyliła się i upadła z cichym jękiem. Michael przeszedł do następnej. Zulusi rozbiegli się wzdłuż drogi i noc rozbrzmiała stukotem siekier.

W ciągu następnych trzydziestu minut cztery razy przejeżdżały nowe wozy załadowane ludźmi, kierowane przez sąsiadów Seana. W końcu trzystu ludzi pracowało przy ścinie zasadzonych z takim trudem akacji.

Ramię przy ramieniu, ludzie pracowali jak szaleni, depcząc zwalone sadzonki przy

każdym kroku naprzód.

W pewnej chwili ktoś krzyknął z bólu i odwróciwszy głowę Michael zobaczył, jak dwóch Zulusów ciągnie trzeciego ku drodze z nogą na wół odrąbaną przez nieuważny cios siekierą. W świetle księżyca błyszczała ciemna krew.

Jeden z sąsiadów podbiegł zająć się rannym, więc Michael wrócił do ścinania akacji.

Zamach, zmiana rąk, ponownie zamach i głośnie puum!, gdy drzewo pochylało się ku ziemi. Michael przewracał je i przedzierał się przez rozłożyste gałęzie ku następnemu. Zamach i słodki zapach soków żywicznych. Czuł ból w ramionach i pot ściekający po pokrytych bąblami dłoniach.

Nagle poczuł nowy, kwaśny zapach, który przyniósł wiatr. Dym. Michael przerwał pracę i podniósł wzrok. Inni mężczyźni po obu jego stronach także się zatrzymali i światło płomieni zatańczyło na ich nagich, spoconych ciałach, gdy się pochylili, opierając się na siekierach i patrząc, jak zbliża się do nich pożar.

Na szerokości czterystu jardów toczyło się ku nim morze płomieni. Nie był to rozpalony do białości, wybuchający ogień, jaki ogarnia las sosnowy, ale przerażający ogrom pomarańczowych i ciemnoczerwonych barw, buchających w niebo kłębow dymu i snopów iskier. Powoli odgłos rąbania ucichł wzdłuż całej linii, gdy mężczyźni zatrzymali się i patrzyli oniemiała na pożar. Ogień oświetlał ich przerażone twarze. Wszyscy czuli już buchający żar, który wysuszał młode roślinki, jeszcze zanim dotarły do nich płomienie. Nagle silniejszy podmuch wiatru owinał wszystkich chmurą czarnego dymu, odgradzając dokładnie ludzi od siebie. Chmura minęła ich równie szybko, jak nadeszła. Ludzie stali wśród powalonych drzew, z trudem łapiąc powietrze i kaszląc.

- Cofnąć się! Cofnijcie się do drogi! - zawołał Michael i jego krzyk został podjęty przez ustawionych w linię ludzi. Zaczęli się przedzierać przez sięgające im do pasa poplątane gałęzie i zbijać w małych grupkach przy drodze. Stali obok siebie z opuszczonymi siekierami, wystraszeni ścianą ognia i dymu.

- Ścinajcie gałęzie, żeby zdusić ogień! - Krzyk Michaela obudził ich z apatii. - Rozciągnijcie się wzdłuż drogi. - Pobiegnął drogą ustawiając ich w linię, krzycząc na nich i klnąc ze strachu. - Ruszajcie się! Płomienie opadną do ziemi, gdy dotrą do zwalonych drzew! Zakryjcie twarze koszulami! Hej, ty, nie stój tak!

Z determinacją, uzbrojeni w długie gałęzie ludzie uformowali się w szeregu wzdłuż drogi.

Stali w milczeniu oświetleni płomieniami: twarze Murzynów bez wyrazu, a twarze białych zaczerwienione od wysiłku i upału.

- Myśli pan, że zdołamy... - zaczął mówić Michael, gdy zbliżył się do Kena Brostera, i umilkł. Na jego pytanie nie było odpowiedzi. Powiedział zamiast tego: - Straciliśmy już trzy tysiące akrów, ale jeśli pożar wymknie się spod kontroli...!

Obaj spojrzeli jednocześnie na dorosłe akacje rosnące za nimi.

- Zatrzymamy go tutaj - stwierdził Broster z pewnością, której wcale nie miał.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli - szepnął Michael. Nagle Broster krzyknął:

- O Boże! Tam!

Przez chwilę Michael stał oślepiiony czerwoną łuną i gęstym dymem. Pożar był nierówny. Miejscami ogień gnał naprzód pochłaniając jednym skokiem całe połacie, a gdzie indziej zostawiał zatoczki drzew, które wysychały i brązowiały w żarze.

Z jednej z takich zatoczek wyszedł mężczyzna, zataczając się na leżące pnie.

- Kto u diabła... - zaczął Michael. Mężczyzny nie można było rozpoznać. Koszula na nim wisiała w strzępach, podarta przez gałęzie, które także zmieniły jego twarz w krwawą maskę. Mężczyzna szedł niepewnym krokiem w stronę drogi, ale zrobiwszy dwa chwiejne kroki upadł na ziemię i zniknął wśród liści.

- Nkosona. - Głos Mbejane przebił się przez trzask płomieni.

- Dirk! To Dirk Courteney! - Michael rzucił się do przodu. Bił tak wielki żar, że od razu zaczęła go piec twarz. Jak okropna musiała być spiekota w miejscu, gdzie leżał Dirk. Jakby zdając sobie sprawę, że ofiara jest bezbronna, płomienie gnały triumfująco w stronę leżącego, żeby go pochłonąć ze szczętem. Ktokolwiek by się zbliżył, żeby zabrać im zdobycz, musiał stawić czoło ich rozwścieczonej potędze.

Michael przedzierał się przez drzewa biegnąc do miejsca, gdzie Dirk wił się na ziemi, niemal objęty płomieniami. Buchający żar zdawał się wychodzić Michaelowi na spotkanie. Z tyłu za Michaeliem biegł Mbejane.

- Wracaj! - ryknął Zulus. - Wystarczy tylko jeden z nas. Michael nic nie odpowiedział i obaj przeskakiwali przez zwalone drzewa, ścigając się ku Dirkowi.

Mbejane dopadł go pierwszy i podniósłszy chłopca z ziemi zawrócił ku drodze. Zrobił jeden krok, zanim się przewrócił, jednak zaraz wstał chwiejnie z gęstwiny gałęzi. Nawet jego potężna siła była niewystarczająca w gorącej próżni, jaką wytworzył pożar. Usta Murzyna były szeroko otwarte, wyglądały niczym różowa jama na czarnej, błyszczącej twarzy. Jego pierś unosiła się ciężko szukając powietrza i wciągając zamiast niego palący żar.

Michael rzucił się Zulusowi na pomoc, przebijając się przez żar. Ogarniała go czerwona ściana migoczącego światła. Michael czuł, jak skóra na twarzy puchnie mu i naciąga się, a oczy stają się boleśnie suche.

- Wezmę go za nogi - stęknął podnosząc Dirka. Na rękawie koszuli wykwitła nagle brązowa plama osmalona płomieniami, jak gdyby materiał został nieuważnie przypalony żelazkiem. Michael poczuł pod koszulą bolesne pieczenie.

Zrobili zaledwie kilka kroków z Dirkiem, gdy Michael się potknął i pociągnął Mbejane na ziemię. Podnosili się powoli; każdy ruch był zwolniony przez żar - i gdy wstali, byli już otoczeni pożarem.

Po ich obu stronach dwa jezory ognia dosięgły powalonych akacji. Pożar zwolnił nieco i przypadł do ziemi, ale gwałtowny powiew wiatru i świeże paliwo spowodowały, że płomienie nałożyły się na siebie, rozpościerając się na zewnątrz i otaczając Michaela i Mbejane palisadą tańczących płomieni.

- Idziemy - wycharczał Michael przez spieczone i opuchnięte gardło. - Musimy się przebić!

Zaczęli się przedzierać ku żywej ścianie ognia, przez którą Michael widział zamglonych, niemal nierealnych ludzi gaszących gałęziami ogień - zniekształcone zjawy usiłujące utorować im drogę. Michael miał na sobie spodnie, koszulę i buty, ale Mbejane nosił jedynie opaskę biodrową i widać było, że jest u kresu sił.

Patrząc na Michaela ponad ciałem Dirka, Mbejane zobaczył dziwną rzecz: włosy chłopca marszczyły się powoli i w pewnej chwili zaczął unosić się z nich dym, niczym z płonącego starego worka.

Michael krzyknął z bólu, a jego chrapliwy głos przedarł się przez ryk i trzask płomieni. Ból wyzwolił w nim ostatnie pokłady siły. Schwycił Dirka, jakby to była szmaciana lalka, i zarzuciwszy go sobie na plecy wbiegł w ścianę ognia.

Płomienie sięgnęły mu do pasa, czepiając się łapczywie ubrania, a jego postać spowiła wirująca chmura dymu i iskier - udało mu się jednak przedostać na drugą stronę.

- Pomóżcie Mbejane! - krzyknął na zuluskich robotników. Jeszcze kilka kroków i dotarł do drogi. Upuścił Dirka na ziemię i zaczął walić rękami po ubraniu. Buty miał na wpół spalone, a ubranie tliło się w kilku miejscach. Michael zwałił się na ziemię i przetoczył po niej kilka razy.

Dwóch Zulusów pobiegło na ratunek Mbejane. Byli to zwykli robotnicy, których nazwisk nikt nie znał. Żaden z nich nie miał butów. Dostrzegli Mbejane, który szedł zataczając się w ich kierunku. Objęli go z obu stron i zaczęli prowadzić ku drodze.

Michael uklęknął na ziemi i mimo straszego bólu patrzył na nich z chorobliwą fascynacją.

Wiodąc Mbejane za ręce, jakby był niewidomy, weszli boso w ogień, wznecając

wokół siebie chmurę dymu i iskier. Dym otoczył ich czarnym obłokiem i cała trójka zniknęła.

- Mbejane! - krzyknął przez spieczone gardło Michael i poderwał się na nogi, żeby biec mu na ratunek. Po chwili się uspokoił.

- Dzięki ci, Boże. - Mbejane i jeden z Zulusów wyłonili się z dymu wpadając w wyciągnięte ręce czekających na nich ludzi.

Nikt nie poszedł po drugiego Zulusa. Nikt nie odważył się wejść jeszcze raz w dym, dopiero w dwie godziny później, gdy o świcie pożar został opanowany, a dorosłe akacje uratowane. Wtedy Ken Broster poprowadził małą grupkę ludzi pomiędzy stosy dymiących popiołów. Znaleźli Murzyna leżącego twarzą ku ziemi na czarnej pustyni. Tylko ta część ciała, która była przyciśnięta do ziemi, przypominała jeszcze człowieka.



**68.** Ladyburg za dwadzieścia minut, panie Courteney. - Konduktor wsunął głowę do przedziału.

- Dzięki, Jack. - Sean podniósł wzrok znad książki.

- Czytałem w dzisiejszej gazecie, że zaręczył się pan i zamierza żenić.

- Zgadza się.

- No cóż, niech to będzie porządna walka, bez żadnych ciosów poniżej pasa i powodzenia dla was obojga.

Sean uśmiechnął się do niego i konduktor przeszedł do następnego przedziału. Sean schował książkę do torby i wyszedł na korytarz.

Na tylnym pomoście wagonu zapalił cygaro i opierając się o barierkę patrzył na step, czekając, aż ukaże się Lion Kop. Za każdym razem, gdy wracał do Ladyburga, lubił rzucić pierwsze spojrzenie na plantację.

Tego ranka był tak szczęśliwy i zadowolony z życia, jak dawno mu się to nie zdarzyło. Poprzedniego wieczoru, po naradzie z państwem Goldberg, Ruth ustaliła datę ślubu na marzec następnego roku. Do tego czasu Sean miał ukończyć ścinanie pierwszej partii akacji i będą mogli wybrać się w podróż poślubną do Cape.

Wreszcie osiągnąłem wszystko, czego może pragnąć mężczyzna, pomyślał. Uśmiechnął się do siebie i w tej samej chwili zobaczył dym. Wyprostował się i odrzucił cygaro.

Pociąg wdrapywał się na skarpe, zwalniając bieg w miarę, jak zbliżał się do szczytu. W końcu osiągnął krawędź wzgórza i przed Seanem roztoczył się widok na całą dolinę Ladyburga. Zobaczył nieregularną plamę wśród drzew i niewielkie, szare obłoczki unoszone przez wiatr nad wzgórzami.

Otworzył drzwiczki barierki i wyskoczył z pociągu. Pośliznął się i potoczył w dół zwirowego nasypu. Czuł, jak zdziera skórę na kolanach i dłoniach, poderwał się jednak na nogi i pobiegł.

Wzdłuż drogi w miejscu, gdzie udało się zatrzymać pożar, czekali ludzie. Jedni siedzieli na ziemi, inni spali wyczerpani pracą. Wszyscy byli pokryci warstwą popiołu i sadzy. Oczy mężczyzn były czerwone od dymu, a mięśnie napięte z wysiłku. Jednak nikt nie opuścił czarnej pustyni, znad której wciąż unosił się dym, gdyż wiatr mógł jeszcze rozniecić nowy pożar.

Ken Broster podniósł głowę i usiadł szybko.

- Sean! - powiedział. Leżący pokotem ludzie zaczęli się poruszać i niemrawo podnosić z ziemi. Patrzyli, jak Sean idzie ku nim na miękkich nogach po pięciomilowym biegu.

Sean zatrzymał się kilka kroków od nich starając się unormować oddech, który dławiał jego gardło.

- Jak? Jak to się stało?

- Nie wiemy, Sean. - Ken Broster współczująco opuścił oczy na ziemię. Nie powinno się przyglądać cierpiącemu mężczyźnie. Sean oparł się o wóz. Nie mógł się zmusić, żeby spojrzeć ponownie na olbrzymi obszar spalonej ziemi i wystające z niej szkielety drzew, które wyglądały niczym powykręcane palce wyrastające z rąk dotkniętych reumatyzmem.

- Zginął jeden z twoich ludzi - poinformował go cichym głosem Ken. - Jeden z Zulusów. - Zawahał się przez chwilę i dodał zdecydowanym głosem: - Są ranni. Ludzie są ciężko poparzeni.

Sean nic nie odpowiedział. Wydawało się, że nie rozumie, co się do niego mówi.

- Twój kuzyn i twój syn, Dirkie. - Sean nadal patrzył na niego tępym wzrokiem.

- Także Mbejane. - Tym razem Sean skurczył się lekko.

- Posłałem ich do domu. Jest tam już doktor.

Sean nadal nic nie mógł powiedzieć, ale przetarł dłonią usta i oczy.

- Z Mikiem i Dirkiem nie jest tak źle, tylko poparzyli skórę, ale nogi Mbejane wyglądają bardzo brzydko. - Ken Broster mówił coraz szybciej. - Dirk został uwięziony pomiędzy płomieniami. Mike i Mbejane pobiegli mu na ratunek... otoczeni... na ziemi... podnieśli go... chcieli pomóc... nie udało się... zupełnie spalony... nogi popalone do kości...

Dla Seana słowa wciąż nie miały sensu. Oparł się ciężko o wóz. Czuł w sobie brak jakiegokolwiek energii. Nie było w nim żadnej woli. To za dużo. Zostaw to. Zostaw.

- Sean, dobrze się czujesz? - Poczul rękę Brostera na ramieniu. Wyprostował się i rozejrzał wokół.

- Muszę iść do nich. Pożycz mi konia.

- Idź do domu, Sean. Zostaniemy tu i przypilnujemy plantacji. Nie musisz się martwić. Zrobimy wszystko, żeby nie powstał nowy pożar.

- Dziękuję, Ken. - Spojrzał na otaczające go twarze i kryjące się w oczach współczucie. - Dziękuję wam wszystkim - powiedział.

Sean wjechał wolno na podwórko stajni. Przed domem stało wiele wozów i służących, murzyńskich kobiet i dzieci. Ludzie go rozpoznali i zapadła martwa cisza. Przy ścianie stajni leżały nosze, wokół których stała grupka kobiet. Sean podszedł do nich.

- Witam cię, Mbejane.

- Nkosi. - Mbejane miał spalone brwi i rzęsy, co nadawało jego twarzy wyraz zdziwienia. Dłonie i stopy miał obwiązane białymi bandażami, spod których żółtymi plamami

przesiąkały maście. Sean przykucnął obok noszy. Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Dotknął niepewnie ramienia przyjaciela.

- Bardzo boli? - spytał wreszcie.

- Nie, Nkosi. Nie jest tak źle. Moje żony przyszły mnie zabrać. Wrócę, jak tylko będę mógł.

Porozmawiali przez chwilę i Mbejane powiedział mu o Dirku i o tym, jak Michael pobiegł mu pomóc. Wreszcie mruknął cicho:

- Ta kobieta jest żoną mężczyzny, który zginął.

Sean zauważył ją dopiero teraz. Siedziała samotnie na kocu na zatłoczonym podwórku oparta o ścianę. Obok niej stało dziecko; pochylone do przodu i nagie trzymało w rękach pełną, czarną pierś matki i ssało mleko. Kobieta siedziała z podwiniętymi nogami, z ramionami osłoniętymi brunatnożółtą skórą, która z przodu była rozchylna, żeby dać dostęp dziecku. Sean podszedł do niej. Dziecko spojrzało na niego dużymi, ciemnymi oczami, ale nie puściło piersi i po kącikach ust pociekło mu mleko.

- To był prawdziwy mężczyzna - przywitał kobietę Sean. Pochyliła poważnie głowę.

- Tak, to był mężczyzna! - zgodziła się z nim.

- Dokąd pójdziesz? - spytał Sean.

- Do wioski ojca. - Wysokie nakrycie głowy z czerwonej gliny pochyliło się dumnie, podkreślając jej odpowiedź.

- Wybierz dwadzieścia sztuk bydła z mojego stada i weź ze sobą.

- Ngi Yabonga. Bądź pochwalony, Nkosi.

- Idź w pokoju.

- Zostań w pokoju. - Wstała, posadziła dziecko na biodrze i odeszła wolno nie oglądając się za siebie.

- Pójdę już, Nkosi. - Odezwał się Mbejane z noszy. Jego skóra poszarzała z bólu. - Kiedy wrócę, znowu zasadzimy akacje. To był tylko mały pożar.

- To był tylko mały pożar. - Sean skinął głową. - Idź w pokoju, przyjacielu. Wypij dużo piwa i nabierz ciała. Przyjadę cię odwiedzić.

Mbejane zachichotał cicho i dał znak żonom, żeby zajęły miejsce przy noszach. Młode i zahartowane pracą w polu kobiety podniosły go, położyły na miękkich skórach i wyniosły z podwórka. Kiedy minęły bramę, zaczęły śpiewać idąc w podwójnym szeregu przy noszach, smukłe i dostojne. Ich nagie ciała błyszczały w słońcu, pośladki kołysały się pod krótkimi opaskami biodrowymi, a ich wysokie i dumne głosy śpiewały starą pieśń witającą wojownika wracającego do domu z pola bitwy.

Na ganku Lion Kop zebrało się wielu sąsiadów z żonami, którzy przyszli wyrazić swoje współczucie i zaoferować pomoc. Ada czekała już na niego w domu.

- Dirk? - spytał Sean.

- Wszystko w porządku. Teraz śpi. Dałam mu laudanum.

- Michael?

- Czekaj na ciebie. Nie chciał lekarstwa. Położyłam go w twoim pokoju.

Idąc do swojego gabinetu Sean zatrzymał się przy pokoju Dirka i zajrzał do środka. Dirk leżał na plecach z zabandażowanymi rękami złożonymi na piersi. Twarz miał opuchniętą i poznaczoną czerwonymi pręgami po uderzeniach gałęziami akacji. Na krześle obok łóżka siedziała Mary. Spojrzała na Seana i zrobiła ruch, jakby chciała wstać. Sean potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Przyjdę, jak się obudzi. - Ruszył korytarzem do własnego pokoju.

Trzy dziewczęta Ady krążyły wokół leżącego na łóżku Michaela, niczym ptaszki niespokojne o bezpieczeństwo gniazda. Zobaczyły Seana i ich paplanina momentalnie umilkła. Wszystkie dziewczęta Ady z jakichś niewyjaśnionych powodów bały się Seana.

- Och, panie Courteney. Jego biedne dłonie... - zaczęła jedna z dziewcząt, zarumieniła się, przeprosiła go szybko i uciekła z pokoju. Pozostałe dziewczęta wymknęły się za koleżanką.

Sean zbliżył się do łóżka.

- Cześć, Mike. - Jego głos stał się dziwnie chropawy, gdy zobaczył bąbel, który wisiał chłopcu na policzku niczym dojrzałe winogrono.

- Cześć, wujku Sean. - Poparzone miejsca na twarzy i ustach Michaela były posmarowane żółtą maścią. Sean usiadł na brzegu łóżka.

- Dziękuję, Michael - powiedział.

**69.** Ronny Pye zjawił się wczesnym rankiem następnego dnia. Wraz z nim przyszedł Denis Peterson. Obaj byli ubrani w garnitury.

- Co za niespodziewana wizyta - przywitał ich Sean. - Przyszliście w interesach czy towarzysko?

- No cóż, jedno i drugie. - Ronny zatrzymał się na schodach werandy. - Możemy wejść?

Sean wprowadził ich na werandę i usiedli w milczeniu.

- Sean, słyszałem o pożarze. Co za nieszczęście... Słyszałem, że zginął jeden z twoich ludzi, a Dirk i Michael zostali poparzeni. Naprawdę okropne. - Ronny potrząsnął współczująco głową.

- Słyszałeś pewnie także, że straciłem cztery tysiące akrów akacji? - spytał grzecznie Sean.

- Tak, słyszałem o tym. - Ronny skinął uroczyście głową. - To straszne.

Ronny i Denis wymienili ukradkiem spojrzenia i popatrzyli na własne ręce.

- Bardzo nieprzyjemne - powtórzył Ronny i zapadła cisza.

- Coś jeszcze cię martwi - zapytał tym samym grzecznym tonem Sean.

- No cóż, skoro już o tym mówisz. - Ronny sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął złożony dokument przewiązany czerwoną wstążką. - Rozumiesz, nie musimy rozmawiać na ten temat dzisiaj. Może zostawimy to, aż będziesz się czuł lepiej?

- Mów! - warknął Sean.

- Punkt ósmy. - Ronny rozłożył dokument na stole zastawionym filiżankami. - W wypadku wymienionego wyżej zabezpieczenia, to znaczy, w przypadku gdy pewien sektor plantacji akacji Lion Kop, zwany sektorem nr 2 w rozciągłości... - Ronny zawahał się. - Przypuszczam, że nie ma sensu, abym czytał to w całości. Wiesz, co mówi dokument. Akacje były częścią zastawu pod pożyczkę.

- Ile dasz mi czasu na podjęcie pieniędzy? - zapytał Sean.

- No cóż, Sean, rozumiesz, że w kontrakcie nie ma uwzględnionych żadnych zwłok. Wygląda na to, że musisz teraz wyłożyć pieniądze.

- Potrzebuję miesiąca - powiedział Sean.

- Miesiąca! - Ronny był zaszokowany i obrażony prośbą. - Słuchaj, Sean. Naprawdę nie mogę - to znaczy, na pewno masz pieniądze. Na co ci potrzebny cały miesiąc? Po prostu daj nam czek.

- Wiesz cholernie dobrze, że nie mam pieniędzy.

- Wygląda na to... - zaczął delikatnie Ronny. - Wygląda na to, że jeśli nie masz teraz

pieniędzy, to nie będziesz ich miał i za miesiąc. Bez obrazy, Sean, ale musimy spojrzeć na tę sprawę od strony interesów. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Rozumiem cię. - Sean skinął głową. - Ale potrzebuję miesiąca.

- Daj mu go - odezwał się nagle Denis Peterson. Denis siedział dotąd cicho. Ronny odwrócił się do niego gwałtownie, z wykrzywioną z wściekłości twarzą. Toczył przez pięć sekund wewnętrzną walkę starając się wygładzić rysy i opanować głos.

- No wiesz, Denis - mruknął. - To rzeczywiście niezwykle sposób podchodzenia do spraw. Wydaje mi się...

- Rozmawiałem z Audrey, zanim tu przyszliśmy. Obiecałem jej... W każdym razie, oboje się zgodziliśmy. - Denis patrzył na dolinę, niezdolny spojrzeć partnerowi w oczy.

Nagle Ronny Pye się roześmiał. Dobrze, na Boga! Tak będzie nawet lepiej. Będzie mógł się przyglądać, jak ten wielki, arogancki drań pełza, żebrząc z wyciągniętymi dłońmi. Sean uda się najpierw do Jacksona, a Ronny zatelegrafował już do niego poprzedniego wieczoru. Zatelegrafował także do Nicholasa ze Standard Bank. Dziś wiadomość powinna już dotrzeć do pozostałych banków południowoafrykańskich. Sean Courteney będzie miał spore kłopoty z pożyczaniem pieniędzy choćby na obiad.

- W porządku, Sean. Mam dla ciebie specjalne względy i dam ci jeden miesiąc. - Przeszła mu wesołość i Ronny nachylił się w fotelu. - Dokładnie trzydzieści dni. Ale później sprzedam cię do ostatniej koszuli.

Gdy wreszcie sobie poszli, Sean został sam na werandzie. Ciepłe promienie słońca kładły się wesoło na zboczach wzgórz, ale w cieniu panował przyjemny chłód. Słyszał, jak dziewczęta Ady szczebioczą gdzieś wesoło w domu. Jedna z nich zachichotała. Dźwięk zirytował Seana. Ze zmarszczonymi brwiami wyjął z kieszeni pomiętą kopertę i wygładził ją ręką na poręczy fotela. Siedział przez chwilę nieruchomo gryząc koniec ołówka.

Następnie napisał: "Jackson. Akacje Natalskie". Pod spodem: "Standard Bank". Dalej: "Ben Goldberg". Zawahał się i przez chwilę rozważał ostatnie nazwisko na liście. Mruknął pod nosem i zamazał je dwoma pociągnięciami ołówka. Nie od Goldbergów. Lepiej ich trzymać z dala od tego.

Nabazgrał szybko jedno imię: "Candy", a pod spodem: "Tim Curtis".

To wszyscy. John Acheson był w Anglii. Sean czekałby dwa miesiące na odpowiedź od niego.

Tak, to już wszyscy. Westchnął cicho i schował kopertę do kieszeni. Następnie zapalił cygaro, oparł się o poręcz krzesła i położył stopy na niskim murku werandy. Wyjadę

jutrzejszym pociągiem, pomyślał.

Okna za nim były otwarte. Na łóżku pod oknem leżał Michael Courteney i słuchał każdego słowa rozmowy. Wstawszy z bólem z łóżka, zaczął się ubierać. Wyszedł z domu tylnymi drzwiami, więc nikt go nie widział. Klacz była w stajni i Michael wrócił do Theunis Kraal.

Anna zobaczyła, jak jedzie, i podbiegła do niego przez podwórze.

- Michael! Och, Michael. Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało. Słyszeliśmy... - Zamarła, kiedy dostrzegła na jego twarzy ślady poparzeń. Michael zsiadł z konia i jeden z chłopców stajennych wziął od niego lejce.

- Michael, kochanie. Twoja biedna twarz. - Objęła go mocno.

- To nic, mamó.

- Nic! - Odsunęła się od niego z zaciśniętymi ustami. - Uciekasz w środku nocy do tego... tego... A potem wracasz dwa dni później z popaloną twarzą i rękami i mówisz, że to nic!

- Przykro mi, mamó. Babcia się mną zajęła.

- Wiedziałaś dobrze, że będę się zamartwiała na śmierć siedząc w domu i wyobrażając sobie najróżniejsze rzeczy. Nie przysłałaś mi ani słowa wiadomości, zostawiłaś mnie...

- Mogłaś przyjść do Lion Kop - powiedział cicho.

- Do domu tego potwora? Nigdy! Michael odwrócił od niej wzrok.

- Gdzie jest ojciec?

- Jak zwykle w swoim gabinecie. Och, kochanie, nawet nie wiesz, jak bardzo się o ciebie martwiłam. Michael, powiedz mi, że mnie kochasz.

- Kocham cię - powiedział machinalnie i wróciło stare uczucie duszności. - Muszę zobaczyć ojca. To bardzo pilne.

- Dopiero co przyjechałaś. Pozwól, że zrobię ci coś do jedzenia i zajmę się twoją biedną buzią.

- Muszę natychmiast zobaczyć ojca. Przepraszam. - Minął ją i wszedł do domu.

Garry siedział przy biurku, gdy Michael wszedł do jego gabinetu. Michael nienawidził tego pokoju. Nienawidził okopconego sufitu, przytłaczającego mroku, wykładanych boazerią ścian, ciężkich trofeów myśliwskich. Nienawidził nawet dywanu i zapachu starych papierów i kurzu. Właśnie w tym pokoju zapadały decyzje i orzeczenia stanowiące o jego życiu. Gabinet był symbolem wszystkiego, od czego Michael chciał się wyrwać. Patrzył teraz z wyzwaniem po ścianach, jakby pokój był żywą istotą i myślał: przyszedłem zabrać ci coś, co należy do mnie, musisz mi teraz zapłacić.

- Michael! - But Garry'ego zastukał na drewnianej podłodze, gdy ojciec wstał, żeby go przywitać. Michael skrzywił się na ten dźwięk.

- Cześć, tato.

- Mama i ja bardzo się o ciebie martwiliśmy. Dlaczego nie przysłałeś nam żadnej wiadomości? - W głosie Garricka słychać było urazę. Michael otworzył już usta, żeby go przeprosić, ale powiedział coś innego, niż zamierzał.

- Byłem zajęty. Nie miałem czasu.

- Siadaj, synu. - Garrick wskazał na skórzany fotel. Zdjął z nosa okulary w metalowych oprawkach, lecz nie spojrzał drugi raz na poranioną twarz syna. Nie chciał myśleć o Seanie i Michaelu.

- Cieszę się, że wróciłeś. Właśnie pracowałem nad wstępem do mojej nowej książki. To będzie historia naszej rodziny od czasu, gdy twój prapradziadek przybył do Cape. Chciałbym usłyszeć twoją opinię na jej temat. Bardzo cenię sobie twoje zdanie. Rozważną opinię absolwenta college'u południowoafrykańskiego.

Pułapka znowu się zamykała. Na samą myśl o tym Michael zaczął wiercić się w fotelu. Czuł, jak wyłożone boazerią ściany zaczynają na niego napierać. Spróbował zaprotestować.

- Tato, muszę z tobą pomówić. - Jednak Garrick włożył już okulary i przewracając kartki mówił szybko.

- Myślę, że ci się to spodoba. Powinno cię zainteresować. - Garrick podniósł wzrok i uśmiechnął się do Michaela z radością dziecka przynoszącego podarunek. - O właśnie. Mam. Zacznę od samego początku. Oczywiście to jest dopiero zarys wstępu. Nie doszlifowałem jeszcze wszystkiego. - Zaczął czytać. Przy końcu każdego akapitu spoglądał na syna szukając uznania, uśmiechając się w oczekiwaniu na nie. W końcu Michael nie mógł tego dłużej wytrzymać i krzyknął gwałtownie, przerywając Garrickowi w połowie zdania.

- Chcę, żebyś spłacił mi mój udział w Theunis Kraal.

Garry przerwał na krótką chwilę czytanie, drżąca nuta w jego głosie świadczyła, że usłyszał prośbę Michaela, ale czytał dalej. Teraz jego głos stracił dźwięczne brzmienie i stał się śmiertelnie monotony. Garry skończył akapit, odłożył kartkę, zdjął okulary i schował je do futerału. Ściągnięta sprężyną pokrywka zamknęła się z suchym trzaskiem i Garry podniósł wolno głowę.

- Dlaczego?

- Potrzebuję pieniędzy.

- Na co?



- Potrzebuję ich.

Garry wstał i podszedł do okna. Stał przed nim nieruchomo z założonymi na plecach rękami. Zielone trawniki ciągnęły się aż do płotu ogradzającego ogrody, wśród których krzewy wilkomlecza odcinały się purpurowymi plamami. Dalej teren unosił się lekko i Garry spozjrzał na wyzłoconą słońcem trawę, porozrzucane zagajniki, pasące się pomiędzy nimi krowy i ciężkie, srebrnoniebieskie chmury na niebie.

- Będzie padało dziś w nocy - mruknął Garrick, ale Michael milczał. - Potrzebujemy deszczu. Trzy tygodnie suszy i pastwiska zaczynają już wysychać. - Znowu nie uzyskał odpowiedzi. Garrick wrócił do biurka.

- Słyszałem, że wczorajszej nocy był pożar w Lion Kop.

- Tak.

- Ludzie mówią, że twój wujek jest skończony. Mówią, że ogień go zniszczył.

- Nie! - Michael zaprzeczył gwałtownie. - To nieprawda.

- Michael, czy na to potrzebujesz pieniędzy?

- Tak.

- Chcesz je dać Seanowi?

- Chcę kupić udział w przedsiębiorstwie akcyjnym Lion Kop. Nie chcę nic nikomu dawać. To tylko czysty interes.

- A co z Theunis Kraal - z twoim domem? Tu się urodziłeś.

- Proszę, tato. Już się zdecydowałem.

- Czy to Sean ci zaproponował?

- Nie. O niczym nie wie.

- Więc to twój pomysł. Sam to wymyśliłeś. Chcesz sprzedać dom własnych rodziców. Mój Boże, jaką on ma nad tobą władzę, że chcesz zrobić coś takiego?

Czerwieniąc się raptownie Michael kopnął krzesło i poderwał się na nogi.

- Powiedziałeś to tak, jak bym was zdradził.

- Bo tak właśnie jest! - krzyknął Garrick. - To judaszowa robota. Twoja matka i ja, daliśmy ci wszystko. Odejmowaliśmy sobie od ust, żeby posłać cię na uniwersytet. Pracowaliśmy na ten dzień, kiedy wrócisz do Theunis Kraal i... - Zamilkł, dysząc ciężko. Otarł ślinę z ust. - A ty uciekasz do tej... tej świni. Co mamy o tym myśleć? Nie widzisz, że to łamie nasze serca? Ze wszystkich ludzi musiałeś wybrać właśnie jego! A teraz, teraz chcesz pól Theunis Kraal, żeby mu zrobić prezent, żeby kupić...

- Dosyć! - ostrzegł go ostrym głosem Michael. - Zanim cos jeszcze powiesz, to przypomnij sobie, od kogo dostałem połowę domu. Przypomnij sobie, kto dał mi mój udział. -

Złapał kapelusz i odwrócił się do drzwi.

- Michael. - Udręczony głos Garricka zatrzymał go na progu.

- O co chodzi?

- Twój udział nie jest wiele wart. Nie powiedziałem ci o tym wcześniej, ale wówczas byłeś za młody. Zaraza bydłęca. Musiałem... - Nie mógł mówić dalej.

- Co chcesz mi powiedzieć?

- Usiądź, Michael. Siadaj, pokażę ci.

Niechętnie, obawiając się tego, co miał usłyszeć, Michael wrócił do pokoju i stanął przy fotelu.

Garry wybrał kluczyk z pęku zawieszzonego na łańcuszku od zegarka i otworzył górną szufladę biurka. Wyjął z niej zwinięty dokument, zdjął z niego gumkę i podał go bez słowa synowi.

Michael rozłożył dokument i przeczytał tytuł.

- Zastaw hipoteczny.

Czując, jak mu się zaciska żołądek, otworzył dokument na pierwszej stronie. Nie czytał tekstu. Słowa i grupy słów napisane wytłuszczonym drukiem wystarczyły mu, żeby zorientować się w treści.

- Trust & Banking Co. W Ladyburgu... Pewna część ziemi obejmująca w przybliżeniu dwadzieścia pięć tysięcy mórg usytuowana w dystrykcie Ladyburg, zarząd magistralny w Pietermaritzburgu, znana jako farma Theunis Kraal... Wszystkie konstrukcje, budynki i naprawy... Oprócz tego odsetki w wysokości ośmiu i pół procent.

- Rozumiem.

Michael wręczył ojcu dokument i wstał.

- Dokąd idziesz?

- Wracam do Lion Kop.

- Nie! - szepnął Garry. - Nie, Michael. Proszę, synu. Nie. O Boże. Nie! - Michael wyszedł z pokoju zamykając za sobą delikatnie drzwi.

Kiedy Anna weszła do pokoju, Garry siedział za biurkiem z opuszczonymi ramionami.

- Pozwoliłeś mu odejść! - syknęła od drzwi. Garry się nie poruszył; zdawał się jej nie słyszeć.

- On odszedł. Poszedł do twojego brata, a ty mu na to pozwoliłeś. - Jej głos był dotąd bardzo cichy, ale nabierał mocy w miarę, jak mówiła i w końcu przeszedł w krzyk. - Ty głupi, pijany zwierzaku! Siedzisz tutaj i zabawiasz się swoimi książeczkami. Nie byłeś nawet na tyle mężczyzną, żeby go spłodzić - twój brat musiał to zrobić za ciebie! Nie jesteś też na tyle

mężczyzną, żeby go zatrzymać - znowu twój brat! Pozwoliłeś mu odejść. Zabrałeś mi mojego syna.

Garry siedział nieruchomo. Nic nie widział. Nic nie słyszał. W głowie miał miękką szarą mgłę, która zagłuszała wszelkie dźwięki i zasłaniała wszystkie obrazy. W mgle było mu ciepło i czuł się wreszcie bezpieczny. Nikt go nie mógł dotknąć, gdyż cały był w nią spowity. Był bezpieczny.

- Tylko tyle jesteś wart. - Anna porwała plik papierów z biurka. - Twoje głupie papiery. Twoja pisanina i marzenia o innych mężczyznach - prawdziwych mężczyznach.

Przedarła kartki na połowę i jeszcze raz, i ponownie, i rzuciła nimi w męża. Skrawki papieru zawisły w powietrzu i wirując lekko opadły mu na ramiona i głowę niczym zeschnięte liście. Garry się nie poruszył. Dysząc ciężko z bólu i nienawiści, Anna wzięła następny plik manuskryptu i porwała go na strzępy, rozrzucając je po pokoju.

70. Stali obaj na peronie, nie odzywając się do siebie. Większą część poprzedniego dnia i nocy spędzili na rozmowie i teraz nie było nic więcej do dodania. Stali więc obok siebie otoczeni aurą cichej przyjaźni i każdy, kto by na nich spojrział w tej chwili, odgadłby od razu, że są ojcem i synem. Mimo że Michael nie był tak wysoki jak Sean i wydawał się przy nim wręcz chudy, to kolor skóry i włosów mieli taki sam. Obaj byli wyposażeni w takie same wielkie nosy i duże zmysłowe usta.

- Zatelegrafuję, jak tylko znajdę pieniądze. - Sean wyjaśnił dokładnie Michaelowi finansowy stan Lion Kop. Powiedział mu też, jak zamierza szukać pieniędzy, żeby zapobiec upadkowi.

- Zajmę się plantacją. - Michael miał zacząć ścinanie akacji, które nie zostały pochłonięte przez pożar. Poprzedniego wieczoru przejechali razem przez plantację i oznaczyli sektory, które nadawały się do okorowania. - Powodzenia, wujku Sean.

- Mike, ponieważ pracujemy teraz razem, może darujesz sobie tego "wujka". Nie jest to zbyt wygodne na co dzień.

Michael uśmiechnął się.

- Powodzenia, Sean.

- Dzięki, Mike. - Uścisnęli mocno ręce i Sean wspiął się na stopnie wagonu.

Jackson był bardzo przyjacielski i stanowczy, a Nichols w Standard Bank bardzo grzeczny i pełen współczucia. Sean złapał pociąg do Johannesburga, żeby spróbować z ostatnimi dwiema osobami.

- Pan pułkownik Courteney. Jak miło pana widzieć. - Recepcjonista w hotelu Candy wyszedł zza lady, żeby przywitać Seana. - Mówiliśmy o panu nie dalej niż tydzień temu. Witamy w Johannesburgu.

- Witaj, Frank. Widzę, że przybrałeś sporo na wadze, co? - Sean dźgnął lekko palcem w kamizelkę i mężczyzna zachichotał. - Powiedz mi, Frank, czy zastałem Candy... panią Rautenbach?

- Ach! Zaszły pewne zmiany od czasu, gdy odwiedził nas pan ostatni raz, sir. - W uśmiechu recepcjonisty widać było ślad złośliwości. - To już nie jest pani Rautenbach. O nie. Pani Heyns - teraz to pani Heyns!

- Dobry Boże! Wyszła za Jocka!

- Właśnie, sir. Dwa tygodnie temu - największy ślub w Jo'burgu od czasu wojny. Dwa tysiące gości.

- Gdzie jest teraz?

- Na morzu. Popłynęli w sześciomiesięczną podróż poślubną do Anglii i na kontynent.
- Mam nadzieję, że będzie szczęśliwa - mruknął cicho Sean, przypominając sobie wyraz samotności, jaki dojrzał ostatnim razem w jej oczach.
- Ze wszystkimi pieniędzmi pana Heynsa? Jak mogłaby nie być szczęśliwa? - spytał recepcjonista szczerze zdziwiony. - Zostanie pan u nas, pułkowniku?
- Jeśli macie wolny pokój.
- Zawsze mamy pokój dla starych przyjaciół. Na jak długo, sir?
- Dwa dni, Frank.

Tim Curtis był naczelnym inżynierem w miejskiej kopalni. Kiedy Sean wspomniał o pożyczce, Tim roześmiał się głośno.

- Jezu! Sean, ja tu tylko pracuję! Nie jestem właścicielem tej cholernej kopalni.

Sean zjadł obiad z Timem i jego żoną, z którą Curtis ożenił się dwa lata temu. Na ich usilne prośby Sean obejrzał nowo narodzone dziecko i w głębi duszy stwierdził, że wygląda jak mały buldog.

Przedłużając swój pobyt w Johannesburgu Sean odwiedził wszystkie miejskie banki. Miał z nimi do czynienia wiele lat temu, ale w większości z nich zmienił się personel i Sean był zdziwiony, gdy okazało się, że wszyscy zarządcy banków znają jego nazwisko.

- Pułkownik Courteney. Czy pan jest pułkownikiem Seanem Courteneyem z farmy akacyjowej Lion Kop w Natalu? - Kiedy Sean kiwał twierdząco głową, widział wyraźnie, jak w ich oczach pojawia się nagle wyraz chłodnej niechęci.

Ósmej nocy zamówił dwie butelki brandy do pokoju. Pił alkohol powoli i z jakąś nieubłaganą desperacją. Brandy nie przyniosła mu ukojenia. Gwałtowna walka, jaka toczyła się w jego mózgu, zniekształcała problemy i pogłębiała przygnębienie.

Leżał na łóżku, aż żółte płomyki lamp ulicznych zbladły w nadchodzącym świetle poranka. Brandy szumiała mu w głowie i Sean pragnął jedynie spokoju. Taki spokój mógł znaleźć tylko w bezbrzeżnej, wypełnionej ciszą przestrzeni stepu. W pewnej chwili zobaczył samotny grób pod niedużym wzgórzem. Usłyszał jęk wiatru i przypomniał sobie, jak szumiała brązowa trawa. To był spokój, którego szukał.

Usiadł niepewnie na łóżku.

- Saul - powiedział, czując smutek z powodu obiecanej pielgrzymki, o której zapomniał. - Tutaj już skończyłem. Pójdę teraz.

Podniósł się. Zakręciło mu się w głowie i musiał się przytrzymać metalowej poręczy łóżka.

71. Rozpoznał wzgórze z odległości czterech mil. Kształt pagórka był dokładnie wyryty w jego pamięci: symetryczne zbocza zavalone głazami, które migotały w słońcu jak luski gada, płaski szczyt okolony skałami niczym ołtarz, na którym złożono ofiarę żądz i głupocie.

Z bliższej odległości rozpoznał krzewy aloesów porastające zbocza, z mięsistymi liśćmi ułożonymi w kształcie koron ozdobionych purpurowymi kwiatami. W niskiej brązowej trawie na równinie pod wzgórzem ciągnęła się linia jasnych plam. Sean podjechał do nich bliżej i zobaczył małe kopczyki białych kamieni, na których umocowano metalowe krzyże.

Zesztywniały po całodniowej jeździe Sean zeskoczył z ulgą na ziemię. Spętał konie, zdjął im z grzbietów siodła i juki i puścił je wolno, żeby się pasły. Stał przez chwilę nieruchomo paląc cygaro, czując nagły strach przed zbliżeniem się do małego cmentarza.

Wolno spłynęła na niego cisza zalegająca step. Podmuchy wiatru nie przerywały jej, ale jeszcze w jakiś dziwny sposób ją potęgowały. Szorstki odgłos rwanej suchej brązowej trawy, którą skubał jego wierzchowiec, wydawał się wręcz świętokradczy, ale wyrwał Seana z rozmyślań. Podeszedł do podwójnej linii grobów i stanął przy pierwszym. Na krzyżu był wyryty napis: "Tu spoczywa dzielny obywatel".

Ruszył wzdłuż linii grobów znajdując te same słowa na każdym z nich. Na niektórych napis był nieregularny, a w jednym wypadku zamiast "r" ktoś napisał przez pomyłkę drugie "g" w słowie "burgher"<sup>5</sup>. Sean zatrzymał się i pomyślał z nienawiścią o człowieku, który z pośpiechu i nieuwagi zmienił wyraz pamięci w obelgę.

- Przepraszam - powiedział na głos do człowieka spoczywającego pod krzyżem. W tej samej chwili zawstydził się i zezłościł na siebie za taką słabość. Tylko szaleniec mówi głośno do zmarłych. Podeszedł do drugiego szeregu grobów.

- Marynarz W. Carter, Królewska Marynarka Wojenna. To ten gruby.

- Kapral Henderson C.F.S. Dostał dwie kule w pierś i jedną w brzuch.

Szedł wolno wzdłuż grobów, czytając nazwiska. Niektóre były już tylko nazwiskami w jego pamięci, ale inne kojarzyły mu się z żywymi ludźmi. Przypominał sobie ich śmiech czy strach, widział, jak siedzą na komach i słyszał ich głosy. Ten był winien mu jeszcze gwineę, Sean przypomniał sobie zakład.

- Zatrzymaj ją sobie - powiedział głośno i zaraz się opanował. Doszedł do końca linii, zwalniając kroku w miarę, jak zbliżał się do samotnego grobu, oddzielonego od innych tak, jak Sean sobie zażyczył.

Przeczytał napis. Następnie przykucnął przed grobem i siedział tak do zachodu słońca,

---

<sup>5</sup> Zbieżność słów: burgher - obywatel, bugger - zboczeniec (przyp. tłum.).

gdy zimny wiatr zaczął jęczeć nad wzgórzem. Dopiero wtedy odpiął od siodła koc zwinięty w rulon. W pobliżu nie było żadnego drewna na ognisko i Sean drzemał niespokojnie z powodu lodowatego zimna i jeszcze mroźniejszych myśli.

Rankiem wrócił na grób Saula. Po raz pierwszy zauważył, że pomiędzy kamieniami wyrasta trawa, a krzyż pochyla się smętnie ku ziemi. Sean zrzucił kurtkę i pracując na kolanach zaczął myśliwskim nożem plewić chwasty, wrywając je z korzeniami. Następnie podszedł do krzyża i zdjął wierzchnie kamienie. Wyjął krzyż i wykopał głębszą dziurę, a następnie włożył go uważnie z powrotem, obsypując podstawę kamykami i ziemią, a potem układając równo duże białe odłamki skał na wierzchu.

Cofnął się o krok, strzepnął piasek i płatki wapienia ze spodni i przyjrzał się swojej robocie. Nie było w porządku, wyraźnie czegoś jeszcze brakowało. Zastanawiał się przez chwilę, marszcząc brwi, aż znalazł wreszcie odpowiedź.

- Kwiaty - mruknął pod nosem i machinalnie spojrzał na rosnące na zboczu góry aloesy. Zaczął wspinaczkę, przedzierając się przez załomy skał ku szczytowi. Ostрым nożem z łatwością ścinał grube łodygi, z których trysnął gęsty sok. Sean zebrał naręcze kwiatów i zaczął schodzić w dół. Po drodze zauważył kątem oka jaskrawe różowe i białe kolory pomiędzy skałami. Skręcił w ich stronę. Stokrotki, każda z nich wyglądała jak idealnie ukształtowana trąbka o różowym gardle i z delikatnym żółtym jęczyczkiem. Ucieszony odkryciem Sean odłożył naręcze aloesów i wszedł pomiędzy stokrotki. Nachylony jak zniwiarz ścinał kwiatki, układał je w pęki i wiązał łodygi splecioną trawą. Zajęty pracą doszedł do wylotu małego jaru i wyprostował się, żeby rozluźnić obolałe mięśnie grzbietu.

Parów był tak wąski, że mógł go z łatwością przeskoczyć, ale był jednocześnie głęboki i stromy. Sean zajrzał w głąb bez szczególnego zaciekawienia. Dno rozpadliny pokryte było zmytym przez deszcz piaskiem. Zaciekawienie Seana wzrosło, gdy rozpoznał na wpół zagrzebane w ziemi kości dużego zwierzęcia. Wśród nich dojrzał duży skórzany przedmiot i zaczął schodzić na dno.

Ostatnie jardy Sean przebył ześlizgując się na plecach. Wstał z ziemi i obejrzał znalezisko. Były to skórzane podwójne juki z zardzewiałymi sprzączkami. Wyciągnął je z grząskiego piasku, zdumiony ich nieoczekiwanym ciężarem.

Skóra była sucha i łamliwa, wypłowiła do białości na słońcu i wietrze, a zamki przerdzewiały na wylot. Kiedy Sean przeciął nożem paski, z worka wysypały się na piasek złote suwereny, dźwięcząc metalicznie i błyszcząc w słońcu.

Sean patrzył na nie ze zdziwieniem. Upuścił juki na ziemię i usiadł przed stertą złota. Nieśmiało wziął jeden pieniążek, obejrzał portret starego prezydenta i z niedowierzaniem

podniósł krążek do ust lekko nagryzając. Zęby zatopiły się z łatwością w miękkim metalu. Sean wyjął monetę z ust.

- Niech mnie wszyscy diabli - zaklął wesoło i zaraz roześmiał się w głos. Śmiał się na całe gardło z podniesioną głową, czując olbrzymią ulgę. Trząśł się długo ze śmiechu, aż wreszcie minęło podniecenie i Sean oprzytomniał.

Nabrawszy w obie garści złota spytał na głos:

- Dobra, ale skąd, u diabła, się tu wzięło? - Odpowiedź znalazł w ponurej twarzy wybitej na każdej monecie. Złoto Burów.

- Do kogo więc należy?

Odpowiedź była ta sama i Sean przepuścił złote krążki pomiędzy palcami. Burskie złoto.

- A cholera tam! - warknął groźnie. - Od tej chwili jest to złoto Courteneya. - Zaczął liczyć pieniądze.

Wraz z poruszającymi się szybko palcami pracował jego mózg. Przygotował przed własnym sumieniem linię obrony. Burowie byli mu winni różnicę za wozy z kością słoniową, jego depozyt w banku Volkskaas, byli mu dłużni za ranę od szrapnela w nodze i za kulę w brzuchu, za trzy lata walki i niebezpieczeństwa i wreszcie mieli wobec niego dług za życie przyjaciela. Układając suwereny w równe stosiki po dwadzieścia monet Sean rozważył sprawę, aż uznał, że jest dobrze uzasadniona, i wydał wyrok na własną korzyść.

- Mogę przyjąć apelację - oznajmił i skoncentrował się na liczeniu. Pół godziny później znał już wielkość swojego majątku.

Przed nim na płaskiej skale, która posłużyła mu za stół, leżał olbrzymi stos złota. Sean zapalił cygaro i zaciągając się dymem poczuł dziwną lekkość w głowie. Jego sumienie poddało się bezwarunkowo, ustępując miejsca uczuciu pełnego samozadowolenia. Było ono tym silniejsze, że nadeszło po długim okresie przygnębienia.

- Sean Courteney przyjmuje od byłego rządu republiki Transwalu sumę w wysokości dwudziestu dziewięciu tysięcy dwustu funtów jako zadośćuczynienie za wszelkie straty. - Zachichotał i zaczął wsypywać złoto do skórzanych sakw.

Zarzuciwszy ciężkie juki na plecy i wzięwszy zebrany pęk kwiatów w ramiona, Sean zszedł ze wzgórza. Osiodłał konia, załadował sakwy na jucznego muła i dopiero wtedy poszedł ułożyć kwiaty na grobie Saula. Wśród wyschniętej brązowej trawy kolorowe kielichy sprawiały imponujące wrażenie.

Sean został jeszcze godzinę z przyjacielem, układając kwiaty i powstrzymując się przed chęcią głośnego podziękowania Saulowi.



W końcu wsiadł na konia i odjechał. Kiedy wraz z koniem byli już tylko mało znaczącymi punkcikami na olbrzymiej równinie, z południa nadciągnął tuman suchego powietrza niesionego przez wiatr. Wysoka kolumna rozgrzanego powietrza, piasku i wyrwanej trawy nadciągała zygzakiem nad mały cmentarz za wzgórzem. Przez chwilę wydawało się, że przejdzie bokiem, ale w ostatnim momencie zmieniła kierunek i spadła prosto na dwa rzędy białych grobów. Tuman porwał kwiaty z nagrobka Saula, podniósł je w powietrze i rozerwawszy płatki rozrzucił po stepie.

72. Sean wysiadł z powozu i wszedł do biura Banking & Trust Co. w Ladyburgu. Za nim szedł Michael niosąc w rękach pękata torbę podróżną.

- Och! Pan pułkownik Courteney! - krzyknęła entuzjastycznie młoda sekretarka. - Zaraz powiadomię pana Pye'a, że pan przyszedł.

- Niech się pani nie trudzi. Sam zaniosę dobre nowiny. Ronny Pye spojrzał zaalarmowany, gdy drzwi do jego gabinetu otworzyły się gwałtownie i do środka weszło dwóch mężczyzn.

- Dzień dobry, Ronny - powitał go wesoło Sean. - Wyssałeś już dzisiaj z kogoś pieniądze, czy jeszcze na to za wcześnie?

Ronny wymruczał coś pod nosem obronnym tonem i wstał zza biurka.

Sean wybrał sobie cygaro ze skórzanego pudełka stojącego na biurku i powąchał je uważnie.

- Masz niezły tytoń w tej swojej norze - zauważył i odgryzł koniuszek cygara. - Ogień, Ronny. Jestem klientem, gdzie się podziały twoje dobre maniery?

Niechętnie i z podejrzliwą miną Ronny przypalił mu cygaro. Sean usiadł na fotelu i założył skrzyżowane nogi na biurku.

- Ile ci jestem winny? - zapytał. Pytanie wzmogło podejrzliwość Ronny'ego i jego oczy zatrzymały się na dużej torbie w rękach Michaela.

- Masz na myśli wszystko razem? Pożyczoną sumę i odsetki?

- Pożyczoną sumę i odsetki - potwierdził Sean.

- No cóż, musiałbym to obliczyć.

- Podaj mi w zaokrągleniu.

- Hm, w dużym zaokrągleniu, rozumiesz, to było około - och, nie wiem - powiedzmy... - Zamilkł. Torba wydawała się wyjątkowo ciężka. Ronny widział, jak Michael się wysila, żeby utrzymać ją w rękach. - No, powiedzmy, dwadzieścia dwa tysiące osiemset sześćdziesiąt funtów i piętnaście szylingów. - Wymawiając te słowa Ronny zniżył głos, jakby wzywał imię jakiegoś potężnego bóstwa.

Sean opuścił nogi na ziemię. Pochylił się do przodu i odsunął jednym ruchem ręki papiery leżące na biurku.

- Bardzo dobrze. Michael, zapłać mu.

Michael położył uroczyście torbę na blacie. Kiedy jednak Sean puścił do niego oko, cała powaga chłopca ulotniła się i Michael uśmiechnął się wesoło.

Nie ukrywając nawet podniecenia, Ronny włożył obie ręce do torby i wyjął z niej dwa płócienne worki. Rozwiązał rzemień na jednym z nich i wysypał na stół złoto.

- Gdzie je dostałeś? - zapytał z wściekłością.

- Na końcu tęczy.

- Ależ tu jest cała fortuna - zaprotestował Ronny, zagłębiając dłonie w torbie.

- Przyznaję, mało nie jest.

- Ale, ale... - Ronny grzebał w stosie pieniędzy szukając źródła ich pochodzenia. Sean jednak spędził tydzień w Johannesburgu i następne dwa dni w Pietermaritzburgu wymieniając we wszystkich możliwych bankach małe ilości złotych krugerandów na pieniądze wiktoriańskie, portugalskie i monety kilku innych państw. Teraz przyglądał się przez minutę Ronny'emu z pogardliwym uśmiechem. Wreszcie wstał.

- Idziemy już do domu. - Sean położył rękę na ramieniu Michaela i poprowadził go do drzwi. - Różnicę włożysz na moje konto, w porządku?

Dalsze protesty zamarły Ronny'emu Pye'owi na ustach i patrzył z mieszaniną rozpacz i zawodu, jak posiadacz farmy akacjowej Lion Kop wsiada do powozu, bierze zamach biczem i odjeżdża statecznie do domu.

Przez całe lato wzgórza Lion Kop rozbrzmiewały echem siekier i śpiewem setek pracujących Zulusów. Kiedy padało drzewo z szumem łamiących się gałęzi, zbliżali się do niego robotnicy z maczetami i ściągali grubą korę, którą następnie wiązano w bele. Każdy pociąg jadący z Ladyburga do Pietermaritzburga ciągnął wagony z korą Seana Courteneya.

Każdego dnia zacieśniały się więzy pomiędzy Seanem i Michaeliem. Szybko znaleźli wspólny język, szczególnie ze względu na oszczędność słów. Bez zbędnych dyskusji każdy z nich znalazł własny zakres pracy na farmie. Michael postanowił, że będzie odpowiedzialny za utrzymanie w dobrym stanie sprzętu, ładowanie i rozładowywanie kory i całą robotę papierkową, w tym także zamawianie potrzebnych materiałów. Z początku Sean kontrolował podejrzliwie jego pracę, ale kiedy okazało się, że nie ma żadnych zastrzeżeń, szybko dał sobie z tym spokój. Rozdzielali się jedynie pod koniec tygodnia, kiedy z oczywistych powodów Sean jechał do Pietermaritzburga, a Michael musiał wrócić do Theunis Kraal. Michael szybko zaczął nienawidzić tych weekendów spędzonych w domu; nienawidził bezustannych oskarżeń matki i jej częstych ataków płaczu. Jeszcze gorsze było milczące podejście ojca, na którego twarzy malował się niemy wyrzut. Każdego poniedziałkowego ranka opuszczał dom z radością wypuszczonego na wolność skazańca i przyjeżdżał do Lion Kop, gdzie Sean zadawał mu pytanie w stylu:

- Mike, co z tymi cholernymi trzonkami do siekier?

Dopiero wieczorami mieli czas usiąść na szerokim ganku i swobodnie porozmawiać.

Mówili o pieniądzach, wojnie, polityce, kobietach i akacjach. Rozmawiali jak równy z równym, nie ukrywając niczego, jak dwaj mężczyźni, którzy pracują razem dla wspólnego celu.

Dirk spędzał te wieczory siedząc w cieniu i słuchając ich głosów. Mimo że miał dopiero piętnaście lat, potrafił już nienawidzić z siłą dorosłego mężczyzny. Teraz całą swoją nienawiść skoncentrował na Michaelu. Sean nie zmienił w niczym swojego podejścia do Dirka; chłopiec rzadko uczęszczał do szkoły, jeździł krok w krok za Seanem po całej plantacji doświadczając szorstkiej ojcowskiej czułości i jeszcze bardziej szorstkiej dyscypliny - jednak wyraźnie czuł, że ich związek jest poważnie zagrożony z powodu Michaela. Z wieczornych rozmów został wykluczony głównie ze względu na wiek i brak doświadczenia. Jego uwagi były przyjmowane zawsze z pobłażaniem i kiedy tylko kończył mówić, rozmowa toczyła się dalej, jakby wcale nie zabrał głosu. Wobec tego Dirk siedział w milczeniu planując z najdrobniejszymi szczegółami zabicie Michaela. Tego lata na farmie miały miejsce drobne kradzieże i niewytłumaczalne akty wandalizmu, a wszystkie dotknęły właśnie Michaela. Zginęły jego najlepsze buty jeździeckie, jego jedyna koszula wyjściowa została rozerwana na plecach, co Michael zauważył dopiero, kiedy chciał ją założyć na comiesięczną zabawę szkolną. Suka Michaela rasy pointer wyła długo i żałośnie za małymi szczeniakami, które żyły zaledwie tydzień, zanim Michael znalazł ich ciała ukryte pomiędzy sianem w stodole.

Ada i jej dziewczęta zaczęły się szykować do świąt Bożego Narodzenia roku 1904 już w połowie grudnia. Ruth ze Storm przyjechały dwudziestego grudnia i Sean, który teraz częściej opuszczał Lion Kop, zostawił większość spraw na głowie Michaela. W domku na ulicy Protea panował nastrój tajemniczości. Sean został wyłączony z długich narad odbywających się w pokoju Ady, gdzie Ada z Ruth obmyślały suknię ślubną. Nie był to zresztą ich jedyny sekret. Było coś jeszcze, co powodowało, że wszystkie zatrudnione u Ady panienki miały ciągle ataki tłumionego chichotu. Podsluchując troszeczkę pod drzwiami Sean zorientował się, że ma to jakiś związek z gwiazdkowym prezentem Ruth dla niego. Sean miał jednak poważniejsze zmartwienia, z których największym było ciągle zabieganie o względy Storm Friedman. Z tym wiązały się poważne wydatki na słodycze, które dziewczynka otrzymywała bez wiedzy matki. Kucyk szetlandzki pozostał w Pietermaritzburgu i kosztem męskiej godności i plam na kolanach Sean zgodził się zastąpić go własną osobą. W nagrodę każdego wieczoru otrzymywał zaproszenie na herbatę w pokoju Storm i jej lalek.

Najbardziej ulubioną z zabawek dziewczynki była lalka z naturalnymi włosami i cikliwym wyrazem twarzy. Storm płakała okropnie, kiedy pewnego dnia znalazła swoją lalkę z porcelanową głową rozbitą na wiele kawałków. Z pomocą Seana pochowała zabawkę na

tylnym dziedzińcu domu, a na pogrzeb ścięto wiele kwiatów z klombów Ady. Dirk przyglądał się pogrzebowi z wyraźną niechęcią. Storm zdążyła się już pogodzić ze stratą, a ceremonia pogrzebu tak bardzo się jej spodobała, że poprosiła Seana o odgrzebanie resztek lalki i powtórzenie całego procesu. W rezultacie lalka została pochowana cztery razy, po czym ogródek Ady wyglądał, jakby ogołociła go chmara szarańczy.

**73.** Dla Seana święta Bożego Narodzenia zaczęły się wyjątkowo wcześnie. Wraz z Michaeliem nadzorowali zabicie dziesięciu dużych wołów dla robotników zuluskich i rozdział zapłaty i prezentów. Każdy mężczyzna otrzymał koszulę koloru khaki i szorty, a każda z żon dostała dwie garście kolorowych paciorków. Ceremonia obdarowywania odbywała się wśród śmiechów i wesołych śpiewów. Mbejane, który wstał na tę okazję z łóżka, wystąpił z wyjątkowo dramatyczną przemową. Niezdolny tańczyć na świeżo zagojonych nogach, stał wśród robotników potrząsając włóczniami i wykrzykiwał potężnym głosem pytania.

- Czy bił was?
- Ai-bho! - odpowiedzieli przecząco.
- Czy karmił was?
- Yhe-bho! - krzyknęli chórem.
- Czy macie złoto w kieszeniach?
- Yhe-bho!
- Czy jest naszym ojcem?
- Tak, jest naszym ojcem!

Nie wszystko należy brać dosłownie, pomyślał wesoło Sean i wystąpił z kręgu, by przyjąć od starszej żony Mbejane duży gliniany dzbanek wypełniony po brzegi piwem z prosa. Do tradycji należało, żeby wypił jego zawartość do dna nie odrywając ust od dzbana. Najpierw Sean, a potem Michael dokonali tego wyczynu i wsiedli do czekającego na nich powozu. Mbejane wziął lejce i z Dirkiem siedzącym obok niego na koźle zawiózł ich do Ladyburga.

Po pierwszych przywitaniach i życzeniach, Ruth zaprowadziła Seana na tylne podwórze domu. Za nimi udali się wszyscy domownicy. Na środku podwórka stał duży obiekt przykryty brezentem, który został ceremonialnie zdjęty i Sean ze zdumieniem wytrzeszczył oczy na prezent.

Przed nim stał samochód błyszczący w słońcu lakierem i wypolerowanymi do połysku metalowymi i skórzanymi częściami.

Na dużych metalowych piastach i pod zdobiącą przód samochodu maskotką była wybita nazwa: Rolls-Royce.

Sean widział już te diabelskie maszyny w Johannesburgu i teraz czuł się wyjątkowo niepewnie w obecności jednej z nich.

- Kochana Ruth, brakuje mi słów, żeby ci podziękować. - Pocałował ją mocno starając się opóźnić chwilę, gdy będzie musiał zbliżyć się do potwora.

- Podoba ci się?

- Podoba? To najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. - Sean zauważył z ulgą, że Michael zajął się już pojazdem. Jako jedyny inżynier w tym gronie, Michael usadowił się za kierownicą i przemawiał z autorytetem do zebranego tłumu gapiów.

- Wsiadaj! - zakomenderowała Ruth.

- Pozwól mi go najpierw obejrzeć. - Z Ruth u swego boku, Sean obszedł rollsa nie zbliżając się do niego więcej niż na dziesięć kroków. Okrągłe przednie lampy błysnęły mu złośliwie w oczy i Sean odwrócił wzrok. Czuł, jak niepewność przeradza się w prawdziwy lęk, gdy uświadomił sobie, że musi nie tylko wsiąść do tej strasznej maszyny, ale także nią kierować.

Nie mogąc dłużej przeciągać oglądania zbliżył się do samochodu i poklepał go po masce.

- Cześć! - powiedział ponuro. Z nieokiełznanym zwierzęciem zawsze jest lepiej ustanowić wyraźną zależność przy pierwszym kontakcie.

- Wsiadaj! - Michael przejął dowództwo i Sean musiał go usłuchać. Posadził Ruth pośrodku, a sam zajął miejsce jak najbliżej drzwi. Siedząca na kolanach matki Storm podskakiwała niecierpliwie, piszcząc z podniecenia. Chwila oczekiwania, kiedy Michael przeglądał książkę instruktażową, nie zwiększyła u Seana pewności siebie.

- Ruth, nie sądzisz, że byłoby rozsądniej zostawić Storm w domu, przynajmniej pierwszy raz?

- Och, nie będzie z nią żadnego kłopotu. - Ruth przyjrzała mu się krytycznie i uśmiechnęła się. - Kochanie, to naprawdę zupełnie bezpieczne. - Mimo jej zapewnień, Sean zamarł z przerażenia, gdy wreszcie zawarczał zapalony silnik. W czasie całej triumfalnej podróży przez ulice Ladyburga Sean siedział w tej samej sztywnej pozycji, patrząc nieruchomym wzrokiem przed siebie. Mieszkańcy miasteczka wylegli tłumnie na ulice i stojąc wzdłuż drogi przejazdu witali ich wesołymi okrzykami i śmiechem.

W końcu wrócili na ulicę Protea i gdy tylko Michael zaparkował przed domem, Sean uciekł od samochodu jak od złego koszmaru. Sprzeciwił się też kategorycznie pomysłowi pojechania całą rodziną do kościoła twierdząc, że byłoby to uchybieniem i w ogóle w złym guście. Wielebnemu Smileyowi wyjątkowo pochlebilo to, że Sean nie zasnął w czasie całej mszy. Sądząc po wyrazie jego twarzy uznał, że po raz pierwszy Sean troszczy się o zbawienie własnej duszy.

Po mszy Michael wrócił do Theunis Kraal, żeby zjeść świąteczny obiad z rodzicami, ale wrócił wczesnym wieczorem udzielić Seanowi lekcji jazdy. Na ulicy zebrali się wszyscy mieszkańcy Ladyburga chcąc zobaczyć, jak Sean z Michałem jeżdżą w marszowym tempie

wokół domu. Wreszcie Michael uznał, że Sean jest gotów do samotnej przejażdżki i wysiadł z samochodu.

Samotny za kierownicą, porządnie już spocony Sean rozejrzał się nerwowo po morzu ciekawskich twarzy i dostrzegł Mbejane uśmiechającego się radośnie w tłumie gapiów.

- Mbejane! - zawołał go tubalnym głosem.

- Nkosi!

- Wsiadaj!

Z twarzy Zulusa znikł uśmiech. Cofnął się przezornie kilka kroków. Było nienaturalne, żeby powóz potrafił sam jechać i Mbejane nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

- Nkosi, nadal bolą mnie nogi.

W tłumie było wielu robotników zuluskich, którzy przybiegli do miasteczka na wieść o cudach. Teraz jeden z Murzynów roześmiał się złośliwie rzucając cień wątpliwości na odwagę Mbejane. Ten wyprostował się, rzucił zabójcze spojrzenie wesółkowi, podszedł dumnym krokiem do samochodu i usiadł obok Seana splatając dłonie na piersiach.

Sean wziął głęboki oddech, ścisnął mocniej kierownicę i spojrzał zmrużonymi oczyma na drogę przed sobą.

- Wciśnij sprzęgło! - mruknął do siebie. - Wciśnij bieg! Wyłącz hamulec! Przepustnica do dołu! Puść sprzęgło!

Rolls skoczył do przodu tak gwałtownie, że Sean i Mbejane zostali rzućeni na siedzenia. Pięćdziesiąt jardów dalej samochód zatrzymał się z powodu braku paliwa, co było wyjątkowo łaskawym zbiegiem okoliczności, gdyż Sean wątpił, żeby udało mu się przypomnieć procedurę hamowania.

Szary na twarzy Mbejane odszedł niepewnym krokiem od rollsa. Nie wsiadł do niego już nigdy więcej i Sean po cichu zazdrościł mu tej szczególnej wolności. Z ulgą przyjął do wiadomości, że minie kilka tygodni, zanim następna partia benzyny zostanie przysłana z Kapsztadu.



74. Trzy tygodnie przed ślubem Seana z Ruth, Ada Courteney wyszła rankiem przed dom, żeby zebrać owoce do śniadania. W ogródku znalazła Mary ubraną w nocną koszulę i wiszącą na gałęzi potężnego drzewa avocado. Ada odcięła dziewczynę i posłała służącego po doktora Frasera.

Z pomocą lekarza zanieśli ciało Mary do jej pokoiku i ułożyli na łóżku. Podczas gdy lekarz oglądał ciało nieboszczki, Ada przyglądała się poniszczonej twarzy dziewczyny, którą śmierć zespeciała jeszcze bardziej.

- Co za okropna samotność popchnęła ją do tego żalosego kroku? - szepnęła. Doktor Fraser zasłonił zwłoki prześcieradłem i spojrzał na Adę.

- To nie mogło być przyczyną. Tak naprawdę to wolałbym, żeby była nawet trochę bardziej samotna. - Doktor wyjął woreczek z tytoniem i nabił fajkę. - Ciociu Ado, kto był jej chłopakiem?

- Nie miała żadnego.

- Musiała mieć.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Ciociu Ado, dziewczyna była w czwartym miesiącu ciąży. Pogrzeb był bardzo skromny. Przyszli tylko Courteneyowie i Ada ze swoimi dziewczętami. Mary była sierotą i nie miała żadnych przyjaciół.

Dwa tygodnie przed ślubem Sean i Michael skończyli ścinę drzew i zatrudnili Zulusów do pracy przy sadzeniu nowych drzewek na terenie zniszczonym przez pożar. Sporządzili razem sprawozdanie przychodów i strat. Łącząc swoje podstawowe wiadomości z zakresu księgowości ze zdolnością argumentowania, późną nocą uzgodnili w końcu, że z tysiąca pięciuset akrów akacji otrzymali tysiąc czterysta dwadzieścia ton kory, którą sprzedali za łączną sumę ponad dwudziestu ośmiu tysięcy funtów.

Dalej nie było już mowy o jakiegokolwiek zgodzie. Michael nalegał, żeby wydatki na materiały i sadzenie nowych drzewek przenieść na następny sezon, co by dawało zysk w wysokości dziewięciu tysięcy funtów za ostatni rok. Sean chciał odjąć od zarobionych pieniędzy wszystkie wydatki i wykazać za cały rok zysk jednego tysiąca funtów. Wreszcie zdecydowali się posłać księgi rachunkowe do wykwalifikowanego księgowego w Pietermaritzburgu. Księgowy stanął po stronie Michaela.

Następnie rozważyli perspektywy na następny sezon i obaj odczuli lekkie oszołomienie na myśl, że będą mieli cztery tysiące akrów akacji dojrzałych do ścięcia, które sprzedadzą za osiemdziesiąt tysięcy funtów - pod warunkiem, że nie przydarzą się nowe

pożary. Tego samego wieczoru Michael napisał dwa listy bez wiedzy Seana. Jeden z nich był skierowany do producenta ciężkiego sprzętu w Birmingham, którego adres Michael spisał z wielkich kotłów parowych w czasie wizyty w przedsiębiorstwie Natalskie Farmy Akacjowe. Drugi list poszedł do księgarni Foyle'a na Charing Cross Road w Londynie z prośbą o natychmiastowe przysłanie całej literatury dotyczącej przetwarzania kory. Michael Courteney przejął od Seana zwyczaj śmiałego marzenia na jawie. Nauczył się także od niego, jak urzeczywistniać swoje marzenia.

Trzy dni przed ślubem Ada i jej młode pracownice pojechały pociągiem do Pietermaritzburga, a Sean, Michael i Dirk podążyli za nimi rollsem.

Cała trójka dojechała do hotelu White Horse brudna i w wyjątkowo złych nastrojach. Podróż samochodem była jedną wielką nerwówką, którą Sean ożywiał nieustannymi przestrożami i przekleństwami skierowanymi pod adresem kierowcy, czyli Michaela.

- Zwolnij, na miłość boską, zwolnij! Chcesz nas wszystkich pozabijać!

- Uważaj na krowę!

- Nie jedź tak blisko krawędzi!

Dirk także nie ułatwiał jazdy, żądając postoju dla załatwienia potrzeb fizjologicznych, zwisając z boku samochodu, przechodząc bez przerwy z tylnego na przednie siedzenie i nakłaniając Michaela do przekroczenia szybkości wyznaczonej przez Seana. Wreszcie zdenerwowany Michael zatrzymał wóz i razem z Seanem wymierzili mu karę różgami zerwanymi z rosnącej przy drodze brzozy.

Po dotarciu na miejsce płaczącym Dirkiem zajęła się Ada. Michael zabrał samochód i pojechał w kierunku budynków przedsiębiorstwa Natalskie Farmy Akacjowe, gdzie spędził prawie całe trzy następne dni podglądając proces produkcji i zadając pytania. Sean udał się na spotkanie z Janem Paulusem, który na jego prośbę przyjechał z Pretorii. W dniu ślubu Michael zapisał już gruby zeszyt notatkami dotyczącymi przetwarzania kory, a Jan Paulus wyłożył dokładnie Seanowi cele i zadania Partii Południowoafrykańskiej. Sean na prośby zdeklarowania się odpowiadał jedynie, że się nad tym zastanowi.

Ceremonia ślubna dała wszystkim wiele do myślenia. Mimo że Sean nie miał nic przeciwko wzięciu Ruth za żonę w synagodze, zdecydowanie odmawiał poddania się małej operacji, która umożliwiłaby mu stanięcie na ślubnym kobiercu. Z kolei jego propozycja, żeby Ruth przyjęła chrzest, spotkała się z ostrą odmową. Wreszcie osiągnięto kompromis i Ben Goldberg uzyskał zgodę magistratu miejskiego na ślub cywilny, który odbył się w sali przyjęć w domu The Golds.

Ben Goldberg oddał Seanowi pannę młodą, co wycisnęło wiele łez z oczu pani Goldberg. Ruth wypadła znakomicie w uszytej przez Adę sukni ślubnej z zielonego atlasu ozdobionego perłami. Storm miała na sobie miniaturową kopię sukni matki i w czasie ceremonii wdała się w niedużą kłótnię z innymi dziewczynkami niosącymi kwiaty. Michael odegrał z wielką pewnością siebie rolę świadka. Uspokoił dziewczynki, podał w odpowiednim momencie obrączki i podpowiadał kwestie panu młodemu, gdy ten zaczynał się mylić.

Na przyjęciu na trawnikach przed domem zjawił się olbrzymi tłum przyjaciół i partnerów w interesach Goldbergów i prawie połowa mieszkańców Ladyburga, w tym także Ronny Pye i Denis Peterson. Nie przybył tylko Garrick i Anna Courteneyowie, którzy bez słowa odrzucili zaproszenie.

Był to wyjątkowo pogodny dzień i promienie słońca padały na równo przyszyżone zielone trawniki przemieniając je w drogocenne dywany. Na murawie ustawiono długie stoły zastawione najlepszymi potrawami z kuchni pani Goldberg i produktami browaru Bena Goldberga.

W czasie przyjęcia Storm Friedman chodziła od gościa do gościa i podnosiła sukieneczkę, żeby pochwalić się różowymi wstążkami przy majteczkach. Wreszcie zauważyła to Ruth i poskromiła córkę.

Dirk z przyjemnością stwierdził, że bardzo mu smakuje szampan i wypił po kryjomu za żywoplotem sześć szklanek musującego wina. Niedługo potem rozchorował się okropnie. Na szczęście Michael znalazł go i zaprowadził do łóżka w jednym z pokoiów dla gości, gdzie Dirk dochodził powoli do siebie.

Z Ruth u swego ramienia, Sean obejrzał prezenty ślubne nie ukrywając, że jest pod wrażeniem. Następnie znalazł w tłumie gości Jana Paulusa i obaj mężczyźni wdali się w zacieklą dyskusję polityczną. Ruth zostawiła ich samych sobie, wykorzystując ten moment, żeby ubrać się w strój pożegnalny, w którym miała opuścić dom.

Bukiet panny młodej złapała najładniejsza z dziewcząt Ady. W chwilę później piękna blondyneczka pochwyciła spojrzenie Michaela i rumieniec na jej twarzy stał się równie paśowy jak trzymane w ręku róże.

Ruth wróciła wśród szmeru komentarzy wyrażających uznanie i niczym zasiadająca na tronie królowa w zamieci confetti zajęła miejsce w rolls-roysie. Ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy i gogle Sean usiadł za kierownicą, wyprostował się, wymruczał pod nosem rytualne już instrukcje i włączył silnik. Samochód niemal podniósł się na tylne koła niczym dziki rumak i ruszył podjazdem ku bramie sypiąc spod kół żwirem i przeganiając z drogi

spłoszonych gości. Ruth trzymająca kurczowo strusie pióra na głowie i Sean pokrzykujący na samochód: “Wio! Jazda, stara!”, wyjechali na drogę prowadzącą przez dolinę Thousand Hills do Durbanu i dalej nad morze i zniknęli w wysokim tumanie kurzu.

75. Trzy miesiące później, zabrawszy po drodze Storm od pani Goldberg, wrócili do Lion Kop. Sean przybrał trochę na wadze, oboje zaś mieli na twarzach wyraz zadowolenia, jaki cechuje młode pary, którym udała się podróż poślubna.

Na ganku przed domem znaleźli skrzynie i pudełka zawierające prezenty ślubne, meble i dywany Ruth oraz dodatkowy komplet mebli, które zakupili w Durbanie. Ruth, wspomagana przez Adę, rzuciła się z radością w wir rozpakowywania i ustawiania mebli. W tym czasie Sean udał się na inspekcję farmy chcąc ustalić, ile ucierpiała w czasie jego nieobecności. Poczul się lekko oszukany, gdy okazało się, że Michael doskonale dawał sobie ze wszystkim radę. Plantacja była oporzędzona i oczyszczona z chwastów, czarna blizna biegnąca przez jej środek już prawie znikła pod świeżo zasadzonymi drzewkami, siła robocza okazała się o połowę bardziej wydajna dzięki nowym, zachęcającym stawkom, które Michael wprowadził za radą księgowego. Sean nie omieszkał uświadomić Michaelowi, żeby: “nie był taki cholernie cwany” i że “najpierw musi się nauczyć chodzić, zanim będzie biegać”, ale na końcu dodał kilka słów pochwały.

Zachęcony Michael przyszedł wieczorem do Seana, kiedy ten siedział sam w swoim gabinecie. Sean tonął w stanie głębokiego zadowolenia z życia, bo właśnie trawił olbrzymią porcję pieczeni wołowej, a także dlatego, że Ruth zgodziła się w końcu na zmianę nazwiska z Friedman na Courteney. Miał też perspektywę przytulenia się do żony w ich olbrzymim łożu, gdy tylko dopije swoją brandy i wypali ręcznie zwijane hawajskie cygaro.

- Chodź, Mike. Siadaj. Napijesz się brandy? - Sean zaprosił go wylewnie, więc Michael przeszedł po perskim dywanie i niemal wyzywająco położył plik papierów na biurku.

- O co chodzi? - Sean uśmiechnął się do niego.

- Przeczytaj, to sam zobaczysz. - Michael usiadł na krześle. Sean uśmiechnął się na widok wypisanego na pierwszej stronie nagłówek: “Szacunkowe oceny kosztów i plany zbudowania fabryki do produkcji taniny. Przedsiębiorstwo Lion Kop.”

Uśmiech znikł. Sean odwrócił pierwszą stronę i czytając zaczął marszczyć brwi, a na jego twarzy pojawił się wyraz niezadowolenia. Kiedy skończył, zapalił wygasłe cygaro i siedział przez pięć minut w milczeniu starając się dojść do siebie po doznanym szoku.

- Kto ci podsunął ten pomysł?

- Nikt.

- Gdzie chcesz sprzedawać barwnik?

- To jest na stronie piątej. Są tam wypisane wszystkie punkty skupu i ceny za ostatnie dziesięć lat.

- Ta fabryka potrzebuje dwadzieścia tysięcy ton kory rocznie; nawet gdybyśmy

obsadzili każdy cal Lion Kop i Mahobo Kloof akacjami, moglibyśmy otrzymać za ledwie połowę tego.

- Możemy wykupić inne farmy w dolinie. Moglibyśmy zaoferować lepszą cenę niż Jackson, gdyż zaoszczędzimy na kolei do Pietermaritzburga.

- Kto zarządzałby fabryką?

- Jestem inżynierem.

- Tylko na papierze - mruknął Sean. - A co z wodą?

- Postawimy tamę na Baboo Stroom powyżej wodospadów. Przez następną godzinę Sean wyszukiwał słabości w planie Michaela. Jego niepokój wzrastał w miarę, jak Michael spokojnie odpierał wszelkie zarzuty.

- W porządku - warknął Sean. - Dobrze odrobiłeś swoją pracę domową. Teraz odpowiedz mi na następujące pytanie: Skąd, do cholery, mamy wziąć siedemdziesiąt tysięcy funtów, żeby sfinansować twój pomysł?

Michael zamknął oczy, jakby się modlił, a jego szczęki zacisnęły się mocno. Sean zastanowił się, dlaczego nigdy wcześniej nie zauważył siły, wręcz fanatycznej determinacji promieniującej z jego twarzy. Michael otworzył oczy i odpowiedział cichym głosem:

- Pożyczka w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy pod zastaw Lion Kop i Mahobo Kloof, notarialny list zastawny w tej samej wysokości za fabrykę, a pozostała część ze sprzedaży akcji.

Sean poderwał się zza biurka i ryknął na cały głos:

- Nie!

- Dlaczego? - Michael nadal mówił spokojnym głosem.

- Ponieważ połowę życia spędziłem w długach potąd! - Sean pokazał ręką na gardło. - Ponieważ wreszcie nie mam żadnych długów i chcę, żeby tak zostało. Ponieważ wiem dobrze, jak to jest, kiedy ma się więcej pieniędzy, niż się ich potrzebuje i nie lubię tego uczucia. Ponieważ jestem szczęśliwy z tego, co osiągnąłem i nie chcę chwycić za ogon lwa, żeby obrócił się i rzucił na mnie z pazurami. - Umilkł na chwilę dysząc ciężko i zaraz znowu krzyknął: - Ponieważ pewna suma pieniędzy należy do ciebie, ale jeśli będziesz miał ich więcej, to ty będziesz należał do nich. Ponieważ nie chcę być bogatszy, niż jestem!

Michael wyskoczył z fotela niczym ranny leopold i walnął pięścią w biurko. Patrzył wzburzonym wzrokiem na Seana, czerwony z gniewu pod silną opalenizną i cały drżący.

- Ale ja chcę! Twoją jedyną obiekcją wobec mojego planu jest to, że jest dobry - wybuchnął.

Sean zamrugał ze zdziwienia oczyma i podjął walkę.

- Jeśli osiągniesz to, przekonasz się, że wcale tego nie chciałeś! - wrzasnął i Michael odpowiedział mu równie silnym głosem.

- Pozwól, że sam to osądzę!

W tej chwili drzwi do gabinetu otworzyły się i na progu stanęła Ruth. Obaj mężczyźni wyglądali jak para gotujących się do walki kogutów.

- Co się tu dzieje? - spytała karcącym tonem. Michael i Sean spojrzeli na nią z poczuciem winy i z wolna się uspokoili. Michael usiadł w fotelu, a Sean zakaszłał niepewnie.

- Po prostu rozmawialiśmy, kochanie.

- Obudziliście Storm i mało co nie zdarliście dachu z domu. - Uśmiechnęła się i podeszła, żeby wziąć Seana za rękę. - Dlaczego nie odłożycie waszej rozmowy do jutra? Możecie ją kontynuować rano z pistoletami w rękach.

Pigmeje z lasów Ituri polują na słonie za pomocą małych strzał. Podążają tropem trafionego zwierzęcia przez wiele dni, aż wreszcie trucizna dotrze do serca i słoń pada martwy na ziemię. Michael wbił pierwszą strzałę głęboko w duszę Seana.

**76.** Ruth znalazła w Lion Kop szczęście, jakiego nigdy się nie spodziewała i nawet nie sądziła, że takie może istnieć.

Wcześniej była trzymana silną ręką kochającego ją, ale surowego ojca, a później przez równie wymagającego Bena Goldberga. Spędziła kilka szczęśliwych lat z Saulem, lecz teraz były one równie nierealne jak wspomnienia dzieciństwa. Zawsze była otoczona kokonem bogactwa, uwikłana w społeczne zależności i ograniczona przez rodzinną dumę. Nawet Saul traktował ją jak delikatne dziecko, za które trzeba podejmować wszystkie decyzje. Jej życie było spokojne i uporządkowane, ale okropnie nudne. Ruth dwukrotnie się zbuntowała: pierwszy raz, gdy bez wiedzy męża uciekła z Pretorii, i drugi raz, gdy odwiedziła Seana w szpitalu. Miała wrażenie, że jest skazana na nudę.

Nieoczekiwanie stała się panią domu i powiązanej skomplikowanymi więzami rodziny. Z początku czuła się przytłoczona nowymi obowiązkami i z przyzwyczajenia zwracała się do Seana po pięćdziesiąt razy dziennie z prośbą o podjęcie najdrobniejszej decyzji.

- Zawrę z tobą umowę - zaproponował Sean. - Nie będziesz mi mówiła, jak hodować akacje, a ja nie będę ci mówił, jak kierować domem. Postaw tę cholerną szafkę, gdzie ci się żywnie podoba.

Z początku niepewnie, później z rosnącym zaufaniem i w końcu z pewnością siebie i dumą uczyniła z Lion Kop wspaniałą i wygodny dom. Trawa i krzaki otaczające zabudowania przemieniły się w trawniki i klomby z kwiatami, a zewnętrzne ściany bieleły od nowej farby. Wewnątrz błyszczały jak bursztyn wypolerowane podłogi, na których Ruth ułożyła kolorowe dywany z Buchary i ozdobiła okna welwetowymi zasłonami.

Po kilku nieudanych próbach z kuchni zaczęły wychodzić obiady, które wprawiły Michaela w zachwyty, a Sean zawyrokował, że nadają się do jedzenia.

Mimo nawału pracy miała czas, dzięki pomocy kilkunastu służących, na wiele innych rzeczy. Znalazła czas na czytanie, zabawę z córką i jazdę konno. Odwiedzała także Adę i często zapraszała ją do siebie. Między nimi szybko zawiązały się więzy silniejsze, niż to zwykle bywa pomiędzy świekrą i synową.

Był także czas na tańce i różna, na śmiech i długie ciche wieczory, kiedy siedziała obok Seana na ganku czy w jego gabinecie i rozmawiali o przyszłości.

Był także czas na intymne czułości.

Jej ciało zahartowane jazdą konną i długimi spacerami było silne i gorące. Było jednocześnie delikatne, jakby stworzone do miłości.

Jednak w jej szczęściu było jedno ciemne miejsce: Dirk Courteney.



Kiedy zabiegi o jego względy spotkały się z wyjątkowo zimnym przyjęciem, a specjalnie przygotowane dla niego smakołyki wracały nie tknięte do kuchni, Ruth zrozumiała powód niechęci chłopca. Wyczuła gorzką zazdrość, która ukryta za pięknymi oczyma, zżerała Dirka niczym rak. Przez kilka dni Ruth przygotowywała sobie, co mu chce powiedzieć. Wreszcie znalazła odpowiednią okazję, gdy Dirk przyszedł do kuchni, kiedy nie było nikogo w pobliżu. Zobaczył ją i odwrócił się szybko, żeby wyjść, ale Ruth go zatrzymała.

- Dirk, nie odchodź, proszę. Chciałam z tobą porozmawiać. - Wrócił do kuchni i stanął oparty o stół. Ruth stwierdziła, że chłopiec bardzo wyrósł w ciągu ostatniego roku, ramiona nabrały męskich kształtów, a nogi były silne, choć wyrastały ze szczupłych bioder, które Dirk obraźliwie wysunął do przodu.

- Dirk... - zaczęła i zamilkła. Nagle przestała być pewna siebie. To już nie było dziecko, jak to sobie wyobrażała; w pięknej twarzy rysowała się zmysłowość, która bardzo ją niepokoiła. Dirk poruszał się jak kot, świadom siły swojego ciała. Ruth poczuła lęk i szybko przełknęła ślinę, zanim zaczęła mówić.

- Wiem, że jest ci bardzo trudno przyzwycząić się do tego, że Storm i ja mieszkamy z wami. Wiem także, jak bardzo kochasz swojego ojca, ile dla ciebie znaczy. Ale... - mówiła bardzo wolno, dobierając słowa, gdyż cała przygotowana mowa wyleciała jej z głowy. Chciała go przekonać, że wcale nie są rywalami w walce o względy Seana; że oni wszyscy: Ruth, Michael, Storm i Dirk, tworzą jedną całość, i że każde z nich ma do zaoferowania i przyjęcia od Seana inny rodzaj miłości. Kiedy wreszcie umilkła, wiedziała już, że Dirk wcale jej nie słuchał i nie zamierzał zrozumieć. - Dirk, bardzo cię lubię i chciałabym, żebyś też mnie lubił.

Odpychając się pośladkami od blatu, Dirk się wyprostował. Uśmiechnął się do niej i wolno przebiegł wzrokiem od góry do dołu po jej ciele.

- Mogę już odejść? - zapytał i Ruth Zesztywniała. Nagle pojęła, że nie ma mowy o żadnym kompromisie, że będzie musiała go pokonać.

- Tak, Dirk. Możesz odejść - odpowiedziała. Zrozumiała bardzo wyraźnie, że Dirk jest zły i jeśli ona przegra w tej walce, to zniszczy ją i jej dziecko. Gdy to sobie uświadomiła, przestała się bać.

Zupełnie jak kot, Dirk wyczuł zmianę jej nastroju. Przez chwilę wydawało się jej, że dostrzegła coś jakby wahanie w jego oczach, ale zaraz się odwrócił i wyszedł bez słowa z kuchni.

Ruth dobrze zgadła, że w niedługim czasie dojdzie do konfrontacji, ale nie przypuszczała, że stanie się to tak szybko.

Każdego popołudnia jeździła na plantację z Storm dosiadającą kucyka. Urządziły sobie zabawę polegającą na tym, która szybciej znajdzie Seana i Michaela w labiryncie dróg przecinających się pomiędzy akacjami. Kierowane niedokładnymi wskazówkami Zulusów natrafiały w końcu na obu mężczyzn i wręczały im termosy z kawą i kanapki. Następnie cała czwórka urządziła sobie piknik pod drzewami na dywanie z liści.

Tego wieczoru, przebrana w strój do jazdy konnej i z koszem w ręku, Ruth wyszła na kuchenne podwórze. Młoda zuluską służącą siedziała w cieniu pod ścianą i flirtowała z chłopcem stajennym. W pobliżu nie było nigdzie Storm i Ruth zapytała ostro:

- Gdzie jest panienka Storm?

- Poszła z Nkosana Dirkiem. Ruth poczuła zapowiedź katastrofy.

- Dokąd poszli?

Służąca pokazała ręką w kierunku stajni i zabudowań rozłożonych na zboczu wzgórza.

- Chodź ze mną. - Ruth rzuciła kosz i pobiegła z zebraną w ręku spódnicą. Dopadła budynków stajennych i szła szybko od jednego boksu do drugiego, zaglądając do każdego z nich. Następnie skierowała się do pomieszczeń, gdzie karmiono konie, zastawionych skrzyniami z owsem, wiadrami z melasą i poszatkowaną lucerną, których zapach mieszał się z odorem nawozu i wygarbowanej skóry. Wybiegła ze stajni.

Storm krzyknęła przenikliwie i w ciszy, która następnie zaległa, w głowie Ruth rozbrzmiewał przerażony głos córki.

Pomieszczenie z uprzężami. Ruth zawróciła w miejscu. Boże, proszę, nie! Tylko nie to! Proszę! Proszę!

Otworzyła drzwi do pomieszczenia. W środku panował mrok i chłód i przez chwilę scena, na którą patrzyła, była zupełnie dla niej niezrozumiała.

Storm stała wbita plecami w róg pomieszczenia z rękami podniesionymi do twarzy - małe paluszki miała szeroko rozstawione jak końce ptasich skrzydeł. Jej ciało drżało wstrząsane spazmatycznym płaczem.

Dirk przykucnął przed Storm na piętach, z jedną ręką wyciągniętą, jakby jej chciał coś ofiarować. Śmiał się.

Ruth zobaczyła tę rzecz, którą Dirk trzymał w ręku, i zamarła z przerażenia. Z jego nadgarstka rozwijał się wąż, wolno sięgając ku Storm z na wpół zwiniętymi mięśniami grzbietowymi i czarnym języczkiem wibrującym pomiędzy różowymi wargami.

Ruth krzyknęła w panice i Dirk poderwał się na nogi, chowając rękę za siebie.

Z rogu pomieszczenia Storm rzuciła się ku matce i schowała głowę w jej spódnicę, płacząc żałośnie. Ruth wzięła ją na ręce, przyciskając mocno do piersi, ale ani na chwilę nie

oderwała wzroku od twarzy Dirka.

- To tylko rooi-slang. - Roześmiał się nerwowo Dirk. - Nie są groźne. Tylko sobie żartowałem. - Rzucił węża na kamienną podłogę i rozgniół mu głowę obcasem buta do jazdy konnej. Kopniakiem odrzucił go na ścianę, niecierpliwym gestem odsunął czarne loki z czoła i zrobił krok w stronę wyjścia. Ruth zastąpiła mu szybko drogę.

- Nannie, weź panienkę Storm do domu. - Ruth podała delikatnie dziecko służącej i zamknęła za nimi drzwi na zasuwę.

W pomieszczeniu zrobiło się ciemniej. Przez wysokie okna wpadały tylko dwa snopy słonecznego światła wypełnione wirującymi pyłkami kurzu. Panującą ciszę zakłócał jedynie szybki oddech Ruth.

- To był tylko taki żart - powtórzył Dirk i uśmiechnął się do niej zadziornie. - Przypuszczam, że teraz pobiegiesz do ojca i mu wszystko powiesz, co?

Ściany pomieszczenia były usiane drewnianymi kołkami, z których zwisały uprząże i siodła. Przy drzwiach wisiały bity do zaganiań bydła długości ośmiu stóp z niewyprawionej, poskręcanej skóry, zwięzającej się od trzonka ku końcowi. Ruth zdjęła jeden z nich z kołka i przerzuciła koniec tak, że spoczął na podłodze pomiędzy nią a Dirkiem.

- Nie, Dirk. Nie powiem twojemu ojcu. To jest tylko pomiędzy tobą a mną.

- Co zamierzasz zrobić?

- Rozwiążę ten problem raz na zawsze.

- Jak? - Nadal uśmiechając się beczelnie Dirk położył rękę na biodrze. Pod zawiniętymi rękawami napięły się mięśnie, gładkie i lśniące, jakby zostały nasmarowane olejkami.

- A tak. - Ruth złapała koniec spódnicy, zrobiła krok do przodu, zamachnęła się biczem i kiedy jego koniec owinał się wokół kostek chłopca, poderwała go szybko do góry. Zaskoczony Dirk upadł do tyłu uderzając głową o ścianę. Leżał przez chwilę nieprzytomny.

Aby zapewnić sobie więcej miejsca, Ruth przeszła na środek pomieszczenia. Czula w sobie lodowatą wściekłość, która dodawała siły jej wzmocnionym przez jazdę konną ramionom i odsuwała w cień jakiegokolwiek współczucie. Była niczym lwica walcząca o życie swoje i swojego dziecka.

Jako wspaniała amazonka Ruth nauczyła się doskonale posługiwać pejcem i pierwszym uderzeniem rozdarła Dirkowi koszulę od ramion do pasa. Następny cios trafił Dirka prosto w kręgosłup paraliżując go, gdy usiłował podnieść się z ziemi. Trzeci cios owinał mu się wokół kolan i poderwał go za nogi.

Czołgając się na brzuchu Dirk sięgnął po stojące przy ścianie widły, ale spleciony

rzemień eksplodował mu w tej samej chwili wokół nadgarstka. Dirk wrzasnął i przewrócił się na bok, przyciskając zranioną rękę do piersi.

Ruth uderzyła go ponownie i Dirk zaczął pełznąć w jej stronę niczym ranny leopold z tylnymi nogami strzaskanymi przez kulę. Ruth cofała się przed nim krok po kroku, a długi bat świszczał w powietrzu trafiając raz po raz powalone na ziemię ciało chłopca.

Ruth biła go bezlitośnie, aż koszula zwisała w strzępach odsłaniając białe ciało pokryte czerwonymi pręgami.

Biła go, aż okrzyki bólu zamieniły się w jęki, wreszcie w żalony płacz.

Biła go, aż w końcu leżał na ziemi trzęsąc się z bólu i jęcząc, a jego krew błyszczała ciemnymi plamami na kamiennej podłodze.

Wtedy Ruth zwinęła bicz i otworzyła drzwi. Na dziedzińcu przed stajniami zebrali się chłopcy stajenni i służący, stojąc nieruchomo w milczeniu.

Ruth wybrała czterech z nich.

- Zanieście Nkosana do jego pokoju.

Następnie przywołała jednego z chłopców stajennych.

- Pojedziesz do Nkosi. Powiedz mu, żeby natychmiast przyjechał do domu.

Sean przybył szybko na jej wezwanie i wzburzony niemal wyrwał drzwi do pokoju Dirka. Zatrzymał się na progu i z przerażeniem patrzył na plecy syna.

Rozebrany do pasa Dirk leżał na łóżku twarzą w dół, a Ruth dotykała delikatnie jego pleców gąbką. Na stole stała miska, z której unosiła się para i napełniała pokój zapachem środków antyseptycznych.

- Mój Boże! Co mu się stało?

- Zbiłam go biczem - odpowiedziała spokojnie Ruth i Sean spojrzał na nią, nic nie rozumiejąc. Po chwili przeniósł wzrok na Dirka.

- Ty to zrobiłaś?

- Tak.

Usta Seana zacisnęły się z gniewu.

- Jezu! Pocięłaś go na kawałki! Przecież mało co, a byś go zabiła. - Spojrzał na nią. - Dlaczego to zrobiłaś?

- To było konieczne. - Absolutna pewność siebie i brak skruchy spowodowały, że Sean nie wiedział, co powiedzieć. Nagle poczuł, że nie jest już taki pewny swojej złości.

- Co on zrobił?

- Nie mogę ci tego powiedzieć. To coś, co powinno pozostać tylko między nami.

Możesz o to zapytać Dirka.

Sean podszedł szybko do łóżka i przyklęknął przy Dirku.

- Dirk. Dirkie, synku, co się stało? Powiedz mi, co zrobiłeś? - Dirk podniósł twarz z poduszki i spojrzał na ojca.

- Pomyliłem się. Nieważne. - Skrył twarz w poduszce i jego głos był stłumiony, tak iż Sean miał wymówkę, żeby nie uwierzyć w to, co usłyszał.

- Co powiedziałeś? - zapytał bardziej kategorycznie. Minęła krótka chwila, zanim Dirk odpowiedział zupełnie wyraźnie.

- Powiedziałem... że to mój błąd.

- Tak właśnie myślałem. - Sean wstał ze zdziwioną miną. - No cóż, Ruth, nie wiem, dlaczego po mnie posłałaś. Wygląda na to, że sama panujesz nad sytuacją. - Ruszył do drzwi, zatrzymał się i odwrócił głowę, jakby chciał coś powiedzieć, rozmyślił się i potrząsając głową wyszedł z pokoju.

Wieczorem, kiedy leżeli zmęczeni w milczeniu, czekając na sen, Sean powiedział cicho:

- Myślę, że zrobiłaś dziś to, co ja powinienem był zrobić wiele lat temu. - Po chwili dodał sennym głosem: - Przynajmniej nikt już nie ma więcej wątpliwości, kto jest panią na Lion Kop.

77. Sean ze szczerą prostotą przyjmował życie takim, jakie ono było. Nie istniały dla niego pytania bez odpowiedzi i problemy nie do rozwiązania.

Kiedy pragnienie jakiejś kobiety nie daje spokoju, po prostu się ją zdobywa. Jeśli to nie przynosi oczekiwanego efektu, wtedy należy wziąć ją za żonę.

Kiedy chce się mieć kawałek ziemi, konia, dom czy kopalnię złota, trzeba sobie kupić. Jeśli nie ma pieniędzy, należy znaleźć sposób, by je dostać.

Kiedy lubi się jakiegoś mężczyznę, wówczas się z nim pije, poluje i wtóruje mu śmiechem. Jeśli zaś kogoś się nie lubi, to albo trzeba wybić mu zęby, albo tak bezlitośnie wyszydzić, żeby poszło mu w pięty. Kiedy syn staje się nieposłuszny, należy zerznąć mu tyłek, a następnie ofiarować drogi prezent, okazując prawdziwe uczucia. Sean musiał przyznać, że zaniedbał ostatnio Dirka; na szczęście Ruth wykonała świetną robotę. Seanowi pozostało jedynie wezwać syna do siebie i nakrzyczeć na niego porządnie. Tydzień później Sean wrócił z wyprawy do Pietermaritzburga i z zaambarasowaną miną wręczył Dirkowi pojednawcze prezenty. Pierwszy z nich był zapakowany w obite mosiądzem skórzane pudło. Była to strzelba ręcznie wykonana przez Greenera z Londynu; ze srebrnymi okuciami na kolbie z drzewa orzechowego i wymienialnymi damasceńskimi lufami. Drugim prezentem był dwuletni źrebak pochodzący z hugenockiej stajni w Wocerster w prowincji Cape. Sun Dancer, którego rodzicami byli Sun Lord i Harvest Dance, był zwierzęciem najczystszej krwi, niezrównanej piękności i wyjątkowej szybkości. Sean zapłacił za niego tysiąc gwinei i był przekonany, że zrobił świetny interes.

Jeśli chodziło o Seana, to uznał ten problem za zamknięty. Mógł się teraz bez reszty poświęcić trzem sprawom, które ostatnio zaprzętały go bez reszty.

Po pierwsze, podjął nieodwołalną decyzję uczynienia Ruth ponownie matką. W tej kwestii mógł liczyć na jej daleko idącą współpracę, ale poza sporą dozą przyjemnych i korzystnych dla zdrowia ćwiczeń, jego wysiłki nie przynosiły pożądanych skutków. Sean pamiętał, jaką zręcznością popisał się przy ich pierwszym spotkaniu, i obecne kłopoty wprawiały go w zdumienie. Ruth zasugerowała, żeby nie porzucali miłej im obojgu gimnastyki aż do pory deszczowej; już dawno rozwinęła się w niej zabobonna wiara w potęgę pioruna. W czasie jednej z podróży do Pietermaritzburga Sean znalazł na wystawie u handlarza starzyzną drewniany posążek przedstawiający Thora. Kupił go i przez dłuższy czas bożek stał nad ich łóżkiem z młotem w ręku, przyglądając się ich wysiłkom z tak wszechwiedzącą miną, że wreszcie Ruth obróciła go twarzą do ściany.

Następną sprawą, na której skoncentrował się Sean, była wymyślona przez Michaela fabryka taniny. Michael uciekł się do szkaradnego podstępu, który kompletnie zaskoczył

Seana i skłonił go do stwierdzenia, że nie wierzy już w uczciwość ludzi. Michael odwiedził wszystkich nowych plantatorów w dolinie, którzy za przykładem Seana zasadzili na swoich gruntach akacje, i zaprzysięgając ich milczenie zaproponował każdemu udział w spółce. Projekt został przyjęty bardzo entuzjastycznie i do Seana przybyła formalna delegacja farmerów z Michaeliem na czele. Przebieg spotkania był tak burzliwy, jakby to sam bożek Thor zasiadł na miejscu przewodniczącego. W końcu Sean, który od czasu zapoznania się z projektem rozważał pomysł z coraz większym entuzjazmem, dał się przekonać do wzięcia udziału w przedsięwzięciu. Zażądał dla siebie siedemdziesięciu procent udziałów, resztę zostawiając do podziału pomiędzy pozostałych hodowców. Na tym samym posiedzeniu wybrano radę nadzorczą, Seanowi powierzono funkcję przewodniczącego i zatrudniony księgowy otrzymał zlecenie zarejestrowania Ladyburskiego Przedsiębiorstwa Akacjowego. Sean pierwszy raz użył swojego decydującego głosu do stłumienia wątpliwości pozostałych członków zarządu przy wyborze Michaela Courteneya na kierownika fabryki. Następnie Michael wraz z jednym ze starszych szefów przedsiębiorstwa, jako czynnikiem stabilizującym, został wysłany pierwszym statkiem pocztowym Union Castle do Anglii, z listem akredytowym w kieszeni i licznymi ostrzeżeniami Seana w głowie. Pamiętając siebie samego w wieku dwudziestu trzech lat, Sean uznał za konieczne wyjaśnienie Michaelowi, że jego misją w Londynie jest zakup sprzętu i nauka, nie zaś zaludnianie Wysp Brytyjskich czy wydawanie pieniędzy w kasynach i restauracjach.

Inicjatywa Ladyburga spotkała się z szybką reakcją Jacksona z Natalskiego Przedsiębiorstwa Akacjowego, który stwierdzał z żalem, że nie będzie mógł odnowić kontraktów z plantatorami z doliny Tugeli. Z powodu dużego zapotrzebowania na sadzonki ze strony innych farmerów, Jackson musiał także zrezygnować z zaopatrywania w nie Seana. Na szczęście zapasy Seana były całkiem wystarczające, żeby zaspokoić potrzeby całej doliny. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, fabryka powinna zdążyć z rozruchem już na następny sezon ścinki drzew.

Zanim Michael i jego nadzorca triumfalnie wrócili z Londynu, Sean podjął gościną w swoim domu starego przyjaciela. Jan Paulus zniecierpliwiony trzyletnią listowną utarczką z Seanem przyjechał w końcu do Ladyburga i zapowiedział, że zostanie tak długo, aż ten zgodzi się stanąć na czele natalskiego oddziału Partii Południowoafrykańskiej i będzie kandydował z okręgu ladyburskiego w następnych wyborach do ciała ustawodawczego. Dwa tygodnie później, kiedy razem z Seanem upolowali dostatecznie dużo perliczek, bażantów i antylop, wypili olbrzymie ilości kawy i nieco mniejsze brandy i nagadali się aż do ochrypięcia, udało im się dojść do porozumienia. Wyjeżdżając do Johannesburga Jan Paulus

stwierdził na pożegnanie:

- Toe Maar! Więc wszystko zostało uzgodnione.

Program polityczny Partii Południowoafrykańskiej przewidywał utworzenie rządu federacyjnego reprezentującego prowincje: Cape, Transwal, Wolny Stan Oranje i Natal, odpowiadającego przed Whitehallem. Program ten spotkał się z ostrą opozycją zarówno ze strony Anglików i Holendrów, których głównym sloganem w nadchodzących wyborach były słowa: "Niech Bóg chroni króla", jak i republikanów, którzy życzyli sobie, żeby Bóg potraktował króla zupełnie odmiennie.

Po spotkaniu z ludźmi, których nazwiska wypisał Jan Paulus, Sean rozpoczął kampanię polityczną. Jego pierwszą zdobyczą była Ruth, nie tyle przekonana zdolnościami oratorskimi męża, co zachęcona perspektywą podniecającej atmosfery towarzyszącej wyborom. Każdego miesiąca Sean i Ruth spędzali tydzień na podróżach po Natalu, biorąc udział we wszystkich spotkaniach z wyborcami. Ruth przesłuchiwała Seana tak długo, każąc mu powtarzać swoją jedyną przemowę, aż w końcu potrafił wypowiedzieć ją bez zająknięcia. W czasie spotkań Ruth całowała dzieci i grała rolę gospodyni wśród żon wyborców, do czego Sean specjalnie się nie kwapił. Siadała zawsze obok niego na podium i powstrzymywała go przed udowadnianiem swoich racji pięściami wobec bardziej gorących oponentów. Sposób, w jaki się uśmiechała i chodziła, z pewnością nie umniejszył ilości głosów, jakie zdobyła partia. Z Londynu lord Caisterbrook obiecał swoje poparcie i zapowiadało się, że Sean może liczyć na dwadzieścia dwa z trzydziestu miejsc w ciele ustawodawczym.

Fabryka Ladyburskiego Przedsiębiorstwa Akacjowego stanęła na równinie przed skarpią przy Baboon Stroom. Zajęła dziesięć akrów ziemi, a za nią ustawiono szeregi domków dla pracowników.

Mimo gwałtownych sprzeciwów Michaela Sean zgodził się z pozostałymi członkami zarządu co do konieczności zatrudnienia inżyniera do czasu rozpoczęcia produkcji. Okazało się, że bez tych fachowych konsultacji stracono by całoroczny zbiór kory, gdyż mimo niewyczerpanej energii Michaelowi brakowało doświadczenia. Nawet z pomocą starszego inżyniera fabryka nie była w pełni gotowa do produkcji, gdy rozpoczął się sezon ścinania akacji. Kiedy wreszcie srebrzyste kominy rozpoczęły wyrzucać kłęby dymu, a piece rozświetliły noc, w magazynach rozlokowanych wokół fabryki czekało na przerobienie ponad tysiąc ton kory.

Sezon okazał się wyjątkowo udany. Dzięki obfitym deszczom kora wypełniła się żywicą i pod koniec roku spółka wykazała zysk w wysokości dziesięciu tysięcy funtów, a



farma Lion Kop zarobiła cztery razy więcej. Sean pozbył się długów w tak krótkim czasie, że niemal tego nie zauważył.

Mimo wielu opadów, w ciągu lata okolicę nawiedziły jedynie trzy porządne burze. Za każdym razem Sean musiał wyjechać z domu w interesach. W tym czasie Ruth stała przy oknie patrząc na błyskawice rozdzierające niebo i wzdrygając się przy roznoszących się echem po dolinie grzmotach. Nie mogła sobie darować zmarnowanej okazji. Mbejane miał więcej szczęścia: jego nasienie przyniosło owoce i mógł się szczycić czterema dorodnymi synami.

**78.** Dla Dirka Courteneya był to także pracowity rok. Po laniu, jakie mu sprawiła Ruth, oboje przyjęli wobec siebie neutralną postawę, choć pasierb zrzekł się na jej korzyść kontroli nad domem.

Dirk ignorował Storm, ale gdy zobaczył ją na kolanach Seana albo siedzącą mu na ramionach, przyglądał się ukradkiem tej zabawie czekając na odpowiednią chwilę, aby tylko ją przerwać albo uciec z domu. Czas, jaki teraz spędzał poza domem, coraz bardziej się wydłużał; Dirk jeździł do Pietermaritzburga i do sąsiednich miasteczek, żeby grać w rugby czy w polo, nocami wyprawiał się na tajemnicze wycieczki do Ladyburga i z reguły opuszczał dom o świcie. Sean wierzył, że Dirk udaje się rano na lekcje, dopóki nie otrzymał listu od dyrektora szkoły z prośbą o rozmowę.

Po pokazaniu Seanowi listy obecności i dziennika z ocenami, dyrektor oparł się o poręcz krzesła, czekając na ewentualne uwagi.

- Nie wygląda to najlepiej, co?

- Zgadza się z panem, panie Courteney. Nie wygląda to dobrze.

- Panie Besant, czy nie można by go wysłać do jakiejś szkoły z internatem?

- Tak, może pan to zrobić - zgodził się Besant - ale jaki to miałoby cel, poza zapewnieniem chłopcu dodatkowych ćwiczeń w grze w rugby?

- No to w jaki sposób dostanie się na studia? - Sean był pod wrażeniem rezultatów, jakie Michael osiągnął dzięki ukończeniu wyższej szkoły. Wydawało mu się, że studia są najlepszym lekarstwem na wybryki młodości.

- Panie Courteney... - Dyrektor zawahał się w tym miejscu. Słyszał o gwałtownym temperamencie Seana i nie miał ochoty doświadczyć go na własnej skórze. - Niektórzy młodzi ludzie nie są stworzeni do dalszej edukacji.

- Chcę, żeby Dirk poszedł na studia - przerwał mu Sean.

- Wątpię, żeby Stellenbosch czy uniwersytet w Kapsztadzie podzielały pańskie ambicje. - W tej chwili w Besancie odezwały się maniery nauczyciela i w jego głosie słychać było delikatny sarkazm.

- Chce pan powiedzieć, że mój syn jest głupi? - spytał ostro Sean.

- Och, nie. - Pośpiesznie zapewnił Besant. - Odnoszę jedynie wrażenie, że nie jest, powiedzmy, ukierunkowany naukowo.

Sean zastanawiał się nad tym przez chwilę. Według niego różnica była bardzo delikatna, ale zdecydował się zostawić tę sprawę i zapytał:

- No więc, co pan sugeruje?

Besant chciał zasugerować, żeby Dirk Courteney wyniósł się, do jasnej cholery, z jego

szkoły, ale powiedział to bardziej delikatnie.

- Mimo iż Dirk ma dopiero szesnaście lat, jest bardzo dojrzały jak na swój wiek. Może zatrudniłby go pan w swoim przedsiębiorstwie akcyjnym...

- Sugeruje pan, żebym zabrał go ze szkoły? - zapytał domyślnie Sean i dyrektor ukradkiem odetchnął z ulgą.

Dirk Courteney został mianowany pomocnikiem kierownika warsztatu kotłów w fabryce. Zaraz po przybyciu do pracy pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było poinformowanie przełożonego, że będzie zarządzał kiedyś całym tym interesem i co jego kierownik zamierza zrobić z tym fantem? Kierownik, uprzedzony już o nie najłatwiejszym charakterze Dirka, rzucił mu posępne spojrzenie, strzyknął przez zęby żółtą od tytoniu śliną, która trafiła o cal od wypolerowanego buta Dirka, i powiedział kilka grubych słów. Następnie wskazawszy na czajnik stojący na piecu kazał Dirkowi zrobić kawę i przy okazji wziąć cztery litery w troki. W ciągu tygodnia zostali najlepszymi kumplami

i kierownik, który nazywał się Archibald Frederick Longworthy, zaczął szkolić Dirka w sztukach znacznie różniących się od produkcji blachy stalowej. Archy miał trzydzieści sześć lat. Przybył do Afryki po odbyciu pięcioletniej kary w więzieniu Leavenworth za zbrodnię o intrygującej nazwie Crimen Injuria - Dirk był zachwycony, gdy Archy wyjaśnił mu znaczenie tych słów.

Archy przedstawił Dirka jednej ze swoich przyjaciółek o imieniu Hazel, pulchnej i towarzyskiej dziewczynie, która pracowała jako barmanka w hotelu Ladyburg i rozdawała swoje wdzięki równie wesoło i chętnie, jak podawała whisky. Dirk szybko stał się jej faworytem i nauczył się od niej wielu przyjemnych sztuczek.

Archibald Longworthy zbadał przebiegle całą sytuację i doszedł do wniosku, że z przyjaźni z synem Seana Courteneya może odnieść jedynie korzyści. Poza tym chłopak był wyjątkowo pojętym uczniem. Potrafił wziąć się za każdą panienkę i pić dzin jak najlepszy z kolegów Archy'ego - a co najważniejsze, dysponował niemal nieograniczonym zapasem suwerenów.

W zamian za jego względy Dirk obdarzył Archy'ego szczerym podziwem i przelał na niego część uczuć, jakie wcześniej żywił wobec ojca. Nie zwracając uwagi na szare ręce i szyję, które wyraźnie świadczyły o awersji, jaką Archy czuł do wody i mydła, nie zważając na brudne, rzadkie włosy, przez które prześwitywała miejscami łysina, ani na czarny ząb, zdobiący jego uśmiech - Dirk traktował przyjaciela jak starego kumpla.

Kiedy Dirk zachorował na bezbolesną, ale za to brzydko pachnącą dolegliwość, Archy

zapewnił go, że to tylko tryper i pojechał z nim do lekarza do Pietermaritzburga. Wracając do domu pociąganiem obaj towarzysze wśród śmiechów i dowcipów zaplanowali zemstę.

Hazel była bardzo zdziwiona nieoczekiwaną wizytą w niedzielne popołudnie. Usiadła szybko na łóżku, kiedy obaj przyjaciele wtargnęli do jej pokoju z oknami wychodzącymi na hotelowe podwórze.

- Dirkie, nie powinieneś tu przychodzić w ciągu dnia, twój tata może się o tym dowiedzieć. - W malutkim pokoiku było bardzo gorąco, a stęchły zapach tanich perfum i odór wydobywający się z na wpół wypełnionego nocnika mieszał się z wonią kobiecego potu. Cienka koszula nocna przylegała do ciała Hazel ujawniając ciężkie piersi i wałek tłuszczu na brzuchu. Pod oczami widać było ciemne smugi, a do zaczerwienionego od poduszki policzka przylepił się zwinięty kosmyk włosów. Obaj mężczyźni stali w drzwiach uśmiechając się do niej i Hazel rozpoznała żądze kryjące się za tymi złośliwymi minami.

- Czego chcecie? - ogarnął ją nagle lęk i instynktownie zebrała koszulę na zagłębieniu pomiędzy pełnymi piersiami.

- Dirkie chciał z tobą pogadać. - Archy zamknął uważnie drzwi, przekręcił klucz w zamku i podszedł do łóżka. Ciężka praca fizyczna sprawiła, że był szeroki w barach, a dłonie miał nieproporcjonalnie duże i porośnięte szorstkimi blond włosami.

- Archy Longworthy, trzymaj się z dala ode mnie. - Hazel zdjęła nogi z łóżka, a rozsunięty szlafroczek ukazał białe i tłuste uda. - Nie chcę żadnych kłopotów. Zostaw mnie w spokoju.

- Zaraziłaś Dirka tryprem. Dirkie jest moim kumplem i nie podoba mu się to, czym go obdarowałaś.

- To nie ja! Nie mógł się zarazić ode mnie. Jestem czysta, mówię ci. - Poderwała się z łóżka, ściskając przód szlafrocza w rękę i cofnęła się na kilka kroków do tyłu. - Zostaw mnie. - Archy skoczył do niej i Hazel krzyknęła: - Nie! Proszę! Ja... - Otworzyła usta, żeby zawołać o pomoc, gdy dłoń Archy'ego spadła na jej wargi niczym wielki, owłosiony pajak. Dziewczyna zaczęła się wyrywać, szarpiąc rękę zakrywającą jej twarz.

- Chodź, Dirk. - Archy zachichotał. Bez wysiłku trzymał Hazel jedną ręką. Dirk stał niepewnie przy drzwiach.

- No chodź, stary. Przytrzymam ją. - Jednym ruchem ramienia Archy rzucił dziewczynę twarzą na łóżko i wskoczył na nią, wciskając jej twarz w poduszkę. - No rusz się, Dirk! Użyj tego. - Wolną ręką wyszarpnął pasek ze spodni. Skóra była wysadzana ostrymi metalowymi ćwiekami. - Przylej jej!

- Cholera, Arch, sądzisz, że powinniśmy? - Dirk czuł się niepewnie trzymając pasek

luźno w dłoni.

- Boisz się, czy co?

Usta Dirka zacisnęły się na taką obrazę. Podeszedł bliżej, zamachnął się mocno i spuścił pasek na wijące się ciało. Hazel momentalnie znieruchomiała i jęknęła w poduszkę.

- Właśnie tak. Poczekaj chwilkę. - Archy wsadził zgięty kciuk za kołnierzyk szlafrocza i rozerwał go do samego dołu. Ukazały się tłuste, białe pośladki ozdobione dołeczkami. - Wal ją w dupę!

Dirk podniósł ciężki skórzany pas, stał krótką chwilę nieruchomo, czując jak z wolna ogarnia go oszałamiające poczucie władzy, i zamachnął się z całej siły przed następnym uderzeniem.

79. Sean nie ma żadnego kontrkandydata - mruknął Ronny Pye i stojący obok niego Garrick Courteney poruszył się niespokojnie.

- Słyszałeś jego przemowy? - nalegał Ronny.

- Nie.

- Chce związać Natal z tą bandą Holendrów w Wolnym Stanie i w Transwalu.

- Wiem.

- I co, zgadzasz się z nim?

Garry nic nie odpowiedział, pozornie zajęty przyglądaniem się zabawie żrebaków na wybiegu, które brykały na cienkich, długich nogach, zdających się mieć zbyt wiele stawów.

- Wysłałam dwadzieścia roczniaków na aukcję w Pietermaritzburgu. To pierwszorzędne żrebaki i powinny przynieść po jakieś pięćset od sztuki. Będę mógł spłacić ci część długu.

- Garry, nie przejmuj się tym teraz. Nie przyszedłem tu po pieniądze. - Ronny Pye zaofiarował mu cygaro, a kiedy Garry odmówił, wybrał jedno dla siebie i zaczął je przygotowywać. - Czy zgadzasz się z tą ideą unii?

- Nie.

- Dlaczego? - Ronny nie podniósł wzroku znad cygara, nie chcąc zdradzić, jak bardzo jest zainteresowany odpowiedzią.

- Ponieważ walczyłem z nimi, z Leroux, Bothą, Smutsem. Walczyłem z nimi i to my wygraliśmy. Teraz zaś oni siedzą sobie w Pretorii i planują, jak przejąć cały kraj, nie tylko Wolny Stan czy Transwal, ale także Natal i Cape. Każdy Anglik, który pomaga im w tym planie, jest zdrajcą wobec króla i swojej ojczyzny. Takich ludzi powinno się postawić pod ścianą i rozstrzelać.

- Wielu ludzi myśli tak samo jak ty; całkiem wielu. Jednak nikt nie sprzeciwia się Seanowi, a on zamierza wejść do Zgromadzenia.

Garry odwrócił się i pokuśtykał wolno wzdłuż ogrodzenia wybiegu w stronę stajni. Ronny poszedł za nim.

- Ja i inni ludzie sądzimy, że potrzebny jest jakiś porządny facet na kontrkandydata. Ktoś, kto cieszy się powszechnym szacunkiem. Ktoś odznaczony w czasie wojny, ktoś, kto napisał książkę i orientuje się w różnych sprawach - ktoś, kto potrafi przemówić do ludzi. Gdybyśmy znaleźli taką osobę, nie pożałowalibyśmy pieniędzy na kampanię. - Ronny zapalił zapalniczkę i poczekał chwilę, póki siarczany dym nie rozpląnął się w powietrzu. - Do wyborów zostały już tylko trzy miesiące. Powinniśmy jak najszybciej się zorganizować. Sean ma spotkanie z wyborcami za tydzień w szkole.

Kampania polityczna Seana, która do tej pory przebiegała w miarę spokojnie nie wzbudząc większych emocji, nagle nabrała kolorów.

Na pierwszym spotkaniu z wyborcami z Ladyburga zjawili się prawie wszyscy mieszkańcy miasteczka - wszyscy tak spragnieni choć odrobiny rozrywki, że byli gotowi wysłuchać mowy Seana, mimo że czytali ją wcześniej w natalskich gazetach. Pełni optymizmu czekali

z nadzieją, że część poświęcona na rozmowę z ich kandydatem okaże się bardziej ciekawa. Niektórzy przygotowali pytania w tak ważkich kwestiach, jak cena licencji na polowanie, publiczny system bibliotek oraz kontrola chorób nóg i zębów. Dla niektórych ludzi była to także okazja do spotkania się ze znajomymi z otaczających miasteczko wiosek.

Jednak oprócz pracowników Seana, jego przyjaciół i sąsiadów, na wiec przybyli także nie znani nikomu ludzie, którzy zajęli dwa pierwsze rzędy ławek w klasie. Wszyscy byli młodymi ludźmi, których Sean widział po raz pierwszy i siedząc na podium przyglądał się niechętnie, jak śmieją się i głośno żartują.

- Skąd się wzięła ta banda? - spytał cicho przewodniczącego zebrania.

- Przyjechali popołudniowym pociągiem - wszyscy w jednej grupie.

- Wygląda na to, że szukają kłopotów. - Sean wyczuł stłumione podniecenie ludzi, którzy szykują się do bójk. - Większość z nich jest pijana.

- Sean. - Ruth pochyliła się do przodu i jej ręka spoczęła na kolanie męża. - Musisz mi obiecać, że nie będziesz się denerwował. Nie drażnij ich. - Sean otworzył już usta, żeby jej odpowiedzieć, gdy przez stojący przy drzwiach tłum ludzi przedarł się Garrick Courteney i usiadł obok Ronny'ego Pye'a w ostatnim rzędzie.

- Zamknij usta, kochanie - szepnęła Ruth i Sean posłusznie spełnił prośbę. Następnie uśmiechnął się i pomachał ręką bratu na przywitanie. Garry skinął sztywno głową i szybko wdał się w rozmowę z Ronnym Pye'em.

Przewodniczący wstał wśród pokasywania i szurania nóg, żeby przedstawić Seana ludziom, którzy chodzili z nim do szkoły, pili z nim brandy i razem polowali. Opowiedział zebrany, jak Sean sam wygrał wojnę burską, jak dzięki założeniu plantacji i fabryki pozwolił wzbogacić się mieszkańcom miasteczka. Na koniec powiedział kilka ciepłych słów, które spowodowały, że Sean zaczął się wiercić na krześle i musiał połuznić sobie kołnierzyk.

- Tak więc, panie i panowie z naszego pięknego okręgu, przedstawiam wam człowieka wielkiej wyobraźni potrafiącego patrzeć w przyszłość, człowieka o sercu równie wielkim jak jego ręce, waszego i mojego kandydata, pułkownika Seana Courteneya.

Sean wstał uśmiechnięty. Z dwóch pierwszych rzędów podniosła się burza

obraźliwych śmiechów i szyderczych wrzasków. Uśmiech natychmiast zniknął mu z twarzy, a spoczywające na stole dłonie zacisnęły się w pięści. Spojrzał gniewnie na przybyszów, czując, jak zaczyna się pocić z narastającej wściekłości. Lekkie szarpnięcie za połę garnituru uspokoiło go nieco i potężne pięści rozluźniły się. Zaczął mówić, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć pomieszane wrzaski w stylu: “Siadaj!”, “Niech mówi!”, “Dajcie mu szansę!”, “Precz!” i huk butów walących równomiernie w podłogę.

Trzy razy pogubił się w swojej mowie i czerwony na twarzy z gniewu i wstydu musiał zwrócić się do Ruth o pomoc, podczas gdy salę zalały wybuchy szyderczego śmiechu. Sean skończył przemowę, czytając jej tekst z kartki. Nie miało też znaczenia, że potykał się co chwilę i przerywał, gdyż na odległość trzech stóp nikt nie słyszał ani słowa z tego, co powiedział. Kiedy usiadł wreszcie na krześle, w sali zapanowała pełna oczekiwania cisza, co pozwoliło Seanowi zorientować się, że cała ta demonstracja musiała być dokładnie zaplanowana i że jest to dopiero początek zabawy.

- Panie Courteney. - Na końcu sali Garrick wstał z krzesła i wszystkie głowy obróciły się ku niemu. - Czy mogę zadać kilka pytań?

Sean wolno skinął głową. Więc to tak! To Garry zaplanował całe to przedstawienie.

- Moje pierwsze pytanie jest następujące: Czy może nam pan powiedzieć, jak nazywa się człowiek, który sprzedaje swój kraj wrogom swojego króla?

- Zdrajca! - zawyli klakierzy.

- Bur! - Wstali z krzesel, krzycząc jednym głosem. Wrzawa trwała przez dobre pięć minut.

- Zabieram cię stąd - Sean szepnął do Ruth i wziął ją za ramię ale się wyrwała.

- Nie. Ja zostaję.

- Masz robić, jak ci mówię. Szykuje się porządna bijatyka.

- Zatem będziesz musiał mnie wynieść - rzuciła mu gniewnie, Wyglądała w tej chwili wyjątkowo pięknie.

Sean miał już przyjąć wyzwanie, kiedy nagle ryki ucichły. Wszystkie oczy znowu zwróciły się ku Garrickowi, który był gotowy z następnym pytaniem. W panującej ciszy Garry uśmiechał się złośliwie.

- Druga sprawa, czy mógłbyś nam powiedzieć, jakiej narodowości i wyznania jest twoja żona?

Sean gwałtownie odwrócił głowę. Poczul raptowny skurcz żołądka i zaczął podnosić się niezgrabnie z krzesła. Ruth stała już jednak obok niego. Położyła mu rękę na ramieniu, nie pozwalając mu powstać.



- Garry, myślę, że to ja odpowiem na to pytanie - mówiła bardzo wyraźnie z ledwo dostrzegalną szorstkością w głosie. - Jestem Żydówką.

Nikt nie przerwał ciszy. Ruth stała wyprostowana i dumna z ręką na ramieniu męża i patrzyła Garry'emu prosto w oczy. Garrick pierwszy skapitulował. Czerwieniąc się od szyi, spuścił wzrok i niepewnie zaszurał drewnianą nogą po podłodze. Mężczyźni w pierwszych rzędach zareagowali w podobny sposób. Patrzyli po sobie, a następnie odwracali z zawstyżeniem wzrok. Jeden z nich wstał i ruszył w stronę drzwi. W połowie drogi zatrzymał się i odwrócił do Ruth.

- Przepraszam panią. Nie wiedziałem, że zanosি się na coś takiego. - Podeszedł do drzwi. Mijając Ronny'ego Pye'a rzucił mu suwerena na kolana. Z pierwszego rzędu poderwał się inny mężczyzna, uśmiechnął się niepewnie do Ruth i wyszedł pośpiesznie z sali. Pozostali, po dwóch i trzech podążyli za nim. Wreszcie ostatni nie zaproszeni goście wyszli grupą. Sean zauważył z ulgą, że nie wszyscy oddali pieniądze Ronny'emu.

Na końcu sali stał roztrzęsiony Garry nie wiedząc czy ma uciec, czy też wydobyć się z kłopotliwej sytuacji, którą źle ocenił, nadrabiając bezczelnością.

Sean wstał wolno i obejmując Ruth ręką odchrząknął czując, jak wzruszenie ścisła go w gardle.

- Nie tylko to - zawołał - ona jest także najlepszą kucharką w całej okolicy. - Garry wycofał się z sali przepychając się przez tłum śmiejących się i wiwatujących ludzi przy wejściu.

**80.** Następnego dnia Garry Courteney oznajmił, że będzie się ubiegał o miejsce w parlamencie jako kandydat Niezależnych, ale nawet lojalistyczne gazety nie dawały mu szansy na zwycięstwo - aż do dnia na sześć tygodni przed wyborami.

Tego wieczoru, długo po zapadnięciu mroku, Dirk przywiązał Sun Dancer do poręczy przed hotelem. Kiedy poluzował klaczy popregi i wyjął z pyska wędzidło, pozwolił jej się napić wody z koryta, a sam ruszył chodnikiem w stronę baru. Mijając go zajrzał do środka przez duże okna ozdobione napisem wykonanym złotymi i czerwonymi literami: "Jeśli jesteś spragniony, napij się piwa Goldberg!"

Dirk szybko przyjrzał się klienteli baru szukając donosicieli. Nie zobaczył żadnego z brygadzystów ojca - ci byli zawsze najbardziej niebezpieczni - ani pana Petersona, Pye'a czy Erasmusa. W tłumie obcych mu ludzi rozpoznał jedynie dwóch mechaników z fabryki, kilku pracowników kolejowych, urzędnika z banku i ekspedienta ze sklepu, zdecydował więc, że może bezpiecznie wejść do środka. Żaden z tych ludzi nie liczył się na tyle w społeczności miasteczka, żeby donieść Seanowi Courteneyowi o nawykach jego syna.

Dirk przeszedł do końca budynku, zatrzymał się przez kilka sekund na rogu ulicy i wolno wrócił do baru. Jego oczy przeszukiwały cały czas cienie między domami, wypatrując potencjalnych donosicieli. Jednak tej nocy główna ulica była opustoszała i kiedy Dirk znalazł się na wysokości wahadłowych drzwi szynku, szybko wsunął się przez nie bokiem i już był w oświetlonym żółtym światłem salonie. Dirk uwielbiał atmosferę baru; kochał zapach kurzu, alkoholu, tytoniu i mężczyzn. Bo było to miejsce dla prawdziwych mężczyzn. Miejsce, gdzie mówiło się szorstkim głosem i głośno śmiało, wypełnione atmosferą ostrego dowcipu i męskiej przyjaźni.

Kilku ludzi przy barze odwróciło głowy, gdy Dirk wszedł do środka.

- Hej, Dirk!

- Brakowało nam ciebie. Gdzie się podziewałeś przez cały tydzień? Dirk machinalnie odpowiedział na przywitanie Archy'ego i podszedł wyprostowany, z buńczuczną miną do stołka przy końcu baru.

- Dobry wieczór, Dirk. Co dzisiaj pijesz? - Barman pośpiesznie zwrócił się do Dirka.

- Cześć, Henry. Wszystko dziś w porządku? - Dirk obniżył głos do szeptu.

- Na to wygląda. Nie oczekujemy żadnych nowych gości - uspokoił go Henry. - Ale drzwi za tobą są na wszelki wypadek otwarte.

Miejsce dla Dirka zostało wybrane bardzo starannie. Ze swojego stołka mógł przyglądać się wszystkim wchodzącym do środka gościom będąc jednocześnie dla nich niewidoczny dzięki osobom siedzącym przed nim przy barze. Drzwi za nim prowadziły przez

zmywalnię naczyń na tylne podwórko - niezbędny środek ostrożności, kiedy ma się siedemnaście lat i zarówno prawo, jak i ojciec zabraniają ci pić.

- No to świetnie. Podaj mi to co zwykle. - Dirk skinął głową.

- Późno dziś przyszedłeś - zauważył Henry nalewając do kubka gin i piwo. - Upolowałeś jakąś sztukę? - Henry był niedużym mężczyzną po pięćdziesiątce, z bladą twarzą i małymi niebieskimi oczkami. Zadając Dirkowi pytanie mrugnął okiem na Archy'ego Longworthy'ego.

- Poderwałeś coś dzisiaj? - Archy podjął przesłuchanie. Dirk przesunął palcem po nosie.

- A jak myślisz? - Uśmiechnął się i wszyscy roześmiali się wesoło.

- Kto to był? Madame? - starał się wyciągnąć z niego Archy, wciągając w rozmowę pozostałych mężczyzn, którzy nachylali się już nad kontuarem.

- Żartujesz! - Dirk pogardliwie wzruszył ramionami. Madame, było to przezwisko żony jednego z pracowników kolejowych. Jej mąż prowadził co drugą noc pociąg do Pietermaritzburga. Nie była uważana za trudną zdobycz.

- No więc kto? - Henry chciał podbechtać chłopca.

- Powiem wam, jak się już u niej rozgoszczę - obiecał Dirk.

- Ładna? - nalegali pozostali. - Przynajmniej młoda?

- Całkiem w porządku. Wcale niezła. - Dirk spróbował ginu.

- Stary, masz ich już tyle, że przestałeś je cenić - zbeształ go z uznaniem Archy, uśmiechając się do słuchaczy i Dirk pokraśniał z radości. - No dalej, Dirk, powiedz nam coś więcej. Gorąca sztuka, co?

W odpowiedzi Dirk dotknął ostrożnie wskazującym palcem szklanki, syknął ostro jakby poczuł rozpaloną stal i gwałtownie cofnął rękę z jękiem bólu. Wszyscy mężczyźni ryknęli śmiechem i Dirk zawtórował im radośnie, znowu lekko się czerwieniąc z przyjemności.

- Opowiedz nam wszystko - nalegał Henry. - Nie musisz podawać nazwiska, wystarczą szczegóły. Dokąd ją zabrałeś?

- No cóż... - Dirk się zawahał.

- No dalej, Dirk. Nie daj się prosić.

Oczywiście spełnił ich prośby. Nie omieszkął wspomnieć o pikantnych szczegółach, które spowodowały, że ich śmiech zmienił się w głodne grymasy, gdy nachylili się ku niemu, spijając każde słowo z jego ust.

- Jezu! Tak powiedziała?

- I co wtedy zrobiłeś? - zachęcali go.

Dirk opowiadał im dalej. Był urodzonym gawędziarzem i potrafił rozbudzać napięcie, aż w końcu wokół niego zapanowało pełne uwagi milczenie. Natomiast pozostała część sali rozbrzmiewała teraz bardziej hałaśliwymi głosami i śmiechami niż wtedy, gdy Dirk wszedł do środka. Szczególnie jedna grupa reagowała bardzo żywiołowo na alkohol.

- ...No więc wziąłem ją za rękę - kontynuował Dirk - i powiedziałem: "Mam dla ciebie małą niespodziankę." "Co to takiego?" - zapytała, jakby nie wiedziała. "Zamknij oczy, to się przekonasz" - powiedziałem jej... - Z tyłu sali dobiegł go mocny głos:

- ...Weźcie na przykład tego cholernego drania Courteneya. Co on takiego robi poza jeżdżeniem tym swoim samochodem i wygłaszaniem mów?

Dirk zamilkł w połowie zdania i obejrzał się. Jego twarz momentalnie zrobiła się bardzo blada. Mężczyzna, który wykrzyknął te słowa, siedział w grupie na drugim końcu baru. Był to już niemłody mężczyzna, z głęboko pobruźdowaną od ciężkiej pracy twarzą, ubrany w wytarty niebieski kombinezon.

- A wiecie, kto daje mu pieniądze? Nie? No to wam powiem - my mu je dajemy. Bez nas byłby skończony - nie przetrwałby nawet miesiąca. - Mężczyzna podniósł pokryte bliznami ręce z brudnymi połamanymi paznokciami. - Stąd ma pieniądze. Cholerny pułkownik Courteney.

Dirk patrzył nieruchomym wzrokiem na mężczyznę, a jego dłonie spoczywały na ladzie zaciśnięte w pięści. W sali zapanowała cisza i następne słowa robotnika wydawały się jeszcze głośniejsze.

- Wiecie dobrze, ile nam płaci - miesięczna pensja wykwalifikowanego robotnika wynosi trzydzieści dwa funty. Trzydzieści dwa funty miesięcznie!

- Minimalna pensja wynosi dwadzieścia pięć - zauważył sucho jeden z jego kompanów. - Jeśli chcesz, to możesz sobie znaleźć lepiej płatną pracę. Ja zostaję przy tej.

- Nie o to chodzi. Ten wielki leniwy drań zarabia na nas majątek. Sądzę, że mógłby nam lepiej płacić. Sądzę, że...

- Sądzisz, że jesteś wart aż tyle?! - Dirk zeskoczył ze stołka i krzyknął na całą salę. Teraz wszystkie głowy obróciły się z zaciekawieniem ku niemu.

- Zostaw go, Dirk. Jest pijany. Nie zaczynaj żadnej awantury - wyszeptał zaniepokojony Henry i podnosząc głos zawołał do grupki mężczyzn: - Norman, chyba masz już dosyć. Czas, żebyś wrócił do domu. Twoja pani już czeka z obiadem.

- Dobry Boże! - Norman patrzył w stronę baru usiłując z trudem skoncentrować wzrok na Dirku.

- Dobry Boże! To ten szczeniak Courteneya!

Twarz Dirka zmieniła się w sztywną maskę. Ruszył wolno w stronę siedzącego przy stoliku mężczyzny.

- Dirk, zostaw go. - Archy złapał go za ramię, ale Dirk mu się wyrwał.

- Obraziłeś mojego ojca. Nazwałeś go draniem!

- Zgadza się. - Norman skinął głową. - Twój tatuś jest draniem. Twój tatuś jest wielkim cholernym draniem, który nigdy nie przepracował porządnie jednego dnia w swoim życiu. Wielkim, wysysającym krew ze swoich ludzi draniem, który spłodził równie bezużytecznego szczeniaka, spędzającego czas...

Dirk uderzył go w usta i mężczyzna wywrócił się wraz ze stołkiem, szeroko rozrzucając ręce. Uderzył ramionami o podłogę i przetoczył się na kolana wypływając krew i wybity ząb z ust.

- Ty mały gówniarzu... - wybełkotał zalany krwią ustami. Dirk zrobił krok do przodu i zamachnął się z całej siły lewą nogą. Czubek buta z głuchym trzaskiem trafił mężczyznę w pierś i cios powalił go na podłogę.

- Jezu, powstrzymajcie go! - krzyknął Henry zza kontuaru. Jednak wszyscy siedzieli jak sparaliżowani. Dirk schylił się po stołek, podniósł go nad głowę i biorąc zamach całym ciałem spuścił go, jakby rąbał siekierą drzewo. Ciężkie drewniane siedzenie trafiło mężczyznę w środek czoła. Uderzenie było tym mocniejsze, że głowa ofiary leżała na podłodze. Cios rozbił czaszkę i z nozdrzy trysnęły dwa strumyczki krwi, ściekając w kurz podłogi.

- Zabiłeś go. - Pojedynczy głos przerwał niesamowitą ciszę.

- Tak - zgodził się Dirk. Zabiłem go. Zabiłem człowieka. Jakiś głos z premedytacją powtarzał w jego mózgu te słowa, a w jego piersi podniosło się coś, co prawie nie pozwalało mu oddychać. Stał nad nieruchomym ciałem nie chcąc uronić ani chwili z tego, co się działo. Nogi drżały mu lekko i czuł, że skórę na policzkach ma tak napiętą z podniecenia, jakby za moment miała pęknąć.

- Tak, zabiłem go. - Głos Dirka był zdławiony od gwałtownej przyjemności, która ogarnęła całe jego ciało. Wzrok miał skoncentrowany na twarzy nieboszczyka, która wypełniała całe pole widzenia. Czoło trupa było mocno wgniecione, a gałki oczne wyszły na wierzch.

Wokół niego rozległy się pomieszane krzyki.

- Lepiej poślijcie po jego ojca.

- Wychodzę stąd!

- Nie, zostaniesz! Nikt nie może stąd wyjść.

- Mój Boże, zawołajcie doktora Frasera.
- Doktor nie jest już do niczego potrzebny. Wezwijcie policję.
- To stało się tak szybko. Dirk rzucił się na niego jak leopard...
- Jezu! Chcę stąd wyjść.

Dwóch ludzi nachyliło się nad ciałem.

- Zostawcie go! - warknął Dirk. - Nie dotykajcie go. - Był zazdrosny jak młody lew o upolowaną zwierzynę. Obaj mężczyźni instynktownie go posłuchali. Wstali i odsunęli się od zwłok. Wraz z nimi wszyscy cofnęli się o kilka kroków, zostawiając Dirka samego.

- Wezwijcie jego ojca - powtórzył Henry. - Niech ktoś pojedzie i przyprowadzi tu Seana Courteneya.

Godzinę później Sean wszedł do baru. Miał na sobie płaszcz zarzucony na kozłach nocną, a w pośpiechu buty do jazdy konnej wciągnął na gołe stopy. Stał na progu i obrzucił zebranych uważnym spojrzeniem. Włosy miał jeszcze zmięte od snu, ale kiedy wszedł do środka, atmosfera natychmiast uległa zmianie. Stojący w napiętym milczeniu ludzie rozluźnili się i wszyscy patrzyli z oczekiwaniem na Seana.

- Panie Courteney! Dzięki Bogu, że pan przyjechał! - wykrzyknął młody policjant, który stał obok doktora Frasera.

- Doktorze, bardzo jest źle? - spytał Sean.
- Sean, on nie żyje.
- Tato, on obraził... - zaczął Dirk.
- Zamknij się! - rozkazał mu ostrym głosem Sean. - Kto to jest? - zapytał konstabla.
- Norman van Eek. Jeden ze ślusarzy z pańskiej fabryki.
- Ilu świadków?
- Czternastu, sir. Widzieli całe zdarzenie.

- W porządku - rozkazał Sean - zabierzcie ciało na posterunek policji. Będzie pan mógł spisać ich zeznania jutro rano.

- A co z oskarżonym... to znaczy z pańskim synem, sir? - poprawił się policjant.

- Ja będę za niego odpowiedzialny.

- Nie jestem pewien, czy powinien pan... - Zobaczył wyraz twarzy Seana i zamilkł. - Tak, oczywiście, że tak będzie w porządku. Tak myślę - zgodził się niechętnie.

- Tato... - zaczął znowu Dirk.

- Kazałem ci się zamknąć - dosyć już narozrabiałeś jak na jeden dzień. - Sean nie patrzył na niego. Obrócił się do barmana.

- Przynieś koc. - Spojrzał jeszcze raz na konstabla. - Weź kilku z nich do pomocy. -

Wskazał palcem na okno ozdobione twarzami ciekawskich.

- Tak jest, panie Courteney.

Kiedy wyniesiono ciało zawinięte w koce, Sean spojrzął znacząco na doktora Frasera.

- Lepiej pójde i skończę oględziny.

- Niech pan idzie - zgodził się Sean, a doktor spakował torbę i wyszedł. Sean zamknął za nim drzwi i zatrzasnął okiennicę. Odwrócił się do mężczyzn stojących niepewnie przy kontuarze.

- Jak to się stało? - Mężczyźni poruszyli się niespokojnie, rozglądając się po całej sali, byle tylko nie patrzeć na Seana.

- George, może ty mi powiesz? - Sean wybrał jednego ze swoich mechaników.

- No więc, panie Courteney, pański Dirk podszedł do Normana i zrzucił go ze stołka. Następnie kopnął go, gdy ten próbował wstać, a potem podniósł stołek i wyrzucił go nim w głowę. - Robotnik przebrnął z trudem przez sprawozdanie.

- Czy ten człowiek go sprowokował? - zapytał Sean.

- No więc, nazwał pana, za przeproszeniem, panie Courteney, powiedział, że jest pan wielkim leniwym, wysysającym krew z ludzi draniem.

Sean zmarszczył brwi.

- Tak mnie nazwał! Co jeszcze powiedział?

- Powiedział, że traktuje pan ludzi jak niewolników i że zagłodził ich pan niemal na śmierć. Dodał też, że porachuje się z panem pewnego dnia. - Archy Longworthy przejął opowiadanie zdarzenia. W jego głosie słychać było jakby ślad pytania, kiedy szybko rzucał spojrzenia pozostałym ludziom, szukając ich poparcia. Po kilku sekundach mężczyźni pokiwali głowami z poczuciem winy i mruknęli pod nosem coś, co miało wyrażać zgodę. Archy wyraźnie nabrał odwagi. - Dał do zrozumienia, że chce zacząć się na pana którejs nocy i wyrównać porachunki.

- Czy powiedział to wyraźnie? - Sean zdominował zebranych tak wyraźnym autorytetem, że kiedy Archy ponownie poszukał wsparcia, znalazł je na twarzach wszystkich mężczyzn.

- Powiedział w ten sposób: "Którejs nocy zaczekam na tego wielkiego drania i wtedy pokażę mu parę rzeczy." - Archy podpowiedział im całe zdanie. Nikt nie zaprotestował.

- Co się później stało?

- No więc wtedy zaczął się czepiać Dirka. Krzyknął: "A oto i ten szczeniak Courteneya. Pewnie tak głupi jak i jego ojciec!"

- Co Dirk zrobił? - zapytał Sean.

- No, panie Courteney, roześmiał się, wie pan, jak prawdziwy dżentelmen i tak jakoś po przyjacielsku. Powiedział mu: "Daj spokój. Za dużo wypieś."

Seanowi nagle przyszła pewna myśl do głowy.

- A co Dirk w ogóle tu robił?

- To było tak, panie Courteney: kilka tygodni temu Dirk pożyczył mi kilka funtów. Poprosiłem go, żeby przyszedł tu dziś wieczorem, to mu je oddam. To wszystko.

- Więc nic nie pił? - zapytał podejrzliwie Sean.

- Ależ skąd! - Archy był zaszokowany taką sugestią. Sean skinął głową.

- W porządku, co było dalej? - kontynuował przesłuchanie.

- No więc, Norman dalej sobie żartował z Dirka. Nazwał go też tchórzem i tym podobne, nie pamiętam dokładnie jego słów. W końcu Dirk stracił cierpliwość. Podszedł do niego i wyrznął go w zęby. Wydaje mi się, że Norman zasłużył sobie na to, jak myślicie, chłopaki? - Archy spojrział na nich.

- Właśnie. Krew się we mnie wzburzyła, kiedy słuchałem, jak obraża Dirka - poparł go jeden mechanik, a pozostali mruknęli zgodnie.

- No więc - Archy mówił dalej - Norman leży na podłodze i wyciąga nóż. - Przy barze dał się słyszeć szmer zdziwienia. Jeden z mężczyzn otworzył usta i podniósł rękę, żeby zaprotestować, ale nagle się zawstydził i zamiast tego pomasaował sobie szyję.

- Nóż. Jaki nóż, gdzie on jest? - Poruszony Sean nachylił się do przodu. Stojący obok niego Dirk zaczął się lekko uśmiechać. Ożywiona uśmiechem twarz chłopca stała się nagle wyjątkowo piękna.

- Tu jest nóż. - Henry sięgnął pod kontuar i wyjął duży kozik z kościaną rączką. Wszyscy patrzyli oszołomieni na długie ostrze.

- W jaki sposób znalazł się u ciebie? - zapytał Sean i po raz pierwszy zobaczył winę na ich twarzach. Wiedział już, że bierze udział w kłamstwie.

- Wziąłem go później od Normana. Myśleliśmy, że będzie najlepiej, jak pan pierwszy pozna prawdę. Pan jest przecież jego ojcem i w ogóle. - Archy wzruszył ramionami i uśmiechnął się do reszty świadków.

Sean obrócił się wolno do pierwszego z brzegu mężczyzny, urzędnika bankowego.

- Czy to ten nóż, którym Norman van Eek groził mojemu synowi?

- Tak, panie Courteney. - Mężczyzna pisnął nienaturalnym głosem.

Sean przeniósł wzrok na następnego mężczyznę i powtórzył pytanie.

- Tak, to ten, sir.

- Właśnie ten.



- Tak.

- Nie ma żadnych wątpliwości, to ten nóż.

Sean spytał każdego z nich i wszyscy odpowiedzieli tak samo.

- Dirk. - Sean wezwał go na końcu. Zadał pytanie wolno i stłumionym głosem. Patrzył w niewinne oczy syna i mówił: - Jak Bóg jest twoim świadkiem, czy Norman van Eek wyciągnął ten nóż na ciebie?

Proszę cię, synu, zaprzecz temu. Powiedz, że to nieprawda, żeby wszyscy mogli cię słyszeć. Jeśli zależy ci na mojej miłości - powiedz mi prawdę. Proszę, Dirk, proszę cię. Starał się wyrazić te myśli siłą spojrzenia.

- Jak Bóg jest moim świadkiem, tato - odpowiedział Dirk i zamilkł.

- Nie odpowiedziałeś mi - nalegał Sean. Proszę, synu.

- Wyciągnął nóż z tylnej kieszeni, ostrze było zamknięte. Otworzył je kciukiem lewej ręki, tato - wyjaśniał cicho Dirk. - Chciałem mu go wykopać z ręki, ale trafiłem go w pierś. Przewrócił się na plecy i zrobił taki ruch, jakby chciał nim rzucić. Wtedy uderzyłem go stołkiem. Tylko tak mogłem go powstrzymać.

Z twarzy Seana znikły wszelkie uczucia, wyglądała teraz jak wyciosana z kamienia.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Wracamy do domu. - Następnie zwrócił się do pozostałych mężczyzn: - Dziękuję, panowie. - Wyszedł na dwór i szybko wsiadł do samochodu, a Dirk podążył za nim posłusznie.

Następnego dnia Dirk Courteney został wypuszczony z aresztu przez miejscowego sędziego za kaucją w wysokości pięćdziesięciu funtów. Za dwa tygodnie Dirk miał stanąć przed sądem okręgowym pod zarzutem zabójstwa.

Sprawa Dirka została rozpatrzona na samym początku rozprawy. Na sali sądowej zjawili się wszyscy mieszkańcy okręgu, wypełniając po brzegi małą salę i tłocząc się przy wszystkich oknach.

Po siedmiu minutach narady przysięgli pojawili się na sali z uniewinniającym werdyktem i Dirk wyszedł z ławy oskarżonych w otoczeniu wiwatującego tłumu, który wyniósł go na ramionach na dwór.

Sean został prawie sam na sali rozpraw, siedząc nieruchomo w pierwszym rzędzie ławek. Peter Aaronson, obrońca, którego Sean ściągnął z Pietermaritzburga, zebrał papiery do teczki, zamienił kilka żartobliwych słów z urzędnikiem sądu i podszedł do Seana.

- Werdykt uzyskany w siedem minut. Mogę to zapisać do księgi rekordów. - Kiedy się uśmiechnął, wyglądał jak miś koala. - Zapali pan cygaro, panie Courteney? - Sean potrząsnął głową, zaś Peter włożył nieproporcjonalnie duże cygaro do ust i przypalił je. - Powiem panu

prawdę, martwiłem się trochę o ten nóż. Oczekiwałem, że mogą z nim być kłopoty. Ten nóż wcale mi się nie podobał.

- Mnie też - Sean zgodził się z nim bez entuzjazmu i Peter przechylił głowę na bok, przyglądając się uważnie Seanowi bystrymi oczami.

- Natomiast bardzo mi się podobał pańscy świadkowie - zupełnie jak wytresowane pieski. Pan mówi do nich: "Głos!", a oni od razu: "Hau! Hau!" Zupełnie jak w cyrku. Ktoś ich nieźle przeszkolił.

- Nie sądzę, żebym pana rozumiał - powiedział ponuro Sean i Peter wzruszył ramionami.

- Przyślę panu rachunek, ale z góry uprzedzam, że drogo sobie policzę za usługę. Powiedzmy, pięćset gwinei?

Sean oparł się o poręcz i spojrzał na małego prawnika.

- Powiedzmy, pięćset gwinei.

- Następnym razem, jak będzie pan potrzebował obrońcy, to polecałbym młodego i zdolnego prawnika o nazwisku Rolfe. Humphrey Rolfe - powiedział Peter.

- Myśli pan, że będę potrzebował jeszcze prawnika?

- Z pańskim synem? Na pewno będzie pan potrzebował prawnika - orzekł Peter.

- A pan nie chce więcej pracować dla mnie? - Sean nachylił się do przodu z nagłym zaciekawieniem. - Nawet za pięćset gwinei od sprawy?

- Pieniądze mogę dostać wszędzie. - Peter wyjął cygaro z ust i przyjrzał się szaremu koniuszkowi. - Niech pan zapamięta to nazwisko, panie Courteney - Humphrey Rolfe. Zdolny chłopak i nie będzie zadawał niepotrzebnych pytań.

Odszedł pomiędzy ławkami niosąc w ręku ciężką teczkę, a Sean wstał i podążył za nim. Zatrzymał się na progu sądu i rozejrzał po placyku. Roześmiany Dirk stał w środku grupki ludzi z ręką Archy'ego Longworthy'ego na ramieniu. Archy mówił donośnym głosem i Sean słyszał każde słowo.

- Niech nikt z was nie myśli, że może zaczynać z Dirkiem, bo skończy z wybitymi zębami. - Archy uśmiechnął się, ukazując czarny ząb. - Mówię to, żeby wszyscy słyszeli. Dirkie jest moim przyjacielem i jestem z niego bardzo dumny.

Tylko ty jeden, pomyślał Sean. Spojrzał na syna i zobaczył, jaki jest wysoki i silnie zbudowany, z szerokimi, umięśnionymi ramionami, płaskim brzuchem i długimi nogami osadzonymi w wąskich biodrach.

Ale przecież on ma dopiero szesnaście lat. Jest jeszcze dzieckiem, może nie jest jeszcze za późno, żeby go zmienić. W tej samej chwili zorientował się, że oszukuje samego

siebie. Przypomniał sobie, co mu kiedys powiedzia przyjaciel: “Niektre winogrona ros na zej ziemi, inne gnij, zanim trafi pod pras, a inne psuj si pod okiem nieuwaznego plantatora - nie ze wszystkich winogron bdzie dobre wino.”

A ja jestem zym plantatorem, pomy.

Sean podszed do grupki ludzi.

- Idziesz ze mn do domu - powiedzia szorstko do Dirka, patrzc w jego pikn twarz i czujc, e ju nie kocha wasnego syna.wiadomoc tej zmiany wywoaa w nim mdoci.

- Gratulacje, panie pukownika. Wiedziaem, e wygramy. - Archy Longworthy promienia z radoci. Sean rzuci mu uwane spojrzenie.

- Bd w swoim biurze jutro rano o dziesitej. Chc z panem pomwi.

- Tak jest, sir! - Archy umiechn si szczegolnie radonie. Nie umiecha si jednak, kiedy nastpnego dnia wyjedza z Ladyburga z miesiczn odpraw w kieszeni.

**81.** Wśród burzy przeciwnych komentarzy rozpętanych sprawą Dirka, szansę Garricka Courteneya w nadchodzących wyborach znacznie się zwiększyły. Szowinistyczna prasa pisała w ponurym tonie o: "Nieoczekiwanym obrocie sprawy, która ukazuje rzeczywistą wartość obu kandydatów z okręgu ladyburskiego". Jedyne gazety liberałów wspomniały o wysokiej rencie, jaką Ladyburska Spółdzielnia Akacyjowa przyznała wdowie i sierocie po Normanie van Eeku.

Wszyscy jednak wiedzieli, że Sean Courteney ma olbrzymią przewagę nad bratem. Mógł liczyć na dwieście głosów pracowników fabryki i plantacji, na głosy pozostałych producentów akacji i ich robotników, jak i na co najmniej połowę głosów mieszkańców miasteczka. Tak było przynajmniej do czasu, gdy pietermaritzburski Farmer i Handlarz zamieścił na pierwszej stronie historię opowiedzianą przez Archibalda Fredericka Longworthy'ego.

Pan Longworthy opisał, jak - zaszantażowany utratą pracy i pobiciem - został zmuszony do złożenia fałszywych zeznań w sądzie. Napisał też, jak po rozprawie został odprawiony z fabryki. Na czym dokładnie polegało krzywoprzysięstwo, gazeta nie podawała.

Sean zatelegrafował do swoich prawników w Pietermaritzburgu, każąc im wszcząć postępowanie przeciwko Farmerowi i Handlarzowi, oskarżając gazetę o zniesławienie, potwarz, zdradę i co jeszcze tylko zdołają wymyślić. Następnie, nie bacząc na własne bezpieczeństwo, wsiadł do rollsa i popędził z szybkością trzydziestu mil na godzinę do Pietermaritzburga, ścigając własny telegram. Po przybyciu do miasta dowiedział się, że pan Longworthy podpisał zaprzysiężone zeznanie, przyjął wynagrodzenie w wysokości pięćdziesięciu gwinei i wyjechał w nikomu nie znanym kierunku. Prawnicy odradzili Seanowi wizytę u naczelnego redaktora Farmera i Handlarza, by uniknąć procesu o pobicie. Sprawa o zniesławienie miała stanąć przed sądem dopiero za dwa miesiące, podczas gdy do wyborów pozostało już tylko dziesięć dni.

Sean mógł jedynie zamieścić całostronicowe sprostowanie we wszystkich gazetach liberalnych i wrócić, spokojniej już, do Ladyburga. W domu czekał na niego telegram z Pretorii. Jan Paulus i Jan Niemand sugerowali, żeby w zaistniałej sytuacji Sean wycofał swoją kandydaturę. Sean natychmiast wysłał im telegraficzną odpowiedź.

Garry i Sean Courteney dotarli do dnia wyborów jak para koni w zaprzęgu.

Głosowanie odbywało się w urzędzie miejskim Ladyburga i było prowadzone w obecności dwóch wysłanników z ramienia rządu. Po zakończeniu głosowania urny miały zostać przewiezione do Pietermaritzburga, gdzie następnego dnia miano policzyć głosy i oznajmić wyniki.

Po obu stronach placu przed urzędem konkurujący ze sobą kandydaci ustawili osłonięte otwartymi namiotami stoły, przy których wydawano wzmacniające posiłki i napoje dla głosujących. Tradycyjnie kandydat, który nakarmił największą liczbę wyborców, przegrywał głosowanie. Nikt nie chciał obciążać swojego kandydata niepotrzebnymi kosztami i ludzie udawali się na poczęstunek do przeciwnika. Tego dnia obaj kandydaci wydali niemal takie same ilości jedzenia.

Dzień przyniósł ze sobą zapowiedź nadejścia pory deszczowej. Było parno i duszno, a przedzierające się od czasu do czasu przez ciężkie szare chmury promienie słońca prażyły niczym żar z otwartego pieca. Sean ubrany w garnitur i płaszcz był cały spocony i witał gości przy swoim stole ze sztuczną wesołością i camaraderie. Za to Ruth wyglądała jak delikatna róża, roztracając równie przyjemny zapach. Pomiędzy nimi stała wyjątkowo poważna Storm. Dirka nie było - Sean znalazł mu zajęcie na plantacji. Wiele złośliwych oczu zauważyło jego nieobecność, a Sean podsłuchiwał wiele nieżyczliwych uwag wypowiedzianych półgłosem.

Ronny Pye przekonał Garry'ego, żeby nie wkładał na ten dzień munduru. Obok Garry'ego stała Anna, wyjątkowo ładna w fiołkowo-różowej sukni ozdobionej sztucznymi kwiatami. Dopiero z bliska można było dostrzec brzydkie bruzdy wokół ust i oczu oraz siwe włosy prześwitujące spomiędzy czarnych loków. Ani ona, ani Garry nawet nie spojrzeli na drugą stronę placu.

Kiedy Michael przyjechał do urzędu, przywitał się z ojcem i pocałował posłusznie matkę, a następnie podszedł do Seana, żeby podjąć przerwana w nocy rozmowę. Michael chciał namówić Seana do kupna dziesięciu tysięcy akrów ziemi położonej na nadmorskich nizinach przy Tongaat i obsadzić plantację trzciną cukrową. Po kilku minutach Michael zorientował się, że nie jest to odpowiedni czas na forsowanie pomysłu; Sean odpowiadał na jego argumenty śmiechem i w końcu zaoferował mu cygaro. Nie zrażony Michael wszedł do urzędu i rozważywszy problem lojalności i uczucia zniszczył swoją kartkę. Następnie wrócił do biura w fabryce i dopracowując kalkulację zysków, jakie mogła przynieść inwestycja w trzcinę cukrową, planował następny atak na Seana.

Ada Courteney tego dnia nie wyszła z domu. Uporczywie odrzucała wszelkie argumenty przemawiające za przyłączeniem się do jednej ze stron. Zabroniła też swoim dziewczętom brać udział w przygotowaniach przedwyborczych. Wprowadziła zakaz jakichkolwiek dyskusji o polityce w swoim domu i stanowczo kazała Seanowi wyjść, kiedy ten złamał jej zakaz. Dopiero po specjalnym wstawiennictwie Ruth i przeprosinach Seana pozwoliła mu wrócić. Ada nie uznawała polityki. Uważała za niegodne i pospolite, żeby członkowie rodziny starali się o urząd publiczny, a co dopiero mówić, kiedy

współzawodniczyli o niego pomiędzy sobą. Jej nieufność i pogarda wobec świata urzędniczego datowała się od czasu, kiedy rada miejska postanowiła ustawić lampy wzdłuż ulicy Protea. Ada stawiała się na następnym zebraniu uzbrojona w parasolkę i nie dała się przekonać, że lampy uliczne wcale nie ściągają moskitów.

Ada była jedyną osobą w okręgu, która nie wzięła udziału w wyborach. Od wczesnego ranka aż do zamknięcia urn o piątej po południu podwórko przed urzędem było zatłoczone ludźmi. Kiedy zapieczętowane urny zostały odwiezione na dworzec, wielu ludzi wsiadło do pociągu i pojechało do Pietermaritzburga nadzorować liczenie głosów.

Spędziwszy cały dzień w ogromnym napięciu, wkrótce po powrocie do pokoju w hotelu White Horse, Sean i Ruth wtuleni w siebie zasnęli mocnym snem. Kiedy wczesnym rankiem potężna burza rozszalała się nad miasteczkiem, na wpół rozbudzona Ruth poczuła, jak ogarnia ją gorąca fala tak dawno nie zaspakajanego pragnienia. W tej samej chwili Seana wytrącił ze snu gwałtowny przypływ wezbranych uczuć, a kiedy dotknął rozpalonego ciała swej żony, pojął natychmiast, że ona już na niego czeka. O świcie Ruth była święcie przekonana, że urodzi syna, chociaż Sean nie był pewien, czy nie jest trochę za wcześnie na takie stwierdzenie.

Po kąpieli zjedli w łóżku śniadanie, odnosząc się do siebie z wielką czułością. Ruth ubrana w jedwabny szlafroczek, z włosami rozpuszczonymi na ramiona i skórą błyszczącą tak, jakby została natarta olejkami, była pokusą, z którą Sean nawet nie próbował walczyć. W urzędzie miejskim pojawili się bardzo późno i stronnicy Seana czekali już na niego z niecierpliwością.

Liczenie głosów było mocno zaawansowane. Urzędnicy, oddzieleni od tłumu ciekawskich, siedzieli w milczeniu przy stołach zawalonych stosami małych różowych karteczek. Na afiszu powieszonym za każdym stołem były wypisane nazwy okręgów i kandydatów, a pomiędzy stołami nieustannie krążyli skrutatorzy.

Cała sala urzędu była wypełniona tłumem kobiet i mężczyzn. Sean zauważył Garry'ego i Annę przedzierających się przez ścisk, zanim odgrodziła go od nich ściana ludzi. Przez następne dziesięć minut Sean wymieniał uściski, przyjmował życzenia zwycięstwa i serdeczne poklepywanie po plecach. W końcu rozległ się dźwięk dzwonka i zapanowała kompletna cisza.

- Wyniki wyborów do ciała ustawodawczego z okręgu Newcastle... - oznajmił wysoki głos - ...Robert Sampson: 986 głosów. Edward Sutton: 423 głosy... - Dalsza część zdania została zagłuszona przez okrzyki radości i jęki zawodu. Sampson był kandydatem Partii Południowoafrykańskiej, a Sean torował sobie drogę pomiędzy pozostałymi kandydatami z

ramienia partii.

- Dobra robota, ty stary cwaniaku - krzyknął Sean i klepnął go w plecy.

- Dzięki, Sean. Wygląda na to, że łatwo zwyciężymy. Nigdy nie oczekiwałem aż takiej przewagi! - Uścisnęli sobie mocno ręce.

Przez całe napięte przedpołudnie powtarzał się ten sam schemat oznajmiania wyników, radosnych krzyków, oklasków i jęków zawodu. W Seanie rosła nieustannie wiara w wygraną, w miarę jak jego partia zdobywała wszystkie możliwe miejsca, a nawet jedno, które byli pewni, że stracą. Wreszcie zadzwonił dzwonek i przewodniczący komisji wyborczej oznajmił tym samym bezoosobowym głosem:

- Wyniki wyborów do ciała ustawodawczego z okręgu Ladyburga i niższej Tugeli... - W tym momencie Sean poczuł pustkę w żołądku i ucisk w gardle. Czuł jak Ruth prostuje się za nim i sięgnął po jej rękę.

- Pułkownik Garrick Courteney: 638 głosów. Pułkownik Sean Courteney: 631 głosów.

Dłoń Ruth ścisnęła mu mocno rękę, ale Sean nie odpowiedział na ten pogrzipający gest. Stali oboje w milczeniu w samym środku rozszalałej burzy wiwatów i jękliwych zawodzeń, aż wreszcie Sean powiedział cicho:

- Lepiej będzie, jak wrócimy do hotelu, kochanie.

- Dobrze - odpowiedziała miękko i Sean usłyszał w jej głosie bezradną żalność. Ruszyli w stronę wyjścia, a przed nimi otworzył się szpaler ludzi, na twarzach których widać było współczucie, radość, ciekawość, obojętność, a nawet triumfującą złośliwość.

Przeszli przez zalany słońcem chodnik do stojących przy krawężniku dorożek, słysząc za plecami stłumione wrzaski, które brzmiały teraz jak odległy ryk dzikich zwierząt.

Sean wsadził Ruth do dorożki i miał wsiąść za nią, kiedy nagle coś sobie przypomniał. Podał adres woźnicy, wręczył mu pieniądze i podszedł do Ruth.

- Kochanie, poczekaj, proszę, na mnie w hotelu.

- Dokąd idziesz?

- Muszę pogratulować w naszym imieniu Garry'emu.

Garry zobaczył Seana przez tłum otaczających go ludzi i jego ciało momentalnie zeszywniało - targane sprzecznymi uczuciami nienawiści i miłości.

Sean zatrzymał się o krok przed nim i uśmiechnął się.

- Gratulacje, Garry! - powiedział, wyciągając rękę. - Pobijeś mnie na głowę i chciałbym uścisnąć twoją dłoń.

Garry przyjął śmiało te słowa i kiedy zastanowił się nad ich znaczeniem, uświadomił sobie, że są szczerze. Walczył z Seanem i pokonał go. Tego nikt mu nie odbierze - nawet Sean

nie będzie mógł tego zrobić. Pokonałem go. Po raz pierwszy - pierwszy raz w życiu pokonałem go!

Uzucie, jakie go opanowało, było tak silne, że przez chwilę Garry nie mógł się poruszyć ani nic odpowiedzieć.

- Sean... - Głos mu uwiązł w gardle. Porwał wyciągniętą ku niemu rękę i ścisnął ją z determinacją.

- Sean, może teraz... - szepnął. - Chciałbym... To znaczy, kiedy wrócimy do Ladyburga... - Zamilkł i zaczerwienił się z zakłopotania. Puścił rękę Seana i cofnął się o krok.

- Myślałem, że może odwiedziłbyś nas w Theunis Kraal - wymamrotał - któregoś dnia, gdy nie będziesz zajęty. Zobaczyłbyś dom. - Mówił dalej ożywiony nieokreślonym pragnieniem. - Minęło tyle czasu. Wciąż mam po ojcu...

- Nigdy! - syknęła Anna Courteney. Żaden z nich nie zauważył, jak przeszła przez hall i stanęła przy ramieniu Garry'ego. Jej oczy wyglądały jak roziskrzony nienawiścią diamenty osadzone w sieci zmarszczek wokół oczu, a jej twarz zupełnie pobieleła. - Nigdy! - syknęła ponownie i wzięła Garry'ego za rękę. - Idziesz ze mną - rozkazała, a Garry posłuchał jej bez sprzeciwu. Obejrzał się na Seana i w jego oczach widać było pełną desperacji prośbę. Garry prosił go o zrozumienie i wybaczenie tej słabości.



**82.** Jak ktoś, kto żyje na obszarze, gdzie szaleją huragany, i nauczył się rozpoznawać kształty chmur i ciszę poprzedzającą gwałtowny wiatr - Ruth wiedziała, że musi sobie poradzić z nie kontrolowaną wściekłością, jaką Sean zareaguje na przegraną. Jego złe nastroje pojawiały się regularnie, ale nie trwały długo. Ruth bała się ich jednak panicznie i, jak zapobiegliwy gospodarz ostrzeżony o nadciągającym huraganie, poczęła czynić odpowiednie przygotowania, żeby zmniejszyć jego złość.

Weszła do hotelu i wezwała do siebie kierownika.

- Za pół godziny chcę mieć podany obiad w pokoju, ale nic z pańskich standardowych dań z karty. To musi być coś ekstra.

Kierownik myślał przez chwilę.

- Ostrygi! Właśnie dostaliśmy beczkę ostryg z Umhlanga Rocks.

- Wspaniale. - Ruth podobała się szybka reakcja mężczyzny na wyjątkową sytuację.

- Następnie mogę podać wędzoną szynkę, dziczyznę na zimno, homary i sałatki.

- Wyśmienicie. A co z serami?

- Gruyere, niebieski holenderski, camembert.

- Wino?

- Szampan?

- Tak. - Ruth zgodziła się od razu. Postanowiła wykorzystać słabość Seana do musującego wina. - Butelkę Veuve Clicquot, nie - dodała po namyśle - niech pan poda trzy butelki.

- Najpierw podać wina?

- Niech pan je przyśle już teraz, z najlepszymi kieliszkami i w srebrnym wiaderku - rozkazała Ruth.

Następnie pobiegła do swojej garderoby. Dzięki Bogu miała francuskie perfumy, a rano założyła sukienkę z szarego jedwabiu, którą chowała specjalnie na taką okazję. Szybko uczesała włosy, poprawiła makijaż i gdy skończyła, siedziała przez chwilę przed lustrem, starając się nadać twarzy wyraz spokoju. Po krytycznej kontemplacji uznała, że efekt jest zadowalający. Sean nigdy nie potrafił się oprzeć widokowi jej rozpuszczonych włosów, gdyż taką widział ją po raz pierwszy. Spadające na ramiona loki nadawały jej wygląd dziewczynki.

- Madam, czy mam otworzyć wino?

- Tak, proszę - powiedziała i usiadła spokojnie czekając na wybuch huraganu.

Dziesięć minut później Sean wszedł do pokoju niczym lekki zefirek, z cygarem w ustach, rękami w kieszeniach i rozbawioną miną na twarzy.

- A niech to! - Na jej widok zatrzymał się w progu i wyjął cygaro z ust. - To miłe.

Fakt, że dostrzegł jej wygląd, był najlepszym świadectwem, jak bardzo myliła się w ocenie jego nastroju. Ruth wybuchnęła śmiechem.

- Z czego się śmiejesz? - spytał łagodnie.

- Z niczego i wszystkiego. Z ciebie i ze mnie. Napijesz się szampana?

- Szalona kobieta - powiedział Sean i pocałował ją. - Bardzo mi się podoba to uczesanie.

- Nie jesteś rozczarowany?

- Masz na myśli wyniki? Tak, chyba jestem. - Podeszedł do stołu i nalał wina do kryształowych kieliszków, wręczył jej jeden, a drugi wziął dla siebie.

- Wznoszę toast za krótką i podniecającą karierę polityczną Seana Courteneya.

- Tak bardzo chciałeś wygrać - a teraz...? Sean skinął głową.

- Tak, zawsze chcę wygrywać. Ale teraz, kiedy już przegrałem... - Wzruszył ramionami. - Powiedzieć ci coś? To przemawianie i ściskanie dłoni zaczynało mi już działać na nerwy. Wydaje mi się, że nawet jak śpię, to mam na ustach sztuczny uśmiech. - Podeszedł do jednego ze skórzanych foteli i usiadł w nim z ulgą. - Jest jeszcze coś. Chodź do mnie, to ci powiem.

Ruth podeszła do niego, usiadła mu na kolanach i wsunęła rękę za koszulę, aż poczuła sprężysty materac włosów na piersi i silne mięśnie.

- Powiedz mi - poprosiła i Sean opowiedział jej o Garricku. Mówił wolno, nie omijając niczego: o nodze, jak to było, kiedy byli jeszcze chłopcami, i wreszcie o Michaelu. Ruth milczała przez chwilę i Sean spostrzegł urazę w jej oczach, kiedy dowiedziała się, że Sean kochał się z inną kobietą. W końcu spytała:

- Czy Garry wie, że Michael jest twoim synem?

- Tak. Anna mu powiedziała. Powiedziała mu to tej nocy, gdy opuściłem Ladyburg - chciał mnie za to zabić.

- Dlaczego wyjechałeś?

- Nie mogłem zostać. Garry nienawidził mnie za spłodzenie syna z Anną, a Anna nienawidziła mnie, ponieważ nie chciałem z nią zostać.

- Nadal cię chciała?

- Tak. Tej nocy - w nocy, kiedy wyjechałem, Anna przyszła do mnie i poprosiła mnie... - Sean się zawahał. - Wiesz, co mam na myśli.

- Tak. - Ruth skinęła głową, nadal urażona i zazdrosna, ale Starając się go zrozumieć.

- Odmówiłem jej - więc poszła do Garry'ego i pragnąc zemsty powiedziała mu o dziecku. Mój Boże, co to za wściekła suka!

- Jeśli jednak pragnęła ciebie, to dlaczego wyszła za Garricka?

- Była w ciąży. Myślała, że zostałem zabity na wojnie z Zulusami. Wyszła za męża, żeby dziecko miało ojca.

- Rozumiem - mruknęła Ruth. - Dlaczego mi to mówisz?

- Chciałem, żebyś zrozumiała, co czuję do Garry'ego. Po tym, co zrobił ci wtedy na spotkaniu, nie oczekuję, żebyś żywiła do niego szczególną sympatię - ale wtedy starał się zranić mnie, nie ciebie. Jestem mu winny tak wiele i nigdy nie mogę dać mu zadośćuczynienia. Właśnie dlatego...

- Właśnie dlatego jesteś zadowolony, że to on wygrał wybory - skończyła za niego Ruth.

- Tak - odparł żywo Sean. - Rozumiesz, jakie to musi być dla niego ważne, nieprawdaż? Po raz pierwszy zdołał... miał możliwość... - Sean strzelił niecierpliwie palcami szukając odpowiedniego słowa.

- Mógł współzawodniczyć z tobą na równym gruncie - podpowiedziała mu Ruth.

- Właśnie! - Sean uderzył pięścią w poręcz fotela. - Kiedy poszedłem mu pogratulować, przyjął mnie z radością. Zaprosił mnie nawet do Theunis Kraal - kiedy ta wściekła baba wtrąciła się i zabrała go do domu. Mam jednak przeczucie, że wszystko będzie w porządku.

Ich rozmowę przerwało stukanie do drzwi i Ruth zeskoczyła Seanowi z kolan.

- To pewnie kelner z obiadem. - Zanim jednak zdążyła otworzyć, stukanie powtórzyło się z taką gwałtownością, że drzwi zadrżały w posadach.

- Już idę - zirytowana Ruth podniosła głos i otworzyła drzwi. Do pokoju wpadła grupa ludzi z Bobem Sampsonem na czele, krzycząc i gestykulując z podniecenia.

- Co się, do cholery, stało? - zapytał ostro Sean.

- Wygrałeś! - krzyknął Bob. - Przeliczono ponownie głosy. Wygrałeś przewagą dziesięciu głosów!

- Mój Boże - jęknął cicho Sean i dodał tak cicho, że tylko Ruth go rozumiała. - Garry. Biedny Garry!

- Otwórzcie szampana, pošlijcie po następną skrzynkę. Wszyscy wygraliśmy! - wykrzykiwał Bob Sampson. - Wypijmy za Zjednoczoną Południową Afrykę!

**83.** Nawet i tym razem. Tyle razy próbowałem i nawet tym razem mi się nie udało. - Garry Courteney był już pijany. Siedział rozwalony na fotelu ze szklaneczką w obu rękach, obracając ją w koło tak, że kilka kropel jasnobrażowego płynu wylało mu się na spodnie.

- Nie - zgodziła się z nim Anna. - Nawet ten jeden raz. - Stała obrócona do niego plecami wyglądając przez okno pokoju hotelowego na oświetloną ulicę. Nie chciała, żeby widział teraz jej twarz. Nie mogła jednak kontrolować swojego głosu, w którym słychać było szorstką, triumfującą nutę. - Teraz możesz wrócić do pisania swoich książczyn. Udowodniłeś już sobie i całemu światu, na co cię stać.

Poruszając wolno rękami zaczęła masować sobie ramiona ze zmysłową przyjemnością. Jej ciało przeszedł delikatny, podniecający dreszcz i poruszyła się niespokojnie, a jej spódnice zaszeleściły jak na wietrze. O Boże, to było tak blisko, a ona tak bardzo się bała.

- Jesteś człowiekiem, który zawsze przegrywa, Garricku Courteneyu. Zawsze nim byłeś... i zawsze będziesz.

Znowu zadrżała na wspomnienie strachu. Już prawie się jej wymknął. Spozstrzegła to w chwili, gdy ogłoszono wyniki. Czowała wtedy, jak lęk narasta z każdą minutą. Nawet głos mu się zmienił, stając się głębszy w poczuciu wiary we własne siły. Patrzył przy tym na nią tak jakoś dziwnie z czymś, co odczytała jako początek wzgardy. Następnie przyszedł bunt, kiedy rozmawiał z Seanem. Wtedy Anna już bardzo się bała.

- Jesteś przegrany - powtórzyła i usłyszała za plecami dźwięk: na w pół przełknięcie, a na w pół westchnienie. Czekwała chwilę, aż dobiegł ją odgłos alkoholu nalewanego do szklaneczki. Otoczyła się mocniej ramionami i uśmiechnęła, wspominając moment, kiedy ogłoszono wyniki po ponownym przeliczeniu głosów. Przypomniała sobie, jak nagle się skurczył i załamał, jak zwrócił się do niej bez tego, co się w nim budziło: bez pewności siebie i pogardy. Wszystko minęło! Odeszło na zawsze. Sean Courteney nigdy go nie dostanie. Złożyła sobie tę przysięgę i zostanie ona dotrzymana.

Jak już wiele razy wcześniej, w jej umyśle rozegrały się ponownie wydarzenia tamtej nocy. Nocy, kiedy złożyła przysięgę.

*Pada. Anna stoi na szerokim ganku Theunis Kraal i patrzy, jak Sean prowadzi konia przez trawnik. Wilgotna koszula przylega mu do piersi, woda zlepia brodę w strąki nadając wygląd groźnego pirata.*

*- Gdzie jest Garry? - To jej własny głos i zaraz dobiega ją odpowiedź Seana.*

*- Nie martw się. Pojechał do miasta odwiedzić Adę. Wróci na kolację.*

*Sean idzie do niej po schodach i staje obok, górując nad nią, a jego ręka na jej*

*ramieniu jest zimna od deszczu.*

*- Musisz bardziej uważać na siebie. Nie możesz tak stać na zimnie. - Wprowadza ją przez francuskie drzwi do domu. Głowa Anny sięga mu do ramion, a w jego oczach, kiedy patrzą na nią, kryje się męski strach i podziw wobec brzemiennej kobiety.*

*- Jesteś wspaniałą kobietą, Anno, i jestem pewien, że urodzisz piękne dziecko.*

*- Sean! - Przypomniała sobie, jak jego imię rwało się jej z ust niczym mimowolny okrzyk bólu. Olbrzymia fala popycha jej ciało ku niemu, przyciskając brzuch ściśle do jego brzucha i wyginając plecy, kiedy usta szukają jego ust. W dłoniach czuje elektryzujące dotknięcie włosów Seana, gdy przyciąga jego głowę ku sobie, smakując ciepłe i wilgotne usta.*

*- Oszalałaś? - Sean stara się uwolnić z jej uścisku, lecz jej ręce otaczają go w pasie, a głowa lgnie do potężnych piersi.*

*- Kocham cię. Proszę, Sean, proszę. Pozwól mi tylko przytulić się do ciebie. To wszystko. Chcę tylko przytulić się do ciebie.*

*- Puść mnie! - Czuje, jak leci ciśnięta przez niego na sofę przy kominku. - Jesteś żoną Garry'ego i wkrótce będziesz matką jego dziecka. Zatrzymaj swoje ciało dla niego. - Jego twarz zbliża się do jej oczu. - Nie chcę cię. Nie mógłbym cię dotknąć tak samo, jak nie mógłbym dotknąć mojej matki. Jesteś żoną Garry'ego. Jeśli jeszcze kiedyś spojrzysz na innego mężczyznę, to cię zabiję. Zabiję cię gołymi rękami.*

*Miłość zamiera i zmrożona jego słowami w jednej chwili zamienia się w nienawiść. Jej ostre paznokcie wpijają się w jego policzek i na brodę spływa mu krew, zanim Seanowi udaje się chwycić ją za nadgarstki. Trzymają mocno, a ona wyrzywa się i obrzuca go wyzwiskami.*

*- Ty świniu, ty zasrana, brudna świniu. Mówisz, że jestem żoną Garry'ego. Dziecko Garry'ego! No to poznaj prawdę. To, co mam w sobie, jest twoje! Twoje - nie Garry'ego!*

*Cofa się od niej na krok.*

*- Kłamiesz. To niemożliwe.*

*Zaczyna go ścigać, rzucając cichym głosem okrutne słowa.*

*- Pamiętasz, jak się żegnaliśmy, gdy szedłeś na wojnę? Pamiętasz tę noc na wozie?*

*- Zostaw mnie, zostaw mnie w spokoju. Muszę pomyśleć. Nie wiedziałem. - Ucieka. Słyszy trzask zamykanych drzwi i zostaje sama na środku pokoju, a jej gniew odpływa odsłaniając ostre skały nienawiści.*

*Biegnie do sypialni i stojąc przed lustrem składa przysięgę.*

*- Nienawidzę go. Mogę mu zabrać tylko jedno. Od tej chwili Garry należy tylko do mnie. Do mnie, nie do niego. Zabiorę mu go.*

*Wyszarpuje spinki z włosów, które rozsypują się po plecach. Jej palce plączą sprawnie czarne loki. Zagryza mocno wargi i czuje na ustach słodki smak krwi.*

*- Och Boże, nienawidzę go! - szepce z bólu. Rozrywa przód sukienki, przyglądając się w lustrze dużym, różowym sutkom, które ściemniały już od rodzącego się w niej życia.*

*- Nienawidzę go. - Zrzuca podarte majtki, jednym ruchem ręki zsuwa ze stolika pudelka z pudrem i słoiczki z kremami tak, że rozbijają się na podłodze wypełniając sypialnię silnym zapachem perfum.*

*Kładzie się na łóżku w ciemnym pokoju, czekając na Garry'ego.*

Odwróciła się od okna i spojrzała triumfującym wzrokiem na Garry'ego wiedząc, że nigdy już jej nie umknie.

Dotrzymałam przysięgi, pomyślała i podeszła do krzesła.

- Biedny Garry. - Zmusiła się, żeby wypowiedzieć te słowa współczującym głosem. Odgarnęła mu włosy z czoła. Garry spojrzał na nią zdziwiony i spragniony czułości. - Biedny Garry. Jutro wracamy do Theunis Kraal.

Podsunęła mu bliżej butelkę. Pocałowała go w policzek i wróciła do sypialni - uśmiechając się i czując się znowu bezpieczna przy jego słabości.

**84.** Cztery miesiące minęły bardzo szybko. Sean, zajęty obowiązkami swojego urzędu, stertami korespondencji, spotkaniami i zebraniem, petentami i intrygantami - nie stawiał większego oporu wobec planów Michaela założenia plantacji trzciny cukrowej. Michael pojechał na wybrzeże, kupił ziemię i zajął się starszą córką byłego właściciela farmy. Młoda dama cieszyła się wątpliwą sławą jednej z niewielu rozwódek w Natalu. Kiedy do Seana dotarły wieści

o skandalu, poczuł cichą satysfakcję, że Michael przestał być w końcu niewinny. Wsiadł jednak do rollsa i szybko pojechał mu na ratunek. Do Ladyburga wrócił przywożąc ze sobą skruszonego Michaela. Dwa tygodnie później młoda dama poślubiła wędrującego sprzedawcę i przeniosła się z Tongaatu do Durbanu. Michael zaś otrzymał zgodę na powrót na plantację trzciny cukrowej.

Ruth nie towarzyszyła już Seanowi we wszystkich wyprawach poza Ladyburg. Jej szybko poszerzająca się talia i nieprzyjemne sensacje, jakie czuła rankami, zatrzymywały ją w Lion Kop, gdzie wraz z Adą spędzały większość czasu na szyciu ubranek dla dziecka. Storm często zgłaszała się z pomocą. Poranne ubranko, którego uszycie zajęło jej trzy miesiące, powinno leżeć na dziecku jak ulał pod warunkiem, że niemowlak będzie garbaty i z jedną ręką dwa razy dłuższą od drugiej.

Dirk zatrudniony od rana do nocy jako zarządca Mahobo Kloof nie miał czasu na żadne rozrywki. Cały Ladyburg był pokryty siecią szpiegów Seana i z każdej z wizyt Dirka w miasteczku Sean otrzymywał dokładne sprawozdanie.

Na końcu miasteczka, zaniedbany i wynędzniały z braku miłości, stał ponury, olbrzymi dom Theunis Kraal. W nocy bladożółte światło lampy stojącej na biurku Garricka Courteneya rozświetlało okno jego gabinetu. Przed Garrickiem leżała cienka kupka papierów. Godzina za godziną patrzył na swoją pisaninę, w końcu jej nie dostrzegając. Garry czuł się zupełnie wyschnięty w środku, pozbawiony chęci do życia, którą potrafił jeszcze znaleźć jedynie w stojącej zawsze obok jego ręki butelce.

Mijały dni, zamieniając się w tygodnie, które szybko stawały się miesiącami, a Garry dryfował razem z nimi.

Każdego wieczoru szedł do wybiegów dla koni i opierając się o ogrodzenie przyglądał się swoim wierzchowcom. Potrafił tak stać nieruchomo całymi godzinami. Wydawało mu się wówczas, jakby wraz z upływem czasu opuszczał własne ciało, żeby odżyć pod błyszczącą sierścią koni, posługując się ich kopytami, aby wrywać w pędzie kępki trawy, ich głosami, żeby rzeć radośnie, ich ciałami, gdy napinały mięśnie dziko się parząc.

Pewnego popołudnia Ronny Pye znalazł go stojącego przy ogrodzeniu. Podeszedł cicho

do Garricka i stał za nim przypatrując się z uwagą intensywnej bladości jego twarzy, na której rysowały się linie bólu, niewiary w siebie i nieopanowanego pragnienia, które zagnieździło się w zaciśniętych ustach i pod bladoniebieskimi oczami.

- Cześć, Garry - przywitał go cicho, ale rozpoznawszy współczucie brzmiące we własnym głosie odsunął je od siebie stanowczo. W interesach nie ma miejsca na litość i Ronny nie wahał się więcej.

- Ronny. - Garry obrócił się do niego niepewnie i w jego uśmiechu można było wyczuć zawstydzienie. - Przychodzisz w interesach czy po sąsiedzku?

- W interesach, Garry.

- Dług?

- Tak.

- Co proponujesz?

- Może byśmy pojechali do miasta? Moglibyśmy przejrzeć wszystko w moim biurze.

- Teraz?

- Tak.

- Dobrze. - Garry wyprostował się wolno. - Oczywiście pojedę z tobą.

Pojechali razem przez skarpe, a potem w dół ku betonowemu mostowi na Baboon Stroom. Obaj milczeli: Garry się nie odzywał, gdyż był pusty w środku i nie miał o czym mówić, a Ronny Pye czuł wstyd z powodu tego, co zamierzał właśnie zrobić. Miał zamiar zabrać temu człowiekowi dom i wyrzucić go samotnego w świat, w którym nie miał szansy przeżyć.

Zatrzymali się na moście, żeby dać odpocząć koniom i siedzieli obok siebie w milczeniu jak obcy sobie ludzie. Jeden z nich osowiały, wychudzony i słaby, w pomiętym ubraniu, z twarzą zmarszczoną od długiego cierpienia, drugi zaś pulchny, z rumianym obliczem, ubrany bogato i wiercący się niespokojnie w siodle.

Za rzeką nie było widać wielu oznak życia; jedynie wąska smuga dymu unosiła się z komina fabryki wysoko w górę, w nieruchome od upału powietrze, murzyński chłopiec zaganiał bydło do wodopoju, a od strony dworca dochodziły odgłosy hamującego pociągu. Poza tym, Ladyburg wydawał się opustoszały w parne i gorące letnie popołudnie.

Ronny spostrzegł gwałtowny ruch na trawiastej równinie przed skarpe i z ulgą skoncentrował wzrok na poruszającym się obiekcie.

Był to galopujący jeździec i Ronny rozpoznał go nawet z tej odległości.

- To Dirk - mruknął, na co Garry podniósł się w siodle i spojrzął za rzekę. Koń i jeździec zdawali się zlać w jedną całość, dotykając w pędzie ziemi tak lekko, że wyglądało to



tak, jakby jedynie smuga kurzu łączyła ich z podłożem.

- Mój Boże, ale ten mały drań potrafi jeździć. - Ronny potrząsnął głową z niechętnym podziwem i z włosów na policzek spłynęła mu kropla potu. Koń dosięgnął drogi i zakręcił zwinnie, wyciągając się w jeszcze szybszym galopie. Zakręt był wykonany z taką gracją i siłą, że przyglądający mu się mężczyźni poruszyli się w siodłach.

- Spójrz na niego! - Ronny aż gwizdnął. - Nie sędzę, żeby jakikolwiek koń w Natalu potrafił go dognać.

- Tak myślisz? - Głos Garry'ego nagle się ożywił, a jego usta zacisnęły się ze złości.

- Jestem tego absolutnie pewien.

- Mój by potrafił. Mój rumak - Grey Weather. Wystawiłbym go do zawodów przeciwko każdemu z koni Seana.

Te słowa podsunęły Ronny'emu pomysł. Rozważał go przez chwilę, przyglądając się zmrużonymi oczami Dirkowi Courteneyowi, który gnał na Sun Dancer w stronę fabryki. Kiedy koń z jeźdźcem zniknęli za wysoką bramą, Ronny spytał cicho:

- Postawiłbyś na niego pieniądze?

- Postawiłbym na niego własne życie. - W głosie Garry'ego słychać było teraz dziką pewność siebie.

Tak, pomyślał Ronny, w ten sposób dam mu przynajmniej szansę. W ten sposób to los zdecyduje o wszystkim i nikt nie będzie mógł mnie winić.

- Czy postawiłbyś także na niego Theunis Kraal? - zapytał i zapanowała nagle cisza.

- Co masz na myśli? - szepnął Garry.

- Jeśli wygrasz, dług zostanie cofnięty.

- A jeśli przegram?

- Stracisz farmę.

- Nie - jęknął Garry. - Jezu, nie! To za dużo. Ronny wzruszył obojętnie ramionami.

- To tylko taki pomysł. Pewnie masz rację. Nie miałbyś zbyt wielkich szans przeciw Seanowi.

Garry gwałtownie wciągnął powietrze do płuc, wyzwanie ugodziło go głęboko niczym włócznia. To byłoby uczciwe współzawodnictwo pomiędzy nim a Seanem; jeśli je odrzuci, przyzna się, że nigdy już nie wygra.

- Przyjmuję zakład.

- Cały zakład? Stawiasz to, co ci zostało z Theunis Kraal, przeciwko moim pieniądzom?

- Tak, niech cię diabli. Tak. Pokażę ci, czy nie mam szansy z Seanem.

- Lepiej spiszmy umowę - zasugerował delikatnie Ronny. - Następnie ustalę warunki z Seanem. - Dotknął wierzchowca ostrogami i obaj przejechali most. - Przy okazji, lepiej będzie, jeśli nikt się nie dowie o naszych warunkach. Udawajmy, że to zakład czysto honorowy.

Garry skinął zgodnie głową. Jednak tej nocy napisał list do Michaela, w którym wyjawiał mu prawdę i poprosił go, żeby pojechał w wyścigu na Grey Weatherze.

Dwa dni przed wyścigami Michael zdradził sekret babci. Ada natychmiast udała się do Theunis Kraal, żeby odwieść Garry'ego od tego pomysłu, ale bez powodzenia. Garry był fanatyczny w swojej determinacji. Stawka przestała mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie - liczyła się jedynie szansa zwycięstwa.

Miał Grey Weathera i Michaela, który pojedzie dla niego. Tym razem musi wygrać. Tym razem wygra!

**85.** Sean, z Dirkiem u boku, szedł w ciemnościach przez trawnik ku stajniom. Chmury, które zebrały się nad skarpą, były zaróżowione od słońca, a wiatr porywami szarpał plantację, potrząsając i zginając drzewa akacjowe.

- Północny wiatr - mruknął Sean. - Będzie padało przed wieczorem.

- Sun Dancer uwielbia deszcz - odpowiedział mu napiętym głosem Dirk i Sean spojrzął na niego uważnie.

- Dirk - jeśli dziś przegrasz... - zaczął, ale Dirk nie dał mu dokończyć.

- Nie przegram - i zaraz powtórzył to jak przysięgę: - Nie przegram!

- Gdybyś tylko wykazywał tyle zapału do innych, ważniejszych rzeczy...

- Ważniejszych! Tato, to jest ważne. To będzie najważniejsza rzecz, jaką zrobię w życiu. - Dirk zatrzymał się i zwrócił do ojca, łapiąc go za rękaw i trzymając mocno. - Tato, robię to dla ciebie... dla ciebie, tato!

Sean spojrzął na niego i to, co dojrzał w jego pięknej twarzy, zmusiło go do powstrzymania się przed odpowiedzią. W którym miejscu popełniłem błąd, zastanawiał się z miłością przeplatającą się z nienawiścią. Po kim masz tę krew i dlaczego jesteś taki, jaki jesteś, spytał sam siebie odczuwając jednocześnie dumę i pogardę.

- Dziękuję - powiedział sucho, wyzwolił rękę i ruszył ku stajniom.

Zajęty Dirkiem Sean wszedł na podwórko przed stajniami, zanim zauważył Mbejane.

- Nkosi. Witaj. - Mbejane podniósł się uroczyście z ręcznie rzeźbionego stołka, na którym siedział.

- Witaj! - zawołał radośnie Sean i zaraz się opanował. Okazywanie uczuć przed młodszymi osobami musiało zawstydzić Mbejane. - Dobrze się czujesz? - zapytał poważnie i powstrzymał się przed poklepaniem wypiętego z dumą brzucha przypominając sobie, że Mbejane przybierał na wadze, aby oznajmić światu o swojej zamożności.

- Tak, dobrze - zapewnił go Mbejane.

- Sprawileś mi przyjemność swoją obecnością.

- Nkosi, w tak ważny dzień powinniśmy być razem, jak to zawsze bywało. - Mbejane uśmiechnął się po raz pierwszy i po chwili uśmiech zmienił się w figlarny grymas, na który Sean odpowiedział taką samą miną. Powinien wiedzieć, że Mbejane nigdy by nie opuścił walki, polowania czy zawodów.

Mbejane podszedł do Dirka.

- Zaszczyc nas zwycięstwem - polecił mu tonem, jakby mówił do jednego ze swoich synów. - Twój ojciec i ja będziemy patrzyli na ciebie. - Położył wielką czarną dłoń na ramieniu Dirka, jakby chciał go pobłogosławić, a następnie obrócił się i skinął na chłopców

stajennych.

- Przyprowadźcie konia!

Dwóch chłopców pobiegło wyprowadzić klacz. Po chwili usłyszeli stukot kopyt, gdy Sun Dancer zatańczyła na wyłożonym kamieniami podwórku. Wyszła z podniesioną głową, nastawiając uszy, a kiedy zobaczyła Dirka, zmarszczyła miękkie nozdrza i cicho zarżała.

- Hej, mała! - Dirk podszedł do niej. Klacz widząc, jak idzie w jej stronę, wywróciła oczy, aż ukazały się białka i położyła po sobie małe uszy.

- Uspokój się - rozkazał Dirk. Klacz obnażyła żółte zęby i sięgnęła ku niemu wysuwając giętką szyję. Dirk podsunął dłoń, a ona wzięła jego palce pomiędzy długie zęby i zaczęła je delikatnie ścisnąć. Zakończyła czułości parsknięciem, polizaniem mu uszu i wtuleniem głowy w jego piersi.

- Gdzie jest koc? Czy już jadła? Włóżcie siodło i wędzidło do samochodu. - Dirk wydawał szybko polecenia, głaszcząc jednocześnie pysk konia tak delikatnie, jakby to była ukochana osoba.

Tyle sprzeczności w jednej osobie. Sean przyglądał się synowi ze smutkiem równie ciężkim, jak wstający świt. W którym miejscu się pomyliłem?

- Nkosi, pójde z koniem. - Mbejane wyczuł jego nastrój i chciał jak najszybciej go zmienić.

- Mężczyzna z twoją pozycją powinien jechać ze mną samochodem - zawyrokował Sean i ze złośliwą przyjemnością zauważył, jak Mbejane rzuca niespokojne spojrzenie na rollsa zaparkowanego po drugiej stronie podwórka. Ma oczy potwora, pomyślał Mbejane i szybko odwrócił wzrok.

- Poprowadzę konia i będę uważał, żeby nic mu się nie stało - oznajmił.

- Jak sobie życzysz - zgodził się Sean. Mała procesja wyruszyła wreszcie ku Ladyburgowi. Na przodzie szło dwóch chłopców stajennych prowadząc Sun Dancer z zarzuconym na grzbiet czerwonym kocem, a z tyłu kroczył godnie Mbejane z synami niosącymi jego stołek i włócznie.

Dwie godziny później Sean wjechał rollsem na pole za klatkami targowymi dla bydła. Patrząc prosto przed siebie, z rękami zaciśniętymi kurczowo na kierownicy, nie słyszał witających go okrzyków i nie widział zebranych tłumów, dopóki rolls nie zarył przodem w gęstej kępie trawy, zatrzymał się i Sean mógł puścić kierownicę. Odetchnął głęboko, mięśnie twarzy rozluźniły się i jego oblicze rozjaśnił niepewny uśmiech triumfu.

- Udało się! - powiedział to na głos, jakby jeszcze nie był pewien.

- Bardzo dobrze się spisałeś, kochanie. - Głos Ruth był nieco ochrypliwy, gdy puściła z wyraźną ulgą Storm.

- Powinieneś być pozwolić mi poprowadzić, tato. - Dirk siedział rozparty na tylnym siedzeniu. Sean odwrócił się do niego z wściekłą miną, ale Dirk był szybszy. Otworzył drzwi i zniknął w tłumie zebranych przy samochodzie ludzi, zanim Sean znalazł odpowiednie słowa.

- Witaj, Sean. Miło cię widzieć. - Denis Peterson otworzył mu drzwi i Sean szybko zmienił minę na bardziej przyjazną.

- Cześć, Denis. Przyszło wielu ludzi.

- Są wszyscy mieszkańcy z okolicy - zapewnił go Denis. Uścisnęli sobie dłonie i rozejrzeli się z satysfakcją po polu. Przy płocie stało co najmniej pięćdziesiąt powozów, jeden z wagonów został przerobiony na otwarty bar z dzbankami kawy i tacami ciastek. Przy bramie tłoczyli się ludzie, a mali chłopcy ubrani w już wybrudzone świąteczne ubranka ścigali się z krzykiem pomiędzy tłumem dorosłych.

- Kto jest odpowiedzialny za dekoracje? - spytał Sean, przyglądając się flagom powiewającym na palach oznaczających koniec toru i zwisających ze sznurów odgradzających jego początek.

- Rada miejska. Mieliliśmy głosowanie na ten temat w zeszłym tygodniu.

- Bardzo ładnie to urządziliście. - Sean patrzył na ogrodzenie, za którym stały konie. Wzdłuż niego cisnął się zbity tłum ludzi, ale Sean dojrzał Dirka, który przeskoczył płot i wśród wesołych krzyków gapiów stanął przy Sun Dancer.

- Przystojny chłopak. - Denis także patrzył na Dirka, ale w jego głosie było słychać nie wypowiedzianą myśl: Cieszę się, że to nie mój syn.

- Dziękuję.

Denis wyczuł rezerwę w jego głosie i uśmiechnął się ironicznie.

- Lepiej chodźmy porozmawiać z sędziami. Garry już czeka. - Denis wskazał głową na powóz stojący przy końcu liny i Sean mimo że cały czas czuł jego obecność, dopiero teraz spojrzał w tym kierunku.

Obok Pye'a, Erasmusa i ojca stał Michael. Patrzył w ich stronę. Wysoki i szczupły, w długich, czarnych butach do konnej jazdy, w rozpiętej białej koszuli, pod którą rysowały się szerokie ramiona, Michael opierał się o wysokie koło. Ada i Anna siedziały na tylnym siedzeniu i Sean poczuł złość, że Ada jest z nimi.

- Mamo - przywitał ją bez uśmiechu.

- Witaj, Sean. - Nie potrafił pojąć tonu jej głosu i wyrazu twarzy. Czy żałowała go,

czy też odtrącała? Przez długą minutę patrzyli sobie w oczy i wreszcie Sean spuścił wzrok już nie z gniewem, ale z poczuciem winy. Nie rozumiał tego uczucia, lecz pełne wyrzutu spojrzenie Ady obudziło jego sumienie.

- Anno - przywitał ją i w odpowiedzi otrzymał sztywne skinienie głową.

- Garry. - Sean starał się uśmiechnąć. Zrobił ruch, jakby chciał podać mu rękę, ale wiedział dobrze, że gest nie zostanie przyjęty, gdyż Garry miał ten sam oskarżycielski wzrok, co Ada. Obrócił się z ulgą do Michaela.

- Cześć, Mike. Zdajesz sobie sprawę, że dostaniesz dziś wciry?

- Udowodnię ci, że będziesz musiał odszczekać te słowa! - Roześmieli się swobodnie, z tak oczywistą radością, że Anna poruszyła się niespokojnie na siedzeniu i odezwała się szorstko.

- Ronny, czy nie moglibyśmy już zaczynać?

- Tak. - Ronny Pye zgodził się z nią ochoczo. - No więc, gdzie jest Dirk? Lepiej go poszukajmy.

Zostawili panie i przeszli przez tłum do ogrodzenia z końmi, gdzie Dirk żartował właśnie z dwoma pannami, w których Sean rozpoznał córki jednego z kierowników fabryki. Dziewczęta spoglądały na Dirka z tak bezwstydnym uwielbieniem, że Sean poczuł ukłucie dumy. Dirk zostawił dziewczęta i podszedł do nich.

- Wszystko gotowe, tato.

- Właśnie widzę - mruknął burkliwie Sean i poczekał, aż Dirk przywita się z pozostałymi mężczyznami. Dirk zignorował wszystkich i zwrócił się do Ronny'ego Pye'a.

- No to słuchamy.

- W porządku. Wyścig pomiędzy rumakiem Grey Weather Garry'ego Courteneya a klaczą Sun Dancer Seana Courteneya. Jest to wyścig honorowy bez żadnych zakładów ze strony właścicieli. Czy wszyscy się zgadzają?

- Tak - odpowiedział Sean.

Garry otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz zaraz je zacisnął i skinął głową. Czuł, że się lekko poci. Rozłożył chusteczkę i wytarł czoło.

- Długość toru wynosi pięć mil wokół czterech znaków granicznych. Pierwszy znak to pale wzniesione na tym polu, drugi to północno-wschodni koniec farmy Theunis Kraal. - Ronny wskazał na szczyt skarpy nad nimi, której zbocze, poznaczone ciemnymi plamami drzew, złożyło się w porannym słońcu. - Trzeci punkt to studnia numer trzy na farmie Mahobo Kloof, która jest zasłonięta przez drzewa i nie możemy jej stąd widzieć. - Ręka Ronny'ego zakreśliła długi łuk wzdłuż zbocza skarpy i zatrzymała się, wskazując na kępę drzew

gumowych. - Oczywiście obaj znacie ten punkt? - upewnił się.

- Jasne - odparł Dirk, a Michael skinął głową.

- Czwarty i ostatni punkt to punkt mety, który jest jednocześnie punktem startowym. - Wskazał kciukiem na dwa słupy obwieszane kolorowymi flagami.

- Na granicy Theunis Kraal i przy studni zostali ustawieni zarządzający, którzy upewnią się, że minęliście te znaki. Sędziami są panowie: Peterson, Erasmus i ja. Wszystkie kwestie związane z wyścigiem i interpretacją zasad będą rozstrzygane tylko przez nas... - Ronny mówił dalej, ale Sean skoncentrował się na uczuciu podniecenia, jakie go z wolna ogarniało, podnosząc się od żołądka i obejmując resztę ciała. Wszyscy doświadczali teraz tego uczucia i dawało się je wyczuć nawet w głosie Ronny'ego. Sean nie rozumiał lisiego wyrazu twarzy bankiera, który mówił, że Ronny Pye może zyskać o wiele więcej, niż którykolwiek z nich. Garrick, który aż nazbyt dobrze rozumiał nastrój Pye'a, hipnotycznie wpatrywał się w jego usta.

- A więc wszystko ustalone - skończył Ronny i zwrócił się do jeźdźców. - Wsiadajcie na konie i podjedźcie do startu.

Sędziowie odeszli zostawiając czterech Courteneyów stojących obok siebie.

- Sean... - pierwszy odezwał się Garry. Oczy naszły mu krwią. - Sądzę, że powinieneś wiedzieć... - nie dokończył.

- O czym? - spytał gwałtownie Sean i ton jego głosu spowodował, że Garry się wyprostował. W jego oczach zaszła nagle zmiana i Sean zobaczył coś nieoczekiwanego: dumę.

- Nieważne. - Garry odwrócił się i podszedł do konia zdecydowanym krokiem i z wyprostowanymi ramionami.

- Powodzenia, Mike. - Sean klepnął go w ramię.

- Dla ciebie też. - Michael ruszył za Garrym, zatrzymał się i odwrócił do Seana. - Cokolwiek by ludzie mówili, wiem, że nie zaplanowałeś tego. - Odwrócił się i odszedł.

- O co mu, do diabła, chodzi? - zastanowił się na głos Sean, ale Dirk przerwał jego rozmyślenia.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał domagającym się odpowiedzi tonem.

- Co? - Sean spojrzał na niego nic nie rozumiejąc.

- Życzyłeś mi szczęścia. Dlaczego to zrobiłeś? Ja jadę dla ciebie - nie on. Ja jestem twoim synem - nie on!

Dwaj jeźdźcy podjechali do linii startowej wśród szmeru podniecenia, jaki przebiegł

przez tłum.

Sean szedł obok Sun Dancer, a Dirk pochylał się w siodle, żeby wysłuchać jego uwag.

- Do moczarów jedź spokojnie. Nie zamęcz jej, bo będzie potrzebowała wszystkich sił na błotnistym terenie. Michael może cię wyprzedzić na tym odcinku, jego koń jest silny w nogach, ale trochę ciężki. Jedź za nim i pozwól mu ubić drogę przed tobą. Jak wyjedziecie z moczarów, możesz łatwo go dogonić i minąć na zboczu, tam wyciśnij z niej, co się tylko da. Musisz wjechać pierwszy na szczyt i prowadzić przy studni.

- W porządku, tato.

- Dobra, kiedy będziecie jechali w dół, trzymaj się z dala od plantacji van Essena - w ten sposób przetniesz brzeg bagna. Jeśli się nie mylę, to Michael wybierze drogę przez sam środek plantacji, ale ty musisz wybrać dłuższą trasę. Wykorzystaj szybkość Sun Dancer przeciwko sile Grey Weathera.

Doszli do startu i tłum ludzi rozsywał się zajmując miejsca przy linii. Przed jeźdźcami rozciągał się szpaler ludzi, a za nimi trzęsawiska pokryte zwodniczo gęstymi papirusami, które zasłaniały błotniste dziury. Dalej wznosiła się stroma skarpa. Był to długi i trudny bieg.

- Czy jesteście gotowi?! - zawołał Ronny Pye ze swojego stanowiska przy starcie. - Sean, zejdź z pola.

Sean położył rękę na kolanie Dirka.

- Pokaż, co potrafisz, chłopcze. - Zanurkował pod liną i wszedł w tłum ludzi.

Sun Dancer opanowała nerwowa gorączka wyścigów; wspinała się na tylne nogi i odrzucała do tyłu głowę, aż grzywa błyszczała w słońcu złotem. Na jej grzbiecie lśniły ciemne plamy potu. Michael zatoczył koło na Grey Weatherze, utrzymując go cały czas w ruchu i nachylając się do przodu, żeby poklepać konia delikatnie po szyi, tak że podniósł do góry uszy, nasłuchując głosu pana.

- Cisza, uprasza się wszystkich o ciszę! - Denis użył megafonu i wesołe okrzyki przycichły do pełnych oczekiwania szeptów.

- Od tej chwili jesteście pod rozkazami startera! - krzyknął do jeźdźców. - Obróćcie się i podjedźcie do linii.

Zawrócili konie i podjechali razem. Dirk dotknął Sun Dancer ostrogą i klacz skoczyła do tyłu, uderzając Michaela w nogę.

- Trzymaj to swoje cholerne bydło! - Dirk warknął na Michaela. - Nie pchaj się na mnie!

- Denerwujesz się, Dirk? - Michael spokojnie odsunął konia.

- Niech cię diabli! Pokażę ci, kto się denerwuje. - Sun Dancer poderwała głowę, gdy



Dirk szarpnął mocno za wodze.

- Zatoczcie koło. - Głos Denisa był zniekształcony przez megafon.

Ruszyli razem ku linii, która była oddalona o dwadzieścia jardów. Na błyszczącej sierści koni grały wesoło promienie słoneczne. Jasne złoto i ciemna czerwień. Tłum westchnął lekko, jak szum wiatru w trawie.

Dziesięć kroków i Sun Dancer zaczęła wysuwać się do przodu, wydłużając krok.

- Trzymaj się linii. Nie wyprzedzaj - ostrzegł go Denis i Dirk ostro przyhamował konia. Krawędzie jego nozdrzy były białe z napięcia.

Michael jechał obok niego z nisko opuszczonymi rękami. Potężny, kasztanowaty rumak podnosił wysoko nogi jak podniecone zwierzę, z trudem trzymane w karbach.

Przyśpieszyli na ostatnich jardach, jeźdźcy pochylili się w siodłach i już byli przy słupkach.

- Start! - wrzasnął Denis. - Start! - ryknęły za nim setki głosów. Nadal jadąc w jednej linii, dotrzymując sobie kroku przeszli do lekkiego, zamasyzowanego cwału. Dirk i Michael podnieśli się nieco w strzemionach, powstrzymując konie przed szaleńczym galopem. Pół mili przed nimi rozciągały się bagna, a potem pięć mil górzystego, skalistego terenu i zarośnięty krzakami parów. Jechali zebrany galopem pomiędzy liniami krzyjących ludzi i po chwili wypadli na otwarty teren.

Tłum rozsypał się, zajmując jak najkorzystniejsze pozycje i Sean pobiegł za nimi, wyjmując w biegu lornetkę i śmiejąc się z podniecenia w ogólnym zamieszaniu.

Ruth czekała na niego przy samochodzie. Sean złapał ją wpół i postawił na masce.

- Sean, podrapiesz lakier - zaprotestowała, podtrzymując kapelusz i chybocząc się na nierównej masce rollsa.

- Do diabła z lakierem - roześmiał się i wspiął na samochód. Ruth przytrzymała się go dla bezpieczeństwa. - Tam są!

Daleko na polu oba konie zbliżały się szybko do jasnozielonych trzęsawisk. Sean podniósł lornetkę do oczu, nastawił ostrość i nagle zobaczył wszystko z tak bliska, iż miał wrażenie, że zaraz usłyszy stukot kopyt. Grey Weather prowadził i przy każdym kroku czuło się siłę jego potężnych nóg, pochłaniających grunt. Sun Dancer szła za nim z szyją wygiętą w hak w zebranych wodzach. Dirk trzymał się na koniu prosto, przyciskając ramiona do boków i powstrzymując konia.

- Ten mały drań posłuchał mojej rady - mruknął Sean. - Byłem pewien, że zaczniesz okładać ją batem.

Z tej odległości Sean mógł wyczuć niemal namacalną determinację zwycięstwa, jaka

kryła się w zgiętych ramionach Dirka. Nie mógł jednak dostrzec ostrych linii nienawiści, jakie zniekształcały jego twarz, gdy patrzył na plecy jadącego przed nim Michaela.

Kiedy osiągnęli bagna, stukot kopyt zmienił tonację, nie dźwięcząc już na twardym gruncie, lecz brzmiąc bardziej głucho i miękko. Spod kopyt Grey Weathera zaczęły wylatywać płaty błota i jeden z nich trafił Dirka w piersi, rozbijając się na białej koszuli. Sun Dancer poczuła miękki grunt pod nogami i zmieniła krok.

- Spokojnie, mała. Trzymaj się - szepnął Dirk, ściskając ją stanowczo kolanami, żeby dodać jej pewności siebie. O nogi Dirka zaczęła się ocierać wysoka trawa, a Grey Weather wpadł w pierwsze trzęsawisko, przebrnął przez nie i wjechał we właściwe bagno. Konia i jeźdźca pochłonęły wysokie papirusy.

- Stary miał rację. - Dirk uśmiechnął się pierwszy raz. Michael musiał się przebijać przez trzciny i zostawiał za sobą ścieżkę, którą Dirk mógł podążać z o wiele mniejszym wysiłkiem. Dwa razy Grey Weather zarył się po brzuch w czarnym mule, wrywając się z trudem z błotnistej mazi, zaś ostrzeżony Dirk przejechał bokiem.

Oba wierzchowce były umazane błotem, a jeźdźcy ociekali od pasa w dół brudną wodą. Bagno śmierdziało jak brudne klatki ze zwierzętami i przy każdym ich kroku wypuszczało ze swoich wnętrzości bąble gazu. Nad głowami jeźdźców unosiły się chmary insektów, a z zarośli papirusów wzbijał się z krzykiem ptak. Jeden z ostrych liści uderzył Michaela w twarz i po policzku ściekło mu kilka kropel krwi zmywając brud i skapując na koszulę.

Nagle tętent kopyt zmienił ton, gdy wypadli na twardey grunt. Ściana papirusów przerzedziła się i Grey Weather dopadł pierwszy stoku skarpy. Koń biegł ociężale, dysząc ciężko przy każdym kroku, podczas gdy Sun Dancer szybko zbliżała się do niego.

- Już po tobie! - krzyknął Dirk, gdy zrównał się z Michaeliem. - Poczekam na ciebie na mecie. - Pochylił się w siodle i popędził klacz kłując ją ostrogami i smagając pejczem.

Michael zaś nie poganiał konia, skręcił lekko w prawo i pozwolił mu wybrać sobie drogę, rozpoczynając pierwszy z zygzaków, które miały doprowadzić go na szczyt.

Na stromym zboczu Dirk nieustannie posługiwał się pejczem i Sun Dancer wdrapywała się skokami na skarpe, a spod jej kopyt sypały się oderwane kamienie. Piana zmyła kurz z jej grzbietu i przy każdym skoku klacz lądowała na coraz mniej pewnych nogach.

- Rusz tyłek. Jazda! - krzyknął na nią Dirk i spojrzał z przerażeniem na Michaela, który pewnie wspinał się na zbocze. Był tylko dwieście jardów za nim i wydawało się, że nic nie może go powstrzymać. Ruch Dirka wytrącił z rytmu krok klaczy i Sun Dancer

wylądowała na ziemi, na próżno szukając kopytami pewnego oparcia i zsuwając się w dół. Dirk wyrzucił nogi ze strzemion i zeskoczył na ziemię trzymając wodze w rękach. Zapierając się co sił pochylił się do tyłu i próbował poderwać klacz do góry. ale ona upadła już na kolana i pociągnęła go na płaski kawałek gruntu poniżej.

Podnieśli się szybko z ziemi, lecz kiedy Dirk poderwał ją na nogi, klacz dygotała cała z przerażenia, a jej drżące, zabłocone nogi były oblepione trawą i ziemią.

- Niech cię diabli! Niech cię diabli, ty leniwa dziwko! - szepnął Dirk obmacując rękami jej ścięgna i sprawdzając, czy są całe. Obejrzał się na Michaela, który był znacznie bliżej.

- O Boże! - jęknął, porwał wodze i zaczął wbiegać na wzgórze ciągnąc Sun Dancer za sobą. Dirk dotarł na szczyt zlany potem, który przemoczył mu dokładnie koszulę. Zapiekle ślina utworzyła na ustach pianę i chłopak dyszał ciężko, ale był pierwszy, a Sun Dancer przestała dygotać. Wypoczęła na tyle, że zaczęła brykać, gdy Dirk wsiadł na nią.

- Dirkie, tędy! - Dwóch nadzorujących stało na stosie kamieni znaczącym granicę Theunis Kraal i machało szaleńczo ramionami, dopingując jeźdźca. Dirk dźgnął klacz ostrogami i runął galopem wzdłuż krawędzi zbocza, mijając ich i skręcając ku kępie drzew zaczynającej się trzy mile przed nim.

- Łap go, Mike. Jedź, człowieku, szybciej! - Słabe okrzyki za plecami Dirka świadczyły, że Michael dotarł do szczytu i podjął pościg. Dirk jechał wyrzucając sobie czas stracony na wspinaczkę i nienawidząc z całej duszy Michaela i Sun Dancer. Powinien mieć przewagę czterystu, a nie zaledwie pięćdziesięciu jardów.

Przed nim rozciągał się wąwóz, którym Baboon Stroom spadał ze skarpy. Brzegi strumienia były porośnięte gęstymi krzakami. Dirk znalazł ścieżkę i skierował konia ku brodowi. Na udeptanej ziemi kopyta Sun Dancer wybijały głośny rytm, ale Dirk słyszał też odgłos kopyt ścigającego go konia - Michael też już dotarł do ścieżki. Dirk obejrzał się przez ramię. Michael był tak blisko, że widać było zarys uśmiechu na jego ustach i ten złośliwy grymas twarzy rozwścieczył Dirka.

- Ja mu pokażę...! - Znowu zaczął okładać boki i grzbiet klaczy batem i koń skoczył do przodu z nową energią. Zjechali w dół stromego zbocza strumienia i wypadli na łachę białego piachu, a pysk Grey Weathera sięgał już nogi Dirka. Wjechali ramię w ramię w ciemnozieloną wodę, podnosząc fantannę kropel, które rozbłysły w słońcu. Ześliznęli się obaj z siodła i płynęli obok koni przez głębszą wodę, podczas gdy prąd znosił ich ku wodospadom. Gdy kopyta koni dotknęły twardego gruntu, wskoczyli na siodła i wyjechali na brzeg. Na piasku zaczęli się ścigać ku wąskiej ścieżce, która wiodła na wysoki brzeg, ociekając wodą i

krzyżąc z podniecenia. Pierwszy, który dopadnie ścieżki, będzie mógł utrzymać przewagę.

- Odsuń się! Ja prowadzę, zrób mi miejsce! - krzyczał z wściekłością Dirk.

- Sam sobie zrób miejsce! - Michael się roześmiał.

- Ty draniu! - Dirk zmusił kolanami Sun Dancer, by napała na konia Michaela i zepchnęła go ze ścieżki.

- Tylko bez takich numerów - ostrzegł go Michael.

- Ty draniu. Ja ci pokażę.

Pędzili teraz strzemię w strzemię. Dirk wyprostował się i przekręcił stopę, wkładając ją pod but Michaela. Nagłym podrzutem nogi wysunął stopę Michaela ze strzemia i podrzucił ją do góry. Czując jak leci na bok, Michael złapał się łąku i pociągnął z sobą siodło tak, że przekręciło się na bok Grey Weathera. Przesunięcie się środka ciężkości pomieszało krok konia i zmusiło go do zwolnienia. Michael uderzył barkiem o piasek i przetoczył się z kolanami podciągniętymi do piersi.

- Koniec z tobą! - krzyknął Dirk, wyjeżdżając na brzeg, by zaraz wypaść na otwarty teren z tyłu. Za nim Michael poderwał się na nogi, cały utyłany w piasku, i pobiegł za koniem, który zawrócił ku wodzie z siodłem wiszącym mu na brzuchu.

- Co za pieprzona świnia! Mój Boże, gdyby Sean tylko wiedział! - Michael złapał konia, zanim zaczął pić, poprawił siodło i zacisnął popręg. - Jezu! Nie mogę mu pozwolić wygrać! - Wskoczył na Grey Weathera i kopniakami popędził go na brzeg. - Nie mogę mu pozwolić wygrać.

Dwieście jardów przed nim biała koszula Dirka zmniejszała się szybko, unosząc się nad ciemnobrązową trawą. Kiedy okrążał studnię i kierował konia na ostatni odcinek drogi, jeden z nadzorujących krzyknął do niego:

- Co się stało z Michaelem?

- Przewrócił się w rzece - odkrzyknął Dirk. - Już po nim! - W jego głosie brzmiała pewność zwycięstwa.

- Prowadzi! Dirk prowadzi! - Sean stał na masce rollsa i patrzył przez lornetkę na kępę drzew gumowych. Jako pierwszy zauważył małą figurkę jeźdźca, gdy tylko wysunęła się zza skarpy.

- Gdzie jest Michael?

- Nie może być daleko z tyłu - mruknął Sean i z niecierpliwością zaczął wyglądać drugiego jeźdźca. Denerwował się, kiedy patrzył, jak Dirk niezdarnie wdrapuje się na skarpy i nawet zaczął go kłać głośno za złe obchodzenie się z koniem. Następnie prosił go w myślach,

żeby, do cholery, ruszył tyłek, kiedy Dirk pędził wzdłuż krawędzi, a Michael szybko zbliżał się do niego. Wkrótce obaj jeźdźcy zniknęli za horyzontem, przejeżdżając przez Baboon Stroom i dopiero teraz widzowie spostrzegli, jak jeden z nich wyjeżdża na brzeg.

- Ten cholerny idiota jedzie zbyt szeroko. Kazałem mu przeciąć krawędź bagna, a nie objeżdżać je dookoła.

- Gdzie jest Michael? - powtórzyła Ruth. Sean cofnął lornetkę i przyjrzał się z widoczną troską nadbrzeżnej skarpie.

- Jeszcze go nie widać. Chyba ma jakieś kłopoty.

- Myślisz, że wszystko jest w porządku? Może coś sobie zrobił.

- Skąd mam wiedzieć? - Niepokój spowodował, że Sean był opryskliwy, ale natychmiast poczuł skruchę i objął Ruth w pasie. - Musi sam o siebie zadbać. Nie ma sensu niepotrzebnie się przejmować.

Dirk zjeżdżał już w dół zbocza, zostawiając za sobą wąską smugę kurzu, gdyż Sun Dancer zsuwała się miejscami na zadzie.

- Nadal nie widać Michaela? - Ruth poruszyła się niespokojnie w jego objęciach.

- Nie. Jeszcze nie - mruknął Sean. - Dirk może okrążyć spokojnie całe bagno, prowadzi już jakieś ćwierć mili.

Nagle szmer ulgi przebiegł przez tłum.

- Jest!

- Jedzie prosto w dół!

- Nie dogoni go, chyba żeby dostał skrzydeł!

Sean skierował lornetkę na Michaela i zaraz wrócił do Dirka oceniając odległość i szybkość jeźdźców, rozważając, ile czasu Michael straci na przebycie bagna i przeciwstawiając to faktowi, że Dirk ma do pokonania dłuższą drogę.

- Będzie wyrównany pojedynek - oenił na głos. - Dirk ma przewagę, ale wszystko rozstrzygnie się na mecie.

Ada nie widziała tego w ten sposób. Dirk prowadził i Dirk musiał wygrać. Spojrzała na Garricka. Stał przy paliku oznaczającym metę, sto jardów dalej, ale nawet z tej odległości widziała, w jaki sposób opuścił ramiona i rozpoznała nastrój rozpaczony ogarniający go w przeświadczeniu o przegranej. Kopyta Sun Dancer zdawały się rozdzierać Garry'ego na strzępy.

Nie mogąc wytrzymać dłużej, Ada zeskoczyła z powozu i podbiegła przez tłum do Seana, który stał niczym zwycięski olbrzym na samochodzie.

- Sean. - Dotknęła jego nogi, ale był tak pochłonięty wyścigiem, że nawet nie poczuł jej ręki.

- Sean! - krzyknęła i pociągnęła go za spodnie.

- Mamo? - Spojrzał na nią nieobecny wzrokiem.

- Muszę z tobą porozmawiać. - Ada musiała krzyknąć, żeby jej głos dotarł do niego przez ogarniające tłum podniecenie.

- Nie teraz. Zbliżają się do mety. Wejdz tutaj, to będziesz wszystko widziała.

- Teraz! Muszę z tobą pomówić. Zejdz natychmiast! - Jej ton zbił z tropu Seana, przez sekundę się wahał, rzucając niepewne spojrzenia na jeźdźców. Wreszcie wzruszył z rezygnacją ramionami i zeskoczył do niej.

- O co chodzi? Proszę, pośpiesz się - nie chcę stracić...

- Zaraz będziesz wolny. - Sean jeszcze nigdy nie widział jej ogarniętej taką zimną wściekłością. - Chciałam ci powiedzieć, że nigdy nie przypuszczałam, że nadejdzie dzień, w którym będę czuła dla ciebie jedynie pogardę. Często zachowywałeś się bezmyślnie, ale nigdy nie byłeś tak okropnie bezlitosny.

- Mamo, ja... - Był zbyt zaskoczony, żeby coś powiedzieć.

- Posłuchaj mnie. Postanowiłeś zniszczyć swojego brata i osiągnąłeś to. Mam nadzieję, że teraz cieszysz się z tego. Masz teraz Theunis Kraal. Naciesz się nim, Sean, i może uda ci się spać spokojnie.

- Theunis Kraal! Co masz na myśli?! - krzyknął na nią nic nie pojmując. - Nie zakładałem się o farmę!

- Och, nie - Ada rzuciła mu z pogardą. - Oczywiście, że sam się nie zakładałeś, wzięłeś do pomocy Ronny'ego Pye'a.

- Pye'a? Co on ma z tym wspólnego?

- Wszystko! Pomógł ci to zaplanować. Pomógł ci sprowokować Garry'ego, żeby zgodził się na ten kretyński zakład. Pye ma dług hipoteczny na Theunis Kraal.

- Ale... - Z wolna uświadamiał sobie potworność rozgrywających się wydarzeń.

- Zabrałeś mu nogę. Teraz weź sobie Theunis Kraal, ale zapłacisz za to moją miłością.

- Patrzyła mu twardo prosto w oczy, lecz jej spojrzenie było zamglone bólem. - Żegnaj, Sean. Nie odezwę się do ciebie już nigdy w życiu. - Odwróciła się i odeszła wolnym krokiem. Szła jak stara kobieta; zgarbiona i zmęczona życiem stara kobieta.

Sean nagle zrozumiał wszystko i zaczął biec ku mecie. Przedzierał się przez tłum, rozrzucając ludzi na boki. Nad ich głowami widział dwóch jeźdźców galopujących po polu.

Dirk prowadził, stojąc w strzemionach i okładając Sun Dancer pejczem. Jego długie czarne włosy trzepotały na wietrze, a koszula była cała ochlapana błotem. Klacz wyciągała zmęczone nogi, a stukot kopyt docierał do Seana przez ryk dopingujących ludzi. Ciało Sun

Dancer błyszczało od potu. Z otwartego pyska leciały płaty piany, tworząc białą smugę na boku i piersiach konia.

Pięćdziesiąt jardów za nim drugi rumak wyteżał siły poganiany przez Michaela rozpaczliwymi kopniakami. Twarz jeźdźca była wykrzywiona okropnym bólem zawodu. Grey Weather był wykończony; jego nogi były miękkie ze zmęczenia, a oddech rozdzierał mu gardło przy każdym kroku.

Sean przedarł się przez mur ludzi tłoczących się przy linach. Dopadł ostatniego rzędu i odrzucił dwie kobiety na boki. Zanurkował pod liną i wybiegł na trawę.

Sun Dancer była tuż-tuż, waląc kopytami i rzucając głową przy każdym kroku.

- Dirk! Zatrzymaj ją! - ryknął Sean.

- Tato! Zejdź mi z drogi... - Dirk wrzasnął na niego, ale Sean zastąpił mu drogę.

- Tato!

Sean był tuż przed nim, wyciągając szeroko ramiona. Było już zbyt blisko, żeby skierować konia w bok i zbyt późno, żeby go zatrzymać w galopie.

- Skacz, mała, skacz! - krzyknął Dirk i zebrał konia nogami, czując, jak reaguje na jego znak napięciem grzbietu, jak podnosi kopyta do piersi i wlatuje w powietrze wysokim łukiem. Czuł jednak powolność jej zmęczonego ciała i wiedział już, że nie wzbija się dostatecznie wysoko, żeby minąć głowę Seana.

Przez bolesną chwilę Sun Dancer zawisała w powietrzu. Tłum wydał przeraźliwy jęk, gdy kopyta konia trzasnęły Seana w głowę i koń zwinął się w powietrzu, a Dirk poleciał do przodu wrywając strzemiona. Upadli w płątanie ciał na trawę. Z zamarłego tłumu dobiegły przenikliwe krzyki kobiet.

Sun Dancer poderwała się z trudem z ziemi, z przednią nogą zwisającą luźno w kolanie, rżąc z bólu.

Sean leżał na plecach z wykręconą głową, a krew z rozdartego policzka ściekała mu do ust i nosa powodując, że rżęził przy każdym nierównym oddechu.

Dirk czołgał się do ojca ze skórą na łokciach i twarzy zdartą od upadku. Przyklęknął przy Seanie i zaczął go okładać pięściami, które szybko zaczerwieniły się od krwi, gdy trafiły w nieprzytomną twarz ojca.

- Dlaczego to zrobiłeś? Och Boże, nienawidzę cię! - szlochał z bólu, nienawiści i rozżalenia. - Dla ciebie! Zatrzymałeś mnie, zatrzymałeś mnie!

Michael osadził Grey Weathera tak, że koń przysiadł na ogonie. Zeskoczył z siodła, podbiegł do nich i łapiąc Dirka za ręce zaczął go odciągać od ojca, walcząc z całych sił z wrywającym się chłopcem.

- Zostaw go, ty cholerny sukinsynu.

- Nie chciałem, żebyś wygrał. Zatrzymał mnie. Nienawidzę go. Zabiję go.

Tłum rzucił się pędem ku ich grupie, łamiąc paliki i przerywając linię. Dwóch mężczyzn pomogło Michaelowi przytrzymać Dirka, a reszta okrążyła Seana, krzycząc nad jego głową.

- Gdzie jest doktor Fraser?

- Jezu, on jest ranny!

- Złapcie konie. Niech ktoś przyniesie strzelbę.

- Co z zakładami?

- Nie dotykajcie go. Poczekajcie...

- Trzeba mu wyprostować ramię.

- Przynieście strzelbę. Na miłość boską, niech ktoś przyniesie broń.

Nagle zapadła cisza i tłum się rozstał, gdy nadbiegła Ruth, a za nią Mbejane.

- Sean. - Uklękała przy nim niezgrabnie w swojej brzemienności. - Sean - zaczęła jeszcze raz i stojący nad nią ludzie odwrócili wzrok, nie mogąc patrzeć na jej twarz.

- Mbejane, zanieś go do samochodu - szepnęła.

Mbejane zrzucił skórę z ramion, nachylił się i podniósł Seana. Potężne mięśnie piersi i ramion napięły się pod ciężarem i Zulus rozstawił nogi, żeby utrzymać Seana w objęciach.

- Nkosikazi, jego ramię.

Ruth ułożyła Seanowi ramię na piersiach.

- Zanieś go - powtórzyła i ruszyli przez tłum. Głowa Seana opadła Mbejane na ramiona, jak u śpiącego dziecka. Zulus ułożył go ostrożnie na tylnym siedzeniu, kładąc głowę na kolanach Ruth.

- Mój tatuś - powtarzała Storm patrząc z dziecinnym przerażeniem na krew. Jej małe ciało zaczęło się trząść jak w gorączce.

- Michael, zawieziesz nas do miasta? - Ruth spojrzała na stojącego przy samochodzie chłopca. - Zawieź nas na ulicę Protea.

Z Mbejane biegnącym po stronie Seana, samochód ruszył przez pole, jadąc najpierw wolno przez tłum gapiów. Potem wjechał na główną drogę i szybko skierował się do Ladyburga.



**86.** Dirk Courteney siedział na trawie patrząc za odjeżdżającym w tumanie kurzu samochodem, a tłum wokół niego rozchodził się wolno do powozów.

Jego ciało przebiegały dreszcze i czuł, jak ściska mu się żołądek. Otarcie na policzku paliło, jakby ktoś polał mu skórę kwasem.

- Lepiej idź do doktora Frasera, żeby opatrzył ci twarz. - Denis Peterson niosący w ręku ciężki rewolwer zatrzymał się przy Dirku.

- Dobrze - odpowiedział mu obojętnie Dirk i Denis podszedł do Sun Dancer trzymanej za uzdę przez dwóch chłopców stajennych. Klacz stała niepewnie na trzech nogach, ale była już spokojna i zwiesiła z rezygnacją głowę.

Denis przyłożył lufę rewolweru do jej czoła. Przy strzale klacz rzuciła się do tyłu i upadła na ziemię w drgawkach agonii. Jej nogi wyprostowały się i zaraz znieruchomiały.

Dirk zadrzał ze współczucia i nachylił się do przodu, żeby wymiotować w trawę. Gardło palił mu kwaśny, gorący smak wymiocin. Otarł ręką usta i wstał. Szedł przez pole bez celu, jak ślepiec, a nogi niosły go w stronę skarpy.

W jego umyśle przewijała się tylko jedna myśl, powracając jak refren marszowej pieśni: Nie chce mnie. Nie chce mnie.

I zaraz z błyskiem nienawiści: Mam nadzieję, że umrze. Niech umrze.

- Proszę, niech umrze. - Anna Courteney wypowiedziała życzenie tak cicho, żeby stojący przy powozie Garry nie usłyszał jej słów. Stał zamyślony ze zgarbionymi ramionami, wysuniętą do przodu głową i rękami zwisającymi wzdłuż boków. Podniósł rękę i przysłonił palcami powieki, wciskając je mocno w oczy.

- Idę do niego - powiedział. - Niech Bóg mi pomoże, ale idę do niego.

- Nie! Zabraniam ci. Zostaw go - niech cierpi tak, jak ja cierpiałam. Zupełnie zaskoczony Garry podniósł wolno głowę.

- Muszę. Już za długo, za dużo. Muszę. Proszę cię, Boże, żeby nie było za późno.

- Niech umrze. - Nagle coś jej pękło w głowie, załamało się pod ciężarem długotrwałej nienawiści.

Wstała z siedzenia, krzycząc na całe gardło:

- Umrzyj! Niech cię diabli. Umrzyj! - Garry odsłonił oczy i spojrzał na nią zaalarmowany.

- Uspokój się, kochanie.

- Umrzyj! Umrzyj! - Jej twarz była teraz cała w czerwonych plamach, a głos rzeźił, jakby ktoś ją dusił. Garry wdrapał się do powozu i objął ją silnie ramionami.

- Zostaw mnie. Nie dotykaj mnie! - wydarła się na niego, odpychając jego rękę. - To przez ciebie go straciłam. Był taki wielki i silny. Był mój, a ty...

- Anno. Anno. Proszę, nie. - Starał się powstrzymać ten potok wyrzutów. - Proszę, uspokój się, kochanie.

- Ty... ty pełzający, nędzny kaleko. To przez ciebie. - Nagle wyleciało to z niej jak ropa z rakowatej narośli. - Ale odplaciłam ci. Zabrałam ci go, a teraz umrze. Nigdy go nie będziesz miał. - Roześmiała się, napawając zemstą.

- Anno! Dosyć.

- Tamtej nocy... pamiętasz tamtą noc? Czy ty lub on kiedykolwiek ją zapomnicie? Chciałam go wtedy. Chciałam, żeby objął mnie, żeby wszedł we mnie głęboko jak poprzednio... błagałam go. Prosiłam go na klęczkach... ale przez ciebie... Przez jego kalekiego, słabego brata. Jezus! Nienawidziłam go! - Roześmiała się i był to jęk bólu i nienawiści. - Podarłam na sobie ubranie i pogryzłam do krwi usta, jak chciałam, żeby on to zrobił. Kiedy przyszedłeś, chciałam, żebyś... ale ty, zapomniałam, że jesteś tylko półmężczyzną! Chciałam, żebyś go zabił... zabił go!

Garry cofnął się od niej ze wstrętem całej blady, a pot ściekał mu po twarzy jak po białym marmurze.

- Cały ten czas myślałem, że on ciebie... wierzyłem ci. - Na wpół zeskoczył, a na wpół spadł z powozu, podpierając się o koło.

- ...Cały ten czas zmarnowany. - Odwrócił się i zaczął biec, potykając się na sztucznej nodze.

- Garry, podwieźć cię? - Denis Peterson zawołał z powozu, który zrównał się z biegnącym Garrickiem.

- Tak. Och, tak. - Garry schwycił się boku i podciągnął na siedzenie obok Denisa. - Proszę, zawieź mnie do niego tak szybko, jak tylko możesz.

**87.** Cichy i opuszczony dom otoczył ją swoim ogromem. Zamknięte, chroniące przed słońcem okiennice wprowadzały nastrój zamyślenia, a stęchły zapach przywodził na myśl emocje, które dawno temu zgasły pod tym dachem.

Anna stanęła na środku olbrzymiego pokoju gościnnego i wykrzyknęła głośno jedno słowo:

- Theunis Kraal!

Grube kamienne ściany zagłuszyły jęk jej szaleństwa.

- On nie żyje! Słyszysz mnie? Zabrałam go wam wszystkim. - Wybuchnęła triumfalnym śmiechem, a po policzkach ciekły jej łzy. - Wygrałam! Słyszycie mnie? Wygrałam! - Ból zniekształcił jej śmiech.

Podniosła ciężką lampę naftową i cisnęła ją o ścianę. Szkło rozprysło się i po ścianie na podłogę polała się nafta, wsiąkając w dywan.

- Theunis Kraal! Słuchaj mnie! Nienawidzę cię! Nienawidzę go. Wszystkich was nienawidzę.

Przebiegła przez pokój zdzierając ze ścian obrazy w złoconych ramach i rozbijając je o podłogę tak, że odłamki szkła zasłały podłogę niczym małe diamenciki. Porwała krzesło, żeby rozbić serwantkę i zniszczyć stojącą w niej porcelanę; zrzuciła książki z półki i rozsypała po podłodze porwane strony.

- Nienawidzę! - wrzasnęła. - Nienawidzę! - Wielki dom czekał w milczeniu, znużony wygasłymi uczuciami - stary, smutny i mądry.

- Nienawidzę was! Was wszystkich. - Pobiegnęła korytarzem przez kuchnię do spiżarni. Na najniższej półce stał czterogalonowy dzban ze spirytusem metylowym. Anna z trudem wyszarpnęła z niego korek. Z dzbana chlusnął spirytus. Anna porwała go przyciskając do piersi i potykając się wróciła do kuchni. Płyn polał się na jej ubranie przemaczając ciężkie spódnice i rozlewając się w kałuże na kamiennej posadzce.

- Nienawidzę! - Roześmiała się i w tym momencie pośliznęła się, straciła równowagę i trzymając w objęciach dzban upadła na kuchnię. Gorący metal przepalił jej ubranie i poparzył udo, ale ona nie czuła żadnego bólu. Mokre spódnice zahaczyły o palenisko i na materiale pojawił się mały płomyczek, który szybko zaczął rosnać. Kiedy wbiegła do pokoju, ciągnął się za nią pióropuszczyk ognia.

W pokoju gościnnym zaczęła polewać spirytusem książki i dywan śmiejąc się, gdy płyn zaczął ściekać po zasłonach.

Nie czuła nic, dopóki nie zajęły się halki, a ogień nie objął jej nóg. Jęknęła z bólu i upuściła blaszany dzban, który eksplodował zalewając ją strumieniem niebieskiego płomienia

i zamieniając włosy, twarz i całe ciało w płonąca pochodnię. Upadła w konwulsjach na ziemię i umarła, zanim ogień objął dach Theunis Kraal.

**88.** Stali twarzą w twarz po obu stronach arabskiego jedno-masztowego statku, a słońce rzucało ich cienie na brudny pokład. Dwóch młodych mężczyzn, obaj ciemnowłosi i opaleni na brąz, z dużymi Courteneyowskimi nosami i obaj gniewni. Siedząca na rufie arabska załoga przyglądała im się z ciekawością.

- Więc nie wracasz do domu, co? - spytał Michael. - Masz zamiar kontynuować tę dziecianną zabawę?

- Dlaczego chcesz, żebym wrócił?

- Ja? Dobry Boże, będę najszcześniejszy, jeśli nigdy już nie ujrzę cię na oczy. Ladyburg byłby czystszy miastem bez ciebie.

- Więc po co tu przyszedłeś?

- Twój ojciec mnie poprosił.

- Dlaczego sam nie przyszedł? - W głosie Dirka czuć było rozgoryczenie.

- Jest nadal chory. Ma ranę na głowie i okropne bóle.

- Gdyby chciał mnie zatrzymać, toby tu przyszedł.

- Posłał po ciebie, nie wystarczy ci to?

- Ale dlaczego chciał, żebyś ty wygrał? Dlaczego mnie powstrzymał?

- Słuchaj, Dirk. Jesteś jeszcze młody. Są sprawy, których nie rozumiesz.

- Nie rozumiem! - Dirk odrzucił głowę i roześmiał się pogardliwie. - Och, to rozumiem aż nazbyt dobrze. Lepiej zjeżdż ze statku, bo zaraz odpływamy.

- Słuchaj, Dirk...

- Zjeżdżaj. Biegnij do niego, możesz sobie wziąć mój udział.

- Dirk, posłuchaj mnie. Powiedział mi, że jeśli nie zgodzisz się wrócić, to żebym dał ci to. - Michael wyjął z kieszeni kopertę i wyciągnął ją ku Dirkowi.

- Co to jest?

- Nie wiem, ale przypuszczam, że pieniądze. Dirk przeszedł wolno przez pokład i wziął kopertę.

- Mam mu coś przekazać? - spytał Michael i gdy Dirk potrząsnął przecząco głową, zeskoczył z pokładu na nadbrzeże. Arabska załoga natychmiast przystąpiła do odcumowania.

Stojąc na końcu pomostu Michael patrzył, jak mały statek wypływa na wody zatoki Durbanu. Czuł wyraźnie smród bijący ze ścieku okrętowego i zabrudzonych burt i patrzył, jak trójkątny żagiel unosi się wolno w górę, poplamiony i połatany jak stara kołdra.

Statek złapał wiatr, który napiął żagiel i popchnął łódź przez brudną, zieloną wodę ku wyjściu z portu, gdzie niska fala załamywała się białą linią.

Dwóch braci patrzyło na siebie ponad powiększającą się przestrzenią wody. Żaden z

nich nie uśmiechnął się ani nie podniósł na pożegnanie ręki. Statek oddalał się coraz bardziej. Twarz Dirka była już tylko małym ciemnym punktem nad jasnym ubraniem i nagle do Michaela dobiegł jego głos:

- Powiedz mu... - Postać coraz bardziej malała. - Powiedz mu... - ale reszta słów zagubiła się na wietrze i w cichym plusku fal odbijających się od nabrzeża.

**89.** Siedzieli na krawędzi skarpy, a pod nimi wznosiły się ściany Theunis Kraal niczym opalone mury grobowca kryjącego nienawiść.

- Najwyższy czas, żebyś wziął się do odbudowy domu - mruknął Sean. - Nie możesz całe życie mieszkać na ulicy Protea.

- Nie - zgodził się Garry i umilkł na chwilę. - Wybrałem już miejsce na nowy dom... tam, za drugą studnią.

Obaj odwrócili wzrok od pozbawionych dachu ruin i przez chwilę milczeli. Wreszcie Garry się odezwał.

- Chciałbym, żebyś rzucił okiem na plany. Nie będzie to już taki wielki dom teraz, gdy jestem sam z Michaelem. Czy zechciałbyś...?

- Dobrze - odparł krótko Sean. - Może byś przyszedł do Lion Kop jutro wieczorem? Ruth zaprasza cię na obiad.

- Z przyjemnością.

- Przyjdź wcześniej - powiedział Sean i zaczął się podnosić ze skały. Poruszał się jeszcze ociężale i niezgrabnie i Garry rzucił się, żeby mu pomóc. Sean, który nienawidził słabości, chciał już odtrącić podtrzymującą go dłoń, gdy spostrzegł minę brata i pozwolił mu się podeprzeć.

- Pomóż mi przejść ten kawałek - poprosił go burkliwie. Podeszli razem do czekającego na nich powozu, a Sean cały czas opierał się na ramieniu Garricka.

Potem wspiął się ciężko do powozu i usiadł ostrożnie na skórzanym siedzeniu.

- Dzięki. - Zebrał lejce i uśmiechnął się do brata, a Garry aż zarumienił się z radości i odwrócił wzrok na linie drzew akacjowych, które porastały zbocza Theunis Kraal.

- Nieźle wygląda, co? - zapytał.

- Wykonaliście z Michaelem wspaniałą robotę - zgodził się Sean, nadal się uśmiechając.

- Bracia Courteneyowie i Syn - Garry wymówił cichym głosem nazwę nowej kompanii, która powstała z połączenia Theunis Kraal i Lion Kop. - Wreszcie jest tak, jak zawsze być powinno.

- Do jutra, Garry. - Sean podniósł lejce i powozik potoczył się do przodu, kołysząc się lekko na nierównej drodze.

- Do jutra, Sean - zawołał Garry i podązał za nim wzrokiem, aż powóz zniknął pomiędzy dorosłymi akacjami. Podszedł do konia i wspiął się na siodło. Przez chwilę przyglądał się szeregom zuluskich robotników, którzy śpiewali przy pracy. Dostrzegł Michaela, który jechał pomiędzy nimi zatrzymując się od czasu do czasu, żeby zachęcić ich

do pracy.

Na twarzy Garry'ego pojawił się uśmiech, który wygładził zmarszczki otaczające jego oczy. Dotknął konia ostrogami i pojechał dołączyć do Michaela.